

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

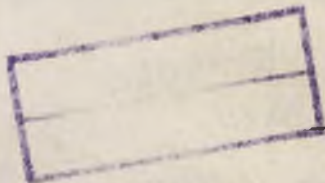
W drukarni Józefa Sikorskiego, Warecka 14.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 238.

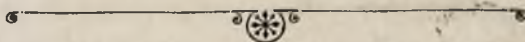
BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1900. — Tom III.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka Nr. 14.

1900.

4620. 1900. 3

II.



30.000,-

Дозволено Цензурою.

Варшава, 7 Июля 1900 года

X-14340
4620 / 1900 II 3.



Z literatury zapomnianej.

Szkic z dziejów dawnej umysłowości.

W niedzielę palmową wieczorem i przez cały Wielki Tydzień śpiewa lud między innymi pieśniami o świętej Helenie, szukającej Krzyża świętego, odsyłanej do klasztoru, lub kościoła na górze, gdzie w grobach, lub na łożach spoczywają: Chrystus, Matka Boża i Jan święty: „przed Najświętszą Panną (albo przed świętym Janem) lilia (lub róża) wykwita, a z tej lilii (różyczki) ptaszek wynika — nie jest ci to ptaszek, tylko Syn Boży“.

Pieśń ta starodawna, znana w odmiankach po całym kraju, nieraz zapisana przez Ż. Paulego, Kolberga i innych zbieraczy, uderza mimowoli owym dziwnym szczegółem o ptaszku — Synu Bożym, wylatującym z kwiecica, gdyż nie może to być przenośnią, czy obrazem poetyckim, wywołanym raz przypadkowym kojarzeniem się myśli, a potem stale powtarzanym; przyplątał on się tu. widocznie skądinąd, gdzie był uzasadnieniem, nie kłócił się z innymi szczegółami.

Na podobne szczegóły natrafiamy nieraz, rozpatrując literaturę ludową. W pieśni o Antychryście naprzykład, Antychryst

Piec okrutny wodzić będzie,
W skalach, górach, znajdzie wszędzie...
Kto nie zechce w niego wierzyć,
Toć go każe w ten piec włożyć.

I ten piec, to nie wymysł dowolny, istniał on już przez lat czterysta co najmniej, skoro Marcin Krowicki w „Obrazie Antykrystowym“ z roku 1561 o nim wspomina (Boć nie przyjdzie z piecem inny, O którym dziwne nowiny Księża nasi powiadali i t. d.; żeby Antychryst miał przyjść z żelaznym piecem, abo ze skrzynią pieniędzy, jako więc popi, muisi i baby pletli a bajali).

Wierszem i prozą czytamy nieraz legiendę o Matce Boskiej i zbójcu: w podróży z Nazaretu do Jerozolimy napadnięta przez rozbójnika, potem gościnnie przyjęta, kąpie Marya Syna, a woda uzdrowiadziecko zbója, który wynagrodzenia za nocleg nie przyjmuje, i sam jeszcze Świętej Rodzinie pieniędzy dodaje; żona jego przechowywa resztę kąpielki w dzbanie w ziemi, a woda przetwarza się w ów drogi balsam, którym po latach Magdalena Chrystusa namaściła, Nikodem i Józef zwłoki mazali; prowadził odtąd zbójca żywot bogobojny, lecz syn łotrował, aż na krzyżu obok Chrystusa skonał, ukorzywszy się przed Synem Bożym.

Inne legiendy kreślą początek rozmaitych zwierząt, naprzykład niedźwiedzia, lub kukułki, zawsze w ten sam sposób: to młynarz, wdziawszy jakieś kształty na siebie pod mostem, to dziewczynka, wylazłszy na drzewo, chcą straszyć, czy przedrzeźniać Pana, idącego drogą, i zachowują odtąd za karę tę postać na zawsze; to znowu żydzięta w piecu odmieniają się rzeczywiście w prosięta, gdy żydówka, zapytana przez Pana, coby w piecu było, o prosiętach mówiła — chociaż lud zwykle już nie wie, dlaczego-by żydzięta w piecu siedziały.

Czuje się najdokładniej, że takie i podobne historyjki nie wyległy się samorzutnie w fantazyi ludowej, że to raczej okruchy jakiejś znaczniejszej niegdyś całości, miejscami nawet wcale nie licującej z dobrocią Zbawiciela, przedstawiającej Go sędzią groźnym, nieubłagany, całości, bogatej w treść, nam dziś zupełnie już obcej.

Ale i poza literaturą ludową napotykamy takież okruchy. W dawnej tradycyi historycznej, albo geograficznej, przewija się naprzy-

kład nieco fantastyczna „złota baba“; mieszczą ją na dalekim Wschodzie północnym, za Wiatką, i prawią przez cały XVI i XVII wiek o tym balwanie, czczonym przez przyległe narody. Lecz już Miechowita wie o pochodzeniu jego, że to w noc Narodzenia Pańskiego spadł grad i zlepil się w kształt kobiety z dzieciątkiem na łonie, które później spłynęło, lecz sam bałwan kobiecy, świadek wcielenia wielkiej tajemnicy, nie stopnieje aż do końca świata. Gdybyż sięgnąć do pism ówczesnych i kazań, liczba takich opowieści znacznie-by się powiększyła, a równocześnie natrafili-byśmy i na źródło, skąd-to wszystkie te wierzenia i baśni się rozszerzyły. Już Krowicki, mówiąc o Antychryście z piecem, wskazywał na księży; i rzeczywiście, z kazań, z rozmowy z żakiem, lub klechą, z pieśni dziadowskiej, dowiadywał się lud o rzeczach, które w fantazyi jego i pamięci głęboko zapadały. Nie liczył on się tam bardzo z rzeczywistością, nie ważył dokładniej słów księdza; jeżeli ten twierdził, że w ową noc Narodzenia Pańskiego wół i osiel Panu holdowały, lub zakwitły winnice Engadyjskie, zamieniał i uogólniał to bez skrupułu pobożny ludek. Wszystko bydło domowe w tę noc przemawia, każda woda przemienia się w wino, a dzieje się to zawsze jeszcze, i tylko nie zgadzają się zegary niebieskie z ziemskimi, bo inaczej każdy mógł-by to sprawdzać. O trzechkrotnem podskakiwaniu, płasaniu słońca w dzień wielkanocny, lud z kazań uwierzył, biorąc ich allegoryę dosłownie. Książd opowiadał o Sybillach, wieszczących przyjście Zbawiciela—lud zapamiętał nazwę wieszczki, a więc czarownicy, a więc i „boginki“, odmieniającej dzieci, a że się w Gody nie przedzie, czyni się to pewnie dla niej—i tak urosły owe „Siubiele“, jak tu i owdzie boginki, mamuny nazywają i „Siwilije“, dla których nie przędą,—odmianki pierwotnej, poważnej Sybilli.

O szczegółach życia średniowiecznego niewamy mylne wyobrażenie. Wpatrzeni w sztywne posągi, w obrazy nieforemne, w gmachy ciężkie, biorąc do rąk księgi żelazem okute, z wlekącym się za nimi łańcuchem, z mową i treścią ich twardszą od kruszczu, zapominamy, że to złudzenie, że życiu owemu nie brakło barwy i ruchu, namiętności i różnaitości, że kipiało ono nie gorzej od dzisiejszego, że bez czego się dzisiaj nie obchodzimy, to i dla średniowiecza nieodzownem było.

Wydaje nam się naprzykład, że średnie wieki nie znały wcale tego pokarmu duchowego, którego my dziś tak lakniemy. Rozwielmożniła się dziś mianowicie belletrystyka, i niema już świstka prowincjonalnego, który-by w odcinku codziennym, lub tygodniowym, jakiejś powieści „oryginalnej“ nie dawał czytelnikom — średnie wieki chyba tej potrzeby nie odczuwały nigdy. Otóż to właśnie mylnie: z tego, że takich rzeczy nie pisywano (albo później nie drukowano), nie wynika jeszcze, żeby ich wcale nie było. Pisanina — to rzecz trudna, droga, nie wielu, i to głównie uczonym, przystępna, więc się tych lekkich rzeczy, powieści, bajek, pisać nie godziło — słuchało się ich za to tem chciwiej, pamiętało tem głębiej, przyswajało tem dokładniej; „romansów“, powieści nie czytano, za to ich tem gorliwiej słuchano. I dziś jeszcze między ludem niepiśmiennym utrzymał się ten dawny tryb, niegdyś wszystkim warstwom wspólny. U ludzi więc średniowiecznych fantazyja i ciekawość były rozbudzone, i wrażeń pragnęły nie mniej, jak dzisiaj, chociaż kierunek ich bywał odmiennym, lubował sobie w rzeczach religijnych, świętych, więcej, niż dzisiaj, gdyż całą niemal treść życia umysłowego do rzeczy wiary naginano tak, jak teologia była szczytem i celem ówczesnej nauki. Nie mogły się jednak utrzymać religijność żarliwa, i w jej kierunku podniecana wyobraźnia w ścisłych granicach, jakie im wiara i źródło jej, objawienie ksiąg świętych, nakreślały; wybiegały one poza nie, śledziły każdy szczegół, dzieliły się chętnie każdym nowem odkryciem. Tradycja więc ustna, zasilana z bardzo niewielu ksiąg, zastępowała miejsce dzisiejszej belletrystyki, zaspakajała potrzeby umysłowe, stawiała coraz nowe pytania i sama je rozwiązywała.

Belletrystyka dzisiejsza uważa za tryumf sztuki, jeśli złudzenie rzeczywistości wywoła, jeśli czytelnik, zapominając fikcyi, tak się nią przejmie, że będzie prosił, aby Podbipiętę przy życiu zostawiono i od strzał tatarskich wyratowano. Takie samo wrażenie osiągały wieki średnie o wiele pewniej, przy nadzwyczajnej łatwowierności dobrodusznym słuchaczy, przy ciekawości tych wielkich dzieci, przy niezachwianym niczem autorytecie wszystkiego, cokolwiek szatę religijną przybierało, przy głębokiej wierze w cudowność wszelką, urągającą z praw przyrodzonych. Bajek i klecht słuchał wprawdzie człowiek średniowieczny również gorliwie; szerzyły się też i wędrowały ze Wschodu na Zachód, z Południa na Północ, rzadziej w kierunku odwrotnym, te mrzonki fantastyczne o jakimś świecie czarodziejskim z innym porządkiem moralnym i fizycznym, gdzie uciemniona cnota, wierność stała, gorąca wdzięczność wszelkie przeszkody zwyciężały, gdzie nie uroda, majątek, ród, lub rozum, lecz szczęście, traf, serce i spryt pół królestwa wraz z ręką królowny zdobywały. Nie wierzył

jednak nigdy człowiek średniowieczny w to, co opowiadał, lub słuchał; lotna przędza bujnej imaginacyi bawiła go, przeciw światu istotnemu stawiając wymarzony, nic więcej; za to każda powieść religijna znajdowała u niego wiarę zupełną. W świecie religijnym otaczała go przecież cudowność na każdym kroku, w żywotach Świętych naprzykład, w obrazach ich i relikwiach, przyjmowana bez najmniejszego zastrzeżenia, bez najlżejszej wątpliwości; wszystko pokrywał autorytet nieomylnego Kościoła. I ani się domyślał naiwny ludek, że co on bez wyboru przyjmował, pochodziło z najrozmaitszych, nieraz wręcz heretyckich źródeł, służyło niekiedy bardzo nieprawowiernym widokom; ślady pochodzenia baśni pobożnej zatarły się bowiem w ciągu pokoleń, wszystko wydawało się pod owym pokostem religijnym jednej wagi i wiary.

Gęsty wieniec dawnych tradycyi pobożnych dziś już rozerwano, tak, że ocalały z niego tylko strzępy, listki, perelki w pamięci ludowej, podczas gdy je z pamięci klas wykształconych wymieciono najzupełniej; rósł zaś ten wieniec całemi wiekami i składał się nań najrozmaitszy materiał.

Lakoniczność Pisma świętego Nowego Zakonu nie zadawała pobożnej ciekawości, podniecała ją raczej i drażniła, wskazując na całe okresy, stosunki, zajścia, skąpiąc jednak wszelkich szczegółów. Wystawiając wyłącznie dzieło Odkupienia, pomijała tradycya kanoniczna naprzykład młodość Zbawiciela, żywot Jego Matki, losy jego uczni; nie było w niej miejsca dla żadnych wynurzań, objaśnień, wywodów, nasuwających się mimowoli myśli, religijnie nastrojonej. Myśl ta nie mogła naprzykład dopuszczać, aby cud wcielenia Bożego odezwał się w owej nocy, tylko w Betleemie, nie po całym świecie, mianowicie zaś w Rzymie; aby młodość Boga-człowieka schodziła bez wszelkich oznak posłannictwa jego; aby zstąpienie do otchłani i skruszenie potęgi szatańskiej obyło się bez walki i oporu. Na każdym kroku nastreżały się więc rozmyślaniom religijnym motywa, epizody, szczegóły, o- których milczało pismo, a marzyła głowa, i niebawem oblekały te marzenia kształty żywe, wzorując się na ewangelii samej, na pismach innych, na wymyśle wreszcie. Uzupełniała więc fantazyja religijna małowne wskazówki pism kanonicznych, tworząc naprzy-

kład dublety, i już młodość Zbawiciela wypełniając cudami, o których ewangelie w jego wieku męskim głosiły, wskrzeszenie zmarłych, leczenie chorych, panowanie nad przyrodą. Tak powstawały opowiadania, naiwne, bez tendencji, służące jedynie do zaspakajania ciekawości, rozwijające w sposób naturalny niemal napomknienia ewangeliczne, usuwające mniemane ich luki. Nie raziło przytem bogobojnej żarliwości, że stawała nieraz w sprzeczności z wyraźnemi świadectwami ewangelicznymi: te przedstawiały naprzykład cud w Kanie Galiilejskiej jako pierwszy, fantazya zaś, a może nawet i tradycja jakaś prawda o cudach ciągłych, od samego narodzenia aż do lat trzydziestu.

W innych razach występował jednak wcześniej rozmyśl. Młode chrześcijaństwo walczyło o byt ze starem żydostwem, i pragnęło z ust samych Żydów i z pism ich świętych wydobywać coraz liczniejsze, coraz więcej przekonywające świadectwa o prawdziwości tajemnic chrześcijańskich. Śledziło więc ono z lubością każde słowo Starego Zakonu, aby odnaleźć w niem wskazówkę co do osoby i roli Zbawiciela i jego blizkich, i wstawiało szczegóły w to życie, odpowiadające owym mniemanym wskazówkom; później przecież cały Stary Testament tłómaczono głównie prefiguracją, pierwowzorem zdarzeń Nowego, i wykład allegoryczny przytłumił zupełnie historyczny. Do głównych tajemnic chrześcijaństwa należało Narodzenie Syna Bożego z Dziewicy i Zmartwychwstanie Ukrzyżowanego. Więc silila się wyobrażnia na wynajdywanie coraz nowych dowodów, coraz nowych świadectw, które i najzaciętszych przeciwników przekonywały, skoro z ich własnego obozu wychodziły.

Broń, którą prawowierni szermowali, znalazła się jednak i w ręku przeciwników; kacerze i sekciarze lubowali się również w opowiadaniach, które-by ich poglądy, czy wierzenia, sprawdzały. I zaroiło się niebawem od najrozmaitszych „ewangielii“ wszelkich możliwych sekt, od pism dziwacznych, wytraconych później z sektami samemi, tak, że je dziś nieraz tylko z tytułów znamy. Jeszcze gładziej szła rzecz z wymyślaniem wszelakich listów i pism apostoelskich, z których sekty upoważnienie i uświęcenie własnych dogmatów i obrzędów niby wywodziły. Ujrzał się też Kościół zniewolonym do energicznego wystąpienia przeciwko napływowi tradycyi i listów, zebranych w pismach niekanonicznych, obiegających pod nazwami autorów, których uznana powaga i przemycanym tym pismom się udzieliła. Przeciwno „apokryfom“, to jest pismom zatajonym, wychodzącym teraz na jaw niby po wiekowem ukryciu, lub przeciw „pseudoepigrafom“, to jest noszącym niesłusznie imię poważanego autora, walczy już od V wieku Kościół, lecz napróżno. Ustępują wprawdzie te pisma na plan drugi,

niektóre giną na zawsze, albo ukrywają się gdzieś między Koptami, lub Nestoryanami, treść ich wrasta powoli w kompleks tradycji, i dziś jeszcze powtarza nasz lud szczegóły, wysmażone niegdyś w fantazyi azyatyckich kacerzy.

Z tak różnorodnych żywiołów urastała powoli cała tradycyjna literatura o postaciach Nowego Zakonu, odgrywająca główną rolę w życiu umysłowym średniowiecznym. W mniejszej znacznie mierze ulegały nowej tradycyi dzieje starozakonne, w których już sam przez się żywioł opowiadawczy bogaciej był rozwinięty; chyba że dzieje pierwszych rodziców, niektórych patryarchów i królów (naprzykład Salomona), „apokryficzna“ legenda powtarzaniem i rozszerzaniem pierwotnych wątków i prefiguracyami dzieła Odkupienia ukraszała; zresztą ustępowały apokryfy starozakonne u chrześcian zupełnie przed nowozakonnymi.

Najgęściej splotły się podania około Najświętszej Panny. Im uporniej ewangelia o Niej milczała, tem silniej pragnął świat chrześciański coraz nowych o Niej szczegółów; im swobodniejsze pole ewangelie zostawiały, tem łatwiej napływały zewsząd takie szczegóły. Później umiano, nawet bardzo dowcipnie, milczenie ewangelii tłómaczyć: aby tem więcej pobożnych do podobnych rozmyślań pobudzać, dla tego milczy o Niej Pismo święte. Albo też, aby nam dać przykład pokory—zresztą, tytuł Matki Chrystusowej wszystką chwałę w sobie już zamyka. Kult jej wzrastał z każdym stuleciem; w XIV wieku zdawał się zagłuszać każdy inny, a zanosilo się na to oddawna, od IV i V wieku jeszcze. Skoro ją prawowierni „Bogarodnicą“ przezwali, i opór aryański, a później i nestoryański w roku 431 w Efezie przełamali, cześć Jej granic nie znała, i chciwie pochłaniał zbór wiernych każdy nowy szczegół o Jej świętobliwym życiu, o jej zejściu, pełnem chwały, o jej poczęciu cudownem i niepokalanem. Legiend Maryjna zagłuszyła niemal bogactwem każdą inną; wniebowstąpienie Zbawiciela zbladło zupełnie wobec wniebowzięcia Matki, i fantazyja średniowieczna siliła się na coraz nowe a jaskrawe upiększenia jej „uśpiania“. W szeregu legiend apokryficznych zajmuje więc legiend a Najświętszej Maryi Pannie naj-

obszerniejsze, najwplywowsze miejsce, chociaż sama bynajmniej nie najstarsza.

Starszemi naprzykład są częściowo legiendy o męce Pańskiej i zstąpieniu do otchłani. niesprawiedliwy wyrok Pilata wymagał ni-
by jeszcze dokładniejszego oświecenia, ale trzymano się wątku ewan-
gielicznego, i tylko później o samej osobie starosty rzymskiego i Ju-
dasza natworzono dziwów; ohydzano naprzykład Niemców, rodem od
nich Pilata i Judasza nawet wywodząc. Za to w scenie otchłaniowej
puszczono zupełnie wodze fantazyi religijnej, i uplotła ona cały ro-
mans, czy dramat ze wstępem;—ojcowie Starego Zakonu przeczuwają
za wskrzeszeniem Łazarzowem koniec rychły utęsknienia, tryumfują,
a przestraszeni tem szatani nastrajają żonę Pilatową ku ocaleniu Je-
zusa;—z akcją właściwą: w łonie samej otchłani waśnię się w chwili
stanowczej „Piekło“ a szatan; opadają wrota piekielne przed Panem
zastępów, przykuwa się szatana do słupa, a wyprowadza ojców; —
z epilogiem wreszcie u wrót raj. Rysy tej odwiecznej „ewangelii“
odbijają się później w legendach o Madeju, lub o żaku, wędrującym
do piekła po „zapis“; cyrograf, który tak samo „zdrapać“ należy, jak
Jezus cyrograf Adamów, wystawiony szatanowi, a uznający panowa-
nie jego nad ludźmi, zniweczyć musiał.

Tak samo upiększała legenda początki ziemskiego zawodu Zba-
wiciela. Wiedziały o Nim żywioty; przeczuwali Go wybrani; wiesz-
czyły same bóstwa pogańskie; przybyli od Wschodu, gwiazdą przy-
wodzeni, trzej mędrce-magowie, którzy w tradycyi zachodniej w kró-
łów urosli, imiona podostawali i darami na przyszłe losy Dzieciątka
wskazywali; więc na tym-to Wschodzie, w ziemi „perskiej“, znamio-
na jakieś i cuda w świątyni pogańskiej, między samemi bałwanami,
zlecenie królewskie i ów wyjazd mędrców wywołały. Zajmowała da-
lej podróż egipccka i młodość w Nazarecie wyobraźnię pobożną, i su-
cha a krótka wzmianka ewangeliczna urastała znowu w powieść
całkowitą.

Wobec tych dwóch głównych momentów cofały się inne: kapłań-
stwo Chrystusa z nowym dowodem dziewictwa Maryi, postać Jego
ludzka, posąg i obraz, nie ziemską ręką wyrażone, występują bardzo
wcześnie, lecz mniej dobitnie i nie zawsze ogólnie; tak samo dzieje
Jana świętego i ojca jego, Zacharyasza. Warto jednak zaznaczyć
z nich szczegół charakterystyczny. W dziejach świętego Jana odgry-
wa rolę tanecznicą; średnie wieki, potępiające zawzięcie, acz bezsku-
tecznie, wszelkie tańce ludowe, jako „dyabelstwo“, nie omieszkaly
z tego skorzystać: tanecznicą, córka Herodyady, zatańczyła się na
śmierć, załamawszy się w tańcu, czy w przechodzie na rzece, gdzie
jej kry głowę odcięty („A kry się zbiegły, głowa z baszkira odpadła,

Jak mieczem odrąbana, i na krze usiadła Z otwartemi oczyma“; więc powtórzył motyw ten starodawny Słowacki w powieści starego Grzegorza w Kordyanie). Tańczy ona i po śmierci, i przebiega kraje na czele hufów potwornych w wichurze nocnej, splatając się z „dzikim jeźdźcem“, jak poważna Sybilla z „Bertą“ i „boginkami“. Jana świętego dzieckiem ukryła skała, czy drzewo—drzewa jednak nie przepilnowali prześladowcy, jak to król Manase z Izajaszem, wedle prastarego apokryfu, uczynił; krew niewinna zamordowanego w świątyni Zacharyasza wołała do Boga o pomstę aż do zburzenia Jerozolimskiego. Nie mniej fantastycznymi bywają szczegóły o posłannictwie i męczeństwie Apostołów; pomijamy je tutaj, jako łączące się z legiendami o żywotach Świętych. Obok tych „apokryfów“ nowozakonnych, cieszyły się jeszcze „Księga Adamowa“ i „Testamenty dwunastu patryarchów“ nadzwyczajnem rozpowszechnieniem i poważaniem. Księga Adamowa dawała szczegóły, których skąpiły Księgi Rodzaju: dlaczegóż skrucha pierwszych rodziców nie przeniknęła niebios i nie cofnęła srogiego wyroku? Oto powtóre uwiódł czart Ewę, i opuściła omamiona przed czasem naznaczonym miejsce żalu i płaczu w rzece Tygrysie; zaś przy zgonie Adamowym Set choć gałązkę z Raju wybłagał, która znowu w dziele Odkupienia zaważyła, boć z niej-to urosło drzewo krzyżowe, jak i za owe srebrniki Józefowe Judasz później mistrza wydał: tak splatały się nierozzerwalnie dzieje Starego i Nowego Zakonu. W Testamentach Patryarchów odnajdywano wskazówki messyaniczne. Legendy Salomonowe wreszcie opuszczały świat religijny, a przenosiły się całkiem w fantastyczny, romansowy, w powieści o niewiernej żonie, o potworze, pomocnym przy budowie świątyni, o kuszeniu mądrości jego zagadkami i zadaniami różnemi.

Osobno wydzielały się najrozmaitsze objawienia, apokalipsy, widzenia przyszłości i rzeczy eschatologiczne, o końcu świata, przyjsięciu antychrystowem z pokolenia Dan i panowaniu w Jerozolimie, sądzie ostatecznym i mękach czyścowych i piekielnych. Te widywali to Matka Boska, to Paweł święty, to inny jakiś święty i nieświęty, Patrycyusz lub Tundal. Od nich wiedziano nawet, w jakie chwile, dnie, lub pory, męki dusz skazanych ustają: podczas Podniesienia przy Mszy świętej, w niedzielę (i nie należało w poniedziałek zbyt wczesnie roboty zaczynać), w pewne święta za uproszeniem Bogarodzicy. Ze starych baśni irlandzkich—Irlandya była środowiskiem owych wizyi grobowych—urósł natchniony poemat Dantego. Pierwszym wzorem tych opisów była hebrajska księga Enocha, najstarszy może i najwięcej poważany apokryf, a szereg ich zakończył Metodysz Patarski i jego objawienie o końcu świata, bardzo popularne w wiekach średnich; porywy messyaniczne, niecierpliwość Żydów, wyczekujących

zbawienia, wstręt przed Rzymem cesarskim i pogańskim, prześladowcą Żydów i chrześcian, przybierały w rozmaitych apokalipsach kształty, dziwacznie, potwornie, nieraz jednak imponująco pomyślane, oblekały się w allegorye śmiałe i wyraziste; gromiły zepsucie pogańskiego świata; wdrażały monoteizm przeciw bałwochwalstwu.

Cykle te legiendowe narastały wiekami. Jedne sięgają jeszcze drugiego wieku; największa ich liczba powstawała jednak między drugim a piątym, w czasach najsilniejszego wrzenia religijnego, wytwarzania się sekt, sporów dogmatycznych, roznamiętniających w sposób niesłychany tłumy, aż do przekupniów i rękodzielników, wyładowujących się nieraz srogimi prześladowaniami. Później przybywały fantastyczne szczegóły, poszczególne cuda, lecz nowych wątków nie tworzone więcej. Jest to więc literatura, wiekiem bardzo poważna, sięgająca częściowo samych początków chrześcijaństwa; mniej jednak poważną jest sama jej treść. Nie wysilała się zbyt fantazyja; zadawała się nieraz łatwym kopiowaniem ksiąg kanonicznych; więc cuda Zbawiciela powtarzała po prostu w jego latach dziecięcych, szafowała widzeniami anielskimi u Maryi, kazała różdźce Józefowej zakwitnąć, jak ongi Aaronowej; wystawiała świętą Annę „bezdziatkinia“, jak niegdyś Sarę i t. d. Ale obok takich kopii gotowych wzorów, znajdujemy i szczęśliwe inwencye, obrazki wdzięczne, tchnące ewangeliczną prostotą; to znowu szczegóły rażące, sprzeczne nieraz z charakterem tradycyjnym, wymysły tendencyjne w celach sekty, dogmatu, miejsca, tworzone dowolne kombinacye, naprzykład o szatach świętych, balsamie i krzyżu, o wyglądzie Zbawiciela i Matki Jego. Inną znamioną cechą jest łączenie wszelkich możliwych rzeczy w jednym miejscu, lub czasie, tworzenie związku między niemi: czaszkę Adamową zakopali synowie Noego na Golgocie, i na nią spłynęła krew Zbawiciela, jak zapis („cyrograf“) Adamów Lucyfer w Jordanie pod kamieniem ukrył; drzewo krzyżowe i trzydzieści srebrników powtarza się od Adama i Józefa, chociaż opowiadania o drzewie nieraz przypominają nieco Marchołta i Sowizdrzała, szukających napróżno drzewa do obwieszenia. Na piątki, lub na niedziele, gromadzono wszelkie możliwe dzieje staro i nowozakonne, dowodząc tem nadzwyczajnej świętości dni tych i czci osobliwszej, jakiej wymagają. Drze-

wa krzyżowego Salomon przy budowie świątyni użyć nie mógł, albo, przestrzeżony przez królową arabską, Sabę, czy Sybillę, nie chciał; wrzucił je do sadzawki Siloamskiej, słynącej potem z cudu uzdrawiania i t. d. Najdrobniejsza nieraz rzecz nabiera znaczenia, ma osobliwsze dzieje, szatę Zbawiciela naprzykład utkała Marya dla Dzieciątka, i rosła szata z Nim samym.

Cała ta literatura jest zupełnie anonimowa; nie znamy ani jednego z jej autorów, chociaż dla zatarcia śladów, lub dla nabrania większej powagi, na czoło utworów tych wysuwano najrozmaitsze nazwiska, patryarchów, apostołów i innych, Jakóba, Mateusza, Nikodema. Liczba jej pomników znacznie zeszczuplała; ginęły z czasem z sektami księgi ich; inne przechowały się urywkowo, lub w przekładach dalekich, naprzykład w koptyjskim, albo słowiańskim, i niema już pierwotnego ich tekstu greckiego, lub syryjskiego wcale, lub go dotąd nie odnaleziono. Najwięcej tych ksiąg posiadał Wschód i język grecki; nie wszystkie nawet ze wschodniego do zachodniego Kościoła się przedostały; chociaż są i takie, które na Zachodzie powstały, i wcale nie, lub późno, na Wschód powędrowały, naprzykład osobliwsza redakcyja Nikodemowej ewangelii, lub list, z nieba spadły.

Jeżeli sekty gnostyków, albo manichejskie, apokryfami się najchętniej posługiwały, nie należy mniemać, żeby prawowierni ich się wystrzegali. Bynajmniej. Wieki, łaknące cudowności, pochłaniały je chciwie; Kościół stanowczo, konsekwentnie baśni pobożnych nie prześladował, ani tępił, szczególnie, jeśli go w nich nie raziły żadne widoczne ślady kacerstwa. Nie wykluczano ich z powszechnego obiegu, upoważniano milcząco, chociaż je nieraz obrzucano nazwą baśni i bredni, albo przypisywano, naprzykład u Słowian, na Południu i Wschodzie, autorstwo ich kacerzom, „Bulgarom“, „popu Jeremii, czy Bogumiłowi“ — najdowolniej, bo baśni te są starsze od Bulgarów i od Bogumiłów zarazem; wymyślono to autorstwo dla zohydzenia „Bulgarów“, od których sekta „czystych“ chrześcijan (katarów, to jest kacerzy), „dobrych ludzi“, czy jak ją wedle miejsc i czasów nazywano (Patarenów, Bogomiłów, Babunów, stąd nasze zabobony! Albigensów, Waldensów i t. d.), po całym Południu i Zachodzie europejskim się szerzyła; najniesłuszniej zresztą, gdyż właśnie ta sekta wszelkimi podobnemi baśniami najwięcej się brzydziła.

Podnieję do spisywania i puszczenia w świat ksiąg podobnych czerpano w świecie starożytnym. Istniały przecież, naprzykład u Rzymian, wieszczce księgi, niedostępne zwykłemu śmiertelnikowi, Sybillińskie, do których się jeszcze w piątym wieku po Chrystusie udawano, nim zupełnie zaginęły; na ich miejsce wystąpiły inne, żydowskie i chrześcijańskie; przecież i w znanej sielance Wergiliuszowej proroc-

two o Chrystusie odnaleziono, później w całej mitologii starożytnej opowiadania biblijne znachodzono. I u Żydów jednak istniały obok ksiąg uznanych inne, ukrywane przed tłumem, służące wybranym, uczonym, tak, jak owe mistyczne księgi egipskie, perskie, greckie, owe Hermesy, Orfeusze i t. d., poświęconym, wtajemniczonym w obrządku, nie zaś profanom, dostępne.

Imponowała więc ta literatura wiekiem, obfitością, różnorodnością treści, lecz całości jej nie było sposobu ogarnąć; rozpraszała się ona bowiem w nieskończonych epizodach i wątkach. Wcześniej już starano się o skupianie tych „mitów“ i splatanie ich w jakąś całość, na zachodzie jedną z najznakomitszych prób tego rodzaju był obszerny poemat łaciński w wierszach rymowanych, nieznanego—zwykłym trybem średniowiecznym—autora, powstały w wieku XIII, gdzieś na pograniczu niemiecko-włoskiem. Poemat ten, chociaż dopiero przed dziesięciu laty wydrukowany po raz pierwszy, zaważył w dziejach wszystkich literatur zachodnich, zaważył i w naszej, chociaż dziś biblioteki nasze oryginału łacińskiego nigdzie nie przechowały; próżnością go przynajmniej szukali.

W dziejach literatur średniowiecznych zakątek apokryficzny do ciekawszych należy: uczoność łacińska, język narodowy, naiwna fantazyja i żarliwość religijna składają się na dzieła, nam obce treścią i duchem, niegdyś żywotne i nęcące, jak żadne inne. Śmiertelny cios ich znaczeniu i powadze zadała reformacyja; chociaż już Kościół średniowieczny je osądzał i potępiał, mianowicie w wieku XV, oświeconym, wstydzającym się i wypierającym dawnych bredni; mimo to dopiero racjonalizm wieku XVI zerwał z niemi stanowczo, przynajmniej w warstwach oświeconych. U dołu, między ludem, nie dały się one od razu wyrugować i prasy wytlaczały w językach narodowych coraz nowe edycye i przeróbki, a nowa faza zabłysła dla nich, gdy od zeszłego wieku, od pierwszych większych ich zbiorów autentycznych, obudził się dla nich interes naukowy, gdy zaczęto je badać, jako pomniki i świadectwa zamierchłej przeszłości, gdy ludzono się nawet odnajdywaniem resztek prawdziwej tradycyi pierwotnej. W wieku XVIII istniały one oficjalnie tylko z tego tytułu naukowo-antykwar-skiego; zresztą ich nie dopuszczano, i władza duchowna, która w wie-

ku XVI nie widziała była potrzeby przeszkodzić drukowaniu „Księgi Adamowej“ w Krakowie, ściagała ją teraz i paliła, jako „kacerską.“ Tak to zmieniły się czasy i poglądy; mimo to nie dał sobie lud ulubionej tej literatury wydrzeć całkowicie; i dziś jeszcze drukują dla niego, np. „Ewangelia Nikodemowa“, a owa pieśń—legiendą o Matce Boskiej i „zbojniku“ wychodzi w Piekarach na Szląsku „za pozwoleniem zwierzchności duchownej“¹⁾. Osiemnaste stulecie, zwalczające wszelkie przesady, zabobony, romantykę, wygluzowało najzupełniej z pamięci ogólnej wszelki ślad owej, tak bogatej niegdyś i cenionej, literatury, więc próżnobyśmy szukali jakiegokolwiek o niej wskazówki w naszych dziełach i podręcznikach literackich! rubryka apokryfów dla nich zupełnie do niedawna nie istniała; nawet gdzie się z niemi spotykano rzeczywiście, nie uwzględniano ich bliżej. Lecz obojętność ta, pochodząca z niewiedomości, ustąpić musi.

Ustąpiła ona już wcześniej na Rusi. Wobec wyłącznie religijnego nastroju jej piśmiennictwa dawnego, nie dały się ominąć pomniki religijno fantastyczne, dogmatyczno-powieściowe, zastępujące niemal jedynie cały dział belletrystyczny, bo i powieść—allegorya o Barlaamie i Józafacie (Buddzie), i nawet powieść o bojach Aleksandrowych, na pozór tak świecka, do belletrystyki religijnej w całości należą, albo o nią zarywa; w cyklu Salomonowym granicy między apokryfem a powieścią oznaczyć nawet niepodobna.

W szóstym i siódmym dziesiątku bieżącego stulecia zaczyna się gorliwe zbieranie, porównywanie, i wydawanie odnośnych arcy licznych zabytków, podtrzymywane nadzieją, że uda się odnaleźć między niemi zabytki rodzimej mitologii chrześcijańskiej, oryginalne utwory sekiarzy bułgarskich: nadzieję tę zdawały się usprawiedliwiać słowa dawnych tekstów, wyraźnie o „Księgach Bułgarskich twierdzących, jakoby „pop Jeremja zelgał“. Zawiodły wprawdzie te nadzieje; „babuńskich“ (zabobonnych), „bogomilskich“ żywiołów w apokryfach słowiańskich nie natrafiono prawie żadnych; wszystkie one obcego, greckiego itd. pochodzenia; nawet w dualistycznych kosmogoniach (tworzenie świata przez Boga i dyabła) trudno się ich dopatrywać, skoro dualizm ten znacznie starszy i ogólniejszy, niż bogomilstwo samo.

¹⁾ Tekst jej pełniejszy i poprawniejszy, niż ten, który nasi etnografowie, Kolberg i inni, z ust ludu zapisywali; np. zamiast „w klen jej wysypuje“ (zbojca pieniądze), czytamy tu lepiej „w klin“ itp. Inne odmianki ludowe pozapominały nawet wszelkich nazw osób działających.

Resztki tej kosmogonii ocalały w podaniach ludowych o stworzeniu wilka lub kozy, o tem, jak dyabeł ciało Adama chorobami zaraził i tym podobne.

U nas, jak wspomnieliśmy, apokryfami się nie zajmowano specjalnie, chociaż ślady ich i w piśmiennictwie, nie mówiąc już o tradycji ludowej, natrafiano nieraz. Można się np. po dawnych rękopisach spotykać z „listem Abgara“, „Króla edesseńskiego“, zapraszającego Chrystusa, o którym tyle dobrego słyszał, do siebie, do Edessy, która dla nich obu wystarczy, z mieszkańcami rządными, odmiennymi od nienawistnych żydów, prześladowających Chrystusa. List ten, dowód kornej wiary, za którym chory „Ormianin“, Abgar, zdrowie odzyskał, uchodził za rodzaj amuletu; przepis noszono przy sobie od chorób, niejedna *Silva rerum* go też powtórzyła. Taksamo można po nich natrafiać na opis „postawy Zbawicielowej“, zawarty w liście Rzymianina Lentulusa, urzędnika Herodowego, albo „pisarza Piłatowego“, do „senatu i wszystkiej rady rzymskiej“: tekst polski posiadamy już z początku XV wieku, późniejsze odpisy różnią się, co do języka i szczegółów niektórych, tłumaczone widocznie na nowo. Chociaż jeszcze św. Augustyn zapewniał, że wcale nie wiemy, jakiego On był oblicza, czytamy tutaj np. o włosach (wedle tekstu krakowskiego z r. 1418): „włosy mający jakoby barwę leśnego orzecha do brze uzrzałego, bliz do uszu, a od uszu do ramion, jako warkocze wiszące kędzierzawe, a nieco żółte, mając przedział szród głowy, podług obyczaju Nazarenów... brodę mając dostateczną a długą, jego włosom podobną, a wespół rozdzieloną... (on sam) nigdy płacze, ale się nigdy nie śmieje itd.“ Opis ma dowodzić, że to o nim rzekł psalmista: „nadobniejszy w postawie nad syny ludzkie“ (ps. 44, 3), wystawia go więc ideałem piękności męskiej, jak Marya niewiasty wszystkie przewyższała urodą, wbrew innym dawniejszym podaniom o niepełności oblicza Jego. List Lentulusa kursował tylko w zachodnim kościele, wschodni go nie ma. I długość ciała Zbawiciela najdokładniej znano i wymiar jej przy sobie noszono.

Bardzo między ludem do dziś rozpowszechniony tak zwany list rzymski, czy niebieski, palcem Chrystusa samego, złotemi literami napisany, spadły z nieba na górze św. Michała w Bretanii, wiszący na

powietrzu przed ołtarzem, o święceniu niedzieli; najdawniejszy odpis polski posiadamy z r. 1521, ale między ludem krąży i najnowsze jego (pruskie) druki i odpisy, uchodzące niegdyś za amulety; list ten również powstał na zachodzie i przeszedł wcześniej na wschód.

Oto kilka próbek właściwej literatury apokryficznej; inne posiadamy w dawnych tłumaczeniach ruskich i białoruskich z polskiego. O polskim tekście ewangelii Nikodemowej wspomina książę Kurbski, czyli, jak go u nas nazywano później, Krupski; wizję zagrobową rycerza Tuudala z r. 1149 przerobił wierszem polskim dopiero ks. Bolesławisz w „Echo trąby przeraźliwej“, drukowanej tylokrotnie od r. 1670, gdzie wizję mylnie na r. 1549 przełożono, lecz posiadamy białoruski tekst prozaiczny już z XVI-ego wieku, z polskiego czy czeskiego—obie literatury spadały się wtedy językiem i treścią—wyłożony.

Znowu inne posiadamy w drukach starych, np. w „Istori o świętym Józefie patrycyuszu starego zakonu“ (druk Wietorowski z 1530) czytamy o pannie Asenech, córce egipskiego Futyfarusa, nie chcącej słyszeć o zamęściu, lecz zhołdowanej przez Józefa, który pocałunku od niej, jako poganki, nie przyjął i tak ją nawrócił i za żonę pojął. Nieco później (r. 1543) drukuje Puszman „Historię bardzo cudną o stworzeniu nieba i ziemi“, która pod tym złudnym tytułem mieści, prócz kilku pierwszych rozdziałów z Księgi rodzaju, ów prastary apokryf o Adamie i Ewie, zwany w tekstach greckich „apokaliptą Mojżesza“, objawieniem od Boga. Jeszcze później wyłożył Stawicki z łacińskiego zwykłego tekstu eschatologiczne proroctwo Metodyusza św. wraz z wykładem w pięciu rozdziałach itd.

Lecz nie zatrzymując się dłużej przy tych wątkach apokryficznych, chcąc tylko wykazać, że i co do nich nasza literatura dawna ubogą nie była sama i inne jeszcze żywiła, zwracamy się ku głównemu zrębowi apokryfów, o Najświętszej Pannie i Chrystusie Panu.

Wykażemy zarazem na tym przykładzie, jak bogatą była ta nasza literatura: zaczęła się ona, co prawda, późno, bo późno cały naród z innymi chrześcijańskimi się zrzeszył, lecz już wiek XV starał się o zrównanie z kulturą starszej braci, z jakim powodzeniem, dowodzi choćby ówczesna szkoła główna krakowska, a XVI stulecie urzeczywistnia je zupełnie.

Bogata spuścizna przodków marniała, gdy z zanikiem poczucia obywatelskiego, ładu wewnątrz i powagi zewnątrz, upadało znaczenie polityczne, pogarszały się stosunki ekonomiczne, unieruchomiła się i zamierała oświata. Na dawne świetniejsze wieki umysłowości i jej początków padają coraz nowe światła, prostują się nasze

o nich wyobrażenia, wypełniają się luki i każde odkrycie zabytków literackich stanowi nową pozycję w dziejach naszej kultury.

Nowe takie odkrycie, a raczej stare, lecz dopiero teraz zużytkowane, spowodowało też nas do kreślenia tego szkicu. Zawdzięczamy je niez mordowanej pracy i dbałości kanonika grecko-katolickiego we Lwowie, ks. Ant. Petruszewicza, archeologa, historyka, zbieracza, który przed laty odnośny rękopis polski w bibliotece przemyskiej wertował i liczne wypiski (dla słownika) z niego poczynił; rękopis zaginął później; wypiski oddał autor nam do użytkowania. Na innym miejscu wyczerpujemy ich zawartość; tutaj, splatając je z pomnikami pokrewnej treści, odtwarzamy w głównych rysach, co u nas na przełomie od czasów średnich do nowych w tej materii, będącej niegdys wagi pierwszorzędnej, obiegało, dowodząc równocześnie bogactwa i obfitości danej literatury i na takim polu, o którym do niedawna mało co słyhać było.

Wspominaliśmy wyżej, że późniejsze średnio-wiecze starało się skupiać skarb legend o N. Panuie i o Chrystusie w nieprzerwaną całość; drogę wskazało owo dzieło łacińskie, żywot metryczny Maryi dziewicy i Zbawiciela. W samych Niemczech znalazło się aż czterech „poetów“, którzy dzieło łacińskie w wiersze niemieckie przelewali; Kartuzyanin Filip, gorliwym chwalcom Maryi, Krzyżakom, własne „Marienleben“ poświęcający, odznaczył się między nimi najbardziej. Przerabiali ów żywot łaciński i Włosi; przerobił go, jak i oni, prozą, nieznanym Polak na przełomie nowej doby.

Postanowił on sobie wyczerpać, dla kobiet i dla świeckich, nie znających łaciny, nie mających przystępu do żadnej ksiąźnicy, uniwersyteckiej, klasztornej czy kapitulnej, zazdroszczających „żakom“ możliwości czerpania ze źródeł, wszystko, co o żywocie Matki i Syna, bez wdawania się w dogmatyczne zaciekania i subtelności scholastyczne, zestawić-by się dało ku zbudowaniu, nauczaniu i rozrywce pobożnego—inne go owe czasy nie znały—czytelnika, który łaknie po troskach, zajęciach i zabawach świeckich, w obawie o zbawienie duszne, posilnego pokarmu, krzepiącego serce i umysł, naprowadzającego na dalsze rozmyślanie, na skruchę i pokorę, na ufność w miłosierdzie Boskie. Przedstawić we wszystkich szczegółach zawód ziemski Matki

i Syna, objaśnić wszystkie ciekawsze pytanie, czyż mogło być zadanie wdzięczniejsze i świętsze?

I inni krząpali się równocześnie około podobnego dzieła: z polecenia bogobojnej córki Kazimierza Jagiellończyka, Elżbiety, zmarłej r. 1516, podjął się takiego ks. Opeć, ale on nie sięgnął zbyt daleko; wziął ulubiony, w setkach odpisów i druków obiegający, traktat św. Bonawentury, doktora serafickiego, o żywocie Chrystusowym, i popuszczał, coby czytelnikowi polskiemu trudniejszym i cikliwszem się wydawało, bo Polak jeszcze w długim czytaniu nie smakował, co i Rey stwierdzał, a pododawał, prócz piosnek nabożnych, ustępy z owego metrycznego żywota łacińskiego Najśw. Panny Maryi i stworzył pierwsze obszerne dzieło polskie, które zaszczycono drukiem i ponawianiami aż do naszych czasów wydaniem: zdaje się zresztą, że ks. Opeć czerpał wprost z łacińskich rymów, nie zaś z przeróbki polskiej. Na czoło druków polskich wystawiamy więc dwa apokryfy: „Rozmowy, które miał król Salomon mądry z Marchołem grubym“ (z r. 1521) wkraczają w dziedzinę apokryfu starozakonnego, a najpiękniejsze karty opeciowego Żywota Chrystusowego (a potem wydanego w jednym, 1522 roku, u Wietora i Hallera), z apokryfów o narodzeniu, młodości i wniebowzięciu Panny Maryi przejęto. Już dlatego nie uchodzi działu apokryfów w literaturze polskiej pomijać, jak to dotąd czyniono.

Lecz faktów takich jest więcej, a do najciekawszych należy owo obszerne, przemyskie „Rozmyślanie o żywocie Pana Jezusa.“

Księga ta szczęścia nie miała; już kopista przemyskiego jej egzemplarza miał tylko dwie trzecie oryginału przed sobą i zawarł pracę swą na str. 845 uwagą „iż tam końca niema“; dziś i przemyski, niezupełny więc (całość liczyłaby jakie 1200 str. niemal) egzemplarz zawieruszył się. Jest jeszcze drugi egzemplarz, ale z niego ocalało kilka kart początkowych, wydanych dawno przez Maciejowskiego, niewiedzącego, z jakiej to całości urywek ów pochodzi; fragment Maciejowskiego (Czartoryskich) zgadza się dosłownie z tekstem przemyskim. Nieszczególny i tytuł dzieła, obejmującego nie rozmyślanie, medytacje i modlitwy, lecz żywot Maryi i jej Syna; nieszczególny i styl autora, chociaż mu prostoty i pewnego stąd wdzięku odmówić nie można (Opeć pisze poprawniej), liczył on widocznie na wcale naiwnych czytelników, jak to choćby z tej próbki poznać można: „począł się modlić rzekąc ojcze! ojcze! i chciał miły Jezus to słowo dwoje (dwa razy) rzec, ojcze, ojcze—jako my mówimy po polsku, kiedy kogo pilno upominamy: a bracie! bracie! możesz to prze mnie uczynić.“ Raz przytacza przysłowie ludowe: „i mógł miły Chrystus rzec onę „przymo-

wę“ pospólnego luda: „prawda przebija głowę, a dobry uczynek szyję łamie.”

Styl rozwlekły, nie zawsze jasny, walczący z subtelnościami łaciny, nabiera tylko miejscami większej siły, np. w apostrofie do Jezusa cierpiącego: „o Jezusie, snadź ci mierzka w oczu, ba pokrzep się im, dobry druże! takeś omdlał, jako by (byś) nie miał Boga Ojca, ba pochwaci się, ale nie daj się sromocić“. Nie brak rozmaitych wykończeń w słowach i myślach: byle jaka terminologia abstrakcyjna sprawia autorowi naszemu wielkie trudności, np. mówiąc o tem, że Jezus posadził Judasza między sobą a Maryą, twierdzi: „bacz, tu się przemienia nauka filozofowa, iż obopólne rzeczy są podlejsze, a pośrodek celniejsze, owszeję tu musi być przeciwno, bo tu jedno Krystus jest studnia wszęj prawdy, z jednej krainy, z drugiej krainy jest Matka Jezukrystusowa, studnia wszęj miłości.“

Braki te nagradza autor ogromem swej pracy. Gdy inni przed i po nim, naprzykład Opeć, zadawali się głównie jednym źródłem, starał on się ogarnąć ich jak najwięcej. Opuszczał naprzykład rymowany tekst łaciński, wszystko niemal, o czem ewangelie kanoniczne prawią; anonim nasz przeciwnie, wciągnął najsumienniej całkowitą treść ewangeliczną i wyczerpał ją tak, że Rozmyślanie jego może zarazem uchodzić za najdawniejszy całkowity przekład ewangeliczny, jaki dotąd posiadamy (z dawniejszych ocalały bowiem tylko nieznaczne szczątki).

Różni się tem jego praca wybitnie od każdej podobnej. Spółczesne literatury: niemiecka, włoska lub francuska, posiadają liczne żywoty Chrystusowe, lecz te ograniczają się opowiadaniem o narodzeniu Maryi i Syna i przechodzą niezwłocznie do Męki, opuszczając treść ewangeliczną, jako znaną. Jeśli nasz autor uczynił inaczej, czy to nie dlatego, że ewangelii polskich było zbyt mało?

Najzawołanszy komentarz pisma św. zawdzięczały średnie wieki niezmordowanej pracy „pożeracza“ (ksiąg, Comestora) Piotra, Francuza, cytowany zwykle jako „Historia ecclesiastica.“ Ponieważ my nie mieliśmy jego przekładu (mieli go np. Czesi od dawna), przeto wciągnął nasz autor treść „Comestora“ do swego dzieła, wybrawszy z niego liczne objaśnienia nazw, osób i miejscowości, z ową naiwną etymologią średniowieczną, wywodzącą wszelkie słowa od przypadkowego podobieństwa brzmień, np. pies--canis, nazwany od tego, że nie śpiewa, canit, lucus a non lucendo; tak czytamy w rozmyślaniu, że baranek, agnus, nazwany ab agnoscendo — od poznawania,

„bo w wielkiej trzodzie jednym blekanim (beczeniem) „pozna macierz“. Wedle Comestora opowiada on zawiłą historię wszystkich Herodów, objaśnia zwyczaje i urządzenia żydowskie itd. A czytał on i korzystał prócz tego z innych jeszcze dzieł.

Legenda o N. Pannie poczyna od opisu świętobliwego żywota rodziców jej w Nazarecie. Joachim i Anna dzielili dochody swe między ubogich a kościół, trzecią częśćkę sobie zachowując, nie mogli tylko wybłągać żadnego potomstwa i narazili się przez to na ów despekt w kościele, iż kapłan, Izachar, ofiarę Joakimową odrzucił. Zasmucona głęboko para rozeszła się; Joakim na puszczy, nie znosząc dalej widoku ludzkiego, modlił się i płakał, toż samo Anna w domu czyniła.

Następuje jedna z najtkliwszych scen wszystkich apokryfów: „bezdziatkini“ wyszedłszy do ogrodu dla modlitwy, patrzy, jak drzewa i ziemia płody wydają, jak ptaki „gniazda niosą, gdzie-by swe dziadki mieli... ale biada mnie nędznej, czemu się urodziła, kiedym ja sama oddalona tego daru wielebneho... jednoż ja mimo inny lud niepłodna, a przetom wszemu ludu przeciwna“. Ale Bóg wysłuchał prośby gorące i zesłał anioła (Gabryela) do Joakima, zwiastującego mu narodzenie Maryi, a potem do Anny z tem samem poselstwem. Małżonkowie pocieszeni spotykają się w Jeruzalem u złotej bramy i wracają do domu; tu poczęła Anna płód wielebny. Cały ten epizod, opracowany w formie dramatycznej, jako misteryum, posiadamy z wieku XVI w wydrukowanej niegdyś (r. 1841) przez Kraszewskiego „Komedyi o niepłodności Anny św. z Joachimem, mężem jej, których w dziewiędziesiąt lat uraczył Pan Bóg potomstwem, bł. Panną Maryą, między córkami Syońskimi nigdy nieporównaną“; lecz Komedya ta w szczegóły apokryficzne mało bogata: długie mowy małżonków i kapłana i sceny między służącymi Baskanią i Sarksem, na poły komiczne, wypełniają ją głównie; myśli i słowa naiwne, pełne anachronizmów, jak w Rejowym Żywocie Józefa, nie raziły słuchaczów, w dzień św. Anny, bardzo w Polsce czczonej, na widowisko zgromadzonych.

Po niepokalonym poczęciu Maryi¹⁾ i urodzeniu jej, nietylko pie-
niem Joachima i Anny uroczyście i wdzięcznie przyjętem, lecz wita-
nem przez samą przyrodę („słońce tego dnia tyle dwukroć świeciło
niżli innego dnia“, a miesiąc tej nocy świecił jak słońce samo, „bo ona
mgła, która miesiąc zastąpi, iż nie świeci jakoinsze gwiazdy, tej nocy
nie ukazała się“) przedstawili rodzice Maryę w kościele, ofiarując
za nią jagniątko i synogarliczkę i wychowali ją w Nazarecie, gdzie
Anna św., „nie tako, jako inne panny (zam. panie) czynią, iż szukają
innych, obcych mam (mamek), ale swe dzieciątko swemi piersiami
karmiła“; i pieluszki dzieciątka były zawsze czyste. Po trzech la-
tach ofiarowali ją rodzice wedle ślubu swego w kościele Salomonow-
wym: dzieciątko wbiegło bez pomocy obcej po piętnastu stopniach
i skłaniało ku ofercie rączki i główkę, jakby ją samo ofiarować chcia-
ło, ku zdziwieniu i radości obecnych; kapłani nakazali, aby skoro
dziecię siedmiu lat dorośnie, oddali je rodzice do kościoła, do liczby
dwunastu panien. służących aż do zamążpójścia Bogu i Kościołowi,
co się i stało.

Marya, przebywając w Kościele Salomonowym, urodą ciała i du-
szy wszystkie towarzyski celowała, przeszła je nauką (psalmy Da-
widowe umiała na pamięć) i obyczajami; od niej-to wyszedł zwyczaj,
chowany w chrześcijaństwie, pozdrawiania się przez „Deogratias“;
czas całodzienny podzieliła między pracą a modlitwą, rzadko wychod-
ząc. Jeszcze rzadziej się śmiejąc, samym widokiem swym ubogich
i chorych pocieszając, za wsze pragnęła służyć przyszłej matce Messyasa;
przy udzielaniu robót dla panien jej się dostała losem „powłoka.“

¹⁾ Wierzoło w nie w wieku XIII, gdy rymowany żywot łaciński po-
wstawał, jeszcze całkiem, tak jak w XV i XVI wieku; dlatego czytamy
w Rozmyślanii o niem tylko: „kiedyż to ciało święte było wyobrażono w żywo-
cie jej matki, duch święty zstąpił i oświecił je, a tako oczyścił od pierworod-
nego i nieczystego grzechu:“ więc mniej więcej to samo, co św. Bernard
o tej materii trzymał. Lecz w pieśni o św. Annie z końca XV wieku czyta-
my już co innego: „Falszywie, niedobrze mówią, którzy cudną pannę mażą,
pirwym grzechem niezmazaną, bo przez Boga zachowaną.“ Między jednym
a drugim ustępem przewinęła się bowiem owa słynna polemika Dominikanów
a Franciszkanów o dogmat poczęcia N. M. P., rozstrzygnięta na korzyść
Franciszkanów przez concylium Bazylejskie i Sykstusa IV. Najobszerniej-
szym, najdawniejszym i najciekawszym okazem owej polemiki u nas są kaza-
nia ks. Paterka z początku XVI, których jednak dotąd nikt z tego punktu nie
studycował.

purpura królewska, do wyszywania, i odtąd zwano ją najpierw „królową“; oł aniołów pokarm niebieski bierała, ziemski ubogim odając.

Autor Rozmyślania wtrąca tu legendę, nieznaną skądindąd: przygodziło się, iż Marya miała umiatać kościół; zamysłona w pobożnem rozpamiętywaniu spóźniła się nieco i tem spieszniej poczęła potem umiatać; w pośpiechu zebrała proch w podolek, gdy nagle wszedł kapłan; bojąc się, „aby jej świętych nóg nie obejrzał“, spuściła podolek, rozsula proch na ziemię; już chciał ją o to kapłan zgromić, gdy ujrzał światłość wielką około niej,—a może się i proch w różę przemienił, jak w podobnym cudzie św. Elżbiety, nie posiadając bowiem całego tekstu, domyślamy się szczegółów sami. Tak to nie przestawała fantazya coraz nowego tworzenia wedle wzorów znanych.

Minęły wreszcie najszcześniejsze, najspokojniejsze lata dziecinne; dorastające panny wydawano za znakomitszych młodzieńców; liczni starali się o rękę Maryi i nakazali jej kapłani, aby wybrała z nich jednego „ublubieńca i męża“. Marya, poślubiwszy życie Bogu—ideał czystości chrześcijańskiej, wprowadzony tu wbrew historyi i pojęciom żydowskiemu—wzdraga się tego jak najusilniej, broni swej sprawy zadziwiającą wymową i „doliczaniem“ (dowodzeniem) swem porusza kapłanów, tem bardziej, gdy jeden z żydów ujął się za nią, twierdząc, że ślub jej ważny, skoro ojciec nie sprzeciwił się jemu, i że nie wpadnie ona w zakonną klątwę Mojżeszową. Wahający się kapłani ustanawiają post trzechdniowy, aby ubłagać u Pana wskazówkę. i słyszą głos w świątyni, nakazujący zebrać różdżki: czyja zakwitnie i spocznie na niej gołąb, ten zostanie mężem Maryi. Wiele mężczyzn młodych i starych przyszło, lecz do trzeciego dnia cud nie nastąpił; tedy znowu głos boski w kościele usłyszeli, wskazujący na Józefa, syna Jakóbowego, w Betleemie mieszkającego, pobożnego, miłosiernego dla każdego, kto prze Bóg prosił, trudniącego się ciesielką (nie kowalstwem, jak w średnich wiekach dla dwuznaczności łacińskiego faber—cieśla i kowal—stałe twierdzono). Starość jego i myśl ku rzeczom boskim zwrócona wykluczały go zgóry, lecz gdy się teraz zjawić musiał, zakwitła natychmiast różdżka jego i sfrunął na nią gołąbek—duch św.; nakazali więc kapłani, aby pojął Maryę. Przemowę jego i Maryi, wzdragających się małżeństwa, uciekających się do Boga, podaje i Opeć w całości; pociesza ich anioł nawzajem. Po zaręczynach odkładają kapłani ślub sam na trzy miesiące wedle zwyczaju dawnego; Józef udaje się do Betlehemu, aby naprawił potrzeby domowe ku świątbie przyszłej; Marya przebywa tymczasem w Nazare-

cie w domu ojcowskim, z siedmiu pannami, świadczącemi o jej niepokalanym żywocie; tu się powtarza traf z purpurą i nawiedzają ją aniołowie: gdy raz, wyszedłszy z pannami, od nich się nieco odłączyła, zwiastował jej anioł u studni przyszłe wywyższenie. Po raz wtóry zwiastował jej Gabryel, gdy, w komnacie klecząc, Izajasza prorocstwo czytała; poczem uchem poczęła Marya Syna Bożego.

Gdy Józef, wróciwszy do Nazaretu po dziewicę, zdaną jego opiece, ujrzał ją brzemienną, frasował się bardzo, mimo świadectwa owych panien, a warował się najsilniej tego, aby się to nie zjawilo, lecz dowiedzieli się o tem kapłani i oskarżyli ich przed ludem o złamanie czystości przedślubnej. Oboje się zaparli i kazal im kapłan zwykłą próbą sądową o cudzołóstwo napić się wody klątwej i obejść siedem razy ołtarz, „kto (bowiem tej wody) ukusił łżąc i obszedł siedem ołtarzów (!), Bóg dawał niektóre znamię“, lecz znamię tym razem nie nastąpiło i oczyszczono ich od zarzutu. W drodze do Betlehemu miała Marya widzenie: „dwój lud widzę przede mną, jeden płaczący a drugi weselący się“. Józef, zdziwiony płonną mową, ofuknął ją: „siedź, dzierz się na zwierzęciu, a nie mów próżnych słów“; lecz pouczył go anioł, że lud płaczący wydziedziczonych od Boga żydów, a weselący się powołanych pogan oznacza. Gdy się godzina rodów zbliżała, „wyszedł Józef bardzo rączo, chcąc wezwać k temu baby albo panie, iżby podług obyczaju przyjrzały porodzenia“; lecz nim on z Salomeą i Gebal powrócił, powila Marya bokiem Syna Bożego; gdy „babka“ w nie naruszoność dziewictwa nie uwierzyła i sama się przekonać chciała, uschła jej ręka i po kornej modlitwie nowym cudem do dawnego zdrowia wróciła; z ustępem tym po polsku spotykamy się już w kazaniach gnieźnieńskich XVI-ego wieku. Gdy Jezusa w żłobeczku ułożono, piał Józef pienia o narodzeniu, wyliczając prefiguracye starozakonne: węża miedzianego na puszczy (syn Boży prze nas „oplcony“), rosę Gedeonową itd.

Cudowi temu towarzyszyły inne po całej ziemi: w Korabiu N-ego, osiadłym na górach „armiańskich“, zakwitły trzy drzewa na cześć trójcy; w Rzymie obaczył cesarz Augustus na niebie dziewicę z dzieciątkiem, i gdy nikt tego „zagadnąć niemógł“, Sybilla objaśniła znamię i kazal cesarz pozrzucać swe posągi; runęła tu świątynia na miejscu dzisiejszej Ara Coeli, która miała stać, póki nie porodzi dziewica; na ziemię spadł miód i rzeki stanęły na trzy godziny; w Rusi pogańskiej posąg niewieści z gradu się ulepił (wspomnieliśmy wyżej o owej Złotej Babie); trzy słońca spłynęły w jedno, i tam dalej.

Te i podobne cuda dziwaćne, uważane jako prefiguracye; głowa teologii średniowiecznej, sam Tomasz z Akwinu przyznawał, że możliwość znamion podobnych odpierać się nie daje.

Historya trzech „króli“ była nowem polem nietylko dla twórczej fantazyi, lecz i dla rozmieszczania ciekawych szczegółów z geografii i etnografii dalekich stron wschodnich. Wszystko, co o tem obiegalo, w Kolonii (mieszczącej relikwie Trzech Króli), w Awinionie i indziej, z relacyi misyjonarzy franciszkańskich i z tradycyi sięgających jeszcze wojen krzyżowych, zebrał karmelita Niemiec, Jan (z Hildesheimu, zmarły r. 1375 jako przeor w Marienau), na wezwanie biskupa Monasterskiego, w dziele łacińskiem, rozpowszechnionem po całej Europie w niezliczonych rękopisach, drukach, tłómaczeniach i przeróbkach. Mnóstwo szczegółów apokryficznych o koronie cieniowej, trzydziestu srebrnikach, jabłku złotem, które się za dotknięciem Dzieciątka w proch rozsypało i inne każą nam dzieło to do legend apokryficznych zaliczać, chociaż inne ustępy, o sektach wschodnich, o życiu na Wschodzie itd., raczej-by z opisami podróży wschodnich, Marka Pola, Mandewila i innych zestawiać należało. Autor łacińskich rymów jeszcze naturalnie nie znał dzieła tego, znał je zato autor „Rozmyślenia,“ chociaż z niego nie korzystał, obawiając się pewnie, aby od właściwej materyi za daleko nie odbiegł.

Za czasów autora „Rozmyślenia“ istniała bowiem Historya Trzech Króli Jana z Hildesheimu o czterdziestu kilku rozdziałach w tłómaczeniu polskiem, może nawet dwojakim. Jedno z nich, krótsze i gorsze, zawiera odpis, dokonany r. 1544 ręką Wawrzyńca (Pełki?) z Łaska; drugie tłómaczenie, obfitsze i dokładniejsze, posiadamy już nie w brzmieniu polskiem, lecz w kilku równobrzmiących odpisach ruskich i białoruskich, sięgających nawet XV-ego wieku, dokonanych z polskiego, nie wprost z łaciny, jak mylnie twierdzono¹⁾.

¹⁾ Dowód, że tekst ruski polega na polskim, nie na łacińskim, jak p. Kar-ski twierdził, znajdujemy naprzykład w starożytnym i arcyzadkiem słowie polskiem uścieć (lśnić się, pokrewnem z jutrem i jutrzeńką), które

„Historya,“ rzecz bardzo ciekawa, dla mnóstwa naiwnych rysów i opowiadań drobnych, zajęła mocno Goethego, który jej odnowienie dla ludu polecał; nasze polskie tłumaczenie rysów potocznych i od siebie dodaje: mówiąc o karłach np., wspomina „jako Michał komornik księży“; albo gdy prawi o nawiedzaniu przez przyjaciół, niby położnicy, popadłego u króla w niełaskę, „tedy na onym łożu będzie leżał tym obyczajem jako tu w tych stronach u nas panie ziemianki albo mieszczyki bogate, albo te panie starościne, wojewodzine, a tako do niego przychodzą wszyscy jego przyjaciele itd.“

Znał więc niechybnie autor „Rozmyślenia“ „Historję Trzech Króli,“ opis gwiazdy i jej nadprzyrodzonego biegu, podróży szybkiej, powrotu powolnego, dziewiczego życia i wiary głębokiej Trzech Króli, ich krajów, grobów, relikwii, lecz z niej nie korzystał, tylko między cudami w Boże Narodzenie wymienił, idąc za rymami łacińskimi, znamiona, wprowadzające Trzech Króli w podziemie, a prefigurujące przyszłego Zbawiciela: jednemu z nich gąska wylęła z jaj lwa i jagnię; drugiemu wydała różdżka balsamowa kwiat nieznanym z mieszkaniem malutkim, który się rozdyma, aż pękł w końcu i wyleciał z niego ptaszek, niby gołąbek, i o synu Bożym przepowiedział (stąd pochodzi ów motyw pieśni ludowej, od którego zaczęliśmy; trzeciemu wreszcie urodził się syn, żył dni trzydzieści i trzy, opowiadając chwałę Bożą i Syna.

Gdy tak fantazyja łacinnika i Polaka w ustępie o pastuszkach, Trzech Królach, obrzezaniu, oczyszczeniu, śnie Józefowym i przestrodze anioła, nie wysilając się, słowa św. Mateusza omawiała, sama ucieczka i pobyt w Egipcie, zbyte w ewangelii kilku zdaniem, w najpiękniejsze epizody się rozrastały. Uciążliwość czterdziestodniowej podróży dla rodziny świętej i jej orszaku, z czterech sług i tyłuż bydła, znoje i burze, niebezpieczeństwa, grożące od zwierząt drapieżnych i drapieżniejszych jeszcze ludzi, wystawiono tylko na to, aby na tle takim cudowność tem bardziej się rozigrała; smoki, przerażające dorosłych, uszły kornie przed dzieciątkiem w jaskinie; zbiegły się zewsząd i towarzyszyły i niby drogę wskazywały „łosiowie, lwowie, niedźwiedziowie, ząbrowie, łanie, jelenie, turowie, słoniowie, sarny, liszki, małpy, wiley, gronostajowie, rysiowie, leśne i polne zwierzęta“; łanie podawały wymiona dla karmienia dzieciątka; gdy nie mieli wody i usychali od pragnienia, Jezusek „uczynił studnię pal-

pisarz ruski tylko z tekstu polskiego mógł przejąć, nie znając go weale w języku własnym.

cem i wywódl wodę;" kazał palmie schylić się, owoce matce podać; drzewa w lesie naginały kornie gałęzie; epizod o zbójniku znamy już z legendy ludowej; ptactwo głosami człowieczemi Zbawiciela witało; w końcu, gdy się mimo wszystkie cuda nadto uprzykrzyła, skrócił anioł drogę dwudziestu trzech dni na jednodniową.

W Egipcie mnożą się cuda: rodzina przenajświętsza, nie znalazłszy gospody w mieście, nocuje w świątyni bałwańskiej; 365 bałwanów jej pospadały i porozbijały się: mieszkańcy drżą przed gniewem bogów, lecz książę ich, Afrodyzysusz, uznaje Chrystusa: o nim przepowiadały nam wiersze Sybilline, a opowiadali zeszłego roku trzej królowie, tędy jadący. Ustęp nieco podobny, lecz wiązany z Persją i jej czarnoksiężnikami (Trzema Królami), odgrywa w tradycyi wschodniej znaczną rolę; istniejąc od niepamiętnych wieków, pomnik polemiki chrześcijańsko żydowskiej, chociaż niedawno dopiero całkowity tekst grecki, z którego słowiański skracano, wydano. Cały epizod powstał w redakcyi zachodniej dla zastosowania proroctwa Izajaszowego o poruszeniu bóstw egipskich do Chrystusa.

Siedem lat w Egipcie spłynęło bardzo spokojnie; Józef, opowiedziawszy sąsiadom o przyczynach ucieczki, żywił się ciesielstwem, kupił łan roli i orał; Marya „powłoki bisiorem oprawiała“ i tkala; zresztą dodawali sąsiedzi chętnie wszystkich potrzeb, a w ostatecznym razie wyręczał Jezus, i tak, gdy przyprowadził Józef na wieczerną gości, a chlebów Maryi zabrakło, przynosił Jezus coraz inne, coraz lepszego smaku i zapachu.

Ułomności wieku dziecięcego on nie doświadczał; natychmiast stanął prosto i począł sam chodzić; inne dzieci „szepłunią“, lecz Jezus, mając lat półtora, „nie tako po lekku wyknał mówić, bo natychmiast spełna każde słowo mówił, a w żadnym nie wątpił“; w dwa lata odstawion od piersi, dobrowolnie sam nie pożywał jej więcej; od lat dziesięciu już nie śmiał się nigdy, ani po dziecinnemu postępował—wszystko jawne kacerstwa, jak i cuda, dokonane w Egipcie a urobione na modłę późniejszych; uchodzi jeszcze, że dziatwa egipska w zabawach ogłasza Jezusa królem, koronuje go i hołduje mu; ale że go synem Jowisza udawano, przypomina formalnie jakiś prastary synkretyzm pogański.

Wreszcie kończy się sielanka egipska; Józef wyrusza napowrót za wezwaniem anielskiem, ku wielkiemu żalowi sąsiadów, napominając ich, by rzucili służbę bałwańską, co tak skutkuje, że oni posąg Maryi ulewają na pamięć icześć ich. Wypadało-by teraz za autorem „Rozmyślań“ przytoczyć dzieje nieszczęść Herodowych, które go za rzeź nie-

winiątek w rodzinie i na własnym ciele dotykały, lecz epizod ten nie apokryficzny, tylko historyczny, oparty na szczegółach u Flawiusza, więc go pomijamy.

Po uciążliwej podróży Przenajświętsza Rodzina wraca do Nazaretu, gdzie ojciec, Joachim, już był umarł, a Anna po raz wtóry za mąż wyszła (pomysł dla rozwikłania genealogii różnych Maryi Pisma świętego i usunięcia rodzeństwa Jezusowego wygodny); tu rósł Jezus piękny nad syny ludzkie, i kochali się w Jego krasie, w jego obyczajach głównie dzieci, zwące go paniczem, obierające królem. Inni, starsi, zazdrościli i gniewali się, zabraniali dzieciom bawienia się z Nim, chowali je przed nim i w piecu (stąd ów epizod o żydziejach - prosiętach), pomawiali Go, że się w Egipcie czarnoksiężstwa wyuczył. Fantazyja, na taki trop raz wprowadzona, wymyślała jeszcze w XV wieku coraz nowe cuda, uzupełniające moc Chrystusową nad wszystkimi żywiołami. Przytoczmyż choć dwa w najwinnym brzmieniu oryginału polskiego: „Kiedy miły Jezus swej Matce posługował, wezwawszy Go. posłała po ogień; tedy On, wzięwszy węgla w łono swej sukni, poniósł. Chcąc także inne dzieci uczynić, i zeżgły sobie suknie, a nie śmiały do domu, ale stały na ulicy, płacząc a rzekąc, iż sam czarownik kazał nam, byśmy brali ogień w suknie, i zeżgliśmy suknie sobie. Bieżawszy ony i skarżyły Józefowi i Maryi. A miły Jezus kazał im suknie zwlec, i uczynił im zasie całe, jako pirwej. — Kiedy miły Jezus nosił wodę swej miłej Matce, którąż Ona chciała pić, tak zawiesiwszy naczynie na promieniu słonecznym, i ciągnął za sobą słońce, jako powróż, z tem wiadrem“. Innym razem rozbija dzbanek, lub dzieci mu go tłuką, więc czerpie wodę w podolek odzienia i przynosi do domu; dzieci tłuką również dzbanki, lecz ich podolki przemakają, one w płacz, Jezus zbiera skorupy, żegna je, każe im się zlepiać i oddaje dzbanki całe. Zioła gorzkie, które dla Matki na kapustę uzbierał, czyni słodkimi; pomagając w ciesielstwie, drzewo, które sługa nadto krótko uciął, do miary rozciąga; lepi w sobotę siedem ptaszków z gliny, a gdy Żyd Go o znieważenie sabatu gromił, uleciały owe ptaszki na kłaśnięcie Jego dłoni. Wskrzeszenia zmarłych tworzą całą rubrykę: mały Zenon, biegnąc nieopatrznie, spadł z góry i zabił się, Żydzi okrzyczeli Jezusa, że to On go trącił umyślnie; Marya pyta Go,

choć wie, że to potwarz, lecz Jezus powołuje trupa do życia dla zeznania prawdy, i wskrzeszony Zenon uznaje Go Synem Bożym. Żyd rozrzucił Mu sadzaweczkę, w którą rybom dla połowu wchodzić kazał, z gniewu, że sabatu nie przestrzegal; lecz zgromiony Żyd upadł nieżywy, na błagania Maryi i Józefa, napastowanych od gminu dla tego zwodziciela i mordercy, trącił go Jezus nogą i do życia powrócił, a on wyznał swą winę. Siły swej udziela Jezus nawet ojczymowi: w imię jego wskrzesza Józef zmarłego Żyda Józefa, który Rodzinie wiele dobrego świadczył. Rodzice oddają Chłopca do warsztatu i do szkoły: u farbiarza rzuca On wszystkie sukna do jednego kotła, a mimo to wyjmuje je w rozmaitych barwach; w szkole bije Go mistrz, lecz nie umie sam rozwiązać pytań, jakie mu Uczeń (o mistycznym znaczeniu liter) zadaje, i wysyła Go przerażony ze szkoły, lub umiera, ukarany za popędliwość. I piastun obchodzi się z Nim srożej, niż wypadło, bierze Go za ucho, gromi niewinnego. Ludzie Go nie poznali, za to hołdują Mu nieme stworzenia: lwy z puszczy łaszą się u nóg Jego, On wchodzi do ich jaskini, i otoczony ich gromadą, wraca do Nazaretu ku ogólnemu przerażeniu, poczem lwy rozpuszcza i szkodzić ludziom im zakazuje: i tę legendę zna lud do dzisiaj.

Tak nadchodzą lata dojrzałości, pora opowiedzieć coś o wyglądzie i trybie życia; pomijamy najszczegółowsze opisywanie całego ciała, nawet i nozdrzy; „nieco był szary od gorącości słonecznej“; nie chorował nigdy; jadł, nie przebierając, ale tylko „maluczko“, i środy a piątki (po katolicku) stale pościł. A zajęcia? Chadzał do synagogi, odwiedzał krewniaka, Jana na puszczy, i z nim przebywał jakiś czas; sam bawił na puszczy, Anieli Mu służyli; działał cuda: kazał lwu, aby płaczącemu ojcu wrócił porwane dziecko; uleczył strzelca, którego wąż ujadł, że od jadu ociekł; innego, któremu, gdy spał, wąż do ust wlażł; wykladał Matce tajemnicę Odkupienia. Na pytanie, skąd się to wszystko wie, miano naiwną odpowiedź: nie można myśleć, żeby tego nie było, musiał przecież Syn z Matką rozmawiać, więc o czenie innym mogli oni rozprawić? Z ewangelii kanonicznej wtrącono tu epizod o Jezusie między mistrzami w Jerozolimie, lecz apokryfy wiedzą i treść pytań, zadawanych chłopięciu ze wszystkich gałęzi wiedzy ówczesnej, dowodzących Jego uczoneści nadzwyczajnej.

Dobiliśmy nakoniec do trzydziestego roku Jezusowego, więc ustąpią teraz apokryfy miejsca ewangeliiom; żegnając niemal pobożnego słuchacza, opowiadają one tylko o cudach przy Chrście w Jordanie: i rzeka bowiem stanęła, i ryby hołdowały Zbawicielowi; na puszczy hołdowały tak samo dzikie zwierzęta; wtrącają wreszcie parę epizodów. Listowanie z Abgarem wspomnieliśmy wyżej: Jezus nie może sam do niego przybyć, lecz po wniebowstąpieniu przyśle ucznia

który wierzącego uzdrowi; rzeczywiście, rusza Tadeusz do Edessy, poznany po cudach, uzdrawia króla bez ziela i lekarstw, jednym słowem, nie przyjmując żadnych darów: dla Chrystusa opuściliśmy własne mienie, więc na cóż nam obcego? Abgar wyznaje, że gdyby się nie był Rzymian obawiał, był-by wszystkich Żydów dla pomszczenia śmierci Zbawiciela pozabijał, a ziemię spustoszył — podobne słowa wkładają w kilka wieków później frankońskiemu Chłodwigowi w usta, a powtórzył je Kirkor Słowackiego (w *Balladynie*).

Ów epizod Abgarski znano już w czwartym wieku; prawdziwość owego listowania utrzymywano silnie jeszcze za dni naszych; epizod ciekawy i wzmianką o obrazie Chrystusowym: Abgar kazał go bowiem Łukaszowi odmalować, gdy zaś Łukasz nie mógł podobieństwa uchwycić, przytknął Pan oblicze do płótna i twarz całą wyraził najdoskonalej; naturalnie, są legendy i o dalszych losach tego obrazu na Wschodzie. Także kobieta (później Weronika), uzdrowiona dotknięciem szaty Chrystusowej, wystawiła mu posąg w Pareadzie (zniszczony za Juliana Odstępcy, za pozwoleniem Herodowem); gdy stóp posągu zioła dorosły, nabrały one cudownej mocy leczniczej i rozszerzyła się po narodach okolicznych sława Chrystusowa. Z innych szczegółów warto wymienić, że obłubieńcem w Kanie Galilejskiej był Jan (apostoł), który poślubioną porzucił i za Chrystusem się udał. O śmierci Józefa. o waśniach w rodzinie Maryi wspominają apokryfy wschodnie; one wiedzą o tem, jak Chrystusa w kapłany obrano, przyczem wpisując koniecznie ród jego nowem świadectwem narodzenie Jego od dziewicy stwierdzono; one opowiadają, jak Chrystus plugiem orał; tradycya zachodnia, tym razem uboższa, wie tylko o kapłaństwie, tłómacząc późno (w XIV wieku dopiero) wersyę grecką (czy żydowską, bo za taką ją wydawano).

Dla dziejów passyjnych stworzyły ewangielie ramki tak obszerne a trwale, że, zdawało-by się, miejsca dla dodatków i wymysłów nie było; mimo to zdobywała się egzaltacya religijna na szczegóły coraz nowe, przerywające bieg opowiadania kanonicznego. Wymysłów o Piłacie i Judaszu obszerniej nie powtórzymy, ograniczając się do osoby Zbawiciela i Matki; rozdwajała się zresztą tradycya sama: starosta rzymski, broniący, ile sił stało, Chrystusa, umierał raz jako wierny

chrześcijanin śmiercią męczeńską, to znowu w rozpacz samobójstwem konał; Judasz zaś, niemowlęciem, jak Parys, dla snu złowieszczonego matki, Cyboryi, na śmierć wystawiony, lecz ocalony i uchowany na obczyźnie, jak syn królewski, stąd dla zabójstwa niby brata, właściwego syna królewskiego, uchodzi i w Jerozolimie między sługi Piłatowe ulubione wstępuje, poczem, jak Edyp, własnego ojca swego, Rubena, w ogrodzie o owoce dla Piłata zabija, i z matką własną, Cyboryą, się żeni, a gdy się to wszystko wyjawia, do uczniów Jezusowych się przyłącza, jako skarbnik, dziesiątą zawsze sobie przywłaszcza, i za trzydzieści srebrników (dziesiątą część owych trzystu, na mirrę wydanych) Mistrza sprzedaje. Trapią go wyrzuty sumienia, ukrzyżowany wstanie z martwych—chyba ten kogut pieczony prędeży odżyje, pociesza go żona, lecz o zgrozo! pieczony kogut zatrzepotał skrzydłami i zapiał, i poszedł Judasz obwiesić się; niegodna dusza jego nie wyszła jednak ustami, któremi Mistrza całował, lecz trzewiami. I o Łazarzu opowiadają wiele apokryfy: jedne każą mu umierać arcybiskupem Cypru, dokąd przed nienawiścią żydowską uszedł; drugie sprowadzają go z siostrami po podróży rzymskiej morzem do Marsylii; jeszcze w XVII wieku toczono namiętny spór o prawdziwość jego pobytu marsylskiego; wiedzano, że po wskrzeszeniu do zgonu nie pożywał pokarmów żadnych, płaszcz zaś urobiła mu Matka Boża własnoręcznie; opisał on, co widział w czyściu, kary najrozmaitszych występków, i długi czas drukowały kalendarze francuskie opis (a raczej obrazki) tych mąk, lecz Kochanowski we fraszkach inaczej o księgach Łazarzowych (goły w nich papier i pismo nie głębokiej szkoly) za powodem „heretyków“ wspominał.

Tak o każdej z osób, wymienianych w ewangeliach, a nawet o każdym narzędziu męki pańskiej wiedziały apokryfy i legiendy wszelkie możliwe szczegóły; gwoździe naprzykład, któremi Chrystusa do krzyża przybito, ukuł świątobliwy Ruben, kowal i wójt beblemski, w noc Narodzenia Bożego, pod ziemią, gdy bezręka Anastazyja, bratanica jego, miechy nadymała; o drzewie krzyżowem, wyrosłem nad głową Adamową, wspominaliśmy już, lecz i pochodzenie dwóch drugich jeszcze, w raju odszczepionych krzyżów, znała legiendy: prawy urobiono z drzewa, urosłego z suchego kija, który Lot, jak i Madej, tak długo łzami, kazirodztwo swe oplakując, polewał, aż zazieleniał; lewy zaś z drzewa, sadzonego przez Mojżesza; i nazwy obu zbójców, i dzieje ich młodości, wylicza legenda, chociaż nie całkiem pewna, który właściwie Dyzma, a który Gesta; opowiada ona o Longinie - Długoszu, mieszając żołnierza z centuryonem, o przejrzeniu i męczeństwie jego. Ale legiendy wprowadza i osobistości, obce ewangelii, naprzykład owego szewca, odtrącającego upadającego Pana, na

którego podanie o wiecznem tulactwie przeniesiono, i później Ahaswerem przewano.

Nie gubiąc się jednak w tym odmęcie szczegółów, wracamy się do osoby Zbawicielowej.

Mękę Pańską opowiadał bardzo obszernie, z licznemi medytacyami, autor „Rozmyślania“; prócz tego mamy w dawnej polszczyźnie mniej obszerną „Sprawę Chędogą o Męce Pana Chrystusowej“, przepisaną w roku 1544 przez Wawrzyńca z Łasku; i mamy jeszcze wiele krótszy jej opis, bez dodatków apokryficznych w Opeciu, a z Opecia przepisywano go już, zanim się dzieło to do druku dostało. „Sprawa Chędogą“ będzie teraz naszym głównym przewodnikiem ¹⁾.

Autor „Sprawy Chędogiej“ nam również niezваны; i on, zdaje się, nie tłumaczył wprost z łacińskiego źródła, lecz uzbierał wiele źródeł, między niemi i ewangelię Nikodemową; tłumaczył gładko, chociaż miejscami grube popełniał omyłki; przytaczał dziwne baśni, powołując się na źródła, niewiedzące nic o nich, naprzykład na świętego Augustyna, albo bez źródeł, twierdząc naprzykład, jakoby Żydzi za karę umęczenia Pańskiego odtąd dolegliwości kobiece cierpieć mieli; opowiadanie przerywał apostrofami do Judasza naprzykład, długimi skargami, szczególnież Maryi pod krzyżem, zwróconemi przeciw Bogu: „gdzie miłosierdzie Twoje?“, przeciw Aniołowi: „gdzie obietnice Twoje?“, przeciw krzyżowi: „nieprawnie taki owoc dźwigającymu“. I on nie zaniedba porównań z życia potocznego: wylano masę na głowę Jezusową, „jako wylewającą wodę różaną“ u nas; albo ewangelista mówi (szemrali, zamiast szemrał), jak my mówimy; ludzie uczynili usile (gwałt) tego pana, gdyż niegdy jeden człowiek uczyni. Czerpiąc nieraz z tych samych źródeł łacińskich, zgadzają się „Sprawa Chędogą“ i „Rozmyślanie“, miejscami dosłownie.

¹⁾ Inne passye polskie ocalały w przekładach ruskich XVI i XVII wieku; najdawniejszy urywek passyi polskiej pochodzi jeszcze z połowy XV wieku, wydrukowałgo Maciejowski; zgadza się on dosłownie niemal z „Rozmyślaniem“ przemyskiem.

Gdy w piątek przed kwietną niedzielą Chrystus Łazarza wskrzesił, uchwalili Faryzeusze w niedzielę zgubę Jego, i odtąd on jawnie nie ukazywał się więcej. W sobotę był w Betanii, w domu Szymona trędowatego, z Łazarzem i wielą Żydów, ciekawych opowiadania Łazarzowego „o łonie Abrahamowym, o rozłożeniu mąk, o stolcach piekielnych“; tu wylała nań maści Magdalena, i szemrał Judasz, i wstąpił dyabeł w duszę jego. I nie przed czwartkową wieczerczą wypełnione przechodzeniem od Jerozolimy do Betanii i na odwrót, nauczaniem w kościele, kuszeniem faryzeuszowem; najsubtelniej jednak wykonana scena z Matką, oświadczenie wyjścia do Jerozolimy na święta. Trąpiona przecuciami, dowiedziawszy się od Magdaleny o postanowieniu Faryzeuszów, prosi i błaga Syna, by drogi tej zaniechał, zaklina Go na posłuszeństwo, jakie dzieci winne rodzicom; gdy widzi, że Jezus szepece innym do ucha, aby Jej nie frasowali, rozżala się jeszcze bardziej, pada na ziemię i nie daje się uspokoić łagodnym przedstawieniom, żeć to już nieraz Żydowie nastawiali na zdrowie Jego, a zawsze napróżno, że bez woli Bożej nic się nie stanie, że czas, oznaczony w prorocत्वach, nadchodzi. Widząc niezłomną wolę Syna, udaje się biedna Matka do Judasza, który między Matką a Synem u stołu siedział; on, sługa ukochany, najmiłszy, ma przyjaciół między Żydami; jego gorliwości i opiece poleca więc Syna, i obiecuje zdrajca obłudny, że będzie miał o Nim pilną pieczę. Jest to najdramatyczniejszy ustęp w całym ciągu apokryfów. W środę, na ponownej radzie żydowskiej, gdzie Duch Święty przemówił przez usta kapłana, aby umarł jeden za wielu, zjawił się Judasz i otrzymał owe trzydzieści srebrników, (to jest monetę złotą), z których każdy dziesięć „pieniędzy“ ważył.

Przy czwartkowej wieczerczy słowa o zamaczaniu chleba w soli i podaniu zdrajcy, wymówił Jezus po cichu tylko ku Janowi, inaczej Piotr i apostołowie rozdarli-by byli Judasza; słowa zaś: „czyń, co masz czynić!“, zrozumieli, jakoby Judasz zakupno jakieś, czy zlecenie dopełnić miał. W scenie ogrójkowej objaśniają pocenie się krwią subtelnością ciała Zbawiciela. Bóg Ojciec daje Synowi do wyboru między grzechem ludzkim i „odpłatą męki Jego“, odkupieniem, a swobodą od męki i potępieniem ludzkości. Judasz przybywa z trzystu żołnierzami rzymskimi, „czeladnikami wyższego sędziego“, aby się im nikt sprzeciwić nie ważył; młodzieńcem, uciekającym nago, miał być Jan święty; dwanaście zastępów anielskich, o których Jezus wspomi-

na, obliczają wedle legionów rzymskich (po 5,666), a jeden Anioł przecież pobił 175,000 rycerstwa „czynowatego“ (zbrojnego); przytem roztrząsają baczenie pytanie o używaniu miecza przez osoby duchowne, jak Piotr, i dochodzą do konkluzji, że Papież miecza dobywać nie może, ale duchownego ma dobyć, to jest kłątwy, a miecza ma dobyć rycerz za kapłańskim poleceniem na rozkaz cesarski. Znęcanie się straży nad Chrystusem, wleczenie przez Cedron, od cedru rzeczony, przedstawione, jak wszystkie inne szczegóły męki Pańskiej, z okropnemi szczegółami; mąk tych natura ludzka nie wytrwałaby nigdy. Odtąd motywują apokryfy każdy krok, objaśniają, dlaczego najpierw do Annasza, potem do Kaifasza prowadzono, dlaczego milczał Chrystus na oskarżenia (aby, niewinniając siebie, dzieła Odkupienia nie przeszkodził—motyw ten powtarza się ciągle). Osobny ustęp poświęcono Piotrowi; skutki zaparcia były dla niego okropne; w rozpacz był-by on pewnie się obwiesił, jak Judasz, gdyby nie upadł był nań wzrok Zbawiciela; czując się niegodnym towarzystwa ludzkiego, ukrył się w jaskini, zwaanej „Kurowem pieniem“, odrzekłszy się snu, jadła i napoju, póki nie uzyskał-by pewności, że grzech jego odpuszczony — dlatego po zmartwychwstaniu powiedział Anioł kobietom: „powiedzcie uczniom i Piotrowi“, lecz przez cały żywot oplakiwał Piotr grzech swój, czując na modlitwie od „pierwszych kur“ do jutrzni. Przed arcykapłanem, „który wstał, chcąc krzywe świadectwo mówić, ten natychmiast albo oniemiał, albo go dyabeł udawił“.

Evangelia nie wspomina o Matce, tem pilniej śledzą apokryfy każdy jej krok. Napróżno oczekiwała ona Syna we czwartek; wieść o tem, co On do uczniów mówił, przeraziła Ją głęboko; ale jakżeż-by On Jej o tem nie miał sam wspomnieć? a jeśli z litości nad Nią milczał, gdzież Go teraz szukać? Niebawem nadeszły pewne wiadomości; Jan bowiem, napisawszy do Betanii do Marty i Magdaleny, że Mistrza pojmano i że Go zasądzą, żeby więc rychło do Jerozolimy przybywały, jeśli Go chcą jeszcze obaczyć, udał się sam do Maryi uęsknionej i padł Jej, milcząc, do nóg. „O najmilszy siestrzanku, gdzież Syn mój?“ Gdy on jeszcze milczał, wpadły Marta i Magdalena z błędnem obliczem, i pytały, cóż zaszło? Powstał Jan i przytłumionym głosem opowiedział pojmanie i złość żydowską, a inni uczniowie potwierdzili słowa jego. Prośby ich, aby Marya nie wychodziła, nie poskutkowały; wezwawszy Jana, aby Ją prowadził, wybiegła z innymi niewiastami; po drodze spotkali Piotra, który grzech swój wyznał i Judasza oskarżył. W sieni Kaifaszowej usłyszała Marya tentent biegających tam i sam Żydów; zwróciła się ku nim ze skargami i płaczem; dźwięk trąb przy wschodzącej zorzy przeraził Jej serce tem silniej. Wyprowadzają Chrystusa, na widok znędanego mdleje ma-

tką, aból Jej był dla Syna najsroźszą męką; kobiety pocieszają ją, jedne: to nie Twój Syn przesłiczny, nie mógł-by On tak zbrzydnać; inne mówią: słusnieś Maryą (od gorzkości) przezwana; inne pytają: dlaczego o tak późnej godzinie na ulicy ją widzieć? Lecz Jan prosi, by ją zostawiono w spokoju.

Żydzi udają się z Jezusem przed „wietnicę“ (ratusz) Piłatową, obmyśliwszy dobrze swe postępowanie; zbitego i poranionego wyda nam sędzia łatwiej; niech skarga nasza będzie rozważną, aby nie wydawała się złośliwą; podnośmy najwięcej jego tytuł królewski, jawne ubliżenie majestatowi rzymskiemu. Przed Piłatem następuje dziwna scena: woła on przed siebie Jezusa, nie jak zwykłego człowieka przez „podwojskiego“ (terminem polskim zamiast pachółka), lecz wysyła poń posła osobnego, kursora, a poseł, ujrawszy Jezusa, klęka przed Nim i rozpościera „ręcznik, który dzierżał w ręce, i prosi Go o wejście po nim do króla“. Oburzają się na taką cześć Żydzi; ale poseł powołuje się na przykład Żydów, wołających: hosanna! panu, a gdy Żydzi odpierają: tyś Greczyn i nie rozumiesz po hebrajsku, odpowiada on, że pytał Żyda o znaczenie słów. Oburzenie ich wzmagą się, gdy chorągwie rzymskie, w ręku dwunastu chorążych, pochyliły się przed wchodzącym Jezusem; Żydzi twierdzą, że chorążowie uczynili to umyślnie, oni zaś, że stało się to mimo ich woli. Więc każe Piłat Żydom wybrać z pomiędzy siebie dwunastu najsilniejszych, aby sami dzierżeli znamiona, i grozi owym chorążym karą śmierci, gdyby się znamiona pochyliły przed wchodzącym powtórę Jezusem; lecz i w rękach żydowskich powitały znamiona Pana.

Szczegóły przesłuchiwania przed Piłatem i Herodem pomijamy; nastają Żydzi, że Jezus zrodzony w cudzołóstwie, że Herod chciał to ukarać, i dlatego niewiniątka stracił, że Józef i Marya, czując się winnymi, do Egiptu uciekli; lecz dwunastu świadków, Nikodem i inni zwolennicy, stwierdzają obecność swą przy zaślubinach; dalej występują wszyscy uleczeni przez Chrystusa i świadczą za Nim, i oburza się Piłat, że za Jego dobre uczynki pragną Żydzi śmierci Jego; najsilniej ujmuje się za niewinnego Nikodem, a gdy go Żydzi okrzyczeli, żeś uczniem Jego, pyta on, czyż i Piłat, ujmujący się zań, uczniem Jego? Zębami zgrzytając, wołają nań Żydzi: niech udział twój z Nim

będzie! co Nikodem słowem amen (niech się tak stanie) przyjmuje. Staranie Pilatowe o niewinnienie Chrystusa występuje w apokryfach jeszcze dobitniej; ale i dyabli, zafrasowani radością proroków w otchłani, starają się o toż samo przez żonę jego, Proklę, chcąc „nagabać“ dzieło Odkupienia, tak, jak i przez Ewę człowieka kusili, lecz rada Pilatowa wyrokuje śmierć. Koronowanie ciężką, bo „drągami naciskaną“ koroną cierniową i biczowanie przez czterech siepaczków naprzemiennie, aż się umordowali wszyscy. opowiedziane wedle Grzegorza „Nazaretskiego“ (zamiast Nazyzanzeńskiego). Tu urywa się tekst „Rozmyślenia“ przemyskiego i jego pierwowzoru.

Ponownie wysuwają apokryfy „Sprawy Chędogiej“ Maryę na pierwszy plan. Obecna Ona wszystkim okrutnościom, lecz nie może się do Syna docisnąć i napróżno błaga otaczających Ją Żydów: przeczyńcie mi małą dróżkę; urągają oni Jej: jeśli to Twój syn, i Tyś nie wiele warta. Od żalu Ona imówić nie może; inni litują się nad Nią, ale jak i Jan, usiłowania jej za próżne mają. W końcu przebiega Ona tłuszczy, wiodącej Syna na śmierć, boczną uliczką drogę; ujrawszy Syna, woła nań; „urozumiał“ On Jej głos, i dla wielkiego żalu upadł; Ona Go uścisnęła, i w tym uścisku najśłodszym jakby „zumiała“ (szalona) przez długą chwilę trwała, i nikt nie ważył się Ich rozłączać — taki bil ogień od twarzy Zbawicielowej. W końcu Żydzi poczęli się umawiać: jeśli to dłużej potrwa, zmiłuje się nad Nim tłuszcza, a rodzina odwoła się do Rzymu od niesprawiedliwego wyroku; więc kazali sługom ich tak długo „żerdziami mordować“, aż Ich rozłączyli, i osłabił Chrystus jeszcze bardziej. I przy wbijaniu na krzyż była Marya obecna, i każde uderzenie młotem przebijało Jej serce; dla wysokości krzyża (stóp 18), nie mogła do Syna dosięść; gdy Go obnażano, podała, choć zmysły traciła, Nikodemowi „podwikę“ swą z głowy, aby Mu biodra przepasał; o szatę losowali żołnierze, nie mogąc się o nią inaczej zgodzić, „ani mnie, ani tobie“ prawiąc. Krzyż nie miał czwartego, „wierzchniego“ rogu, nadstawił go Pilat ową tabliczką z napisami. Wbijanie na krzyż tępemi gwoźdźmi, rozciąganie ciała przyklekiwaniem na piersi wyrażono ze strasznymi szczegółami. Wizye późniejsze obliczają ilość plag, ran, wylanych kropli krwi, i stwierdzają, że żaden członek nie uszedł męki. Na zbója po prawicy padł cień Chrystusa: jeśli cień Piotra ludzi uzdrawiał, cóż dziwnego, że się zbójca nawrócił? O tej samej szóstej godzinie, kiedy-to Adam zgrzeszył i głos Boży usłyszał, i wrota rajske dlań zamknięto, otworzono je dla zbójcy. Słońce zaćmiło się, nie chcąc widzieć dalej owych okrucieństw i dla niegodności żydowskiej; twierdzą wprawdzie kacerze, że zaćmienie to przypadło z przyczyn przyrodzonych, lecz mylnie, gdyż poganin Dyonizy w Atenach, gdzie było „uczenie“ całego świa-

ta, obaczywszy je, wyrzekł: „albo to cierpi Bóg całego stworzenia, albo też świat się skazi“. Gdy się zasłona kościelna rozdarła, zawołały moce anielskie, strzegące dotąd kościoła: „pójdźmy od tych stolców“; najzaciejsza lampa kościelna upadła z mocnego powrozu i rozbita się. Gdy Go nakoniec z krzyża zdjęto, uradowała się Marya, że Go znowu uściskać mogła, całowała rany Jego i nie miał Józef serca, by Ją od zwłok odłączyć; pragnęła ona być z Nim razem pogrzebaną, i nie puszczała Syna; gdy Go grzebać chcieli, „Ona Go ku sobie ciągnęła, a tako była jest między nimi mieszka miłościwa“. I grobu opuścić nie chciała, i prosiła Jana, by Ją do śmierci przy grobie zostawił, lecz w końcu do Jerozolimy, wsparta na Janie, odeszła, oglądając się coraz poza siebie i przechodniom się uskarżając.

Gdy Chrystus skonał, zstąpił duch Jego do otchłani i wyprowadził z niej ojców. Treść osobnego niegdyś apokryfu, późniejłączonego z ewangelią Nikodemową, poświęcona temu wybawieniu; w literaturze naszej posiadamy ją nietylko w „Sprawie Chędogiej“ wytłomaczoną dosłownie, bez dalszych dodatków, z łaciny, lecz u dramatyżowaną i rozszerzoną w części czwartej, tak zwanej Historji Częstochowskiej, misteryum wielkonocnem Mikołaja z Wilkowiecka, tylokrotnie drukowanem, przerabianem i wystawianem przez żaków.

Co widzieli, opisali synowie Szymona kapłana, który Jezusa w kościele przyjął, Karynus i Leucus (pierwotnie nazwa jednego autora, słynnego gnostyka), gdy ich o to na imię Boże zakleli arcykapłani i faryzeuszowie, których Józef z Arymatei po zmartwychwstaniu Pańskiem o zmartwychwstaniu tych braci i pobycie w Arymatei, gdzie z nikim nie mówiąc na modlitwach trwali, obwieścił. Sprowadzeni do kościoła Jerozolimskiego, zażądali karty, i każdy z nich spisał osobno, i zgadzało się całe ich pismo co do słowa; po wypisaniu rzeczy przemienili się i zniknęli. Rzecz zaś miała się w skróceniu tak:

Ojcom, będącym w otchłani, zabłysło nagle światelko, i zaczęli oni wspominać prorocтва o zejściu Messyasza i liczyć lata nadejścia Jego, i potwierdzali nadzieje ich Szymon i Jan Chrzciciel. Tymczasem rozkazuje szatan (Belzebub, Lucyfer) piekłu (Cerberowi), aby gotowało się przyjąć Jezusa, człowieka, bo się śmierci lękał, chociaż

się za Syna Bożego wydawał, i cuda tworzył, i martwych wskrzeszał. Zaklina piekło szatana, by nie wwoził Jezusa, bo Jego mocy nie się nie oprze; nadgnął był już Łazarz, a mimo to nie utrzymałem go, jak orzeł bystry wyleciał z władzy mojej i ziemskiej. Gdy się tak między sobą spierali, dał się słyszeć głos, niby grom, wołający po trzykroć (z psalmu 23): podnieście książęta furty wasze i otwórzcie się bramy wieczne, a wnijdzie Król chwały. Wątpiącemu piekłu objaśnia Dawid znaczenie słów, i staje Pan w pośrodku otchłani, i po wykrzykach i zdziwieniu przerażonego piekła, oddaje szatana związanego piekłu na wieczne dzierżenie, a sam wyprowadza ojców i proroków; piekło wysmiewa bezsilność i ślepotę szatańską, winiąc go, że, niebaczny, nastawał na śmierć krzyżową tego, który piekło miał zburzyć. Adam i prorocy: Dawid, Abakuk, Micheasz, wysławiają Pana, który, zrobiwszy nad nimi ręką znak krzyża świętego, ochrzcił ich i do raję wprowadził, gdzie spotykają sprawiedliwego Enocha i Eliasza, wzniesionych do raję, skąd w dni Antychrystowe zejda na ziemię dla męki, i zbójcę prawego ze znakiem krzyża).

Tekst ten pierwotny coraz bardziej rozwałkowały fantazyja, szczególnie dramatyczna, po misteryach. Jezus oddaje ojców Michałowi, hetmanowi hufców niebieskich, gdyż sam śpieszy na ziemię Matkę i zwolenników nawiedzić wedle słów obietnicy; do sprawowania poselstwa tego następczają się po kolei ojcowie, lecz każdego Jezus usuwa: Adama, bo się nauczył zabawiać owocami; Aba, bo-by się mógł po drodze z Kainem spotkać i wojnę z nim zwieść; Noego, by nie usnął, podpiwszy sobie; Jana Chrzciciela, by się Matka nie ulękała szerści jego wielbłądowej; Iotra, bo pogruchotane gołenie jego w drodze mu służyć nie będą. I tak wraca Jezus na ziemię; Michał zaś prowadzi dusze do raję. „Nakarmię was z mlekiem kasze, I miód dam pić w złotej czasie“, dodaje Wilkowiecki prostodusznie, uważając, „By tu która (dusza) nie została, Niechaj będzie trzoda cała“. Legiendę ruska wie o takiej duszy, która się tu została: Salomona dla jego mądrości zostawił Pan w Piekło, i gdy się dyabli od niego dowiedzieli, że to niby Pan po niego z jeszcze większą mocą się wroci, sami go dla strachu z piekła wytręcili. U Opecia znowu „nieprzyjacieli duszny“ był przy śmierci Jezusa milego, i poznał po niewczasie, że to Syn Boży, i z wielkim hukiem i krzykiem, zesromocony, do piekła pobieżał.

Zmartwychwstania i wniebowstąpienia Pańskiego apokryfy niemal nie tknęły; uwaga ich wyteżona w inną stronę, mianowicie na zbieranie liczniejszych świadectw o tem między Żydami samymi, wrogami Chrystusowymi. Chociaż wybieg z przekupieniem straży grobowej się nie powiódł, mogli Żydzi słusznie ich świadectwo odpierać jako nieważne, boć za myto tak, a znowu inaczej mówili; i świadectwo niewiast i zwolenników nie w ich oczach ważyć nie mogło; należało synagogę samą przywieść do wyznania prawdy, acz niechętnego. Służy do tego dalszy ciąg pierwszej części ewangelii Nikodemowej.

Dowiedziawszy się Żydzi, że Józef wyprosił ciało u Pilata i pogrzebał je, zawrżeli nań złością: niegodnyś ty sam pogrzebu, ptaćtuw i zwierzom oddamy ciało twe. Skarcił ich Józef o tę mowę, godną Goliata a wyzywającą Boga; Żydzi, nie mogąc dla soboty nadchodzącej nad nim się pomścić, zamknęli go do ciemnicy bez okien i zawarowali, zapieczętowali drzwi, aby po sobocie wywieść go i na śmierć osądzić. Gdy się więc zebrali ponownie, kazali Annasz i Kaifasz Józefa przyprowadzić; okazały się pieczęcie i drzwi nieporuszone, lecz Józefa w ciemnicy nie było. Do potrwożonych przychodzi jeden z żołnierzy od grobu Chrystusowego, i donosi, co zaszło, o odwaleniu kamienia, o Aniele i kobietach, i co im Anioł powiadał. Żydzi nie wierzą i wymagają wydania Jezusa, lecz żołnierz płaci im pięknem za nadobne: tożsamo słyhać o Józefie, wyście go sami zawarli, a on znikł bez śladu; pokażcie nam Józefa, my wam Jezusa oddamy. Żydzi na to: Józefa my wamdamy, on w swoim mieście, w Arymatei. Na to żołnierze: toć i Jezus w Galilei, jak Anioł u grobu powiadał. I dostali znaczne myto, aby milczeli o tem, a na uczni winę składali. Lecz sprawy tem nie zawarli.

Oto przychodzą trzech mężowie „prorokowie“: Finees, mistrz Ada (Abda) i lewita Ageusz, i donoszą kapłanom i faryzeuszom: widzieliśmy Jezusa, któregoście wy ukrzyżowali, siedzącego na Górze Oliwnej z jedenastu zwolennikami, i wysyłał On ich w świat kazać ewangelię, i wstąpił na niebo. I zaklinali ich kapłani na prawdziwość słów ich, i zakazali im głosić, co widzieli, lecz ci twierdzili: grzech nasz, gdy to zataimy; i wysłano ich z Jerozolimy, aby się z nikim nie znosili, dawszy im również pieniędzy i wysławszy z nimi dla większej pewności trzech towarzyszy drogi. Lecz wobec świadectwa takich mężów zakonu padł popłoch na kapłanów, i próżno wmawiali

w nich arcykapłani, by się świadectwem tych i owych nie trwożyli. Poradził im wtedy Nikodem, aby dla większej pewności, jak niegdyś za Eliaszem, wziętym na niebo, tak teraz za Jezusem, szukali po górach Izraelu. I uczynili tak z radością; lecz wrócili się, co ich wysłali, i orzekli, że Jezusa nie znaleźli nigdzie, za to Józef jest w Arymatei. Ucieszyli się tem kapłani i, naradziwszy się, wysłali do niego pismo: zgrzeszyliśmy przed Bogiem i przed tobą, od złego zamysłu naszego wyswobodził cię Pan, racz przybyć ku ojcom twoim.

Przyjaciele Józefowi doręczyli mu list, i po odbyciu wszelkich ceremonii, uczt i dróg, opowiedział wreszcie Józef przed wszystkimi w kościele, co się z nim działo do owego piątku: gdym trwał na modlitwie, w północy, podniosła się nagle ciemnica, ujrzałem Jezusa w świetle błyskawicy, i upadłem od strachu na ziemię, wzywając Boga. Przystąpił On do mnie łaskawie: nie jestem obludą, bo znikł-bym przed imieniem Boga; patrz, ktom jest. Tyś prorok Elias; ja nie Elias, lecz Jezus, któregoś ty pochował; więc zaprowadź mnie do grobu. I zaprowadził mnie Jezus do grobu, i poznałem Jego, i powiódł mnie potem do domu mego w Arymatei, i zabronił mi wyjścia przez dni czterdzieści. Przeraziła wieść ta kapłanów, i upadli na ziemię i pościli. Kazał im potem Nikodem posilić się i wrócić do kościoła w sobotę, i zjawił się między nimi „Lewi doktor“, i opowiedział im proroctwo Szymona „didaskolusa“, ojca swego, gdy przyjmował Jezusa w kościele. Zapragnęli więc kapłani widzieć zmarłego dawno ojca jego, Szymona, i z dopuszczenia Bożego „są obejrzeni ojca jego“, i wyprawił im Szymon wszystko, i „zategoż zwienął“ (natychmiast znikł). I posłali kapłani ponownie po owych trzech „proroków“ w Galilei, świadków oczywistych wniebowstąpienia Pańskiego, i badali każdego z osobna, i zgadzała się prawda ust ich; zwrócili się więc kapłani wraz z ludem z modłami do nieba, i skruszeni a smutni rozeszli się po domach swych.

Za powodem Józefowym przesłuchują potem Karyna i Leucyusa o owych zajściach w otchłani, któreśmy wyżej poznali. Rozmowa w kościele Piłata z Żydami, przytaczającymi świadectwa starozakonne o Jezusie i relacya Piłata do cesarza o Jezusie, o zawiści żydowskiej przeciw Niemu, o wydaniu niewinnego w ręce ich, ukrzyżowaniu i zmartwychwstaniu — tak to zaświadczają i Piłat, i Żydzi sami prawdę ewangeliczną — kończą dawny apokryf Nikodemowy, dla rzymskiego starosty aż nadto względny i pobłażliwy. Późniejsze wieki pobłażliwość taka gorszyła; starosta, wydawszy wyrok niesprawiedliwy, więc spółwinny z Żydami, miał-by sam ująć wszelkiej kary, gdy się na Żydach, w 45 lat później sprzedawanych po 30 za grosz,

a sprzedano ich 130,000, wyrok ów tak srogo zemścił? On mógł Jezusa oswobodzić, a nie uczynił tego, obawiając się bardziej ludzi, niż Boga; skazanemu na śmierć należał się termin dziesięciodniowy, a on i jednego dnia nie odwłóczył. I urosły opowiadania o karze, która Piłata dosięgła: cesarz Tyberyusz zapadł ciężko na zdrowiu, uzdrowić nie mógł go nikt, ostatnią nadzieję pokładano w Jezusie i posłano po niego z Rzymu arcykapłana Wolusyana do Jerozolimy. Na miejscu dowiaduje się Wolusyan o wszystkim i winnych, Piłata i kapłanów, przywodzi dla osądzenia przed cesarza. Cesarz, uzdrowiony wizerunkiem Zbawiciela (Weroniki), każe Piłatowi brwi obciąć i odsyła go do Ameryi do więzienia, gdzie dręczony różnemi nędzami, za cesarza Gajusa sam się przekłół; żywiły trupa jego przyjąć nie chciały. Tyberyusz sam umiera Chrześcianinem, chociaż senat, wbrew jego radzie, przyjęcia chrześcijaństwa w rzymskim państwie nie ogłosił. Są jednak i odmienne relacye: Piłat, osądzony od cesarza, sam się na męki i śmierć naprasza, aby odpokutował wyrok niesprawiedliwy; obwiniają go zaś siostry Łazarza i cesarz każe wszystkich świadków sprowadzać, między innymi i Longina; srodze na Piłata rozgniewany cesarz zaraz mimowoli łagodnieje, skoro Piłat przed nim stawa, a przyczyną tego był płaszcz Chrystusów, noszony przez Piłata; gdy go Piłat zrzucił, nie uszedł więcej gniewu cesarskiego. Fantazyja, nie krępowana żadną powagą pisma świętego, broiła do woli, mieszała czasy i osoby, plątała się coraz więcej.

Najwymowniejszem świadectwem wyrastającego kultu Maryi Panny jest legenda o jej „uśpieniu“ (dormitio), czyli wniebowzięciu; zamieścił ją („Rozmyślanie“ przemyskie i „Sprawa Chędogo“ opuszczają nas) Opeć w żywocie Chrystusowym, jak się ona i w rymowanym łacińskim żywocie XIII wieku znajduje. Powtarzamy najgłówniejsze rysy legendy.

W gronie pań świętobliwych żyła Bogarodzica po śmierci syna w domu Janowym, modląc się codziennie u grobu Syna, uzdrawiając niemocnych, trawiąc czas na rozpamiętywaniach nabożnych; napastowana coraz przez żydów, ustąpiła w końcu do Betlehemu, z trzema innymi paniami. W 72 r. swego życia, a 22 po wniebowstąpieniu Syna, tęskniąc za nim ciągle, otrzymała na trzy dni przed śmiercią od anioła Gabryela wieść, że przyjmie Syn duszę jej, o czem ona panie swe-

go otoczenia uwiadomiła; oddał jej przytem anioł różdżkę palmową rajską; ona zaś wyraziła życzenie, aby otoczyli jej łoże śmiertelne wszyscy apostołowie, przeniesieni ze stron dalekich, z Rzymu (jak Piotr), Aleksandryi, Efezu itd., na obłokach niebieskich, lub wskrzeszeni z martwych. W jaśni błyskawicowej objawił się wreszcie Syn jej i przyjął duszę jej w ramiona swe, jak jej był obiecał; i nie widziała ona u zgonu swego złego ducha (wierzenie żydowskie) i witaly ją kręgi niebieskie, w każdym z owych nieb dziewięciu inny chór anielski, sławiąc jej mądrość, czystość, miłosierdzie i inne cnoty; witania te, od Adama i Ewy począwszy, aż do Trójcy Przenajświętszej, zapełniają całe karty w żywocie łacińskim i u Opecia. Na ziemi tymczasem odprowadzali apostołowie w uroczystym orszaku zwłoki jej, złożone na marach, do Getzemany, gdzie miały być pogrzebane. Niecni żydzi jednak napastowali ów orszak, przeniesiony nagle nad nimi do Jerozolimy w obłoku, lecz i tutaj jeszcze jeden z żydów rzucił się ku marom, chcąc z nich dla pośmiewiska ciało święte zepchnąć w kałużę; niecne ręce jego przyłgnęły jednak do mar; nawrócony nagle tą karą, począł błagać Maryę o przebaczenie, i gdy za radą Piotra mar się dotknął, przyrosły mu ręce napowrót.

Gdy tak dusza w niebie empirejskiem witala, a ciało w grobie ziemskim spoczywać miało, wezdrgnął się zbawiciel na myśl, żeby łożo, które Jego piastowało, skazie uledez miało i zapytał o to apostołów, którzy Go błagali, aby i ciało do nieba wziąć raczyły. I stało się według ich prośby, i zstąpiły ponownie wszystkie mocy niebieskie, i wniesiono jej ciało, ukoronowane dwunastu gwiazdami i koronami, których znaczenie szeroko Opeć opisuje. Spóźnił się tylko z Indyi, chrztem królewicza zajęty, św. Tomasz, i wierny swej roli, nie chciał wierzyć temu, co opowiadali, póki-by się na własne oczy nie przeświadczył. Udano się więc w uroczystym pochodzie do grobu, otwarto go i znaleziono w nim tylko chusty. I uwierzył Tomasz i wyznał, że gdy go obłok do Judei przenosił, widział Maryę wnoszoną do niebios i prosił ją o błogosławieństwo, ona zaś nań swój pasek rzuciła.

Streściliśmy oto w najgrubszych zarysach wielką epopeę religijną. Szczegóły jej mogą się nowyżytnemu uczuciu wydawać nieraz banalnymi, płaskimi; w niedyskretnem podpatrywaniu wszelkich

przejsć i sytuacji życiowych może razić nas profanacja rzeczy świętych, lecz naiwne wieki średnie skrupułów tych bynajmniej nie dzieliły; ich wiara gorąca i religijność głęboka pragnęły właśnie takiego pokarmu. Utrwalała je w tem i sztuka kościelna: każdy obraz mieścił podobne szczegóły, a nie zapominajmy, że jak tam się artysta na swoje dzieło zapatrywał—kościół i gmina pobożna widziały w niem tylko zastępstwo historii samej; czego ubodzy w duchu wyczytać nie mogli, to przedstawiano im na obrazie, rywalizującym nieraz z apokryfami samemi: lecz tych związków ze sztuką tu nie myśleliśmy śledzić. Obok trywialnych wymysłów napotykalismy jednak w opowiadaniu apokryfów i sceny nadzwyczaj dramatyczne, których-by zazdrościć mógł i pisarz pierwszorzędny. Nie wspominaemy wreszcie o znaczeniu tych apokryfów historycznem, dla dziejów sekciarskich, jak i dogmatycznych zarazem.

Jakkolwiek jednak na apokryfy zapatrywać się myślimy, czy zżymać się na ich bezceremonialność, czy wstydzić się ich wybryków (niejedno przemilczeliśmy umyślnie) i łatwowierności, czy bawić się ich naiwnością, z dziejów umysłowych ludzkości chrześcijańskiej karty tej wrywać się nie godzi w żaden sposób. Dla licznych wieków i ludów, bez względu na narodowość a nawet i na wyznanie, stanowiły apokryfy pokarm umysłowy najobfitszy i pamięć o nich dotąd między ludem nie wygasła. Apokryfy, to część owej literatury kosmopolitycznej, wędrowniej, spajającej całe światy, i już dlatego baczna uwaga im się należy.

My jednak mieliśmy jeszcze cel całkiem specjalny—usunąć mylne mniemanie, dotąd powszechnie panujące, o rzekomem ubóstwie dawnej literatury polskiej i na tem polu. Znawcy kompetentni pomijali dotąd literaturę polską jako niedostarczającą żadnych faktów odnośnych—najniesłuszniej, jak wykazaliśmy. Na podstawie tylko trzech polskich dzieł mogliśmy całą ciągłość apokryfów nowozakonnych odtworzyć; pomijaliśmy umyślnie wszelkie inne źródła, np. pieśni religijne, mieszczące tyle okruchów apokryficznych. I pokazało się, że dawna literatura polska bogatsza od czeskiej np., nie mówiąc o ruskiej, wyłącznie z tłumaczeń złożonej. Czeska literatura dawna, mimo starożytności swej i obfitości, nie zdobyła się na żadne dzieło, które-by z „Rozmyślaniem“ przemyskiem, ze „Sprawą Chędogą“, a choćby z Opeciem rywalizować mogło. Czesi opracowywali od XIV wieku, kiedy u nas nie jeszcze po polsku nie pisano, dawno już pojedyncze wątki apokryficzne, np. legiendę o Pilacie lub Judaszu, ewangelie o dzieciństwie Maryi i Jezusa, wierszem i prozą tłumaczyli: Żywot Krystusów Bonawentury, komentarz Piotra Comestora, ewangelie Nikodemową itd., lecz o stopieniu tych wszystkich szczegółów w jedną wielką całość, ile wiemy,

nie pomyśleli nigdy. Na dzieło tego zakresu i tych rozmiarów, jakim było „Rozmyślanie“ przemyskie, przyznam się, nie natrafiłem dotąd w żadnej dawnej literaturze.

Zapełniliśmy więc lukę w dziejach literatury staropolskiej; nie ona ubogą—ubogie są raczej nasze o niej wiadomości; równocześnie odtworzyliśmy kartę dawnej umysłowości, dziś nam zupełnie już obcą niegdyś jednak ponętną i żywotną, a z pojęć ludu do dziś nie wydartą zupełnie.

A. BRÜCKNER.

PRZEKONANA.

P o w i e ś ć.

Ledwie mrok zapadł, Stanisław zaraz oddalił się do swego pokoju. Wtem ciężkiem usposobieniu ducha nawet blizkie, nawet kochane towarzystwo ludzkie było nie do zniesienia; korzystał przeto z każdego pretekstu, aby być sam.

— Kazałam napalić ci na kominku, — rzekła mu bratowa.

— Dziękuję, bardzo dziękuję, — odpowiedział bezdźwięcznie, z udanym, martwym uśmiechem.

I poszedł do siebie.

Pokój jego oblany był żywym, jasnym ogniem, rozlewającym się z kominka. Stanisław usiadł na fotelu niedaleko płomienia, i wpatrując się w blask jego, począł snuć na nowo tę samą, ciągle tę samą myśl: Czyż warto żyć? walczyć, dążyć, martwić się i smucić?.. eh! czyż warto wyciągnąć przed siebie rękę po cośkolwiek?... Głowa mu zwiśla, oczy zgasły... Właściwie miał on już odpowiedź gotową na tę jedną myśl, która wypełniała teraz całe świadome jego życie, i która tylko przez jakiś sztuczny, literacki nałóg stawała przed nim w formie zapytania. Nie, żyć nie warto, życie pozbawione jest interesu i celu, i wogóle sensu; dziś jest warto tyle, co i wczoraj, a wczoraj tyle, co

i jutro — i to bez względu na to, co człowiek sądzi, w co wierzy i czem jest. Takim życiem można żyć, o ile się człowiek nad niem ani minutki nie zastanawia; a on właśnie teraz nic innego nie czyni, czynić nie może, tylko się nad tem zastanawia. Więc żyć nie warto.

A teraz...

Stanisław smutno się uśmiecha do myśli o wyzwoleniu. Jeżeli wszystko nie nie warto, to i śpieszyć się do niczego niema powodu, ale jednak to jest tylko nikczemne lenistwo ducha, bo jeżeli nie dziś, to jutro, a w każdym razie wkrótce trzeba powziąć przecież jakieś ostateczne postanowienie.

Pukanie wyrwało go z zadumy.

— Proszę! — zawołał.

Uchyliły się drzwi, i bratowa zawołała do niego:

— Stasiu! Masz gościa.

Stanisław wstał z fotelu zdumiony:

— Ja? Gościa?

Wyszedł na korytarz.

— Gość? Do mnie? — pytał.

— Tak... pani...

— Pani?

Bratowa, która z niezmierną delikatnością unikała wszelkiego słowa, mogącego mu wydać się zbyt czem, szybko poszła naprzód i przeprowadziła go w ten sposób do drzwi salonu.

W salonie stała młoda kobieta, wysmukła, o płowych włosach i poważnej twarzy.

Stanisław się jej uklonił.

Młoda kobieta wymieniła swe imię i nazwisko, potem zaraz do-
dała:

— Jestem siostra Eli. Nie wiem, czy pan o tem wie, czy nie, ale ona ginie, ginie przez pana...

Stanisław zbyt był zaskoczony tą niespodziewaną znajomością i rozmową, aby mógł cokolwiek na to odpowiedzieć. Zresztą, młoda dama nie dała-by mu do tego sposobności. Mówiła ona i działała tak energicznie i stanowczo, — pomimo, że usta lekko jej drżały i ręka, oparta na parasolu, się trzęsła, — jak człowiek, który ułożył sobie szczegółowy plan postąpienia i całą moc swą wkłada na przeprowadzenie go.

— Ja byłam powiadomiona o wszystkim od samego początku, — ciągnęła. — Ela pisała do mnie częste i szczegółowe listy. Oto są te listy. Przywiozłam je panu i proszę, abyś je przeczytał. Ja sądzę, że

to, co się stało, jest nieporozumieniem. Jeżeli pan z jakiegokolwiek powodu zechcesz wiedzieć, choćby przez prostą ciekawość, co ona naprawdę czuła i myślała za każdym razem, gdy spotkała się z panem, znajdzie pan tu odpowiedzi i dokumenty. Pan musiał Elę w jakiś sposób osądzić. Niech pan to przeczyta. Może sąd jest niedokładny, albo błędny.

Stanisław przyszedł do siebie, i pamiętny w tej chwili tego tylko, co wycierpiał, odpowiedział w słowach grzecznych zimnem okraciństwem:

— Komuż może zależeć na moim sądzie o panie Eli? Gdyby nawet ten sąd nie był całkowicie dodatnim, nikt go ode mnie z pewnością nie usłyszy.

— Moja siostra ginie, panie, — odpowiedziała — ginie, i ja mam obowiązek ją ratować. Proszę, niech pan przeczyta te listy.

Młoda kobieta, którą Stanisław miał przed sobą, odkrywała z taką mocą i prostotą jakąś cząstkę istotnej swej zaniepokojonej i zbolalej duszy, że Stanisław poczuł się natychmiast owładnięty przez jakieś uczucie delikatności i ludzkości. Zresztą, tyle-by dał był za te właśnie listy, gdyby wiedział, że one istnieją, i że wzamian za coś dostać je może.

Powiedział więc:

— Dobrze, pani. Przeczytam.

Młoda dama podała mu sporą paczkę i odetchnęła tak głęboko, jakby zsunęto jej ciężar z piersi.

— Zostawiam je u pana do jutra, do pojutrze, — rzekła z widoczną chęcią opuszczenia go zaraz. — Odeślij mi pan je wreszcie, kiedy już panu nie będą potrzebne.

Ale Stanisław poczuł nagle wielką sympatyę dla tej młodej i poważnej kobiety, którą znał tak dobrze zresztą z opowiadań, i która w tak prostych słowach spełniała to, co uważała za swój obowiązek.

— Proszę pani, — powiedział miękko — przecież na dworze zima. My nie możemy pani puścić bez szklanki ciepłej herbaty choćby.

I pobiegł poszukać bratowej.

Moja słodziutka!

Wyobraź sobie, najniespodziewaniej w świecie wybornie się wczoraj bawiłam. Pojechaliliśmy wszyscy z wizytą w sąsiedztwo, do pp. Iglickich. Wiesz, to ci, o których ci pisałam, że jest papa, wdowiec, taki czerwony, apoplektyczny, niecierpiący wsi i łający głośno czeladź, i córa, ładna panna, strojna, łaknąca zabawy i hołdów, dobra dziewczyna, ale nie orlica. Otóż poznałam tam p. Stanisława Brzeziewicza. Co za miły, młody człowiek. Inżynier dróg komunikacyi, szarytyn, z dużemi blond wąsami i szaremi oczyma, ma jakiś wdzięk w ruchu, mowie i spojrzeniu nieporównany, i umysł bystry, że tak powiem, literacki, kolorowy. Interesuje się nauką, sztuką, masami pochłania romanse i powieści, do czego przyznawał się, jakby do słabości, godnej pobłażania; pozuje trochę na charakter, idee, cele, ale też trochę na „charakter“ wygląda, pomimo żdźbła romantyczności, które nic a nic mu nie przeszkadza. Jak na inżyniera, to wcale nieźle, co?

Cały wieczór asystował mi i rozmawialiśmy, rozmawialiśmy aż do nieprzyzwoitości, bo towarzystwo całe zwróciło uwagę, iż on mnie nie odstępuje.

Ja zaś byłam mocno z tego zadowolona.

Przed tobą jestem przecież niby biurko, na oścież roztworzone, i niema w niem ani skrytek, ani dna podwójnego. Ty wiesz, że jestem próżną, ambitną i płytką do tego stopnia, iż na cały dzień po prostu uszczęśliwić mnie może — nowa konkietta.

Jestem więc dziś w wybornym humorze i — o bogowie! gdzie podział się mój spleen, moje nerwy, moje rozczarowanie do świata i ludzi — cała gorycz mego życia?

Żartuję, naturalnie, — ale na seryo, rzeczywiście jest mi lekko, przyjemnie, miło, jak dawno nie było. Co będzie jutro — a, to co innego. Ale do jutra przecie dzień cały.

P. Stanisław Brzeziewicz ma nam złożyć jutro wizytę. Przyjechał na czas krótki, tak na pięć, sześć tygodni, do rodziny swej, która o parę mil od nas mieszka. Wujowstwo u nich nie bywają jeszcze, bo Brzeziny wydzierżawione przedtem były i pp. Brzeziewiczowie od niedawna dopiero osiedlili się w majątku. Podobno bardzo sympatyczni. Młode małżeństwo, mają troje bachorków, a p. Stanisław jest właśnie bratem właściciela Brzezin. Nie wiem, czy p. Stanisław ma jakie prawa do majątku, ale wiem, że ma dobrą posadę przy kolei w Kijo-

wie, (czy ty uważasz, jak ja już jestem dokładnie poinformowana?), donc, jest świetną „partya“, i w tym charakterze jest tu trochę wyróżniony, co od razu wczoraj zaobserwowałam.

Ty, co tak chcesz wydać mię za męż, pewnie w tej chwili myślisz: „ach! daj, Boże! niech-by się w niej zakochał“.

Tout beau, chérie.

Słuchaj, tak prawdę mówiąc, wynudziłam się porządnie. Cudna jest wieś, przepyszne łąki, świeży i szumiący las i ożywcza rzeka. Ciocia jest dobra, miła, wspaniale daje jeść i okropnie ją lubię, wujek zawołany, namiętny gospodarz, i całymi dniami go nie widać. Jadzia pyszna dziewczyna, ale siedemnastówka, i życia zna tyle, co skowronek—c'est pas pour moi; chłopcy, ci albo w lesie ze strzelbami, albo nad rzeką z wędkami, albo przy stoliku z kartami; sąsiedztwo—Boże drogi, jestem nieznośną. głupią, zarozumiałą, z przewróconą głową i pustym sercem istotą, ale ci ludzie, ukamienujcie mię! Oni mię nudzą. Z nikim porozmawiać, a na moje malowanie oni się patrzą, jak kozy na masło, i im się nawet dziwacznie i nieprzyzwoicie wydaje, żeby panna, mająca lat 26 (cicho! sza! o tem przecie nikt nie wie... dwadzieścia dwa, no, niech będzie dwudziesty trzeci), gotówkę na hypotece i jakie takie oczy, zawracała sobie głowę nie wąsami blond, czy châtain, lecz sztuką, pracą, malowaniem! Pożal się Boże: artystka! Quelle horreur.

Czy dziwisz się, że ci ludzie mię nudzą?

Że zaś przytem lato dotąd mamy dżdżyste, a ja w dodatku spleen, więc i malowanie moje idzie, jako ten starzec siwiuteńki, kulejąc, a powoluteńku i bez ognia żadnego.

Resumé: nie powiem, abym się tu odrobinę nie nudziła, i uważam, że trochę mi urozmaicić może zaciszny mój pobyt na wsi — flirt z p. Stanisławem.

— Uf! Taki wstęp, żeby powiedzieć tak mało...

Nie przerywaj mi, Janko, nieznośna jesteś.

Ale flirt i miłość—to dwa światy. Donc, p. Stanisław się nie zakocha, i nie rób sobie próżnych nadziei.

Widzisz, ten wstęp to do tego zmierzał.

Złociutka moja, nie gniewaj się, nie gniewaj! Już słyszę: „Helka, znowu! Kiedy ty się opamiętasz, dziewczyno. Ile razy ci ten flirt kością w gardle stanął. I jak ty możesz tak na chłodno. A potem, jak za późno, to żalujesz. A jak często bywa za późno“...

Otóż właśnie, że nigdy się z tobą co do tego nie zgodzę.

Nie bywa za późno. bo wszak ty wiesz, że ja w miłość nie wierzę. Bywa namiętność. urok, chwilowe zapamiętanie się, przywiązanie, przyzyczajenie, złudzenie — c'est tout. To nie straszne.

Wszyscy, co się we mnie kochali, żyją, są zdrowi, nie poszaleli, nie pozabijali się, nie poumierali.

Co się stało Janowi, który ze wszystkich moich wielbicieli najbardziej szalał za mną? Ty wiesz: szaleje teraz za jakąś aktorką w Warszawie.

A mnie co się stało, że mnie Adam rzucił?

Bo wszak on mnie rzucił, cała miłość jego i to, że cały do nóg mi się kładł wtedy — to wszystko przeszło.

A ja? Ja bawię się. Cóż mi się stało?

Jakże ja mogę wierzyć w miłość i brać ją na seryo?

Nie, miłość to zabawka.

Nie broń mi się bawić, jedyna moja, powago moja, pocieszycielko moja. Użyć chcę, a to wiesz: używania tego ja nie nadużywam.

Nie przypominaj mi, kto kiedy przeze mnie cierpiał — to nieprawda. Nikt przez miłość nie cierpi.

Ja sama — pierwsza?

Ach! To było tak dawno. Zresztą, doprawdy, teraz mi się zdaje, że to nawet nie było cierpienie. To był bolesny zawód i wstyd. Ten człowiek tak mię kochał po królewsku, na taki mię piedestał postawił, że dumną byłam z tego uczucia i pewną go, jak śmierci. Więckiedy niespodzianie z piedestału tego zepchnęła mię jego namiętnostka do innej, bolała mię omyłka, piekł mnie wstyd. Ambicya we mnie cierpiała, a to brzydkie uczucie i nad takimi, którzy przez ambicyę cierpią, nie warto się litować.

Ale jak daleko jestem od cioci, wujaszka, Jadźki, chłopców, sąsiedztwa i pana Stanisława. Imaginacya moja unosi mię na manowce. Jak się zapędzę, to lecę bez miary we wszystkim.

„Nerwy“ — powiadasz.

Jeżeli to ci cokolwiek tłómaczy — je veux bien!

A z p. Stanisławem będę ostrożną. Nie bój się, nie zrobię mu krzywdy.

I nic więcej nie mam ci tymczasem do doniesienia. Najdroższa, dobranoc!

Twoja

Elka.

Droga moja!

Przed paru dniami wysłałam list do Ciebie, a oto znowu piszę. Nie mam ci nic nowego do doniesienia, ot, pogawędzić mi się chce prosto, bo napadł mię znowu leciutki spleen, a najlepszem na to lekarstwem jest pojęcie trochę przed tobą. Zawsze mi to pomaga, słowo daję. Zresztą, ty sama wiesz najlepiej, że tak jest. Ile razy zdarzy mi się co przyjemnego, lub nieprzyjemnego, jak w dym, do ciebie, zwłaszcza, jeżeli coś nieprzyjemnego. To nie tak, jak ty, która najczęściej jesteś na cztery spusty zamkniętą, nawet przede mną. Ja zaś natychmiast zasiadam do biurka, biorę stos kartek papieru przed siebie, i zapisuję je drobnym maczkiem, dopóki ręka mi nie zemdleje i nie wyjęczę całego swego gniewu, zawodu, czy cierpienia przed tobą. Ale zauważ, proszę, tylko przed tobą! Nerwy moje (twój ulubiony konik) wtedy się zmęczą, i jest mi błogo, bo już więcej o niczem nie myślę, a tylko czekam, co ty mi odpiszesz.

Ty mi odpisujesz rozkosznie.

Albo popłaczesz wraz ze mną, i mnie się od tego słodko na duszy robi, albo pocieszysz i poradzisz jak anioł, albo (oj, jak często...) nawymyślasz mi po prostu. Ja wtedy buntuję się, siadam ci odpisywać, zastanawiam się nad sobą i twemi uwagami, i zawsze mi to na korzyść wychodzi. Złota moja.

Ty jesteś dla mnie więcej, niż siostrą—przyjaciółką. Jesteś najbliższą, najdroższą, najukochańszą, „najszanowaną” (takie słowo, zdaje się, nie egzystuje, ale to tak ładnie brzmi...) moją istotą. Uwielbiam w tobie duszę i subtelność twego uczucia, i rozum twoich myśli, i dumę wyniosłą a samotną twoich bólów.

I nic a nic się ciebie nie boję. Przyznam się przed tobą do wszystkich moich próżnostek, ambicyjek, grzeszków, słabostek—najdrobniejsze czasem bywają najprzykrzejszemi, n'est - ce pas?

Albowiem:

Imię twoje: Mądrość.

Imię twoje: Wyrozumiałość.

Imię twoje: Poblężliwość.

Imię twoje: Miłość.

Imię twoje: Sprawiedliwość.

Deszcz pada. Duszno, ciepło, chmury się na niebie zbierają, takie czarne, ponure; mały deszczyk pada, ale pewnie będzie burza. Ja to czuję. Noszę w sobie barometr: jestem przed burzą rozdrażniona, nerwowa, głowa mię trochę boli i irytuje mię gwar wkoło mnie. Zamknęłam się w swoim pokoju i myślę sobie, że życie jest marną instytucją, że ja jestem stara, brzydka, głupia i śmieszna, że mężczyźni, co się we mnie kochali, nie kochali się we mnie wcale i że niema dla mnie na świecie szczęścia, bo tak, jakbym ja chciała, być nie może, a tak, jak jest, ja nie chcę.

Tysiąc razy mówiłam ci to.

Długo nie będę tu siedziała. Pilno mi już do ciebie, najdroższa. Nareszcie zamieszkałyśmy razem, w jednym mieście, całe życie prawie będąc rozłączone — pilno mi do ciebie. Przyjechałam do kraju, zobaczyłam się z rodziną — i dość. Kocham Paryż i chcę wrócić do niego, choć mię tu dręczą przekonywaniem, iż obie nie mamy sensu zdrowego ani za grosz: siedzieć za granicą i młodość trawić na pracy, kiedy w kraju i wśród zabaw daleko łatwiej-by nam było znaleźć — mężów!

Tęskniłam do kraju, do rodziny, od lat kilku przebywając wśród obcych ludzi, pojęć, gustów i przyzwyczajęń; przyjechałam, zapowiedziałam, że i ty wybierasz się wkrótce, tylko że teraz nie mogłaś z powodu pilnych zajęć w klinikach — et voilà.

Jadę z powrotem.

Aha! Łatwo powiedzieć.

Nawet tak prędką i wrażliwą naturą, jak ja, która robi to, co w danej chwili jej się zamarzy, tu — podcięte ma skrzydła.

— Jedziesz! — zawoła ciocia — Jezus, Marya, co się stało? Miałas całe lato zabawić, a toż początek lipca!

— Co? Helunia jedzie? — powie wuj. — Chyba tobie źle u nas?

— Po co? Czego? Czy ci nudno? Czy my się tobie nie podobamy? Skąd tak nagle? Co się stało?

Chłopcy i Jadzia zaczną krzyczeć jedno przez drugie, i co ja im odpowiem?

Bo wszak mnie tu dobrze, tylko jak nerwy moje się rozigrają, to mię po prostu pędzi coś, byle zmienić miejsce.

A nerwy moje lubią się wydobywać na swobodę, ot, że deszcz pada, że pies skomli, że — co tu głucho gadać, wszak nie jestem literatką — bez powodu i koniec.

Wiesz, przykro mi teraz, że bez powodu zrobiła niegrzeczność p. Stanisławowi. Wyobraź sobie, wiedziałam, że p. Stanisław miał być onegdaj u nas z wizytą, ale głowa mię trochę bolała i natychmiast po obiedzie poszłam sobie do lasu. Gorąco było, zmęczyłam się, wybrałam sobie jaki taki kąt cienisty, rozłożyłam się pod najwspanialszą sosną, i zapatrzona w niebo, myślałam, myślałam... o czemże ja to myślałam?

Ba! Alboż się takie myśli pamięta!

Dość, że wróciłam do domu, jak się zrobił dobry zmierzch.

Wylatuje do mnie Jadźka:

— Heła, o la Boga! Gdzieś ty zniknęła? Był p. Stanisław i pytał się o ciebie kilka razy.

— Gdzież ty byłaś, Helenko? — zaczyna ciocia. — Był p. Brzeziwicz.

— Ej! Heluniu, p. Brzeziwicz był, — mówi śmiejąc się wuj.

Zapomniałam ci powiedzieć, że wszyscy przykładnie zgromadzeni byli przy podwieczorku.

— To i dobrze,—odpowiadam spokojnie—a czuję, iż nienaturalnie i z affektacją, i złość mię bierze, złość śmieszna, głupia, idyotyczna.

— Ale dla czegoś ty wyszła?—mówi Jadzia.—P. Stanisław napewno był tem dotknięty.

— Ach, mój Boże! — mówię prędko. — Czy to p. Stanisław mnie wizytę składa, jadąc do domu wujowstwa, i czy to obowiązkiem moim jest go przyjmować!

Dzika pretensya.

Ten p. Stanisław irytuje mię. Czy to, że przez jeden wieczór rozmawialiśmy przyjemnie, zobowiązuje mnie wobec niego i upoważnia go doniezadowolenia, że nie czekałam na niego? Wyszłam, bo mi się przejść chciało, i wcale nie zastanawiałam się nad tem. Cóż? Czeakać na niego powinna byłam?

No, czy nie mam racyi, Janko?

Ale to głupstwo, niema o czem mówić.

Napewno był dotknięty, powiada Jadźka.

Dotknięty — a to mi się podoba!

Zawracam ci niepotrzebnie głowę drobnostkami. Czekam listu od ciebie. Wkrótce znowu napiszę i może cokolwiek składniej, niechno się ze spleenu wysapię.

Całuję cię milion razy i jeszcze, jeszcze, jeszcze!

Elka.

Moja najdroższa!

Wybacz mi, że ci tak długo nie odpisywałam, ale, doprawdy, nie mam chwili wolnej.

— Malujesz?

— Nie.

— Czytasz?

— Nie.

Flirtuję — ale wiesz, na zabój.

Nie rzucaj gromów na mnie, poczekaj, zaraz ci wszystko opowiem.

Otóż, jak wiesz, prawie że zrobiłam niegrzeczność panu Stanisławowi — i to, wyobraź sobie, okropnie nas odrazu zbliżyło. Bo przy pierwszym naszym potem spotkaniu, p. Stanisław żywo podszedł do mnie:

— Jak ja złorzeczyłem sobie, że się wybrałem do państwa z wizytą w dzień, kiedy słońce świeci.

— A bo co?

— Bo gdyby deszcz padał i wiatr wył, to-bym panią zastał w domu.

— Ale mogła-by mnie głowa boleć i mogła-bym nie wyjrzeć ze swego pokoju...

— Pani tak chce koniecznie?

Roześmiałam się.

— Czy pani umie wróżyć?

— Nie.

— Jaka szkoda!

— A bo co?

— Prosił-bym, aby pani mi wywróżyła, czy jak będę zajeżdżał do państwa, zawsze pani będzie w lesie.

Znowu się roześmiałam.

— Rozpytywałem kuzynów pani o panią. Mówił mi p. Edward, że pani rankami całemi przepada... pokazał mi nawet ulubioną pani ławeczkę nad rzeką i ścieżkę wśród łąk, po której pani najczęściej spaceruje.

— Wcale mi się to nie podoba.

— Nie, nie wolno się gniewać, bo za co? Niech pani się zastanowi. Czy pani ma prawo zabronić mi myśleć o pani, mówić o pani, widywać panią?

— Zapewne, że mam.

— Myśleć nawet?

Chciałam mu powiedzieć, że jest śmieszny, ale kiedy podobał mi się ruch jego głowy, w chwili, kiedy wymawiał te słowa niemal pieśzczośliwie, a tak rezolutnie. Celui-ci va un peu vite. Co za komik.

Odrązu zbliżył się do chłopców, szczególnie do Edka, bo mówiłam mu, że ten jest największym moim przyjacielem. Wdał się z nimi w gawędę, i już rozprawiają z zapalem o polowaniu.

— Urządźmy sobie takie, że to ha! — mówi p. Stanisław.

Zdobył ich sobie odrazu.

Edek mówi mi:

— Wiesz, Hela, to smoczy chłop, a zachwycony tobą.

— Nie może być!

— Nie, ja nie żartuję. Wiesz, on powiada: żadnej takiej nie spotkał; co to żadnej? nawet podobnej.

— A ty jemu co na to?

— Ja? A może być, -- powiadam.

— Ach! Ty niegodziwcze!

— Hela, a ty co?

— Co: „ja co“?

— No, tego ten...

Pocziwy Edek, bardzo go lubię, choć z gołębią prostotą uważa siebie za wyższą ode mnie istotę, bo on przyrodnik z trzeciego kursu, moi państwo! a ja tylko artystka. Ale i on mię lubi, bo śmieje zawsze z jego długich tyrad o niższości kobiet wogóle, zamiast się obrażać.

Tadzio, który, jak ci pisałam, jest ogromnie poważny, idealista, zgryźliwy i traktujący wszystkich z góry, reformować chce społeczeństwo. bo jakże: studjuje prawo i wie, co za bezceństwa dzieją się

na świecie; otóż Tadzio, z poważną miną i wzrokiem ironicznym, powiada:

— No, cóż, wiesz, naturalnie, będziesz i temu zawracała głowę. Korzystne zajęcie, niema co.

— Mój drogi, każdy robi to, co umie...

— Już nie gadaj. Mogła-byś, gdybyś chciała, i co innego. Ale cóż, flirciarka i dość.

— Nie w twoim guście?

— Nie, — odpowiada Tadzio poważnie, zasłaniając się obłokiem dymu, — wiecznie smoli papierosy — i ochodzi.

My się pikujemy trochę i ja ździebłątko go kokietuję, choć to mój brat cioteczny, ale jest mi prawie obcy, tak dawnośmy się nie widzieli i teraz jest to młodzieniec en forme. Ja im często o tobie opowiadam, i oni bardzo chcą się z tobą zobaczyć, właściwie poznać ciebie.

— Doktor, to smocza niewiasta musi być, — powiada Edek, choć niby jest niedowiarkiem pod względem mądrości kobiecej.

Tadzio wtedy z lekką pogardą na mnie spogląda i czuję, że myśli:

— Ot, tamta to może i jest co, nie tak, jak ten szczygieł — flirciarka...

„Que je m’amuse“!

Przyjedź, złota, poznaj ich, to kopalnia.

Z chłopaków tych, od czasu, jakśmy ich widziały, powyrastały chłopcy, jak dęby, każdy o wydatnej indywidualności, a nieokrzesane to — prawdziwi Litwini, a pogardzające Warszawiakami — prawdziwi Litwini, a pocziwe to i mocne — prawdziwi Litwini.

W tej chwili tak mi stoją przed oczyma.

A Józek. Ten najparadniejszy.

— Społeczeństwo — poczekajcie państwo, co to za sztuka? Grunt: własne kości i skóra. Kobiety? Ot, jeszcze sobie nad niemi głowę łamać. Nauka — ojoj! Nudna bestya. Byle ten instytut komunikacyi przeleźć, bo na chleb zarabiać trzeba, mająteczek na czworo — mały kęs, posadę dobrą trzeba mieć. Wiesz, co? Niema to, jak wint, bilard i polowanie. Polowanie, wint, bilard. I do dyabła zresztą!

Właśnie tylko co o nich rozmawiałam z p. Stanisławem. On powiada, że ja ich dobrze czuję, i że jego to niezmiernie bawi, kiedy o nich mówię. On też ich bardzo lubi, bo chłopaki dobre na wylot.

Ale, prawda, od czego to ja zaczęłam?

Aha, że flirtuję z p. Stanisławem.

Na zabój, powiadam ci.

On się tak u nas zaaklimatyzował, iż całymi dniami przesiaduje, a przyjeżdża często i na dni trzy, cztery. Niby to do chłopców. Ale

jakie to do chłopców, kiedy się nie ruszy z nimi ani do lasu, ani na rzekę, ani na łąki — beze mnie.

Chłopcy to widzą naturalnie i zaraz wołają:

— Heła, idziesz?

A ja:

— Jadźka, idziesz?

I szóstka nasza grupuje się tak: ja z Jadzią i p. Stanisławem, a trójka smyków naprzód. Przytem nie obchodzi się bez złamania szeregów, tylko jakoś nigdy tak się nie zdarza, aby p. Stanisław od mego boku odstąpił.

I tak nam dobrze, że nie myślimy ani o wizytach, ani o piknikach, lub balach, które w sąsiedztwie się odbywają. Jak kto przyjeżdża, to go w duchu przeklinamy, jak otrzymujemy jakie zaproszenie, to się złościśmy i oświadczamy, że ani myślimy się ruszać i tłuc tyle mil — na nudy.

Jeszcze chłopcy czasem wyjeżdżają z domu, ale co my z Jadźką, to nie.

Ale jakaż to Jadźka!

Mnie bawią smyki i p. Stanisław, a ją?

Czyż to może być, abym ci dotąd nie wspomniała o panu Ludwiku?

Co prawda, to nowa znajomość i od kilku dni zaledwie „siódmy“ w naszej paczce.

Jadzia rzeczywiście ma duże zdolności muzykalne. Powiadam ci, słicznie gra na skrzypcach. Ciocia moja, nie chcąc, aby przez lato wyszła z wprawy, bo od jesieni idzie do konserwatorium, starała się przez znajomych w Warszawie o zdolnego muzyka, który-by za wikt i świeże powietrze w Milunach podjął się pielęgnowania talentu Jadzi.

I znalazł się taki feniks.

Ma lat dwadzieścia sześć, ogromną, płową czuprynę à la Paderewski, piwne, olbrzymie oczy, wąsik mały nad blademi, ale zgrabnemi ustami, pustki w kieszeni i rękę czarodzieja.

Nieoceniony ma talent. Powiadam ci, jak zacznie grać, dusza się rozplywa, i jeżeli gra wesoło, to aż w człowieku wszystko tańczy, a jak zacznie smucić się i wzdychać, to zdaje się, serce rwie się w kawały. Jeszcze mu z czasem wieniec bolesny laurowy wdzieją na głowę—być nie może inaczej, ale tymczasem jest to cichy, skromny, nieznanany artysta, któremu jednakże czoło wznosi się dumnie od tego ognia, który mu się pali w duszy. Intelligentny przytem i przyjemny w obejściu.

Jadźka, jak go ujrzała, przyleciała wnet do mnie:

— Olaboga! Heła! Jaki on cudny.

— Masz: tobie! Już?

— Kiedy taki cudny, przyjrzyj mu się! Olaboga! Czy ja mu się spodobam?

Zdaje mi się, że na nim jej kasztanowate, krótkie loki i szafirowe oczy, wesołe jak iskierki, przy świeżej, jak brzoskwinia, buzi — nie pozostają bez wrażenia.

Więc nie dziw się teraz, iż nam wszystkim tak dobrze z sobą i świat nam jest obojętny.

Jedyna moja, musiałam ci koniecznie to wszystko wypisać, bo jakże, żebyś ty nie wiedziała? A o całej poważnej stronie twego ostatniego listu—jutro, dobrze? Bo do drzwi moich dobija się Edek i hałasuje, że na gwałt trzeba się śpieszyć, albowiem krokiet na placyku w sady jest rozstawiony...

Do jutra, najdroższa,

H.

P. Ludwik gra na skrzypcach, a Jadzia mu akompaniuje. Przechodziłam w tej chwili przez salon i widziałam, iż on jest wniebożnięty: ona zaś ma rumieńce wypalone na twarzy i oczy jej rzucają raz po raz błyszczące spojrzenia na niego, tak, jakby daleko więcej interesował ją muzyk, niż muzyka.

Co prawda, muzyk wspaniale wygląda: biała twarz jego ma w sobie wyraz słodkiego rozmarzenia, przynurzone oczy świecą niby ciepłe płomyki, chodzi po pokoju, brodę przyciskając do skrzypek, i przygryza od czasu do czasu rozgrzane, pąsowe usta.

Ma foi, ładny chłopiec.

Wyobraź sobie, p. Stanisław jest o niego chwilami zazdrosny.

Ach! Boże, przestań-że się dziwić. Zapominasz ciągle, że flirt daje prawa. Przecież p. Stanisław mówi, postępuje, wygląda nawet prawie tak, jakby zakochany. Ja zaś to przyjmuję tak, jakbym nic a nic przeciwko temu nie miała, i owszem.

Wobec tego nie będzie cię dziwiło naprzykład, że p. Stanisław nawet już mi małe sceny robi, dąsa się, kiedy dłużej rozmawiam z którym z chłopców, chmurzy się, kiedy biorę ramię p. Ludwika choćby na chwilę, milczy i nie odpowiada nic, jeżeli, chcąc go przy-

prowadzić do porządku, dowodzę mu, iż trochę nadużywa praw, jakie mu daje flirt.

— Jak to szkaradnie z pani strony tak się mną bawić.

— Czy woli pan, żebym się panem nudziła?

I mówię mu obszernie o tem, że jest miły, inteligentny, interesujący, że rozmowa jego mię zajmuje, towarzystwo przyjemność sprawia, i nie widzę powodu ani tego przed nim ukrywać, ani sobie tego odmawiać. I nie rozumiem, dlaczego nie mieli-byśmy sobie jasno zdać sprawy, że nam dobrze z sobą i koniec!

— I koniec! — zawołał z taką komiczną desperacją w intonacyi, że wybuchłam głośnym śmiechem, a on słuchał, słuchał i wreszcie nie wymyślił nic mądrzejszego nad to:

— A co będzie, jak się w pani na śmierć rozkocham?

— To się pan pokocha trochę, to przecież takie miłe uczucie, a potem, jak będzie dość, to się pan odkocha.

— A kto zadecyduje, że dość.

— Proszę pana, nie psujmy sobie chwil przyjemnych zbyt poważnem dociekaniem rzeczy, które, au fond, wcale nie są poważne.

Tu mówiłam mu o tem, że dużo myśli się i mówi o miłości, że miłość ta, od której się szaleje i ginie, nie istnieje, że zawsze w porę się zatrzymać można, zresztą, że rany, przez Amora zadane, nie są ani głębokie, ani nieuleczalne. Dość, że bez obawy można się bawić.

— Ale skąd u pani biorą się takie poglądy?

Bah! trop curieux...

Moja złota, ciebie teraz w morałach może wyręczyć p. Stanisław. Słowo daję, on mi to samo mówi o życiu, którego nie można przerobić na ciągły żart, o obowiązkach, które każdy „wysoki charakter“ (to niby ja...) powinien rozumieć i odczuwać, o uczuciu, z którego drwić nic nie pomoże, tak jak można się zamknąć w ciemnym pokoju i słońca nie widzieć, a jednak ono jest i świeci.

To samo, co ty, i prawie tak ładnie, jak ty.

On mówi dalej, że niepojętem jest dla niego, jak taka istota, jak ja, która czuje tak subtelnie, tak głęboko i tak szlachetnie — w kwestjach miłości może być prawie cyniczną.

Słowo daję! On się ośmielił, a ja nie odpowiedziałam mu nic, bo przypomniały mi się twoje słowa: „Elu serdeczna, gdybym nie wiedziała, jak jesteś wysokim moralnie typem, to-bym mogła pomyśleć, kiedy mówisz o uczuciach: jaka ona przeżyta i zepsuta“!

I on mówi jeszcze, że inaczej nie może sobie wytłómaczyć mojej duszy, jak przypuszczeniem, że musiało mię chyba kiedyś w życiu spotkać jakieś wielkie rozczarowanie, które moralnie mię ogłuszyło i zrobiło mię jednostronną i suchą.

— To jest zawód, który przemawia przez panią, jakiś ból głęboki, z którego tylko pani sobie sprawy nie zdaje...

Co? Janiu droga, jak ci się to podoba?

A mnie rozpacz ogarnia: czy ja rzeczywiście napiętnowana chodzę, czy tylko on jest jasnowidzący?

Czy ty go nie znasz przypadkiem i czyś mu nie opowiadała o mnie! Bo kiedy, na seryo, gadacie, jakbyście się zmówili.

A ja nie wierzę w miłość, nie wierzę, nie wierzę, i dajcie mi pokój z waszą powagą—nie róbcie z muchy słonia i nie przepowiadajcie mi czarnych rzeczy.

Trzy razy byłam narzeczoną. Czym się trzy razy kochała w życiu—ba! to inna kwestya... dość, że za każdym razem zdawało mi się, że mój narzeczony umiera z miłości do mnie. Z pierwszym rozeszłam się, bo chciał zabić we mnie duszę artystki, a zrobić ze mnie gospodynię, kucharkę i mamkę. Zdawało mi się, że popełniam zbrodnię, i że on mię zabije, kiedy mu powiem, że go nie kocham.

Tymczasem on powiedział mi, że kłamstwo i przewrotność duszy kobiecej nie ma granic, i odwrócił się ode mnie z pogardą.

Nawet nie zrozumiałam, co to miało znaczyć.

Drugi — ach! drugi...

O takiej miłości marzyć tylko można, jako o śnie bajecznym — a jednak ona nie ostala się czasowi. Urok przysnął, sen miłosny się prześnił.

Nie ja jemu — on złamał mi wiarę.

Trzeci...

Tu była tylko namiętność, płomienna, szalona, ale bez odrobiny uczucia.

Nie mogłam.

Zdaje mi się, że jakkolwiek galeryja postaci nie obfita, ale dość urozmaicona. Zważywszy zaś, że los mi nie szczędził wielbicieli wszystkich stopni, że każdy dorzucił ziarnko do mego doświadczenia życiowego — upoważniona się czuję do wniosku, że z miłości ani się umiera, ani szaleje, lecz, co najwyżej, ma się krótkotrwałe przykrości, tak, jak chwilowe przyjemności — i...

Dajcie mi pokój, dajcie mi pokój!!

Ot, rozgniewałam się i składam pióro czempredzej i do jutra, droga.

Elka.

Moja jedyna!

Prędeż! Prędeż! Bo mi ucieknie...

Wczoraj był nad podziw cudny wieczor. Cichy, że zdaje się sły-
chać hyło drzenie powietrza, duszno trochę, jakby przed deszczem,
ale jakoś z tem balsamicznie, wonnie, odurzająco, słodko. Słońce za-
szło wielką płomienną tarczą, i podziwialiśmy odbicie jej w rzece,
i ja krzyknęłam:

— Weźmy łódkę i popłynemy przez to czerwone morze.

— Ot, znowu łódka, — zawołał Józiek. — Będziecie wyć tylko
i cały interes.

— Deklamować poezye, zachwycać się kolorami i kokietować
wymarzeniem, — zaopiniował Tadzik.

Więc zadecydowałam prędko:

— To idźcie sobie precz!

— Brawo! — zawołał Józiek. — Tadzik, urznijmy sobie winta?

— We dwóch?

— Edek, idziesz z nami?

— Nie, Edek zostaje z nami, — mówię.

— No, nie może być, — mówi Tadzik.

— A zostaję.

— Babiarz, — zadecydował Józiek. — Panie Ludwiku, chodź pan
z nami.

— Oho! Ajakże! — zawołała Jadźka.

P. Ludwik przemówił spokojnie:

— Wieczór taki śliczny...

— No, Tadzik, to my we dwóch w winta...

— Z dwoma dziadami, — uśmiechnął się Stanisław.

— Wielka rzecz! — rzekł Tadzik. — Już wolę dwóch dziadów
w wincie, niż...

Tu albo mu imaginacya nie dopisała, albo pomyślał coś grubo
nieprzyzwoitego, więc, odwróciwszy się pogardliwie od nas, odszedł
z Józkiem.

A my popłynęliśmy łódką.

Nie było ani wycia, to jest śpiewów, ani deklamacyi, ani rozma-
rzenia, a tylko poprostu słodycz taka w duszy, która wyraża się mi-
lczaniem i powagą, i zapomnieniem świata zewnętrznego.

Nie wiem, czy wszyscy tę słodycz tak, jak ja, pili, ale prawdopodobnie, bo nikt ciszy słówkiem nie przerwał, i po takiej długiej, milczącej chwili, Edek, który wiosłował, nagle zaczął cicho, łagodnie, ostrożnie gwizdać. Jest muzykalny ogromnie, widać to w rodzinie, i gwizdzie artystycznie. Było to coś niby zawodzenie ptaka, ukrytego w nadbrzeżnej gęstwinie zieleni, niby nawoływanie jakichś nieznanych, tajemniczych istot, mieszkających pod wodą, jakiś szept i jakaś rozmowa, i trochę tęsknoty, i trochę żalu — coś smętnego, czulego, słodkiego i cichego, jak ten wieczór i ta woda, łagodnie w dal sunąca.

A potem wyszliśmy z łódki i Edek nagle zawołał:

— A niech was! Człowiek całkiem głupieje. Idę w winta grać.

— Z Bogiem, — rzekł p. Stanisław.

P. Ludwik podał ramię Jadzi, a ona zwróciła się do mnie:

— Helenko, chodźmy jeszcze przejść się trochę!

I poszliśmy.

A kiedyśmy wrócili, było już bardzo późno, coś koło pierwszej w nocy, Jadźka rzuciła mi się na szyję:

— Wiesz, on się też we mnie kocha!

— To ty się w nim już kochasz?

— Ależ ma się rozumieć!

Uśmiechnęłam się, co za komik dziewczyna! Ale że byłam trochę rozmarzona, więc nie chciałam wdawać się w gawędę, śpiesznie oddałam jej dobranoc i poszłam do swego pokoju.

Siedziałam dość długo wyciągnięta na fotelu, nie zapalając światła, potem wyszłam na werendę.

Świtało. Niebo szare i zasnuwane mleczną powłoką, czuć było, że słońce wstanie blade, niepewne, nikłe i nietrwale, że dzień będzie pochmurny, może dżdżysty, zmienny, bo i w powietrzu wiatr, który się zrywał chwilami, na chwilę tylko oświeżał atmosferę, przepelnioną wilgocią.

Ptaki odzywały się kiedy niekiedy w krzakach świergotaniem łagodnym, cichem, smętnem.

Siedziałam długo, przyglądając się, jak dzień wstawał, a właściwie raczej po przez krajobraz przyglądałam się duszy swojej, aż wreszcie trochę od wilgoci, trochę od świeżości wiatru, dreszcz mnie przejął, wstrząsnęłam się, zbudziłam, wstałam, a z kolan moich zsunęły się kwiaty, z miękkim szelestem padając do nóg moich.

To on mi je dał.

Kiedyśmy wracali do domu przez sad, koło klombów i kwietników, on wyjął moją rękę z pod swego ramienia i zaczął zrywać kwia-

ty. Stałam, patrząc, jak pochylał się raz po raz, aż wreszcie nabierał ich pęk cały i, nic nie mówiąc, podał mi je.

Skinęłam mu głową milcząco na podziękowanie, wzięłam kwiaty i oto widać zapach ich mię odurzył...

Leżały teraz u stóp moich zwiędłe.

I nagle...

Śmieją się z nas, że malujemy kwiaty, kwiaty i jeszcze kwiaty. Znałam znakomitego malarza, który mi dowodził, że potrafi malować wszystko, prócz kwiatu. Ale mniejsza o to.

Nie próbowałam nigdy malować kwiatów dla kwiatów. Marzyłam o łąkach tak zielonych, że aż na duszy wesoło od tej jasnej zieleności się robi. Próbowałam odtwarzać wodę, bo woda mię ciągnie, ciągnie, do zawrotu głowy. Malowałam słońce, chmury, deszcz.

A w duszy noszę ciągle niewypowiedzianą tęsknotę, że wymalować nie umiem tego, co w niej jest, a jest w niej, prócz poczucia piękna, coś, co się nie da wypowiedzieć ani w wodzie, ani w chmurach, ni łąkach. Krajobraz, jakkolwiek cudny, nie jest to wystarczający słownik do mowy duszy mojej, i szukam, i do rozpaczy mię nieraz to bezowocne poszukiwanie doprowadza.

Czy to jest talent taka bezsilność?

Przyjaciele moi powiadają mi: talent, talent, niech tylko pani pracuje wytrwale.

Wytrwale, nie, bo nie umiem, ale pracuję nieraz z kompletnem znieczuleniem na wszystko na świecie. Nie istnieje wtedy dla mnie nic, prócz mej idei, prócz mej roboty. Potem opada mię zniechęcenie i niedokończoną pracę odkładam na bok.

Ale wracam do niej. Żyć-bym nie potrafiła bez tego szczęścia. Oddam bogactwo, znaczenie, miłość, za zdolność wymalowania wszystkiego, co mam w głowie, sercu, duszy, w oczach. Talent! Boże, jeżeli ja mam naprawdę talent, jeżeli te kilka lat studyów i złudzeń, które mię jeszcze do żadnych rezultatów nie doprowadziły, nie są straconą energią mojej duszy, jeżeli zdołam kiedy opanować rękę swoją i myśli, jeżeli na skinienie moje powstawać będą światy, Boże, jaka ja szczęśliwa! Nic więcej nie pragnę, nic więcej.

Przyszło mi coś w rodzaju pomysłu.

Chcę malować poprostu część pokoju z werendą otwierającą się na duży, zadrzewiony sad. Chcę zrobić ten nasz, zapuszczony trochę, zielony, gęsty sad. Poranek, zapowiedź poranku. Widać niebo szare, zasnute mleczną powłoką, nasiąkającą powoli. Ale czuć, że słońce, słońce, które może być, które jest wielkie, potężne, promienne, boskie, wstanie blade i niepewne, i nikłe, i nietrwale, zamierające. Czuć to, rozumiesz? Koniecznie chcę, żeby tak było. Na stoliku zaś

w pokoju, rozrzucone umierają kwiaty. W powietrzu rozlany „dziwny smutek konających kwiatów“.

Umierają, ale jak?

Chcę, żeby to były kwiaty, ale chcę, żeby to były i widma bolesne, łkające, beznadziejne. Chcę, żeby to były kwiaty, a jednocześnie wszystko, co piękne, co szlachetne, wdzięczne, pachnące, świeże, niesplamione. One rozplywać się będą, a za to wchodzić, wypełniać pokój, przysłaniać je sobą będzie jakieś jedyne, ogromne, bezkształtne, potworne widmo—Zniszczenie.

Ja to widzę, czuję, wypowiedzieć nie umiem, ale mniejsza o to. Gorączka mnie opada. Najdroższa moja, jaka ja jestem szczęśliwa, szczęśliwa, szczęśliwa...“

H.

„Praca nie idzie mi. Usposobienie widać mi nie dopisuje, zresztą zbyt mnie absorbuje p. Stanisław. Widzisz, ja bardzo jasno rozumiem, co się dzieje i niesłusznie mię posądzasz, że idę na oślep, i że jestem okrutna, rozkochując w sobie człowieka, jeżeli on tylko ma służyć do uprzyjemnienia mi pobytu na wsi.

Jesteś zbyt ostrą, Janiu, ale ja wiem, że silisz się na surowość, żeby wpłynąć na mnie trzeźwiąco.

On jest pobłażliwszy dla mnie.

Wybraliśmy się wczoraj po południu, we dwoje, na spacer. Szliśmy naprzód obszernymi, puszystymi, zielonemi łąkami, a słońce waliło na nas cały swój żar oślepiający. Potem przeszliśmy kawałek lasu, pachnącego sosną, rozpalonego do białości, i wydobyliśmy się na polankę małą, otoczoną z jednej strony lasem, a z drugiej wąwozem, i nad tym wąwozem, w cieniu rozłożystych sosen usiedliśmy, a raczej ja usiadłam na trawie, a on położył się u nóg moich i wsparłszy głowę na dłoniach, bez wstępu żadnego zaczął mówić:

— Wiem, że pani mię nie kocha, ale nie dlatego, że to ja jestem, tylko, że pani już kochać nie umie. Ale ja widzę, że ta oschłość pani serca następstwem jest i chorobą. To przejść może. Jest pani istotą tak subtelną i tak czułą, jak kwiat, i jak kwiat trzeba panią pielęgnować. Pani potrzeba człowieka, który-by dumę pani ukołysał, nerwy uspo-

koil, o którego-by pani oprzeć się mogła i odpocząć. Chciał-bym być tym człowiekiem.

Czy sądzisz, Janin, że to już miłość.

Więc co ja mam robić? On jakiś urok rzuca na mnie, z którego nie mogę sobie jasno zdać sprawy.

Ale ja ci piszę wciąż o sobie i ty zajmujesz się wyłącznie mną, i wstyd mi, że jestem taką egoistką i tobie głowę wciąż sobą tylko zaprzątam.

Moja złota, przed paru tygodniami pisałaś mi, że skończysz wkrótce swoje zajęcia na klinikach i wyjedziesz na odpoczynek do Szwajcaryi, w góry. Było-by to świetnie i szczerze-bym ci to doradzała. Podziwiam tę twoją wytrwałość w pracy, tembardziej, iż wiem, że oddajesz się jej więcej dla idei, niż przez zamiłowanie.

Wiesz, ja nieraz się zastanawiałam, jak my, będąc tak różnego usposobienia, tak jednak blizkie sobie jesteśmy. Ty bowiem dla mnie, w kwestyach uczuciowych, jesteś trochę zamkniętą księgą. Wszystko, co wiem, domyślam się tylko. Szanuję twoje tajemnice i bądź zawsze pewną mej wstrzemięźliwości na tym punkcie: nie będę ci nigdy wydierała zwierzeń, ponieważ tego tak nie lubisz. Ale wiem jednak, że podczas, kiedy ja jeszcze siedziałam w kraju, musiałaś mieć ciężkie przejścia moralne, bom znalazła cię bardzo zmienioną, kiedym przyjechała do Paryża.

Wybaczysz mi, że to przypominam?

Ale ty oparłaś się upadkowi duszy, oddając się pracy i idei, przytem nie jesteś ani przez pół tak romansową i sentymentalną, jak ja. Stąd dziwna czystość w twojem życiu i dziwna powaga w twoich życiowych poglądach. Rozczarowania, przez jakie musiałaś przejść, (kto przez to nie przechodzi?), odbiły się raczej na twoim umyśle i zabarwiły ciemno świat w twoich oczach, ale dusza twoja została pełną tego „jak być powinno“. Zazdroszczę ci. Uwielbiam cię i niema myśli, której ci nie powierzam, i zdaje się, żyć-bym już bez ciebie nie potrafiła. I zdaje mi się, że zadowoloną jestem, iż nie mam ani matki, ani ojca, ani braci, przyjaciół, bo całą zdolność mego serca tobie chcę oddać, ciebie tylko kochać.

Moja jedyna...

Eli.“

„Zazdroszczę ci tej podróży. Zdaje mi się, że cię widzę, jadącą małą bryczką pocztową, wśród skał ślizkich, szarych, ponad krawędzią przepaścistego wąwozu, na którego dnie huczy szumny Trient. A potem widzę cię ślizgającą się w welnianych, białych pończochach, nałożonych na buciki, po lodowcach Gornengratu, pod Zermatem. Osłepiający blask słoneczny barwi tysiącem kolorów lód pod twemi nogami i śnieg twardy, równy, niby polewa lśniąca, pokrywający szczyty przed tobą. A jakie tam musi być cudne, orzeźwiający i czyste, czyste powietrze! I szafir nieba mocny, twardy, granitowy, suchy.

Czemu nie wzięłaś mię z sobą?

Kocham swój kraj, tęsknię do niego, jeżeli dłuższy czas przebywam za granicą, ale nie mogę się oprzeć urokowi cudów, rozsypanych hojnie, choćby w takiej Szwajcaryi.

Banalna?

Moi państwo, ja, co prawda, nie rozumiem, jakim sposobem cudo może być banalnym. Góry, to zielone i miękkie, to ponuro skaliste, to jak śnieg białe i majestatyczne, to banalne? Kaskady wód, fantazyjnie rozbijające się po wyżłobieniach skalnych i szalonymi wirami opadające, i kołyszące się w tysięcznych dołach—to banalne? A wrzeszcze te jeziora, jak marzenie gładkie, ciche, bezdenne, tajemnicze, upajające—to banalne?

Szwajcarya banalna?

Kiedy slysze zdanie podobne, poprostu w uchu mi dzwięczy:

— Tak blisko, i podróż tak niekosztowna, cóż to za dziwo być może? Jest się czem zachwycić.

Są ludzie, którzy piękno mierzą ilością wydanych pieniędzy. Ot, cudo: dojechać tam i spojrzeć, to kosztuje tyle a tyle; nie byle co!

Czy długo będziesz bawiła w Chamounix?

Muszę kiedykolwiek w życiu tam się wybrać.

Piszesz, że tak ci dobrze, tak lekko na duszy, tak spokojnie wobec tego majestatu natury, że wszelkie troski ludzkie tutaj wydają ci się małe, nikizemne, wszelkie zabiegi ludzkie—śmieszne, a ludzkie upojenia fałszywe. Powiadasz: „jakoś człowiek tu wyrasta i potężnieje, i dusza mu wypełnia się z jednej strony ogromnem lekceważeniem życia, a z drugiej niezmierną wyrozumiałością dla ludzi.“

Mnie łąki nasze i pola napędzają wielką tęsknotę do duszy; po gładkiej, równej, nieskończonej przestrzeni zdaje się chodzi Osmętnica, jak powiada Tetmajer, lasy nasze szumią żałośnie, rzeki płyną cicho, leniwie, bez siły żadnej.

Dusza tu nie wznosi się—płacze.

A jednak tu u nas tylko nam żyć można.

Widzisz, obie od dłuższego czasu przebywamy za granicą, a obie jednak nie powiedziałyśmy sobie nigdy: tu zostaniemy! Wiemy, że, wzięwszy od obcych wszystko, co od nich wziąć możemy, wrócimy do ziemi własnej.

Ale wrócimy.

Wczoraj chodziliśmy na cmentarzyk, o kilka wiorst od nas położony. Taki cichy, mały, zaniedbany, zarosły trawą i polnemi kwiatami, cmentarzyk. Krzyże chyłące się, często połamane, nagrobki rzadka świecą kamiennymi płytami, przeważnie trochę drzewa, trochę zardzewiałej, poszczerbionej blachy; wszystko tonące w gęstej, wysokiej zieloności. Kilka wybujałych anemicznych sosen, kilka wierzb i osin z wiecznie drżącemi delikatnemi liśćmi. Grunt nierówny, piaszczysty, ścieżek niema i nieregularnie na wszystkie strony wznoszą się małe kopce, albo już trawą okryte, albo jeszcze żółtością świeżego piasku jaskrawo świecące.

P. Stanisław zrywał kwiaty i pytał się o ich nazwy.

Z początku śmiałam się, ale potem wstyd mi było, że prawie ani jednego kwiatu polnego nie znam.

— Widzi pani, to jest krwawnik. Uczniowie znają go dobrze. Ja sam, będąc w gimnazyum w Wilnie, w czasie egzaminów napychałem nim sobie kieszenie. Bo to czasem tak bywa, że niegodziwiec profesor da ci takie zadanie do zrobienia, że choć łbem o mur wal. Wtedy bierze się ot taki jeden kosmaty, postrzępiony listek... widzi pani...

— Aha.

— No i pakuje się go do nosa i zaraz bucha krew, że aż miło. Wtedy pan profesor pozwala wyjść z klasy, a już tam na korytarzu znajdzie się taki, co zadaniu podola. Pani wie, lud posługuje się nim jako lekiem. A to, wie pani, co to jest?

— Nie.

— To brzydki kwiat. Nazywa się mogilnik. Umarli dużo przez niego cierpią.

— Umarli?

— Tak. Widzi pani, mogilnik, w botanice to się inaczej nazywa, mniejsza o to, rośnie na grobie, nie pozwala trupowi ruszyć się z pod ziemi. Pani wie, że umarli w nocy, po północy, wychodzą odechnąć świeżem powietrzem i rozruszać swoje członki? Im to dużo przyjemności sprawia. bo leżeć tak lata całe pod ziemią, okropnie im się przykrzy. Otóż mogilnik nie daje im wyjść—i dość! Lud zwykle stara się wyrwać z korzeniami to ziele z grobów. Mnie stara Mateuszowa, niania moja, to opowiadała.

— Cóż jeszcze?

— Straszne rzeczy. A pani wie, że jest takie ziele, co to wszystkie zamki odmyka, i przed którym wszystkie zapory padają. Mieć je, to mieć klucz do bogactw.

— Nie wiem.

— Ja wiedziałem, że pani nie wie. Czy to „za granicą” takie rzeczy wiadome. Ot, jak pani u nas pobędzie...

— Na Litwie?

— A na Litwie. Ot, widzi pani, to tak mi opowiadała stara Mateuszowa: trzeba pójść do lasu, osinowych kołków narobić, a potem z temi kołkami pójść i znaleźć gniazdo jeża na wiosnę, kiedy tam już są jego dzieci. Trzeba to gniazdo naokoluteńko obstawić kołkami osinowemi, jak tylko jeż wyjdzie szukać pożywienia dla małych; bo to wtedy, jak on nazad przyjdzie, ani rusz wejść nie będzie mógł. Będzie więc jeż biegał i biegał koło gniazda, będzie piszczał i piszczał, ale to nic. A potem on ludzką mową zagada. Ale to nic. Trzeba czekać. Wtedy jeż pobiegnie do lasu, zabawi tam mało wiele, i przyniesie w pyszczku ziele. Rzuci to ziele, a od niego kołki osinowe popadają, jak martwe. Trzeba wtedy czempredzej to ziele chwycić i uciekać. Ot, jakie ziele!

W Paryżu tego pani nie mówili!

— Nie.

P. Stanisław dzieciństwo swoje spędził na wsi.

— Ja, pani, jak majątek zrobię, zaraz-bym chciał kupić sobie ziemi kawał. Co to za życie na wsi, żeby pani wiedziała!

— Dziękuję! wytrzymać-bym nie mogła na wsi.

— A bo pani nie wie. Jak ja znajdę taki klucz, ziele, co nie tylko zamki, ale i dusze otwiera wszystkie, to pani wtedy inaczej powie.

— Ale pan nie znajdzie.

— Kto to wie.

Nie braknie mu aplombu, co? Niepotrzebnie się troszczysz o niego, on sobie radę da. To jest niby cicha woda, ale czasem ma taki błysk w oczach, albo taki wyraz w ustach, że mnie obawa zdejmujel

Boję się, że ten człowiek, to, co postanowi, zrobić może i aksamitnemi rękami prowadzić potrafi, aż zaprowadzi, gdzie chce.

Ale to przesada.

Dość na dziś. Pisz, pisz często i obszernie, i szczegółowo. Ja daleko więcej pisuję.

Twoja

Elka.“

AL. SUSZCZYŃSKA.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Szujski jako poeta.¹⁾

Maryna Mniszchówna" (rok 1874), składa się z dwóch części osobnych: „Dymitr Pierwszy“ i „Dymitr Drugi“. Pierwszy ma się za samozwańca, ale jest naprawdę synem Iwana, jak się po jego śmierci pokazuje; drugi jest samozwańcem zupełnym ze świadomością swoją. Maryny, wszystkich, prócz oszukanych ciemnych stronników.

Maryna jest natura energiczna, dzielna, może stworzona do rządzenia, przedewszystkiem i nadewszystko dumna. Tak dumna, że sama siebie nie rozumie, nie może swoich pragnień i myśli pomieścić w swoim zwykłym życiu młodej dziewczyny: nie może sobie dać rady. Niespokojna, unoszona jakimiś marzeniami, z których sobie sprawy zdać nie umie, odurza się i zagłusza te porywy wyobraźni szaloną

¹⁾ Patrz zeszyt majowy.

jazdą na szalonych koniach, zachceniami, których ojciec, ani zrozumieć, ani poskromić nie może. Kocha ją, stara się o jej rękę, Jan Sapięha—ojciec mu sprzyja. Panna także—gniewa ją, upokarza, ale nęci i podbija jego umysł stateczny, jego wola pewna siebie, jego charakter pewny a niezłomny. Kochała-by go, kocha go nawet, ale kochać nie chce, coś się w niej tej miłości i temu zamęściu opiera. Co? дума. Ona wie, że temu musiała-by ulegać, ten nie zrobił-by, nie dał-by zrobić nic, coby nie było zupełnie prawem i szlachetnem; że pomiędzy dumą, a cnotą przy nim musiała-by zawsze cnotę wybrać, a dumę poświęcić. To ona instynktem czuje, tego się boi i dla tego Sapięhy nie chce.

A kiedy tak waży się sprawa jego zalotów, przychodzi do Sambora wieść o dziwnym człowieku, który się podaje za syna i spadkobiercę Iwana, o tem, że uwierzyło w niego dużo kozaków i ludu, o tem wreszcie, że ten dziwny pretendent do korony pojechał do Krakowa, królowi pretensye swoje przelożyć, że w nich jednak coś słusznego i prawdziwego być może... Wreszcie, wieść najważniejsza: pretendent z Krakowa obraca drogę na Sambor, i tylko patrzeć, jak stanie w zamku.

To rzecz z góry ułożona pomiędzy nim, a wojewodą Sandomierskim.

Pretendent potrzebuje wojsk i pieniędzy panów polskich: za poparcie i pomoc obiecuje dać koronę wojewodziance. Mniszecz, z dumy podobny do córki, w prawdę jego słów i w jego prawa nie wierzy, ale sukces przypuszcza i daje się porwać nadziei, która głaszcze jego pychę.

Ale jest w układzie jeden jeszcze powód, którego wojewoda nie zna, a który się odsłania w rozmowie, jaką młody pretendent zażądał mieć z przyszłą narzeczoną. Niegdyś, rok temu, czy dwa, Maryna bawiła u swojej siostry w Wiśniowcu. Weszła raz do cerkwi. Był tam młody czerniec, od dziecka w monasterze chowany, bezsennością, postami, umartwieniami tłumiący i zwyciężający wszelką myśl o ziemskim życiu i szczęściu. Ale ujrzał ją—i w jednej chwili świat się zmienił dla niego i on się zmienił.

Czart nie dał w klęczniku usiedzieć,
 Że czerńca szacie ubliżając świętej,
 Wobec Chrystusa, co wisiał rozpięty,
 Szalonym ku wam rzuciłem się skokiem,
 Żem padł na ziemię, znicestwion urokiem
 Waszym, i dłonią żelazną, skurczoną,

Nim się obronić mogliście napadu,
 Oplótl tę kibić, jak liść winogrodu,
 Cbwilę przy łonie czuł dziewicze łono—
 A ramię wasze, silne jak Bellony,
 Pchnęło mnie o ziem, gdzie padł znicestwiony.

Uciekł z klasztoru: poszedł między ludzi—musiał zostać czemś takim, iżby mógł jej zażądać, ją posiadać. Ludzie uwierzyli. Czemukolwiek jest, wszystko jedno! Dla niej on na siłach zdobyć tron, z nią, przy niej, zdobędzie świat i rzuci jej pod nogi.

Maryna pyta na osobności ojca, czy wierzy w tego Dymitra? Odpowiada wymijająco: oczywiście wszakże nie wierzy. Ale udawać mogą i będą. Przyjmują oboje. Sapieha z nimi na wyprawę iść nie chce. Tylko gdyby kiedyś Maryna była w niebezpieczeństwie, gdyby potrzebowała obrony i rady wiernej, niech da znać, a przybędzie.

Zwycięstwo! Dymitr i Maryna w Kremlinie! Ale instynkt polityczny i duma Maryny czuje, że na zwycięstwo impetu starczyło, na panowanie warunków niema, a rzeczy odrazu zaczynają się źle. Polacy psują sprawę swoją swawolą i butą; bojarowie, pokorni w oczy, za oczami gotują bunt, albo czekają doń sposobności. Król Zygmunt ociąga się z uznaniem, a Wasyl Szujski zręcznie ludzi go nadzieją, że sam mógł-by zasiąść na tym tronie. Maryna to odgaduje, widzi, i próbuje przeciągnąć Szujskiego na swoją stronę innemi widokami. Nie król Zygmunt tutaj, nie—ale Zygmunt strącony, a na jego polskim tronie Dymitr, i ona? to myśl wielka, to dzieło, któremu poświęcić się warto. Wasyl przebiegły, mądry: nie chce. Ani to potrzebne, ani bezpieczne; przez takie połączenie mogła-by się tu dostać zaraza polskich wolności. Nie pozyskała go! Rwie się jej w ręku jedno po drugim. A na domiar złego, ten Dymitr bije się jak lew, ale po bitwie miękki, czuły, rozkochany, dobry, w lasach poluje, albo u jej nóg leży... cóż z tego, że go opanowała, że go prowadzi, jeżeli on poprzestaje na tem, co ma, a więcej nie żąda. Ona go lekceważy—on ją zaczyna znać i sądzić. Ale tak zakochany i opętany miłością, że przez tę miłość potrafi w jej oczach być i wielkim, i groźnym. Pójdzie na Turcyę—Stambuł rzuci jej pod nogi; ale jeżeli ona taka będzie twarda, a bez dobroci i względu, jaką się pokazuje, to niech przed nim drży.

Marzy biedny Dymitr—uczuciowy, szlachetny, rycerski. Nim pójdzie na Stambuł, musiał-by na swoim tronie się ustalić, a ten tron z każdym dniem widoczniej się chwieje. Między ludem coraz głośniej szerzy się wieść, że on szalbierz: w mieście rozruch gotowy;

Wasył Szujski na jego czele, więc Wasyla uwięzić. Maryna rozkaz wydaje, ale napróżno. Niebezpieczeństwo wzmaga się z każdą chwilą. Wtedy przychodzi jej myśl szalona: opuścić, wydać, zdradzić Dymitra, a samej zostać na tronie. Pochlebcy ludzą ją umyślnie, że to się udać może. Dymitr, kiedy ją zgaduje, kiedy się na niej poznał i zawiódł, obojętnie na wszystko. Gdyby nie swoją głową rządziła, Szujskiego więziła i skazywała na śmierć, on byłby może zdołał się utrzymać, a wielką zwycięską wojną ten naród do siebie przywiązać. Teraz za późno: on zgubiony, Maryna niech sobie radzi sama. Żeby jej jakąś deskę ratunku zostawić, ułaskawia Szujskiego, niby na jej wstawienie się, ale i to napróżno. Ułaskawiony wzruszyć i przejednać się nie dał; a w rozmowie ostatniej z Maryną, jednej z lepszych scen sztuki, nienawiść wzajemna obojga przemawia z niezaprzeczoną energią.

Jeżeli jest sposób ratunku, to jeden tylko: przekonać lud, że Dymitr jest synem Iwana. Jak o tem przekonać? Od długich lat żyje w monasterze wdowa Iwana, Marfa, postrzyżona na mniszkę z rozkazu Godunowa. Marfę spowadzić; prośbą lub groźbą skłonić ją, by Dymitra poznała i przyznała za syna. Imię to samo, osoba inna, niż u Demetryusza Schillera. Tamta chce się mścić za swoje nieszczęście i gotowa jest uznać Samozwańca, choćby sto razy był Samozwańcem; ta jest bierna z natury, bierna ze wszystkich kolei życia, a tak złamana nieszczęściem, że obojętna na wszystko. Żyje tylko wspomnieniami swojego małego zabitego synka, a jedyną pociechą, jedynem szczęściem, jest jego sukienka, która została, którą nosi przy sobie, rozwija, ogląda, pieści. Piękne to i rzewne—ale sukienka małego Dymitra przypomina smutek Konstancyi w królu Janie Szekspira, ten smutek, co zastępuje dziecko, ma jego twarz, ruchy. patrzy jego oczyma, mówi echem jego głosu. Sukienkę zabiera Maryna—odda, jeżeli Marfa przed całym ludem uzna Dymitra za syna. Ona gotowa: ale Dymitr nie chce, nie chce okrucieństw nad biedną starą nieszczęsną, oddaje jej sukienkę. I w tej chwili oboje czują do siebie jakiś pociąg dziwny, tajemniczy; chcieli-by na siebie patrzeć, mówić z sobą—za późno! Walka zaczęta, Dymitr po krótkiej obronie pada. Marfa, wdzięczna za litość, klęka nad nim i chce mówić pacierz, a schyliwszy się, widzi znamię, krzyż łaciński na jego piersi. To pewno wszystkie lackie dzieci rodzą się z takimi krzyżami... jej mały Dymitr miał taki, i za to jej urągano, że urodziła lacha, łacinnika... Jakto? wszystkie dzieci polskie, katolickie, nie są tak znaczone, a więc?... a więc?—Obie kobiety poznają teraz, że Dymitr był synem Iwana, prawdziwym, Marfa umiera na miejscu ze wzruszenia, Maryna w tej chwili czuje jakieś nowe życie w łonie, czuje się matką. Już

nie dla siebie tylko, dla swego dziecka, postanawia zostać i panować.

Taka jest pierwsza część Maryny. Piękne ustępy są, ale całość, przyznać trzeba, pomyślana lepiej, niż wykonana. Jakoś to wszystko, zwłaszcza w dwóch dalszych aktach, idzie za prędko; zamysłów i uczynków za wiele, przez to nie dość wyraźne, nie dość rozwinięte. Figury poboczne, ich wyrachowania, zamiary, postęпки, może stosunkowo zajmują miejsca za wiele, a dwom głównym zostaje go za mało na pokazanie wszystkiego, co chcą i czują. Wymyślone są bardzo dobrze, rozumnie; nie są dość stworzone. Zwłaszcza Dymitr ze swoją naturą sympatyczną, bohaterską, mógłby być figurą bardzo piękną, gdyby stał więcej na przodzie, był bardziej na widoku. W jego roli zaś i postaci jest jeden rys bohaterstwa fałszywy, niesmaczny. Kiedy zwyciężył w bitwie, ramię z mieczem tak mu się z wielkiego zapалу kataleptycznie wyprężyło, że go zgiąć nie może. Takie fizyczne ułomności, czy przypadki, nie oznaczają, i nic nie dodają w poetycznych kreacyach. Maryna w swojej niewieściej żądzy panowania i pysze, znowu dobrze wymyślona, twarda, gotowa do zbrodni, jak lady Macbeth, politycznie zdolna, jak Elżbieta, czująca się na siłach panować sama przez się, jak Semiramida, w teorii ma wszystko, co w jej postaci być powinno, ale w praktyce wrażenia wielkiej siły i namiętności nie robi.

W części drugiej ukaranie pychy: Maryna przez pychę dochodzi do upokorzenia, do poniżenia, do ostatniej poniewierki i sromoty.

Rozniosło się to między ludem, że Dymitr był prawym następcą Iwana, że go matka poznała.

A jak nieraz w podobnych przypadkach, rozeszły się i baśnie, że nie zginął, że uszedł; że się ukrył, że wróci: jak nieraz, pokusa dla śmiałych oszustów i awanturników

Ten, który teraz udaje się za Dymitra, sam nie byłby wpadł na pomysł. Namówił go, uderzon zdumiewającym podobieństwem, Mieczowiecki, awanturnik ostatniego rządu, który się do wyprawy Mniszcha przyczepił, zdradził już i Dymitra i Marynę, teraz próbuje szczęścia przez tego szalbierza i przy nim. Dymitr drugi jest religijnym fanatykiem, mistykiem po części, starowiercą zagłębianym w czytaniu Pisma Sw., człowiekiem ciemnym zresztą, prostym chłopem, a naturą dziką.

Ma nienawiść do panowania Beliala, ma nadzieję, że przyjdzie panowanie synów bożych. W czasach zaburzeń i wstrząśnień zdarzają się takie prorocze i królewskie powołania i złudzenia: Jan

z Leydy był może do tego starowiercy podobnym. Kiedy mu powiedziano, że jest zupełnie taki, jak Dymitr, że może opanować tron, jego fanatyzm dał się porwać, bo mówił, że to Bóg daje mu sposobność, a jego wybiera za narzędzie. Nadzieja korony, potęgi, zbytku, używania, zawraca mu głowę i działa na jego zmysły. Kiedy mu przynoszą bogate suknie, łechce go miękki jedwab, olśniewają złote hafty, budzi się w nim tysiące pragnień nieznanych.

Ale powodzenie jego szalbierstwa zależy od Maryny. Jeżeli ona go za męża nie przyzna—zginął.

Maryna, uprzędzona, rozważyła już dobrze, że sama tego tronu nie opanuje, dla spodziewanego dziecka nie uratuje — ale gdyby się znalazł Dymitr... kto wie...

Kiedy więc on czeka jej pośród zgrai czy tłuszczy, która jest jego wojskiem, niespokojny, niepewny swego losu, ona przybywa, i w obliczu tych wojsk rzuca mu się na szyję z uniesieniem szczęścia i miłości, w długiej przemowie ledwo może zmieścić te uczucia, które jej rozsadzają serce. Ale gdy zostali sami, we dwoje, on nie godzi się na udanie, na komedję: jest carem naprawdę, a więc jej panem i mężem. Uznała go i on teraz silniejszy od niej, a chce być tem, czem go zrobiła. Miechowickiego, jedyne powiernika szalbierstwa, zabił własną ręką: teraz tylko ich dwoje wie o prawdzie, a ona współnictwem szalbierstwa do niego przykuta, jeżeli chce być carową, musi cara słuchać i być jego sługą. Piękność, jakiej nigdy nie widział, zbieg okoliczności, który mu ją w ręce oddaje, budzi w nim wszystkie żądze, wszystkie siły, i wszystkie wściekłości. Szytylet w ręku Maryny go nie straszy, a jej wstręt, odraza, gniew, rozpacz, to go tylko przyjemnie drażni i nęci. Ona musi być jego rzeczą, jak piękna suknia, w którą go ubrano, jak dobre wino, które pije.

Nieszczęśliwa widzi, co zrobiła—a odwrotu niema. Wracać do Polski? ze wstydem? nie chce, woli wszystko znosić, wszystkiego jeszcze próbować.

Wraca do Polski z ojcem, którego sama do tego skłania; przy pożegnaniu żal jej dawnego życia, żal tego kraju, z którego wyszła —ale zostaje.

W drugim akcie widzi się ją nad kolebką synka. I to jej miłość prawdziwa. Jego kocha, dla niego już, nie dla siebie, chce zostać, chce tron zdobyć—a nadziei coraz mniej. Hufce polskie, co z nią przyszły, odchodzą: szalbierzowi służyć nie chcą. Napróżno błaga, by zostali dla jej syna, ten ma prawo, ma dobrą sprawę... gdzie dowody? Dowodów ona nie ma. Opuszczają ją wszyscy, niema innego środka, innego oparcia, innej siły, jak w nienawistnym szalbierniku. Tylko Sa-

pieha, niegdyś kochający i kochany, przybiegł, jak obiecał, w chwili niebezpieczeństwa, ale cóż on może zrobić? Poświęcić się, zginąć, nie zwyciężyć. Na to ma sił za mało, garstkę ludzi tylko.

A tymczasem wojna się toczy, nieprzyjaciel się zbliża. Car Wasyl Szujski złamany, zbielały od trosk, zwołuje bojarów i lud na rady. Odebrał wieści — Żółkiewski zwyciężył pod Kluszynem, ma drogę otwartą do stolicy. Na to wpada syn Wasyla, Skopin, ranny, umierający, i potwierdza wiadomość, opowiada, jak się to stało, i kona.

Car Wasyl bronić się nie będzie. Wojsko niech idzie z miasta, w świat, w różne strony—bojarowie niech się rozlecą po kraju, niech każdy w innej stronie siedzi i rozkazuje. Mitrę swoją starzec rozdziera na trzy części, każdemu z bojarów daje po jednej: tylko krzyżyk co na wierzchu mitry ma zostać w stolicy. Kto go weźmie? komu od dać? Wszyscy myślą, że z wielkiej boleści Wasyl zmysły postradał—rozumiał go jeden, rzeźnik Minin. Wojsko się ma rozejść, żeby nie zginęło dziś, a wróciło jutro, lub pojutrze. Bojarowie mają się rozejść, żeby do wojska werbować, ściągać, i czekać na sposobną chwilę. Krzyżyk ma zostać, jako symbol korony, i zakład, że ona powróci, i z rozdartych części znowu złoży się w całość. Jemu Wasyl oddaje krzyżyk, jemu każe czuwać i upatrzeć chwilę odwetu. Sam czeka spokojnie swego losu. Po klęsce, po śmierci syna, co się z nim stanie, to mu wszystko jedno, i wszystko jedno jego sprawie.

Żółkiewski przychodzi. Nie jako zwycięzca, lecz jak sprawiedliwy, jak przyjaciel. Jedna staje mu wbrew Maryna. Ona ma prawo, jej syn ma prawo, i tego prawa nie puści. Świetnie, namiętnie, a trafnie przepowiada mu, że zdobył, ale utrzymać się nie zdoła, że marny będzie koniec jego wyprawy i chwały. A jeżeli nikt inny, to ona będzie z nim walczyła na śmierć i życie.

Ale na teraz jest pobita—walczyć nie ma czem, opuściło ją wszystko; zostaje tylko jedno, Dymitr. Ten jeszcze ma stronników, jeszcze ma swoje podobieństwo do tamtego—może się przydać. Podaje się szalbierzowi, bierze z nim ślub, przyjmuje jego wiarę.

I to na nic; tylko powód nowej śmiertelnej trwogi. Maryna chce korony dla swego syna, Dymitr dla siebie. To dziecko mu zawadza, zazdrości dziecku. Prosi Maryny, żeby mu je darowała, ustąpiła zgodnym sposobem: innym razem zakrada się z nożem. Matka ledwo ustrzegła, ale musi strzedz, czuwać nad dzieckiem dniem i nocą. Wśród tego scena miłosna między tem małżeństwem. Rzadko widzieć coś tak otwartego, brutalnego, jak umizgi i oświadczenia tego pijaka. Czy Maryna, kiedy je znosi, chce go złudzić, oszukać, żeby się go pewniej pozbyć, czy naprawdę upadła tak nisko, że on ma

dla niej jakiś czar, nad nią jakąś władzę? dojsć trudno—to pewna, że w obawie, by dziecka nie zabił, zabija go sama.

Żółkiewskiego niema już dawno. Garstka polskiej załogi pod Sapiehą broni się jeszcze, ale długo bronić nie zdoła. Głód, brak prochu. A Minin się podnosi, bojarowie się schodzą, koniec blizki. Minin wie, że synek Maryny jest wnukiem Iwana, prawym dziedzicem tronu: dla niego działa, jego ukazuje swoim stronnikom, jako przyszłego Cara. Czemu, kiedy Maryna chce mu dziecko oddać, powierzyć, nie bierze go do siebie, z powodu, że dziś nie ma czasu, czy w domu nie ma miejsca? Zrozumieć trudno. Dość, że nieszczęśliwa bez dachu, bez przytułku, błąka się z dzieckiem po mieście, aż ją żołnierze przyprowadzili do Sapiehy, do oblężonej baszty. Minin idzie do szturm, Maryna chce jeszcze z murów dziecko pokazać, ratować: Sapieha rzuca głównie w lochy, w skład prochu, i wysadza w powietrze basztę, ze wszystkim, co w niej było.

Plan jest bardzo doskonały, sytuacje bardzo tragiczne, w charakterystyce osób jest energia i jest prawda: dla czego więc dramat nie jest zupełnie dobrym? Dla tego, że sytuacje i figury są traktowane zbyt pośpiesznie, pobieżnie, szkicowane, a nie rozwinięte. Pod koniec zwłaszcza, od bitwy kluszyńskiej idzie to wszystko tak szybko, tak nagle, że chwilami staje się niewyraźnem. Czytelnik nie zawsze zrozumie od razu zamiar, powód postępku, lub postępek działającej osoby.

Są też i pomysły błędne, sceny w wyobraźni poety źle poczęte, na przykład owo rozdzielenie korony na trzy części fizycznie niepodobne bez narzędzi, przez to w scenicznym przedstawieniu i trudne, i chybające celu, wreszcie jako wyraz rozpaczcy i determinacyi starego Wasyla Szujskiego, zbyt naprężone, a cokolwiek wyszukane, sztuczne.

Wspaniałe jest opowiadanie Skopina o bitwie pod Kluszynem: jedna z najpiękniejszych rzeczy w całej poezyi Szujskiego.

Zaczął wreszcie wykonywać się dawny ulubiony zamiar: ustalały i skupiały się w myśli poety te „schwankende Gestalten“, z których miała się złożyć tragedia Ossolińskiego. Jej część druga, „Śmierć Władysława IV“, wyszła w roku 1876.

Dojrzywały te pomysły, postacie nabierały treści, fizyognomie rzeczywistości, przez długie lata historycznych nauk i badań, współczesnych doświadczeń, bolesnych rozmyślań nad przeszłością i teraźniejszością; a kiedy wreszcie wcieliły się w dramat, złożyły obraz rozzdzierający smutkiem, zdumiewający głębokością i wagą myśli, tragedję, może nie doskonałą pod artystycznym i scenicznym względem,

ale tragedję dziejów, tragedję polityczną, w całym tego słowa znaczeniu i z całym jego przystosowaniem.

Jaka jej nauka, jej myśl:

„Narody, które stanęły w pół czynu,
Giną jak wielkie bez dachu budowy:
W górze im grozi obłok piorunowy,
Grunt podkopuje im niepokój gminu,
I w niwecz pójdą podniesione mury,
Gdy czyn nie wzniesie sklepienia struktury.

A treść, przykład, na którym się ta nauka okazuje i wyraża, to czas Władysława IV, to jego zamysł wojny tureckiej, niezrozumiany, odepchnięty, to jego śmierć, w chwili kiedy Korsuńska klęska otwierała śluzę potopowi klęsk innych, kiedy w dziejach począł się zwrot, przyspieszonym pędem, aż na dół.

Aktorowie tragedyi, to król, który powolnością, folgowaniem, chciał i mniemał tak ufność i miłość poddanych pozyskać, ażeby oni wzajem powolni poszli za głosem jego na Turka, a kiedyś synowi jego dali koronę: król, który widzi, że się przerachował, zawiódł, że temu narodowi zbyt wygodnie i dobrze na to, by chciał podjąć trudne przedsięwzięcie, który rozumie, że jeżeli jego myśl nie stanie się ciałem, Rzeczpospolita rozpręgać się zacznie, a wielki polityczny cel, ukoronowanie potęgi, osiągnięty będzie—nie przez niego, nie przez Rzeczpospolitą. Rozumie to, a jednak waha się, gotów zamiaru się zrzec, żeby tą powolnością wybór syna na przyszłość okupić. Zrażony, powtórnie bierze nakiel, chce iść na przebój—za późno! syna stracił, a sam umiera w chwili, kiedy zerwała się burza.

Aktorowie tragedyi dalej, to Ossoliński, kanclerz, który myśli i rozumie jak król, który pracuje nad tem, żeby sejm do wojny skłonić, jest tego blizkim—kiedy przeciw niemu, i przeciw królowi obraca ten sejm zazdrość i zemsta, gnusność i niedołęstwo wielkich panów, łatwowierność, zmienność, płytkość szlacheckiej opinii w sejmie. To Kazanowski dalej, wielki marszałek, który z dzielnością i rozumem łączy wstręt do tych płytkich i ciasnych, a tym wstrętem tak ich wyzywa i drażni, sobie tak dogadza, że przezeń, przez tę swoją namiętność, psuje i udaremnia wielkie dzieło w chwili, kiedy udać się mogło. To dalej Hetman Polny, wcielenie tych pych pełzających i tych zemst nikczemnych; to Baranowski, poseł sejmowy, wcielenie tych uczuć dobrych, a myśli niejasnych i woli nieświadomej siebie; to wre-

szcie Chmielnicki z Kozakami — a scena, na ktorej się ci aktorowie poruszają, to zwrotne stanowcze „Dwa lata z naszych dziejów“, które opisał Szajnocha, to wypadki roku 1646 i 1648.

Ten stan rzeczy, na pozór błogi, naprawdę niebezpieczny, odsłania w głębokich, śmiałych, groźnych rysach na początku sztuki. Nun-cyusz papieski i poseł wenecki, którzy przybyli po to, by związać koalicję przeciw Turkom, widzą, że celu nie osiągną. Król chce, ale jego woła nie wystarcza. Chcą wyjeżdżać. Mówią królowi w oczy, że tu nie znaleźli Państwa.

Sala na zamku królewskim. W głębi inne sale.

SCENA 1.

TIEPOLO — TORRE.

TORRE.

Te dźwięki trąb, ten skrzypiec dźwięk ochoczy,
 Ten światła blask, co stare razi oczy,
 O naszej sprawie złę nam tuszyć każe:
 W płas ci sarmaccy puszczeni bojarze,
 Już wojennego odegnali ducha:
 Miłosnej pieśni każdy raczej słucha,
 W Corso się zmienia bogata Warszawa,
 Oliwne liście puszcza berło stare,
 Które tylekroć w rękach Władysława
 Za chrześcijaństwa stawało i wiarę.

TIEPOLO.

Dobrze tej Polsce: na rozkosznych łańcuchach
 Przeciąga kibić niewiasty dojrzałej,

Wznoszą się gmachy o złocistych ścianach,
 A co ma w zbytku świat, co zniewieściwały
 Wschód, co wykwintny Zachód w sobie chowa,
 Poszło dywanem ślać się pod ich stopy
 Najszczęśliwszego z ludów Europy.
 Niemcy pustynią—zaraza morowa,
 Niszczy zakątki, gdzie wojna nie sięga,
 Anglię wewnątrzna zamieszka rozprzęga,
 Francya zaledwie oddychać poczyna,
 Nam, Włochom, jarzmo grozi poganina,
 Najpierwsza z koron, co w dwóch światach włada,
 W trumnie Filipa układa się błada:
 Oni potężni, trzem wrogim sąsiadom
 Spisali pokój — teraz spać się kładą.

TORRE.

Gorzej, do uczyty Baltazara siedli!
 Wiedziono zawsze tych, którzy nie wiedli:
 Spokój narodów jest spokojem śmierci;
 Niepłodne drzewo robak w słoju wierci:
 W ruchu jest życie, w walce, w niepokoju,
 Bóg nie dał spocząć w dziejowej szermierce;
 A gorszym ciosem od ciosu wśród boju,
 Jest bezwładności cios — uderza w serce.

TIEPOLO.

Jednak nie traćmy, zacny Monsignore,
 Jeszcze nadziei. Czyli nie uważasz,
 Że kiedy z królem toczy się rozmowa,
 W tem wielkiem oku często płomień gore.
 Z ust popędliwe wypadają słowa,
 Że go tą ligą turecką rozmarzasz,
 Jak dziewczę, kreśląc mu kochanka duszę.
 Liga mu srogie zadaje katusze,
 Poblądł, wśród mnogich wesela festynów
 Patrzy ponuro i milczy zakłęcie,
 Znać wielkie w głowie waży przedsięwzięcie.

TORRE.

Lub jak bojowy koń zuje wędzidło,
Przez enych Korony założono synów.
Nie! już mi próżne poselstwo obrzydło,
Obrzydły mowy i rady senatu,
Głoszące tylko starą nowość świata,
Że król mniej znaczy, niż w Wenecyi doża;
Że Polska, pani od morza do morza,
Musi Turczyna szanować przymierze,
Jeżeli na Warnę chętką ją nie bierze.
Wrócę i powiem ojcu chrześcijaństwa,
Żem zastał naród, lecz nie zastał Państwa.

Zaraz potem Jan Kazimierz przychodzi brata pożegnać, jedzie do Rzymu. Tu nie ma co robić. Wstąpi do zakonu. Król próbuje wstrzymywać, liczył na brata, że kiedyś będzie opiekunem syna: królewicz opowiada, że jako z Rzymu przysłany nuncyusz, czy kardynał, jako reprezentant Stolicy Apostolskiej, potrafi prędzej synowcowi pomagać, niż jako prosty w Polsce syn królewski, któremu nikt nie ufa, nie począć nie może, bo jest królewskim synem.

JAN KAZIMIERZ.

Służbą u mocarza
Zagranicznego nie chcę skarżyć światu
Zazdrości polskiej, co dla braci pana
Skąpi rycerstwa szranków i bułatu.
Nie chcę, ażeby dom rakuski wiedział,
Żem tu bezczynnie niezaszczytnie siedział,
Bo naród bał się służby Wazowicza.
Nie! komu Polska danku nie użycza,
Bogu samemu służyć tylko może.

KRÓL.

Słowa twe mierzą w pierś moją, jak noże.
O brak dzielności skarżysz swego brata.

JAN KAZIMIERZ.

Stoisz wśród pierwszych bohaterów świata:
O brak dzielności nikt cię nie posądzi.

KRÓL.

Licha to dzielność, co swymi nie rządził
Co obzową przeniosła zażyłość
Na tron królewski, co chciała przez miłość
Władać i szukać narodu poklasku:
Oni mnie za to powiedli na pasku.
Wiem to i widzę... Przed chwilą posłowie
Obcy to samo w oczy mi wyrzekli,
Ale to późno... i nie mojej głowie
Wznieść się z upadku, w który mnie zawlekli:
Nie mnie w sprzeczności stanąć z mym żywotem.
Mam syna i mam ciebie... Ty go młotem
Zrobisz, co ściany tej klatki potrzaska,
W której mnie trzyma elektorów łaska.
O jedno chodzi mnie, i to przewiodę:
Oni mi syna za życia obiorą,
Ty krzepić będziesz kroki jego młode,
Ty będziesz radą, pomocą, podporą:
Ty powiesz jemu, com cierpiał przed laty —
Dla tego księżej nie chcę dla cię szaty.

JAN KAZIMIERZ.

O! wielką złudą duch się twój kołysze:
Polak elekeyi aktu nie podpisze
Za życia twego. Nie ja, senat cały
Zuzdrośnie będzie strzegł twojego syna.
Polak zapomni, żeś był tak wspaniały,
By zwalczyć w sobie marsowego ducha...
A na twyn grobie on chętnie posłucha
Może zarzutu, żeś na poganina
Go nie wiódł, z Moskwą nie rozpoczął boju.
Dałeś mu pokój — on wrogiem pokoju;

Dał-byś mu wojnę — on-by nie chciał wojny.
 O twego syna jam nie tak spokojny,
 A że do progów Apostolów dążę,
 I jego droga wiedzie mnie tam głowa:
 Jeżeli po tobie mnie Pan Bóg uchwowa,
 Nie jako brat twój, lecz duchowny ksiązę,
 Kardynał, nuncyusz, zjadę tam — na Wolę,
 I twemu dziecku tronu nie pozwolę
 Zabrac, o powiem, co i ich poruszy,
 Powiem... żeś wielkie cierpienie miał w duszy!

KRÓL.

Jedź! Wyczerpane moje argumenta.
 Ale się nie śpiesz zbyt zbytnie z ślubami...
 Nie czyń beze mnie... Może dowodami
 Innemi strzelę...

Król ustępuje, głęboko w sercu zraniony tą nieufnością obcych dworów, tem zniechęceniem własnego brata, a jak na urągowisko występuje mu teraz dwór świetny, strojny, rozbawiony, pusty, otaczający niedawno przybyłą królowę, która się dziwi i nie rozumie, że ich widzi tak rozmiękczonymi, tak beczynnymi. Ona myślała, że tu zastanie rycerzy—i wojny.

ZASŁAWSKI

(do królowej).

Dziwnie tą włoską muzyką ja pieszcę
 Ucho, italskie wspom nając gaje,
 W których co chwila inny pomnik staje
 Przeszłości, Rzymian wspominając dzieje,
 Albo poetów, jak ich pieśń się leje
 Z falernem razem... Pani miłościwa
 Czy także chętnie muzyki zażywa?

MARYA GONZAGA.

Nie ma dwór Francyi tak pięknej kapeli,
 Jaką zastaję na tutejszym dworze!
 W burzliwe czasy młod. śc. moja może
 Przypadła, włoskich może nie znosząca treli;
 Trąb się i rogów nasłuchiłam wiele...

HETMAN POLNY.

U nas Bukolik teraz czas nastawa,
 Pod mądrym rządem króla Władysława,
 On uspokoił wyjące gardziele
 Dział i błogiego używamy wczasu.

MARYA GONZAGA.

Starym rycerzom czyliż do hałasu
 Wojny nie tęskno? Kto Polskę zobaczy
 Dziś, jutro wojnę widzieć się spodziewa:
 Mówią o wojnach niebotyczne drzewa
 Koło pałacu — Wisła, co majaczy
 Srebrzyską wstęgą, zda się szarfą cała,
 Aby olbrzymi jakiś miecz trzymała.
 Gdy mnie witano, tak konno i zbrojno,
 Pytałam: Wojna? i cóż słyhać z wojną?

WIŚNIOWIECKI.

Królowo pani! przybądź w nasze strony,
 Teatrum wojny wyprawę w momencie!
 Tatar na wszelkie skory przedsięwzięcie
 I Kozak z Niża, chociaż potłuczony,
 Gotów wyszczerzyć janczarkę z ostrowia!
 Corocznie jeżdżę na wojnę, — dla zdrowia!
 Jeśli królowa, co marsowych twarzy
 Ciekawa, łaską mnie swoją obdarzy,
 Wyprawę bitwę pod Wiśniowca bramą...

ZASŁAWSKI.

Ja pod Zaslawiem potrafię to samo.
Tryumf następnie urządzim wspaniały.
Fraszka te, które u starych bywały.

KONIECPOLSKI.

Nie takie wojny pani naszej godne.
Polska ma dzisiaj niebiosą pogodną,
W wielkim szacunku mają nas sąsiedzi,
Bo wiedzą, jaki król na tronie siedzi.
Alem nie przestał, jako wierna rada,
Mówić: i mówię, że przyjaźń sąsiada
Niepewna, jeśli zbyt dłoń odwyka
Od wstępnych bojów, jak się z naszą dzieje:
Przyjaciół jutro przejdzie w najezdnicę,
Sojusznik jutro przynierze wysmiejce.

Z tych słów starego Hetmana wysnuwa się zwada, materialny powód dalszych zawikłań dramatu, i wysnuwa się znaczny w nim błąd. Chciał Szujski pokazać, że prywatnie w różnych odcieniach — zazdrości, pychy i podobnie — udaremniła zamysł króla, i ten ratunek Rzeczypospolitej, jakim mogła być wielka wojna z Turcją. Głównym przeciwnikiem tej wojny był Stanisław Lubomirski, niegdyś razem z Chodkiewiczem chocimski zwycięzca. Ale w nim nie znajdował poeta tych wszystkich rysów, w jego życiu tych faktów, które były potrzebne na typ ogólny takiego magnata zawistnego a zuchwałego. Stwarza więc postać fikcyjną, która łączy w sobie wszystkie te przywary, jakie w różnych stopniach miał cały genus ludzi podobnych, i tej figurze daje główną rolę w krzyżowaniu królewskich zamiarów. Stworzywszy zaś taką, jakiej w historii rzeczywiście nie było, nie może dać jej nazwiska, żadne z rzeczywistych nie przypadło-by do niej słusznie i dobrze. Zostaje więc figura bezimieną, ma tylko tytuł, jest Hetmanem Polnym; a za bezpośredni powód działania daje poeta temu Hetmanowi Polnemu zazdrość do wielkiego, pożądanie wielkiej buławy. W objaśnieniu sam tłumaczy i historyczną niedokładność, i jej powody, a usprawiedliwia ją tem, że poezji wolno jest w historycznym przedmiocie coś dodać, ująć, zmienić,

jeżeli ta zmiana nie psuje głębszej historycznej prawdy, tylko ją, owszem, wyraźniej widzieć daje.

W tem się myli. Nie w swoim twierdzeniu samem, ale w jego zastosowaniu: w wykonaniu i zakresie tej licencji, która poezyi przysługuje, jako jej prawo.

Ze w głębszej historycznej rzeczywistości były takie powody działania, takie zawiści, takie pychy, przez ogrom swój dochodzące do zbrodni i do podłości, to rzecz wiadoma. Ale naprzód w dramacie, tak ściśle, tak dokładnie historycznym, jak ten, postać fikcyjna, zmyślna, nie może znaleźć swego miejsca, swojej racyi bytu, nie może zrobić wrażenia, bo nie może obudzić wiary. Czytelnik musi jej pytać: „kto ty jesteś, i co tu robisz? Dlaczego ja, który znam wszystkich innych, o tobie nie wiem nic?“. Powtóre: prawda, że były takie zawiści, takie zemsty, takie zuchwałości i odgrażania się względem królów: ale wcielone wszystkie w jedną postać, ta postać użyta za główną sprężynę akcji, mają ten skutek, że zło, rozlane po całych dziejach, koncentruje się w jednym fackie i jednym czasie, a przez to ten czas i te fakta: stan kraju za Władysława IV-go, zuchwałość magnatów, ponizenie króla, wydają się gorzej, niż były w istocie, a to tem bardziej, że objawiają się na zajściach, jakich nigdy nie było, choć było w niższym stopniu wiele podobnych.

Drugi zaś błąd, złączony z tą samą zawsze figurą Hetmana Polnego, jest ten, że kiedy już miał być i na barkach swoich dźwigać działanie, królowi przeciwne, to należało jego w tem działaniu, z jego środkami i stronnikami, bardziej naprzód wysunąć, więcej ich pokazać. Zarzucano sztuce akcyę nie dość wyraźną, nie dość jednolitą: mojem zdaniem, niezupełnie słusznie. Ona jest wyraźna i logiczna; wszystkie zamiary króla, Ossolińskiego, Kazanowskiego, widzi się i rozumie się dobrze. Ale strona przeciwna nie dość występuje, nie dość mówi, nie dość się odkrywa; i to zdaje mi się być prawdziwym powodem, dla którego ogólny plan dzieła nie dość odrazu wpada w oko i wbija się w pamięć.

Dość, że kiedy Hetman wielki gromi nieczynność, a nawołuje do wojny, Polny odpowiada mu przymówkami, sarkazmami, które wywołują zwadę, zwada dobyte szabel — tu, na pokojach królewskich. Młodszy starszemu, silniejszy słabszemu, wytrąca broń z ręki odrazu, na szcęk żelaza zbiegają się ludzie, zjawia się i król, i królowa: stary Konięcpolski z tego wzburzenia i gniewu, z tego zawstydenia, pada, i po kilku słowach gorzkiej prawdy dla wszystkich, przekleństwa dla Polnego, umiera.

Z jego śmierci, z jego ostatnich słów, król bierze pochop, żeby obecnym zagrzać do wojny. Hetman polny odpowiada, że ją i przy-

gotuje, i popularną zrobi, jeżeli król da mu wielką buławę. Król pod groźbą dać jej nie może :

Polska nie stanie,
Jeżeli pięścią buławy dostanie.

Hetman Polny na to, że jeżeli tak, to wojny nie będzie.

Po bardzo pięknej pierwszej połowie tego aktu, ta druga osłabia jego wrażenie, kiedy właśnie miała je podnieść na wyższy stopień. Ten pojedynek dwóch starców, doraźny, na pokojach królewskich, ta nagła śmierć, to (jak przysięga w Halszce z Ostroga, jak wyprężona ręka Dymitra i rozdarcie korony w Marynie), przykład tej skłonności Szujskiego do wywoływania tragicznych wrażeń i kreślenia tragicznych sytuacji przez takie efekta zewnętrzne, naprężone, a skazane na to, żeby zawsze i bez wyjątku chybiły swego celu, jeżeli całym logicznym związkiem wypadków, albo psychologicznym stanem osób, nie są dość uzasadnione, naturalnie, a niemal konieczne sprowadzone. Błąd ten jest skutkiem poprzedniego. Fikcyjna figura i rola Hetmana Polnego pociągnęły za sobą jako następstwo takie wymyślone, a źle wymyślone wypadki. Z jego żądzy buławy i zemsty, że jej nie dostał, wynika zwada z Koniecpolskim i śmierć tego: wynikło dalej to otwarte domaganie się buławy i groźba zemsty, czego Hetman Polny, jako zbrodniarz rozumny i przebiegły, jawnie przy ludziach zrobić nie mógł.

Wielkie, bolesne wrażenie robi pierwsza scena drugiego aktu. Mały królewicz, Zygmunt, bawi się z dziećmi swego wieku, dogląda ich Starowolski. Do ogrodu ich nie puszcza, bo królewicz nie zdrowy, biegać mu nie wolno, więc na wielkie prośby pozwolił chłopcom bawić się w sali senatu. Wszyscy z czasem, źle, czy dobrze, figurować będą w historii. Jest mały Michaś Wiśniowiecki, jest Matczyński, dwóch Sapiehów: Kazimierz i Benedykt, i jest Jaś Sobieski—anachronizm, bo dorastający młodzieniec odbywał wtedy zagraniczną podróż, ale licencya ma swoje prawa, a Sobieski był potrzebny do tego, co się tu odgrywa.

Dzieci w sali senatu chcą się bawić w radę senatu, a że do tego potrzebny jest król, więc wybierają króla. Michasia naprzód; dają mu kijek w rękę zamiast berła, a prawdziwe jabłko zamiast jabłka, Michaś zaczyna jeść. To się nie podobało, zrzucają go z tronu. Wybierają Sobieskiego. Ten każe radzić o wojnie, bierze się nieźle do swego rzemiosła; ale za chwilę ma być prawdziwa rada senatu, i udana mu-

si jej miejsca ustąpić. Ta bezwiedna satyra na ojców, odegrana naj-
wnie przez synów, ten w dzieciach już widoczny charakter, który się
później w ludziach dojrzałych odsłoni, to przyjęte zdanie, że król
safandula najlepszy, to jest przerażające smutkiem i prawdą. Smutek
zaś podniesiony jest jeszcze i tą bezwiedną przepowiednią śmierci,
jaką sobie daje biedny, mały królewicz. Bawił się doskonale, Michaś
był królem, Jaś był królem; on sam miał-by ochotę być, ale nie będzie,
już nie ma czasu.

Ten chłopiec ma defekt serca, a ojciec drży o jego życie. Teraz,
przed radą senatu, w poufnej rozmowie z Ossolińskim, o nim mówi,
a z taką miłością i taką trwogą, że czuć łyż w każdym jego słowie.
I oskarża się, że dla tego dziecka, dla jego przyszłej elekcji, tak był
powolnym, tak folgował, a przez to Rzeczypospolitej zaszkodził, po-
zwolił na jej rozprzężenie.

Temu nie dobroć mego serca winna...
Inna przyczyna była tutaj czynna.
Na mego syna koronę jam chuchał,
Aby jej nie zjadł los, zazdrośnik stary,
By jej nie zgmiotły koronne filary,
Gdyby zbyt groźno strzeliła do góry,
Gdyby zablęśla bardzo a ponury
Duch, co nie usnął po Guzowa ranie,
Jak rdza piekielna, chciał się rzucić na nią!
Codziem jam dumał nad dziecka kołyską —
O! tylko w Polsce dumać o tem można —
Czyli na szalę losów rzucić wszystko,
Czyli się zaprzeć siebie, bojów, chwały,
Wszystkiego, czego król pożądać może,
By iść, gdzie wiedzie ta ścieżka ostrożna
Środkiem zazdrości i pychy nawaly —
Na plac elekcji, gdzie szlachta zebrana
Wybiera sobie sługę zamiast pana!
O gdybym był miał dwóch... jednego miałem!
O gdybym ja był sam! O! com powiedział...

I za to, że o dziecko dbał za wiele, skarże go Bóg: dziecko żyć
nie będzie.

W dalszym ciągu rozmowy, kanclerz robi królowi uwagę, że
choć słuszność miał, to był-by powinien Hetmanowi Polnemu ustąpić,

stronnika wojny w nim mieć, nie przeciwnika. Król pomiarkował to już sam, ustąpi, cofnie wczorajszą odmowę.

króla droga

Przez bagna i tak wiedzie, i przepaście.

Na Radzie Senatu wszyscy dają głosy przeciw wojnie, wszyscy za błogim pokojem. Hetman Polny jeden mówi, i szczerze, z przekonania, że ona potrzebna, konieczna. Król na te słowa zbliża się do niego, pochwala, a na znak pojednania i porozumienia oświadcza, że wczorajszej porywczosci żałuje i buławę mu oddaje. Ale tego tylko czekał mściwy starzec—król się upokorzył przed nim, i napróżno. On buławy nie weźmie. Wczoraj jej chciał, dziś nie przyjmie—a do wojny, mimo królewskiego, za późnego przeproszenia, nie dopuści.

Kurtyna zapada na zapowiedź Ossolińskiego, że sprawa wojny pójdzie na sejm, przed cały naród, i na groźbę Hetmana, że i tam sprawa będzie przegraną.

Akt trzeci: bardzo ładna, wdzięczna rozmowa między królową a małym pasierbem, który zrazu bał się jej i unikał, a z czasem przyłgął do niej zwabiony dobrocią, szczerą jej dla siebie dobrocią. Ze słów dziecka miarkuje królowa, że mąż, który z nią o swoich zamiarach i troskach nie mówi nigdy, gryzie się i dręczy brakiem pieniędzy na upragnioną wojnę. Tak? To ona też zdobędzie ufność i serce króla, choć nie miłość męża, a sama dla siebie zdobędzie ten wpływ, którego pragnie, to pole działania, bez którego dusi się i obumiera cała jej natura. Marya Ludwika oddaje swój posag, swoje kosztowności: król przyjmuje:

komnaty, gdzie miłość nie włada,

Niechaj się staną cnych czynów wulkanem.

W tej chwili, kiedy król ma w ręku środki do prowadzenia wojny, staje przed nim dawny przyjaciel młodości, Adam Kazanowski, Marszałek w. kor.:

Proch czuć w powietrzu, kiedy on przybywa.

Potęźnie, wspaniale nakreślona figura, z przymiotami i wadami swojemi. Marszałek ma ogromną ambycję: czy dla siebie? może niegdyś, za młodu; czy dla Rzeczypospolitej? Gotów dać życie za nią: dałby żywotów tysiąc, gdyby miał za to, żeby ją widzieć wielką, potężną, jaśniejącą w blasku chwały, żeby zwłaszcza widzieć ją inną, niż jest, dzielną, sprężystą, stateczną, roztropną—i karną. Taką, jak być powinna, kocha on całą siłą swojej ognistej duszy, marzy o niej, jak o kochance, jak o szczęściu, jak o miłości swojej: ta, która jest, ta rzeczywista, tak go gniewa i korci, tak go czasem upokarza i boli, że jej znosić, w niej wytrzymać nie może, i jeździ po świecie bez celu, gdzie go oczy poniosą, byle te oczy nie patrzyły na sejmy, sejmiki. Rady senatu, na tę opinię chwiejną a nieświadomą ani celów swoich, ani środków, na to całe życie publiczne, w którym tonie zbyt często duch publiczny i polityka Państwa. Ale ta miłość, rozczarowana do swego ideału, niezdolna go osiągnąć ani w niego wierzyć, stała się goryczą, niechęcią, ironią. Przekonany, że widzi i rozumie dobrze, czego Rzpltej potrzeba na to, by się podniosła, nabiera złości, pogardy, odrazy prawie fizycznej, nerwowej, do tych głębszych, którzy tego zrozumieć nie chcą, czy nie mogą. Daje to uczuć z przyjemnością, i naturalnie staje się znienawidzonym. Im bardziej go nienawidzą, tem on bardziej bierze na kiel, drażni, wreszcie rozkochuje się i rozkoszuje się lubieżnie w niepopularności własnej. To jego passya, jego mania. Wady, a zwłaszcza płytkości i płochości polskiego usposobienia, tak go gniewają i korcą, że chciałby w niczem nie być podobnym do tego usposobienia. Od młodości czuje w sobie zazdrość do Ossolińskiego, ale musi ją zwyciężyć, musi jej się pozbyć, bo „zazdrość jest wadą polską”.—Nie wie, że przez tę swoją pogardliwość i gorycz staje się sam odmiennym tylko egzemplarzem tego samego usposobienia, że jest inną tylko formą tej samej miłości własnej i pychy; a folgując jej, schlebiając jej w sobie, kochając się w niej, marszałek posuwa się do kroków niezgodnych z jego politycznym zmysłem i rozumem, i udaremnia, gubi, on właśnie, tę wielką sprawę, której służy, którą wygrać chce całą duszą, za którą dał-by życie, jak nie.

Król ma pieniądze, marszałek ma gotowy, doskonały materiał do wojny. W swoich wędrówkach zabłąkał się na Sicz, do Kozaków. Ktoby tych użyć zechciał i umiał, mógł-by z nimi świat zdobyć, Stambuł upokorzyć, a panów polskich i szlachtę, która ich zuchwalstwo bierze za swoją wolność, ująć w karby. Gdyby się król spróbował na nich oprzeć? gdyby spróbował przywrócić odjęte swobody, a do wojny ich powołał? Właśnie marszałek przybył do Warszawy z posła-

mi kozaków, którzy żałoby ich chcą królowi przełożyć. W duszy króla utkwiała ta myśl; rodzi się marzenie, żądza... na to wchodzi kanclerz.

I on chce wojny. Wojna być musi, ze wszystkich względów i z tego także, że król ustąpić, dać się poniżać, nie może. Ale tę wojnę musi postanowić sejm. W to nie wierzy, ani Kazanowski, ani król. „Dość posłów kilku, a sejm nie dochodzi.“ Kanclerz to wie, zna: ale uprzedza, że używa wszystkich środków, iżby sejm doszedł, a poszedł po woli króla; ale wymaga, żeby iść drogą prawną. Inaczej nie pójdzie. Jeżeli król nieprawnie, samowolnie, zechce rozpisać zaciągi, to on pieczęci do tego rozkazu nie przyłoży. A król nie podpisze uniwersałów zwołujących sejm, bo nie wierzy w sejm. Robi się spór, w którym ze strony króla padają słowa ostre i niesprawiedliwe. Kanclerz przyjmuje je tak godnie, że król się miarkuje, a sprawę zwraca na lepsze tory królowa. Obecna tej rozmowie, która się na jej pokojach toczy, ośmielona tą, jaką miała niedawno z mężem, widząc możliwą niezgodę między królem a kanclerzem i rozumiejąc jej nieuniknione skutki, występuje teraz ze zdaniem spokojnem, prawie pokornem, ale tak rozumnem, że króla przekonało i szalę na stronę kanclerza przeważało. Król podpisuje uniwersały na sejm.

Gdy kanclerz odszedł z podpisem, marszałek wprowadza Kozaków. Orlik, Barabaszenko, i... Chmielnicki. Zaczynają od ogólnej skargi; ale król chce wiedzieć wszystko, dokładnie. Wtedy Chmielnicki opowiada swoją historię, swoje zajście z Czaplińskim. Opowiada tak obrazowo, tak strasznie, że to niezawodnie jedna z najpiękniejszych narracji teatralnych—ale zarazem trudna do wytrzymania nawet w czytaniu, cóż dopiero w widowisku. Kozacy chcą być królowi wierni, ale niech król tych panów poskromi, albo im poskromić pozwoli. To nie? kto drugiemu włos na głowie ruszy, tego głowa spadnie — pańska, czy kozacka. Ale kto pójdzie na wojnę, ten z niej wróci szlachtą herbową i wolną, równą wszystkim Lachom i panom.

Z tem kozacy odchodzą. Ale Chmielnicki, odchodząc, mówi sam do siebie: „jeżeli on zrobi, co chce, to ja panem na Siczy nie zostanę — a że tego tylko chce, więc już wie, co za powrotem zrobi. Nie wie tylko, co z tego wyniknie.

Słabą stroną dramatu stanowi akt najważniejszy, właśnie ten, w którym się rzecz rozstrzyga—czwarty.

Sejm zdaje się iść dobrze; kanclerz zręcznie wszystko przygotował i prowadzi. Aż się sam Kazanowski dziwi — i zaczęte dzieło psuje. Wszak wszyscy wiedzą, że król jemu powierzył dowództwo przyszłych zaciągów, że on te zaciągi robi, choć przyzwolenia

sejmu jeszcze niema. A nie krzyczą? nie gniewają się? czy się zmieni-
nili i zmądrzeli. Trzeba ich doświadczyć. Cicho zwerbowanych lu-
dzi wsadzić na koń, i przy odgłosie trąb przeprowadzić przez ulice
Warszawy. To i prawdziwą myśl stanów wykryje, i obudzi ener-
gię w królu, który, przestraszony o życie syna, upada na duchu
i słabnie.

Z tego pomysłu marszałka wypadnie nieszczęście.

Kanclerz oświecił, nauczył, nakreślił, uczciwego posła, Bara-
nowskiego (figura zmyślona), żeby sprawę wojny w Izbie popierał.
Poseł zrozumiał dobrze i wszystkie argumenta spamiętał. Ale kiedy
je sobie przed sessyą powtarza, przychodzi hetman polny i jego
stronnicy, i winszują że się stał sługą dworu, narzędziem absoluti do-
minii. Poseł się miesza, nie wie, czy ma wierzyć temu kanclerzowi,
któremu wierzył przed chwilą. W tem słyhać trąbki rajtarów Ka-
zanowskiego. Dowód oczywisty. Widzisz, robią zaciągi nieprawne
żeby ujarzmić wolność, a wojna z Turkiem jest tylko pozorem. Za-
czyna się sessya. Mały królewicz, chory, a do tej wojny zapalony,
czujący, że jej los rozstrzyga się w tej chwili, wbrew lekarzom i do-
zorcom wpadł do sali, i z łoża słucha, co się dzieje w izbie. Słyszy, że
Baranowski nie za wojną mówi, ale przeciw wojnie; słyszy wielki
gwar; czuje, że sprawa stracona, każe zawiadomić ojca; jego wyno-
szą; z izby tłoczą się posłowie z krzykiem: śmierć marszałkowi! z dru-
giej strony nachodzi król i oko w oko mierzy się ze zwycięzcą, het-
manem Polnym, który mu ze zdradliwą pokorą tryumf swój oznajmu-
je: wraca jeszcze królewicz, niespokojny, jak się rzecz skończyła,
a gdy zobaczył, umiera.

Wszystko to idzie za prędko, za tłumnie. Kazanowskiego nie-
szczęsny koncept nie zwraca na siebie uwagi, jak powinien, nie robi
wrażenia, dla tego, że nie przewiduje się z góry jego skutków, że oppo-
zycya Hetmana i jego stronników nie jest dość widoczna i czynna,
ich zamiar udarenienia sejmu nie dość przygotowany i w oczach wi-
dza wykonywany. Baranowskiego zmiana zbyt nagła. Jakkolwiek
płochą może być opinia, człowiek przy zdrowych zmysłach, w położe-
niu Baranowskiego, byłby, usłyszawszy słowa hetmana i sygnały za-
ciągów, poszedł do Kanclerza i byłby zapytał, co to ma znaczyć.

Królewicz, przysłuchujący się sessyi, potem jeszcze raz wracają-
cy, umierający pośród tych zebranych stanów, to znowu efekt zbyt
widocznie umyślny, a przez to chybia celu. Słowem, treść tego aktu
potrzebowała-by być zmienioną nieco — ale rozwiniętą i rozszerzo-
ną bardzo.

Co się stało w przerwie między aktem czwartym a piątym? Że
Władysław IV miał Kozaków do chwycenia za broń ośmielać, zachę-

cać, były pogłoski i podania; ale to nie wystarcza, by mu przypisać taką zbrodnię, i zwalić ją na jego odpowiedzialność. Szujski też tego nie robi: tylko zostawia rzecz w niepewności, i czytelnika w niepewności, czy król palców w tej sprawie nie umoczył: czy, straciwszy syna, a o wojnie tureckiej zawsze marząc, nie chciał dojść do niej tą drogą, w nadziei, że wzburzoną kozaczną także na nią porwie i zwróci. Kazanowski pojechał na Sicz: czy bez jego wiedzy i zgody? On sam ma jakieś wyrzuty sumienia i strachy. Jego powiernik, doktor Hejnzysz i jezuita Schönhof, zdają się oba o tem wiedzieć dobrze i mówią między sobą dość wyraźnie.

Od tej rozmowy zaczyna się akt. Schönhof chciałby dostać się do chorego króla i wypowiadać go. Lekarz nie puszcza: na ostatnie sakramenta jeszcze za wcześniej, a gdy czas będzie, to król ma swego spowiednika, kapucyna. Ty, Jezuito, chcesz go spowiadać dla tego, że twego zakonu nie lubił; chcesz dowieść światu, że się do was nawrócił. Jezuita nie przeczy. Chodzi mu i o to także, ale więcej o duszę króla, o jego sumienie, którego kapucyn nie rozstrząśnie, bo nie wie o grzechu jednym, który to sumienie obciąża, a którego chory król za grzech sobie nie ma.

Rozmowa między dwoma Niemcami, którzy na Polskę patrzą raczej życzliwie, ale obojętnie, między protestantem i prawie materyalistą, a katolikiem i księdzem, ciekawa, pełna charakteru. Kończy się zwycięstwem Jezuitę. Lekarz wszedł do króla, poznał, że koniec się zbliża, i nie chce przeszkadzać temu, co jest powinnością i tego księdza, i króla. Zjawia się i Jan Kazimierz; wrócił z Rzymu na wieść o śmierci królewicza. On, królowa, wiedzą, że za Dnieprem źle; przed królem chcą tać, niech umrze spokojnie, bez tej nowej boleści. Król nie wie, jeszcze marzy, jeszcze rwałby się do czynu, ale sam widzi, że życie uchodzi. Lekarz na rozkaz potwierdza to. Umierający odchodzi przyjmując ostatnie Sakramenta, odchodząc, poleca dać znać Kazanowskiemu, odwołać rozkaz.

A tymczasem, gdy on odbywa spowiedź, nadbiega goniec jeden — Żółte wody! chwilę po nim (zaprędko) drugi — Korsuń! Trzeci — cała Ukraina w ogniu i krwi. Kazanowskiego rozsiekali kozacy.

Król tego nie słyszał, ale odgadł, przeczuł. Po spowiedzi, po wiatyku, wraca:

Otrzymaliście wieści z Ukrainy?
 Otrzymaliście — wy bladzi, jak chusta...
 Czego mi wasze nie chcą wyznać usta,
 Bóg mi i moje powiedziały winy...

Szpada tam jego pokrważona leży...
 Wola mnie sługa... gdzie niema sług więcej...
 Ale jest groza... od której się jeży
 Włos... groza straszna... Tylko mi dziecięcy
 Będzie ją słodził głos... będzie wlatywał...
 A kiedy cierpieć będę... będzie śpiewał...

O módlcie się... za jego... moją duszę!
 Nie konał, jako ja, nie konał z Bogiem, w skrusze...
 Jak on... tysiące tam... okropną śmiercią skona...
 Precz! Dajcie konia mi! Król jeszcze złe pokona...

Nie; nie pokona już... Zdamę rządy moje...
 Ciemno... ratujcie wy... was dzielnych troje...
 Hejzuzysz!.. konterfekt daj mi mego syna....
 O! o! czemużem... nic szedł na Turczywał?

(Umiera).

To ostatnie słowa jego i dramatu.

Jest wiele od niego piękniejszych, smutniejszych; — boleśniej-
 szych, zapewne mało; a w naszej literaturze niema podobno żadnego.

W jednej pracy o poezji Szujskiego, jedynej, na jaką zdobyło
 się nasze społeczeństwo i nasza krytyka przez całe lat dziesięć,
 u pana Ludomila Germana książce o „Dramatach Szujskiego“ (Kra-
 ków, 1889), uwagi o Władysławie IV kończą się takim ustępem:

„Wszystkie boleści lat dawnych i ostatnich, wszystkie myśli, po
 poprzednich dziełach rozrzucone, wszystkie rozpaczliwe oskarżenia
 przeszłości i wszystkie żale do teraźniejszości, niepoprawnej mimo ty-
 lu doświadczeń, skupiły się tu w jedną straszną skargę, w jeden wy-
 krzyk nieskończonego żalu. Kto tak się skarży, jakże kochać musiał!
 Kto nie znalazł ni słowa pociechy, czy otuchy, jak straszne musiał
 sam przejść męczarnie“. I dalej, rozumiejąc, szanując, podziwiając te
 cierpienia, sądzi jednak krytyk, że tej goryczy za wiele. Niegdyś —
 mówi — Szujski młody, choć o Radziejowskim i o Lubomirskim pisał,
 znajdował przecie słowa pociechy, akordy dźwięczne i strojne. Teraz
 „czarne chmury zaległy mu duszę, historia odsłoniła mu obrazy stra-
 szne“, i stąd „w żalu jego zbyt wiele goryczy, niema miłosierdzia, ni
 litości“. Czy trzecia część trylogii o Ossolińskim miała przynieść jaką
 pociechę, czy ją przynieść mogła?“ — pyta dalej krytyk.

Odpowiadamy: nie. Ani miała, ani mogła. A nie przecząc, że ten dramat jest czarną otchłanią nieszczęścia i męki, nie przecząc, że „historia, odsłaniając czarne obrazy“, i terażniejszość, odkrywając swoją niepoprawność, mękę tę podniosły do potęgi, młodemu człowiekowi i pocie nieznaney, twierdzimy tylko, że nie nadmiar cierpienia i gorczy, nie różnica między młodym a dojrzałym wiekiem wybiła na tem dziele tak ponury, rozpaczliwy charakter, ale sam przedmiot. Mógł go Szujski nie tykać, ale jeżeli tknął, to nie mógł pojąć go ani obrobić inaczej. Młody, czy dojrzały, mógł w „Radziejowskim“ ukazać światła obok cieni, bo miał obronę Częstochowy, miał Tyszowce. Tu, jakie otwierały się przed nim widoki? Czem miał siebie i swego czytelnika pocieszyć? przed nim Chmielnicki i Siciński, sromota Piławiec i sromota Liberi veto — nie znalazł strojnego akordu w duszy, bo go nie znalazł w dziejach, nie dał pociechy czytelnikowi, bo mu jej ludzie ówczesni nie dali. Ale to nie pesymizm, nie zwątpienie, ani brak litości. A jeżeli w dramacie niema — jak mówi krytyk — miłosierdzia, to jest miłość, która, według pięknych słów jego, chciała ratować. „Wady zgubne stawiał nam przed oczy, w potężnych obrazach ukazywał winy i karę przeszłości, mówiąc: Nie czyńcie tak, jak tamci“. To jest prawda, to właściwa miara do sążnienia. Kto podnoszącej, weselszej konkluzji szuka w Szujskiego „Władysławie IV“, ten jej nie znajdzie. Ale znajdzie ją ten, co szuka w dziele jego całem, w jego dążności stałej, i w sobie samym, w swoim rozumie, sumieniu i woli. Tą dodatnią, podnoszącą konkluzją jest zrozumienie przeszłości przez terażniejszość, i wyrobienie w terażniejszości tych przymiotów, które przeszłość zaniedbała, lub zatraciła.

Trzecia część zamierzonej trylogii, „Śmierć Ossolińskiego“, jest małym fragmentem tylko. Dwie sceny, w których kanclerz naprzód, a po nim senatorowie, dowiadują się o Pilawieckiej klęsce.

Wielkich dramatów już nie będzie; to ostatni. Po nim jeden tylko, okolicznościowy, mały, i fragmenta. Fragment „Kniażnina“. Z legendy o miłości między poetą a późniejszą księżną wirtemberską, z jej zameścia, powstał ten dramat, którego mamy tylko dwa akty i pół trzeciego. Miłość sama i dwoje kochanków, to udało się może najmniej: odkrycie wzajemnych uczuć, świadomość, że one do szczęścia nie prowadzą, cichy heroizm młodej dziewczyny, która się poświęca, gdy uwierzyła, że to potrzebne, cała ta strona rzeczy oddana jest dość zwykłemi, powszedniemi rysami. Ale czas, w którym się to dzieje, ale pojęcia, uczucia, natury i fizyognomie ludzi z ostatnich Stanisławowskich czasów, te oddane są znakomicie. Książnin, poeta, uczuciowy, do zapalu skłonny, słyszy na wsi o sejmie, i widzi z tego sejmku samo szczęście, samo błogosławieństwo. Zablocki, jego przyja-

ciel, który na sprawy i na ludzi patrzy z blizką, głowę ma mniej zapalną a sądzi z doświadczenia więcej, ten wie, że słowa nie są czynami, uchwały tryumfami, i choć się spodziewa, choć wierzy, nie jest bez obaw i złych przeczuć. Książę generał, z dobrem sercem w gruncie, z głową trochę lekką, z dumą niemałą, ukrytą pod dobrodusznem i żartobliwem usposobieniem i obejściem, zgodził się na ułożone małżeństwo córki, które głaszcze jego miłość własną, ale zgodził się, bo myślał, że i ona zgodzi się łatwo, lekko, bez przykrości. Gdy się przekonał inaczej, zły jest na siebie, bardziej na żonę, nie wie, co począć; wycofać się nie sposób: ostatecznie pociesza się i uspakaja sumienie filozoficzną uwagą, z doświadczenia wziętą, że po ślubie córka jakoś sama sobie poradzi. Ten stoi jak portret, jak żywy, człowiek XVIII wieku, typ, i ten człowiek właśnie, osobistość. Jego żona, natura zawila, z wielu pierwiastków złożona, skreślona jest z niepospolitą bystrością i delikatnością. Jest w niej modna tkliwość czytelniczki Russa, jest wmówiony w siebie, ale już w naturę przeszły, rys sielankowości, jest zręczna do małych spraw dyplomacya, i w tej dyplomacyi upodobanie—(ona ułożyła zamęcie córki, a zwała to na męża), — ona ma swoją dumę, i swoją wolę silną, obie ukryte pod pozorami romansowej tkliwości. Najświecniejszy ze wszystkich jest Trembecki.

Tęgość i śmiałość umysłu, lekkość charakteru nie bez odcienia cynizmu, jędrność i energia w słowie, ciętość w dowcipie, a pod tem wszystkim głęboko przywalone, różnemi wpływami zagłuszone, ale dobre uczucie, tak on się tu pokazuje z fantazyą, z humorem, z rezo-nem świetnym. On ma missyę uspokojenia Książnina, wytłómaczenia mu, że małżeństwo księżniczki Maryi z księciem wirtemberskim jest rzeczą potrzebną, konieczną, zbawienną. Zrazu tumani biednego poetę i mówi to, czego sam nie myśli. Ale stopniowo, mimowolnie, przechodzi w ton inny, szczerzy, i zaczyna określać położenie Rzpltej, warunki pomyślne tego położenia, z niepospolitą mocą, bystrością i wymową.

ST. TARNOWSKI.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA RZYMSKA.

Rok jubileuszowy i Dante. — „Ogień“ Gabryela d'Annunzio. — „Wieczna legenda“ W. Agauoor. — Kasy oszczędnościowe we Włoszech. — „Nero“ H. Boity i „Le Marchere“ P. Mascagniego. — Kongres archeologiczny chrześcijański w Rzymie. — Kongres przeciwgruźliczny w Neapolu.

Istniało dawno podanie chrześcijańskie, jakoby się otrzymywało osobliwe łaski kościelne, zwiedzając kościoły rzymskie w ostatnim roku każdego wieku: więc, począwszy od Bożego Narodzenia 1299 roku, kiedy, według popularnej opinii, miał się rozpocząć pierwszy rok nowego wieku, pielgrzymi zaczęli napływać do Rzymu. Wtedy-to Bonifacy VIII, Gaetani, postanowił ująć zwyczaj ten w pewną stałą normę, aby dodać Kościołowi blasku i siły, i w samej rzeczy, bullą z dnia 22 lutego 1300 roku, udzielił zupełnego odpustu wszystkim pobożnym, którzy-by w tym roku zwiedzali bazyliki rzymskie, przez trzydzieści dni jeśli są Rzymianami, przez piętnaście, jeżeli przybyszami, i ustanowił zarazem, iż podobny odpust zupełny będzie udzielanym w przyszłości każdego setnego roku dla tych wszystkich, którzy-by się udali do Rzymu i dopełnili przepisanych warunków.

Takim jest początek Jubileuszu i Lata Miłościwego.

Widzieliśmy tedy w roku bieżącym Rzym zaludniony pielgrzymami z rozmaitych stron świata, zwłaszcza od czasu Postu, kiedy wogóle napływ cudzoziemców, w miarę zbliżania się włoskiej wiosny, staje się większym; mieliśmy pomiędzy innemi w maju dwie polskie pielgrzymki: jedną z Galicyi, pod wodzą księdza prałata Smoczyńskiego i księdza biskupa Puzyny, bardzo liczną, bo przenoszącą 2,000 osób, i drugą, mniej liczną, złożoną z 400 osób, z W. Ks. Poznańskiego, pod przewodnictwem ks. Surzyńskiego z Kościana i ks. biskupa Likowskiego. Wogóle obliczają, iż od Bożego Narodzenia, to jest od chwili otwarcia Roku Miłościwego, napłynęło tutaj w ciągu sześciu miesięcy około 400,000 pątników, z których znaczna część zjawiała się w maju, w czasie uroczystych kanonizacyi i beatyfikacyi w Bazylice świętego Piotra.

Jeśli wierzyć kronikom, w roku pańskim 1300 przyплыw pielgrzymów był nadzwyczajny, tak, że zawałone były nimi drogi, prowadzące do Rzymu, przybyło bowiem dwa miliony osób, i równie nadzwyczajne były objawy gorącej pobożności. Tam, gdzie dziś swobodnie kursują tramwaje elektryczne, powozy i dorożki, na ulicach znacznie rozszerzonych, dawniej, temu lat sześćset, tłoczyły się tłumy w czarnych, ponurych uliczkach Wiecznego Miasta, ku zamkowi świętego Anioła, przez most na Tybrze, wiodący od grobu Apostoła, tak, iż Rzymianie musieli przestrzegać ładu na moście, gdzie się idący i wracający mijali:

Come i Roman per l'esercito molto
 L'anno del Giubileo, su per lo ponte
 Hanno a passar la gente modo tolto
 Che dall' un lato tutti hanno la fronte
 Verso' l Castello e vanno a Sano Pietro,
 Dall' altra sponda vanno verso' l monte...

Powiada Dante w 18 pieśni „Piekła“ o jubileuszu z roku 1300, a w Bazylice świętego Piotra (prastarej, średniowiecznej zabytkami swemi, świątyni Konstantyna Wielkiego, która ustąpiła miejsca większej, wspanialszej, ale niepokrytej patyną wieków), dwóch kleryków zgarniało grabiami pieniądze, składane przez pątników przed wielkim ołtarzem.

Pomiędzy pielgrzymami był także Dante, trzydziestopięcioletni Durante Alighieri. Jest on nietylko pobożnym, gorąco wierzącym

Florentczykiem, uginającym kolana przed Lateranem i Watykanem, ale jest także poetą, któremu wtedy przychodzi pomysł wielkiego poematu „Boskiej Komedyi“. Dlatego Włochy obchodziły jednocześnie sześciowiekowy jubileusz powstania w myśli wieszca, największego zapewne, jakiego dały średnie wieki, i wogóle jednego z największych, jacy kiedykolwiek żyli, tej wielkiej trylogii: Piekła, Czyśćca i Raju, najsmielszej fikcyi, jakiej kiedykolwiek spróbowano, pełnej wspomnień i namiętności twórcy.

„Boska Komedya“ jest złotą księgą Włoch, gdzie ją od pięciuset lat komentują. W Rzymie ksiądz Bartolini od szeregu lat mie-
wa odczyty, objaśniające każdy jej wiersz. Stąd poszło, iż z polecenia władzy w szkołach rzymskich rządowych obchodzonym był jubileusz chwili, kiedy Dante wszedł do Rzymu:

Nel mezzo del cammin di nostra vita,

skoro od Dantego rozpoczyna się odnowienie narodowości włoskiej, zwłaszcza dlatego, że tworząc język włoski i stawiając go na piedestale, stworzył zarazem najsilniejszy węzeł jedności narodowej, a nawet, jak dzisiaj dowodzą liberaliści, na przekorę Watykanowi, stwierdzając rozdział władzy cywilnej od teokratycznej, położył niejako myśl przyszłych losów Italii.

Bo i Dante miał już ideał pokoju i szczęśliwości ludzkiej w Związku Państw zjednoczonych cywilizowanych, w którym cesarz i papież byli-by głowami. Gorąco kochający ojczyznę, jej przeszłość, dumny z tego, że należy do ludu, który niegdyś liczył Chrystusa pomiędzy swymi poddanymi ¹⁾:

Di quella Roma, onde Christo è Romano,

ale i pełen nienawiści, które gubiły Włochy, wzywa nadejścia człowieka energicznego, aby przywrócić Rzymowi starożytne przewodnictwo nad wszystkimi narodami ²⁾.

Że w tutejszych kolach monarchicznych i rządowych szukano w Alighierim proroka dzisiejszej jedności włoskiej, należy

¹⁾ „Czyścić“, 32-ga pieśń.

²⁾ „De Monarchia“.

już do uofistyki politycznej; stąd też poszło, że go sobie zaczęli wyrywać, jak się często dzieje w Rzymie, klerykalni i rządowcy, pierwsi bardziej sprawiedliwie, widząc w nim gloryfikację Papiestwa i Kościoła, drudzy, naciągając jego doktrynę polityczną o uniwersalnej monarchii, z rozdziałem władzy świeckiej i duchownej, na korzyść dzisiejszych idei, gdy tymczasem w Dancie niema i nie mogło być pomysłu Italii jednej, wolnej i niezależnej, tak, jak się ukształtowała za naszych czasów.

Nie przeszkadza to jednak, że Józef Mazzini, potężny agitator na rzecz idei włoskiej, powoła się na Dantego, na ideę, ożywiającą jego doktrynę polityczną, że później Kamil Benso Cavour, mąż stanu, ujmie ją poniekąd w formułę: „Wolny Kościół w wolnem państwie“, że Józef Garibaldi na swój sposób wypowie ideę narodowości okrzykiem, wrytym na jego pomniku na Janikulu: „Roma o morte!“, i że wreszcie Wiktor Emanuel w roku 1870 zamknie polityczne komentarze dantejskie energicznym: „W Rzymie jesteście i tu zostaniemy!“

Kiedy przed ośmiu laty ukazał się romans Gabryela d'Annunzio: „Dziewice skal“, szczytny utwór syntetyczny, gdzie podniosła wyobraźnia autora skojarzyła żywioł fantastyczny z przyrodzonym, tak, iż rzeczy i osoby przemawiają jednocześnie do zmysłów i do duszy, a za ich własną żywotnością dostrzega się symboliczną i duchową; wtedy zapewne nikt się nie spodziewał, iż następny „romans“: „Ogień“ (Il fuoco) odbiegnie bardzo daleko od poprzedniego, i wywoła nawet oburzenie.

Zdawało się wtedy, po „Dziewicach skal“, że głośny, pomimo wszystkiego, romansopisarz włoski, ustatkowawszy się (jeżeli mamy mówić językiem potocznym), mając w tyle za sobą gwałtowne wybuchy namiętności, nabył wyższego wyobrażenia o miłości i znaczeniu życia, że inne marzenia, aspiracje, zbudziły się w jego duszy, wywołały czystsze ideały, i że z konieczności odpadnie dawna forma twórczości i odczuwania.

Symbolizm d'Annunzia był tak piękny i czysty, że jego talent rokował rzeczywiście najpiękniejsze nadzieje.

I te, zdaje się, nieco zawiodły. Nie sposób nie mówić o nim, kiedy około jego dzieł wznosi się tyle wrzawy, skoro wielbiciele (wiel-

bicielki zwłaszcza) wynoszą je pod niebiosa, a inni sprowadzają tę tak zwaną chlubę Włoch do skromniejszych, o wiele skromniejszych, rozmiarów.

Pamiętam, że w Paryżu, gdzie autor „Innocentego“ ma gorących stronników, Leon Daudet w „Figarze“ odmówił mu talentu, wyrokując, iż sława młodego powieściopisarza jest sztuczną spekulacją księgarską. Jest w tem zapewne wiele przesady, nawet niechęci, ale to nie ulega wątpliwości, iż w jego karierze literackiej, w jego życiu, reklama wielką odgrywa rolę, zaczawszy od tej wielkiej pychy, megalomanii, jaka stała się jego drugą naturą, dlatego wszystkie powieści jego są tylko właściwie autopsychologiami.

Ostatnie jego dzieło: „Ogień“, jest szczytem własnej adoracji, podszytej pozą ubóstwiania siebie, posuniętego aż do chorobliwości, wynoszenia własnego *ja* na kilkuset stronicach, a przytem razi cynizmem, gdyż autor, „nad-człowiek“, opowiada nam ze szczegółami, nieraz potrącającemi o pornografię, przelotny swój stosunek z artystką dramatyczną, w której wszyscy odrazu poznali w Foscarinie Eleonorę Duse, choć d'Annunzio się tego wyparł, tak, jak pod pseudonimem Stelii Effrena ukrywa się sam pisarz.

Gabryel d'Annunzio (nazywa się właściwie: Kajetan Rappanetta), jako profesor, a nawet jako poeta, tak w pomysle, jak i zwłaszcza w formie, cyklem trzech romansów „Róży“ wyniósł się rzeczywiście na pierwsze miejsce pomiędzy współczesnymi włoskimi powieściopisarzami. Jest to niewątpliwie świetny, nadzwyczajny muzyk słowa, i tak, jak on, nikt we Włoszech nie pisze, ani idealista Fogazzaro, mający inne zasługi i niedający się porównać z nikim tutaj, ani Capuana, skądinąd wielki nowellista.

Ala jeżeli w „Intruzie“ (Innocente), — bo tak z francuskiego przetłómaczono u nas w Polsce tytuł powieści, — w analizie skończonej i delikatnej uczuć, jakie się rodzą w sercu człowieka, który, słaby i dumny, nie umie kochać gorąco i nie ma silnej woli, przebija czystość, podniosłość duszy i poezya, za to w „Ogniu“ tenże sam ukazuje się nam nie tylko wielkim artystą, ale i samolubem, kompromitującym kobietę i popisującym się miłośkami, nowoczesnie wstrętnym.

„Fuoco“ nie jest romansem, choć należy do seryi romansów „Granatu“. Są to wspomnienia i wrażenia z rozkosznej Wenecyi, z jej lagun, ze sztuki weneckiej: Giorgiona, Veroneza, Tiepola, Tycyana, Tintoretta i Belliniego, pełnej wspaniałości i piękna. One-to stanowią tło książki. Krótki przeciąg czasu, jaki Stellio Effrena (d'Annunzio) i Foscarina żyją w książce, upływa w kanałach poetycznie wilgotnych, milczących, pomiędzy zielenią ogrodów, rosnących obok marmurowych koronek pałaców, wystających z zielonawej, smę-

tniej laguny. „Poeta immagnifico“ i „la Grande tragica“, w tem otoczeniu artystycznym, smętnem. czują podniecenie zmysłów, gwałtowną chęć życia w duszach, nękanym niezadowolonym pragnieniem szczęśliwości, on „dlawiony żądzą posiadania jej“, ona „drżąca, nie chcąc się oddać i chcąc być posiadaną“... Ale kiedy mówi o jej ciele już niemłodem. rozmiękle od uścisków. wtedy „poeta staje się ne-wrotykiem, hańbi sztukę i życie. spycha w błoto drganie myśli. silne aż do gorączki, potęgę życia patetycznego, udzielającą się jego towarzysze. Oboje zgryzieni miernotą życia, wołają: upojeń, upojeń!

Bądź co bądź, jest to świetny kolorysta, i tutaj właśnie, w Wenecyi, jego talent zyskał nowe skrzydła. Zresztą na wszystko, czego się dotknie, poezya, nieokielznana wyobraźnia artysty rzuca światło, ożywia, podnosi, choć znowu dostrzega się manierę i światło jest nieraz sztucznem, barwą fantastyczną.

I tak naprzykład: Gabryel d'Annunzio przyjechał do Wenecyi z odczytem: „Allegorya jesieni“, przemawiał w skromniejszej sali uniwersytetu, ale przeniósł się w romansie. gdzie nam ofiaruje i podaje całą scenę, do wielkiej sali Dożów, w Palazzo Ducale, pośród przepychu, blasku, wspaniałości, kolorytu, wiekopomnego palacu, bo „Ogień“ jest także romansem sugestyi estetycznej, wyobraźni, pracy poetycznej. Dziwna książka.

A więc z małemi, szpecącemi wyjątkami, dzieło opisu, liryki, dekoracyi, stylu. Są w niem rzeczy wspaniałe, jak epizod w ogrodzie Gradeniego, jak labirynt w Strà, jak scena puharu w fabryce szkła w Murano, dokąd razem jeździli; niektóre obrazy Wenecyi są czarującymi, prawdziwemi klejnocikami literackimi. Jest nawet wspomnienie przelotnego pobytu naszego Henryka Walezego, kiedy wracał do Francyi.

Niepodobna dać tu wyobrażenia o treści wrażeń, goniących jedne za drugimi, o tej symfonii, bo Gabryel d'Annunzio chce, aby jego proza była muzykalną, do czego go prowadzi wyjątkowo czuła, wyrobiona wrażliwość, nerwowość, tak, że dochodzi w sztuce słowa do przedziwnego wiania w nie kolorytu, plastyki i muzyki. W tem właśnie leży oryginalność, talent, czar autora „Tryumfu śmierci“. Zatem „Fuoco“ jest symfonią. Jeśli się nie mylę, d'Annunzio wpatrzył się, wsłuchał w Ryszarda Wagnera, nie mniej jak w Nietzschego. Już w „Tryumfie śmierci“ autor unosi się nad Wagnerem, ale w „Fuoco“ wraca obszerniej do autora „Parsifala“, i tutaj, po raz pierwszy, odbiegając raz do Schliemanna, odkrywcy grobu Atrydów w Mykenach, to znów do marzeń o Teatrze na Janikulu, wśród rozpraw o sztuce weneckiej, obok szeptów miłosnych, schadzek wieczornych, samotnych rozmów, scen zazdrości, wycieczek wspólnych gondolą

z ukochaną na Lido, do Fusano, ukazuje się postać niemieckiego muzyka, umierającego w pałacu na Canal Grande. Zdawało-by się nawet, jak gdyby w d'Annunzia wsiąkło coś z Ryszarda Wagnera, z tej nieprzerwalności melodii, z jego żywiołu artystycznego i z metody sztucznych Leit-motiwów, które włoski pisarz przenosi do literatury, tworząc muzykalność słowa, kadencye zwrotów, rzecz prosta, zupełnie nie włoską, obcą duchowi narodu.

Bohater powieści, Stelio Effrena, pragnie widocznie zrobić to dla rasy łacińskiej, co zrobił Ryszard Wagner dla germańskiej; chciał-by dramatu, czy też melodramatu, z równowagą między poezją a muzyką, szuka nowych kształtów, marząc po trochu o wszystkim, trochę mglisto, tak, że czytelnik, skończywszy książkę, ma wrażenie jakby upojenia, dzięki nadzwyczajnej wrażliwości, z jaką d'Annunzio ubarwia, umuzykalnia swoją prozę, nadużywając często tego kunsztu. Ktoś złośliwy powiedział, że w tem wszystkim jest więcej dymu, niż ognia, krytyka włoska wytknęła mu przedewszystkiem cynizm, z jakim odsłonił kartę z życia artystyki dramatycznej, sposób, w jaki to uczynił, bo tutaj wszyscy ją odrazu poznali, choćby dlatego, że opis jest zanadto przejrzystym. Krytycy zarzucają mu znowu, że do literatury wprowadza żywioł mglisty, najzupełniej obcy duchowi włoskiemu.

Nieokiełznana pycha, którą zarzucają autorowi „Ognia“, nie przyniosła mu szczęścia. Romans wywołał oburzenie, i jednocześnie autor z powodów politycznych, którym nie była obca jego zarozumiałość, utracił mandat poselski do parlamentu.

Chciał-bym go scharakteryzować: wiele pewności siebie, skromnym być nie umie, prostym także nie, taka już jest jego sztuka, pełna emfazy. Nie dba ani o pochwały, ani o krytyki, rzeźbiarz słowa, czarodziej wyobraźni, cynik w duszy, moralności „niezależnej“, pełen ironii, bez uczucia, z wyobraźnią gorączkową, podaje truciznę, ubraną w szatę wykwintną. We Włoszech go nie lubią: chcieli-by rzeczy jasnych i czystych. Jeden z dzienników rzymskich, „Fanfulla“, postawił mu za wzór H. Siekiewicza.

Najwybitniejszą cechą życia umysłowego we Włoszech jest niewątpliwie nadzwyczajne bogactwo literatury krytycznej, erudycyi i archeologicznej, która gra niejako rolę użyźniającą w pracach umysłu.

Nie tak obficie, a przynajmniej nie tak znakomicie uprawianą była powieść, ani poezya. Chórem nowoczesnej poezyi we Włoszech dowodzi Jozue Carducci, w każdym razie jej dziekau, gdyż urodził się w Toskanii, w roku 1836, dziś profesor uniwersytetu w Bolonii, autor „Ód barbarzyńskich“. Okolo niego skupilo się kilku młodszych pisarzy, jak Olindo Guerrini, znany lepiej pod pseudonimem Wawrzyńca Stecchettego, Mazzoni, Jan Marradi, Ferrari, zarówno krytyków, jak poetów; pozyskali sobie imię d'Annunzio, autor „Wiosen“, „Poematu rajskiego“, „Elegii rzymskich“, „Canto nuovo“, Chiarini, Artur Graf z Turynu, Jan Pascoli, H. Penzacchi, Guoli i A. Fogazzaro. Z kobiet żyją i piszą: Alinda Brunamondi i Ada Negri, autorka „Burz“ i „Fatalità“.

Przybyła teraz Włochom nowa poetka, jak chcą krytycy, znakomitsza od innych, żyjących na półwyspie, Wiktorya Aganoor. Jej zbiorok poezyi pod tytułem: „Wieczna legenda“ (Legenda eterna), wydany świeżo w Medyolanie przez firmę wydawniczą Braci Treves, wyczekiwany był przez ogół, bo młoda poetka już się dała poznać utworami, drukowanymi w różnych publikacjach. Panna Aganoor pochodzi z bogatej rodziny i mieszka w Wenecyi: jej ojciec był Ormianinem, matka Włoszką, z domu Pacini.

Matka na łożu śmierci wyraziła życzenie, aby córka wydała w jednej książce wszystkie swoje poezye, które też obecnie ukazały się w ozdobnem, wytwornem wydaniu. Do matki zwraca się też autorka w przedmowie, i grób jej uroiła jak nigdy (w maju roku bieżącego) wypuszczeniem w świat myśli, marzeń, fantazyi i porywów, ujętych w wytworną szatę poetyczną.

Wiktorya Aganoor posiada i siłę uczucia, i bogactwo rytmów, oryginalność obrazów, a nadewszystko święty ogień, zamach młodzieńczo gwałtowny, wybucha nim we wszystkich trzech częściach książki: „Legendzie wiecznej“, „Intermezzu“ i „Zbudzeniu“, jakby objawieniach serca, nerwów i wyobraźni, odpowiadających może trzem okresom życia autorki. Łatwo odgadnąć, iż przedmiotem „Wiecznej legendy“ jest miłość.

Bo panna Aganoor wnosi do miłości i nienawiści (z których utkaną jest pierwsza część) nowy żywioł szczeroci, tak, że się ma

wrażenie jedności myśli i życia. Kiedy naprzykład wywołuje pierwsze dziewicze wrażenia w wierszu „Adolescentula“: W kwietniu, miesiącu marzeń (jak u nas w maju), otaczającym wszystko czarem poezyi, ku zachodowi, kiedy od łąk wiatr przynosił zapach traw, zobaczyła go, zmieszała się, znalazła go pięknym, i potem w zinnie spotkała tego samego młodzieńca w salonie, słyszała, kiedy deklamował jakiś banalny wiersz, zadrżała, jak gdyby widziała drogiego zmarłego, napróżno kochanego pomiędzy tłumem wesołym i obojętnym. Na jej serce padła żaloba i nagle rozczarowanie.

Snują się więc legendy, skargi, marzenia, głosy wieszczce, rozlegające się przez wieki, zmartwychwstają radości, sny, obawy, lzy dni młodzieńczych.

W „Intermezzo“ poczucie natury bierze górę, ale i tu rozlewa się wielka symfonia rzeczy i serc. Upodobanie ruin, światła wieczornego, gwiazd, zachmurzonego nieba, wykazuje wielki pociąg do samotności, jaki mają wzniosłe umysły, jak gdyby potrzebowały skupić się w milejącem rozmyślaniu nad sobą samymi i wszechświatem.

W „Zbudzeniu“, to jest w ostatniej części „Legendy“, krystalizacya snów, marzeń, ideały ludzki i religijny, zakłète dotychczas w półcieniu psychiczne, przybierają wyraźne kształty. Dogmat robi się symbolem, mglista aspiracya pragnieniem, marzenie widzeniem, nadzieją. Sprzeczność pomiędzy światem zewnętrznym a wnętrzem duszy, między *ja* a tłumem, łagodnieje. Aganoor przypomina: Shelleya i Leopardego, Musseta i Heinego.

Ojczystemu miastu, Wenecyi, poświęciła wiersz: „Konie świętego Marka“.

Zarzucają Włochom, że są próżniakami, że niedbalstwo jest ich przywarą narodową, ale jednej rzeczy nie można im odmówić, to jest, zmysłu oszczędności. Lud włoski nawet tam, gdzie gorący klimat, jak w środkowych i południowych Włoszech, wytwarza gnuśność, ograniczanie się do zarobku lekkiego, daje bardzo wymowne dowody, iż umie oszczędzać. Nie mówimy bowiem o Włoszech północnych, które pod wielu względami stoją bardzo wysoko, i mogą służyć za przykład innym krajom. rozwijają się znakomicie i idą na czele postępu.

Najlepiej objaśniają pod tym względem wykazy statystyczne kas oszczędności, rozsianych na całym półwyspie: wielkich instytucji, kas oszczędności pocztowych i kas ludowych (*Casse di risparmio popolari*) i nie tylko, że one wykazują ogólny zmysł do oszczędności, ale i ciągły wzrost wkładów, tak, że dziś już dochodzą do potężnych rozmiarów.

I tak na przykład w roku 1879, to jest przed laty dwudziestu, oszczędności narodowe, nagromadzone w kasach oszczędnościowych, pocztowych i w instytucji medyolańskiej kasy oszczędności, wynosiły we Włoszech 693 miliony lirów. Dziś, to jest według ostatnich wykazów za rok 1899, cyfra ta podniosła się do 2,700 milionów, to jest przeszło półtrzecia miliarda lirów.

Nie biorę tutaj w rachubę różnych banków i spółek kredytowych, wcale licznych, gdzie również gromadzą się oszczędności osób prywatnych, a co do których brak mi odnośnych danych.

Przedewszystkiem wzmożły się wkłady do kas oszczędności pocztowych, świadczących o oszczędności niższych warstw, gdzie bowiem ponad tysiąc lirów w depozyt od jednej osoby nie przyjmują. W roku 1878 kasy te miały wkładów na 6 milionów — dziś wykazują 649 milionów.

Tylko że niektórzy ekonomiści, na podstawie cyfr, do których jeszcze wrócimy, — nawet niesocjaliści, ani republikanie, krytykujący dzisiejszy stan rzeczy z zasady, ze względów politycznych, — dowodzą, i nie bez pewnej słuszności, iż nie wszystko jest złotem, co się świeci, i że tak wielkie oszczędności, w ten sposób umieszczone, dowodzą braku energii produkcyjnej, braku ruchliwości, pracowitości przemysłowej, i że gdyby połowa tych dwu i pół miliardów zwróciła się ku przedsiębiorstwom przemysłu, stan ekonomiczny kraju był-by daleko lepszym, niż jest obecnie.

Istnieją bowiem dwie formy kapitału w nowożytnym społeczeństwie: kapitały ostrożne i kapitały rzutne, odpowiadające dwom objawom natury ludzkiej: obawie i nadziei. Pierwsze z nich pragną przedewszystkiem zachować się w całości, drugie ryzykują bezpieczeństwo wkładu dla możliwych większych zysków.

Na czele kas oszczędności włoskich stoi medyolańska wielka instytucja, znana pod nazwą: „*Cassa di Risparmio delle provincie lombarde*”, która nadzwyczajnie świetny rozwój wykazuje.

Założoną została w roku 1823 przez kommisję centralną dobroczynności publicznej (pod panowaniem austriackim), z funduszem 7 50,000 lirów, celem przyścia z pomocą ludności ubogiej w Medyolanie. W pierwszym roku swego istnienia miała 769 depozytów, przedstawiających kapitał 258,000 lirów. Dzisiaj powyższa kasa oszczędno-

ści ma 117 filii w całych Włoszech, i według wykazu z dnia 20 grudnia 1899 roku, posiadała depozytów na 585,255,811 lirów wniesionych, na podstawie 561,293 książeczek, i jej budżet jast olbrzymi.

Medyolańska kasa oszczędności i jej „agenzie filiali“ nie ograniczają się do biernej roli ściągania depozytów, lecz mają też za jedyną misję wzmocnienie kursu renty państwowej i ułatwienie podwyżki papierów publicznych, na co posiadają oddzielny fundusz rezerwowy. Rzeczona kasa oszczędności jest wielkim, potężnym bankierem prywatnym, załatwiającym interesa bankowe, ale też i pożyczka na zastaw towarów i na hypotekę, więc jest jednocześnie bankiem kredytowym i eskontowym. Jednocześnie także udziela od siebie zapomóg zakładom filantropijnym, przeważnie w Lombardyi, jak ochronkom, przytulkom, w kwotach, które liczą się na miliony.

Ona-to także założyła w roku 1883 kasę narodową ubezpieczeń robotników przeciw wypadkom, wielką zaś jej zasługą jest zaszczerpienie zmysłu oszczędności w ludzkie włoskim.

Największy obrot w dziale zastawniczym przedstawiają zaliczki na jedwab. Do tak zwanego „Magazzino delle Sete“ (jedwabiu), według ostatnich wykazów (z dnia 1 stycznia 1899 roku), jakie mam przed sobą, weszło pod zastaw w ciągu roku 1899 do składów instytucji jedwabiu na 69 milionów 182 tysiące lirów, pozostało go zaś na składzie na dzień 1 stycznia 1900 roku na 19 milionów, 275 tysięcy lirów.

Pożyczek hypotecznych na 1 stycznia 1899 roku było:

na 5%	19,569,368	lirów
„ 4%	138,038,932	„

Równie świetny rozwój wykazują Pocztove kasy oszczędności we Włoszech:

W dniu 31 października 1899 roku, ogólna cyfra depozytów w kasach oszczędności pocztowych dochodziła do 609,512,032 lirów z 3,605,487 książeczkami, co odpowiada przeciętnej lirów 168.58 na książeczkę. Według zaś ostatnich wykazów, w pierwszych trzech miesiącach roku bieżącego, wpłynęło do tych kas 79,674,730 lirów. a na 1 kwietnia 1900 roku kredyt depozytów wzniósł się do ogólnej summy 649,602,948 lirów na 3,701,229 książeczek.

Pozostają jeszcze zwyczajne kasy oszczędności, których jest tutaj 216. Według ostatnich danych statystycznych, jakie mogłem otrzymać z ministeryum skarbu, całość depozytów oszczędnościowych,

złożonych na książeczki, bony, dające procent, i na rachunek bieżący, wynosiła z dnia 1 lipca 1899 roku 1,477,868,122 lirów.

A mianowicie:

Oszczędności na książeczki	1,428,931,612	lirów
Na bony procentowe	5,908,076	„
Na rachunek bieżący	43,028,431	„

Nie mniejszą chlubą Włoch nowożytnych jest rozrost kas ludowych (Banche popolari), zwanych także „Banche mutue popolari cooperative”. Pierwsza z tych kas wzajemnego kredytu została założoną w roku 1866 w Medyolanie przez Ludwika Luzzattego, później w Rzymie. Kapitał pierwszej kasy wynosił 27 tysięcy lirów. Dzisiaj obroty tych instytucji kredytowych, opartych na wzajemności, liczą się na setki milionów, a jest ich ogółem 594 z 381,445 stowarzyszonymi, przedstawiających zbiorowo kapitał przeszło 74 milionów. Fundusz rezerwowy wynosi ogółem 29 milionów lirów.

Chodzi tylko jeszcze o to, aby kredyt skierować więcej ku rolnictwu, gdyż rolnik z wielką trudnością znajduje kredyt w większych instytucjach finansowych. Zrozumieli to klerykalni we Włoszech i stworzyli, po części w celach agitacyjnych, przeważnie w północnych Włoszech, tak zwane „kasy rolne katolickie”, które się również znakomicie rozwinęły i wytworzyły nawet pewną konkurencyę kasom liberalnym, popychając te ostatnie do baczniejszej uwagi na potrzeby małych rolników.

Włochy, według ostatnich obliczeń, mają 31,667,946 mieszkańców. Dzięki zasobom oszczędnościowym, przetrzymują one bez większych wstrząśnięć kryzys finansowy, trwający już od lat dziesięciu, to jest od roku 1890.

Tylko że bogactwo narodowe nie jest równomiernie podzielone. Północ, to jest: Lombardia, Piemont, Liguria (Genua), stanowią jego podstawę; daleko w tyle pozostają: Neapol, Sycylia i wreszcie wyspa Sardynia, kopcuszek Italii.

W życiu włoskiem opera, jak wiadomo, odgrywa wielką rolę, jest to może nawet jedyna rzecz, do której się przeciętny Włoch naprawdę zapala, więc zapowiedź nowej opery, zwłaszcza jeśli jej autorem ma być jeden ze znakomitych kompozytorów, stanowi już sama przez się wypadek. A tymczasem obiecują ich nam dwie: „Nerona“ Henryka Boity i „Maski“ P. Mascagniego, tylko że pierwsza z nich ma być przedstawioną w „La Scali“ dopiero w roku 1902, druga zjawi się już w przyszłej zimie. Boito pisze przedewszystkiem, komponuje powoli, starannie, aby dać rzecz możliwie skończoną muzykalnie, i sam tworzy swoje libretta; Mascagniemu podaje je Illica.

Znany w Rzymie krytyk muzyczny, Eugeniusz Checchi, rozmawiając pewnego razu w Medyolanie ze znanym również wydawcą, Tytusem Ricordim, podsunął mu myśl namówienia Piotra Mascagniego do napisania wielkiej opery na tle „Quo vadis“. Podobała mu się dramatyczna walka pomiędzy umierającym państwem i nową religią, na co zapytany z przenikliwością praktycznego człowieka odpowiedział, że przedmiot jest niezaprzeczenie piękny, nawet wspaniały, ale cóż z tego? Neron — psuje wszystko, bo o Neronie myśli; a może już go napisał, Henryk Boito.

Od ośmiu lat mówią o tem nowem zjawisku na polu dramatu muzycznego; w Medyolanie, gdzie mieszka Boito, niema osoby ze świata dziennikarskiego, która-by nie opowiadała pod słowem honoru, iż słyszała ustępy, grane na fortepianie przez samego kompozytora, i stąd utworzyła się już niemal legenda.

Henryk Boito, który do Rzymu nigdy nie przyjeżdża nawet na przedstawienia swoich oper, przeszedł więc w krainę mytu, czy też przybrał pozory sfinksa. Mówią, że pisze „Nerona“ od lat piętnastu, nigdy nie jest zadowolonym, przerabia, zmienia, więc nawet nikt nie zaręczy, czy nie upłynie drugie piętnaście lat, pomimo danej obietnicy, zanim się opera ukaże. Podobno, że jeden jedyny, Józef Verdi, słyszał z niej ustępy i unosił się następnie nad sceną uwodzenia młodej dziewicy przez Nerona, chwając przytem podobną scenę w „Irys“ Mascagniego, kiedy ją uwodzi Osaka, jedną z najładniejszych rzeczy, jakie Mascagni napisał.

Jeżeli do chwili wprowadzenia nowego utworu Boity nic się nie zmieni, opera mieć będzie pięć aktów: z tych pierwszy odgrywa się

w domu Symeona (baryton), drugi w cyrku, trzeci i czwarty podczas pożaru Rzymu, ostatni akt dzieje się podczas ucieczki Nerona (tenor). Występują w niej z kobiet: westalka Rubia (sopran) i hetera (mezzosopran).

Więcej powiedzieć możemy o „Maskach“ (Le Maschere) Piotra Mascagniego, włoskim zabytku teatralnym, któremu słynny malarz francuski, Watteau, poświęcił w swoim czasie szereg wspaniałych obrazów. A więc stare maski włoskie wkroczą na scenę liryczną, odżyją uśpione podania teatralne około tej improwizowanej komedii *dell' arte*, gdzie dawniej układanym był tylko scenariusz i jego treść, resztę, zaś, to jest dyalog, improwizowano na scenie. Były czasy (w XVII i XVIII stuleciu), kiedy aktorzy komiczni, specjalnych zdolności improwizatorskich, z humorem, często nawet popisujący się wierszami, rozprawami, podnieśli i przenieśli komedię ludową włoską XVI wieku z publicznych placów na dwory europejskie, jak na przykład do Wersalu, — skutkiem czego nazwa Włocha stała się synonimem żywości, łatwości ekstemporyzowania, — przygotowali pole pod komedye Molière'a. który niewątpliwie ich słuchał, i Goldoniego. Obaj ci ojcowie nowoczesnej komedyi, przerabiając sztukę komedyantów *dell' arte*, ich dowcip, odebrali im oklaski i honory sceny, zepchnęli ich na dawne miejsca, i odtąd komedya ludowa włoska zaczęła upadać.

Komedya sama była zwykle intrygą miłosną, skromną i pospolitą w zwrotach: usypiania, przebierania się, znikania, powroty z tamtego świata, bójki, ucieczki, omyłki i t. d., ani też akcja nie zatrzymywała się przed nieprzyzwoitością, przed głupstwem i jaskrawością, ale była zawsze odbiciem życia rzeczywistego, z typami, sylwetkami charakterystycznymi ludu, okolicy i epoki.

Stąd poszło, że Wenecya miała własną „maszkare“, zwaną Pantalone (nazwę, którą dzisiaj socjaliści włoscy mianują lud), Bergamo: Arlekina i Brigellę, uczona Bolonia: Doktora, Neapol: Pulcinellę, Florencya: Stenterella, Medyolan: Meneghina i t. d., wszyscy zaś razem Kapitana, najsympatyczniejszą, pocieszną karykaturę typu hiszpańskiego z XVII wieku. Obok nich istniały w sztuce typowe szablonowe pary zakochanych: Flawinsz i Izabella, lub Florynd i Rozaura, kobiece postacie, jak: Kolombina, Korallina i t. d.

„Kapitan“ był tem mniej więcej, czem jest Zagłoba w „Ogniem i mieczem“ Sienkiewicza, miles gloriosus Plauta, fanfaron

z wielkim nosem, wielkimi wąsami, wielką szablą, z czego powstał rzymski Rugantino i neapolitański, jeszcze żyjący w szopkach ulicznych, Guappo.

Bardzo zręczne i dowcipne libretto Ludwika Illiki składa się z prologu, to jest preludyum scenicznego w prozie, i z komedyi w trzech aktach wierszem. Pierwszy jest dodatkiem, zapowiadającym wskrzeszenie komedyi dell'arte (trochę jak w „Pajacach“ Leoncavalla), tak, jak w przedstawieniach dawnych improwizatorów, kopik objaśniał aktorom treść, dając im wskazówki, jakich potrzebowal każdy z grających, aby się przypodobać publiczności. Nie będąc częścią niezbędną melodramatu, prolog jest w części tylko podłożonym pod muzykę, ale kompozytor z Pesaro wyznacza mu miejsce stosowne pomiędzy jedną i drugą częścią uwertury, tak, że go będzie można opuścić, albo wypowiedzieć.

Widzimy więc na scenie w prologu próbę: aktorzy zbiegają się, komik objaśnia każdemu, co ma grać i śpiewać, mniejsza o to, jak, byle-by głos był dobry, więc niech spróbują, niech śpiewają: Kolumbina, Pantalón, para zakochanych i inni. Każdy z nich śpiewa rzecz charakterystyczną, poczem wraca uwertura, a po jej skończeniu rozpoczyna się właściwa akcja.

Zadaleko zaprowadziła-by mnie opowieść intrygi, pełnej epizodów i niespodzianek. Dość, że Pantalón jest ojcem Rozaury, kochającej i kochanej przez Florynda. Pantalón ma sługę Tartaglię, a kapitan Spavento, jako służącego, Arlekina. Jest i doktor, i Kolombina, kochana przez Brighellę, i wreszcie chór innych masek włoskich. Rzecz odbywa się w pierwszym akcie na placu miasta, koło ogrodu i domu Pantalóna. Na plac wpada z wózkiem Brighella, wywołując swój towar i rozmaite cudowne specyfiki. On-to Kolombinie cichaczem oddaje list miłosny Florynda do Rozaury, ale ojciec jej przeznacza ją dla kapitana Spaventy. Drugi akt daje nam scenę zaślubin Rozaury ze zniechęconym kapitanem; tutaj farsa podnosi się do szlachetniejszego, wzniosłego liryzmu, kiedy maski podczas uroczystości śpiewają wzniosły hymn allegoryczny na sztukę włoską:

Par te l'antica fola appar men vana
 Poiché tu ispiri ad ogni Parodia
 Il vero, il genio e la passione umana
 Perché tu sei la nostra poesia!

Jest pavana, stary taniec, i giga. Chwila uroczysta kończy się tem, że zakochani i otoczenie połknęli cudowne pigułki, i przed notaryuszem, spisującym kontrakt ślubny, zapomnieli mowy, i małżeństwo nie dochodzi do skutku.

W końcu, w trzecim akcie, Pantalón daje przyzwolenie na zaślubienie córki przez Florynda, pod warunkiem, że za dziewięć miesięcy będzie mały Pantalónik, poczem nie pozostaje śpiewakom już nic innego, jak zwrócić się z „Pokłonem komedyi“ do publiczności:

O publico! io concludo un matrimonio
 E ti saluto a lieto ed asciutto viso
 Arte è del Sol la luce, il fior di maggio
 Ed è delle belle Arti il buon sorriso...

Zdaje się, że Mascagni będzie się, o ile możliwości, trzymał starych, naiwnych tradycyi włoskich muzykalnych i melodyjności belcanto, według pierwowzorów z przed J. Rossiniego, jak: „Serva padrona“ Pergolesego, „Cyrulika“ Paisiella, lub „Matrimonio segreto“ Cimarosi. Każdy kawalek muzyczny tworzyć będzie osobną całość: strofka, romanza w starym stylu (trochę mozartowski), tercet, kwartet, kwintet, sceny komiczne, concertato, formy zostaną mniej lub więcej archaicznymi, nawet nie bardzo przystosowane do dzisiejszych wymagań, gdyż na przykład orkiestra będzie, o ile możliwości, w składzie swoim ograniczoną: dużo instrumentów smyczkowych, mało metalowych, wiele melodyi o linii szerokiej, długiej, jasnej, zamkniętej po obu końcach, jednym słowem: artystyczne wskrzeszenie, powrót alantico, jak mówią Włosi, nawet poniekąd protest przeciw wpływom zagranicy, zwłaszcza niemieckim. Nowy, dwudziesty wiek ma przynieść Italii w swoim brzasku manifestacyę artystyczną, która będzie italianaissima! przywrócenie do czci narodowej starych ideałów, podań teatralnych, na obronę przed wpływem zagranicy.

Upływa obecnie pięćdziesiąt lat, od czasu, kiedy zostały rozpoczęte pierwsze racjonalne, naukowe, poszukiwania w katakumbach starochrześcijańskich, z których wyszło ziarno i zakiełkowała archeologia chrześcijańska.

Dla uświetnienia Jubileuszu Miłościwego Lata 1900, komitet tutejszych znawców starożytności zwołał drugi kongres archeologiczny (pierwszy odbył się w Spalato w 1895 r.), na 17 kwietnia, w gmachu papieskiego seminarium dell'Apollinare. Brakło w nim wprawdzie Jana Chr. de Rossi, najznakomitszego przedstawiciela, twórcy niemal tej gałęzi nauki, zmarłego przed sześciu laty, ale byli za to uczeni jak: Marucchi, jezuita Grisar, historyk papieżstwa, ks. Wilpert, Crostarosa, Profumo, O. Duchesne, a z Polaków, prof. lwowskiego uniwersytetu, ks. Józef Bilczewski, z Francuzów: Paweł Allard, Paweł Sabatier, Eugeniusz Müntz, Niemcy: Hülsen i Petersen, Strzygowski z Gracu, Swoboda z Wiednia itd.

Pomiędzy innymi, kardynał sekretarz stanu, M. Rampolla, przesłał kongresowi rozprawę swoją o kodeksie watykańskim z w. XV, zawierającym spis emendarzy staro-chrześcijańskich w Rzymie, zdaje się, sporządzony IV wieku naszej ery. Nie była to jedyna praca kardynała, gdyż winnej sekcji kongresu, zajmującej się średnimi wiekami, odczytaną została rozprawka tegoż samego, o dokumencie, odnoszącym się do św. Melanii. Stąd też i O. Duchesne, dyrektor instytutu francuskiego w Rzymie i prezes obrad (mianowany świeżo doktorem teologii honoris causa wszechnicy jagiellońskiej), zauważył wśród oklasków zgromadzenia, o ile rzadkim jest przypadek, aby minister, tak zajęty sprawami kościoła, napływającymi z całego świata, miał jeszcze czas na oddawanie się poszukiwaniom naukowym, archeologicznym, jak tego mamy dowody.

Ojciec Delattre, badacz i odkrywca najstarszych pomników chrześcijańskich Kartaginy, zdał o nich sprawę, wskazując zarazem na nowe poszukiwania i skarby sztuki, jakie dotychczas spoczywają w ziemi, w tej nadziei, iż przyszły, trzeci kongres, mający zebrać się właśnie w Kartaginie, będzie je mógł już oglądać. Profesor Botti, dyrektor muzeum w Aleksandryi, objaśnił zajmujący papyrus grecki, znaleziony w grobie w Arsinoe (w Egipcie), a który, jego zdaniem, odnosi się do kapłanki bożka Petesuchosa: kapłanka przeszła na wiarę chrześcijańską, a następnie odstąpiła od niej w jednym z przesładowań. Najwięcej zapewne interesu przedstawiały rozprawy o sta-

rorzymskich pomnikach, jak na przykład O. Grisara rzecz o losach niektórych zabytków klasycznych, po upadku cesarstwa: o budowlach chrześcijańskich, wzniesionych na mauzoleum Hadryana (Castel S. Angelo), o kuryi Senatu i Panteonie. Berlińska wszechnica wysłała tutaj profesora Mikołaja Müllera, Wiedeń profesora Eugeniusza Bormanna.

Pierwszy z nich, porównywając jedną z lampek muzeum chrześcijańskiego w Watykanie z posążkiem brązowym w muzeum nad Sprewą, doszedł do wniosku, iż ten ostatni przedstawia św. Piotra, gdy tymczasem prof. Bormann mówił o ciekawym napisie, znalezionym w Efezie, na bramie domu prywatnego (który niegdyś był bazarem), zawierającym korespondencję Jezusa Chrystusa z Abgarem królem Edesy. Król Abgar chorował zdaje się na podagrę i prosił Chrystusa, aby go cudami swojemi uleczył. Z zakresu sztuki staro-chrześcijańskiej, prof. Adolf Venturi zastanawiał się nad kolumnami ołtarza Świętego Marka w Wenecyi, a mousignor Wilpert, polskiego pochodzenia, ze Szląska, ale piszący wyłącznie po niemiecku, zdał sprawę z nowo odkrytych fresków w katakumbach Świętego Piotra i Marcelina, w Rzymie, które następnie cały kongres in gremio poszedł obejrzeć.

Zbyt obfitym jest bogaty spis kwestyi, jakie w rozmaitych sekcjach przedłożono, więc się ograniczamy ich pobieżnym przeglądem: O. Grisar znalazł np., że w najdawniejszych czasach istniały schodki, prowadzące z ulicy Cornelia w dół do grobu św. Piotra, i wyraził przypuszczenie, iż one znajdują się dotąd podziemiach Bazyliki w tak zwanych Grotte vaticano; O. Ehrle odszukał dwa prastare widoki Rzymu (z średnich wieków), w kodeksach Watykanu; baron Kanzler objaśnił emalie limożyńskie konfessyi Bazyliki; budowniczy Giovenale zdał sprawę z odnowienia kościoła S. Maria in Cosmedin (w Rzymie) i z cyklu fresków, przedstawiających czyny Karola Wielkiego.

Jedną zapewne z ważniejszych manifestacyi kongresu było wskazanie pewnych życzeń, odnośnie do kierunku, w jakim archeologia chrześcijańska winna być opracowywaną, a więc jej wprowadzenie do seminarjów i zakładów teologicznych, ogłoszenie kompletnej bibliografii literatury odnośnej, zbadanie stosunku pomiędzy starożytną literaturą chrześcijańską a klasyczną, wprowadzenie do gimnazyów, obok klasycznych autorów, któregośkolwiek z wzorowych pisarzy chrześcijańskich itd., itd., gdyż jednym z głównych zadań podobnych kongresów, czy archeologicznych, czy historycznych, winno być wskazywanie, jakich opracowań nauka wymaga, potrzebuje, jednem słowem wskazanie tego, co jest do zrobienia, gdyż nie wystar-

cza, aby zebrani na kongresie wysłuchali opracowań, odpowiedzieli na nie oklaskami i na tem posiedzenia zakończyli; owszem, ważnem jest, aby specjaliści danej gałęzi wiedzy, przez dyskusyję i następnie przez głosowanie nad odnośnym wnioskiem, zawyrokowali o nowym najlepszym kierunku, do jakiego pracowników na tem polu zapraszają.

Z Polaków brali udział w zjeździe, wspomniany powyżej, ks. prof. J. Bilczewski ze Lwowa i młody ks. Zmartwychstaniec, Tadeusz Olejniczak, który, o ile wiem, chce się poświęcić archeologii chrześcijańskiej. On też uważał sobie za obowiązek zaznajomić zebranych w I sekcji ze stanem badań archeologii chrześcijańskiej na obszarze ziem polskich.

Z naszych pisarzy na tem polu wyróżnia się przedewszystkiem ks. Bilczewski rozprawami, drukowanemi przeważnie w „Przeglądzie powszechnym“, jak np. „O stanowisku legalnem pierwszych chrześcian“, „O dziewictwie w pierwszych wiekach“, „O sztuce pierwszych wieków chrześcijaństwa“, a zwłaszcza znakomitem dziełem „Archeologia w obec historii kościelnej i dogmatyki“, przełożonem na język czeski. Ostatnią pracą ks. Bilczewskiego (wydaną w 1898 i nagrodzoną przez krakowską akademię nauk), jest dzieło „O Eucharystyi“, ze stanowiska teologiczno-archeologicznego.

Wogóle jednak, brak nam pracowników w tej dziedzinie na obszarze ziem polskich pod berłem rosyjskiem, a to z powodu trudności, jakie mają duchowni, aby mózdz kształcić się w Rzymie,

Trudniej przychodzi mi zestawić rezultaty obrad, jakie miały miejsce podczas kongresu przeciwgruźlicznego w Neapolu, w końcu kwietnia. Kongres był międzynarodowym, zjechało się nań mnóstwo lekarzy włoskich i cudzoziemców, nie brakło bardzo uroczystych przyjęć ale co do pojedynczych kwestyi, rozbieganych na tym kongresie, czekać przedewszystkiem należy, aby zostały obszernie i jasno opracowane w specyjalnych pismach lekarskich. To jednak niewątpliwie wynikło z obrad, że walka z gruźlicą nie będzie skuteczną, póki państwo oddzielnemi prawami higieny, ochrony, niestanego czuwania, nie zmniejszy gwałtowności choroby i nie ograniczy za

razy. Uczeni neapolitańscy przelożyli w sekcji przemówień pewną ilość dezyderatów, stwierdzając zarazem, iż nie tyle lasecznik Kocha, ile słabość fizyczna jest przyczyną choroby suchot i dlatego wskazali na uzdrowiska, sanatoria, jako rzecz gwałtownie potrzebną.

Jednym ze skutków uchwał, jakie zapadły na kongresie, jest niewątpliwie ukazanie się w kilkanaście dni po tem w całych Włoszech napisów „Uprasza się nie pluć“, jakie rozwieszono w miejscach publicznych, kawiarniach, tramwajach, kościołach; wiadomą bowiem jest rzeczą, iż spluwanie osób chorych na gruźlicę przyczynia się najwięcej do szerzenia zarazy. Wyrażono też życzenie, na wniosek doktora Rossi-Doria, aby państwo zakazało związków małżeńskich osobom, które zapadły na tę chorobę, wreszcie ktoś z obecnych zwrócił uwagę zebrania, iż troskliwsza opieka nad suchotnikami stanowi warunek niezbędny w obronie społeczeństwa przeciwko gruźlicy. Ostatecznie zjazd w Neapolu wybrał międzynarodowy komitet, którego zadaniem będzie wytworzenie powszechnego związku dla walki z tą plagą społeczną, nierównie dotkliwszą i więcej dziesiątkującą społeczeństwo, niż wojny.

Wiadomem jest powszechnie, że gruźlica, w rozmaitych objawach, ma swoją przyczynę w mikroorganizmie specjalnym, laseczniku, odkrytym przez d-ra Kocha w r. 1882. Lasecznik jest drobny, długi, nieruchomy; aby go widzieć pod mikroskopem, należy go zabarwić, ale za to jest nadzwyczajnie wytrwałym i, co stanowi jego wielkie niebezpieczeństwo, może zachowywać się długo poza organizmem, nie tracąc siły zaraźliwej. Poza człowiekiem, chwytą się najwięcej bydła, wchodzi przez skórę, usta, nos, najłatwiej zaś dostaje się zaraza od plwocin. Chorzy na suchoty, spluwając, wyrzucają laseczniki w pełnej sile własności trującej, które potem, wyschłe, unoszą się w powietrzu i wdychane bywają przez innych.

Zapewne, że do zarażenia się gruźlicą ważnym jest czynnik predyspozycyi indywidualnej, a więc słaby ustrój ciała, złe odżywianie się, odziedziczenie po rodzicach skłonności do gruźlicy, bo i to zostało stwierdzonem, iż synowie, wnuki osób, chorych na tuberkulozę, mają szczególniejszą łatwość dostawania choroby, nie zaś, aby ją mieli wprost przekazaną. Te ostatnie wypadki są podobno bardzo rzadkimi.

Z tego też wypływa najlogiczniejszy sposób obchodzenia się z chorobą przez kuracyę higieniczną, wzmacniającą ustrój ciała, i przez odosobnienie chorych, tak, aby słabsze osobniki nie zaraziły się. Na tych zasadach opiera się myśl Sanatoryów, jedyna dotychczas droga zbawienia, póki nie znajdzie się środek specyficzny. mogący skutecz-

nie zażegnać niebezpieczeństwo wprost w chorym organizmie, jaki na przykład istnieje w ospie i dyfterytysie, przez szczepienie. W roku 1890 sprawił wiele hałasu komunikat Kocha, jakoby z czystej kultury laseczników gruźlicowych, za pomocą gliceryny, uzyskał płyn (nazwany tuberkuliną), który miał leczyć chorobę; we Włoszech, prof. Maragliano ogłosił przed kilku laty o nowym wynalazku swoim: surowicy antytuberkulicznej, ale oba środki przyniosły rozczarowanie i magiczne lekarstwo jest dotąd jeszcze *pium desiderium* świata lekarskiego.

W stanie obecnym nauki jedynie tylko uzdrowiska dają rzeczywiste korzyści i nie powinny być dużemi, ale raczej tylko na pięćdziesiąt osób, choćby tylko dla tego samego, iż wielkie zakłady mogły-by być nieuczęszczanemi, z obawy zarazy i przebywania w ośrodku tak chorobliwym. Należy więc pohamować aspiracye do wielkich zakładów, a walczyć ze złem, gdyż niebezpieczeństwo, choćby wielkie, jeśli przychodzi stopniowo, łatwo się wkrada, a tylko jeśli przychodzi gwałtownie, zwraca na się uwagę, zarówno w społeczeństwie, jak i w osobniku.

Nikt-by nie uwierzył, że we Włoszech, gdzie klimat jest tak łagodny, dokąd jeżdżą osoby słabe na piersi, tuberkuliczne, umiera rocznie na gruźlicę przeszło 30 tysięcy osób. Według dat statystycznych, najwięcej ofiar dają: robotnicy, uczniowie, seminarzyści, wreszcie chłopci, źle się odżywiający. Wykazują to dane statystyczne z roku 1894. W tym samym roku zmarło na gruźlicę w samych Prusach 71,000, a w Austrii 88 tysięcy osób.

Zwłaszcza krowy podlegają łatwo gruźlicy, z nich laseczniki przechodzą do mleka, i tym sposobem najcenniejsze z pożywień, jakie zna człowiek, daje nierzadko zarodki tej choroby. Bardzo więc słuszną jest uwaga, aby dzieciom nie podawać nigdy mleka niegotowanego, gdyż w warzonym mikroby już wyginęły.

Walka przeciw gruźlicy jest jedną z najchlubniejszych manifestacyi cywilizowania się ludów, a jak w tym razie, z ustanowieniem międzynarodowej ligi może dać błogosławione skutki. Wytepić tuberkulozę z ludności, zwłaszcza z klas niższych, pracujących, znaczy rzeczywiście zastąpić wielką ilość jednostek słabych, chorobliwych, wycieńczonych moralnie i fizycznie, niezdolnych do pracy, inną seryą robotników, zdrowych, silnych, muskularnych, zdolnych do walki w zapasach życiowych w sposób korzystny dla siebie i dla społeczeństwa.

Ostatecznie, goście kongresowi, odpowiadając na życzenie, wyrażone przez profesora Schröttera na kongresie w Paryżu w roku 1898, uchwalili ustanowienie komitetu międzynarodowego w imieniu

trzech narodów, które powzięły inicjatywę kongresów przeciwgruźlicznych, celem zawiązania ligi międzynarodowej przeciw kłęsce.

Do komitetu weszli więc: Lannelongue dla Francji, ksiądz na Raciborzu dla Niemiec i minister G. Bacelli dla Włoch.

Oni-to mają powierzoną organizację Związku przeciw gruźlicy, z prawem przybierania nowych członków w trzech wymienionych państwach.

Wystawa higieny, otwarta jednocześnie z kongresem w czarującym parku Villi Nazionale, nad zatoką, pomiędzy palmami i dębami wiecznie zielonemi, dostarczyła jednocześnie najrozmaitszych opracowań nad chorobami, trapiącemi ludzkość. Były tam po większej części studia nad malaryą, plagą specjalną Włoch, jakby wzamian za mniejszą infekcją gruźliczną, nad jej lasecznikami i komarami, plany sanatoryów, zwłaszcza szwajcarskich, bo Szwajcarya, dzięki swoim góróm, zajmuje tutaj przednie miejsce.

Kongresiści rozjechali się z Neapolu po trzech dniach obrad, gęsto, pono zbyt gęsto przeplatanych przyjęciami w teatrze S. Carlo, w Radzie miejskiej, wycieczkami w okolice, bankietami, gdzie przemawiali: minister dr Gwido Bacelli (świeżo także mianowany doktorem *h o - n o r i s c a u s a* wszechnicy Jagiellońskiej), dr de Giovanni z Padwy, który właśnie postawił wniosek ustanowienia komitetu ligi, i dr Maragliano z Genui.

A. DAROWSKI.

Stosław w Łaguna.

Jak najpłodniej spożytkować, wyczerpać jak najobficiej wszelką rozporządzalną siłę żywą; wszelką energię utajoną w najzupełniejszy i najprostszy wyładować sposób; od *minimum* wysiłku zdążyć drogą najkrótszą do *maximum* skutków: takie jest naczelne prawo ekonomii, jakim rządzi się przyroda. Takim samem oraz prawem, i w tem snadniejszym do natury zbliżeniu, im są naturalniejsze ich warunki bytowania i rozwoju, rządzą się społeczności ludzkie. Takim atoli rzadko przychodzi rządzić się naszej. Ta, przeciwnie, aż nazbyt często wręcz odwrotną stosuje gospodarkę: z najwyższych swoich wykładników duchowych najdrobniejszą wywiązuje zawartość, z najżyźniejszych kłosów najskąpsze dobywa żniwo. I takie też było przeznaczenie tej niepospolitej, a niewyzyskanej, siły moralnej i umysłowej, jaką wcielał w siebie, jaką w sobie zamykał i z sobą zabrał ś. p. Stosław Łaguna.

Proste były koleje jego życia. Proste, jak prostą jest cnota, jak mądrość, jak rezygnacya. Urodzony w 1833 roku, średnie nauki

ukończywszy w kraju, po wyższą naukę prawa udał się do Petersburga. Istniały tam wtedy, od lat kilkunastu, t. zw. Kursa Prawne, zaprowadzone przy wszechnicach petersburskiej i moskiewskiej, a mające zastąpić dla sądownictwa Królestwa Polskiego b. uniwersytet Aleksandrowski w Warszawie, zwinięty po rewolucyi listopadowej. Kursa Prawne, wywołane potrzebą czysto praktyczną, przeznaczone dla wyhodowania niezbędnej liczby urzędników sądowych i obrońców, pod względem ściśle naukowym wiele pozostawiały do życzenia. A jednak nieraz słyszeliśmy od nieboszczyka, iż tamtejsze lata uniwersyteckie, jakkolwiek spędzone wśród warunków niekoniecznie pomyslnych, już nawet po usunięciu się z katedry petersburskiej Romualda Hubego, którego oczywiście nie zastąpił Antoni Czajkowski, były najwocześniejszymi dla jego kultury naukowej. Była w tem najwyłączniejszą własną, osobistą jego zasługą. Istotnie, summa wiedzy, jaką własnym zachodem był zebrał w tym czasie, godną jest podziwu. Nielatwo przyszło-by wskazać drugi przykład tak młodej, a tak już samodzielnej i płodnej pracy, tak weczesnej, a tak już dojrzałej i skutecznej. Mniemamy, iż główną treść owej potężnej erudycyi, którą aż do końca olśniewał uczony, w tych-to kilku latach samotnego, wyteżonego wysiłku zgromadził akademik. Niebawem przez lat kilkanaście całkiem oderwany od źródeł nauki, później niedogodny mając do nich przystęp, i niewdzięczną przywalony robotą, już tylko urywkowo i przygodnie mógł śledzić dalsze postępy wiedzy i w późniejszych swoich pracach przeważnie z tamtych pierwszych czerpać zasobów. To był wielki jego smutek. Ale to był także dowód uderzający, jak znaczne były one zasoby, i z jaką szkodą było dla nauki, iż zbogacać ich, rozszerzać i spożytkować w tym samym stosunku, jak rozpoczął młodzieniec, nie było danem dojrzałemu mężowi i żywotnemu aż do końca starcowi.

Pierwsza praca Łaguny „O prawie granicznem polskiem“ powstała w Petersburgu w grudniu 1858 roku. Kilkanaście lat przechowana w rękopisie, ukazała się z druku dopiero w 1875 roku (w Bibliotece Umiejętności Prawnych, Ser. II, Zesz. VII, № 16), po tak znacznej przerwie, ani w jednej niezmieniona literze z pierwotnego rękopiśmiennego tekstu: uderzający znowu dowód rzadkiej ścisłości i dojrzałości roboty 25 letniego studenta. Był to przedmiotowy, w porządku chronologicznym przegląd przepisów prawa i procesu granicznego polskiego, od czasów najdawniejszych, aż do najnowszych, dziwnie zwięzły, systematyczny, przejrzysty; rzecz na pozór sucha, ale w swym pomysle związana bezpośrednio z najżywotniejszą sprawą uwłaszczenia włościan, wtedy właśnie będącą na dobie. Ta praca, jakkolwiek jeszcze nie ogłoszona drukiem, otworzyła autorowi wstęp na

katedrę uniwersytecką. Z wyboru Komissyi Kodyficyjnej mianowany został w 1859 roku profesorem adjunktem przy katedrze prawa polskiego w Petersburgu, na budżecie Królestwa, zaś w roku następnym powołany dodatkowo na profesora historii w petersburskiej Akademii duchownej rzymsko-katolickiej. Stosunki z kolegami uniwersyteckimi dosyć były skomplikowane. Łaguna ograniczał się do złożenia wizyt urzędowych kuratorowi, rektorowi i dziekanowi. Piękne a ściśle naukowe jego wykłady, nacechowane zarówno wszechstronnym naukowym ujęciem przedmiotu i staranną, nieposzlakowaną pracą, od pierwszej niemal chwili zdobyły sobie wyjątkowe powodzenie u młodzieży. Jemu-to, obok jednego jeszcze prof. Stasiulewicza, wnet musiano wyznaczyć najobszerniejsze audytoryum w gmachu uniwersyteckim, które też stale po brzegi wypełniali słuchacze. Jakkolwiek zajęcia wykładowe nadzwyczaj pochłaniały mu czas i uwagę, nie przeszkodziły mu przecie w produkcji naukowej. Nieraz potem Łagunie wyrzucano nieprodukcyjność; sądziliśmy, iż jej źródło nie tyle w pisarzu, ile w niepomysłnych późniejszych tkwiło okolicznościach. Naówczas, w Petersburgu, mając te dwie rzeczy, dla niego nieodzownie potrzebne: uniwersytet i bibliotekę, w krótkich odstępach, oprócz wspomnianej rzeczy „O prawie granicznym“, dwie inne cenne wykończył prace. W „Bibliotece Warszawskiej“, która szczyli się tem, iż najpierwsze jego pismo podała do druku, ogłosił (1859, tom III) „Kilka uwag nad wywodem historycznym niektórych artykułów statutu Wiślickiego“, gdzie w sporze pomiędzy Lelewelem a Helclem, z dużą samodzielnością i rozważą głos zabiera. W „Piśmie zbiorowym“ Józafata Ohryzki (1859 roku, tom II), ogłaszając kilkanaście dokumentów z archiwum ryskiego, jednocześnie w treściwym szkicu historycznym „Hanza nad Dźwiną“, dał barwny obraz życia i stosunków w starej Rydze i Smoleńsku w XIII-ym wieku.

Jednak niedługo już wypadło Łagunie przesiadywać nad Newą. Nadeszła doba wielkich przesilen krajowych. Otworzyły się widoki przywrócenia zniesionej w Warszawie wszechnicy. Otworzyła się możność służenia krajowi w kraju. W 1861 roku Łaguna został sędzią Trybunału w Warszawie. Zasiadł w Wydziale hipotecznym warszawskim, uświetnionym głęboką Dutkiewicza nauką i powagą. Tutaj młody profesor objawił się równie sumiennym i wytwornym sędzią, jak był nauczycielem i pisarzem, tutaj, w wielolicznych, trudnych i zawitych zagadnieniach praktycznych, podpis jego na zawsze nieomylnych znachodzi się rezolucyach. Lubił później do końca życia prawoznawczą w rzeczach kodeksowych dysputę, lubił zwłaszcza w subtelnej prawa hipotecznego materji stawiane sobie wątpliwe

pytania proceduralne albo istotne, które z gruntowną znajomością treści i ducha prawa, z lotnem zrozumieniem sprawy i przypadku, rozjaśniał i rozstrzygał. W tem powszechna katastrofa publiczna pochłonęła go, niebawem usunęła z kraju. Rzadko o tych przejściach bolesnych mówił; kiedy zaś mówił, dając tem dowód wyjątkowej życzliwości, wyjątkowe też nosiły piętno wynurzenia i uwagi, nie tyle uczestnika, ile wyższego ponad uczestnictwo, ponad wszelką namiętność psychologa i filozofa: i słuchając tych postrzeżeń o wypadkach i ludziach, o zawodach i doświadczeniach, o towarzyszach broni, albo o obcych oglądanych krajach, postrzeżeń przenikliwych i głębokich, a przedewszystkiem tak nawskroś przedmiotowych, tak zupełnie spokojnych, tak absolutnie sprawiedliwych zarazem i wyrozumiałych z ust sześćdziesięcioletniego starca, nieraz przychodziło zastanawiać się nad tą osobliwą równowagą ducha i wyrobieniem sądu w trzydziestoletnim ongi młodzieńcu, który pośród powszechnej gorączki, pośród najgwałtowniejszej burzy, tak potrafił patrzeć i tak spamiętać.

Po powrocie do kraju, Łaguna wstąpił do redakcyi miesięcznika „Ateneum“. Tutaj ogłosił wkrótce najpiękniejszą swą pracę, „Dwie elekcyje“ (1878, tom II, III), gdzie opisując wybór biskupi w Krakowie XIII wieku, sposobem najmistrzowszej krytyki i wyzyskania źródeł, dał wykończony z plastyką artystyczną obraz społeczności owoczesnej, zwłaszcza stanu duchownego, urozmaicony kilku żywymi portretami ludzi. śród których portret Kadłubka przedziwnem wyróżnia się mistrzowstwem. Niedawno też portrecista w innym piśmie „tablica paschalna lubińska“ (tamże, 1883), wyraził przekonanie, iż „konstrukcyja historyczna jest raczej sztuką, nie nauką“. Mógł śmiało wygłosić tę prawdę niewątpliwą, sam będąc nietylko uczonym, lecz, gdzie było potrzeba, i artystą w pisaniu. Pisał jednak coraz mniej, odrywany przez drobne codzienne obowiązki redakcyjne, a co główna, pozbawiony stałego dopływu naukowej strawy. Ograniczył się prawie wyłącznie do produkcji krytycznej. Jego krytyki przecie to były prawie zawsze samodzielne rozprawy, wnoszące nowe światło do omawianego przedmiotu. Taki charakter noszą: „Sprawozdanie z Pamiętnika Akademii Umiejętności w Krakowie“ (tamże, 1877, tom I), „O źródłach dziejowych Pawińskiego“ (tamże, 1878 r., tom I), „Miniatura w XVI wieku“ (z powodu publikacji prof. Gersona, tamże, 1893, t. I), „Nowa hipoteza o pochodzeniu szlachty polskiej“ (z powodu książki prof. Piekosińskiego „Kwartalnik historyczny“, 1890), „Pierwsze wieki kościoła polskiego“ (z powodu książki prof. Abrahama, tamże, 1891 roku), „Rodowód Piastów“ (z powodu książki prof. Balzera, tamże, 1897). W całym nastroju tych tak zwa-

nych „recenzji“, a właściwie bardzo oryginalnych i bardzo gruntownych ułamek monograficznych, panowała jakaś osobliwa, wyszukana, a dziwnie pociągająca wytworność tonu: recenzent w szeregu ścisłych i bystrych poprawek, prawie zawsze nieomylnych, niedopuszczających zgoła repliki, wytykał i prostował szereg błędów, a nieraz przez takie pojedyncze poprawki równał z ziemią całe rusztowanie hipotez autorskich, obalał doszczętnie całą teoretyczną budowę,—ale czynił to tak oględnie, wstrzeźmiwie, niepozornie, tak przytem pamiętał przed wytknięciem błędu o pochwalę i pokłonie dla istotnej zasługi dzieła i autora, tak najoczywiściej kierował się szczerą życzliwością dla badania i badacza, bezwzględną miłością prawdy i najobjektywniejszą sprawiedliwością, iż ostatecznie, jak wyrażał się o nim ś. p. Pawiński,—„operował bez bólu“. Z tem wszystkim jego pochwały były dosyć niebezpieczne, gdyż, koniec końcem, dyktowała je pobłażliwość wielkiego uczonego, który, sam dla siebie najsurowszy sędzia, doskonale zdawał sobie sprawę z cudzej słabości. Ale to zachowywał dla siebie, i najrzadziej tylko,—jak w ocenie badań szwedzkich hrabiego Dzieduszyckiego,—pozwalał sobie w duchu na przebłysk tego cichego, w najlepszym gatunku, przenikliwego, a pogodnego sarkazmu, który stanowił przedziwną przyprawę jego duchowej całości.

Wymienimy jeszcze dla ścisłości kilka innych pomniejszych pism Łaguna, ogłoszonych drukiem: interesującą notatkę prawną o „Deputacie leśnym“ („Gazeta sądowa“, 1877), „Dodatek do zbioru przysłów“ („Dwutygodnik naukowy“, 1879), wreszcie ciepłe i pod względem bibliograficznym cenne, wspomnienie o starym przyjacielu, „Romualdzie Hubem i jego działalności naukowej“ („Ateneum“, 1890, t. III). Do jego również dorobku naukowego zaliczyć należy zgromadzone przez niego, a ogłoszone przez profesora Piekosińskiego „Nieznane zapiski heraldyczne średniowieczne polskie, głównie sieradzkie“ (w „Arch. Kom. Histor. Akademii Umiejętności, 1898, t. VIII). Poza tem mnóstwo artykułów krytycznych i polemicznych jego pióra, a bez podpisu, rozrzuconych jest w dwudziestu przeszło rocznikach „Ateneum“. Zresztą, wogóle podpisywać się niebardzo lubił i zazwyczaj pod swojemi pracami stawiał po prostu tylko inicjały swego nazwiska. Chodziło mu o rzecz, nie o rozgłos. Serdecznej zawsze uczynności, wprost był wdzięczny, był szczęśliwy, ilekroć w jakiej sprawie naukowej udawano się do jego światła. Kiedy przed dwoma laty p. Korzon, pracując nad Sobieskim, a nie mogąc poradzić sobie z chaosem pierwotnych rodowodów króla Jana, zwrócił się do niego po wskazówki, Łaguna udzielił mu w tej chwili drogocennej notatki, będącej znowuż prawdziwą monografią. Przysługa naukowa dla pracy

radziej sprawiała mu najzupełniej to samo zadowolenie, co dla własnej.

To wszystko, razem wzięte, to były jednak, rzecz prosta, nikle tylko ułamki, wychodzące na światło dzienne, z bogatych zasobów duchowych Łaguny. Rozdrabniał się, wydawał grosiwem szczere zło- to swojej myśli i erudycyi. On sam, z wysoką swoją samowiedzą, naj- dokładniej był świadom tej dysproporcji. Ale nad samowiedzą anali- tyka górowała w nim wyższa rezygnacya mędrca. Swoje czynności zawodowe z wzorową wypełniał ścisłością, nawet z zamilowaniem, i z tem zupełnem oddaniem się, jakie zwykł był kłaść w każdą robotę. Lecz nie dla niego była, zaiste, ta robota. Nie dla niego odczytywać rękopisy najrozmaitszej wartości *de omni re scibili*. i poprawiać w nich grzechy logiki, stylu, a często ortografii. On był urodzony nauczyciel i uczyony, nie publicysta. Rozumieli to wszyscy. Ceniono go powszechnie zgoła ponad miarę jego zawodu, a w miarę jego zasług. Ale to zrozumienie i szacunek były czysto platoniczne. On to wiedział naj- lepiej i pogodnie się uśmiechał. Przez dwadzieścia i pięć lat, swoich lat najdojrzałych, on jeszcze pośród nas przebywał, a przecież nie znalazło się dla niego to miejsce, jedynie dla niego stosowne, dokąd światlejsza inicjatywa ongi była powołała młodzieńca, nie znalazły się te dwie rzeczy dla niego nieodzowne: katedra i biblioteka. Nie na- leżał nawet do żadnego uczonego ciała, on, najuczucniejszy. Z mozołem i nieporządnie mógł zdobywać najniezbędniejsze publikacye naukowe, o ile bądź przychodziły do redakcyi, bądź też były mu wypożyczane przez przyjaciół. W 1898 roku, 65-letniego starca powaliła na łóże ciężka choroba, która miała przeciąć jego żywot. Wtedy też Akade- mia Umiejętności w Krakowie zamianowała go swoim członkiem. W pracy nie ustawał aż do chwili ostatniej, w najdosłowniejszem znaczeniu słowa. Dnia 28 kwietnia roku bieżącego, przy czytaniu re- dakcyjnego rękopisu, rażony udarem, nagle życie zakończył.

Mówiliśmy dotychczas o uczyonym. Pragnęli-byśmy choćby parę słów dołożyć o człowieku. Był to starzec mały, szczupły. suchy, ru- chliwy, na sztywnych nieco nogach, ożywiony, wymowny, a choć pod koniec życia zaczął głuchnąć, oczy zachował młode aż do zgonu. Po- za swoją podwójną specjalnością dziejopisa i prawnika, wszechstron- nie i wytwornie ukształcony, iście europejskiej umysłowej oglady, szerokich i światłych poglądów na świat, na życie, na sztukę, był on świetnym przedstawicielem wysokiej kultury nawskroś polskiej, udoskonalonej zarazem na lepszych wzorach zachodnich. W szczegó- lności były w nim żywe tradycye kulturalnej wymiany ze światem du- chowym francuskim, jak gdyby odgłos dziedzicznych tradycyi z doby Stanisława-Augusta, Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongre-

sowego. To też najłatwiej mogliśmy go sobie wyobrazić w poważnem towarzystwie Stanisławów Potockich, Matuszewiczów, Mostowskich, Niemcewiczów albo Lelewelów, za stołem Rady Stanu, w gabinecie ministerjum Sprawiedliwości, lub Oświaty i Wyznań, albo może najstosowniej na krześle rektorskiem Królewsko - Aleksandrowskiego Uniwersytetu, lub na miejscu prezydyalnem w Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Uczony mąż polski przenikniony był zarazem duchem Kodeksu Napoleona, był także znakomitym znawcą literatury francuskiej XVII i XVIII wieku. Lubił nieraz cytować Boileau, albo Montesquieugo; a nie zaniedbywał nawet najnowszej literatury pięknej Zachodu, i w przerwie pomiędzy lekturą „*Patrologie*“ a „*Monumens de la Pologne*“, chętnie brał do ręki wiersz Sully Prudhomme, albo powieść Maupassanta, którego cenił wysoko. Pamiętamy subtelne uwagi krytyczne, jakie słyszeliśmy od niego po ukazaniu się „*Notre Cœur*“ na szpaltach „*Revue des deux mondes*“. I wieleż innych pamiętamy z nim rozmów, gdzie roztaczał zdumiewającą wszechstronność swojego bogatego ducha, w skromnej swojej pustelni przy ulicy Maryańskiej, pośród stosów książek i rękopisów, pośród atmosfery uczoneści i kurzu, a zarazem pośród owej przeczystej harmonii cnoty, mądrości i słodyczy, jaką dokoła siebie stwarzał gospodarz. Osobliwe były te gawędy, w tym zwłaszcza względzie, iż w stopniu nadzwyczajnym odślaniały niezmierną rozmaitość, giętkość i rzutkość jego umysłu, unaocznioną mianowicie w zupełnie wyjątkowej, jemu tylko właściwej, obszerności i swobodzie assocyacji pojęć, jakimi wypełniał i prowadził rozmowę. Można to tylko wyrazić na przykładach. Tak naprzykład pamiętamy dokładnie taki tok rozmowy z Łaguną z powodu wznowienia „*Hrabiny*“: jego uwagi o stanie opinii publicznej przed trzydziestu kilku laty, kiedy arcydzieło Moniuszki po raz pierwszy wystawiono, o wrażeniu owoczesnem, o aryi. „*Ruszał w pole*“ i t. d.; potem o sprawie rusińskiej, z powodu artystki, grającej dzisiaj rolę tytułową; potem o legionach, o ks. Józefie i pewnym rękopisie Ignacego Potockiego z Tylży, który sam w 1858 roku widział w Petersburgu, — z powodu libretta; potem o teatrze wogóle, — aż wreszcie skończyło się na piśmie Tertulliana „*De spectaculis*“ i na przekonywającym wywodzie o plagiatorstwie Salviana. Kiedy indziej, z powodu poezyi prowansalskich Konopnickiej w „*Bibliotece Warszawskiej*“, dowiedziliśmy się ciekawych szczegółów o zaginionych rękopisach Węgierskiego po jego śmierci w Marsylii, a w końcu usłyszeliśmy uczoną argumentację w kwestyi: czy Klaudyan był poganin, czy też chrzczonec? Kiedyśmy po raz ostatni odwiedzali Łagunę, był obłożnie chory, zastaliśmy go w łóżku, czytającego najświeższy poszyt „*Srednieaziatskawa Wiestnika*“; natychmiast wziął on

stąd assumpt do przeprowadzenia rozmowy takim kolejno szlakiem: o wykopaliskach Samarkandy, o wyprawie Perowskiego do Chiwy, o powieściach Kiplinga, o kolei syberyjskiej, o wzroście budowlanym Warszawy, o obecnym stanie warszawskiego Wydziału hypotecznego miejskiego i t. p. A ileż szczegółów nowych i ciekawych, ileż trafnych i głębokich uwag o każdej z tych rzeczy miał do powiedzenia. Pomnimy, iż po tej ostatniej, długiej i nauczającej gawędzie ze steranym i schorzałym starcem, wyszliśmy wtedy z sercem ściśnionem, pełnem ciężkiego żalu. Nie był to żal nad Łaguną, gdyż jedyne uczucie, jakie on zdolen był budzić, wśród jakichkolwiek warunków, to było uczucie wysokiego, męskiego szacunku, które dla czego innego nie zostawiało miejsca. Ale żalem przejmowała nas myśl o kraju, o społeczności, wydającej ludzi, którymi szczyliły-by się najoświecześniejsze społeczeństwa Europy, a którzy wśród nas, w oczach naszych, więdną w cieniu i półbycie.

SZYMON ASKENAZY.

Zwrot w modernizmie niemieckim.

I.

L i r y k a.

Ważną i znaczącą jest chwila, gdy jakiś ruch literacki, nowy styl, przestaje uważać się za zjawisko dotąd niebywałe, z przeszłością nie mające nic wspólnego, a natomiast zaczyna szukać związku z poprzednimi epokami, badać, ile treści i formy ma z nimi wspólnej. Chwila to przejścia z okresu burzliwych walk, przesadzonej pogardy wobec innych, śmiesznej miłości własnej, do wieku dojrzałego, do sprawiedliwszego sądu o sobie i innych. Może kto doda i do starości. Niewątpliwie jest w tem cząstka słuszności, ale ironią nie zwalczy się nieubłaganego prawa organicznej ewolucyi i młodzieniec zmierzając będzie ku wiekowi dojrzałemu, chociaż wie, że po nim pójdzie zgrzybiałość.

Taką chwilę przechodzi dziś tak zwany modernizm niemiecki, wyraźnie tylko niemiecki. Nie roszczę sobie prawa mówić o innych sztukach pięknych, chociaż i tu widoczną jest ta przełomowa chwila:

już się przeszłości nie lży i w ezambul nie potępia, już studjuje i staro-niemieckie malarstwo, i nawet barok (por. kilka ostatnich zeszytów kwartalnika „Pan“). W literaturze zaś, w poezyi, niema prawie miesiąca, aby z obozu modernistów lub ich przeciwników nie wychodziła próba połączenia dzisiejszych prądów z dawniejszemi. A w tej paralleli współczesna sztuka nie widzi upokorzenia dla siebie, owszem, chlubi się nią i jako argumentem się posługuje. Nie przyciągając jej za włosy, znaleziono ją w romantyzmie z przed stu lat, a zastanowiwszy się nad nią głębiej uzyskano zdumiewające rezultaty. Stąd pochodzi ten prawdziwy renesans romantyzmu niemieckiego, jaki obecnie oglądamy. Ukazują się w nowych wydaniach dzieła romantyków, a jeden z nich zwłaszcza, Novalis, doznaje w sto lat po zgonie takiej czci, jak u nas Słowacki, pisze się studia literacko-histeryczne o tej epoce, zwracając uwagę głównie na owo podobieństwo do dzisiejszej, ze wszęch stron powtarza się głos: stoimy pod znakiem nowo-romantyzmu.

Wyszła w Berlinie książka, prawdziwe cacko typograficznej sztuki: „Die blaue Blume“. Eine Anthologie romantischer Lyrik. W najdrobniejszych szczegółach: jak papier, okładka, druk, winiety, naśladuje się druki z przed stu lat z ogromnym smakiem i niemal poetycznym nastrojem. Jest to zbiór wybranych poezyi lirycznych, szkoły romantycznej, od Klopstocka aż do Nietzschego. Wydawcy: Fryderyk Oppeln-Bronikowski i Ludwik Jacobowski, opatrzyli ją przedmową. Ta książka i jej słowo wstępne niechaj będzie punktem wyjścia dla niniejszej rozprawy, której celem jest: dać obraz współczesnej liryki niemieckiej ze szczególnem uwzględnieniem jej pokrewieństwa z poezią romantyczną z przed stu lat¹⁾.

¹⁾ Autor ma zamiar dać w trzech oddzielnych rozprawach obraz współczesnej poezyi niemieckiej, a więc po kolei: liryki, dramatu i powieści. Zaczyna zaś od liryki, bo subiektywny charakter niemieckiego modernizmu w liryce najwyraźniej się objawia. Niniejszy artykuł jest więc wstępem do dalszych. Prócz wspomnianego dzieła „Die Blaue Blume.“ Eine Anthologie romantischer Lyrik von Fridrich v. Oppelu-Bronikowski und Ludwig Jacobowski. Mit Einleitungen der Herausgeber. Verlegt bei Eugen Diederichs in Leipzig 1900, str. 468 (cena 5. m.). Korzystamy z antologii współczesnej liryki p. t. „Die Perlenschmur“. Eine Anthologie moderner Lyrik, herausgegeben von Ludwig Gemmel, Buchschmuck von Haus Heise, Verlegt bei Schuster und Loeffler. Berlin und Leipzig 1898 r. (cena 6 m.). Por. odośnie do porównania modernizmu z romantyzmem studia p. Ricardy Huch „Die deutsche Romantik“ 1900.

„Stoimy pod znakiem neo-romantyzmu. Poezja niemiecka, wypędzona w połowie kończącego się wieku z czarodziejskich grot romantyzmu, była na najlepszej drodze do zmarnienia wśród społeczeństwa przesyconego, i pruderyi oddanego, do śmierci z moralnych nudów; aż nagle przed mniej więcej dziesięciu laty uciekła z tej atmosfery, dla sztuki zabójczej, i po przez brudne zaułki, pył ulicy, wyziewy furmańskich karczem, schroniła się na otwarte, puste pole, skąd powoli, po omacku, dąży znowu do starej romantycznej krainy.“ Może kto zaczepi to lub owo wyrażenie, widząc w niem nietylko stwierdzenie faktu, ale zarazem i osobisty o nim sąd krytyka; niemniej jednak p. Bronikowski naszkicował tu trafnie rozwój poezji niemieckiej w ostatnich kilkunastu latach, z tem chyba zastrzeżeniem, że granice panowania romantyzmu przeciąga nieco za daleko. Ale zresztą odbija się w tem zdaniu i szara epoka epigonów wszelakich mistrzów, i czerwony naturalizm, i dzisiejszy neo-romantyzm, którego symbolem, jak w dawnym romantyzmie, jest „Niebieski kwiat“, kwiat tęsknoty.

Tęsknota jest duszą i źródłem poezji romantycznej. Jest siłą i słabością romantyków i ich bohaterów, podcina im skrzydła i znów porywa ich wysoko, włóczy ich po całym świecie, daje im rozkosz niewypowiedzianą i rozpacz niezgłębioną, bólem zaprawia najwyższe radości, rozkosznymi czyni najwyższe cierpienia, odwraca ich od rzeczywistości, usypiając i rozogniając ich duszę w fantastycznych snach i białych ciałach kobiecych, i krwawych mordach... Schiller utworzył sobie ideał „pięknej duszy“ z doskonałą harmonią rozsądku i zmysłowości, popędu i obowiązku; romantyzm dawniejszy i dzisiejszy cierpi na dualizmie tych dwóch kategorii, pomiędzy którymi jest przepaść nie do przebycia. Tylko ta jest różnica, że Nowalis, Hölderlin, Tieck... rwali się przeciw do tej harmonii, chcieli ją zdobyć, choć nigdy jej nie osiągnęli, a Dehmel, Hoffmannsthal, Przybyszewski już o tej zgodzie ani myślą, i idąc za Nietzschem głoszą absolutną wartość instynktów. Lecz i to było już przed stu laty. Fryderyka Schlegla „Lucinde“ uderza już w ton rozpasania, erotycznej furii. Małżeństwo, jako sakrament, jako węzeł nierozzerwalny, potępiane przez romantyków, Schleiermachera lub Fryd. Schlegla, równie namiętnie, jak i przez modernistów, z pośród których Nietzsche twierdzi „nie ja zламаłem małżeństwo, ale małżeństwo mnie zламаło“. Mnóstwo błyszczących „aperçus“ autora „Tak rzekł Zarathustra“ pojawia się już na kartach „Athenaeum“, głównego organu braci Schległów, a bliższe i głębsze zbadanie i porównanie filozofii Fichtego, Schellinga, Schleiermachera ze współczesną filozofią, wymagające co prawda oso-

nej książki, okazało-by dokładnie to zadziwiające pokrewieństwo.

Występuje ono nie tylko w poglądzie na świat tych dwóch grup poetów. Jest i w nich samych, jako ludziach. P. Jacobowski wybornie charakteryzuje romantyków, pytając się: „Jakie charaktery tworzą tę poezję romantyczną? Przypatrzmy się przywódcom wczesnego i późnego romantyzmu, zbadajmy dusze ich bohaterów. Są to przeważnie natury złamane, charaktery skomplikowane, ludzie problematyczni, o centrum woli słabo rozwiniętym, o estetycznych instynktach zbyt delikatnych, aby mogły oprzeć się „brutalnym wymaganiom życia i czasu“. Ten brak harmonii pomiędzy światem realnym, a ideą, podniecał jeszcze tę słabość charakteru, ona zaś na odwrót zaostrzała jeszcze bardziej ową sprzeczność, jeszcze bardziej uniemożliwiała usunięcie tej wewnętrznej rozterki. Jak za dni naszych, tak i przed stu laty, ci ludzie, co wczas poczynali i zawczasu kończyli życie, żyli za prędko. Hölderlin lub Kleist, Tieck lub Runge, są w zaraniu działalności poetyckiej a nawet w jej pełni tak młodzi, jak Schnitzler lub Stefan George, Hoffmannsthal lub Piotr Altenberg.

A jaką mieli młodość? na co patrzyli? Ci dawni widzieli grozę paryskich wypadków, słyszeli loskot walącego się tronu Ludwika i zrazu byli entuzjastycznymi wielbicielami nowych idei. W gruncie rzeczy nie byli ani politykami, dającymi się porwać jakimkolwiek agitacyom, ani realistami, którzy-by usiłowali polityczne hasła w czyn wprowadzić. Jest pewna różnica mimo to pomiędzy nimi a ich dzisiejszymi młodszymi braćmi, czy synami. Ci urodzili się już po r. 1870, a więc w chwili, kiedy długo żyjący szlachetny ideał zjednoczenia ojczyzny i przywrócenia niemieckiego cesarstwa dokonał się w sali wersalskiego pałacu. Nie stało im więc idealnego celu, bo zrodzony niebawem potem ideał rozszerzania terytorium i potęgi państwa na zewnątrz, a żywiołu niemieckiego na wewnątrz, jako czysto realny, brutalnie prozajiczny, nie mógł ich zapalić. Stąd jeżeli, bądź co bądź, z łona romantyzmu wyszła, za czasów wojen napoleońskich, silna patryotyczna poezja Körnera, Arndta, Schenkerdorfa, to wolno wątpić, czy neo-romantyzm zdolnym byłby takich porywów. Tamci poeci zresztą, mimo swą międzynarodowość, mimo program „progresywnej poezji uniwersalnej“, mieli daleko więcej niż dzisiejsi pierwiastku rodzimego. Kochali wieki średnie, prawda dlatego, że kochali piękność i czar ich gotyckich świątyń, ich rycerskiej dzielności, ich mistycznej religijności; lecz zawsze i dla tego, że to były niemieckie czasy, czasy walki śpiewaków na Wartburgu, czasy Hohenstaufów, a potem, już u progu nowych wieków, czasy Götza vo r

Berlichingen. Kochali pieśń ludową, prawda naprzód dla tego, że w niej widzieli szczerłość uczucia, niepolamowaną siłę pierwotnych instynktów, naiwność tonu; ale przecież, chcąc nie chcąc, musieli z niej wydobyć i świeżość rodzinnej gleby, duszę niemieckiego pastucha czy rybaka. Tego u neo-romantyków nie widać: są oni daleko bardziej międzynarodowymi, jako artyści daleko podatniejsi obcym wpływom, a prerafinowana kultura umysłowa przygłuszyła już głos ich niemieckiego serca. I dopiero w ostatnich czasach budzi się reakcja przeciw temu indyferentyzmowi narodowemu; jej wyrazem jest np. rozprawa polemiczna p. Roberta Hucha „Mehr Goethe,“ lub miesięcznik „Heimat,“ główny organ tego rodzimego programu.

Wobec społecznych hasel zachowują i dawniejsi, i dzisiejsi romantycy równą obojętność. Już dla tego, że są dziećmi wysokiej kultury w rzeczywistości, a bardziej jeszcze w swem własnem przekonaniu. Szerokie masy ludu są dla nich motłochem, oni sami arystokracją, oddzielającą się wyższym murem od pospólstwa, niż najwyłączniejsza arystokracja rodowa. Takimi są w swoich społecznych przekonaniach, jeżeli wogóle u nich można o społecznych przekonaniach mówić, takimi są i jako artyści. Weźmy roczniki „Athenaeum“ i dzisiejszego czatopisma „Blätter für die Kunst“. Jaka zgodność; jak tu i tam dzieli się cała ludzkość na nieliczne rzeczywiste „egzystencje“ i ogromną większość „równonprawionych“ pretendentów do egzystencji.“ Albo jak są podobni bracia Schlegel i ich towarzysze do Stefana George, gdy z dumą utrzymują, że piszą dla niewielu, a dobrze jest, że trzoda ich nie rozumie. Dzisiaj jednak doszło się w tym kierunku jeszcze dalej: wydaje się pisma i poezye umyślnie niedostępne dla ogółu, rozdawane lub sprzedawane tylko uprzywilejowanym wybrańcom.

Zacieśniając zakres czytelników poezyi, równocześnie jej panowanie w niesłychany sposób rozszerzają. U klasyków życie i poezya były pojęciami odrębnymi, każde miało swój ściśle oznaczony zakres. Poeci byli zupełnie szczerymi filistrami w życiu, a tylko od czasu do czasu, od święta niejako, z wyżyn poezyi padał łaskawy promień na szarość codziennego życia, czyniąc je na chwilę wzniosłem i pięknem. Niedawno jeden z polskich estetyków wykazał niezbitcie, że podczas, gdy Polacy romantycy dążyli do urzeczywistnienia swoich ideałów, twórca wiersza o „Artystach“ zadawałniam się poznaniem, kontemplacją tego ideału. Z nastaniem nowego pokolenia poezya zagarnia życie pod swoje panowanie. Może to było wynikiem praktycznej nieporadności, niezdolności do życia, dość, że niemieccy romantycy, a za nimi dzisiejsi ich następcy, oddają się bezwzględnie poezyi, poetyzują

wszystko, całe życie, cały świat, wszystkie świadome uczynki i nieświadome instynkta. Ów „Spieltrick“, kiedyś przez Schillera pięknie definiowany, teraz dopiero staje się wszechmocnym władcą. Jako protest przeciw prozaicznemu, zwyczajnemu życiu, stwarza się poetyczne życie, życie jako utwór sztuki, a w tem dążeniu dochodziło się i dochodzi do najwyższego wyrafinowania, do igraszki z prawdą i iluzją, do ironii. Wiadomo, że „romantycznej ironii“, kolebka w tych czasach stała, choć nasz ogół zna ją prawie tylko z Heinego. Takiej ironii klasyk nie zniósł-by, bo gdy z trudem wywołał w czytelniku iluzję, za świętokradztwo poczytywał-by sobie jej lekomyślne zburzenie. Romantycy z uśmiechem patrzą na te mozoły: im iluzya przychodzi tak łatwo, więc też swawolnie burzą ten domek z kart. A bawi ich potem widok zakłopotanego filistra, nie wiedzącego gdzie się kończy, gdzie jest realne życie, a gdzie „Spiel“? Wszędzie i nigdzie, odpowie mu z faustowskim uśmiechem romantyk. Maską stała się jego ulubionym rekwizytem, z nią na twarzy pozuje na wszechwładcę, który „rząd dusz“ trzyma w swych rękach i według tajemnych swych planów lub bezmyślnej swawoli kieruje i oszołamia innych. Czasami poeta sam nie umie już rozróżnić rzeczywistości od fantazyi; świat cały wydaje mu się snem, sen realnem życiem, on sam jakimś marzycielem, czy lunatykiem, pozbawionym świadomości, kierowanym przez jakieś tajemnicze potęgi, które prowadzą go, ale dokąd? dla czego? William Lovell Tiecka a Claudio Hoffmannsthala to bracia rodzeni, a takich par z różnicą wieku stu lat, ale z zupełnem podobieństwem charakteru, można-by zacytować cały legion.

W związku z poetyzowaniem życia, a nawet samej poezyi, jest kilka bardzo ciekawych objawów. Goethego „Wilhelm Meister“ dał po raz pierwszy jako bohatera powieści dyletanta sztuki, dla tego wpływ tego romansu na poezję romantyków jest tak olbrzymi i tak rozległy. Odtąd artysta jest ulubionym bohaterem poezyi: więc Novalis pisze „Henryka von Ofterdingen“, Tieck „Wędrówki Franciszka Sternbalda“ itd., więc zwłaszcza teatr jest uwielbianą instytucją artystyczną. Bo w teatrze jest właśnie to połączenie rzeczywistości i gry, życia i fantazyi, połączenie niekiedy tak ściśle organiczne, że obu pierwiastków rozróżnić nie podobna. A dziś ten urok teatru znowu tak silny w Niemczech i wszędzie, i u nas także. Lecz spotęgujmy jeszcze sztuczność teatru, zdolność tworzenia idealnego świata poza realnym, a otrzymamy teatr marynetek. Teatr marynetek wszak to nkochana sztuka Maeterlincka i Hoffmannsthala. Czy to nowość? Nie. Jest to upodobanie już u Tiecka, a wyraźniej jeszcze u Schellinga.

Państwo poezyi rozszerza się w innym kierunku. Niezdolni do pochwylenia życia realnego, robią z tej słabości cnotę i odrzucają wprost wszelką realność, przedmiotem poezyi czynią misterya tajemnych głębi duszy, chcą schwycić to, co się ująć nie da, wypowiedzieć to, co się nie da wyrazić. Stąd ich poezya jest przede wszystkim liryką, stąd ta liryka jest taką niejasną, tajemniczą, niezrozumiałą. Jeden z najgłębszych krytyków współczesnego modernizmu, p. Edgar Steiger, w dziele „Das Werden des neuen Dramas“ wymyślił doskonałe, prawie genialne określenie: *lallende Seelen*. I rzeczywiście są to dusze, które, jak małe dzieci, wypowiedzieć się nie umieją, nie mogą, które czasem tylko nieartykułowanymi dźwiękami lub niezrozumiałym bełkotaniem dają poznać, że przez ich mózg przechodzą jakieś obrazy. Romantycy zawsze: dziś jak przed stu laty, czują tę techniczną impotencję i, nie mogąc jej pokonać, chcą ją obejść. Więc jak z rogu obfitości sypią porównaniami, objaśnieniami, przymiotnikami, więc np. Klemens Brentano, chcąc spotęgować i zindywidualizować wrażenie krzyku, mówi nie poprostu „krzyk“ lub „ostry, przeraźliwy krzyk“, ale z dziwaczną assocyacją idei mówi „krzyk kształtu sierpa“ (*ein sichelförmiger Schrei*). A neo-romantycy? O, tu chyba przykładów nie braknie. A jest w tem metoda i nawet rzetelny trud. Wszak znowu ten sam Hofmannsthal utrzymuje śmiało i bez zająknięcia, „że nowe a wyższe połączenie słów nie jest czemś późniejszym od posągu Antinousa, lub wielkiej sklepionej bramy“. Zwłaszcza z szaloną passją łączy się pojęcia i ich słowne odpowiedniki, które trzeźwy rozsądek na przeciwnych stawia biegunach. Więc mówi się o „rozkoszy bólu“ o „życiu w śmierci“ itd., co prawda, już Homer zna „słodki popęd do płaczu, a Goethe w „Tassie“ mówi o „szczęśliwym zasępieniu,“ lecz takiej konsekwencji w nagromadzeniu sprzeczności dotąd nie było.

Aby wypowiedzieć to, co wypowiedzieć się nieda, aby rozsiać niepochwytny nastrój, kojarzy się z poezją wszystkie sztuki, pielęgnuje mistykę barw. Wszak nawet już przed stu laty usiłowano nadać każdej samogłosce wyższą psychologiczną wartość; tak Ludwik Tieck, chcąc pewną romanzę uczynić bardzo ponurą, w 114 zwrotkach wybiera 228 rymów na *u*, naturalnie zadając często gwałt językowi. Neo-romantycy poszli jeszcze dalej: wywołują niekiedy zupełnie z rozmysłem wrażenie wyłącznie tylko optyczne: poszczególne zdania rozdzielają na wiersze rozmaitej wielkości, które potem z zachowaniem idealnej osi, tak jeden pod drugim drukują, że powstają ładne, geometryczne figury (por. poezye i teorye liryki Arno Holza). Dominującym jednak jest związek z muzyką, muzyka jest przecież tą

sztuką, która potrafi najłżejsze powiewy wiatru, najdelikatniejsze odcienie, najniepochwytniejsze uczucia oddać, wywołując melodyą tonów odpowiedni nastrój. To skojarzenie muzyki z poezją dochodzi w romantyzmie nieraz aż do zastąpienia poezji muzyką słów, od których się nie wymaga jakiegoś sensu. Tak jest już w niektórych wierszach E. T. A. Hoffmanna, tworzącego symfonię w słowach.

Osobno należy rozpatrzeć stosunek romantyków do przyrody, bo chociaż jest on oczywiście w związku z ich ogólnym charakterem, to jest często dopiero jego wynikiem, ostatecznym wnioskiem i następstwem. P. Jacobowski trafnie spostrzega trojaki stosunek poety do natury. Raz jak u Goethego, który osiemdziesiąt lat przetrwał na tem, aby z zupełną swobodą umysłu, jasnym okiem i rozumem przyswoić sobie pokolei mnóstwo poszczególnych wiadomości, co w starości dumnym był z powodu tej wiedzy z trudem zdobytej, lecz nigdy na przyrodę nie patrzył poetyzującym wzrokiem; w ognisku duszy zbierał poszczególne promienie, a nieraz zadrżał, przeczuwając tajemnicę uniwersalności świata. Inaczej jest u poetów w rodzaju Schillera. Podczas, gdy Goethe był analitykiem, oni jako syntetycy pojmują naturę zawsze jako całość, zawsze usiłują każdy szczegół, każdy fenomen pojąć w związku z jego wielką całością. Odrębnie zarówno od realisty, jak i od idealistycznego filozofa patrzy na przyrodę romantyk, co innego odczuwa wobec natury symbolista. Dla niego natura jest tajemniczą osłoną czegoś tajemniczego, co się po za rzeczami ukrywa, co można tylko niejasno przeczuć. Przechodząc koło róży, Goethe zerwał-by ją i podał-by kochance, Schiller minął-by ją ze smutkiem, pamiętając, że ona jutro zwiędnie, Novalis położył-by ją z płaczem Zbawicielowi na ranę w piersiach. W poczuciu natury u romantyków niema istotnie pierwiastku radości. Noc jest im miłsza od dnia, a i we dnie słońce świeci tak ostro i jakby węgorniczce, za to gwiazdy i księżyc trupiobladem światłem rzucają zasłonę na niezgłębioną tajemnicę wszechświata.

Najlepiej im w noc księżycową: dusza wtedy czuje, jak jakiś tajemnicze ręce czarodziejek łączą jej własne westchnienia z głębinami nieskończoności. Stąd brak tej wyrazistości w konturach, która cechuje klasyków: linie drżą, barwy zlewają się. Goethe patrzy na przyrodę, aby zbadać jej tajemnice, i po pewnym moście spostrzeżeń dochodzi do jej wnętrza; romantycy swojemi spostrzeżeniami budują tylko czarowne, ale złudne stopnie w tajniku własnej duszy.

Dodajmy na zakończenie formalne pokrewieństwo pomiędzy romantyzmem, a neo-romantyzmem: obfitość i egzotyczność rytmicznych i stroficznych form, a otrzymany obraz dzisiejszego modernizmu niemieckiego, a w nim przedewszystkiem współczesnej liryki.

Niespodziewanym wynikiem przeglądu modernistycznej liryki niemieckiej jest stwierdzenie faktu, że najwybitniejszy jej poeta jest właśnie najsilniej związany z przeszłością, zarówno w ogólnem życiu społecznem, jak i w liryce. Detlev von Liliencron (ur. 1844, żyje w Altonie), jest organizacją nawskroś zdrową, pełną życia i sił i ochoty, realistą w tym błogim, silnym kierunku, którego genialnym przedstawicielem był Goethe. Można-by się w jego rodzinnem pochodzeniu dopatrzeć źródeł jego temperamentu, jako człowieka i poety. Dziad jego, ze starej duńskiej szlachty, na rozkaz króla poślubił piękną i zdrową poddaną, wiejską dziewczynę. Stąd ta pewność siebie, jakaś sympatyczna buńczuczność, stąd też ta świeżość, zdrowie i silne realistyczne popędy. Służba wojskowa, z ochotą i zapałem pełniona, wzmocniła fizyczne i duchowe muszkuły, nie zarażając na szczęście przesądami junkierstwa i militarystyki. Pobyt na wsi, częste polowania w holsztyńskich kniejach, bezpośrednie obcowanie z żywą i mądrą naturą, jak zawsze, tak i tu, dostarczały żywotnych soków i świeżego powietrza. Detlev von Liliencron jest przedewszystkiem poetą żołnierki, poetą junackich ataków, grzmiących huków armat, ale i ponurych pobojowisk, i palących się wsi. Ogromnie rytmiczny i plastyczny w oddaniu marsza wojskowego, szalonej brawury wojennej, ma w balladach głębię prostego serdecznego współczucia, przypominając w tem połączeniu Heinego. W wierszu p. t. „Cincinnati“ wypowiada swe życzenia, tak skromne i tak pogodne, że aż zazdrościć mu trzeba. „Chcę być wolnym. Z dzieckiem na ramieniu, z pługiem w ręce, z wesołym sercem; to mi wystarcza“. Gdy krew się w nim wzburzy, a nienasycone pragnienia z piekła rodem wybiegną mu na twarz niezdrowym rumieńcem, to przełamie ten chwilowy paroksyzm i wróci spokojnie do roli i chłopca. A gdy mu państwo na purpurowej poduszce ofiaruje wysokie godności, on z uśmiechem odrzuci je, bramę zatrzaśnie i wróci do roli i chłopca. Lecz gdy cesarz powoła go do obrony ojczyzny przed nieprzyjacie-

lem, czy z zachodu, czy ze wschodu, ochoczo chwyci za oręż i z radością zarznie niedźwiedzia i koguta. A gdy pokój nastanie, pogodnie wróci pod starą strzechę, otrze miecz ze krwi i z chłopakiem na ramieniu, pługiem w ręce, pracować będzie na roli. Ideały i temperament anachronistyczne. Niema w nich mąk i wątpień, i cierpień, i marzeń dzisiejszych. Liliencron jest modernistą, ściśle mówiąc, tylko w formie swojej poezyi. Ma niekiedy tę trochę sztuczną i wymuszoną passyę „romantycznej ironii“ swoich poprzedników z przed stu lat i Heinego. Umyślnie psuje często tak zwaną poetyczność, choćby nawet umieszczając nad brzegiem bardzo romantycznego jeziora podarty but włóczęgi. Ma też passyę operowania krótkimi zdaniami, wyrażania całych związków myślowych za pomocą współrzednego ustawiania rzeczowników z przymiotnikami bez żadnego słownego połączenia, np. taki poemat „Rozwiane sztandary i wesoly tłum, wieńce lotne i śpiewy zwycięskie. Milczące groby, spustoszenie i strach. Więdniejące wieńce; opuszczone żony. Gorące usciski po bolesnej tęsknocie, złamane serca, zamarle lzy“. W całym utworze z trzech drobnych czterowierszowych zwrotek ani jednego zdania, ani jednego czasownika. Jest u niego naturalnie swoboda poetyckiej dykcji czasem aż tak przesadna, że staje się wyrafinowaną sztuczną. Zalety, karykaturalnie przeciągane, stają się wadami tak, jak w owej burszowskiej, junackiej swobodzie, bez troski o dziś i jutro odczuwa się nieraz pozowanie. Nie tyle u samego Liliencrona, ile u jego naśladowców, których imię legion. Z ich rzeszy wymienić należy tylko jednego, dla tego właśnie, że jest najmniej z nich wszystkich naśladowcą, a raczej pokrewnym temperamentem, Gustaw Falke (ur. 1853, mieszka w Hamburgu). Z zawodu nauczyciel muzyki, ma głęboki nastrój liryczny w rytmice, a jak Liliencron, zachował pogodę duszy i bezpośredni, prawie naiwny związek z przyrodą, krocząc, jak i tamten, szlakiem znakomitego Storma.

Kwestya socyalna jest im obu w gruncie rzeczy dość obojętna, chociaż Liliencron z upodobaniem śpiewa o ładnych praczkach i jeszcze miłszych, bo uprzejmiejszych, dziewczętach. Po roku 1870 bowiem potężna fala socyalnych idei, w połączeniu z przyjętym od Francuzów naturalizmem, opanowała całą literaturę niemiecką, a z nią i lirykę. Dziś duch ten jeszcze jest żywy i w obrazie współczesnej liryki niemieckiej musi być uwidocznionym, chociaż jest to nie aktualne „dziś“, lecz przybladłe „wczoraj;“ niema też tutaj podobieństwa z romantyzmem z przed stu lat, jest raczej istotnie blizkie podobieństwo z tak zwanym genialnym okresem literatury niemieckiej, z młodym Goethem, Bürgerem i Klingerem na czele, po części zaś dal-

sza analogia z charakterem „młodych Niemiec,“ w czasach Heinego i Börnego.

Nowe prądy socyalne znalazły już przygotowane łożysko wobec moralnego i społecznego upadku wyższych warstw niemieckiego narodu po świetnych, oszołomiających zwycięstwach wojny z Francuzami. Przesyt kultury prowadzi zawsze doetycznego upadku, a młodzież, patrząc na to, tem skorszą była do potępienia, ile, że w rosyjskiej i skandynawskiej literaturze znalazła te same oskarżenia. M. G. Conrad (ur. 1846, mieszka w Monachium, jest współredaktorem dwutygodnika „Gesellschaft“) i K. Bleibtreu (ur. 1859, przebywa w Berlinie), są najwytrwalszymi pionierami nowych społeczno-artystycznych zapatrywań, podlegając właśnie tym obcym wpływom. W dalszym ciągu ruch ten, zwłaszcza na polu liryki, koncentruje się w północnych Niemczech, ma silne akcenty wojenne, walkę uprawia nie tylko z potrzeby, ale i z ochoty. Zmarły w r. 1890 H. Conradi miał tu ogromną namiętność, potężny patos, zbyt często wpadający w frazesowość, w jego poezyi roi się od szumnych słów, retorycznych zwrotów. Plastyczniejszym jest Karol Henckell (ur. 1861, mieszka w okolicy Zurychu), bo zamiast wygłaszania patetycznych przemów, pokazuje żywe postacie nieszczęśliwych proletaryuszów. Za dni naszych i on wypływa na morze symbolizmu. Purpurowy kwiat kołysze się na falach przyszłości, to dobroć czysto ludzka, zwyciężająca nędzę i utrapienie; z przepysznych kielichów błyszczą słupki ziemskiej radości, a świeże listki lśnią na srebrnej piersi fal, mewy wolności i blasku krążą wokoło, a w dalekiej głębi milkną skargi tonącego świata. Właściwym poetą fabryk i olbrzymich domów czynszowych jest Arno Holz (ur. 1863, przebywa w Berlinie). Nazwisko jego jest jednym z najgłośniejszych w dzisiejszej literaturze niemieckiej. On-to na wspólną z Janem Schlafem wydał w r. 1889, nowellę „Papa Hamlet“ a w rok potem, dramat „Familie Selicke“, stając się przez te utwory przywódzcą niemieckiego naturalizmu, poprzednikiem i mistrzem Gerharda Hauptmanna, który pierwszą sceniczną sztukę „Przed wschodem słońca“ poświęca mu w uczuciu wdzięczności. W czterowerszu, zresztą drewniano-prozaicznym, wygłasza program współczesnej poezyi. Poeta ma być nie zaślepionym przez niedające się pochwycić ideały prorokiem zapatrzonym wstecz, lecz współczesnym (modern), współczesnym od stóp do głów“. I program ten spełnia. W „Księdze czasu“ smaga biczem wszystkie grzechy współczesnego życia, opróżnia poezyą rzesze zgłodniałych. A mimo to zachował swobodę poetycką, nie jest partyjnym politykiem, jak Henckell, oddany duszą i ciałem socyalnej demokracji. Najdalej poszedł Maurice v. Stern, namiętny aż do brutalności, w socyalnych poezyach dochodzący do pam-

fletu. w czystej liryce natomiast rozelkany i w sentymentalizmie tonący. Silniejszą i harmonijniejszą organizacją jest John Henry Mackay (ur. 1864, przebywa w Saarbrücken) w liryce konsekwentny indywidualista i wyznawca teoretycznego anarchizmu Stirnera. Sobie i bliźnim daje krótką radę „Umrzyj! Róże zakwitną w przyszłym lecie i bez ciebie... Gwiazdy będą goreć, chociaż już twoje oko na nie patrzeć nie będzie... Kochankę twoją jutro i tak będą inne usta całować... A co cię radowało i martwiło, tego i inni ludzie doświadczą. Swobodną jest chmura i wicher huczący po całym przestworzu, i morze pieszczące brzegi, góry nietknięte nigdy ludzką stopą, i drzemiące lasy, i orzeł, i koń na stepie... lecz człowiek sam głupiec jest niewolnikiem głupoty.“

Jest już gotowe przejście do panteonu współczesnej liryki niemieckiej, gdzie hałaśliwa rzesza naśladowców i zwolenników postawiła posąg mistrza. Jest nim Ryszard Delmel (ur. 1863, mieszka w Ueberlongen nad jeziorem Bodeńskim), razem z O. J. Bierbaumem założyciel czasopisma „Pan.“ Mimo całego wstrętu do tego terminu, trzeba go przecież nazwać dekadentem. Daleko jesteśmy od zdrowego i silnego realizmu Goethego, a choćby nawet Liliencrona i Falkego. Przeżył i przesył kultury zrujnował zdrowie fizyczne, podkopując jeszcze bardziej cięższą moralną. Brak silnej rzeczywistości zastępuje się dusznymi marzeniami. W wierszu „Wenus Madonna“ roi się o jakimś „trzecim państwie“ ibsenowskim, o połączeniu elementu zmysłowego z duchowym, prawdy z pięknnością, świata starożytnego z chrześcijańskim. W prozaicznej mowie powtarza się indywidualizm Nietzschego, głosi „kulturę napół świadomych popędów woli“, dogmat o miłości bliźniego odrzuca się jako przestarzały, stawia na jego miejsce autonomiczny egoizm estety, mija się etykę, a jako cel tych dążeń przedstawia się idealną anarchię, w którejby każdy człowiek, odrzucając na bok pojęcie rodziny, narodu, państwa, społeczeństwa, żył według swej woli, a prawdy te głosi się dumnie „Wam i Mnie w podziękowaniu“, wyraźnie „Mnie“... Góruje nad innymi nuta erotyczna, lecz bynajmniej nie w stylu średniowiecznych trubadurów lub minnesängerów. Ludzkość, męska jej połowa, zmądrzała: kobieta jest tylko uosobieniem i narzędziem zmysłowości, ponętnej a niszczącej. Gdzie ta strona erotyzmu najwyraźniej występuje, tam jest jego najświetniejsza krystalizacja: a więc kobieta z ulicy, ladacznica, staje się przedstawicielką „des ewig Weiblichen.“ Poluje się najdziwaczniejsze sytuacje i przedstawia się je jak można najdziwaczniej. Pracuje się mozolnie, pozuje się na sceptyka, niemieckiego Baudelaire'a, i powstaje sztuczność w drugiej potędze, tak odmienna od zmysłowej naiwności Liliencrona.

Brak szczerości daje się odczuć w całej poezji Dehmela, może widzi się go nawet tam, gdzie poeta chciał być szczerym. Gdy woła: „W rozkoszach wszelkiego rodzaju wciąż się przewalałem pomiędzy Bogiem a zwierzęciem, a teraz staję i z boleścią rwę brodę i jedna mi tylko rozkosz została: pożądanie całego świata“, gdy tak się płaszczem tragicznym przystraja, mimowoli uważa się go za fanfaroną, pozera. Wiersze Dehmela są często nieznośne dla uczucia, chociaż, sądzone z chłodnego stanowiska krytyka artystycznego, kojarzą w zupełnej harmonii pseudonaturalną a w rzeczywistości wymuszoną treść z taką samą formą. Duszna atmosfera jest i w treści, i w formie, „ołowiana atmosfera Belina“, o której sam poeta mówi. Czy egzotyczność zewnętrznych dekoracji osłania brak głębszego uczucia, czy też tłumi elementarny krzyk serca, nie zawsze można rozstrzygnąć; na przykład w wierszu, który przytoczyć trzeba koniecznie w oryginale:

„Und du kamest in mein Haus,
kamst mit deinen schwarzen Blicken;
sah ich still die Palmen nicken,
und du gabst mir deinen Strauss.

Gabst die zitternden Narzissen,
die wir in der Wildnis pflückten;
deine schwarzen Locken schmückten
meines Divans rote Kissen.

Kehre wieder in mein Haus,
lass die wilden Blumen blühen;
unsre jungen Lippen glühen,
gieb mir, gieb mir deinen Straus!“

W ostatnich latach Dehmel odbywa wraz z tylu innymi towarzyszami coraz szybszy pochód po drodze, prowadzącej ze skrajnego naturalizmu do jeszcze bardziej krańcowego symbolizmu: jest to utarty szlak współczesnej poezji. Coraz więcej gmatwaniny symbolów, dziwacznych sceneryi, kostiumów. Wydany niedawno pseudodramatyczny poemat „Lucifer,“ w allegorycznej pantominie przedsta-

wiający urzeczywistnienie dawnej myśli poety] „Venus Madonna“, doczekał się niemiłego przyjęcia nawet w obozie modernistów. A jednak ten sztuczny poeta ma chwile zupełnej szczerości, a ten przerwany dekadent przemówi czasem od serca z dzieciną prostotą. Jego „Kołysanka“ i inne piosnki dziwnie tchną orzeźwiającą świeżością, znakomicie dostrajają się do prostoty, a mają przytem swobodne, pełne życia zacięcia rytmiczne. Takich niewytlómaczonych zagadek ma dużo dzisiejsza poezya.

Niepodobieństwem jest charakteryzować po szczególe każdego z ogromnie liczного grona dzisiejszych neo-romantyków. Ich ogólny obraz odmalowało się już w pierwszej części niniejszej rozprawy. Są to moderniści w tym nastrojowym stylu „niebieskiego kwiatu.“ Oczywiście wybitniejsi z nich mają jakąś indywidualniejszą cechę, zwykle tę, że akcentują silniej jeden ton z całej wielostronnej liry, lecz taka drobiazgowa obserwacja nie może być naszym zadaniem. Poeci, jak Otto Juliusz Bierbaum, Franc. Ewers, Chrystyan Morgenstern, Ryszard Schaukal, Jan Schlaf, Willh. Scholz i wielu innych, są najzdolniejszymi z tego towarzystwa; z kilkoma spotkamy się przy rozpamiętywaniu niemieckiego dramatu. Tak przedewszystkiem z O. E. Hartlebenem, posiadającym rzadki dziś dar humoru, tak zwłaszcza z Hugonem v. Hofmannsthal, genialnym uczniem d'Annunzia.

Natomiast dwóch trzeba wyodrębnić. Jednego dlatego, że mimo całej dziwaczności, u „modernistów“ tak pospolitej, że aż trywialnej, mimo całej egzotyczności, również nieco już spowszedniałej, ma duszę nawskroś liryczną, drażliwą na najlżejszy powiew, a wstydliwą, jak mówią Niemcy, „keusch“, jak kwiat mimozy. To Hugo Salns (ur. 1866, przebywa w Pradze), z zawodu lekarz, jako liryk mało płodny i prawie dziwacznie unikający rozgłosu. Jego wdzięk leży właśnie w tych „cichych poezjach“, o których sam mówi: „że nie nie wynajdują i o niczem nie opowiadają; smukłemi, blademi, miękkimi palcami lekko pieszczą ci skroń, jako tchnieniem z tajemną boleścią i rozmarzeniem otwierają bramy duszy, lotnie przechodzą przez nią, szepczą po drodze powiewne słowa, wzruszające nagle aż do łez...“ Cichy park ze stawem, a na nim lekko w tajemniczym milczeniu płynące białe łabędzie; cicha wieś w pobliżu lasu, zdaleka od zgiełku świata, z błękitnym niebem, a czystym powietrzem, to ulubione miejsce jego muzy. Jest on zapewne jedynym rzeczywistym artystycznym poetą współczesnym, który opiewa nie orgie lub rozpacz i ironię rozwiązłości, lecz cichą pogodę małżeńskiego pożycia. Temat tak anachronistyczny, że aż pozornie sprzeczny z „modernizmem“; a przecież u niego niema w tem żadnej sztuczności lub sprzeczności.

A drugi, podobnie zamknięty w sobie, lecz mimo to przez szczerze grono nabożnie w jego słowa wsłuchanych wielbicieli już za pierwszorzędną znakomitość ogłoszony. Trudno stanowczo twierdzić, czy Stefan George (ur. 1865, mieszka w Bingen n. R.), jest istotnie takim wielkim poetą. Trudno, bo jego poezye wychodzą zawsze w tak ograniczonej liczbie egzemplarzy i zazwyczaj w handlu księgarskim się nie pojawiają, że znamy go tylko z wierszy, ogłaszanych w podobnie ekskluzywnem czasopiśmie „Blätter für die Kunst“, oraz z cytacyi gdzieindziej dość obficie umieszczanych (np. w „Panie“). Stefan George jest dziś najcharakterystyczniejszym przedstawicielem neo-romantycznej liryki. Nie wiem, jak go będą sędzić przyszłe wieki, ale jako symptomat, jako historyczny dokument, zachowa zapewne na zawsze miejsce w historii poezyi niemieckiej. Odrzućmy naprzód to, co w nim jest śmiesznem, śmiesznem podwójnie, bo uparcie na czoło wysuwaniem. A więc ta dziwaczna maniera, która i do naszej poezyi się przekradła. Z niepojętym dla bezstronnych i trzeźwo patrzących uporem, ci ludzie unikają wszelkich znaków pisarskich; z wyjątkiem imion własnych, nigdzie nie dają dużej głoski. Jeżeli w tem utrudnieniu zrozumienia ich poezyi jest jaki sens, to chyba przesadna reakcyja przeciw istotnie nieraz za daleko idącemu zwulgaryzowaniu literatury; niechże czytelnik się namozoli, niech bez pewnej poprzedniej kultury nie zbliża się do świątyni sztuki. Zdaje się jednak, że takie postępowanie jest co najmniej spóźnionem, bo czasy sztuki dla wtajemniczonych już minęły.

W treści poezya George'a jest ostatnim wyrazem muzyczno-malarskiej liryki. „Każdy wiersz jest tu obrazem“, mówi jeden z jej wielbicieli; i rzeczywiście obrazy w stylu Tycyana, lub Watteau, lub Boecklina, następują po sobie bez przerwy, luzując się wzajemnie. Tytuł jednego zbioru brzmi charakterystycznie „Dywan życia“. Nieślychanej pomysłowości barw, genialnego prawie ich układania, wzajemnego stopniowania lub kontrastowania, wydobycia z gry słów zarówno czaru usypiającej melodyi, jak i niemal fizycznie odurzających woni, tego nikt jej nie odmówi. Mistrzowskim jest np. następujący obraz¹⁾.

„Rubinen, perlen schmücken die fontänen,
Z'hoden streut sie fürstlich jeder strahl,
In eines teppichs seidengrünen strähnen,
Verbirgt sich ihre unbegrenzte zahl.

¹⁾ Przytaczamy w oryginalnej pisowni

Der Dichter dem die vögel angstlos nähern,
Träumt einsam in dem weiten schattensaal“

Estetyka przeszła do porządku dziennego nawet i nad Laokoonem Lessinga, lecz czyż poezya nie ma właściwego pola działania, czyż zadaniem jej jest współzawodniczyć z malarstwem? Żaden opis, choćby najgenialniejszy w poezyi, nie poruszy tak głębin duszy, jak obraz Boecklina.

Świat poezyi George'a jest światkiem cieplarnianym. Sam poeta mówi o tem. „Mój ogród nie potrzebuje ani powietrza, ani ciepła (słonecznego), ogród, który sam sobie urządziłem, i jego ptaków martwe stada, one jeszcze nigdy wiosny nie oglądały“. Powstaje wprost nieznośna sprzeczność: orgia najjaskrawszych barw, najkrzykliwszych dźwięków, najsilniejszych zapachów, a nad tem wszystkim duszność powietrza, przyciemniająca te barwy, ogłuszająca te dźwięki, unieczniając te wonie.

Romantyczne pomieszanie rzeczywistości i ułudy, życia i snu, rzeczywistości i fantazyi tu zmartwychwstanie, jak cienie błąkamy się po gwieździstych polach, gdzie:

„Der zeiten flug verliert die alten namen,
Und raum, und dasein bleiben nur im bilde.“

Współczesny marzyciel znajdzie tu wysniony świat, a na odwrót niema może poezyi, która-by tak, jak ta, usypiała, zrywała związek z życiem, z rzeczywistością, ze społeczeństwem.

Pod względem formalnym jest oczywiście wirtuozowstwo zadziwiający: każdy wyraz ma dobrany skład dźwięków, dobrane stanowisko w zdaniu, w rytmie. Lecz czy to dzisiaj jest już tak nadzwyczajnym zjawiskiem? Przed kilkudziesięciu laty Platen doprowadził sztukę wierszowania do jeszcze wyższego stopnia doskonałości, a mimo to wielkim nie został.

Powietrza! woła się, czytając George'a. Pragnienie powietrza, silniejszego i świeższego tonu, odzywa się coraz głośniejsze. Reakcja jest już widoczna. Poeci, jak Cäsar Fleischlen, a zwłaszcza Ludwik Jacobowski (ur. 1868, przebywa w Berlinie, jako współredaktor czasopisma „Die Gesellschaft“), dają poezyi niemieckiej żywsze tętno pulsu, zdrowszą cerę, wyrabiają w niej siłę mięśni. Jacobowski wyszedł z modernizmu; wyszedł w podwójnym znaczeniu. Tkwi w mo-

dermiźmie, w neo-romantyzmie symbolizmem, upodobaniem w tęsknej zadumie, nawet w mistyce. Lecz nie szedł z neo-romantyzmem aż do ubezwładnienia wszelkiej energii i cieplarnianej vegetacyi. Za wiele ma na szczęście energii ducha, bujności wyobraźni, zdrowej zwysłowości. Stefan George wysila mózg, aby tylko poezję zamknąć w jak najcieńszym kole słuchaczy, nieprzystępnie ją nawet bardzo wykształconym. Ludwik Jacobowski wydaje w stu tysiącach egzemplarzy „Nowe pieśni dla ludu“, wyborną antologię nowszej i najnowszej poezyi i sprzedaje ją po zadziwiającej cenie 10 fenigów!

Ani razu nie wymieniło się nazwiska kobiecego. Kobiety poetki istotnie wybitne w każdym obrazie literackim danej chwili trzeba odsunąć za nawias. Bo kobieta, poetka, jeżeli ma rzeczywisty talent, nie należy nigdy do tej lub owej grupy, czy szkoły, jest zawsze i jedynie sobą i kobietą. Kobiet, piszących liryczne wiersze, jest w Niemczech nieprzebrana rzesza. Kobieta - poetka jest jak wszędzie, tak i tutaj, daleko rzadszem zjawiskiem. Może nie jest nią i Joanna Ambrosius, przed kilku laty z ogromnem uniesieniem świata pokazana, jako zbawienie poezyi, jej odrodzenie i orzeźwienie. Były to lata wielkiego zniecierpliwienia. Za dużo było dekadentyzmu, zapagniono zdrowego zapachu ziemi świeżo zoranej. Joanna Ambrosius miała naiwność wsi i stąd jej rozgłos, zresztą bardzo mało usprawiedliwiony. Świeżość i samodzielność ma Anna Ritter (ur. 1869 r.), ale ma przytem i duży talent, dar wydobycia na jaw tego, co w jej kobiecej duszy na dnie spoczywa. Oczywiście przedewszystkiem uczucia miłości, miłości, jako tęsknoty, imiłości, jako spełnienia marzeń. Nowych myśli nie przynosi, niespodziankami nie zadziwia. Ale co mówi, mówi ogromnie głęboko, z serdecznym akcentem.

DR JÓZEF FLACH.

Józef Elsner

i pierwsze Konserwatorium w Warszawie.

(Z papierów i pamiątek po Elsnerze).

I.

Nowe szczegóły o mistrzu i jego słynnym uczniu.

Stanowisko Elsnera. — Elsner i Chopin. — Elsner i muzyka polska współczesna. — Zdanie Moniuszki o Elsnerze. — Listy Chopina. — Nieznany portret Chopina. — Sztambuch Emilii Elsnerówny. — Autografy kompozycyi Chopina. — Imieniny Rektora. — Narodowość Elsnera. — Genealogia rodziny Elsnerów. — Wspomnienia dzieciństwa.

„Imię Józefa Elsnera należy do tych wybranych, co nie potrzebują ni długich historycznych wywodów, ni głębokich naukowych rozbiórów, by usprawiedliwić cześć, jaka je otacza. Sąd ścisły, czynów wyliczenie poprze tylko i utwierdzi jeszcze ową pół wieku trwającą popularność, wskaże wybitniej jej znaczenie... Imię Elsnera, powtarzane od lat pięćdziesięciu z uwielbieniem przez jego uczniów, a tych

na tysiące liczymy, ze czeią przez wyznawców muzyki u nas, z szacunkiem przez wszystkich..., spłotło się nierozdzielnie ze sztuką naszą, i wiecznie wraz z nią żyć będzie. Pół wieku zamieniło jego cześć w tradycję prawie, pół wieku talentu nadało dziełom jego ową barwę ludową, rozszerzyło ją tak pomiędzy nami, że tysiące nuci nieraz Elsnera mazury, nie wiedząc, czyje one są ręki, jak owe odwieczne pieśni gminne, których początku, ni autora nikt wskazać nie może. Iluż-to z nas uczyło się od babek, lub matek swoich tych miłych, łatwych, tak udatnych i tak czystych melodyi! Iluż-to, nie pojmując jeszcze znaczenia muzyki, nie rozumiejąc nawet najmniejszego z jej utworów, od dziadów i ojców swoich słyszało o Elsnerze, jako o najdzielniejszym sztuki tej u nas apostołe!.. Ogół, lud, posiada jakąś instynktową sprawiedliwość, przeczuwa on sercem więcej, niż rozumowaniem, komu się od niego wdzięczność należy; czei go instynktownie, a cześć to może najpiękniejsza, najsprawiedliwsza, cześć pokorna, nie rozumowa, wdzięczność. Tak stało się z Elsnerem. Jego niezmiernych zasług, jakie dla sztuki u nas położył, głębokości nauki, piękności natchnień, pracy nieustającej, czy w tworzeniu dzieł sztuki, czy w kształceniu jej opowiadaczy, nikt dotąd głębiej nie skreślił: w epoce jego najpotężniejszej działalności nie posiadaliśmy jeszcze rozwiniętych w takim nawet, jak dziś, stopniu, organów, których obowiązkiem jest zdawać sumienną sprawę z każdego pojawu w sztuce, być pośrednikami między artystą a publicznością, objaśnić myśl pierwszego i zrobić ją przystępniejszą dla drugiej. Imię dla siebie wywalczał Elsner tylko siłą talentu“.

Tak zaczął, lat blisko pięćdziesiąt temu, artykuł swój o Elsnerze felietonista *Gazety Warszawskiej* ¹⁾, dając nim odpowiedny wyraz tej czei powszechnej, jaką wtedy sędziwy twórca *Króla Łokietka*, na dwa lata przed zgonem, był w społeczeństwie naszym otoczony. Dziś, u samego schyłku tego wieku, na którego samym początku Elsner wśród nas działalność swoją na polu muzyki rozpoczął, czcigodne jego imię zeszło trochę w cień, bo taka już jest dola talentów, nawet tak wybitnych, jak twórcy *Tryumfu Ewangelii*, że z biegiem czasu powoli zalewa je niemiłosierna fala niepamięci: tylko geniusze zdobywają sobie nieśmiertelność.

Na szczęście dla Elsnera, nazwisko jego związało się na wieki z nazwiskiem jednego z największych geniuszów muzycznych, nie grozi mu więc całkowite zapomnienie. Jako ten, który udzielał nauki harmonii i kontrapunktu Fryderykowi Chopinowi, pozostanie on na

¹⁾ № 164 z dnia 35 czerwca 1852 roku.

zawsze jedną z tych dostojnych postaci, które historia wspominać będzie raz po raz... Jak Perugino, który głównie dlatego przeszedł do potomności, iż uczył malować Rafaela, podobnie i Elsner wspomnianym będzie po wszystkie czasy, jako ten, który był „wielce szczęśliwym nauczycielem“ Chopina ¹⁾. Jego liczne i cenne kompozycje, na których długi poczet składa się kilkanaście oper, mnóstwo kantat, sonat, oratoryów, symfonii, kwartetów, pieśni, tańców i t. d., i t. d., znany tylko z tradycyi; o tem jednak, że twórca *Leszka Białego* i *Amazonek* był mistrzem Chopina, który przez całe życie mienił się jego wdzięcznym i „najprzywiązanym uczniem“, o tem wiedzą wszyscy, którym rozgłosne dziś na świat cały nazwisko naszego „Rafaela fortepianu“ nie jest obcem.

Zmarły w dniu 18 kwietnia 1854 roku (w mająteczku swym *Elsnerówce* pod Warszawą), przeżył Elsner wśród nas pół wieku z kilkoletnim okładem, a jeśli w ciągu tego czasu zasłużył sobie na chlubny tytuł „twórcy muzyki polskiej“, to przydomek ten wcale nie grzeszy przesadą. Wprawdzie już w wieku XVI mieliśmy Gomółkę i Szamotulskiego (o których piękne rozprawy zawdzięczamy p. Aleksandrowi Polińskiemu), ale jak rozwój muzyki powszechnej nowożytnej datuje się od Beethovena, choć przed nim żyli i tworzyli arcydzieła tacy mistrze tonów, jak: Palestrina, Bach, Haendel, Gluck, Haydn, Mozart i wielu innych, podobnie i w dziejach naszej muzyki narodowej, prawdziwie nowa epoka rozpoczyna się dopiero z przybyciem Elsnera w roku 1799 do Warszawy: wszystko, co na cześć Euterpy działo się przed nim, to były tylko mniej lub więcej szczęśliwe *prolegomena* do tej prawdziwej muzyki narodowej polskiej, której najznakomitszymi przedstawicielami stali się dotychczas Chopin i Moniuszko, a którą obecnie reprezentują godnie: Zeleński, Noskowski, Münchheimer, Gall, Stojowski, Melcer i najślawniejszy z nich „król fortepianu“, Paderewski. Wszyscy oni, ilu ich wydał wiek XIX, biorą początek swój—niby rzeki z jednego źródła—od Elsnera; on jest ojcem duchowym całego pokolenia muzyków polskich, pokolenia, które muzykę naszą po raz pierwszy wprowadziło do świątyni muzyki powszechnej europejskiej, i wyjednało tam miejsce dla niej zaszczytne, wcale nie jedno z ostatnich.

¹⁾ Zob. list El-nera do Chopina z dnia 14 września 1834 roku: „... dla mnie, który byłem Twoim mało zasłużonym, a wielce szczęśliwym nauczycielem harmonii i kontrapunktu, i który zawsze będę Twoim prawdziwym przyjacielem i wielbicielem“.

Leży przedemną własnoręczny manuskrypt jednej z młodzieńczych kompozycji Stanisława Moniuszki, manuskrypt, w którym przysły twórca *Halki*, w pełnych prostoty i szczerości słowach wskazuje stanowisko Elsnera w historii naszej sztuki muzycznej. Manuskrytem tym jest przypisany sędziwemu autorowi *Iskahara* kwartet:

Quatuor pour deux violons, alto et basse, composé et dédié à Monsieur Joseph Elsner, Recteur du Conservatoire de Musique, Professeur ordinaire à l'Université de Varsovie, Chevalier de l'ordre de St. Stanislas, par Stanislas Moniuszko.

Na odwrotnej stronie tytułowej kartki, równie kaligraficznie, jak ten francuski tytuł, wypisał młody podówczas autor *Straszego dworu* następującą dedykację:

Komu najśluszniej, jeżeli nie *pierwшему założycielowi muzyki naszej krajowej*, należy się hołd każdego jej zwolennika? Gdy dziś ośmielam się złożyć Mu dowód najszczerzego uwielbienia i wdzięczności, nie na słaby twór poczynającego, lecz na moje uczucia chcę zwrócić uwagę. Niechże i to dziełko, nie wartością swoją, lecz jego użytkiem, cennem się stanie.

Stanisław Moniuszko.

Manuskrypt kwartetu tego, w całości własną ręką Moniuszki na czysto przepisane, a ofiarowanego w swoim czasie osobiście przez autora Elsnerowi, jest jedną z pamiątek po twórcy *Andromedy*, lecz bynajmniej nie jedyną, najszacowniejszą ¹⁾.

¹⁾ Wszystkie pozostałe po Elsnerze papiery i pamiątki znajdują się obecnie w posiadaniu wnuczki jego, pani Ludwika z Nideckich Skokowskiej (I-o voto Kosteckiej). Ludwik Nidecki, rodzony brat kompozytora, Tomasza Nideckiego (po Kurpińskim dyrektora Opery warszawskiej), ożenił się z jedyną córką Elsnera (z jego drugiego małżeństwa), Emilią. Elsner był żonaty dwa razy, i z pierwszego małżeństwa, z Klarą Abt, miał córkę, Karolinę. Wyszła ona za Józefa Englerta, dyrektora wazelni soli w Ciechociuku.

Najdrogocenniejszemi są niezawodnie dwa własnoręczne listy Fryderyka Chopina do Elsnera: jeden z Wiednia, datowany 26 stycznia 1831 roku, drugi z Paryża, pisany dnia 14 grudnia tegoż 1831 roku. Oba te listy znane już są, niestety, z książki Karasowskiego. *Niestety*, ponieważ autor pierwszej, na dokumantach opartej monografii o Chopinie, pomieszczając je w swem dwutomowem dziele, trzymał się tej samej metody, co i przy podawaniu listów Chopina do Fontany ¹⁾, a więc podał je nie w dosłownem, lecz „upięksozom“ brzmieniu, z mnóstwem opiszczeń, dodatków, stylistycznych „poprawek“ i modyfikacyi, z mnóstwem wcale przez Chopina nieużytych wyrażań i zdań całych i t. d. Ograniczony miejscem, nie mogąc listów tych, jakkolwiek pierwszorzędnej doniosłości, podać tu in extenso, w ich autentycznej redakcyi, przytoczę z nich jeden tylko pierwszorzędnej doniosłości wyjątek. zbyt ważny, by go nie dać poznać światu, w tej formie, w jakiej naprawdę został przez 21-letniego Chopina napisany (Karasowski bowiem uważał za stosowne ten ustęp stylistycznie *wyglądać* ć, i tu i owdzie porobić w nim pewne drobne zmiany). Mam tu na myśli początek pierwszego z dwóch pomienionych listów Chopina, gdzie artysta tłumaczy się przed Elsnerem, dlaczego nie mógł dotychczas zdobyć się na kilka słów do niego:

Wstyd mię, że dobroć Pańska, której na odjezdnem tyle jeszcze odebrałem dowodów, i tym razem uprzedziła powinność moją. Do mnie należało pisać do Pana zaraz po przybyciu mojem do Wiednia, alem się ociągał już dla tego, że był przekonany, iż Rodzice nie omieszkają udzielać Panu nieciekawych wiadomości o mnie, już też, że czekał, aby coś stanowczego względem siebie donieść. Od dnia jednak, w którym się dowiedziałem o wypadkach, aż do tej chwili, nie doczekałem się niczego, prócz niewczesnej obawy i tęsknoty; i Malfatti napróżno się stara mnie przekonać, że każdy artysta jest kosmopolitą. Choćby i tak było, to jako artysta, jestem jeszcze w kolebce, a jako Polak, trzeci krzyżyk zacząłem; mam więc nadzieję, że znając mię, za złe mi Pan nie weźmiesz, iż dawniejsze uczucia

¹⁾ Zob.: „Biblioteka Warszawska“, Sierpień, 1899: *Chopin i Fontana*.

biorą przewagę, i ztem dotychczas o układzie koncertu nie myślał. Ze wszech miar bowiem nierównie większe dzisiaj stoją mi na przeszkodzie trudności; nie tylko, że nieprzerwane pasmo niegodziwych fortepianowych koncertów, psując ten rodzaj muzyki, odstręcza tutejszą publiczność, ale nadto wszystko, co zaszło w Warszawie, zmieniło położenie moje, może o tyle na niekorzystną stronę, o ile-by w Paryżu mogło się do mojego dobra przyczynić.

Warto, by sobie ustęp ten odczytali kilkakrotnie ci radcy magistratu paryskiego, którzy nie pozwolili niedawno, by na domu przy *Place Vendôme*, gdzie umarł Fryderyk Chopin, wmurowano tablicę pamiątkową z napisem: „Célèbre compositeur polonais“.

Nie mniej cenną pamiątką, niż owe dwa listy do Elsnera, jest litografowany portret Chopina z roku 1833, rysowany w Paryżu przez Vignerona, a nakładem Maurycego Schlesingera w galerii znakomych muzyków współczesnych wydany. Jeden egzemplarz portretu tego, odbitego w litografii Engelmana, przesłał Chopin do Warszawy swemu mistrzowi z następującą, u dołu skreśloną, dedykacją:

Kochanemu Panu Elsnerowi

przywiązany uczeń

F. F. Chopin.

Paryż, 1834.

Jest to bezwarunkowo jeden z najlepszych, a także i jeden z najpoetyczniejszych wizerunków twórcy *Nocturnów*. Nieporównana wykwićtność, w tak wysokim stopniu cechująca Chopina, jest tu znakomicie przez portrecistę uwydatniona. Jest to Chopin 23-letni, z epoki, gdy o nim towarzyszył jego studyów muzycznych jeszcze w Warszawie, a teraz wspólnie razem z nim nad Sekwaną przebywający, Antoni Orłowski, pisał do swoich: „Chopin zdrow i silny, wszystkim Francuzkom głowę zawraca, a w mężczyznach zazdrość wzbudza. Jest on teraz w modzie i niedługo zapewne świat ujrzy rękawiczki *à la Chopin*. Tęsknota tylko do kraju niekiedy go trawi“.

Drogocenniejszą jeszcze od portretu tego pamiątką jest sztambuch córki Elsnera, Emilii, przyszłej pani Ludwikowej Nideckiej. Sztambuch ten, pochodzący z roku 1830 (jak o tem niezbitcie świadczy złotemi literami na ponsowej okładce wybita cyfra), składa się ze stu kilkudziesięciu kartek papieru nutowego, a zapisany od pierwszej do ostatniej stronicy, przedstawia dziś, jako jedyna w swoim rodzaju kolekcya autografów muzyków polskich, niemałą dla amatora wartość.

Elsnerowie — powiada pani Skokowska — mieszkali wtedy na rogu Maryensztadu w gmachu Konserwatoryum, na pierwszym piętrze, uczniowie zaś twórcy *Męki Żbawiciela*, Stefani Jan, Wolff Edward, Nideccy Tomasz i Ludwik, Weinert Paweł i Chopin Fryderyk, bywając nader częstymi gośćmi w domu rektora (bo ten nietylko był profesorem każdego z nich, ale i przyjacielem), cieszyli się łaskawymi względami i przyjaźnią zarówno pani rektorowej, jak i jej córki, Emilii. Oczywiście, że najwięcej zabawiano się muzyką, bo niemuzycznych nie było w tem gronie. Prym trzymały fortepian i śpiew, bo nie należy zapominać, że pani Elsner uchodziła za ozdobę Opery polskiej, a córka jej, także nadzwyczaj muzykalna, również była obdarzona prześlicznym głosem. Nadto grała bardzo ładnie i biegle na fortepianie, a Ludwik Nidecki tak z nią lubił grywać na cztery ręce, że się pobrali w końcu... Tymczasem, zanim do tego przyszło, fortepian w salonie państwa Elsnerów rozbrzmiewał bardzo często, a jednym z tych co na nim grywali najczęściej, bywał Chopin, cieszący się już wtedy sławą „najlepszego w mieście fortepianisty”. Ponieważ była to epoka, w której ogromnie dużo komponował, a do sądu nietylko swego profesora harmonii i kontrapunktu, ale i jego żony i córki, przywiązywał wielką wagę, wszystko więc, co skomponował, przegrywał im, zasięgając ich rady, pytając o szczere zdanie. Otóż weszło w zwyczaj, że gdy kompozycya, którą zagrał, zyskiwała approbatę pani rektorowej i rektorówny, musiał ją zaraz wpisać do założonego umyślnie w tym celu sztambuchu panny Emilii, podobnie jak to już od pewnego czasu czynili jego starsi koledzy, Stefani i Nidecki. Że Chopin nie opierał się temu żądaniu, świadczy najwymowniej rzeczony ny sztambuch.

Mam go w tej chwili przed oczyma, leży u mnie na biurku. Samych utworów Chopina, własnoręcznie przezeń wpisanych, znajduje się w nim siedemnaście. Składają się na nie pieśni do słów Mickiewicza i Witwickiego, parę walców, mazurów i t. p. Z pieśni znajdują się tu następujące: 1) *Gdzie lubi?* Pieśń sielanka St. Witwickiego. Muzyka F. C. 2) *Do M...* Wiersz A. Mickiewicza. Muzyka F. C. z H-minor (Precz z moich oczu...). 3) *Hulanka* (Szynkareczko, szafareczko...).

Wiersz St. Witwickiego, muzyka F. Chopina. 4) *Czary* St. Witwickiego, muzyka Fryderyka C. Hopina ¹⁾. 5) *Posel* St. Witwickiego, muzyka F. C. 6) *Życzenie* (Gdybym ja była słoneczkiem na niebie...). Wiersz St. Witwickiego, muzyka F. C. 7) *Wojak* St. Witwickiego. Mazurów jest pięć: 1) Mazur A-moll, wydany przez Fontanę w *Oeuvres posthumes* Chopina jako Op. 68, № 2. 2) Mazur E-dur, wydany w Paryżu w roku 1832, jako Op. 6, № 3. 3) Mazur F-dur, ogłoszony przez Fontanę jako Op. 68, № 3. 4) Mazur C-dur, znany z wydania Fontany, jako Op. 68, № 1, i wreszcie 5) spopularyzowany przez „tłómaczenie“ Ujejskiego Mazurek A-mol (Jego dotąd niema, a duszyczka roi...), w albumie tym jednak napisany i z innego tonu (w A-dur), niż w wydaniu paryskim z roku 1832, i posiadający arcycharakterystyczny wstęp, nadsładowujący dźwięki *Dudy*, (jak to objaśnił sam Chopin, dopisując między liniami pierwszych taktów wyraz „Duda“). Warto-by Mazurka tego wydać w tej pierwszej, tak odmiennej od późniejszej, znanej, redakcyi. Z kolei następują trzy walce, z których tylko jeden znajduje się w wydaniu Chopinowskich *Oeuvres posthumes*. Dwa inne, o ile wiem, są nieznanne, a więc o tyle ciekawsze. Najprzód idzie bardzo ładny walczyk w tonie C-moll. Po nim następuje Walc Des-dur, znany z wydania Fontany jako Op. 70, № 3, a prócz niego jest jeszcze jeden walczyk, którego również nie znajduję w żadnym z dotychczasowych wydań dzieł Chopina, w tonie F-moll... Nadto znajdują się tu jeszcze dwie *Ecossaises*, znane z wydania Fontany, a oznaczone przezeń jako № 2 i 3, Op. 72.

Chopinowskie te kompozycye giną wśród mnóstwa pieśni (polskich, włoskich i francuskich), mazurów, galopad, marszów, romansów, melancholii, walców, waryacyi i t. d., i t. d. Stefaniego, Nideckich, Wolffa, Weinerta i innych; te jednak, choć ich jest prawdziwy *cmbaras de richesse*, mniejszy już bez porównania posiadają dla nas urok.

Jeżeli opisany sztambuch może dać niejaki wyobrażenie o serdeczności stosunku młodych uczniów Konserwatorium do swego rektora i profesora, to wymowniejszym jeszcze dowodem w tej mierze

¹⁾ Chopina zawsze trzymały się figle, niejednokrotnie więc, dla konceptu, podpisywał się, zamiast F. Chopin, F. C. Hopin, gdyż z pewnością nie brakło takich, co w ten sposób wymawiali jego nazwisko. We współczesnych pismach warszawskich piszą go nieraz: *Szope*, w nawiasach dodając: Chopin.

był sposób, w jaki kształcąca się pod kierunkiem Elsnera młodzież obchodziła jego imieniny. Gdy nadszedł dzień świętego Józefa, całe Konserwatorium śpieszyło wieszować swemu czcigodnemu przełożonemu... W pozostałych po nim papierach znajduje się między innymi cały zbiór takich powinszowań, to z powodu imienin, lub urodzin twórcy *Sultana Wampuna*, to na Nowy Rok. Gratulacje te, zawsze wierszowane (nie brak między nimi i niemieckich) zwykle któryś z uczniów lub profesorów, np. Jawurek, illastrował muzyką, w formie kantaty, poczem wykonywano je wobec solenizanta chórem, w którym do roku 1830 włącznie nie brakło nigdy i młodziutkiego Chopina...

Z móstwa tych muzykalno - poetycznych powinszowań, których tu wszystkich przytaczać nie sposób, godzi się wyróżnić jedno z roku 1829, ułożone w formie wierszowanej kantaty z muzyką Antoniego Orłowskiego, gdyż był to czas właśnie, gdy Chopin był uczniem Konserwatorium, a więc musiał należeć do chóru, co utwór ten wobec Rektora odśpiewał... Tytuł wiersza tego brzmi, jak następuje: *Śpiew na roczną uroczystość Imienin Wielmożnemu Józefowi Elsner, Rektorowi Konserwatorium, Profesora muzyki w Królewsk. Warszawsk. Uniwersytecie, ofiarowany przez Uczniów Konserwatorium muzycznego, w tymże dniu 19 marca 1829 roku wykonany. Wiersz J. Kl. M.... Muzyka Antoniego Orłowskiego:*

Bracia, koledzy, uczniowie!
 Jakiż nas cel dziś zajmuje?
 Każdy to Źna i powie,
 Że się najszczerzej raduje,
 Gdy tego czcimy w Rektorze,
 Co lutni wzorem być może.

Po zgonie czucia nie mamy;
 Dziś więc, Józefie, gdy żyjesz,
 Sprawiedliwie to wyznamy,
 Cnót Twych przed światem nie skryjesz;
 Tobie wdzięczność, Tobie chwała,
 Zawsze bądźcie jeszcze mała.

Głos nieudolny Twych dzieci
 Twego gdy niegodzien ucha,
 Niechaj przynajmniej doleci
 Do serca, które go słucha,
 A tak, co Sędzia przygani,
 Ojciec w słodkiej przyjmie dani.

i t d., i t. d.

Czytając ten wiersz, należy sobie wyobrazić dość liczną drużynę młodych uczniów i uczennic Konserwatorium, — z wmieszanym pomiędzy nich 19-letnim Chopinem — jak stojąc przed sędziwym Rektorem, w jego gabinecie, śpiewają to powinszowanie.

Wśród kilkudziesięciu powinszowań tego rodzaju, z których większość pisana kaligraficznie na pięknym brystolu, oraz przyozdobiona symbolicznymi winietami i inicjałami, rysowanemi lub malowanemi akwarellą, wyróżnia się wiersz: *Do Józefa Elsnera*, ofiarowany mu w dniu jego imienin, 19 marca 1836 r., wiersz, w którym podkreślić należy jedno wyrażenie, to mianowicie, gdzie poeta, zwracając się do Rektora, powiada o nim, że zjawił się w Polsce „z dawnych siedzib Słowian”. Zaznacza tu autor wyraźnie *słowińskie pochodzenie* Elsnera, na co szczególną zwrócić się godzi uwagę, utarło się bowiem w ostatnich czasach przekonanie, jako twórca *Kiōla Łolkielku* był Niemcem. Jest to fałsz, systematycznie powtarzany przez wszystkich biografów Elsnera, fałsz, który raz wreszcie — zdaniem wnuczki autora *Iskahara* — powinien być sprostowany.

Urodzony w Grodkowie, miasteczku na *Szląsku*, niedaleko granicy Królestwa Polskiego, był Elsner już co najmniej Szlązakiem, więc Słowianinem, nie żadnym Niemcem, a powtóre, pochodził on z rodziny, która od wieku osiadła na Litwie w granicach Rzeczypospolitej polskiej. Sam Elsner wielką zawsze wagę przywiązywał do swego nie niemieckiego pochodzenia, i w tym celu nawet ułożył dla rodziny swej „Genealogię Elsnerów”, której autograf, łaskawie mi udzielony przez panią Skokowską, właśnie mam przed oczyma. Z notatki tej okazuje się, że ród Elsnerów, osiadłych w Polsce już od końca XVII wieku, pochodził z wysokiej szlachty szwedzkiej, z królewskiej rodziny Wazów. Protoplastą rodu tego był „Jan Elsner,

czyli Gustaw Waza“, przybyły ze Szwecyi do Polski w roku 1699 (czy nie z wojskami Karola XII?). Osiadłszy na Litwie, pojął tu za żonę Katarzynę Ejsmondównę, córkę pisarza ziemskiego grodzieńskiego. Ta powiła mu czterech synów: Antoniego, Jana, Wincentego i Michała. Najstarszy z nich, Antoni, osiadł w Prusiech Królewskich, gdzie dostał kolonię od księcia Fryderyka Brandenburskiego. Syn jego, Fryderyk Elsner, był generałem artyleryi konnej (niezawodnie pruskiej), kawalerem orderów... Drugi z synów owego „Jana Elsnera, czyli Gustawa Wazy“, Jan, osiadł w Koronie. Młodszy brat jego, Wincenty, utonął w młodym wieku, najmłodszy zaś z braci, Michał, osiadł na Rusi. Jedyne syn jego, Michał, miał znowu jednego tylko dziedzica swegonazwiska, Jana, ten zaś, po jedynym synie swoim, Michale, doczekał się aż sześciu wnuków: Ignacego, Antoniego, Wincentego, Piotra, Nepomucena i Kacpra. Do jakiej narodowości przyznawali się ci Elsnerowie? O tem skreślona przez autora *Leszka Białego* „Genealogia Elsnerów“, niestety, milczy; to zaś, co o Kacprze Elsnerze znajdujemy w pamiętnikach Józefa Elsnera, rzuca na kwestyę tę niekoniecznie pożądane światło. Okazuje się z nich bowiem, iż Kacper Elsner nie był przyjacielem Polaków. Bardzo być może, iż mu to utrudniała godność szambelana, którą piastował, nie wiemy tylko, czy tą niechęcią natchnęło go szambelaństwo na dworze berlińskim, czy petersburskim? Za ostatniem przemawia pochodzenie szambelana, który był potomkiem Elsnerów, osiadłych „na Rusi“. Z jakiej linii pochodził ojciec kompozytora, Franciszek Ksawery Elsner? To pytanie pozostawia niedokończona, niestety, „Genealogia Elsnerów“ bez odpowiedzi. Pewnem jest to tylko, że pochodził z innej linii, aniżeli szambelan Elsner, czyli, że mógł być potomkiem albo owego Jana Elsnera, który, jako mieszkaniec Korony, dorobił się „majątku w Toruniu“, albo też starszego jego brata, Antoniego, z Prus Królewskich. W każdym razie niezbitym jest fakt, że pochodząca ze Szwecyi rodzina Elsnerów była rodziną szlachecką, a jako taka, i w Polsce, w której od końca XVII wieku zamieszkała i tu się rozpleniła, używała przywilejów szlactwa... Do szlactwa tego i Józef Elsner niemalą przywiązywał wagę. Zachowały się po nim dwie pieczętki herbowe, a wyryty na nich herb przedstawia zakutego w zbroję ryce-rza, wspierającego się obu rękoma na dwóch owalnych tarczach: na jednej, uwieńczonej pięciopalkową koroną i pióropuszem, widnieje głowa byka, na drugiej zaś widzimy monogram z liter: J. E.

Wychowany na Szląsku, wśród zgermanizowanego otoczenia, twórca *Króla Łokietka*, władając biegle tylko językiem niemieckim, znał jednak od dziecka, choć słabo, także i język polski, z któ-

rym w swem miasteczku rodzinnem stykał się raz po raz, zwłaszcza w kościele. W pamiętnikach swych, spisanych u schyłku życia, mówiąc o swych pierwszych kompozycjach kościelnych, powiada, że wykonywane były podczas Wielkiego Postu po każdym czwartkowym kazaniu poobiedniem, „a napisane do słów ojca Marcellego Knircha, gdym do nich dorobił chór końcowy i rodzaj Fugi, wykonane zostały w całości, jako oratorium, pod dyrekcją rektora szkół (dominikańskich), p. Schöna, w Wielką Sobotę rano, w małym kościele, w którym grób Zbawiciela był zawsze wystawiony, *i gdzie za moich jeszcze czasów w polskim języku kazano*“. Swoją drogą, atmosfera domowa, w której wzrastał przyszły twórca *Łoska Białego*, była niemiecka, ojciec bowiem jego, fabrykant instrumentów muzycznych, klawikordów, harf i t. p., a w braku takiej roboty i stolarz, nietylko, że był całkiem ziemczony, ale nawet nie odznaczał się sympatją dla Polski: przeciwnie, do wszystkiego, co polskie, żywił wyraźną niechęć. To też i syn jego, w ciągu swej młodości, nie myślał o przeniesieniu się do Polski. Oto, co pisze w tej kwestyi w swych pamiętnikach: „Nie miałem nigdy zamiaru jechania do Polski, tem mniej zamieszkania w tym kraju, słowem, stania się tamże krajowcem i następnie rozwinięcia działalności artysty. W najmłodszych jeszcze latach słyszałem mego ojca mawiającego, i to z niejakim przyciskiem, przysłowie: *Mein Sölmchen, in Polen ist nichts zu holen!* które tak wielkie na mnie uczyniło wrażenie, że się zupełnie nie przykiadał do polskiego języka, będąc studentem teologii w Uniwersytecie ex-jezuitów we Wrocławiu, gdzie z rozkazu królewskiego *nauczano tego języka*, a nawet z tego powodu uchyliłem się od życzenia rodziców moich wstąpienia do stanu duchownego, i przeszedłem na medycynę. Gdybym był mógł przeczuć i przewidzieć zmianę losu mego, spowodowaną tylu ubocznemi okolicznościami, jako to śmiercią ojca, pierwszym uczuciem miłości dla pierwszej żony mojej i t. p., był-bym niezawodnie gruntownie się nauczył polskiego języka: Niechęć zaś ojca mego do Polski, *z którą nigdy uyrzućnie przede mną nie zdradzał się*, potrafiłem dopiero dokładnie sobie wyjaśnić za poznaniem szambelana Kacpra Elsnera, i z listownego z nim znośnienia się. Pokój niech z nim będzie w Bogu spoczywającym! Tak to człek mara, a Bóg wiara“. W każdym razie ojcu przyszłego twórcy *Łokietka* mowa polska nie była obcą: gdy naprzykład brał udział w nabożeństwie w miejscowym kościele, śpiewał wraz z innymi po polsku. Oto wyjątek z pamiętników Elsnera, napomykający o tem wyraźnie: „Temat główny z mojego *Stabat Mater* wzięłem ze słowiańskiego śpiewu kościelnego, śpiewanego z takim wzruszeniem przez ojca mego, gdy brał udział w ogólnym śpiewie ko-

ścielnym, iż na mnie, wówczas młodym chłopcu, tak nadzwyczajne wrażenie sprawił, iż do dziś dnia jeszcze pamiętam melodyę do słów: „Panie, kocham Cię“¹⁾). Ale znajomość języka polskiego nie przeszkadzała Franciszkowi Ksaweremu Elsnerowi z dziećmi w domu rozmawiać wyłącznie po niemiecku, i nie zachęcać ich różnemi, stale powtarzanemi wyrażeniami, do osiedlenia się w Polsce. Stąd poszło, iż przyszedł „twórca muzyki polskiej“ nie wiele się w młodości swej przykładał do nauki języka naszego. Od chwili jednakże, gdy się przeniósł do Polski, do Lwowa, i... zakochał się w Polce, zaczął usilnie pracować nad dokładnem przyswojeniem sobie mowy ojczystej swej żony, że zaś w pracy tej doszedł z czasem do zdumiewających rezultatów, o tem świadczy chociażby jego w roku 1818 wydana *Rozprawa o rytmiczności i metryczności języka polskiego, szczególniej o wieśszach polskich we względzie muzycznym*, rozprawa, w której złożył dowody, jak mowę naszą gruntownie poznał i całym sercem jednocześnie pokochał.

¹⁾ Wspomniane tu pamiętniki Elsnera nie były aż po dziś dzień ogłoszone drukiem, choć na to ze wszech miar zasługują. Pisał je Elsner pomiędzy rokiem 1839 a 1848 w formie komentarza do kompletnego spisu swych kompozycji, zatytułowawszy go skromnie: *Summarysz moich utworów muzycznych z objaśnieniami o czynnościach i działaniach moich jak artysty*. Objasnienia te zawierają prawie całokształt długiego i pracowitego życia Elsnera. Pisane po francusku, zostały po śmierci kompozytora przetłumaczone w roku 1866 na język polski przez znanego dobrze u nas w świecie muzycznym Kazimierza Lubomirskiego. Rękopis przekładu tego jest dziś jedynym pracą tej śladem, oryginał bowiem, przechowywany przez szereg lat w Elsnerówce, uległ z czasem zniszczeniu... Spotkała go podobna dola, jak oryginały listów Chopina do rodziny.

II.

Wewnętrzne dzieje pierwszego Konserwatorium w Warszawie.

Szkoła dramatyczna Bogusławskiego. — Instytut muzyki i deklamacyi w byłym klasztorze pp. Bernardynek. — Katedra muzyki przy uniwersytecie warszawskim. — Elsnera list do Saliergo. — Nominacya generała Roźnieckiego. — Sprowadzenie Solivy. — Intrygi Roźnieckiego i Osińskiego. — Wyjazd Solivy do Włoch. — Kłopot rektora — Egzamin i koncert w konserwatorium. — Dymisyja rektora. — Niesnaski z Solivą. — Hummel w Warszawie. — Rok 1830. — Celniejsi uczniowie klasy kompozycyi. — Postępy Chopina. — Jego wyjazd za granicę.

Jedną z największych zasług Elsnera dla muzyki polskiej było założone przezeń konserwatorium muzyczne w Warszawie, które z pomiędzy wielu utalentowanych uczniów, jakich wydało, przede wszystkim może być dummem z jednego: z Fryderyka Chopina.

Historyi założenia i dziesięcioletniej egzystencyi tej „Szkoły głównej muzyki“, poświęcił Elsner w pamiętnikach swych obszerny rozdział, jeden z najbardziej zajmujących.

— Właściwem znajduję przytoczyć na tem miejscu, niektóre uwagi i słów kilka o początku istnienia konserwatorium muzycznego w Warszawie i o p. Solivie, który przez objęcie przy niem posady stał się zawadą w osiągnięciu spodziewanego postępu i oczekiwanej z onego korzyści.

W roku 1810 urządził Bogusławski tak zwaną Szkołę dramatyczną. Przeznaczył dla niej w swem mieszkaniu salę, w której dawniej odbywały się próby, w innych zaś częściach lokalu pomieścił czterech chłopców w dozorującym i cztery panny z guwernantką. Da-

lej wybrał i mianował według swego zdania nauczycieli, pomiędzy którymi był Antonioli, śpiewak z opery włoskiej (bo trzeba wiedzieć, iż Bogusławski miał słabość do Włochów), nie mający najmniejszego wyobrażenia o elementarnej nauce śpiewu i nie rozumiejący zupełnie polskiego języka. Pierwsza próba tej szkoły, zwłaszcza w deklamacyi i językach, udała się dobrze, lecz co do pozostałej części zupełnie nie odpowiadała celowi, a nawet następnie uczniowie dla niemoralnego sprawowania się rozpuszczonymi zostali.

W roku 1814 (gdy już Bogusławki odsunął się od przedsiębiorstwa teatru, a tem samem i szkoły dramatycznej), poruczono mi nauczycielstwo muzyki w powyższej szkole i żądano jednocześnie, żebym skreślił nowy i poprawniejszy do jej wewnętrznego urządzenia plan, co też uskuteczniłem.

Plan ten znajduje się w kopii przy aktach ówczesnej kommissyi edukacyjnej, oryginał zaś złożony jest w ministryum spraw wewnętrznych. W przedstawionym planie domagałem się urządzenia przy głównej szkole drugiej elementarno-przygotowawczej dla chłopców i dziewcząt, z dwóch klas złożonej, a to w celu przysposobienia zdatnych uczniów do szkoły wyższej. Jakoż w roku 1817 otrzymałem na to polecenie urzędowe, a w 1818 zostałem mianowany rektorem tych połączonych szkół.

Kiedy następnie egzamin szkoły niższej odpowiedział oczekiwaniu, a egzamin szkoły wyższej połączonej z dramatyczną nietylko władze ale i publiczność w zdumienie wprawił, postanowiłem, korzystając z powodzenia takiego, przyprowadzić do skutku moją główną myśl oddzielenia szkoły muzycznej od kulis teatralnych. Dopełniłem tego za pośrednictwem ministra Staszycy, w 1819, w którym to założony został Instytut muzyki i deklamacyi. Jednocześnie odebrałem polecenie wyszukania stosownego na ten cel budynku pomiędzy niedawno skasowanemi klasztorami, a że wszystkie już, prócz Panien Bernardynek, zajęte były na składy lub pracownie fabryczne, pozostały więc na powyższy cel obrócić postanowiłem. Takim sposobem posiadaliśmy własny lokal i 36,000 zł. rocznie dla instytutu wyłącznie, zawdzięczając to ministrowi Staszycowi.

W tym czasie Osiński obowiązał się na żądanie ministra Mostowskiego i życzenia kilku panów polskich sprowadzić i utrzymywać teatr komedyi francuskiej i prócz tego zapisać z Paryża kilku tancerzy i tancerek baletowych, a to z powodu, że obecne już towarzystwo pana Berindelli wielkiego powodzenia i upodobania doznawało. Otrzymawszy od rządu 72,000 złp. wsparcia na przedmiot zobowiązania się swego, wyjechał Osiński za granicę.

Po odejściu p. Brice, członka opery, a zarazem nauczyciela śpiewu przy instytucie naszym, wezwany byłem przez ministra Staszycza o przyjęcie drugiego na jego miejsce, przedstawiając mi do wyboru pp. de Santis i Feuillide; wskutek czego, objawivszy widoki moje we względzie pedagogicznym, objawiłem zdanie moje na korzyść ostatniego; a przytem na przedstawienie moje konieczności wcielenia i części instrumentalnej do instytutu i zlania wszystkich oddziałów w jedną całość, powstało nareszcie, a mianowicie w r. 1820, Konserwatorium muzyczne, i ustanowiono katedrę muzyczną przy uniwersytecie, dla której minister Staszycz wyjednał u komisyi edukacyjnej 12,000 złp.

Na nieszczęście zachorował mocno p. Feuillide, który już wykształcił był drugą pannę Stefani, p. Polkowskiego i innych, a ja znów wezwany byłem o napisanie do Włoch o przysłanie do Warszawy nauczyciela, wirtuoza śpiewu.

Udałem się więc listownie do Saliergo, kapelmistrza, który mi odpisał, że w chwili obecnej nie ma pod ręką takiego, jakiego żądam, nauczyciela, że nawet Wiedeń cierpi w tem niedostatek, i że nakoniec sam o to napisał do Bolonii i mnie radzi, żebym podobnie uczynił. Zaniósłem odpowiedź p. Soliergo do ministra, u którego właśnie zastałem gen. Roźnieckiego, ówczesnego prezesa dyrekcji teatralnej. Odczytawszy list Saliergo, generał Roźniecki oświadczył się z gotowością załatwienia tego interesu, mówiąc, że z czasów legionów polskich wielu ma znajomych pomiędzy mistrzami muzycznymi i artystami śpiewu, z którymi korresponduje. Pan minister wraz ze mną pożyczaliśmy oświadczenie się gen. Roźnieckiego za wypadek bardzo pomyslny dla naszego zamiaru. Czyż mogłem wtedy spodziewać się czegoś szkodliwszego dla siebie?

Wprawdzie w niektórych okolicznościach byłem przeciwny zdaniom generała Roźnieckiego, który dzięki mnie dostał zaszczytu być mianowanym prezesem dyrekcji teatralnej, lecz nigdy nie spodziewałem się, aby to mogło wywrzeć wpływ na moje przyszłe położenie.

Co zaś do prezesowstwa teatralnego rzecz się tak miała. Pan Lipiński zrzekł się także swego urzędu, ponieważ trudno mu było pogodzić się z przedsiębiorcą, jakkolwiek posiadającym znajomość swej sztuki, będącym jednocześnie dobrym autorem i aktorem, gdyż *ultima ratio* jego była nie sztuka, ale kieszeń własna. Naturalnie, że na to żaden prezes nie mógł być obojętnym i wyradzały się stąd kollizye i sprzeciwieństwa. Ja zaś, nie mając żadnego zajęcia przy szkole dramatycznej Bogusławskiego, ustanowiłem towarzystwo kościelnej narodowej muzyki, które w każdą niedzielę zbierało się u ks. Pija-

rów dla wykonywania podczas nabożeństwa dzieł muzyczno-kościelnych, a któremu ówczesny rektor, ks. Stawiski, szczególnie sprzyjał. Za moim wpływem został generał Roźniecki wybrany na prezesa tego towarzystwa

Ministeryum oświecenia, po zrzuceniu się przez p. Lipińskiego z posady, troszczyło się o wybór innego prezesa teatru, a że ja objawilem był życzenie, by przy wyborze dano wzgląd na posiadanie znajomości muzyki przez przyszłego prezesa, powiedział mi minister Staszyc, niechże więc nowowybrany prezes waszego towarzystwa kościelnego będzie razem prezesem dyrekcji teatralnej. Jakoż proszono gen. Roźnieckiego o przyjęcie tej honorowej posady.

W tym to roku jeszcze przybył Soliva, ów spodziewany nauczyciel śpiewu w konserwatoryum, który z sobą przywiózł także, jakby sądzić należało... śpiewaka? gdzie tam! chirurga! niejakiego Vignan, w nadziei, że na północy same tylko niedźwiedzie mieszkają, i że sam musi szczęście znaleźć i zapewnić je koledze.

Jak Soliva zadość uczynił oczekiwaniu, niech będzie odpowiedzią następną uwaga: że zupełnie głosu nie miał i nigdy nawet nie śpiewał. To też zawiódł naszą i gen. Roźnieckiego nadzieję i naraził na tysiączne trudności i kłopoty, chociaż ten ostatni pojąć nie mógł i wierzyć nie chciał, żeby Włoch głosu nie miał i śpiewać nie mógł. Czy było go napowrót, skąd przyjechał, odesłać? Gdyby tego nie chciał, należało-by mu znakomite koszta podróży tam daremnie zapłacić, a że dwoma miesiącami przed naznaczonym terminem przyjechał, pozostawiono aż do tego czasu rozwiązanie tej całejkwestyi, czekając prawdziwie zmiłowania Bożego.

Jednakże Soliva napisał dawniej operę. Trzymając gazetę muzyczną lipską, znalazłem w niej pod rokiem 1817 artykuł z Medyolanu, zawierający recenzję opery jego utworu p. n. „La testa di bronzo“ wcale nie korzystną dla niego, dowodzącą bowiem, że brakło w tej operze znajomości muzyki i geniuszu; bo gdyby chociaż jeden z tych warunków posiadała, mogłaby się przy najemnych klaskaczach przez parę przedstawięń utrzymać itd.

Położenie Solivy wśród nas tak dalece było przykre, że mi go się żal zrobiło. Jakoż przed zajęciem przeznaczzonego u nas mieszkania odwiedził mnie dnia pewnego; ofiarowałem mu swoje usługi, dziękował mi bardzo i rzekł. „Panie Elsner, wszak jestem zupełnie w porządku, nie wiem przeto, co-by to znaczyć miało, że tak długo do obowiązku nie przychodzę.“ Pokazał mi następnie kontrakt z nim zawarty, który przeczytawszy, zdumiałem, gdyż wyrażono w nim, że zamówiony jest na dyrektora konserwatoryum, w którym miał być

osobiście nauczycielem śpiewu. Dopiero wtedy pojąć zdołałem zakłopotanie generała Roźnieckiego, tem więcej, gdy w liście jego do korespondenta we Włoszech pisany, a okazany mi przez Solivę wyrażonem było, że w Polsce nie było człowieka zdolnego do zawiadywania takim, jak nasze konserwatorium, zakładem, zwłaszcza, że dyrektor onego obowiązany był stworzyć operę polską.

Soliva, widząc moje zadziwienie, przyznał, że pomimo, jak widzieć mogłem, był zupełnie w tej sprawie na swoim miejscu, niemniej się dziwił i nie wiedział rzeczywiście, co-by to znaczyć miało. Odgadłem i przekonałem się, że zamiarem było usunięcie mnie z zajmowanej posady, do czego, jak się domyślałem, przyczynił się był najwięcej Osiński, chcąc zapewne wywdzięczyć mi się tym sposobem za przysporzenie mu 180.000 złp. majątku gotowego grosza, garderoby, biblioteki i dekoracyi teatralnych bez żadnego z jego strony ryzyka.

Tak więc Soliva przez rok jeden na próbę pozostał.

W Grudniu odbył się egzamin w mniejszej sali konserwatorium, na którym, prócz dyrekcji teatralnej i ministra, Staszyc, znajdowało się wielu zaproszonych jakoby znawców muzyki. Zaczęto od dwóch klas szkoły elementarnej, następnie przystąpiono do języków, deklamacyi, sceniczności, nakoniec do śpiewu wyższego. Polkowski odśpiewał z panią Palczewską duet z opery Kurpińskiego „Jadwiga,“ w polskim języku. P. Stefani wykonała śpiewkę utworu brata swego, Józefa, podobnież w polskim języku. W końcu, panna Kralewska odśpiewała kilka kawatin w języku włoskim. Przy skończeniu śpiewu minister Staszyc, zbalamucony przez generała Roźnieckiego i Osińskiego, tak się zapomniał, że wykrzyknął: „Zaraz widać, że nauczycielem śpiewu jest Włoch, bo istotnie język nasz wcale po włosku nie brzmi“, na co obecni z uszanowania dla czeigodnego ministra ledwo od śmiechu wstrzymać się zdołali¹⁾.

Chociaż minister i dyrekcya teatru zadowoleni byli ze sprowadzenia Solivy, publiczność jednak wcale nią być się nie zdawała zwłaszcza przekonawszy się, że Soliva nie śpiewa i nigdy nie śpiewał, bo głosu nie miał. To też zewsząd wołano: „Na cóż nam kompilator nierozumiejący języka naszego, skoro mamy swoich kompozytorów, dyrektorów.“

W celu zapobieżenia i zbiccia tych zarzutów uchwalono, ażeby w porze zimowej, podczas zbyt silnych mrozów, zamiast przedstawić

¹⁾ Zobacz tegoczesną muzyczną „Gazetę Warszawską“ w artykule napisanym przez Zöllnera.

w teatrze, urządzano w opalanej sali redutowej koncerty, czyli raczej wieczory muzykalne. Zamiar ten korzystnie przedstawiony z upodobaniem przyjęto. Na takim wieczorze wystąpił Soliva jako dyrektor orkiestry i od pierwszego razu, po odegranej przez orkiestrę sztuce, przyjęty został zewsząd oklaskami i wykrzyknikami: „Bravo, bravissimo! zaraz widać, że Włoch, co za ogień! etc.“ Jednakże w Petersburgu wcale przeciwnie się pokazało. Bo też u nas dyrygował tylko uwertury Rossiniego, w których skakał i odskakiwał w ustępach efektowych, robiąc z osoby swej istotną karykaturę.

Około Wielkiej Nocy oświadczył Soliva, że otrzymał list, donoszący mu o niebezpiecznej chorobie matki, pragnącej go jeszcze przed śmiercią zobaczyć. Była to, jak się później okazało, odegrana komedia w celu uniknięcia następującego w lipcu egzaminu, po którym miało być zdecydowane utrzymanie go na posadzie lub nie, i czyby była potrzeba starać się o nowego nauczyciela śpiewu.

Okazał rzeczony list i żądał dwumiesięcznego urlopu, a otrzymawszy go, wyjechał.

Po upływie dwóch miesięcy odebrał Osiński od niego list, w którym prosił o przysłanie mu 2,000 zł. Osiński tłumaczył się, że w tej chwili onych nie ma; ja więc, ze względu, że Soliva rzeczywiście mógł się w niedostatku znajdować, z własnych funduszków, za pośrednictwem Frenkla, bankiera, żadaną przez Solivę sumnę posłałem.

Później dopiero przypomniałem sobie słowa p. Vignan, chirurga, przybyłego z Solivą, który pierwszy opuszczając Warszawę rzekł mi: „Panie Elsner, o ile cię zdołałem poznać, za nadto jesteś dobrym, strzż się, uprzedzam pana, ażebyś własnym tchem nie ożywił gazdiny“.

Osiński zwrócił mi później powyższą sumnę, ale Soliva żadnej odpowiedzi nie przysłał. Więcej roku go nie było, wrócił dopiero nagle, w chwili, gdyśmy napisali do Neapolu o przysłanie p. Tarquinio, obecnie w Dreźnie będącego.

Podczas niebytności Solivy odbyłem wyżej wspomniany lipcowy egzamin, a po wakacjach, które krótko trwały, ponieważ Soliva nie wracał, przedstawiłem na tymczasowych nauczycieli śpiewu: moją żonę dla dziewcząt, p. Żylińskiego dla chłopców tenorzystów, a dla basistów p. Szczurowskiego; głównie z tego powodu, żeby nauczyciel etatowy, Soliva, lub też inny jaki nowo przyjęty, zastał choć cokolwiek przysposobionych uczniów. Projekt mój został przyjęty i lekcye niebawem rozpoczęły się. Zjawia się nareszcie Soliva, jak powiedziałem, niespodzianie, a rozpatrzywszy stan obecnych okoliczności i porozumiawszy się z gen. Roźnieckim, wystąpił z niejaką impozycją, gdyż istotnie nie stracił darmo czasu w Medyolanie. Uniknąw-

szy przez wyjazd egzaminu, obznajomił się tam z praktyczną nauką śpiewu, zupełnie wprzód mu obcą, ponieważ dawniej był nauczycielem fortepianu i jako taki napisał owe opery.

Zdawszy mu już przygotowanych uczniów i uczennice, przekonałem się, że w istocie nabył wprawy i znajomości w uczeniu śpiewu, a co więcej, w celu zapewne zwaleni zarzutu, jakoby śpiewać nie mógł, wyczył się kilku duetów „Buffo—maniera caricata.“ Na wyrobieniu jednak głosu dokładnie się i teraz nie znał; nie wiedział, że chłopcy, mianowicie w krajach północnych, daleko później zmieniają głos (mutation), co się i dziś jeszcze zdarza.

W roku 1822 nie było jeszcze publicznego popisu, ale tylko od-
byto prywatny w obecności ministra i dyrekcji teatralnej, powziąwszy zamiar zaimponować następnie egzaminem konkursowym. Lecz, żeby mnie odjąć wszelką dyrekcję, starano się wpływ mój na ministra osłabić, a potem zupełnie go zniweczyć. Danoszono mu też niestworzone rzeczy, i tak np.: jakobym w konserwatorium należytego porządku nie pilnował, a więcej zajmował się wiejską swoją posiadłością; dalej, że wyobrazenie moje i władze umysłowe już się przytępiają, a tem samem niezdolny jestem przewodniczenia takiemu instytutowi; nakoniec, że m się trunkom oddawał, a to zapewne dlatego, że m nie tak blade, jak zawiść wyglądał, lecz przeciwnie, zdrowo i ho-
zo; i mnóstwo podobnych a fałszywych wieści. Do takiego to doszło stopnia, że przy każdej sessyi dyrekcji teatralnej, której byłem członkiem, zawsze dowiadywałem się o czemś nowem, a następnie zmuszony byłem wszystkie potwarze czynnościami zbijać i od-
pierać.

Członkowie dyrekcji teatru, często niespodzianie przybywając podczas godzin naukowych, mogli się nareszcie przekonać, że na powyższe zarzuty wcale nie zasługiwałem. Minister, pomimo usiłowań gen. Roźnieckiego w przeciąganiu go na stronę Solivy, podobniez niedowierzał oszczerstwom, ku mnie skierowanym, a znając moją szczerść i otwartość, kazał mnie o wszystkim uwiadomić.

Dość szło jednak jeszcze wszystko spokojnie, aż do wystąpienia konkursowego. Polecono mi ułożyć program egzaminowy, w którym na zakończenie umieściłem był kantatę (pod № 24 w spisie tym oznaczoną) do tej okoliczności przeze mnie utworzoną z pieśni „Boże zachowaj nam króla“ (Haendla). Tu zaczęło się nieco jawniej szachrajstwo, ponieważ po złożeniu skreślonego programu otrzymałem na piśmie: że Soliva dostarczy chór końcowy z jakiejbądź opery Rossiniego, gdyż kantata moja raz już wykonywaną była; nakoniec, że miałem się jedynie zająć dyrekcją egzaminu i to dnia pierwszego tylko, zostawiając panu Solivie urządzenie koncertu dnia następnego. Po-

jąłem całą intrygę, dążącą do wysadzenia mnie zupełnie, a przynajmniej do zachowania dla siebie wyłącznie powodzenia i błyskotek sławy. Przesłałem też ministrowi pismo, wyłuszczające i przedstawiające mu całą prawdę, z oświadczeniem gotowości odstąpienia mej posady, dla położenia raz końca tym szykanom, gdybym tylko był pewny, że Soliva jest istotnie takim, za jakiego uchodzi powszechnie, i że nie mam nic innego na myśli, prócz korzyści instytutu muzyki w Polsce; dodałem w końcu, że chętnie poniosę tę ofiarę, rozstając się z mojami marzeniami, aby pracą i usiłowaniem rozwijać talenta młodzieży naszej i oddawać ją krajowi już ukształconą itd.

Jednakowoż musiałem dalej cierpieć, gdyż by się minister osobiście o tem wszystkiem, co w piśmie mojem wyraziłem, nie przekonał.

Spotkawszy raz ministra, jadącego w powozie, witałem go, przyzwalał mnie do siebie i rzekł: „Ażeby publiczność dla instytutu zjednać i zainteresować, musimy jej tymczasem imponować postępami, mianowicie w śpiewie, ze względu na udoskonalenie opery“. Na com odpowiedział: „Mamyż więc fanfaronować!?“ Trafną odpowiedź zrozumiał dobrze i rozgniewany, natychmiast odjechał; wymknięte się moje słowo nie uszło uwagi ministra, o czem się na próbach, na których był obecnym później, niejako przekonałem.

Nim przystąpię do opisania skutku egzaminu i wrażeń z koncertu wyniesionych, przytoczyć mi wypada pewną okoliczność, mającą związek z zamówieniem Solivy.

W etacie konserwatorium zapisany był Soliva, jako pobierający tylko 6,000 złp., chociaż prócz posady nauczyciela uważany był za wirtuoza śpiewu, mającego swą metodą wywrzeć dobroczynny wpływ na operę polską. Pobierał przecież 12,000 złp., będąc za tyle ugodzonym na tajemnego dyrektora całości, czemu jednak minister nigdy nie chciał wierzyć, gdym mu o tem mówił, bo też się z tem Soliva nie bardzo wydawał. Musiało więc przedsiębiorstwo teatralne w osobie Osińskiego wypłacać Solivie resztę do 12,000, czyli 6,000 złp., nie całe wszakże, bo się jakaś część owych odtrącała na mieszkanie jego, w konserwatorium zajmowane; za co też teatr narodowy otrzymał od rządu przywilej, na mocy którego, jak to się w zagranicznych teatrach praktykuje, od dochodu z każdodziennego przedstawienia jakichkolwiek innych widowisk pobierał część szóstą na korzyść swej kasy. Stąd Soliva uważał osoby wchodzące w skład opery za uczniów swoich, a między innymi p. Mejer, która po raz pierwszy wystąpiła w operze „Księżna Nawarry“ i zachwyciła nią publiczność, a nawet moją żonę; chociaż pierwsza, występując w Wilnie, uchodziła za uczennicę p. Frank, doktorowej, a druga ani jednej

naty przed Solivą nie śpiewała. Ze względu na te dwie śpiewaczki rozgadywano, unosząc się nad jego doskonałą metodą kształcenia śpiewu.

Rzeczywiście publiczność przez czas niejaki była zaślepioną. Nie dość na tem. Na całą orkiestrę teatralną (co się znowu Kurpińskiemu nie podobało), która podobnie należała do tego egzaminu, że tak powiem areszt położył dla uwydatnienia swoich zdolności, jako dyrektora orkiestry.

Po wielu próbach, na których Soliva dla większego wrażenia zawsze coś poprawiał, dodając jedno, ujmując drugie, po wielu próbach nadszedł oczekiwany popis. W pierwszym dniu niewiele się spodziewano, wszakże urządzenie całe, skromność, a szczególnie utwory uczniów kompozycy przez nich samych dyrygowane, wielce publiczność zajęły i słuszne i ogólne zadowolenie sprowadziły.

Zdumioną tem była dyrekcyja teatralna.

Gen. Roźniecki przechadzał się ciągle tam i napowrót z Osińskim, obaj jakoś byli zaambarasowani; a minister podobnie wymuszone rzucił mi bravo! Zaprawdę nigdy się czegoś podobnego nie spodziewał (zobacz program). Wszyscy z upragnieniem oczekują dnia następnego. Jakoż koncertowy egzamin rozpoczęto uwerturą Rossiniego, przyjętą z hałaśliwemi oklaskami. Pani Mejer odśpiewała swą partyę z olbrzymiem powodzeniem, lecz nadszedł duet, sklecony z kilku duetów, w taki sposób, że słodycz, osłodzona różnemi słodyczami, zamieniła się w końcu w kwas. Dotego, nie zważając, czy to będzie dobrym efektem w chórze, duecie lub salonowej arii, dla uwydatnienia *forzando* ciągle basowemu puzonowi odzywać się kazał, co w końcu tak zmęczyło słuchaczy i tak już przesyconych skleceniem sztuki wykonywanej, że publiczność, z zapału ostygłszy, po skończeniu duetu, grzecznością jedynie wywołane przesłała mu brawo. A tak, choć nie został bohaterem konkursowego egzaminu, cieszył się jednak, że mu się udało wystąpić ze swemi kleconemi utworami, i że mój utwór „Chwała tobie w zwyciężkim wieńcu“, nie był wykonany. Inaczej wszakże losy zrzędziły. Klęski, wyrządzone przez wylew wody w Petersburgu, spowodowały p. Jaworka za zezwoleniem Wysokiej Władzy do urządzenia koncertu na dochód poszkodowanych i zniszczonych powodzią mieszkańców stolicy Cesarstwa. Koncert miał mieć miejsce podczas bytności wiekopomnej pamięci w Bogu spoczywającego Cesarza Aleksandra I. Pan Jaworek udał się do mnie z prośbą o dozwolenie wykonania mej kantaty na zamierzonym koncercie, co się też i stało. P. Jaworek otrzymał za koncert w darze od Jego Cesarskiej Mości rulon dukatów, ja zaś miałem zadosyćuczynienie w wyrzeczonych mi słowach przez ks.

Ant. Radziwiłła: „Elsnerze, taki utwór wspaniały i samorodny musi być znanym w Niemczech. Życzę więc sobie słyszeć go w Berlinie lub innym jakim mieście“.

Zapomogi dodatkowe ustały na czas pewny, a Soliva coraz lepiej poznać się dawał. Dawniej zawsze się turbował o pieniądze i na Osińskiego się żalił, że mu regularnie nie wypłaca onych. Na raz udał się do ministra z prośbą o odstąpienie mu placu około kościoła Bernardynów na wystawienie sobie domu, przez co ministrowi zaczęła oczy otwierać i ściągnął niejaką oziębłość Jego Ekscellencyi, a nawet zupełnie byłby stracił wiarę, gdyby nie gen. Roźniecki i słabego charakteru członkowie dyrekcyi teatralnej, mianowicie Osiński. Ten bowiem znowu potrafił pozyskać łaskę gen. Roźnieckiego, który pomimo woli dał się nakłaniać do zamiaru Solivy.

Dla powrócenia kosztów, wyłożonych na urządzenie egzaminu umyślono dać kilka oratoriów w czasie wielkiego postu, do czego się i minister przychylił. W tym celu odkryto potrzebę przerobienia i urządzenia stosownego sali konserwatorium. Gdzie więc dawniej mieściła się orkiestra, urządzono galeryę dla publiczności, orkiestrę zaś pomieszczono w dawnej galeryi, opatrzonej kratą, jak zwykle bywa przy chórach, gdzie zakonnice zbierają się, przez co, w czasie wykonania, śpiewaków i śpiewaczek nie widziano, lecz tylko słyszano. Dodać do tego należy, że orkiestrę umieszczono nie naprzeciw wejścia, lecz nad wejściem, tak, że turkot zajeżdżających powozów, szczególniej artystom, na dętych instrumentach grającym, przeszkadzał i był dla nich nieznośnym. A potem czemuże to były te oratoria? Oto, pojedynczo oderwanemi sztukami, najmniejszego związku z sobą nie mającemi, które nie mogły publiczności nie znudzić, a to z powodu różnorodności utworów i ich formy.

Koszta zatem poniesione w powyższym celu okazały się być daremnymi i nieodpowiednemi, a sala popsutą.

Tym razem minister miał już tego dość; zwłaszcza, że za nadejściem egzaminowego czasu Soliva oświadczył, iż w tym roku nie będzie mógł odbyć publicznego, i że lepiej będzie poprzestać na prywatnym. Oświadczenie to uderzyło nawet pp. Falkowskiego i Głińskiego, gdy tymczasem gen. Roźniecki i Osiński, wprawdzie półgębkiem tylko, ale potakiwali Solivie.

Podczas sessyi w celu narady o tym egzaminie, oznajmił mi Falkowski, że dnia następnego mam być u ministra w jego mieszkaniu. Wprawdzie w dniu sessyi jeszcze rano powiedziała mi p. Leduchowska, że będąc u ministra w celu zanieśienia przed nim skargi na Osińskiego i przedsięwzięcie jego, była między nimi mowa i o mnie; że minister dał się słyszeć, jakoby o chęciach moich dobrych a szczerych przekonawszy się, postanowił odtąd ze względu na mnie coś zna-

cznego wyświadczyć i uczynić dla instytutu. Niestety! śmierć i wyroki Niebios nie dozwoliły mu wykonać wspaniałomyślnego zamiaru, chociaż testamentem swoim dość silnie i oczywiście dowiódł, ile z wysokiego stanowiska drogiem i szacownem mu było dobro i pomyślność ludzi i kraju! Jakoż między innymi dobrodziejstwami rozdarował ogromne posiadłości swoje pomiędzy włościan, a to w ten sposób, że nietylko usamowolnił ich, ale co tylko dotąd posiadali, oddał na własność, a pozostały swój majątek obrócił na wieczyste fundacye, dobro ich mające na celu. Rzadkie to i niespodziewane zdarzenie, nie tylko w Polsce, ale i w innych krajach! Czyż potrzebuję więcej powiedzieć o charakterze uczciwego i niezapomnianego człowieka? Czyny jego przemawiają dowodnie, aby przeświadczyć potomność, jakie pamiętki pragnął zostawić nauce i sztukom pięknym.

Poświęciwszy mały ustęp najgodniejszemu człowiekowi, wracam się do chwili, w której powołany zostałem do niego przez Falkowskiego. Nazajutrz poszedłszy o naznaczonej godzinie do ministra, spotkałem byłego prezesa dyrekcji teatralnej, Lipińskiego; minister zaś znajdował się jeszcze zajęty w bibliotece, z której wyszedłszy, prosił mnie o poczekanie chwil kilku, a sam wszedł napowrót z Lipińskim do biblioteki, gdzie dłużej, niż się spodziewałem, pozostali. Nareszcie wyszedł minister i kazał mi usiąść przy sobie na kanapie. Zaledwie słów parę przemówił, wszedł gen. Roźniecki i natychmiast zaczął dowodzić, że w tym roku nie można było odbyć publicznego egzaminu w konserwatorium, o co minister z generałem Roźnieckim sprzeczkę wszcząwszy, tak się uniósł, że na starego sługę swego zawołał, kazał sobie płaszcz podać i wyszedł.

Nie dowiedziałem się nawet, co powodowało moją bytność u niego, i z niczem na ten raz odejść musiałem. Tegoż samego dnia jeszcze około południa poszedłem do biura ministra, gdzie mi powiedział, że dziś jeszcze każe mi poprosić i w tym celu przyśle po mnie, dodając, że po obiedzie będzie bardzo zajęty, a przytem, że niezupełnie zdrowym się czuje. Jakoż położył się nawet do łóżka, by więcej, niestety, nigdy już z niego nie powstać, albowiem na trzeci dzień umarł.

Ze miał rzeczywiście zamiar zwierzyć mi się z czemś, co-by wpłynęło na korzyść naszego instytutu, domyślać się i stąd należy, że po śmierci jego znaleziono w gotowiznie 80,000 złp., któremi zupełnie nierozporządził, a z których opędzono koszta pogrzebu, wbrew jego woli nawet, gdyż najwyraźniej zastrzegł testamentem jaknajskromniejsze i najoszczędniejsze pochowanie przy kościele Kamedułów na Bielanach, gdzie zwykł był co niedziela udawać się i tam, siedząc w lasku, dzieła swe pisywał.

W istocie Warszawa nigdy jeszcze nie widziała tak wspaniałego pogrzebu. Od gmachu Towarzystwa przyjaciół nauk, oddawanego przez nieboszczyka na rzecz tegoż Towarzystwa, postępował kondukt aż do Bielan. Trumna niesiona była przez studentów i obywateli miasta wszystkich stanów na przemian podczas małej tej milki aż do kościoła bielańskiego, w którym wykonano *Requiem* i *Salve Regina* mojego utworu. Działo się to w styczniu, bardzo było zimno, natłok ludu był wszakże tak wielki, że trzeba było dobrze się spocić, chcąc się przez środek kościoła przecisnąć, czego ja i osoby przy mnie idące doświadczyliśmy.

Po śmierci ministra złe wzięło już zupełną górę. Niejednokrotnie ostrzegałem dyrekcję teatralną, że Soliva źle robi, przyjmując obcych mężczyzn, a szczególnie wojskowych, do śpiewu duetów z pannami; zaślaniałem się tem, że mam prawo czuwać nad postępowaniem elewek instytutu, na którego czele zostaję, lecz wyśmiano moje moralizowanie, a swoje robiono.

Jakoż pod pozorem konieczności obeznania uczennic z wielkim światem, czyli *dobrym tonem*, nim publicznie na scenę wystąpią, i z przekonania, że dla moich nienaruszonych zasad nigdy-bym na to nie przystał i nie zezwolił, wyrobił sobie Roźniecki następny przywilej: że wydział Konserwatorium, obejmujący śpiew, dramatyczność i deklamację, a przez ministerium spraw wewnętrznych opłacany, jako też wypłata pensyi w tym wydziale, oddany był pod bezpośrednie zawiadywanie prezesa dyrekcji teatralnej, o czem uwiadomiono mnie pismem urzędowym, zawierajacem prócz tego inne jeszcze rozporządzenia, mianowicie, że pani *Malecka* zostanie guwernantką uczennic i stołować je u siebie będzie; a niejaka panna *Paris* nietylko pod przewodnictwem Solivy lekcyę śpiewu udzielać, lecz przyuczać ich ma obejścia i znajdowania się w wyższych sferach towarzystwa salonowego; nakoniec, że mieszkać powinna w gmachu Konserwatorium. Wprawdzie później Soliva i panią *Malecką*, i panią *Paris* z miejsc powyższych potrafił wyrugować, co łatwo było przewidzieć; ma się jednak rozumieć, że wtedy nie miał już mnie pod bokiem.

Panienki dojrzewały w lata i talenta; do tych ostatnich wiele się przyczyniła pani *Lenzi*, nauczycielka śpiewu, i p. *Celli*, także dający lekcyę w Konserwatorium za osobną zapłatą. Czynności zatem Solivy ograniczały się tylko na przywłaszczaniu sobie cudzej sławy i zmuszaniu mnie do jak najprędszej bezczynności w artystyczno-naukowym wydziale.

Ponieważ mnie, jako założycielowi Konserwatorium, powierzony był zarząd ogółem i dozór gmachu, zmuszony przeto byłem przy

istniejących okolicznościach, jak to łatwo zgadnąć, na wszystko już nie zważać, by nie ściągnąć większych jeszcze prześladowań na siebie. Jednak dopiero w końcu lutego podałem się do dymissyi, którą mi udzielono z najwyższemi pochwałami i podziękowaniem za czas mego zarządu w Konserwatoryum, i za gorliwość moją z wypłatą zasług moich za miesiąc ostatni, tak, że jeżeli nie roczną, to kwartalną miałem odebrać pensyę. Lecz i tej, i wyłożonych własnych funduszków w ostatnim kwartale na drzewo, światło i szkło w Konserwatoryum, po dziś dzień, ponimo podawanych rachunków, nie otrzymałem.

Otrzymałem potem rozkaz usunięcia się z mieszkania, przeze mnie zajmowanego, z przyczyny, że miano w początku kwietnia rozpocząć różne reparacye w gmachu. Tłómaczyłem się, że podług możliwości starać się będę spełnić dane mi polecenie, lecz że obecnie zupełnie wyprować się nie mogę, mając jeszcze mnóstwo sprzętów i ruchomości, do instytu należących, pod moją odpowiedzialnością. Ale nie słuchano tego, bo nie dawszy mi żadnej na moją uwagę odpowiedzi, wzięli się do restauracyi gmachu, poczęli stukać, hałasować, zrywać schody i t. d. Żona moja z dziećmi na wieś się przeniosła, a ja łóżko z rupieciami memi przenieść kazałem do pokoju, w którym udzielałem lekcyi kompozycyi, a do którego prowadziły osobne kamienne schody.

Ani można było myśleć o publicznym egzaminie w Konserwatoryum; jednakże odbyłem prywatny w obecności Rady Stanu, Mar. Zaleskiego, i kilku członków kommissyi oświecenia, a to tylko z wydziału świeżo oddzielonego i pod zawiadywanie Uniwersytetu oddanego.

W następnym roku szkolnym dodano do tegoż wydziału naukę fortepianu i nowo zaprowadzoną, podług mego planu, naukę śpiewu przy uniwersytecie i gimnazyach. Kommissya oświecenia, przekonawszy się o niesprawiedliwościach, mnie wyrządzonych, udzieliła mi pismo pochwalne i dziękczynne wraz z patentem na zwyczajnego profesora muzyki przy Uniwersytecie od Nowego Roku z powiększoną pensyą o 1,000 złotych, czyli ogółem pobierałem teraz 6,000 złotych rocznie.

Ponieważ gmach, będący dawniej klasztorem, darowany był przez Kommissyę oświecenia dla pomieszczenia w nim Konserwatoryum, a w Uniwersytecie podówczas nie było miejsca odpowiedniego do ćwiczeń muzycznych, nie przeszkadzających naukom w innych częściach gmachu jednocześnie odbywanych, przeto prezes dyrekcji teatralnej, a razem dyrektor tymczasowy szkoły śpiewu w części dra-

matycznej, porozumiał się w tym celu z Radcą Stanu, Mar. Zaleskim, i wskutek tego mieszkanie parterowe odtąd należeć miało do Kommissyi oświecenia, pierwsze zaś piętro do Kommissyi spraw wewnętrznych, a wielka sala parterowa wspólną. W ten więc sposób dla mnie i rodziny mojej wcale już pomieszkania nie było. Dawne moje i Solivy mieszkanie najpierw wypożyczono, w pierwszym pomieszczono uczennicę z guwernantką, a Soliva swoje zajął. Gdy się wzięto następnie do uporządkowania dawniejszego pokoiku panien, rozwalono mur, graniczący z moim pokojem, z którego musiałem ustąpić, unikając zasypania mnie kurzawą i pyłem. Naówczas powiedziano sobie: „pozbedziemy się go przecie“. Wcale nie, pomyślałem i przeniósłem się do klasy instrumentów rzniętych, czego nikt nie spodziewał się zapewne, gdyż był to pokój obszerny wprawdzie, ale straszna rudera, i tam zimę całą przebyłem. Pokój uczennic był już wypożyczony; dzięki mojej cierpliwości i wytrwałości do tego doprowadziłem, że mi pozwolono do niego się przenieść, co spowodowało, że nic wspólnego z drugim oddziałem nie miałem. Na urządzenie się w tem mieszkaniu własnych musiałem użyć pieniędzy, podobnież do dziś dnia mi niezwróconych.

Właśnie w tym czasie, gdy mieszkałem w prawdziwym więzieniu, a rodzina moja na wieś wygnaną była, przybył do Warszawy dawno oczekiwany artysta, *Lipiński*. Spotykałem go tylko w towarzystwach, a lubo poznałem go dawniej we Lwowie u hrabiego Łączyńskiego, u którego wówczas zostawał, gdzie przez przyjaciela mego, Bundesmana, oświadczył mi się z szacunkiem i przyjaźnią, teraz nie raczył mnie nawet nawiedzić w mieszkaniu. Obawiał się zapewne odwiedzać wygnańca, unikając nawet pozoru znajomości ze mną, jakby onej żałował. Inaczej zupełnie postąpił ze mną ów sławny kompozytor i artysta, *Hummel*, przybyły do nas po Lipińskim z Petersburga, a którego przedtem osobiście nie znałem. Nietylko odwiedził mnie, lecz nadto sam się do mnie zaprosił na czas swego pobytu, a dowodząc mi współczuciem swojej przychylności, wprowadzał tem niejako w kłopot gen. Roźnieckiego i Solivę, którego będąc w Medyolanie także poznał z przygód doznanych w zawodzie kompozytora i pocieszne szczegóły mi o tem opowiadał. Uważanie, jakim mnie wobec gen. Roźnieckiego zaszczycał *Hummel*, spowodowało nareszcie, że wyznaczono mi powyższe mieszkanie, a Soliva znalazł się niejako zmuszony do wytłómaczenia się jawnego, że nie on był winien temu wszystkiemu, co mnie spotkało, że było to jedynie z woli dyrekcji teatralnej, którą musiałem zapewne czemś obrazić, dodając, że zanadto ceni mój talent i zasługi, by mógł mi być nieprzyjacielem, a tem samem ubiegać się

przede mną. Czegoż bowiem jeszcze Soliva miał mi zazdrościć, dopiąwszy już swego celu? To też wyżej przytoczone niewinnienie i pochwały dla mojej osoby tylko dla formy powiedziane były.

Wolę już raczej zamilczeć i zapomnieć o tem, co się działo, bo dalsze opowiadanie krzywd i niesprawiedliwości, których byłem ciągłą ofiarą, za daleko-by mnie zaprowadziło, a może-by nawet wzbudziło powątpiewanie; lecz ja nie dla efektu prowadziłem mój skromny żywot, pragnąc jedynie być użytecznym i na tem polu zyskać uczciwe imię, i jeżeli tego nie dokazał, nietylko mnie o to trzeba obwiniąć!

Przy wyjeździe słusznie ulubionego i znakomitego artysty, Hummła, wręczyłem mu Mszę moją czterogłosową *in A*, którą właśnie wtedy skończywszy, jemu ofiarowałem. Obiecał wprowadzić powtórnie Warszawę nawiedzić, lecz, niestety, nie wrócił już więcej.

Znowu potem zjechał do Warszawy Lipiński, na koronację, jednocześnie z *Paganinim*; spotkanie to nie było pierwszemu na rękę. Tym razem więcej mnie już uważał, niż poprzednio, i natychmiast odwiedził, chociaż go o to nie prosiłem. Ponieważ przyjechał w przeddzień uroczystości, nie mógł przeto być na próbie Mszy mojej, którą na ten cel napisałem, jednakże odważył się stanąć przed pierwszym skrzypkiem, w zamiarze dyrygowania i odegrania skrzypcowego sola podczas *Benedictus*, chcąc zapewne tym sposobem dać uczuć wyższość swoją znakomitemu naszemu skrzypkowi, *Bielawskiemu*, i choć mu nie dozwoliłem tego, wskazawszy umyślnie miejsce obok Bielawskiego; doskonale jednak odegrał Lipiński rzeczzone solo, pomimo nie zadość uczynienia pierwszemu jego żądaniu. Paganini został wezwany do grania u Dworu. Dwa te wielkie talenta nie mogły się porozumieć. Lipińskiemu przykro było, że oczy i uszy wszystkich zwracały się ku Paganiniemu; chcąc więc ostudzić zapał ku niemu, postanowił otwarcie stoczyć bój smyczkowy. W celu odwrócenia niejako od tego Lipińskiego, zaprosiłem go do siebie wraz z kilkoma galicyjskimi jego przyjaciółmi na obiad, podczas którego wzywałem go i prosiłem, ażeby nie przerywał sześciu zapowiedzianych koncertów Paganiniego; lecz napróżno: chciał Lipiński koniecznie iść z nim w zawody, w celu

dania powodu sprzyjającym sobie gazeciarzom do recenzji i krytyki *à la Fixis* o swojej i Paganiniego grze. Jednak wszystkie tych ostatnich pochwały i nagany, jako też Lipińskiego *anch'io son pittore* nie nie pomogły przed publiczności przyznaniem, bo koncerta Paganiniego pomimo to bywały przepelnione, kiedy Lipińskiego jedyny tylko zaledwie w połowie sali się mieścił, po którym z podwójnym żalem opuścił Warszawę, skarżąc się na oziębłość i brak patryotyzmu publiczności. Wprawdzie chciałem zbliżyć i pojednać Lipińskiego z Paganinim, dając dla nich ucztę, lecz że Lipiński miał prędeż nad spodziewanie nasze wyjechać, obróciłem przeto pieniądze, na zamierzoną ucztę złożone, na kupno złotej tabakierki, i wręczyłem ją Lipińskiemu w imieniu artystów i miłośników muzyki warszawskich na pamiątkę jego pobytu, żegnając go przy wiwatach i toastach, szumiącym szampanem spełnionych.

W kilka lat później po raz trzeci Lipiński przyjechał do nas, lecz teraz uważał mię jako najpierwszego i dobrze życzącego przyjaciela. Dał parę koncertów, w których uważaliśmy, że grę swoją jeszcze wyżej posunął, i tym razem mniejszy już miał powód narzekania na Warszawę.

Kończąc moje notaty o Konserwatorium, dodać muszę, że Soliva, doszedłszy nareszcie do zupełnego uskutecznienia planu swego co do organizacyi wewnętrznej instytutu wedle myśli swoich, musiał jeszcze raz stanąć przy mnie na wielkim a publicznym egzaminie. Panna Paris uwolnioną już była od obowiązków; pani Małecka odprawiona i zastąpiona przez panią Soliwę w posadzie guwernatki i gospodyni, która, jako córka traktyera, będąc obznajomioną z gospodarstwem oddawna, podczas powyższych intryg starała się o to, nie wydając się jednakże z tem jawnie. Właśnie gdy już znalazł się Soliva u cypla usiłowań swoich, nadszedł rok 1830, w którym, obawiając się, aby koszta żywienia i pensya jego nie przepadły, poddalał wszystkich uczniów i uczennice, i tym sposobem Konserwatorium zniesione zostało, bo je później trudno już było zebrać, (nie zaś mocą Najwyższego i szczególnego do tego Ukazu). Soliva jest teraz w Petersburgu, gdzie przecież cudów nie pokazuje.

Oto zatem jest mniej więcej historia byłego warszawskiego Konserwatorium muzyki. Za dowody opisanych powyżej przeze mnie okoliczności służyć mogą wszystkie akta, złożone u mnie w tym celu.

Odrobina tego wszystkiego, czem się do założenia Instytutu przyczyniłem, lub co już dla istniejącego uczyniłem, nie da się porównać z tem, co następnie wykonać zamierzałem, gdyby nie ścieśniano

działań moich, zmuszając mnie do zajęcia się tylą niesnaskami i walczenia z tak licznymi przeszkodami. Lecz, niestety, potrzeba było do tego większej, jak moja, a żelaznej wytrwałości, odwagi i siły, choć, Bóg mi świadkiem niech będzie, że mi na woli dobrej nie brakło.

Uczniami szkoły mojej kontrapunktowej i kompozycji muzycznej, którzy się wyłącznie muzyce poświęcali, a o których z tego względu wspomnę, byli następujący:

Józef Stefani, syn Jana, ulubionego kompozytora polonezów i opery *Krakowiacy i górale*, już przy schyłku dni jego napisanej. Józef Stefani, a uczeń mój, jest dziś nauczycielem śpiewu przy Liceum, twórcą wielu Mszy, dla uczniów tegoż Liceum napisanych, a przytem dyrektorem muzyki baletowej przy teatrze, dla którego napisał operę kilka melodramatów, i ułożył muzykę do kilku baletów.

Piotr Wejnert był już drugim nauczycielem fortepianu w Konserwatoryum, który jeszcze przed rokiem 1830 umarł. Był on synem dawniejszego piewskiego flecisty orkiestry królewskiej, a twórcy kilku mniejszych oper polskich, kantat, równie jak innych dzieł muzycznych, napisanych dla tutejszego kościoła Ewangelickiego do słów profesora Hoffmana, wynalazcy *Chora'leonu*.

Tomasz Nidecki, pochodzący z rodziny bardzo muzykalnej, uczeń mój, na koszcie krajowym będący, a który po ukończeniu kursu kompozycji przez Rząd wysłany został za granicę dla dalszego wykształcenia się. Mieszkał długo w Wiedniu, gdzie nakoniec zajmował posadę kapelmistrza przy Leopoldsztańskim teatrze, był twórcą muzyki do kilku melodramatów i oper, a teraz jest drugim dyrektorem przy tutejszym teatrze.

Józef Linowski, *Antoni Radziński* i *Józef Jarecki*, którzy szczególnie muzyce kościelnej poświęciwszy się, wiele w tym rodzaju utworów na 3 i 4 głosy z towarzyszeniem organów napisali. Linowski, który, niestety, już umarł, pozostawił Mszę swego utworu z towarzyszeniem orkiestry. Radziński biegłym jest teraz organistą przy tutejszym Świętokrzyskim kościele. Ostatni zaś, Jarecki, który także

umarł, był organistą przy tutejszym farnym kościele, mając jednocześnie tamże obowiązek kapelmistrza.

Fryderyk Chopin, który swą genialną grą na fortepianie, również przez twory swoje rozpoczął nową epokę dla tego instrumentu. Prawdziwie wdzięczny i przywiązany uczeń, do dziś dnia nie zapomina o mnie, pocieszając listownie z synowską czułością starego swego przyjaciela i donosząc niemal o każdym kroku swoim, co mi niewymownie jest przyjemnem ¹⁾.

Ignacy Dobrzyński, który, że tak powiem, wzrósł przy muzyce (ojciec bowiem jego był kapelmistrzem u hr. Glińskiego), odznacza się szczególnie jako kompozytor orkiestrowy. Współubiegając się z drugimi kompozytorami o praemium, wyznaczone w Wiedniu za najlepszy utwór symfonii orkiestrowej, Dobrzyński swoją symfonią omal nie zwalczył i nie przesadził *Lachnera*: miał wprawdzie ten ostatni trzy głosy za sobą, Dobrzyński zaś dwa tylko, lecz najważniejsze, bo obu kapelmistrzów nadwornych, i utrzymał się, jak mi o tem donosił *Harlner*.

Antoni Orłowski, obecnie we Francyi przebywający, zajmuje posadę dyrektora muzyki w *Itouen*, jest twórcą jednej mniejszej opery i wielu dzieł orkiestrowych.

Albrecht Frejer, niezawodnie jeden z najlepszych wykonawców na organach, teoretyk muzyczny, a obecnie organista przy tutejszym kościele Ewangelicko-Augsburskim, utrzymującym przy tymże szkółę śpiewu pod jego dyrekcją.

Napoleon Wysocki, jeden z pierwszych fortepianistów warszawskich, obecnie w podróży będący.

Józef Nowakowski, którego wiele już dobrych utworów na fortepian wyszło, mieszka w Warszawie, i z właściwą sobie biegłością, dzielnością i znajomością rzeczy, udziela lekcye na tymże instrumencie.

Józef Krogulski, który już w wieku lat 10-ciu i 11-tu odbył z ojcem kilka podróży artystycznych, w których publicznie na fortepianie słyseć się dawał. Obecnie w Warszawie zajmuje się daniem

¹⁾ Niestety, z korespondencji tej zachowało się kilka zaledwie listów.

lekcji i zawiaduje muzyką śpiewu z organami, przy kościele ks. Pijarów, dla których wiele utworów napisał, i tamże szkołę śpiewu urządził.

Co się tyczy Chopina, to kształcił się on w Konserwatorium w nauce harmonii i kontrapunktu, pod kierunkiem Elsnera, od września roku 1826 do lipca 1829, czyli, że przeszedł w niem cały trzechletni kurs nauk od początku do końca. Niezmiernie ciekawe są własnoręczne raporta Elsnera dotyczące egzaminów przy końcu roku, a z których dowiadujemy się o postępach „najprzywiązańszego z uczniów“ autora *Lokietka*. Raport pierwszy „o mającym się odbyć egzaminie dnia 17 lipca 1827 roku,“ pomiędzy uczniami „kompozycyi czyli kontrapunktu“ wymienia trzech najwybitniejszych z następującymi adnotacyami rektora: 1) „*pierwszoletni Chopin Fryderyk (szczególna zdolność),*“ 2) „*drugoletni J. Dobrzyński (zdolność niepospolita),*“ 3) „*trzecioletni Nidecki (szczególna zdolność).*“ W następnym raporcie o zamierzonym egzaminie w d. 22 lipca 1828 roku notuje Elsner: „Chopin Fryderyk (*szczególna zdolność, drugoletni, wyjechał na wieś dla polepszenia zdrowia*); trzecioletni Dobrzyński i Linowski (*wiele zdolności*)“. W raporcie trzecim, o zamierzonym egzaminie w d. 20 lipca 1829 r., zapisał już Elsner te pamiętne o Chopinie słowa: „Lekcyja kompozycyi muzycznej: Chopin Fryderyk (trzecioletni, szczególna zdolność, *geniusz muzyczny*)“¹⁾.

W rok później, gdy 20-letni Chopin po swych tryumfalnych koncertach pożegnalnych w Teatrze Narodowym wyjeżdżał z Warszawy (2 listopada 1830), za rogatką wolską oczekiwało go liczne grono przyjaciół z Elsnerem na czele. Kiedy nadjechał, chór męski, złożony z jego kolegów w sztuce, oraz z uczniów Konserwatorium, odśpiewał rzewną kantatę do słów Dmuszewskiego, umyślnie na ten cel przez Elsnera skomponowaną. W swym „Summaryuszu“ skomponowanych przez siebie utworów muzycznych, w dziale III, pod rubryką „więk-

¹⁾ Erazma Nowakowskiego „Dawne konserwatorium muzyczne w Warszawie“ w *Echu muzycznym* z roku 1891, oraz Polińskiego, *Z życia Fryderyka Chopina felieton* w *Kuryerze Warszawskim* z października roku 1899.

szych i mniejszych kantat“ zapisał Elsner o kantacie tej pod № 37 następujących kilka słów:

— *Kantata* na głosy męskie z towarzyszeniem gitary, napisana na okoliczność wyjazdu ucznia mego, Chopina, a wykonana przez współuczni jego z klasy kompozycji w konserwatoryum w oberży pod Wolą, gdzieśmy oczekiwali na mającą go zabrać pocztę.

FERDYNAND HOESICK.

PIŚMIENNICTWO.

Dr Karl Bücher „Die Wirtschaft der Naturvölker. Dresden, Zahn i Jaensch“
1898 r.

Już w swojej pracy o powstaniu gospodarstwa społecznego poruszył Bücher kilka kwestyi z zakresu gospodarstwa ludów pierwotnych. Obecnie zwrócił na to gospodarstwo szczególną uwagę. Nazywa on ludy pierwotne ludami naturalnemi, wychodząc z założenia, że o wiele bardziej są zbliżone do przyrody, niż społeczeństwa nowożytne. Te ostatnie urządzają składy towarów, korzystają z całego szeregu środków pomocniczych dla uprzyjemnienia życia, na wypadek nieurodzaju mogą sprowadzać zboże z daleka, gdyż pół świata stoi dla nich otworem, dzięki rozwiniętym środkom komunikacyjnym.

Zupełnie odmienne stosunki panują wśród ludów pierwotnych. Nikt tam nie stara się o gromadzenie zapasów.

Człowiek pierwotny codziennie na nowo musi zdobywać środki żywności, nie wiedząc nawet, czy jutro jeszcze zdoła je pozyskać

dla zaspokojenia głodu, mimo to nie troszczy się o przyszłość, lecz idzie tylko za swemi popędami; słowem, los jego zależy zawsze od warunków chwilowych.

Dawniej rozróżniano między ludami pierwotnemi cały szereg kategorii, jak: ludy łowieckie, rybackie, pasterskie, rolnicze, twierdząc, że wszystkie te kategorie tworzą jednocześnie osobną fazę rozwoju społecznego i gospodarczego.

Zdaniem Büchera pogląd to mylny. Wprawdzie wszelkie gospodarowanie ma na celu zdobycie żywności, ale nie jest prawdopodobnem, by pierwszą fazą rozwoju w tym kierunku miała być żywność zwierzęca. Z początku bowiem człowiek zaspakajał swoje potrzeby przedewszystkiem w sposób możliwie najmniej mozolny; więc żywnością roślinną, której nabycie mniejszego wymagało wysiłku, a tylko ubocznie spożywał małe zwierzątka, których schwytywanie również nie przedstawiało poważniejszych trudności. Niezbyt też trudno było przekonać się, że orzech, położony w ziemię, da nową roślinę i nowe owoce. Jeśli zaś wśród niektórych dzikich ludów spotykamy wielką pożądlivość mięsa, to tłumaczyło się tą okolicznością, że organizm ludzki potrzebuje pewnych soli, których nie znajduje dostatecznie w pokarmach roślinnych, a których może w zupełności dostarczyć mu surowe mięso.

Głód był niemal jedyną potrzebą, popychającą człowieka pierwotnego. Pod wpływem tej właśnie konieczności następuje podział pracy, przedewszystkiem według płci. Kobieta stara się o żywność roślinną i pełni wszystkie czynności, stojące w związku z tem zadaniem, mężczyzna zaś dostarcza ryb i zwierzyny. Ten podział pracy objawia się we wszystkich gałęziach pierwotnej produkcji dóbr. Rolnictwo jest też prawie wyłącznem zajęciem u kobiet. Uprawiają one ziemię za pomocą małej łopatk. Rozumie się, że można było uprawiać w ten sposób małe obszary. Pola też składają się z szeregu grządek, utrzymywanych we wzorowym porządku. Taki system gospodarowania, dowodzący wielkiej pracowitości ludów pierwotnych, jest obliczony tylko na czas najbliższy. Gospodarka jest ekstensywną w całej pełni; a zdarza się często, że napad nieprzyjaznych szcze-pów burzy całą osadę. Nie stanowi to jednak wielkiej klęski dla osadników. Za kilka dni powstaje nowa osada, do której łatwo jest przenieść swą krótką łopatkę.

Polowanie i rybołówstwo ludów pierwotnych wykazują pewną stałą organizację pracy.

Ponieważ w klimacie gorącym mięso szybko ulega zepsuciu, przeto żywność taka, mimo, że wiele ludów uprawia suszenie mięsa i ryb, nie wystarcza i musi być uzupełniona pokarmem roślinnym.

Chów bydła uprawiany jest głównie dla przyjemności, nie dla celów gospodarczych.

Środkami żywności nie ogranicza się jednak produkcya dóbr u ludów pierwotnych. Wyrabiają one naczynia gliniane, sprzęty domowe, strzały, łuki, ozdabiają swe ciała itp. Narzędziami pracy są kamienie, muszle, kości zwierzęce. Z bardziej skomplikowanych używane bywają tylko młynek ręczny i moździerz. Mimo to, wytwory tych ludów są niekiedy bardzo kunsztowne.

Niekiedy warunki przyrodzone, np. obfitość żelaza w pewnej okolicy, w przeciwieństwie do innej, powoduje, że osadnicy wytwarzają pewien nadmiar wyrobów, przewyższający ich własne potrzeby. Ludy środkowo-afrykańskie uprawiają z tego powodu na wielką skalę kowalstwo. Ale taka praca ich ma zupełnie odrębne, sobie tylko właściwe cechy charakterystyczne; jest to coś w rodzaju ćwiczeń cielesnych, czy zabawy. Połączona ze śpiewami i tańcami, praca ta nie nuży, lecz odświeża umysł i ciało.

Z czasem prowadzi ta hiperprodukcya do wzajemnej zamiany produktów. Oczywiście nie odrazu. Owszem, w pierwotnem stadyum swego rozwoju ludy te nie mają wprost pojęcia zamiany. Obrót dóbr odbywa się tylko w formie darowizny, rabunku, grzywny, wynagrodzenia. Między osobami, należącemi do tego samego szczepu, istnieje prawie wspólność środków żywności: każdy może wejść do obcej chaty i zażądać posiłku. Jedyne, odosobnionemi wypadkami obrotu odpłatnego są daniny, które uścić należy przy kupnie żony, przy zapłacie lekarza, śpiewaka, grajka lub tancerza.

Darowizna zajmuje szerokie zastosowanie z powodu gościny: gość otrzymuje od swego gospodarza podarunek, za który musi się odwdzięczyć znów ze swej strony.

W ten sposób następuje też wędrówka tych samych przedmiotów od szczepu do szczepu. Gdzieniedzie darowizny te uzyskują już pewne cechy obrotu odpłatnego. Tak w Australii środkowej mężczyzna lub kobieta zobowiązuje się do spełnienia pewnych usług, w zamian za darowiznę. Pochodzenie swoje od darowizny okazuje rozwinięta później zamiana, w tem, że popyt musi poprzedzać podaż. Dla dalszego rozwoju zamiany bardzo ważnemi instytucjami są targ i pieniądz. Targi są to miejsca neutralne, gdzie szczepy muszą zaprzestać wszelkiej walki. Każdy szczep przywozi na targ te wytwory, które wyrabia w większej ilości. Pieniądzem dla każdego szczepu ten towar, którego sam nie wytwarza, a który jednak stale otrzymuje w zamian za swoje własne wytwory. Tem też tłumaczy się wielka różnaitość pieniądza wśród sąsiadujących z sobą szczepów.

Niektóre towary natomiast, z powodu swej rzadkości bardziej pożądane, przyjmują się jako pieniądź i w dalszych okolicach. Są też czasem w użyciu i osobne rodzaje pieniędzy, mające, obok rzadkości, wartość realną itp.

Czasami zamiana odbywa się nie na targu, lecz w formie handlu obnośnego.

Ze środków komunikacyjnych napotkać można u tych ludów, prócz naturalnych ścieżek, powstałych wskutek częstszego używania jednej i tej samej ścieżki, tylko mosty, składające się z jednej gałęzi, lub łodzie, dla przebycia rzeki. Za używanie mostów i łodzi podróżny musi się sownie opłacić naczelnikowi szczepu. Bardzo w użyciu są natomiast drogi wodne. Rozwiniętą bardzo jest technika przesyłania wiadomości przez posłańców, zaopatrzonych w znaki symboliczne: bębny, znaki ogniowe i t. p.

Gospodarstwa publicznego niema w nowożytnym tych słów znaczeniu. Daniny, które otrzymuje naczelnik szczepu za używanie mostów, łodzi, placów targowych, od płodów rolniczych i t. p., mają raczej formę darowizny, niż opłaty, za którą-to darowiznę naczelnik taki albo w zamian ugości przybyłych, albo odtanńczy jakiś taniec na placu targowym. Ważną opłatą są także darowizny, które muszą uiszczać naczelnikowi podróżni. Zresztą, władza skarbową naczelnika polega tylko na sile materialnej, którą rozporządza, a której bardzo często używa do wymuszeń. To też o ochronie prawnej życia i mienia niema tu mowy. To rzeczywiście niekorzytnie oddziaływa na gospodarkę prywatną. Ciągłe walki szczepowe, zasada gościnności, nie bardzo przyjemna perspektywa darowizn, wymuszanych przez naczelnika szczepu, wszystko to razem nie doprowadza ani do gorliwszej pracy, ani do oszczędności. Człowiek pierwotny tego tylko jest pewnym, co zjeść może, więc też z natury rzeczy staje się żarłocznym.

Badania swoje oparł autor w największej części na opisach podróży do dalekich krajów zamorskich i tym podobnych dziełach folklorystycznych, ograniczając się wszakże tylko do tych ludów, które nie zetknęły się dotychczas bliżej z kulturą europejską.

Kronika miesięczna.

Jedną z najżywotniejszych instytucji pieniężnych w Królestwie Polskim, Towarzystwo kredytowe ziemskie, ukończyło 75 rok istnienia.

Dla człowieka rozpoczyna to wiek starczy, dla instytucji jest świadectwem jej siły i dojrzałości, jej podstaw trwałych i ostania się wobec wszelkich fluktuacji. Siedemdziesiąt pięć lat Towarzystwa kredytowego, to najlepszy miernik jego powagi, zasługi i pożytku.

Założone w roku 1825 w celu spłacenia ciążących na prywatnej własności ziemskiej długów, a tem samem zachowania przy ziemi ówczesnych właścicieli dóbr, oraz przyjscia z pomocą finansom Królestwa przez udzielenie pożyczki na dobra narodowe, wywiązało się ono z zadań swoich chlubnie i zaszczytnie.

A warunki działania, zwłaszcza w początku, pominawszy już nawet późniejsze przesilenie rolne po uwłaszczeniu włościan, były trudne.

Obdłużenie prywatnych dóbr—czytamy w „Pamiętniku Towarzystwa” (Warszawa, 1884, tom I)—wobec zupełnej, tak dóbr, jak i produktów rolniczych, bezczynności, stawiało znaczną część właścicieli ziemskich i ich wierzycieli w położeniu, wymagającym szybkiej i wyjątkowej pomocy. Według cyfr, w sposób przybliżony w r. 1824 zebranych, do czego przy urządzaniu hipotek dogodna nastęrczała się podówczas sposobność, okazało się, że w województwach po-pruskich szacunek dóbr ziemskich wynosił około złp. 588,000,000, a obciążenie hipoteczne złp. 390,000,000, a więc przeszło 66% szacunku hipotecznego; że w województwach po-austryackich szacunek dóbr przedstawiał cyfrę około złp. 230,000,000, a obciążenie złp. 114,000,000, czyli przeszło 51%. Razem więc szacunek dóbr ziemskich w Królestwie w r. 1824 (naturalnie z gruntami włościańskimi, jako do 1864 integralną część dóbr ziemskich stanowiącemi) dochodził summy około złp. 818,000,000, czyli rubli 122,700,000, a obciążenie złp. 504,000,000, czyli rubli 75.600,000. Przecięciowo obciążenie dóbr wynosiło około 62% ich szacunków hipotecznych, a czysta własność 38% z danych powyższych wyprowadzona, przedstawiała kapitał 47,100,000 rubli.

Przekonano się nadto, że na 200 ogólnego szacunku dóbr było:

a) dóbr zupełnie wolnych od długów	7%
b) obciążonych do $\frac{1}{4}$ szacunku hipotecznego	28%
c) „ do $\frac{1}{2}$ „ „ „	20%
d) „ do $\frac{3}{4}$ „ „ „	18%
e) wyczerpujących długami cały szacunek	11%
f) przeczerpujących go	16%

Obok tego stanu rzeczy ceny zboża w roku 1824 przedstawiały się na obszarze Królestwa, jak następuje:

za korzec pszenicy płacono od złp. 9 do 16	
„ żyta „ „ „ 1 — 9	
„ jęczmienia „ „ „ 3 — 9	
„ owsa „ „ „ 2 $\frac{1}{2}$ — 5 $\frac{1}{2}$	

Stosownie do okolicy i pory roku. Najwyższe z tych cen podawane były z województwa Augustowskiego (dzisiejszej gub. Su-

walskiej i część gubernii Łomżyńskiej), gdzie dotkliwy głód panował.

Takie oto było położenie stosunków rolniczych Królestwa w chwili założenia Towarzystwa kredytowego ziemskiego i w tem znalazły uzasadnienie główne pobudki zorganizowania tej instytucyi.

Faktem jest niezbitym, że płodna od samego początku w dobroczynne skutki działalność nowego Towarzystwa ujęła w normy ówczesne ogólne przesilenie ekonomiczne kraju i zapobiegła ruinie, którą kryzys rolny na początku swoim był zapowiadał.

Los chciał jednak, że zaledwie zażegnano niebezpieczeństwo, już trzeba było myśleć o ratunku ponownym.

Wypadki w latach 1830—31 sprawiły, że rolnictwo krajowe znów musiało szukać oparcia o tani i zdrowy kredyt. To też w roku 1838, prawem z dnia 21 kwietnia, istnienie Towarzystwa, zawiązanego pierwotnie na lat 28, przedłużone zostało na drugi okres dwudziestośmioletni.

Z mocy tego prawa dozwolone zostało Towarzystwu wydawanie nowych pożyczek, przenoszenie dawnych w nowy 28-letni okres umorzenia, z rozszerzeniem dobrodziejstwa pożyczek do dóbr, opłacających co najmniej 50 złotych podatku ofiary.

Prawo z 1853 przedłuża istnienie Towarzystwa na nowych lat 28 i rozpoczyna trzecią serję pożyczek.

W trakcie wydawania pożyczek okresu III-go władze Towarzystwa postarały się po raz pierwszy zebrać wiadomości, co do stopnia obdłużenia 5839 dóbr prywatnych, podówczas pożyczką T-wa obciążonych, a stanowiących prawdopodobnie około $\frac{3}{4}$ ogółu dóbr prywatnych Królestwa.

Z danych r. 1857 okazało się, że szacunek hipoteczny ogółu dóbr prywatnych, obliczony w r. 1824 na sumę 122,000,000 rubli, podniósł się do rubli 213,500,000, a więc prawie w dwójnasób. Poza powszechnem podniesieniem się cen ziemi niemałe znaczenie miały tu pożyczki, przez Towarzystwo udzielane a obracane głównie na ulepszenie gospodarki rolnej, która powoli iść zaczynała ku wymaganiom nowożytnym, wyrывая się z wiekowej rutyny i tradycyjnego zasklepienia. Ruch ten ożywił się zwłaszcza w latach 1859 i 1860 wskutek dozwoionych przez rząd zbiorowych narad rolniczych.

Wywołało to gwałtowną potrzebę rozszerzenia pożyczek T-wa. Przyczyniła się do tego nadto uznana konieczność ostatecznego urządzenia stosunków włościańskich przez zniesienie pańszczyzny i oczyn-

szowanie włościan, w połączeniu z rozumną separacją i regulacją gruntów oraz oparcia gospodarstw folwarcznych na własnym sprzężaju, stałej służbie i płatnym dziennym robotniku. Środków na przeprowadzenie tych reform brakło, potrzebowali ich liczni właściciele, a dostarczyć ich mogło tylko Towarzystwo. Nastąpiło też wypuszczanie pożyczek seryi 2 okręsu III.

Lata 1864 i 1866 stanowią radykalny przełom w podstawach, na których był Towarzystwo opierał się od r. 1825.

Oto, z mocy ukazu z dnia 2 marca 1864, część znaczna przestrzeni dóbr, obciążonych pożyczką Towarzystwa, wyłączoną została z całości tych dóbr. Ciężąca przeto na tych ostatnich pożyczka szukała zabezpieczenia na pozostałych od uwłaszczenia przestrzeniach i dodatkowo na listach likwidacyjnych, przyznanych właścicielom dóbr, jako wynagrodzenie za grunta, włościanom i mieszczanom na własność oddane.

Zachwianie nadto wskutek reform ekonomiczno-społecznych gospodarstw folwarcznych i ustanie dochodów z czynszów i propinacyi wpłynęło na nagłe obniżenie przychodów z dóbr i na zmniejszenie się regularnej wypłaty rat, Towarzystwu należnych.

W takim stanie rzeczy konieczne było śpieszne uregulowanie stosunków właścicieli stowarzyszonych do T-wa i przyniesienie pomocy stowarzyszonym w ich trudnem położeniu, a nie mniej zabezpieczenie samego T-wa, którego istnienie przez niewypłatność członków mogło być zagrożone.

W dodatku konieczność wywołała zastąpienie dotychczasowego podatku ofiary nowym podatkiem gruntowym, wskutek czego należało obmyślić nowe podstawy szacowania dóbr do pożyczek Towarzystwa.

Pod wpływem takich-to niezwykłych okoliczności otrzymały władze Towarzystwa Najwyższe zatwierdzenie przepisów o udzielaniu nowych pożyczek z 1869 i w 1870 r., rozpoczęło po raz piąty przyznawanie pożyczek skonwertowanych, dodatkowych i zupełnie nowych, na dobra ziemskie. Równocześnie instytucja przekształciła się z czasowej na stałą.

Zmiana powyższa w połączeniu z reformą sądownictwa w Królestwie Polskiem w roku 1877 wywołała potrzebę przejrzania i przystosowania do nowych warunków różnemi czasy powstałych przepisów.

Rezultatem tych prac jest ustawa z roku 1888, obowiązująca do dzisiaj.

W ostatnich latach niewiele zaszło już zmian prawodawczych, ale niektóre z nich świetnie zapisały się na kartach dziejów instytucji dojrzałej i świadomej każdego swego kroku. Do zmian takich należy przed innemi znakomite i podziwiane przez finansistów skonwertowanie w roku 1899-ym, 5% listów zastawnych na 4 $\frac{1}{2}$ %.

Chlubnie o działalności Towarzystwa świadczą także i projekty, opracowane i przedłożone władzom rządowym, które jednak nie zyskały approbaty. Mamy tu na myśli: projekt udzielania pożyczek na nieruchomości ziemskie, mające hypoteki okręgowe i na osady włościańskie; projekt prawa o skupie czynszów wieczystych; projekt ustawy Tow. kredytowego połączonych miast Królestwa Polskiego, projekt wzajemnego ubezpieczenia od ognia i wreszcie projekt pożyczek specjalnych na melioracye gruntowe.

Jeżeli weźmiemy do ręki Pamiętnik Towarzystwa, to przekonamy się, że rys jego dziejów jest zarazem historią naszego rolnictwa i obrazem kolei i losów, które ono w ciągu bieżącego stulecia przeszło, znajdując zawsze silne oparcie i podtrzymanie w instytucji, rozumnie i po obywatelsku niosącej światło, doświadczenie i pracę kilku pokoleń na ołtarz społeczny. Większa własność ziemska, jako czynnik społeczny i ekonomiczny niezmiernej wagi—bez przesady rzecz można—utrzymała się w kraju naszym, pomimo kilkakrotnych przesileni, głównie dzięki Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu, jako swojej strażnicy i twierdzy, której zadania i dziś, po 75 latach istnienia, nie są łatwe.

Jubileusz zasłużonej instytucji przypadł w chwili ciężkiej, jak w ciężkiej chwili narodziny jej przypadły. Na horyzoncie ukazuje się nowe widmo przesilenia, o pieniądzu na rynku bardzo trudno, masowe wychodźstwo robotnika za ocean stawia właścicieli w kłopotliwym położeniu.

Przed Towarzystwem otwiera to perspektywę nowej, trudnej i zmudnej, na długie rozłożonej lata, pracy. Nie wątpimy, że stanie ono do niej z całym zasobem sił i doświadczenia i zdobędzie nowe liście zasługi do swojego wieńca. Życzymy tego w imieniu wielu: ut crescat, floreat!

Kalisz należy do najstarszych grodów w Królestwie Polskiem. Początek jego ginie w pomroce dziejowej, trudno więc orzec, czy projektowany obchód tysiąco-letniego istnienia tego miasta będzie istotnem millenium, czy właśnie teraz upływa okrągłe lat tysiąc od chwili jego założenia, czy upłynęło już dawniej, lub też upłynie dopiero za lat kilkadziesiąt.

Cokolwiekby, nie od rzeczy będzie przypomnieć sobie głównejsze momenty w historii rozwoju miasta, niegdyś wojewódzkiego, dziś stolicy jednej z ruchliwszych pod względem przemysłowym gubernii Królestwa Polskiego, Kalisza, który w dziejach naszych odegrał rolę wybitną,

Pierwszą wiadomość o nim mamy od Ptolomeusza, geografa, żyjącego w II wieku po Chrystusie, który w swoim opisie Germanii wschodniej wspomina o mieście Kalisia. Czy jednak był to nasz Kalisz, czy jakie inne nieistniejące już miasto o nazwie podobnej, na to dostatecznych dowodów nie posiadamy. Na korzyść naszą przemawia ten jedynie, stwierdzony przez naukę nowoczesną fakt, że Swewowie i Ligowie, których Ptolomeusz zalicza do Germanów, byli ludami słowiańskimi, że zatem leżąca między Swewami Kalisia jest miastem pochodzenia słowiańskiego. Nie może to atoli być fundamentem dostatecznym do wysnuwania wniosków pewnych i nie podlegających dalszym sporom. Nauka zapewne się z tem kiedyś załatwi, tymczasem, nie sięgając w zbyt odległą przeszłość, zwrócić się musimy do wiarogodniejszych świadectw historycznych, które pozwalają nam orzec z całą pewnością, że Kalisz, miasto, położone nad rzeką Prosną, istniał już za panowania Bolesława Chrobrego, a jeśli, jak podaje w swej kronice miasta Kalisza A. Chodyński, Chrobry zbudował tam zamek, to bardzo prawdopodobne jest znacznie wcześniejsze istnienie w tem miejscu osady, z której wyrosło następnie miasto.

Baliński, w swojej „Polsce Starożytnej“, mówiąc o Kaliszu, kładzie nacisk na jego przenosiny, które w wieku XIII-ym nastąpić miały.

Pierwotny Kalisz znajdował się tam, gdzie dotąd jest wieś Stare Miasto, a świadczą o tem znajduwane przez mieszkańców za czasów Kromera w miejscu tem, głęboką warstwą ziemi pokryte, gruzy.

Przenosiny te, nierzadkie dla miast w dawnej Polsce, nastąpiły dla zabezpieczenia się przed wylewami rzeki Proсны, która w tej części biegu swego tworzyła liczne wyspy i kałuże, od których też i nazwa Kalisz powstać miała. Przeniesiony na nowe miejsce rozsiadł się Kalisz w pięknej dolinie Proсны, wśród łąk bujnych i pastwisk żyznych, wzrastając z biegiem czasu, dzięki licznym przywilejom królewskim, w zamożność i siłę. Już za Przemysława II, r. 1281 wójtowstwo Kaliskie obdarzone zostaje przywilejami wolności. W r. 1283 tenże król ustanawia w Kaliszu sądy dla całej okolicy, która obejmuje miasta: Konin, Pleszów, Nowe Miasto nad Wartą, Wieluń i kilka innych. W r. 1299 Władysław Łokietek obdarowuje miasto prawem miecza.

Pomyślny ten rozwój wstrzymują wprawdzie liczne klęski, pożary i zawieruchy wojenne, ale, poczynając od Kazimierza Wielkiego, szczęśliwe warunki czynią z Kalisza jedno z pierwszych miast w Polsce. Tam w r. 1355 składa Kazimierzowi uroczysty hołd książę mazowiecki, Ziemowit. Tam w roku 1370 szlachta przysięga posłuszeństwo Ludwikowi węgierskiemu. Tam też odbywają się pamiętne w dziejach synody, jak złożony w roku 1350 przez Jarosława, biskupa Gnieźnieńskiego, na którym potępiono sektę biczowników, i drugi, zwołany roku 1278 od Jana Suchywilka, erygujący dwa poselstwa, jedno do króla J-mości „z przełożeniem ucisku kościoła i krzywd wolnościom jego uczynionych przez nałożenie podatku, zwanego „poradlnem“, drugi — do Rzymu.

Nie mniej ważnym jest i synod z r. 1356, wznawiający słynną uchwałę synodu łęczyckiego (z 1285), zabraniającą przypuszczania cudzoziemców, nie znających języka polskiego, do urzędów duchownych i nauczycielskich.

Nie wyczerpuje się tem szereg wypadków historycznych, które w mieście tem zaszły, ale nie sposób wyliczać ich wszystkich na tem miejscu.

Należy się jednak krótkie choćby przypomnienie stanowiska, jakie Kalisz zajął w dziejach naszej kultury umysłowej, przez pomyślny rozwój założonej w nim w w. XIV kolonii akademickiej, do której w wieku XVI prymas, Jakób Uchański, sprowadza nauczycieli z akademii krakowskiej. Kolonia ta przez Stanisława Karnkowskiego wcielona została następnie do założonego w 1574 kolegium Jezuitów.

Na uwagę i podniesienie zasługuje też fakt, że delegacja miasta Kalisza uczestniczy w roku 1434 w obiorze na tron polski Władysława Warneńczyka, a w dwa lata później, w 1436, bierze udział w zawarciu traktatu z Krzyżakami, zawieszając przy akcie jego wraz z innymi grodami większą pieczęć swego miasta. Aż do r. 1503

bierze Kalisz udział razem ze szlachtą w obradach sejmowych, lecz od tej pory za króla Aleksandra ziemianie odbierają mu to zaszczytne społeczno-polityczne prawo. XVII i XVIII wieki—to dla Kalisza doba upadku i dopiero w epoce sejmu czteroletniego podnosić się on zaczyna na nowo.

W stuleciu bieżącym, dzięki silnemu tętnu życia przemysłowo-handlowego, miasto Kalisz wyrosło na jedno z piękniejszych i schludniejszych miast w Polsce, a upośledzone długo pod względem prawidłowej komunikacji kolejowej, dopiero obecnie wchodzi w okres nowożytnego rozwoju, który niewątpliwie w szybkim pójdzie tempie.

Projektowany tedy obchód tysiąclecia zastaje Kalisz, jakby na przelomie, i dlatego poza stroną zewnętrzną jubileuszu, poza formami, w których się on wyrazi, warto było-by pomyśleć o opracowaniu szczegółowej i wyczerpującej monografii miasta, której dotychczas nie posiadamy, a która była-by świadectwem dokładnym jego znaczenia i długiej drogi, jaką w rozwoju swoim przebył.

Monografię taką opracować powinni Kaliszanie siłami zbiorowemi, a za wzór w tym względzie służyć im może wydana lat temu kilka z inicjatywy Rady Miejskiej „Księga pamiątkowa miasta Lwowa“, posiadająca poważne znaczenie naukowe, a obejmująca całkowitą historię tego grodu, od czasów najdawniejszych do obecnych.

Winna też ona być wytłoczona w Kaliszu, który w czasach dawnych posiadał słynne w Polsce drukarnie. Druki kaliskie znane są już do roku 1603, a późniejsza drukarnia jezuicka i następne, tak zwane prymasowskie, wypuściły w świat sporo rzeczy cennych i rozgłosnych.

Oczekując bliższych szczegółów, dotyczących obchodu jubileuszowego, zasyłamy tymczasem staremu grodowi najlepsze życzenia wzrostu i pomyślności, która pozwoli mu na otoczenie pieczołowitą opieką zabytków przeszłości z jednej strony, a z drugiej na szersze uwzględnienie potrzeb nowoczesnych i zdobienie miasta.

Pisaliśmy w swoim czasie o kwestyonaryuszu „Towarzystwa higienicznego,“ dotyczącym czystości ludu naszego po wsiach i miasteczkach. Nietylko jednak tam powinny się zwracać oczy nasze, bo i Warszawa w stosunku do swego przodownictwa w kulturze kraju nie lepiej stoi pod tym względem od prowincyi.

Okazuje się to w całej pełni ze statystyki kąpeli publicznych w Warszawie, zebranej skrzętnie przez d-ra Bartkiewicza, a świeżo ogłoszonej drukiem.

Ludność warszawska, mówi dr Bartkiewicz, może używać kąpeli w łazienkach, znajdujących się po domach prywatnych (dodać należy, że tylko w mieszkaniach większych, zajmowanych przez ludzi zupełnie zamożnych); w łazienkach hotelowych; w 25 zakładach kąpielowych publicznych, w której to cyfrze mieszczą się 4 hotele, sprzedające bilety do swych wanien publiczności; w zakładach przeznaczonych specjalnie dla robotników przy fabrykach; we wszystkich szpitalach i lecznicach warszawskich; wreszcie w mykwach, czyli rytualnych zakładach kąpielowych żydowskich, które jednak nie posiadają znaczenia higienicznego.

Ilość ogólną wanien prywatnych oblicza autor na 14.000, wątpi jednak, czy wszystkie one spełniają swe zadanie wobec niechęci ludności do używania kąpeli. Lekarze podobno często mają sposobność obserwowania, że łazienka w mieszkaniu uważana jest za komórkę do składu rupieci, podczas kiedy w wannie mieszczą się różne gospodarские drobiazgi i brudna bielizna.

Kąpiele, wydawane po szpitalach i lecznicach, nie mogą być dokładnie obliczone, ponieważ żadnego rachunku ani kontroli nikt teraz nie prowadzi. Ogólną roczną cyfrę można jednak liczyć w przybliżeniu na 100,000 kąpeli.

Co do kąpeli fabrycznych, to w kierunku tym w ostatnich czasach duży stwierdzić można postęp. Liczba fabryk, które pragną mieć kąpiele wzorowe dla swych robotników, zwiększa się z każdym rokiem. Większość urządzeń fabrycznych w tym kierunku stoi na wysokości wymagań higieny, a wzorowo urządzone łazienki i łaźnia „Braci Pfeifer“ mogą służyć za przykład nawet publicznym warszawskim zakładom kąpielowym. Kąpiele te są otwarte dwa razy tygododniowo, w piątki i soboty, od 1 do 3 dla kobiet i od 3 do 7 dla mężczyzn. Robotnicy kąpią się bardzo chętnie, szczególnie zaś natryski znajdują wielu wśród nich zwolenników.

Poza tem kąpiele dla robotników posiadają: zakład gazowy na Ludnej, fabryki: Szlenker, Weyer i Wydźga przy ulicy Dzielnej; B. Handke (Twarda 72); Borman i Szwede (Srebrna); Kijowski i Szolce, Temler i Szwede; Krause. Na tych zakładach kończy się lista fabryk, posiadających łaźienki. Ogółem liczą one 68 natrysków, 15 wanieni i jedną łaźnię, — bardzo mało, a jednak na nasze stosunki już wiele.

Ogólna liczba wanieni w 25 kąpielach publicznych warszawskich wynosi 343. Z tych blisko $\frac{1}{4}$ część (89) przypada na największy zakład kąpielowy w Warszawie. łaźienki Towarzystwa Akcyjnego na Żejdździe.

Łaźni w Warszawie jest zaledwie siedem.

Kąpeli w wannach wydaje się rocznie 264,160. Do łaźni w roku ubiegłym wydano 715.510 biletów. Oddzielnych natrysków wydano około 10,000.

Przystępując do rozbioru zebranego przez siebie materyalu faktycznego, zauważa dr B., że sprawa kąpeli w Warszawie przedstawia się bardzo smutnie, i wyprowadza następujące dwa wnioski:

1) Ludność warszawska używa znacznie więcej łaźni, niż wanieni (pomimo, że jest tylko 7 tego rodzaju zakładów): i

2) Jeżeli pominąć kąpiele, używane w szpitalach, lecznicach, statystykę łaźienek domowych i kąpeli fabrycznych, to jedna kąpiel wannowa przypada na jednego mieszkańca Warszawy (licząc ludność 650,000) 1 raz na $2\frac{1}{2}$ lat! Jedna łaźnia wypada raz na 10 miesięcy, a średnia przeciętna używania kąpeli, jeśli włączyć i kąpiele natryskowe, wypada raz na 8 miesięcy!

Ktoś powiedział kiedyś, że ilość mydła zużytkowanego w danym kraju jest miernikiem dobrym jego cywilizacyi. Jeżeli tak jest istotnie, to z wyprowadzonej przez d-ra Bartkiewicza przeciętnej wybiła się na jaw całe nasze barbarzyństwo.

A zdawalo-by się na pozór, że nic łatwiejszego, jak przy istniejącej kanalizacyi i wodociągach uprzystępnąć szerokiej ludności miasta kąpiele i rozbudzić w niej zamiłowanie czystości ciała.

Felietonista „Gazety Polskiej“, p. B. K. Świda, w sposób humorystyczny opisał niedawno temu wycieczkę swoją na Saską Kępę. Przy tej sposobności potrącił także o kwestyę ważną, która od lat szeregu domaga się załatwienia, i na którą opinia ogółu oddawna kładzie nacisk. Zwykłym jednak u nas trybem rzeczy — napróżno. Brak nam inicjatywy, brak odwagi, przedsiębiorczości i tego sprytu finansowego, który gdzieindziej pozwala zbierać miliony śmiałym i rzutkim kapitaljstom.

Idzie tu o przekształcenie Saskiej Kępy na to, czem być ona powinna, i do czego powołuje ją naturalne jej położenie na przeciwnym Warszawie brzegu Wisły.

Kilkanaście morgów zadrzewionego gruntu, łąki, okryte bujną trawą i zagaje wiklin—to skarb nieoceniony dla mieszkańców ludnego miasta, którego warunki bynajmniej nie czynią zadość potrzebom i wymaganiom higieny. Powszechnie utyskuje się u nas na brak przestrzeni, słońca, cienia i zieloności, szukamy wszyscy powietrza w skwarne dni lipcowe, uciekamy na wieś, w góry, ale często, przykuci do obowiązków, zostajemy w Warszawie. I co wtedy? Nie mamy po prostu miejsca, gdzie-by można wypocząć, orzeźwić się, znaleźć godziwą rozrywkę, kawałek ogrodu, trochę muzyki, już nie wytwornej, ale choćby tylko nie szarpiącej uszu, i restauracyę z tanią a zdrową kuchnią. Cierpią na tem szczególnie warstwy średnio zamożne, a w tem $\frac{3}{4}$ naszej inteligencji, której zajęcia fachowe utrudniają wyjazd na lato, a której urlopy dobrowolne, jak u lekarzy, adwokatów i t. d., lub udzielone przez władze, jak u rozmaitych kategorii urzędników, nie przenoszą zazwyczaj nigdy 4 do 6 tygodni. Kto zatem wyjedzie w maju, lub czerwcu, ten jeszcze spędzić będzie musiał w Warszawie miesiące letnie: lipiec, sierpień, i pół września. Kto zaś w tym czasie wybierze się na willegiaturę, ten w Warszawie przez wiosenne miesiące oddychać musi kurzem w Alejach Ujazdowskich, lub w Saskim ogrodzie, który w dni świąteczne za dużo ma publiczności, aby mógł charakteru ogrodu nie stracić.

Tymczasem mamy tak blisko, bo zaledwie o kilkanaście minut drogi od najruchliwszej dzielnicy miasta—Nowego Świata i bocznych jego ulic — miejscowość śliczną, pełną powabu, odgradzoną przez koryto Wisły od wycieków i dymu, stworzoną jakby na miejsce wycieczek letnich i uposażoną od przyrody we wszystko, co w połączeniu

z rozummem i celowem działaniem człowieka zamienić się może w doskonałość niemal.

Gdzieindziej taka Saska Kępa wyglądała-by już zupełnie inaczej. Nie było-by na niej na pół walących się kolonii, katarynek, huśtawek i karuzeli—tego apparatusu, którego się u nas dostarcza ludziom do zabawy, ale były-by ładne i szeroko wycięte ulice, przestronny park z teatrzykiem letnim, szereg pięknych willi, restauracya, urządzona z komfortem, nie zrażająca nikogo pijanem towarzystwem i burdami roztańczonego na trzęsącej się estradzie tłumu, — były-by tam porządnie utrzymane place do gry w krokieta i lawn-tennisa, na wybrzeżu rzeki znalazły-by się eleganckie pawilony z przystaniami łódek, które-by wynajmowano za niską opłatę, krążyły-by regularnie parostatki, przystając w miejscach wygodnych i t. d., i t. d. Słowem, gdzieindziej taki półwysep, jak nasza Kępa, stał-by się przepysznym miejscem do spędzania wolnego czasu nie tylko w święta, ale nawet w dni powszednie.

Niestety, „u nas inaczej“. Trudno jednak śpiewać dalej, że nie masz już rady na to i zgodzić się z obecnem położeniem rzeczy. Przeciwnie, rada jest i bardzo łatwa, tylko niema tych, którzy-by radzić nad tem chcieli, a oczywiście samo nigdy i nie się nie zrobi.

Gdyby znalazła się u nas garść ludzi, którzy-by zawiązali pomiędzy sobą konsorcjum, nabyli Kępę i zajęli się jej urządzeniem, to w lat kilka Warszawa przejść-by mogła pod tym względem wszystkie inne miasta, które w podobnym rodzaju miejscowości letnie w pobliżu swem posiadają, bo, powtarzamy, żadne prawie z miast w Europie nie ma do dyspozycyi tak ogromnego naturalnego parku niemal w obrębie swym, nie posiada tak szczęśliwego położenia, a może i tak spragnionej powietrza ludności, jak miasto nasze.

Był-by interes korzystny, przedsiębiorstwo bardzo rentowne, mogące zapewnić dobry procent od włożonych w nie kapitałów, a rozwijające się pomyślnie pod niewątpliwym protektoratem miasta, którego Rada chętnie przyłożyła-by ręki do sprawy, mającej wagę niepoślednią dla ogółu mieszkańców.

Sądźmy, że mogło-by to być nawet Towarzystwo akcyjne, i że znalazło-by ono licznych a chętnych subskrybentów u nas, tem chętniejszych, że ogół nasz z coraz mniejszym zachwytem wita obcych w kraju kapitalistów i przedsiębiorców. A przybędą oni z wszelką pewnością, jeśli ich w tem nie ubiegniemy.

Chyba przecież nie jest Warszawie przeznaczona z góry, aby bulwary i uregulowanie Saskiej Kępy otrzymała koniecznie z ręki Belgijczyków, Francuzów lub Niemców.

Obecnie, kiedy wybudowanie nowego mostu na Wiśle jest już tylko kwestją czasu, kiedy bardzo łatwo osiągnąć bezpośrednio połączenie miasta z Kępą, kiedy nawet jakiś przedsiębiorca prywatny zamierza położyć most łyżwowy z wjazdem od Alei Jerozolimskich — kwestya Saskiej Kępy wchodzi na porządek dzienny, a interes korzystny nastęrcza się kapitalistom krajowym. Prasa, przypominając tę sprawę, spełnia swój obowiązek — oby jednak i tym razem nie wołała napróżno!

W żadnym może zawodzie początek nie jest tak trudny, jak w zawodzie lekarskim.

Młody lekarz, po ukończeniu studyów, którym oddał najlepszą część swego życia — młodość, jeżeli nie posiada majątku, staje oko w oko z tak ciężką walką o byt, że mu nieraz ręce muszą opaść, a dusza napelni się żalem. Pracował, truł swoje płuca wyziewami sal sekcyjnych, hartował nerwy w salach szpitalnych, patrząc na cierpienia ludzi, dotkniętych najokropniejszymi chorobami, wystawiał się co krok na niebezpieczeństwo zaszczepienia w swym zdrowym organizmie suchot, tyfusu, ospy, dyfterytu i t. p., zwalczał odrazę, nie uchylał się przed niczem, przygotowując się do ciężkiej służby społecznej, i oto po blisko sześciu, a czasem więcej latach pracy, po złożeniu najcięższych na wszystkich uniwersytetach i wydziałach egzaminów, zdobył dyplom, który mu otworzył drogę do rozszerzenia swoich wiadomości teoretycznych przez praktykę. Praktyka dla młodego lekarza, to wszystko, to drugi, poważniejszy daleko okres jego studyów, i dla tego każdy z młodych lekarzy, który ma sumienie naukowe i obywatelskie, szuka jej po szpitalach w kraju i za granicą. Ale w jakże ciężkich warunkach przychodzi mu ją zdobywać!

Przedewszystkiem trzeba żyć, trzeba nieraz płacić długi, zaciągnięte na studia, które nie pozwoliły, zwłaszcza na wyższych kursach, poświęcać zbyt wiele czasu korepetycyom — tej pladze młodzieży szkolnej z jednej strony, korepetytorów — studentów z drugiej. Ale jak tu żyć i z czego? Trzeba mieszkać, trzeba się ubierać, trzeba jeść, trzeba reprezentować zawód — tyle rzeczy t r z e b a, że aż się w głowie od tego mąci. Rubryka rozchodów w rzuconym na kawałku papieru budzecie w jednej chwili rośnie do tysiąca kilkuset, dwóch

tysięcy rubli, a rubryka przychodu wakazuje 0, lub niewiele ponadto. Jakaś asystentura przy szpitalu, jak obecnie, dyżury w Pogotowiu, pomoc nocna przy aptekach, czasami opieka nad jakimś chorym bogatszym—to wszystko. Nic poza tem — chyba znów korrepetycye!

Nie rozszerzamy się nad tem, bo to są rzeczy znane.

Dziwnem nam się atoli wydaje, że lekarze nie rozpatrują tej sprawy korporacyjnie, że starsi, którzy wywalczyli sobie już byt i firmę, nie obradują tu razem z młodszymi i wspólnymi siłami nie radzą nad kwestyą, bądź co bądź, przykrą i bolesną. Nigdy nie słyszeliśmy w tej sprawie głosu lekarza wyrobionego, poważniejszego wiekiem, praktyką, wziętością, doświadczeniem. Natomiast od czasu do czasu podnosi głos któryś z młodych lekarzy, najczęściej w formie skargi, rzadziej w formie rzucenia kilku wniosków, jak to uczynił niedawno dr K. w „Głosie“.

Jedynym r a d y k a l n y m środkiem usunięcia istniejącego zła, — informuje nas dr K., — mogło-by być w pewnych warunkach uspołecznienie pomocy lekarskiej. Społeczeństwo samo powinno dbać o należytą pomoc lekarską dla siebie, i unormować ją w stosunku do zapotrzebowania. Wszelkie zaś inne środki muszą z natury rzeczy być tylko paliatywami.

Zgoda. Było-by to bardzo dobrze, gdyby szanowny autor artykułu, lub ktokolwiek bądź inny umiał rozwiązać kwestyę uspołecznienia pomocy lekarskiej. Zdaje nam się, że społeczeństwo, jako abstrakt zbiorowy, nic tu samo nie zrobi, że trzeba tu raczej j e d n o s t e k, które-by mu narzucić umiały tę, lub inną organizacyę pomocy lekarskiej, przyzwyczajai je stopniowo do niej, przesączyć w jego krew ów zwyczaj, tak, jak się to dzieje ze wszystkimi instytucjami i we wszystkich dziedzinach. Społeczeństwo, choćby zupełnie uświadomione (do czego nam, zresztą, bardzo jeszcze daleko), nie poweźmie tu żadnej inicjatywy. Inicjatywa wyjść powinna stanowczo od samych lekarzy, i w tym celu muszą się oni przedewszystkiem ściślej, niżeli to jest dotychczas, zespolić korporacyjnie i pozbyć konkurencyi zawodowej, która, niewątpliwie, także pewną rolę w tej sprawie odgrywa. Innemi słowy powiedzieć tu chcemy, że lekarze, poza Towarzystwem o charakterze naukowym, powinni mieć Towarzystwo drugie, p a r e x c e l l e n c e zawodowe i poświęcone wyłącznie omawianiu spraw, dotyczących medycyny, jako rzemiosła chlebobajnego, jako służby społecznej, którą społeczeństwo ma obowiązek według sił i możliwości wynagradzać jak najlepiej. Towarzystwo takie powinno złączyć w sobie wszystkich w kraju lekarzy, starych i młodych, bez względu na obozy i koterye, na katedrę profesorską, czy skromną czapkę Pogotowia ratunkowego. Przy Towarzystwie takim istnieć

też powinna Kasa pomocy pożyczkowo-wkładowa, o którą chociażby w pierwszych chwilach mogli-by się oprzeć początkujący lekarze, ci zwłaszcza, którzy nieraz nie wyjeżdżają na prowincję dla tego, że nie mają funduszków, potrzebnych na zakupno instrumentów.

Instytucya taka, jak *Towarzystwo zawodowe lekarzy*, mogła-by się zająć stopniowem przekształceniem istniejących stosunków od najpoważniejszych, aż do drobnych, na które nikt dzisiaj uwagi nie zwraca, jak na to na przykład, że mamy ulice, na których w każdym niemal domu mieszka lekarz, a obok nich takie, gdzie nie ma ani jednego. Instytucya taka mogła-by odrazu załatwić kwestyę pomocy lekarskiej w nocy, na którą tak często narzeka publiczność, mogła-by przyzwyczaić ogół do umawiania się z lekarzami rocznie, normując wynagrodzenie lekarzy domowych, mogła-by czuwać nad równomiernym podziałem chorych pomiędzy lekarzy i uświadamiać ogół, że w bardzo licznych przypadkach mogą mu równie skutecznie pomagać lekarze młodszy, jak i starsi, zwłaszcza, że w przypadkach wątpliwych i groźnych nigdy nie odmawiają swej porady lekarze doświadczeni, jak nas zapewnia w artykule swoim d-r K.

I tylko w ten sposób, zdaniem naszym, można-by stopniowo „*uspołecznić pomoc lekarską*“.

Wiadomości bibliograficzne.

— Wydział matematyczno-przyrodniczy Akademii Umiejętności w Krakowie odbył dnia 9 lipca posiedzenie. Członek Kostanecki referował o pracy p. E. Godlewskiego junior pod tytułem: „O wpływie tlenu na rozwój zarodka żaby i o wymianie gazów podczas tego rozwoju“. Członek Cybulski przedstawił treść własnej pracy; „O własnościach prądu spoczynkowego w nerwach“. Tenże referował o pracy p. Maziarskiego: „O budowie gruczolów ślinowych“. Członek Wierzejski mówił o pracy p. H. Hoyera junior: „Przyczynki do morfologii serca ryb“. Członek Browicz referował o pracy p. S. Ciechanowskiego pod tytułem: „Sprawy wydzielnicze w komórkach pierwotnych i raków gruczolaków wątroby“, oraz o pracy p. S. Droby: „O tworach olbrzymich w tkankach gruczolnych“.

Następnie sekretarz Wydziału, członek Rostański, zawiadomił Wydział, że dnia 9 lipca roku bieżącego odbyło się w Akademii Umiejętności w Krakowie posiedzenie pierwsze, organizacyjne, „Kommissyi bibliograficznej Wy-

działu matematyczno - przyrodniczego", ustanowionej w celu wzięcia udziału w rozpoczynającym się od 1 stycznia 1901 roku, międzynarodowem przedsięwzięciu katalogowania bieżącej literatury naukowej matematyczno-przyrodniczej wszystkich krajów cywilizowanych.

Na posiedzeniu tem odczytano i zatwierdzono „Regulamin“, którym Kommissya bibliograficzna w czynnościach kierować się będzie. Następnie uchwalono, że do Kommissyi należą w s z y s c y członkowie, czynni i korespondenci, miejscowi i zamiejscowi, Wydziału matematyczno - przyrodniczego Akademii Umiejętności; na w s p ó ł p r a c o w n i k ó w zaś Kommissyi, z poza grona Akademii, uchwalono zaprosić dwadzieścia pięć osób.

Na przewodniczącego Kommissyi obrano następnie prof. d-ra W. Natansoną, na zastępcę przewodniczącego—prof. d-ra Kazimierza Kostaneckiego, na s. kretarza Kommissyi d-ra Tadcusza Estreichera.

Tak ukonstytuowanemu Prezydium poruczono dalsze porozumiewanie się z Komitetem międzynarodowego katalogu naukowego w Londynie, oraz wypracowanie, na jesienne zebranie Kommissyi, zarysu zasad, według których wydawnictwo Katalogu polskiego ma być prowadzone.

Wreszeie wybrano Kommissyę, która ma się zająć przygotowaniem wniosków w sprawie zmian, jakie od Nowego Roku mają zajść w wydawnictwach wydziału.

— Historia kawałka węgla“. E. A. Martin, przełożył z angielskiego Jan Lewiński. Wydawnictwo B. Natansona.

— „Rolnictwo i hodowla zwierząt u starożytnych Rzymian“, zebrał i ułożył z dzieł dawnych autorów Tymoteusz Łuniewski. Warszawa, druk Szulca.

— „Biblioteka neo-scholastyczna“, zeszyt II-gi.

— „Eos“. Rocznik VI czasopisma filologicznego, wychodzącego we Lwowie pod redakcją L. Ówiklińskiego.

— „Wyobrażenia orfickie“ i „Ewolucjonizm“, rozdziały z większej całości, napisał Stanisław Schneider; odbitka z tegoż rocznika.

— „Pogląd na świat“, miesięcznik, poświęcony zagadnieniom wykształcenia, czytelnictwa i samonetwa, wychodzący w Krakowie pod kierunkiem W. M. Kozłowskiego, *AN* 8 i 9.

— „Biblioteka dzieł wyborowych“ wydała: Korzeniowski: „Kollokacya“; Strumpf: „Obrazy Kaukazu“; Karolina Swietła: „Z naszych walk i bojów“; Orzeszkowa: „Przy dochodzeniu śledczem“.

— Firma Paprockiego wydała: „Nowocześni Bohaterowie“, zbiór nowell i opowiadań Juliana Łętowskiego; „Wybór wierszy“, Gomulickiego; „Warszawianka“, studyum niefilozoficzne tegoż autora; „Pieśń o Gdańsku“, również Gomulickiego.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

Michał książę Radziwiłł.

Elekcya Augusta III.

Śmierć Augusta II raptem przerywała rozpoczęte za ledwo czynności sejmowe, zatrzymywała nagle zwyczajne obroty maszyny publicznej, i z prawa wtrącała naród i państwo w ten przejściowy, gwałtowny i niebezpieczny stan peryodycznej choroby, gorączki i przesilenia, jaki w życiu politycznym Rzpltej tworzyło bezkrólewie.

Zmarły król przez lat kilkadziesiąt był przewidywał i przygotowywał tę krytyczną chwilę przejściową. I w ostatecznym wyniku, schodząc teraz ze świata, niczego nie przewidział, niczego nie przygotował, wszystko zostawił na łasce przypadku i fortuny. Umierał, nietylko nic, prócz złego, nie zrobiwszy dla swojej dziedzicznej Saksonii, ani dla swojej dożywotniej Rzpltej, ale także nic nie zrobiwszy dla swojego syna i następcy, nowego elektora i kandydata do korony polskiej. Tym synem i następcą był August III. Nie pierwszej już młodości, dobiegał on obecnie czwartego krzyżyka. Słusznego wzrostu, okazałej tuszy, dobrze zbudowany, pięknej jeszcze i fo-

remnej twarzy, już przecie zanadto opasły i ociężały, imponował zdaleka powolną powagą ruchów i mowy, wyniosłą pańskością obejścia. Zresztą, budził szacunek wzorowym porządkiem rodzinnego pożycia, szczerością przekonań religijnych, wrodzonym wysokiem pojęciem swojej godności monarszej, wrodzonym wstrętem dla laniebnych, prywatnych i publicznych, praktyk ojcowskich. Wszakże, przy bliższem wejrzeniu, ujawniał oraz braki kardynalne, niezmiernie w panującym dotkliwie, a nieraz najszkodliwsze, nawet najniebezpieczniejsze. Ujawniał zupełną niezajomość spraw rządzenia, zarówno domowych, jak europejskich, zarówno w zakresie administracyi, jak i wielkiej polityki, zupełny brak własnego w tych sprawach poglądu, systematu, wyrobienia, a stąd i wewnętrzny brak pewności siebie i rzeczywistego autorytetu, zupełną nicość samodzielnej inicjatywy osobistej, a stąd i wewnętrzną nieporadność i nieśmiałość, które napróżno osłaniał nieprzystępnymi pozorami majestatu, ceremonialnym chłodem, małowólną szorstkością, albo głośnym, nienaturalnym śmiechem. Zamiast burzliwej, nie cofającej się nawet przed zbrodnią, ambicyi ojcowskiej, miał nie tak namiętne i gwałtowne, ale też bardziej puste i bezpłodne zachęcenia próżności i dumy; a że w dodatku, zamiast ojcowskiej myśli lotnej i sprawnej, miał głowę dosyć tępą i leniwą, zamiast ojcowskiej przenikliwości i sprytu, zdanie powierzchowne i krótkowidzące, dziwnie był łatwowiernym i nic nie znalazł się na ludziach, więc do najważniejszych i zasadniczych zagadnień swojej polityki wprowadzał większą jeszcze, niż za ojca, zmienność i dowolność, najchętniej składając z siebie kierownictwo i nawet nadzór naczelny, a zdając wszystko na niezdarłych i niegodnych ministrów i ulubieńców. Obecnie, w okresie otwierającego się bezkrólewia, liczył jeszcze przy swoim boku kilku starszych i wytrawniejszych pomocników, Sasów i Polaków, z gabinetu i rady ojca; to też w tej jedynej potrzebie miał objawić istotnie wyjątkową ruchliwość, energię i rozwagę: później za to, całkiem wzięty w pęta Sułkowskich i Brühlów, coraz głębiej będzie zapadał w senną, nieruchomą apatyę i bezwładność. Sam, przy objęciu rządów, dojrzały w lata, zgoła pozostał surowym pod względem doświadczenia politycznego. Raz tylko, przed siedmiu laty, miał sposobność, jako elektorowicz, albo raczej jako królewicz, dotknąć się polityki, a mianowicie, sprawy kurońskiej, wciągnięty tutaj przez brata przyrodniego, Maurycego Saskiego, którego wtedy, bezskutecznie zresztą, popierał w staraniach o następstwo w Kurlandyi. Z wyjątkiem tej jednej, przygodnej i niefortunnej próby, do niczego nie był się wtrącał. Stary król, do czułości rodzicielskich nieskłonny, nie wiele zajmował się synem i nie wtajemniczał go w arkana swojej dyplomacyi; zaś stary Fleming, któ-

ry nie znosił królewicza i od niego też mocno był nielubiany, starannie oddalał go od głównych interesów publicznych, nawet od saskich, cóż dopiero od polskich. W Polsce elektorowicz - sukcesor saski, a królewicz-kandydat polski, był prawie zupełnie nieznan. W młodości przesiadywał długi czas w dalekich Włoszech, potem trzymany przez ojca w Wiedniu i Dreźnie, zrzadka tylko i przelotem sprowadzany bywał do Warszawy. Nie pamiętał też bynajmniej i o tem ojciec, aby syna, któremu po sobie przeznaczał koronę polską, nauczyć języka swoich poddanych. Wprawdzie i Batory, i Zygmunt III, nie mówili po polsku. Ale jeden przynajmniej trochę po polsku rozumiał, drugi przynajmniej syna nauczył po polsku, a obadwaj jeszcze niezgorzej, na one czasy, radzili sobie dobrą łaciną, obadwaj zresztą nie byli przecie sami od kolebki chowani na królów polskich. August III, od kolebki, od urodzenia predestynowany kandydat do korony polskiej, przez całe życie nie wymówił, ani zrozumiał jednego polskiego słowa, a w dodatku najlichszy w świecie łacinnik, przez całe panowanie pozostał głuchym i niemym dla swojego narodu. Była to okoliczność niemałego w swych skutkach znaczenia. Czyniła ona faktycznie niepodobieństwem wszelką rzeczywistą styczność, wszelkie głębsze zjednoczenie wewnętrzne pomiędzy poddanymi a królem. Wyradzał się stąd, tak samo w dziedzinie wielkich spraw publicznych, jak i najmniejszych prywatnych, cały szereg nieuniknionych rozdzźwięków i nieporozumień, których mnogie i skandaliczne przykłady zachowały się w tradycyi, w rodzaju owego osławionego wypadku z polską skargą poczciwego niepołomickiego szlachcica na Mniszcha, czelnie przez tegoż Mniszcha wytłómaczoną po niemiecku wprost naopak, w żywe oczy Augustowi III i w przytomności niefortunnego petenta, nierozumiejących się nawzajem i jednocześnie okłamanych przez nieuczciwego tłómacza. Wśród takich warunków, na nic nie zdała się przyrodzona ludzkość monarchy, jego rzetelne poczucie sprawiedliwości, jego dobre i uczynne chęci, które niejednokrotnie jasno spostrzegać w nim można, a które przecie nigdy nie mogły dotrzeć do właściwego swego przeznaczenia, łatwo chwytane i konfiskowane po drodze przez interesowanych i oszukańczych pośredników pomiędzy nim a narodem. Była w tem oczywiście wina ojca, a nie tylko pod tym jednym względem szczególnym, iż zaniedbał dla syna niezbędnej nauki polszczyzny. Była większa oraz wina Augusta II pod tym jeszcze ogólniejszym i najważniejszym względem, iż w samej zasadzie, zaraz po pierwszych nieudanych próbach oparcia się na szlachcie litewskiej przeciw Sapiehom, zwłaszcza zaś po ostatnich zawodach tarnogrodzkich, wolał pozostać na wygodniejszych stosunkach z samą jeną magnaterją, wolał rachować się wyłącznie z oligarchją, a tem samem postawił koro-

nę w niedostępnem oddaleniu od niezliczonych mas szlacheckich, i pozabawił ją bezpośredniego zetknięcia z powszechnością szlacheckiego narodu. Obecnie, w krytycznym okresie bezkrólewia, ten niezdrowy systemat ojcowski miał najniepomyślniej odbić się na synowskich staraniach elekcyjnych. Odczuł to natychmiast i wyraził trafnie dyplomata saski, sprawujący podczas tego bezkrólewia interesa elektorskie w Warszawie. Wielki to był błąd — pisze rozumny Sas, wśród swoich kłopotów warszawskich, do Augusta III, — „że chwalebnej pamięci nieboszczyk król nie okazywał dosyć życzliwości dla szlachty. Korzystając z tego magnaci, sami jednali sobie młodszych braci i posługiwali się nimi, aby krzyżować zamysły dworu. Widywano ciągle przedpokoje możnych panów napelnione szlachtą, zaś przedpokoje królewskie niemal próżne, przynajmniej co się tyczy stanu rycerskiego. Przekonała się dowodnie szlachta, że jedynie przy poparciu magnaterii dojść może do urzędów... Dobrze-by było, abyś W. K. M. w przyszłości, każdego dnia galowego i recepcyjnego, raczył choć przez pół godziny pokazywać się w przedpokojach, zapytać, kto jest ten, lub ów szlachcic, przemówić do nich słowo, lub dwa. Szlachta widziała-by stąd, iż W. K. M. pragniesz poznać ich osobiście, coby ich wprawilo w zachwyt, gdyż dotychczas żyją w tym przesądzie, że król nieboszczyk znał samych tylko senatorów... Skoro zaś stan rycerski ujrzy siebie tak wyróżnionym przez W. K. M., nie omieszka on uciekać się pod Twoją opiekę, ilekroć możnowładcy zechcą nadużywać swoich wpływów, ażeby uczynić go powolnem narzędziem swojej ambycyi. Nie ulega bowiem wątpliwości, że bynajmniej nie zawsze wojewodowie, kasztelanowie i senatorowie miewają najwięcej wziętości po województwach, lecz częstokroć podkomorzy, sędzia, chorąży, lub bodaj prosty szlachcic zaściankowy, cieszy się większą powagą, niż dygnitarska głowa województwa. Skąd oczywisty wypływa wniosek, iż król polski, ażeby panować ze spokojem i należnym autorytetem, nie może uchylać się od osobistego poznania ludzi zasłużonych i popularnych pomiędzy szlachtą, gdyż takim dopiero sposobem będzie mógł wielkich przez małych, małych zaś przez wielkich wzajemnie trzymać na wodzy“. Mądre i proste były te rady, ale wcześniej, dużo wcześniej, trzeba było uczynić z nich stałą zasadę kierowniczą, i w codziennym stosować je czynnie. Obecnie, już po otwarciu bezkrólewia, przychodziły one zapóźno. Obecnie, w dobie przesilenia, ujawniała się widomie szeroka przepaść, istniejąca pomiędzy koroną a narodem, której wypełnić naprędce przez zabiegi elekcyjne nie było sposobu. Rządy bezkrólewia leżały w ręku oligarchii polskiej; jego losy ostateczne leżały w ręku mocarstw europejskich.

Wypada teraz, chociażby przelotnie, chociażby na kilku tylko główniejszych zatrzymując się postaciach, rozejrzeć się po onej nie-licznej, a potężnej rzeszy oligarchicznej, dzierżącej w tym momencie ster rządów osieroconej Rzpltej. Na samem czele, z dostojęstwa i nazwiska na stopniu najwyższym, z prawa i zwyczaju urzędowa głowa Rzpltej podczas bezkrólewia, stał prymas-międzykról, Teodor Potocki. Stary już człowiek, właśnie w kilka dni po śmierci królewskiej siedemdziesięcioletnie obchodził urodziny, a trapiiony nadto ciężką chorobą kamienia, stał prawie nad grobem. Jednak, w ciele sędziwym i osłabionem nosił charakter, a raczej upór, nieugięty, wielkie, nieraz podniosłe pojęcie godności prymacyalnej i narodowej, przytem ogniste, jak w młodzieńcu, porywy ambicyi i nienawiści osobistej i rodzinnej. W dziwnem połączeniu wcielały się w jego postaci niektóre przyrodzone samozachowawcze instynkta narodowe, i zarazem wszystkie rozkładowe instynkta oligarchiczne. Otoczony potrójną powagą dostojęstwa, imienia i wieku, był przecie w gruncie rzeczy dużo mniejszą siłą, dużo mniej jednolitym i samodzielnym, niż na pozór mogło się wydawać, rozerwany i niewyraźny w swoich planach, zmienny i dwuznaczny w sposobach, łatwo dający ucho i wiarę oblegającym go klientom i pochlebcom duchownego i świeckiego stanu, a najłatwiej własnym krewnym i powinowatym. Posiadał doświadczenie i dwulicowość przeciętnego dyplomaty swoich czasów, posiadał także mocną wolę, w razie potrzeby zdolnym był do narażenia siebie, nawet do poświęcenia, ale z tem wszystkiem, zawsze i wszędzie nasamprzód naczelnik rodu i magnat, potem dopiero naczelnik kościoła narodowego, mąż stanu i obywatel, przytem umysłu miernego, niewielkiego ukształcenia, zasklepiony w ciasnym widnokregu dążeń i względów stronnicych, familijnych, lub po prostu osobistych, nie umiał on nigdy wznieść się do wyższej, kierowniczej koncepcyi politycznej, rozświeconej obszerną świadomością powszechnego położenia i uszlachetnionej czystem dobra publicznego pragnieniem. Górowała w nim nadewszystko duma przysłowiowa Potockich, nieodstępna myśl przewodnia wyniesienia swojego domu do wszechwładzy w Rzpltej, nieubłagana niechęć dla wszelkich innych wewnątrz Rzpltej potęg, zdolnych do rywalizacyi z tym własnym jego domem, a więc zarówno nieubłagana dla innych domów możnowładczych, jako też dla samego nawet domu królewskiego. Królewskiemu domowi saskiemu wiele zawdzięczał prymas i niegdyś do najpierwszych jego stronników i sług się zaliczał. Przez Augusta II wyniesiony był naprzód na pierwsze swoje biskupstwo, potem na stolicę prymasowską. Ale do obowiązków wdzięczności nie poczuwał się zgola. Wziął, co mu dano, jako rzecz sobie przynależną. Skoro zaś ujrzał króla, dobija-

jącego się samodzielności, a nawet samowładztwa, skoro zwłaszcza ujrzał wykonywane nienawistne rady Flemingowe, wysuwanych na czoło *homines novos*, przesuwany środek ciężkości oligarchicznej w państwie, tworzoną nową przeciwwagę, nowe groźne współzawodnictwo możnowładcze, oparte o stopnie tronu, wtedy bez namysłu zerwał z monarchą i objął przewodnictwo nad opozycją przeciw dworowi, przeciw całej, wewnętrznej i zagranicznej, polityce dworskiej. Co go oburzało i niepokoilo najwięcej, czego żadną miarą ścierpieć nie mógł, i co za wszelką cenę złamać postanowił, to był nagły wzrost Familii Czartoryskich i parweniusza Poniatowskiego. Wtedy-to, w ostatnich latach Augusta II, prymas Rzpłtej pierwszy zwrócił się po pomoc przeciw swojemu królowi do mocarstw cudzoziemskich, do odleglejszych protektorów, a zarazem i do sąsiadów najbliższych. Nawiązał wtedy potajemne stosunki z Francją, w celu niedopuszczenia sukcesyi saskiej i zapewnienia następstwa tronu Leszczyńskiego. I prawie równocześnie wtedy był nawiązał potajemne knowania z Rosją i Austrią. Wprawdzie z Rosją stare miał rachunki prymas, który niegdyś, w najmłodszym dzieciństwie tam był przebywał w niewoli, zaś niebawem, przed samą śmiercią, uprowadzony będzie niewolnikiem do obozu Münnicha; ale to nie przeszkadzało mu tymczasem spiskować tajemnie z ambasadą rosyjską w Warszawie. Co się zaś tycze najściślejszych jego stosunków z ambasadą austriacką, to dla wyjaśnienia dodatkowo odkryć musimy tę przykrą okoliczność, iż dumny magnat - prymas nie gardził cesarskimi pieniędzmi i oddawna pobierał stałą pensję roczną z Wiednia od Karola VI. Dwulicową tę swoją negocyacyę, z jednej strony z Francją, z drugiej — z Rosją i Austrią, prowadził równolegle, z niemalą zręcznością, aż do samej śmierci królewskiej. Wszakże obecnie, z chwilą otwarcia bezkrólewia, trzeba było nareszcie zrzucić maskę, trzeba było zdeklarować się wyraźnie i nieodwłocznie, gdyż wypadło w jedną albo w drugą stronę pchnąć opinię publiczną Rzpłtej. Prymas bez wahania zdeklarował się przeciw Sasowi, niemającemu jeszcze zresztą bynajmniej zapewnionego w tej chwili rosyjsko-austriackiego poparcia, i oświadczył się stanowczo za kandydaturą francuską Leszczyńskiego. Blisko z Leszczyńskim spowinowacony, znał go doskonale i do głębi przeniknął; to też więcej, niż na powinowactwie, polegał na znajomości duszy króla Stanisława; wymarzonego widział w nim króla, gdyż widział zupełną jego nicość, rozumiał, iż za niego będzie rządził, iż w jego osobie wyniesie na tron kreaturę swoją i swojego domu, przybraną w fikcyjne szaty majestatu, a przeznaczoną do tego tylko, aby służyć interesom i wypełniać wolę Potockich. W tym-to kierunku, wskazanym przez głowę rodu, zwartą lawą ruszyli inni Potocy. Drugie

miejsce wśród nich, po prymasie, zajmował młodszy od niego, a w swoim zakresie również niezmiernie wpływowy, wojewoda kijowski, Józef Potocki. Mała, smagła figurka, słabej i zależnej głowy, pomysłowości i inicjatywy żadnej, trwożliwy i mściwy, obsługiwany a nie lubiany od szlachty, najbogatszy pan w Rzpltej, niegdy stronnik Szwedów, hetman w. k. *in partibus infidelium*, dopominający się zwrotu wielkiej buławy, otrzymanej niegdyś od Stanisława, odebranej przez Augusta, a do której odtąd, naprzód we Flemingu, potem w Poniatowskim, nienawistnych miał współzawodników, tem większą z tego tytułu niechęcią i żalem osobistym zapalony do dworu saskiego i wszystkiej partyi dworskiej, reprezentował on w rodzie potęgę materyalną, obok moralnej prymasa, podobny do niego z dumy i wyłączności rodowej, a bez jego uporu, zręczności, ani imponującej powagi, przez niego zazwyczaj kierowany, wyslizgując się przecie nieraz z pod jego wpływu i jego krzyżując intencye, aby uledez z kolei wpływowi małżonki, urodzonej Mniszchówny, kobiety energicznej i ambitnej, która wyższe w mężu rozbudzała pożądanja, nie do samej tylko buławy hetmańskiej, lecz wprost do królewskiej zmierzające purpury. Trzecim był Antoni Potocki, wojewoda bełski, synowiec prymasa, wielki jego ulubieniec, stąd znacznego w całej rodzinie zachowania i głosu, urzędowy dyplomata rodziny, jak tamci dwaj urzędownie byli jej głową i podporą, nietylko otrzaskany doskonale z całą płataniną matactw stronnicznych wewnątrz Rzpltej, lecz potrosze także z tokiem intryg gabinetów europejskich, władający francuszczyzną jak rodowitym językiem, umiejący również wysłowić się i wypisać w mowie niemieckiej i rosyjskiej, częsty podróżnik po obcych stolicach i dworach, znajomy i korrespondent obcych ministrów i nawet monarchów, uważany powszechnie w kraju, a zwłaszcza w kole swoich najbliższych, za znakomitego mówcę, za świadomego, misternego i niezgłębionego statystę, istotnie bardzo sprytny, ogladzony i przedsiębiorczy, ale nieporządny, niepewny, niejasny, okazowy, jak wtedy mawiano, *brouillon* polityczny, ni to warchoł, ni dylettant, ni awanturnik na własną rękę, bez określonych celów wytycznych, bez żadnych zgoła zasad, i, co praktycznie najgorsza, bez dostatecznej, jak na swoje imię i stanowisko, podstawy materyalnej, w ciągłych kłopotach, a więc i w ciągłych kombinacyach czysto pieniężnych, podobny z tego względu do rodzzonego swego wnuka - finansisty, rozgłośnego Prota, prostszy tylko od niego w finansowych swoich sposobach, po prostu płatny od wszystkich niemal dworów cudzoziemskich, biorący pieniądze saskie, rosyjskie, francuskie, austriackie, pod koniec zwłaszcza pruskie, aż też pod koniec zejdzie na stałego sługę Fryderyka Wielkiego, na zwyczajnego agenta pruskiego w Polsce. Obecnie, w dobie,

o której mowa, jeszcze od Prus oddalony, tem ściślejsze stosunki utrzymywał z Rosyją, wyjątkowe stosunki zażyłości i pokrewieństwa, gdyż przez matkę, urodzoną Sałtykową, ciotkę Anny Iwanówny, był kuzynem carowej panującej; i z tego głównie tytułu wyprawiony do niej niedawno od Augusta II w najdwuznaczniejszej misyi popierania jakoby kandydatury polskiej Leszczyńskiego przy dworze rosyjskim, przez półtora roku w charakterze posła królewskiego bawił w Moskwie i w Petersburgu, w towarzystwie całej, sprowadzonej ze sobą z Warszawy trupy teatralnej, forytując tutaj pozornie interesa królewskie, w rzeczywistości forytując swoje własne i ładnej aktorki warszawskiej, donny Ludwiki, i póty intrygując na prawo i na lewo, póki nareszcie, wdawszy się nierozważnie w niebezpieczne konszachty ze swoimi krewnymi z partyi starorosyjskiej, z Dolgorukimi, Jagużyńskim, Rumiancowem, i nawet z doczekującą się swojej kolei pretendentką, Elżbietą Piotrówną, nie obudził czujności wszechwiedzącego Ostermanna, ściągnął pomstę wszechwładnych Niemców, omal zaraz na miejscu karku nie skreślił, i jeszcze szczęśliwie, z całą głową, wyleciał, jak z procy, z powrotem do Warszawy. Jednak, pomimo tej świeżej i nieprzyjemnej przygody, zachował znaczne wpływy rosyjskie, zachował affekt i łaskę kuzynowską carowej, tak dalece, iż tędy-to, ze Wschodu, w pierwszych dniach bezkrólewia, miała wypłynąć na krótką chwilę własna jego kandydatura do korony polskiej. Obok tych trzech: Teodora, Józefa i Antoniego, wszyscy inni pomniejsi ich imiennicy, jak Michał, wojewoda wołyński, skrzętny zbieracz i kłótlivy procesowicz, albo Franciszek, starosta bełski, ruchliwy działacz sejmikowy, bardzo przystępny i zaraz też zyskany od Sasów, jeszcze zupełnie podrzędną odgrywali rolę i jak najmniej wchodzili w rachubę: w osobie tamtych trzech przewodników wcielała się naonczas istotna treść i kierunek oligarchii domu Potockich.

Z odrębną i wyjątkową potęgą tego domu nie mógł równać się w owej chwili żaden inny w Rzpltej. Wszystkie inne, najpierwsze dotychczas, domy możnowładcze silnie były zachwiane politycznie i podkopane materialnie skutkiem długotrwałych i gwałtownych przewrotów domowych i wojennych ostatniej doby. Sapiehowie, niedawno wszechmocni, trzęsący Rzpltą, najciężej ucierpieli za panowania Augusta II. Pamiętni na krwawą rozprawę olkiennicką, kiedy jednego ze swoich widzieli zarąbanego przez rozjuszoną szlachtę, pamiętni na fatalne skutki niszczącej wojny północnej i oplakanej szwedzkiej protekcji, upokorzeni i upadli na duchu, zrujnowani na wpływie i na majątku, teraz woleli siedzieć cicho, zabezpieczając się na wszelkie strony i, jak ognia, wszelkiej ryzykownej unikając imprezy. Dwie obecnie były głowy tego rodu: podskarbi nadworny I., Józef-Franci-

szek, słaby zdrowiem, niemłody, niebogaty, gospodarny, szanowany od szlachty, chwalony nawet od agentów saskich; i jego brat, starosta merecki, Antoni - Kazimierz, prosty człowiek, ale zacny i również powszechnem otoczony poważaniem. Na ogół, w domu Sapiechów, przez całe długie i trudne bezkrólewie niniejsze, w przedmiocie głównej i niebezpiecznej sprawy elekcyjnej nie było zgoda jedności, owszem, wyraźna i bodaj rozmyślna panowała scyssya, mająca najpewniej ten cel na widoku, ażeby na obiedwie zabezpieczyć się strony: a więc, kiedy tamci dwaj starsi oświadczają się za Leszczyńskim, natomiast młodszy Sapiehowie, Michał, wojewoda podlaski i Jan-Fryderyk, kasztelan trocki, stale trzymają z Sasem. Radziwiłłowie, którzy dopiero za następnego panowania Augusta III mieli podnieść do dawnej świetności mocno nadszarpniętą fortunę, obecnie jeszcze, podobnie do Sapiechów, w nieosobliwym położeniu majątkowem, nieosobliwych też mieli reprezentantów. Najruchliwszym z nich podczas bezkrólewia okazał się Mikołaj Radziwiłł, wojewoda nowogrodzki, słaby i nieszczęśliwy człowiek, z wyraźnymi śladami umysłowego rozstroju, obarczony liczną rodziną, a całkiem opanowany przez żonę, nielubianą za dumę i srogość. Ogińscy, Józef, wojewoda trocki, układny i cichy, i Marcyan, wojewoda witebski, jurysta zawołany, wyższego ukształcenia, wielkiego miru na Białorusi, obadwaj doszczętnie zrujnowani, obadwaj służyli dworowi, w skromnym zakresie swoich wpływów miejscowych, a w skromnej myśli podratowania naruszonych swych fortun, bez żadnych śmielszych ambitnych zamierzeń. Inaczej i wyżej mierzyli Wiśniowieccy, powodowani przede wszystkim wyniosłą ambicją polityczną, trawieni retrospektywną za berłem królewskim tęsknotą, a ostatni przedstawiciele swojego upadającego i umierającego rodu, smutni świadkowie przemożnego wzrostu innych rodów magnackich, rozgoryczeni widokiem jawnej Potockich przewagi, zwłaszcza zaś najgłębszym, najzjadliwszym przejęci żalem, zawiścią i oburzeniem na nieznośny widok podnoszącej się z Litwy pokrewnej nowej potęgi i świeżego splendoru Familii Czartoryskich. Tutaj stał na czele Michał Wiśniowiecki, kanclerz w. i regimentarz l., dziwnie dosadny i malowniczy typ polsko-litewskiego magnata starej daty; pan wspaniały i hojny, nadzwyczaj popularny u szlachty, choć nietyle miłowany, ile groźny; przenikniony dumą niezmierną, niezmiernym dla własnego gniazda książęcego szacunkiem, i w tem wysokim o własnej krwi pańskiej pojęciu czerpiący jedyne wyższe pojęcia własnych obowiązków, godności i honoru; osobiście odważny i bardzo drażliwy, w przegranej potyczce z Rosyanami wybierający niewolę nad ucieczkę, gdyż Wiśniowieckiemu uciekać nie wypada, odstępujący nagle od ułożonej już umowy przekupnej

z dyplomatą austryackim, gdyż Wiśniowieckiemu nie wypada brać do ręki pieniędzy; twardy i szczery legalista, ślepo a serdecznie przywiązany do starodawnych form ustawodawczych, do odwiecznych obyczajów i tradycyi narodowych, który, z dużym trudem zyskiwany dla Sasa, gotów w ostatniej chwili zepsuć całą sprawę, skoro się dowie ze zgrozą, iż elekcyja saska musi odbyć się na Pradze, zamiast na tradycyjnem polu wyborczem pod Wolą, i który naprawdę wtedy dopiero z rzetelną uciechą oświadczy się za Augustem III, skoro mu agenci sascy pokażą na pergaminie pięknie wymalowane drzewo genealogiczne, skąd jasnie wynika, iż królewicz-elektor jegomość przez dwanaście różnych stopni wywodzi się ze świętej krwi Jagiellonów, jedynej, przed którą on, Wiśniowiecki, pochyla głowę; zresztą ciemny, nieokrzesany, przesądny, nadzwyczaj gwałtowny, zwłaszcza pod wpływem kielicha, a często nietrzeźwy, i wtedy po prostu — jak wyraża się o nim prymas — „dzikie zwierzę“, po prostu szalony i krwiożerczy; skądinąd znów, wytrzeźwiawszy, skruszony i strapiiony, niezdecydowany i słaby, posłuszny szkodliwym podszeptom dworującej mu zgrai zauszników, i całkiem prowadzony na pasku przez żonę, Teklę Radziwiłłównę, doświadczoną, wyrachowaną i checiwą wdowę po wielkim Flemingu, nawykłą przy boku pierwszego męża, ministra saskiego, do znacznych wpływów i korzyści osobistych, i żadną wyciągać je w równej mierze z drugiego małżeństwa z księciem litewskim. Rodzony brat kanclerza, dużo mędrszy od prostaka - brata, dużo zimniejszy, spokojniejszy, gładszy, daleko tęższej głowy, a daleko lichszego serca, Janusz Wiśniowiecki, kasztelan krakowski, był zasiadł po Sieniawskim najpierwsze krzesło senatorskie, pozornie żył w zgodzie z dworem, w istocie stanowiąc po cichu główną sprężynę konfederacyi tarnogrodzkiej przeciw dworowi, zaś obecnie, forytowany z Wiednia przez cesarza Karola na drugiego kandydata do korony polskiej, na wypadek niedojścia elekcyi portugalskiej, sam przecież, praktyczny sceptyk, nie wierzył we własne wyniesienie, brał tymczasem tysiąc dukatów od Loewenwoldego, i spekulował na odszkodowanie od Sasa wzamian za zrzeczenie się fikcyjnej swojej kandydatury. Naprzeciw Wiśniowieckiego, trzymanego w odwodzie przez Austryę, wysawany był naprzód z Berlina, jako pruski, w razie potrzeby, kandydat do korony, Paweł Sanguszko, marszałek w. l., pan zacny, potulny i osobiście niezamożny, a wdowiec po bogatej Lubomirskiej i nieszczęśliwy ojciec syna rozpustnika i szaleńca, osławionego Janusza Sanguszki, ordynata ostrogskiego, dziedzica olbrzymiej spuścizny macierzystej, fatalnej Pandorowej spuścizny, skąd tyle klęsk ciężkich zejść miało na spadkobierców i wszystką Rzpltą. Spowinowacony z Sanguszkami, Lubomirski Teodor, wojewoda krakowski, znenawi-

dzony od szlachty, którą był obdzierał dawniej bez pardonu jako srogi starosta spiski, obecnie, za bezkrólewia, bez kontroli na swoim województwie, zdierca skarbu Rzpltej przez bezprawną gospodarę w kopalniach wielickich, ambitny, śmiały, bezwzględny, niesforny, zniszczony fizycznie i duchowo, wybitny, nawet niepoślednie ukazywał rysy, lecz bodaj najostrzejsze i najbardziej odpychające, zaś stale w ścisłej będąc zależności materyalnej od wiedeńskiego dworu, swoje zmienne postęпки w wiszącej sprawie elekcyjnej miał w przeważnej mierze przystosować do odpowiednich odmian polityki cesarskiej. Z nazwiskiem wojewody krakowskiego łączy się węzłem tragicznym nazwisko Tarły, zamordowanego kochanka pięknej Anusi, córki Lubomirskiego i mieszczyki krakowskiej. Adam Tarło, starosta jasielski, teraz jeszcze bardzo młody, a już ogromnie od szlachty kochany, pełen ognia, szlachetności, odwagi, dowcipu, najświetniejsze rokował nadzieje, które wszakże niebawem musiały zmarnieć i zgasać, zalane błotnistą powodzią zawikłań powszechnych, krajowych i prywatnych, i utopione we własnej jego krwi serdecznej. W szczególności, względem owoczesnej sprawy elekcyjnej, był on naturalnym przeciwnikiem kandydatury Augustowskiej, bo cudzoziemskiej, naturalnym oraz obrońcą Stanisławowskiej, bo swojskiej: co zaś najważniejsza, z najogólniejszego stanowiska, wyobrażał żywe wcielenie nie tyle już ciasnej wyłączności pańskiej, ile szerokich prądów, nurtujących szerokie masy szlacheckie, a w blizkiej nadto styczności pozostając nawet z nieruchomą dotychczas, a już budzącą się do życia masą mieszczańską, zwłaszcza z mieszczaństwem warszawskim, wyrastał do rozmiarów wprawdzie nie dość jeszcze klarownej, zrównoważonej, ani uświadomionej, jeszcze pełnej krzyczących rozdźwięków, ale już ze wszech miar znamiennej postaci przejściowej, wiodącej w prostej linii do największych postaci sejmu czteroletniego. Młodego i gorącego starostę jasielskiego wspierał powagą i miarkował doświadczeniem stryj, Jan Tarło, wtedy wojewoda lubelski, generał ziem podolskich i generał-porucznik wojsk koronnych, głęboki znawca praw Rzpltej, znacznej wziętości u szlachty małopolskiej. Oddzielnie od Tarłów, choć związany z nimi przez małżeństwo z Tarłówną, trzymał się Józef Mniszech, marszałek w. k. Przez Augusta II obdarzony wielką łaską marszałkowską, to jest najpierwszym urzędem ministeryalnym Rzpltej, a prócz tego, będąc także na stałym żołdzie 12 tysięcy talarów rocznie z prywatnej szkatuły królewskiej, uchodził za najpewniejszą kreaturę dworską; lecz w gruncie rzeczy, bardzo podstępny, giętki i wyrachowany, nie brał bynajmniej za nadto do serca swoich obowiązków wdzięczności względem dworu, obok sekretnej pensyi królewskiej pobierał sekretniejszą pensyę rosyjską, i swoją służbę dla

króla godził zrzęcznie ze służbą dla Rossyi przeciw królowi. Marszałek obszerne miał wpływy w kraju, i nie tylko z mocy samego swego urzędu, lecz również przez rozległe stosunki familijne: przez córkę, wydaną za Józefa Potockiego, trafiał do zięcia, wojewody kijowskiego, do prymasa i do całej party magnackiej Potockich; przez żonę, rodzoną siostrę Jana Tarły, trafiał do szwagra, wojewody lubelskiego, do starosty jasielskiego, i do całej party szlacheckiej Tarłów. W tej grze podwójnej nader była pomocną mężowi pani Mniszchowa, wielka dama politykująca w wielkim stylu owoczesnym, nienawidząca i znienawidzona współzawodniczka innych wielkopańskich „kobiet stanu“, a wyższa wytrawnością i sprytem od wojewodziny Radziwiłłowej i nawet od kanclerzyny Wiśniowieckiej, niepochwytna, niebezpieczna, intrygująca na wszystkie strony, wszędzie poszukiwana, wszędzie oplacana, a nigdzie nie przywiązana, biorąca upominki rosyjskie, ewikye austriackie, gratyfikacye francuskie i kosztowności saskie, „żmija, — powiada o niej z passyą Brühl, — która pozostanie przy więcej dającym i lepiej wypłacalnym, *plus offerenti et melius solventi*“.

Jednakowoż tych sylwetek, jakkolwiek rysowanych najpobieżniej, dłużej mnożyć niepodobna, gdyż niepodobna ich wyczerpać na tem miejscu. Przerzywając na razie ich szereg, wypada jeszcze tylko jednym bodaj słowem nadmienić o obsadzie osobistej niektórych ważniejszych ministeryów. A więc pieczęć mniejszą koronną trzymał w tym czasie od roku, a wbrew prawu, biskup krakowski, Jan Lipski, podkanclerzy koronny z łaski dworskiej, zdeklarowany też Augustowiec, człowiek malego serca, równie malej świątobliwości infulat, tem większego sprytu polityk, z którym bardzo liczyć się potrzeba. Obadwa podskarbiostwa w najgorszych znalazły się ręku: koronne piastował Ossoliński Maksymilian, lekkomyślny, rozrzutny, niebaczny na swoje obowiązki, ani nawet na honor; litewskie — wprost już nieuczciwy, Jan Solłohub, u poprzednika, Poniatowskiego, za grubą kwotę odkupione: obadwaj hałaśliwi, a niepewni, Leszczyńskiego stronnicy. Nareszcie, na tem miejscu wypada położyć ladajaką przynajmniej wzmiankę o składzie osobistym Familii Czartoryskich, wzmiankę jak najkrótszą, gdyż arcyważny ten przedmiot sam dla siebie, w innym, samoistnym związku, oddzielnych i rozległych wymagal-by wyjaśnień. Familia już naówczas, już w ostatniem dziesięcioleciu rządów Augusta II, pośrodku ogółu możnowładztwa zgola odrębne zajmowała stanowisko. W urzędach i majątku dworską zasilona protekcyą, ale w swojej powadze rodowej mocna własnem starodawnem imieniem i tradycyą, służyła wprawdzie od wypadku do wypadku dworowi, używana od niego jako narzędzie, jako przeciwwaga dla wrogiej

opozycyi możnowładczej, lecz jednocześnie, ze swojej strony, sama dwór czyniła narzędziem dla własnego ponad dwór wywyższenia, sama do własnej w kraju dążyła przewagi i, koniec końcem, przede wszystkim służyła samej sobie. Na jej czele, w chwili bezkrólewia, stał z tytułu ks. Kazimierz Czartoryski, kasztelan wileński. Wszakże, starzec już podeszły, przytem ułomny, zresztą całkiem słaba głowa, gaduła, wykwintniś staroświecki wedle ostatniej mody paryskiej z przed lat pięćdziesięciu, z czasów Saint-Simona i pani Montespan, — przypominający trochę w tym względzie staromodną elegancyę swego wnuka, generała ziem podolskich i feldmarszałka, — żonaty z Morsztynówną, energiczną, mądrą i ukształconą damą, prowadził z nią pospółu pierwszy salon czysto wersalski w Warszawie, i na tem właściwie ograniczał swoją rolę kierowniczą w rodzinie. Naprawdę wszystkim kierowali w Famili jego dwaj synowie, córka i zięć. Syn starszy, ks. Michał, obecnie w sile męskiego wieku, trzydziestokilkoletni, a już od lat blisko dziesięciu minister pieczęci, podkanclerzy I. po ojcu, uczeń i protegowany Fleminga, od niego tak wczesnie forytowany, od niego wielu rzeczy nauczony, w jego wychowany szkole, sam pojętny bardzo, bardzo żywy, rzutki, pomysłowy, ale też porywczy, zjadliwy i zapamiętały, zanadto uparty i bezwzględny, zanadto przeświadczony o własnem świetle nieomylnem, własnej wyższej wartości, i w samej też rzeczy, przy temperamencie zbyt ostrym, charakterze zbyt twardym, umysł zaiste jaśniejszy i wyższy, bystrości niepospolitej, łatwej wymowy, nadzwyczajnej pamięci, — znał podobno z imienia i nazwiska sto tysięcy szlachty, — wszechstronnego publicznego ukształcenia, doskonały znawca stosunków krajowych, a niezgorszy nawet europejskich, zdolny do szerokich i śmiałych koncepcyi politycznych, był nietylko uznaną „głową ministeryalną“ Famili, lecz niezawodnie, w innej epoce, wśród innych okoliczności, był-by wyrósł na jednego z najznakomitszych statystów Rzpltej. Już za młodu do wielkich wrywał się rzeczy, krępowany przecie przez małą rodziny zamożność, *res angusta domi*; za młodu też starał się o posażną Łaszcównę, wojewodziankę bełską, lecz odpalony, bo ubieżony przez szczęśliwszego współzawodnika, wojewodzica kijowskiego, Potockiego, niebogatym pozostał do śmierci, głęboką odtąd aż do śmierci chowając urazę dla wszystkiego nienawistnego „Potocctwa“. Młodszy o rok ks. August, kawaler maltański, pułkownik gwardyi królewskiej, wreszcie wojewoda ruski, zaufany i zazwyczaj posłuszny brata pomocnik, a zgola do niego niepodobny, dużo ciaśniejsza głowa, lecz roztropniejsza częstokroć i zaradniejsza, zamknięty, powolny i systematyczny mileczek, od paru lat filar majątkowy Famili, przez małżeństwo z Denhofówną, „panną krakowską“, dziedziczką ogromnej Sie-

niawszczyzny, odbitą z kolei konkurentowi Potockiemu, krystynopolskiemu „królikowi Rusi“, wziął w ten sposób niejako odwet za despekt braterski, ściągnął z kolei śmiertelną Potockich urazę, sam zaś odtąd w cichości najwyższe piastował marzenia i oswoił się z myślą zdobycia godności najwyższej, zdobycia korony królewskiej dla siebie naprzód, potem dla syna, w końcu dla wnuka. Dopełniała obu braci, dotrzymywała im kroku siłą woli i polotem ambicyi, siostra Konstancya, wydana za Poniatowskiego, postać niepowszednia, męskiego hartu, zaciętości kobiecej, „gradową chmurą“ przezwana od szlachty, wyniosła, nieprzystępna, nietościowa, groźna dla nieprzyjaciół swojego domu, dla otoczenia, nawet dla własnych dzieci, a już w tej chwili matka najnieszcześniejszego dziecka, jednorocznego teraz niemowlęcia, powołanego ziścić najśmielsze widoki Familii, matka króla, ostatniego króla polskiego, matka Stanisława - Augusta. Nareszcie, przy jej boku, intelligencją nad nią górując, wedle swoich prowadząc ją myśli, a przez nią prowadząc szwagrów. lecz sam mimowolnie pod wpływem jej mocnej i ambitnej podniety, stał niemłody już małżonek, wtedy pięćdziesięciokilkoletni wojewoda mazowiecki i regimentarz k., Stanisław Poniatowski. Niegdy Stanisławowski poplecznik, a właściwie Karolowy żołnierz, dyplomata i dworak, na szwedzkiej służbie był zrobił sobie imię; potem, dezerterski przegranej sprawy Leszczyńskiego, z otwartymi ramionami przyjęty od Augusta i Fleminga, na służbie saskiej zrobił fortunę; nagrodzony natychmiast ręką Czartoryskiej, dostojenstwami obsypany, przy pomocy dworu, a nie bez znacznych własnych nakładów, kosztem 15 tysięcy dukatów, dobił się po Flemingu regimentarstwa; nie lubiany od szlachty ani od wojska, kosmopolitycznego raczej zacięcia i poloru, długo tułacz po szerokim świecie, amator karkołomnych przygód i dowcipnej lektury, bywalec stambulskiego Dywanu i salonów paryskich, przyjaciel sułtanek i korespondent Voltaira, nosił w kraju dwuznaczne wspomnienie pewnych dwuznacznych usług, oddanych Augustowi, pewnych papierów, przyniesionych w darze przez dezertera z kancelaryi zabitego Karola, nosił ciemną plamę pewnych spraw benderskich, pewnych skarbów, wywiezionych przez towarzysza broni zmarłego Mazepy; zresztą, odważny i przedsiębiorczy, gładki i świetny, ale partyzant raczej, niż dowódca, raczej intrygant, niż mąż stanu, w głębi duszy sceptyk i epikurejczyk, rad-by zapewne kres położyć długoletnim swoim wysiłkom, rad-by je ograniczyć, w spokoju na starość spożywać ich owoce, lecz tymczasem, popychany przez okoliczności, podniecany przez małżonkę, już sięgał po wielką buławę koronną i najpierwsze krzesło senatorskie; zaś w istocie sięgał jeszcze wyżej, wprost po koronę, otwierając tym sposobem w łonie samej Familii owo tajemne, fatalne

współzawodnictwo i rozdziwienie wewnętrzne, które jeszcze w dwóch następnych pokoleniach nie przestanie dzielić i toczyć wspólnego domu Czartoryskich i Poniatowskich.

Ciężkie to, bolesne zadanie taką pokazać i przebieżać galerję. Czynimy to, ile można, najprościej i najzwyczaj. Czynimy także, ile można, najogólniej. Wizerunek każdego modelu w najpewniejszych swojskich zbieramy świadectwach, albo, jeśli w obcych, to u przyjaciół każdej osobnej postaci, nie u wrogów, a więc wizerunek Augustowca — w doniesieniach saskich, Stanisławczyka — we francuskich, sprawdzanych i dopełnianych wszędzie przez relacje austriackie, rossyjskie, pruskie i swojskie. Z tego obfitego zasobu, jaki mamy do rozporządzenia, nie dobieramy bynajmniej najostrzejszych konturów. Nie dobieramy stąd zgoła barw najjaskrawszych. Ani też, jednakże, prawdziwych, jakkolwiek dotkliwych, nie zatajamy rysów. Aliści, z powodu tych rzeczy tak dotkliwych, które tutaj i w następstwie odsłaniać przychodzi, musimy natychmiast, raz na zawsze, jedno zasadnicze położyć zastrzeżenie. Musimy zaraz w tem miejscu, z powodu niektórych żywiołów ówczesnej społeczności polskiej, przypomnieć to samo, co gdzieindziej, ze strony odwrotnej, rzekliśmy z powodu ówczesnego króla polskiego. Musimy, mianowicie, przypomnieć i do właściwej służby powołać jedyne słuszne w tych rzeczach kryterjum, jedyne rozumne i sprawiedliwe: kryterjum dziejowo - porównawcze, w całej i pełnej rozciągłości. Ono jedno może nam w tym wypadku dostarczyć trafnej i prawdziwej skali dla naszych wniosków, ono nas nie zaślepi, nie zobojętni w nas uczucia smutku, wstydu albo oburzenia, ale sprowadzi te uczucia do właściwej granicy i miary, wyniesie na wyższy i szerszy, a jedynie właściwy poziom historycznego i politycznego sądu. Chcemy być dobrze zrozumiani. Nie umieli-byśmy, w imię taniego patryotyzmu, ukrywać istotnych win własnego społeczeństwa, ani od napiętnowania ich wymówić się. Lecz chcemy to czynić z pełną świadomością, spokojem i rozważą. Chcemy czynić z należnem uwzględnieniem wszystkich towarzyszących okoliczności, jakoteż nie mniej wszystkich współrzędnych win obcych. Chcemy odsłonić i napiętnować co potrzeba, lecz nie chcemy bez dostatecznego powodu bić się w piersi, szat roździerać, ani w czambuł potępiać. Wyrażamy to zastrzeżenie z jak największym naciskiem. Kładziemy na nie jak największą wagę. Albowiem kładziemy tutaj rękę nie tylko na jednym szczególnie jednej dobie saskiej, lecz na arcydoniosłej, zasadniczej stronie polskich dziejów nowożytnych w ogólności. Uderzamy tutaj znowuż na ten sam, poprzednio zaznaczony, a wedle głębokiego naszego przekonania, nawskroś szkodliwy i błędny kierunek w nowożytnej historyografii polskiej, będący naturalną, ale, w swojej ten-

dencyjnej skrajności, zgola niezdrową reakcją przeciw wcześniejszym niezdrowym a odwrotnym zбочeniom nauki i opinii. Lubowano się wcześniej w mistycznym apoteozowaniu własnej przeszłości, sięgano po koronę męczeńską ukrzyżowanego narodu, widziano tylko swoje krzywdy, zamykano oczy na swoje winy. Obecnie, tak zwane trzeźwe pojmowanie dziejów domowych wyradza się naprawdę w jakąś ascetyczną gorliwość pokuty, skruchy, biczowania się i umartwienia, mającą jakoby odkupić pokaranie dziejowe, zesłane za własne, wyznawane i odwoływane grzechy. Ta nowa metoda, powtarzamy, jest szkodliwą, jest błędną. Szkodliwą, bo obezwładnia, bo poniża samowiedzę narodową. Błędną, bo wychodzi z myśli, z góry powziętej, bo z założenia, w połowie tylko trafnego, wyciąga wniosek dwoisty, w połowie też tylko słuszny, w drugiej wskroś mylny i niczem niesprawiedliwiony. Rzecz słuszna odmawiać pełnego rozgrzeszenia narodowi. Rzecz skroś mylna i niesprawiedliwa całą odpowiedzialność zostawiać narodowi. Tę odpowiedzialność należy dzielić. A mianowicie, należy ją dzielić nie na podstawie jakiegokolwiek uświęconej tendencji apologetycznej, albo oskarżycielskiej, nie na podstawie jakiegokolwiek umówionej tezy adwokackiej, albo prokuratorskiej, ale jedynie i wyłącznie na podstawie jak najszerszej pojętego, uświadomionego najjaśniej, kryterium porównawczego. Błąd zasadniczy owej szkodliwej nowoczesnej orientacji dziejopisarskiej, o której mowa, w tem właśnie ma istotne swoje źródło, że obchodzi się ona bez takiego porównawczego kompasu, że sprawy polskie ogląda i osądza w oderwaniu od powszechnego tła dziejowego. W ten sposób stało się możliwem, iż, w przedstawieniu polskiem polskie dzieje nowoczesne, a zwłaszcza Augustowskie, noszą na czole ohydne znamię jakiejś wyjątkowej, niebywalej potworności, wyjątkowej zbrodni i wyjątkowego przekleństwa. Owóz zastrzegamy się najwyraźniej, iż w te ślady podążyć nie mamy zamiaru. Nie chowając niczego pod korcem, nie upiększając niczego, nie myślimy wszakże bynajmniej głowy posypywać popiołem, rozpacznie biadać i nielitościwie wyklinać. Zostawmy to obcym, zostawmy Haüsserom, Syblom, Sołowiewom. Uczmy się raczej, posłuchajmy, jak oświecony Anglik nowożytny sądzi swoje dzieje krajowe doby hannowerskiej, najściślej współczesne, a z tylu względów ujemnych najściślej pokrewne naszym dziejom doby saskiej. „*No man ought to be severely censured for not being beyond his age in virtue*”. „Niepodobna — tak mądrze zastrzega się Macaulay, kreśląc uderzający obraz oplakanych stosunków angielskich za Walpola, — nikogo surowo potępić za to, iż nie górował cnotami ponad swoją epoką”. Tak, z głęboką rozważą, z dojrzałym umiarem, przemawia wielki dziejopis, mąż stanu

i patriota, który pojmuje, odczuwa i ocenia swoją społeczność nie w oderwaniu od świata i epoki, nie w oderwaniu od czasu i przestrzeni, lecz w nierozłącznym związku organicznym z powszechnością dziejów i kultury europejskiej. Przeciwnie, słuchając zwyczajnych u nas gromów, ciskanych niemal z urzędu na Polskę zeszlowieczną, a szczególnie na saską, można-by mniemać, iż ona istniała *in vacuo*, gdzieś w pustej przestrzeni, albo istniała pośrodku jakiegoś wymarzonego świata sielanki i cnoty. W rzeczywistości, Polska Augustowska istniała pośrodku Europy z pierwszej połowy XVIII stulecia, znajdującej się w stanie niesłychanego politycznego, społecznego i obyczajowego rozkładu. Trzeba znać te czasy, znać ówczesną Europę, znać ówczesne pomniki piśmiennicze, a zwłaszcza dyplomatyczne, najpierwszych, najkulturalniejszych narodów i państw europejskich, aby pojąć, do jakich granic może dotrzeć znieprawienie i wyuzdanie ducha publicznego. Trzeba czytać ówczesną poufną korespondencję dyplomatyczną, gdzie nietylko treść wszędzie odrażająca, ale i forma z rozmysłu skalana, brutalna, cyniczna. a zawsze dowcipna, — gdyż dowcip i cynizm jest wtedy w modzie, gdyż, jak otwarcie naucza taki Grumbkow, podstawą doskonałego dyplomaty jest „*un mélange d'esprit et de brutalité*“, gdyż w dobrym jest guście popisywać się zręcznem oszustwem, wyszydzać wyprowadzoną w pole ofiarę, żartować sobie z przesądów obowiązku i honoru, lekko brać wszystko w życiu, z wyjątkiem jednej rzeczy: pieniędzy. To też przekupstwo jest powszechne. Pokazaliśmy Berlin, gdzie sprzedajni są wszyscy, zaczynając od księcia następcy tronu i księżniczek krwi, gdzie jeden tylko Grumbkow kosztował skarb austriacki 250 tysięcy florenów, nie mówiąc już o małych jurgieltnikach, w rodzaju Derschaua, Pöllnitza i towarzyszy. Pokazaliśmy Petersburg, gdzie obławiają się wszyscy, od Birena aż do początkującego, jeszcze niepokaźnego Kayserlinga, przyczem większość bierze tutaj z zasady z kilku stron na raz, i taki naprzykład Bestużew swoją w tym względzie wszechstronnością zaćmiewa takiego nawet, jak Grumbkow, arcymistrza. Pokazaliśmy Sztokholm i stosunki szwedzkie. Nawet dwór najpoważniejszy, wiedeński, nie jest wolny od tej plagi. Kanclerz cesarski, imponujący hr. Sinzendorf, był na żołdzie saskim i hiszpańskim. Nie są wolne kraje najbogatsze: Anglia i Francya. Wielki Marlborough splamił się pieniędzmi francuskimi, wspaniały Bourbon-Condé angielskimi. O prawodawcach londyńskich okropne daje świadectwo wszechwładny minister: Walpole przechwala się, że zna cenę każdego członka parlamentu. Należy także pamiętać, iż były to osławione czasy Lawa, czasy „Kompanii Południowej“ i interesów ceylońskich w Londynie, „Kompanii

Zachodniej“ i interesów luizyańskich w Paryżu, bajecznych szalbierstw, miliardowych przeniewierstw, w których maczał ręce król Jerzy i Regent Orleans. Ponad całą Europą unosiła się gęsta atmosfera swawoli i rozpasania, przenikająca do wszystkich dziedzin życia publicznego, i która też szczególniejsze odbicie znalazła w piśmiennictwie. Wtedy-to, z tłoczni amsterdamskich, skąd wówczas najgładsze i najnieprzystojniejsze wychodziły druki, ukazała się słynna najpierwsza edycja świetnych i bezecnych Pamiętników kardynała Retza. Rozehwytywano je chciwie, noszono się z niemi, uczyniono z nich katechizm wzorowego męża stanu. Każdy minister, każdy radca legacyjny, każdy awanturnik, od Sekwany aż do Newy, czuł w sobie materyał na drugiego Retza, każdy żywił ambicję zjednoczyć w swojej osobie tyleż zbrodni, sukcesów, hańby i dowcipu, co nieporównany kardynał Gondi. Wtedy także ukazały się prześliczne i bezwstydné arcydzieła Lesage'a. Rozkoszowano się niemi bez miary, a najwięcej w wielkim świecie dworów i pałaców ministeryalnych i pańskich. Dostojni smakosze ocenili nietyle romansopisarza, ile obserwatora. Poznali siebie w dziurawem przebraniu jego dwuznacznych bohaterów ulicy i galer. Poznali siebie najcelniejsi przedstawiciele i sternicy Europy, Gil Blasy i Guzmany d'Alfarache polityki i dyplomacyi. Nie wolno również przepomnieć o nadzwyczajnych świadectwach pamiętnikarskich, zachowanych z tej epoki. Trzeba zajrzeć do gospodarki domowej pruskiej przez jedyne w swoim rodzaju pamiętniki margrabiny Bareith, czelne wynurzenia Pöllnitza, albo humorystyczny dziennik młodego Seckendorffa; do austryackiej—przez szczególniejszy żywot starego Seckendorffa, nauczające rewelacye Foscariniego, albo nieprawdopodobne wspomnienia obu Trencków; do rossyjskiej—przez suche, kronikarskie zapiski Bassewitza, Mansteina, Münnicha, albo barwne obrazki pani Rondeau; do francuskiej—przez zatrute ostatnie karty Saint - Simona, lekkie anegdoty Richeliengo, cięte spostrzeżenia Duclosa, albo jowialne Barbiera; do angielskiej — przez bezlitosne pamflety Swifta, albo perfumowaną a ckliwą prozę pamiętnikarską i epistolarną Chesterfielda i Walpola. Gdziekolwiek się obrócić, jedno i to samo zawsze dobywa się i powtarza wrażenie, jeden i ten sam płynie i potwierdza się wniosek. Zaraza była powszechna i ze wszystkich stron przychodziła nad Wisłę. Albowiem ci panowie z nad Wisły, z którymi tutaj mamy do czynienia, nie byli przecie murem chińskim odgradzeni od Europy, lecz, owszem, zewsząd znajdowali się pod naciskiem jej polityki i jej kultury, byli otoczeni jej wpływem, kształceni jej przykładem, sami skwapliwie udawali się do niej po doświadczenie, naukę i polor, a odbierali od niej zarazę. Te wszystkie rzeczy koniecznie potrzeba łącznie sobie uzmysłowić

i razem uświadomić. Potrzeba wiedzieć i widzieć nasamprzód, co myśleli, czytali, pisali i czynili, jak naprawdę żyli, jakimi byli naprawdę, prawdziwi Europejczycy tych czasów. A potem można wziąć współczesne polskie pomniki, albo cudzoziemskie z Warszawy relacje, i rozsądzić sprawę upadającej Polski doby saskiej. To wymaga nieco zachodu,—zapewne. To zapewne jest droga nieco zmuǳniejsza i przydłuższa. Krócej zapewne, łatwiej i taniej wziąć odrazu pierwszą lepszą anegdotę Kitowicza, albo depeszę Essena, jęknąć *anticipando* nad traktatem podziałowym, i wydać wyrok, skazujący w ostatniej instancyi. Takie wyroki, skoro ferowane są przez cudzoziemców, stoją jeszcze na zrozumiałem uprzedzeniu i na logicznej, świadomej intencyi; skoro ferowane przez domorosłych sędziów swojskich, stoją już tylko na karygodnej lekkomyślności i, żeby rzeczy nazwać po imieniu, po prostu na nieuctwie. Nauka, sprawiedliwość, dobro publiczne, znają tutaj—powtórzmy raz jeszcze — jedno tylko, obszernie i głęboko pojęte i stosowane, kryterium porównawcze, jako jedyny trafny drogowskaz, jedyną mocną i trwałą podwalinę dla dziejowo-politycznych wniosków, orzeczeń i sądów.

SZYMON ASKENAZY.

PRZEKONANA.

P o w i e ś ć.

„Moja najdroższa!

Dziś niespodzianie byłam świadkiem sceny.

Po obiedzie, że to dzień był nieupalny i pochmurny trochę, poszłam sobie z książką na werendę. W tem do salonu, słyszę, wchodzi Jadźka rozśmieszona, opowiadająca coś żywo p. Ludwikowi. Nie zwróciłam uwagi, co? Zaczęli grać niebawem. Ale Jadźka najwidoczniej tyle w tej chwili myślała o muzyce, co ja o tańcu. Smętny nokturn Fielda skakał pod jej wesołym smyczkiem.

— Ależ proszę pani! — zawołał. wreszcie pan Ludwik ze zgrozą.

Ale dziewczyna widocznie usposobioną była przekornie.

— A bo co?

— Czyż to nokturn!

— Ach! bo taki cikliwy...

*) Patrz zeszyt lipcowy.

P. Ludwik w milczeniu zdjął nuty, bo słyszałam jak kartki szeleściły i rozłożył inne.

Popłynęła pieśń Mendelssohna w tempie polki.

— Ależ! ależ...

— Mój Boże, nie mogę dziś panu dogodzić—rzekła złośliwie Jadźka.

— Pani chyba to naumyślnie robi?

— Ja? A to w jakim celu?

— Żeby mnie denerwować.

— Ja, pana!

Było takie oburzenie w jej głosie, że pan Ludwik widocznie się zmieszał.

— Przepraszam, ale pani mnie taką przykrość robi. Nie mogę znieść, jak kto profanuje muzykę.

Na to poprostu ona w bek! Wyobraź sobie: w bek!

P. Ludwik musiał skamienieć, jak ta żona Lota (ach! przepraszam, ona się w słup soli zamieniła), bo przez chwilę słyhać było chlapanie Jadźki i brzęczenie much w powietrzu.

A potem:

— Panno Jadwigo, co pani jest?

Łkanie jeszcze silniejsze:

Drżący nieco głos p. Ludwika:

— Jeśli pani dziś nie usposobiona do muzyki, proszę, niech pani nie gra.

Słodki idyota! myślę sobie.

Musiał stać tak bezradnie, patrzeć na jej kasztanowate loki i mieć arcyważną minę. Poczciwy pan Ludwik.

— Panno Jadwigo, ja panią bardzo przepraszam!

O jej! a to co znowu? słyszę głos Jadźki:

— Ależ co pan robi... niech pan nie przepraszaj!

Wyobrażam sobie, że ją po rękach całuje...

— Nie gniewa się już pani?

Ona milczy, więc prawdopodobnie patrzy mu w oczy z uśmiechem...

Aha! więc to już tak?

Po chwili wychodzą oboje i z werendy widzę, jak idą do ogrodu już w najlepsze rozbawieni.

O sobie nie mam ci nic do opowiedzenia. Status quo. Chodzimy na spacer, ponieważ niebo nam sprzyja, deszcz nie chłapie. Pływamy czasem łódką, czasem urządzamy koncerty domowe, gramy w cerceau

i krokietą, przy którym p. Stanisław okropnie się klóci, tak, że stanowczo nie chcę go za przeciwnika. Ale właściwie niema wyjścia, bo jak gramy w jednej partyi, to w nim się objawia dziwna tępość umysłu: zamiast mnie pomagać, co leży w interesie partyi, on staje mi zawsze na przeszkodzie. Powiada, że ja się „ładnie złoścuję”. Jak ci się to podoba!

Czas nam schodzi słodko, mile, bez najmniejszego cienia tragedii. Widzisz, wiele hałasu o nic. Ot, już popisałyśmy całe libry papieru o jego ewentualnej miłości, o mojem prawdopodobnem okrucieństwie, rozmyślałyśmy, jakby to on nie zginął od tego ognia okrutnego, który go pali, a co ja mam robić, a w jaką włosiennicę się ubrać... zawsze jednakże ja mam rację: niewinny flirt et voilà tout.

Czy prędko już wracasz do Paryża?

Pisz mi o sobie.

My tu mamy zapowiedziany grand bal u pp. Iglickich. Ciocia powiada, że koniecznie trzeba będzie być.

Sacrebleu!

Twoja un peu Folle, un peu Exagerée, un peu Rien du tout

Eli.“

„Więc nie chcesz, żebym przyjeżdżała, więc naprawdę nic ci nie jest? List twój tak mię zaniepokoił, że nie dowierzałam mu, i wysłałam telegram. Ty mi telegrafujesz, że zdrowa jesteś i wyjeżdżasz z Zermatt. Czy to prawda? Więc nie chcesz, abym przyjechała cię pielęgnować. Czy naprawdę już nie trzeba? Chwała Bogu. Ale jeszcze drzę cała. Zdaje mi się, że cię widzę toczącą się w dół wąwozu ku przepaści, aż mi się zimno robi. Daj Boże zdrowie temu dobrodziejowi, co cię w porę pochwycił. „Skończyło się na wywichnięciu nogi i z tego powodu tydzień cały przykutą byłam do fotelu, bo w łóżku za nic leżeć nie chciałam dla takiej drobnostki“. Dzięki Bogu. A ja wyobraziłam sobie, że ty ukrywasz przede mną swój stan, aby mnie nie niepokoić, że co najmniej złamałaś nogę, że cała połamałaś się, że coś okropnego się dzieje i dlatego telegrafowałam ci, że przyjeżdżam.

Moja jedyna, nie narażaj się. Będę się teraz ciągle niepokoiła. Pamiętaj o tem i daj mi słowo, że będziesz tak ostrożną, jak sama ostrożność.

Prędko odpisz, natychmiast, czekam.

Twoja

H.“

„Wyobrażam sobie ciebie doskonale łązącą po górach, odbywającą karkołomne wycieczki, i zawracającą głowy ciężkim Szwajcarom i suchym Anglikom. Ale ty nie flirtujesz i nie lubisz flirtu, twierdząc, że nie umiesz i jesteś rzeczywiście na flirt za gruntowna. Traktujesz mężczyzn nie jak mężczyzn, ale jak ludzi! Ale... ale... co się stało z tym doktorkiem, Polakiem, który, à la lettre powstrzymał cię na drodze ku przepaści. To on również leczył twoją zwichniętą nogę, a ty, niewdzięczna! nic nawet o nim nie wspominasz. Czyżby zniknął jak „sen jaki złoty“, nie próbując wryć się w twą pamięć? „Ukażał się i zniknął już“, co?

Młody, rodak, na obczyźnie, wybawiciel i „uzdrowiciel“ a ty nic?

Jak ty nie umiesz bawić się, złota.

Ja bo bawię się tu coraz lepiej.

Zrana o godzinie 8-ej budzi mię z oddali dochodząca muzyka.

To pan Ludwik gra. Ma ten zwyczaj, że zrywa się o tej godzinie z łóżka i czempredzej do skrzypiec w tem błogiem przekonaniu, iż taki wczesny ranek jest od tego, aby normalni ludzie, nawet na wsi, spali jeszcze. Dlatego też grywa i późnym wieczorem, bo późnym wieczorem normalni ludzie również śpią. I jestem pewna, jest tak o tem przekonany, iż nawet nie przyszło mu na myśl naocznie to sprawdzić.

Ja zaś zrywam się wtedy z łóżka i przez uchyloną ostrożnie firankę rzucam spojrzenie w sad.

— Aha! jest.

To Jadzia w białym negliżu z szafirowemi lub pąsowemi wstążkami, siedzi niby z książką, a w rzeczywistości cała zasluchana w czarodziejskie dźwięki, płynące z pod smyczka p. Ludwika.

Skonstatowawszy to, czempředzej wracam do łózka i najsmaczniej sobie zasypiam. P. Ludwik ma słuchacza, jestem mu więc nie potrzebną. I za to sny mam cudowne, aż do przebudzenia się, a wstaję omal, że nie ze śpiewką na ustach.

Dzień zaczyna się radośnie.

Do południa prawie nie wychodzę ze swego pokoju. Trochę maluję, a jak nie mam usposobienia, to czytam, piszę listy. Herbatę piję w swoim pokoju.

Jadźka gra z p. Ludwikiem, wujowstwo przy gospodarstwie, chłopcy śpią. Oni idą spać, kiedy wujowstwo wstają i od tej kwestyi niezmiennie zaczyna się rozmowa przy obiedzie, o godzinie drugiej, chwila kiedy bez zawodu wszyscy zgromadzamy się w dużej, cieniejszej jadalni.

Chłopcy tylko co wstali, jakkolwiek my z Jadźką razem, albo każda oddzielnie, zrobiliśmy już spacer i wracamy pomęczone i zgłodniałe.

— A hultaje! świat się do góry nogami przewraca! z dnia robią noc!—burczy wuj.

Ale chłopcy rozbrajają go:

— Wie papa, ten balwan Tadeusz wpakował się na pięć bez siedmiu.

— No, no!—mówi wuj.

— Seryo—dowodzi Józiek.

Tadzik usiłuje się bronić, ale Józiek mówi.

— Balwan.

— Sam balwan jesteś. Bez koloru grasz.

— Na renonsy! na renonsy chciałem.

— Djabli ciebie wiedzieli.

Józiek już pięść podnosi, aby wałnąć w stół z oburzenia, podczas kiedy wuj się śmieje, że Józiek ma rację, ale ciocia mityguje:

— Chłopcy! jak wy się wyrażacie.

Józiek pogardliwie macha ręką, a Tadziek zwraca się do mnie:

— Twoje paryskie uszy cierpią męki, co?

— Proszę, pozwól sobie;—mówię uśmiechając się, co go niewymownie drażni.

Edek już opowiada o jakimś nadzwyczajnym mięśniu, który znalazł przy sekcyi żaby. Zapala się, cytuję nam łacińskie nazwy, demonstruje po nożu i widelcu.

— Dość! dość!—wołam.

Odbiera mi to apetyt.

Ale po chwili on swoje. Niema nauk nad nauki przyrodnicze. Fیزیologia to grunt. Zrobić odkrycie jakie ważne, kopać się w laboratoryum...

— Flirtować z pannami—podpowiadam.

— To nie przeszkadza.

— Ty-byś był dobry, ale ty się uczysz i pracujesz dla przyjemności,—obserwuje Tadzik.

Ale Edek mało sobie z tego robi. Doktrynera w nim ani za grosz. Ty wiesz, ja nie idee i dążności Tadzika ośmieszam, ale jego pozę. Zresztą ja wiem nawet, że i ta poza, to tylko często wynik szczerych przekonań i że z takiego pana, który dużo mówi o pracy dla społeczeństwa, może się naprawdę wyrobić pożyteczny członek zbiorowiska ludzkiego, ale wiesz, les grands mots zawsze mię trochę bawią. Więc lubię bardzo i Tadzika, bo to uczciwy chłopak, ale zawsze muszę go trochę podrażnić.

— No, no, nie wyciągajcie się na kwestyje—mówi Józik.—Do djabła z tem.

On woli dyskutować o wińcie i rzeczywiście wpada w zapał oratorski, jak zacznie mówić o polowaniu. Ale ja się na tem nie znam i opowiadania jego nie tkwią mi w pamięci. Szanuję jednak i jego indywidualność. Dla mnie wszystko, co chcecie, byle człowiek nie był banalny.

Wuj bieduje:

— Żaden na gospodarza. A to się wyrobili! Chyba Józik najwięcej.

— Daj ojciec mnie w dodatku pięć tysięcy, to będę gospodarzył, o je!—mówi Józik.

Tadzik oświadcza:

— Ja, owszem. Będę siedział na wsi i z ludem miał do czynienia.

— Czemu teraz z nim nie przestajesz?

— Bo jeszcze nie umiem. To nie tak łatwo.

— Ja myślę! Oni ciebie zjedzą razem z twemi ideałami—twierdzi wuj.

— Ojciec nie zna ludu.

— Ja całe życie siedzę na wsi.

Ale dopiero kiedy przyjdzie p. Stanisław, dzień staje się prawdziwie rozkosznym. Bawię się. Jest mi tak przyjemnie, jak dawno nie było, więc wynalazłam nowy powód do gryzienia się, bo wiesz, ja długo bez spleenu wytrzymać nie mogę.

Ot, powiadam sobie:

— Dobrze ci jest tutaj, przywiązujesz się do ludzi, otoczenia, życia tutejszego, a zapominasz, że jak ci przyjdzie oderwać się od tego, to może będzie boleć. Lecisz, jak ćma na ogień. Przecież tu nie zostaniesz, to nie twój kąt, nie twoje miejsce, pójdiesz w świat. Więc uciekaj, póki czas, bo później może ci się odejść stąd nie będzie chciało.

I każda chwila słodsza, miłsza, gryzie mnie.

Zamyślałam się czasem mocno, nawet przy p. Stanisławie, i kiedy raz pytał, przyznałam się do swych myśli.

On zbladł, ale to powiadam ci, zbladł i przymknął oczy, ale to trwało sekundę,

Jednak mimowoli spytałam:

— Co panu?

A on rzekł:

— Jeszcze nie czas, abym pani wyznał powód mego wzruszenia. I to źle, że pani je spostrzegła.

— Nie rozumiem— rzekłam chłodno.

A on popatrzył mi w oczy, a potem podniósł moją rękę do ust.

Żle!

Jeżeli mnie pokochał, dlaczego ze mną politykuje i dlaczego nie odchodzi, choć widzi, że ja się nie poddaję.

Chciałam mu odebrać rękę, ale raz zawładnąwszy nią, nie puszczał.

Zaczął się gniewać!

— Czy i tego niewolno? Ach! Boże, co się pani ręce stanie?

— A toż co nowego?

— A bo mię pani z cierpliwości wyprowadza. Słowo powiesz, mrozi lodowatym spojrzeniem. Spojrzysz od duszy, królowa groźnie brwi ściąga. A jednocześnie: marz! patrz! słuchaj! truj się! Dobrze sobie. Gdzież to logika? Psa nawet pan, kiedy trzyma w karności, głaszcze go i pieści od czasu do czasu. A pani mi z własnej woli nawet tyle nie daje, co psu.

— Czy obiecywałam co panu?

— Nie, nie! Ale czy to ja mam czekać, aż u pani serce odka-mienieje?

— Nic nie czekać.

A on puścił dłoń moją, spoważniał i po chwili rzekł:

— A nieprawda. W duszy pani jest ślad, który ja zaszczepiłem mimo pani woli i wiedzy. Czas dokona reszty. Niema rzeczy, którychby wola świadoma i uczucie prawdziwe nie pokonały i nie zdobyły.

— Pan, mnie?

— Chociażby.

— W jakim celu?

— Ażeby panią uspokoić, a siebie uszczęśliwić.

Byłam tak oburzona jego zuchwałstwem, że odsunęła się od niego i rzekła prędko:

— Żegnam pana.

On skłonił mi się poważnie i spokojnie zupełnie powiedział:

— Pani pozwoli, że ją doprowadzę. Ciemno jest i nie mogę zostawić tak pani samej.

Wracaliśmy w milczeniu i w milczeniu, ukłoniliśmy się u progu domu.

Siedziałam na werendzie długo w noc, pogrążona naprzód w gniewie, potem w czarnej melancholii...

Spostrzegam się, że się wypisała! A wcale przyznać się do tego nie chciałam. Miałam ci powiedzieć: bawię się i jest mi dobrze, tymczasem zdradziłam się.

Bawię się, ale do zabawy mojej zaczynają się mieszać niepokój i żal.

Może ty masz rację, najdroższa, że flirt to niebezpieczna zabawa?

H.“

„Chodziłam dziś cały ranek trochę kwaśna; po obiedzie zaś nastąpiła w całym domu taka cisza, że miejsca sobie znaleźć nie mogłam. Wujowstwo bowiem, jak zwykle, udali się na poobiednią drzemkę, Jadzia zamknęła się w swoim pokoju pisać listy do swych przyjaciółek, p. Ludwik również zamknięty w swoim pokoju, nie wiem co robi, a chłopcy od rana pojechali na polowanie w sąsiedztwo.

Siedziałam sama w salonie, wtulona w róg szezłagu i nieczytany numer Tygodnika Ilustrowanego rozsypany leżał koło mnie. Możliwe, że zdrzemnęła z nudów i irytacji—nie wiem, dość, że nie usłyszałam kroków wchodzącego do pokoju p. Stanisława.

Zdziwiona patrzyłam, jak stał przede mną i, zanim ocknęłam się zupełnie, powiedział:

-- Jak pani ślicznie śpi.

Zerwałam się oburzona.

— Nie spałam wcale!

On uśmiechnął się.

— Przepraszam panią najmocniej za śmiałość. Był-bym się cofnął, spostrzegłszy, iż pani ma oczy przymknięte, ale już było za późno.

Stałam przed nim gniewna i myślałam, co mam mu powiedzieć, bo widocznie jednak drzemałam trochę, albowiem czułam jasno, iż nie mogę jeszcze dobrze myśli połączyć.

— Czy pani mi nie poda rączki na powitanie?

Potrząsnęłam głową przecząco, a ten, wyobraź sobie, potwór! uśmiechnął się.

— Dziecko.

— Co? co pan powiedział!

— Mój Boże, jaki ja jestem nieszczęsny... a przyjechałem właśnie panią przeproszać.

Podszedł prędko do mnie, wziął mnie za obie ręce, posadził na krzesło, sam osunął się na dywan i, nie puszcżając moich dłoni, mówił:

— Proszę się nie gniewać... ja bardzo przepraszam i bardzo żałuję, że taki jestem zuchwały. Bo o to się pani gniewa, prawda? Nie trzeba się gniewać, bo mnie bardzo, ale to bardzo przykro i miejsca sobie znaleźć nie mogę i wyrzucam sobie, że pani taka dobra dla mnie, pozwala mi być przy sobie, a ja panią zrażam i sceny pani robię, kiedy nie mam dotego żadnego prawa. Nie trzeba mi mówić, nie! nie! ja sam wiem, że pani nic nie obiecywała, że ja sam leżę w ogień. Nie! nie wrywać rączek... ja bardzo proszę i bardzo przepraszam i obiecuję być posłusznym. A widzi pani! nie może się już pani gniewać i ot, ot, zaraz się pani uśmiechnie... a co!

Więc cóż miałam robić? Przebaczyłam mu i w dodatku jeszcze pozwoliłam mu obejrzeć swoją pracownię. Nie był tam jeszcze nigdy. Oglądał moje szkice i studia i nic nie mówił. Trochę mię to intrygowało, aż wreszcie rzekł:

— Mój Boże, pani taka artystka, a ja co? Naturalnie, że pani nie może mnie kochać.

— Czy to znaczy, że tylko artystę mogła-bym kochać.

— Hm... czy ja wiem. Choć właśnie może to i dobre. Pani sama ma duszę niespokojną, kapryśną, zmienną—to pani potrzebuje człowieka pewnego, spokojnego, mocnego i równego. Trzeba tylko, żeby on panią rozumiał i kochał bez granic. Ot, jabym takim akurat był dla pani!

— Nie może być...

— A doprawdy, wcale nie żartuję. Czyż nie przykro nie mieć gniazdka swego, ciepłego, miękkiego, które zawsze czeka i zawsze przyjmując gotowe. A czyż nie smutniej jeszcze nie mieć duszy bliskiej, której zawsze poskarżyć się można w smutku, a podzielić radością. Pani tego nie ma, ale pani może-by i chciała. Tylko pani nie wierzy, aby to było możebne, prawda? A ja podejmuję się przekonać i nawrócić panią. Jabym panią na rękach nosił i jak skarb chował, i jak największą świętość szanował. A kochał-bym panią...

Ale złość mnie zdjęła, więc przerwałam złościwie:

— Bym?

On pomilczał chwilę, a potem, pochylając głowę nad rysunkami, rzekł spokojnie:

— A naturalnie. Czy pani przypuszcza, że już kocham?

— Czy nie mogę przypuszczać?

— Nie. Widzi pani, nie mogę kochać osoby, która mnie nie chce.

— A gdybym chciała?

— Marzę o tem i dlatego chcę panią nawrócić.

— Nie rozumiem takiej warunkowości uczuć.

On mi nie odpowiedział. Przewracał rysunki i pilnie im się przyglądał.

Więc znowu rzekłam:

— Jak to szczęśliwie. Jak to wygodnie umieć opanowywać i kierować swojemi uczuciami. Ot tak: raz! dwa! trzy! chcę, kocham, nie chcę, nie kocham.

— Bardzo wygodnie.

A ja zaśmiałam się głośno.

— To świetnie. Więc mogę się z panem bawić, jak mi się podobą. Nic panu złego się nie stanie.

Aha! pobladłeś kotku!

Pobladł, ale rzekł spokojnie:

— Nic mi się złego nie stanie.

Czy on tylko panuje nad sobą, czy rzeczywiście nic mu nie grozi?

Nic nie rozumiem.

Ile-to razy wydawało mi się, że on mnie kocha i już gotowam była bić na alarm i głos sumienia zaczynał się we mnie podnosić; a tymczasem, jak tylko chcę się o tem przekonać i on to spostrzeże, zamyka się na cztery spusty i tyle się dowiesz!

Nie rozumiem.

Jeżeli nie kocha mnie, to dlaczego działa umyślnie na moją obraźnię? Czy ja tego nie widzę! Nie, ptaszku, nie chcesz się tyl-

ko przyznać. Jaka ja głupia, wdając się w te rozumowania. Toż w oczy bije.

On mnie kocha.

I cóż ja teraz z tym fantem zrobię, Janiu?

Właściwie miłość to tak dobra zabawa, jak każda inna. Nie warto sobie tem głowy zaprzętać. Ale kiedy ja mimowoli myślę o tem.

„Nic mi się złego nie stanie.“

Tem lepiej! tem lepiej! bo jabym chciała móżdżek zawsze się z nim bawić, słuchać jego spokojnej, pewnej mowy, być przy nim, nawet się złościć na niego. Chcę, aby nie zrażał się i nie odchodził, bo jest w nim coś, co jednocześnie działa na mnie i uspakajająco, jak odurzający trunek. Bez niego jestem znudzona, apatyczna, przy nim kipi we mnie życie.

Nie kocham go. „Le roi est mort, vive le roi!“ to-by było okropne. Nie kocham go, ale jest mi z nim spokojnie, rozkosznie, dobrze dobrze! Lubię go i chcę, aby nie odchodził!

Janiu, oświeć mnie.

Elka.“

„Co znowu, Janko, co znowu!

... „prosiłaś mię i listami swemi upoważniłaś mię do wypowiedzenia szczerze swoich myśli. Mnie się zdaje, dziecko, że ty go pokochasz, jeżeli nie kochasz już...“

Ależ, Janiu...

... „a z drugiej strony powiem ci, że ty potrzebujesz spokoju, zadowolenia, odpoczynku. Człowiek, który ci to da, może liczyć na moją wielką wdzięczność

i sympatyę. Pana Stanisława nie znam, ale z tego, co mi piszesz o nim, wydaje mi się, że z nim mogłabyś być szczęśliwą.“

Jestem oszołomiona twoją energią i pewnością zdania. Jakie to wszystko dla ciebie wyraźne, pewne, nieomyłne.

Ja go mam kochać...

Ależ, Janiu!

Elka.“

„Moja złota,

Ani trochę mię nie uraziłaś. Jak ci taka myśl mogła przyjść nawet do głowy! Ale wierz, dziś dajmy pokój mej drogocennej osobie; je suis aujourd' hui un peu dégoûtée de moi, lepiej mówmy o czem innym.

Więc nareszcie wspominasz mi o doktorku. Jest nawet na tym samym pensyonie w Champex, co i ty.

Gdybym nie była w tej chwili cała minorowa, powiedziałałym ci:

— Ej! Janiu, ej! coś mi to podejrzenie wygląda.

— Że ty temu doktorkowi w oczko wpadłaś, głowę daję.

Ot, wiesz: przeczucie i koniec.

A że ty mi o nim skąpisz wieści, to w twoim stylu.

Więc i ja już milknę. Nie gniewaj się.

Co to pomoże zagadywać. Jest mi jakoś nijako, ale to tak nijako, że tracę wątek do gawędy z tobą.

Jestem nawet bardzo wesoła, śmieję się dziwaczę, gadam dowcipy, ale już p. Stanisław kilka razy mnie pytał:

— Co pani?

Pytanie!

Edek dzisiaj rano przyszedł do mnie i wyciągnął mię na przechadzkę.

— Słuchaj, Hela, tobie coś jest.

— Mnie? zwaryowałaś.

— Może być, ale mnie się zdaje, że nie; jesteś zdenerwowana.

— Czyż dotąd nie spostrzegłeś, psychologu, jak wogóle mam nierówne usposobienie?

— Tak, ale teraz co innego.

— Cóż?

— Et, obrazisz się.

— Nie, powiedz.

— Ja tak myślę sobie: coś jest między tobą...

— Dokończ, pozwalam.

— A panem Stanisławem.

— No cóż? podobam mu się i on mi się podoba.

— Coś tu nie tak prosto, ja myślę.

— Źle myślisz.

— A może być. Tylko nie gniewaj się.

Więc, żeby zatrzeć wszelkie ślady i wszelkie domysły, zaczęłam mu opowiadać różne rzeczy z werwą niesłychaną. Śmiał się wraz ze mną i wyglądaliśmy na dwoje osób rozbawionych do niemożliwości.

Czasem nie mogę się sama wydziwić, jaka ja jestem naiwna.

Bo Edek odprowadził mnie do domu i całując mnie w rękę, rzekł:

— Nie gniewaj się, Hela, ale ja tobie bromu dałbym.

— Masz tobie!

— No, nie gniewaj się.

A tak właśnie chciałam być równą, spokojną; jakby nigdy nic. Bo właściwie nic nie zaszło, a że ja mam zawsze swoje głupie myśli, w swojej głupiej głowie, co to kogo obchodzi?

Tobie tylko jednej daję na to prawo.

Pisz mi o sobie, to mię najprędzej przyprowadzi do równowagi.

Ot, wiesz, trzeba mi będzie poprostu zabierać się stąd. Jak długo zabawisz w Champex? A co powiesz, gdybym ja tam nagle ci z nieba spadła, co? złota.

Twoja
niemądra

Eli.“

„Ah! ça m'embête à la fin. Wypisuję ci rozmaite głupstwa, roztrząsam kwestye, których miałam nadzieję nigdy w życiu nie podnosić, zastanawiam się nad miłością, prawie w nią wierzyć jestem gotowa, ja, której wierzyć zabrania cała moja przeszłość, obserwuję w jaki sposób dany osobnik reaguje na próby, którym go poddaję, urządzam rozmaite kombinacye, wysuszam sobie mózgownicę, w jakim celu, w jakim celu? w jakim! w jakim!

Obrzydło mi to już wszystko.

Jeżeli nie mogę tout bonasement przyjmować życia, to lepiej nic nie chcieć, zamknąć się na siedem spustów, i nosa na zewnątrz nie wysuwać. To przynajmniej było-by logiczne.

Ale dręczyć siebie w imię czego? czego? zlitujcie się ludzied i być szorstką, nieprzyjemną, dwuznaczną, fałszywą dla innych, jakie mam do tego prawo, nie prawdaż, Janiu? Psuć sobie wszystkie chwile i truć je innym, to już doprawdy dowodzi braku piątej kleпки w głowie (powiadają, że jest ich pięć...).

Dosyć tego.

Moje refleksye, doświadczenia, wnioski—są licha warte.

Obrzydło mi to.

Gotowam znieawidzić p. Stanisława, który zmusza mię do roboty i do postępowania, które mi są niemiłe.

Jestem zła, zła, zła!

Nie wolno się do mnie zbliżyć.

Jestem wściekła, bo nie maluję.

Co ja złego zrobiłam temu człowiekowi, iż zatrął mi mój spokój i zdolność do pracy. Trzyma myśl moją przy sobie i nie umiem się z pod tego wpływu wyzwolić.

Nie czuję ani odrobiny uczucia do tego spokojnego, zimnego, tajemniczego człowieka, który mnie, jak to się nazywa, kocha. Tak, kocha ale serce swoje i wolę, i czucie trzyma w żelaznych rękach i tem mocniej się zacina, im ja natarczywiej chcę wydrzeć z niego tajemnicę.

Zazdrość...

Aha! cóż, wszak nie jest mym narzeczonym, więc nie ma prawa nic mi powiedzieć, wie to i nic nie mówi. Milczy i ściska zęby.

Widzę, że ściska zęby, więc flirtuję z zaciętkością jakąś.

Dla czego milczy, kiedy tyle już mi był dal do poznania?

Jaka ja śmieszna! Więc cóż mnie to obchodzi, czy on mi ileczy czy mówi, czy zdradza się, czy jest jak sfinks.

Żadnego zaufania nie ma do mnie. Boi się. Nie podobam mu się taka, jaka jestem. Czyż to żona dla niego? Słusznie! Słusznie!

Moja Janeczko, wyzwierzam się przed tobą, bo mi to ulgę robi. To atak nerwowy! Ale ty uwagi na to nie zwracaj. Nerwy, ty wiesz!

Nieczyją żoną nie będę. Gdzieżbym wytrzymać mogła poddana kurateli mężowskiej, mająca ciągle bez ustanku kogoś nad karkiem. Zwaryowała-bym. A mnie i tak do tego niewiele brakuje.

Flirt z p. Stanisławem zmęczył mnie. To nie flirt, to ciężkie roboty... Uf!

Chcąc mnie zdobyć, trzeba mi mówić o miłości, jęczeć, rozpaczać, łamać ręce, błagać. Trzeba mi u nóg leżeć. Ja to lubię. Ja tego chcę, wiele wskórasz dumą swoją szanowny panie. Brzeziewice, wiele! wiele!

Jak on mnie nie rozumie.

Nie Kocham go. Nie, ponieważ nie rozumiem, co to miłość. Nie! rozumiem, jaką-by być mogła, jaka jest w fantazyi poety, ale nie w życiu. Nie Kocham go, ale w tym człowieku jest coś, że chcę go zdobyć, aby rzucić.

Zegnę go. Zwalczę jego dumę, za to, że mi się opiera.

Nie Kocham go.

N a z a j u t r z.

Prędko, zanim Marcin pojedzie na pocztę, dopisuję słów parę. Nie bierz moich bazgroł na seryo. Tyle hałasu o nic. Ani zdobywać, ani karać go nie chcę. Nic on mnie nie obchodzi. Nie warto się o to troszczyć.

Znużona jestem. Spleen mię napadł, bo pracować nie mogę. W beczynności jestem upadłą moralnie kobietą. Praca mnie uszlachetnia.

Chciała-bym już się z tobą jaknajprędzej zobaczyć.

Droga moja, pomyśl tam pocziwie o mnie, wiesz...

H.

„Moja jedyna,

Piszesz, że śliczne masz lato, prześliczne spacerzy, przyjemne towarzystwo, i że Szwajcaryca cię zachwyca.

Szczęśliwa!

I chwala Bogu, bo kto więcej, niż ty, zasłużył na trochę spokoju, na trochę chwil jaśniejszych. Daj Boże, aby twoja rezygnacya—nie umiem tego u ciebie inaczej nazwać, taka szlachetna, taka wzniosła ożywić się mogła odrobiną słońca i uśmiechu! Wszak życie czasem obdarza szczęściem niektóre swoje dzieci. Oby wszystkie najpiękniejsze promienie na ciebie skierowało. Ty mi nic nie piszesz o p. Emilu, prócz pobieżnej wzmianki, że razem odbywasz cudne wycieczki; jak chcesz Janiu, ale ja wiem, że on się w tobie kocha.

Może być miłość, może. Ty mnie nie słuchaj, to tylko ja należę do tych ludzi, którzy słodyczy uczucia nie zaznają nigdy, bo nie umieją nic brać prosto, świeżo, naturalnie: po ludzku. Jestem upośledzoną moralnie istotą. Sama psuję sobie życie. Nic chcieć mocno, silnie, nie umiem, więc i w nic wierzyć mocno, silnie, nie potrafię.

Jestem znużona, p. Stanisław mię nie bawi, nie wiem co się dzieje wkoło mnie, a tu jutro bal u Iglickich. Nie pójdę.

Nie; wiesz? une idée: pójdę! i będę bawiła się jak szalona, chcę kokietować, flirtować, wyzywać, palić! To mię wzrusza! To lubię! Tak, trzeba wymyślić jaką efektowną toaletę. Oh, niedołęga ze mnie, jutro bal, a ja nic przygotowanego nie mam. Chcę się bawić. Pour épater le monde, będę wystrojoną, wygorsowaną, avec des demons fous, które umiem pokazywać, jak chcę. Coż ja włożę? Czekał! Biała? Ach! nie na jutro. Czarna, nie, to jeszcze za correct. Już wiem.

Czy pamiętasz tę żółtawo-różową, którą obiecałam ci, że nie będę nosić, bo jest koloru ciała i obciska mnie niby pancierz, i stanik ma, twojem zdaniem, zbyt wycięty. Ale wiesz, doprawdy, teraz noszą suknie tak obcisłe i décolté tak obfite, że, zaręczam, strój mój nie wyda się ani o połowę tak wyzywającym, jakim jest w intencji, chociaż ten frazes przeznaczony jest na to, aby cię uspokoić—jakie to szczęście, że jak ty odpiszesz, to już będzie po wszystkim. Jutro bal. Złota moja, dostają gorączki.

Słyszę jak wołasz:

— Pysznic jej na głowę i bromu, bromu!

Tak, tak. Nerwy, wiem. Jak dusza chora jest, mówi się nerwy.

Dość już mam rozumowania i cnoty.

Ukochana, nie zabij mnie.

Może jestem marna i nikczemna, ale nie mogę inaczej.

Na p. Stanisława zero uwagi.

Chcę pohulać trochę... to tak przyjemnie.

Wolno mi; nie mam męża, o którego honor dbać-bym powinien
Wolno mi.

Jutro ani słówka do ciebie, dopiero po balu napiszę ci, czym się dobrze bawiła.

Twoja

Waryatka“.

„Janiu, słuchaj, jestem jeszcze oszołomiona, nie wierzę, że to się stało, nic siebie nie rozumiem, czy zaraz nie wpadnę w rozpacz, czy może zaraz omdleję z rozkoszy. Czekał, zrzucę suknię, otulę się ciepło, bo ranek był taki świeży, że mnie jeszcze dreszcze przechodzą. Tylko co wróciłam do domu. Odwiózł mnie Edek, bo powiedziałam, że mię głowa rozboleła. Już dzień jest a tamci jeszcze zostali. Poczekaj, włożę kaftanik, zaraz ci wszystko opowiem.

.

Bal był liczny bardzo, całe prawie sąsiedztwo zjechało się, moc młodzieży, panie postrojone. Ja wyglądałam świetnie. Ramiona moje odrazu efekt zrobiły, a w dodatku werwa aż kipiała we mnie (wedle programu), więc otoczona byłam rojem fraków, aż do nieprzyzwoitości. Ciocia była zmieszana trochę mem zbyt jaskrawem powodzeniem. Muszę względem niej naprawić ce manque de respect. Ale mnie to ujdzie, bo mam opinię ekscentryczki.

P. Stanisław, co chwila pokazywał się w sali balowej i co chwila zniknął.

Tańczyłam do upadłego.

On nie tańczył.

Czy to dla tego, żeby nie być zmuszonym mnie do tańca zaprosić.

Był jeden taki młodzieniec, blondyn, wymuskany, z monoklem i blagier...

Takiego blagiera w życiu swoim jeszcze nie spotkałam. Nie odstępował mnie specjalnie. Ośmielałam go umyślnie i udawałam, że się biorę na jego komplementy. Młodzieniec leciał, leciał... i omal, że mi się nie oświadczył. Mam tu opinię posażnej panny, a młodzieniec podobno ceni wdzięki, jak dźwięki.

Właśnie, kiedy nachylony ku mnie słodko przemawiał, w drzwiach ukazał się p. Stanisław.

Mam dobre oczy, więc spostrzegłam, iż wzrok jego zatrzymał się na nas uporczywie i nie odchodził.

Zrobiłam najśłodszą z mych słodkich min.

— Chce pan listka od mojej sukni?— rzekłam młodzieńcowi, który wygłosił z przejęciem:

— O, pani! zachowam go na pamiątkę najpiękniejszej kobiety, jaką w życiu widziałem i jako szczęśliwy omen, że...

Idyota!

Odpięłam liść bluszczu, leżący przy piersi i już go podawać miałam, ale mimowoli opadła mi ręka: przed nami, jak chmura, stanął pan Stanisław i rzekł prędko:

— Pani Łaniewska prosi pani. Pani pozwoli, że ją odprowadzę.

Machinalnie wstałam, rzuciłam uśmiech młodzieńcowi, który zarwał głowę do góry, przypatrując się natrętowi, i przyjąwszy ramię mej chmury odeszłam.

— Ciocia mię woła?

On przeprowadził mnie przez parę pokoi, milczący, groźny, i nagle znaleźliśmy się na ganku, z którego schodziło się do parku.

— Gdzie pan mię prowadzi?

— Do parku.

Zdziwiłam się; ciocia w nocy, zamiast przyzwyczajenie ubierać kanapę w salonie, spaceruje po parku.

Co prawda, powietrze było dziwnie łagodne i park rzęsiście oświetlony, niby salon.

— Gdzie ciocia?

— Nie wiem.

Zatrzymałam się oburzona.

— Więc poco pan mię wyprowadził z sali?

— Ażeby pani nie kompromitowała się więcej.

— Co to znaczy?

— Widziałem, jak pani chciała dać kwiat temu błaznowi.

— Kwiatów dziś nie mam na sobie, tylko liście. Nie zna się pan na botanice, ale mniejsza o to. Więc cóż?

— Może świeże powietrze otrzeźwi panią trochę!

— Pani!

— Czyż pani nie czuje, co pani dziś robi! To już nie kokieterya, nie flirt.

Wyrwałam mu ramię i zawróciłam.

— Gdzie pani idzie?

— Bawić się.

— Bawić się!

Zaśmiał się ostro, pogardliwie.

— Jak ja się na pani zawiodłem!

Stałam.

— Pan, na mnie?

— Tak. Szukałem i zdawało mi się, że znalazłem w pani duszę. Wszystko, co kładłem na karb pani nerwów, to właśnie stanowi pani duszę. Wszystko, co idealnego znajdowałem w pani, to właśnie były nerwy. Od jakiegoś czasu właśnie natura pani wychodzi na jaw: kapryśna, zmienna, powierzchowna, sucha, bez serca. Efekt, wrażenie to pani sfera. Niezdolna pani ani czuć, ani kochać nic poważnego, dobrego. Blichtr! flirt! A ja myślałem, a ja myślałem...

Machnął ręką.

— Czy wolno mi już odejść? — rzekłam spokojnie.

— Niel nic! I pani nic mi nie powie i wróci pani tam, do tego błazna znowu, który do pani nagich ramion się pali.

Wyprostowałam się cała pod tą obelgą.

On cofnął się o krok jeden.

— Nie będę pani przepraszał! Pani nigdy taką, jak dziś, nie była. To można oszaleć! Chciałbym panią mózż zdusić tak, zdusić.

A ja...

Mój Boże! co to było?

Zbliżyłam się do niego powoli, z oczami utkwionemi w jego oczy, wzięłam jego ręce w swoje i szepnęłam:

— Zduś...

On zaczął nagle drżeć, czułam to po jego rękach, które w moich trzymałam. Nagle ogarnęło mnie zmęczenie, powieki ciężkie jak ołów opadły mi na oczy. Zdaje mi się, że się zachwiała na nogach.

Wtedy on objął mnie ramionami.

— Proszę, jedź pani do domu—szepnął.

— Dobrze—odpowiedziałam.

.

Zmęczona jestem, Janiu. Idę list ten położyć w jadalnym pokoju, Marcin weźmie, jadąc na pocztę. Może-bym jutro ci już tego listu nie wysłała. Dobranoc, Janiu, idę do łóżka.

H.

—————

„Nie mogę zasnąć, Janiu, nie mogę wyleżeć na łóżku. Przewracam się z boku na bok, miejsca sobie znaleźć nie mogę.

Dzień już wielki i już gorąco.

Nie mam czem oddychać.

W głowie czuję chaos i jestem pewna, że będę miała migrenę. W skroni mi pulsuje.

Nie mam czem się odświeżyć, nie mogę odpocząć.

Oderwane epizody, obrazy, frazesy, fakty przesuwiają się w mej świadomości, niby nieuchwytnie cienie. Nie mogę się im opędzić, nie

mogę się skupić na jednej, jednej rzeczy, która mnie całą przejmuje, interesuje: jak to było?

Przypominam sobie, odtwarzam i znowu mi się mąci wszystko, zebrać w jedno nie mogę tego, co się stało.

Czy to już mnie z nim wiąże nierozdzielnie?

Fakt jest, że przez chwilę byłam cała w jego objęciu.

Nie jestem dziecko, nie jestem szesnastówka—ale takie rzeczy zostają i wykreślić tego nie można.

Czy on mię już tem samym zabrał na wyłączną własność swoją?

Czy nie mam już prawa powiedzieć mu: nie!

Czy chcę „nie!“ powiedzieć?

Przymykam oczy i zdaje mi się, że ramię jego dotyka mego ciała...

To już koniec?

Więc „tak“?

Tak prędko, tak nagle, tak niespodzianie?

A on jak to rozumie?

Ach!

Jak on patrzył na mnie... co myślał...

Zimny dreszcz mię przechodzi.

Co to jest? Dlaczego jestem taka niespokojna? Co za myśli przychodzą mi do głowy.

On przyjdzie dzisiaj. Jakiemi oczyma spojrzy na mnie? Ja się tego spotkania boję. Po tem, co on mi mówił — w szale zazdrości, ale powiedział—po tem, ja sama rzucam mu się w ramiona...

Janiu, straszna rzecz stać się może!

Jeżeli on mię nie zrozumiał?.. Ja sama nie rozumiem, to cóż dopiero on.

Ale czy tak się pomylić można?

Ja tracę głowę. Pójdę do ogrodu odświeżyć się trochę.

To było-by okropne.

.

Gorąco. Nie mogę ochłodzić rozpalonego czoła. Pójdę do rzeki wykąpać się. Spać mi się nie chce, ale jeżeli nie zasnę, ból głowy na dzień cały, to wiadome.

.

Przyjechał, ale powiedziałam Jadzi, że nieprzytomna jestem z bólu głowy, i nie mogę wyjść do nikogo.

Nie chcę go widzieć... nie mogę.

Głowa mi pęka.

.

Jadzia ostrożnie uchyla drzwi od mego pokoju:

— Czy mogę wejść?

— Możesz.

Niesie olbrzymi pęk róż pachnących, zroszonych, przezroczy-
stych, delikatnych... kładzie mi je na łóżku.

— Pan Stanisław przysłał dowiedzieć się o twoje zdrowie i te
oto kwiaty. Prawda, jakie przepiękne?

— Prawda.

— Czy ci lepiej trochę, Heluniu.

— Lepiej.

— Ale nie przyjdiesz na herbatę?

— Wolała-bym nie.

— Przyniosę ci tu, chcesz?

— Nie, dziękuję ci, nie chcę, będę spała.

— Dobranoc, Heluniu! Zadzwonisz, jak będziesz czego potrze-
bowała.

— Dobrze, dziecko, dziękuję ci.

— Nic nie powiedzić panu Stanisławowi?

— Podziękować.

— Dobranoc!

— Dobranoc.

Zrywam się z łóżka. Kwiaty rozsypują się świeże, pachnące...

Te słów kilka do ciebie i pieczętuję list.

Czuję, że nareszcie zasnę.

Nie chcę myśleć o niczem.

Śpać! spać!

H.

Tyle godzin, tyle wieków męki — napróżno.

Noc przespałam snem ciężkim, kamiennym i obudziłam się dziś o dziewiątej rano, uspokojona już i z dziwnym przeczuciem w duszy, iż skończy się moja niepewność na dobre.

Prędiutko wzięłam kąpiel, włosy zwinęłam bez fryzury żadnej w jeden węzeł, narzuciłam biały, batystowy szlafroczek, w którym mi bardzo do twarzy, wypilam śpiesznie herbatę — czego się śpieszyłam? Żeby mi kto powiedział! I coś mnie gnało do ogrodu, na świeże powietrze, do słońca.

W parku naszym jest jedna aleja w samej głębi, opuszczona, zarosła, z dwoma płatami zielonej murawy po obu stronach i z kilku nędznymi, smutnymi wierzbami srebrnymi. Po tej alei chodzić lubię namiętnie, bo cicha, bo melancholijna, bo zapomniana i smutna.

Poszłam tam się przechadzać i chodziłam z jednego końca w drugi, tam i z powrotem, swoim zwyczajem, a wiatr rozwiewał szerokie rękawy mego szlafroka, i było tak świeżo, pomimo słońca i dnia lipcowego.

Cień jakiś na ścieżce... Czulałam, że cała krew z twarzy ścięła mi do serca. Nie spodziewałam się go tak wcześnie.

— Niech pani ze mną pójdzie na spacer... daleko stąd... od ludzi...
— rzekł, nie witając się ze mną.

— Jestem nieubrana, — rzekłam cicho.

— Niech pani prędko narzuci płaszcz, czy jaki gałgan. Nie będę zachodził do państwa, wyjdę na pola. Zaraz, dobrze?

Pobiegłam prędko do domu, chwyciłam płaszcz swój mauve, lekki taki, parasolkę do ręki, i w kilka chwil potem byłam już przy nim.

Szliśmy prędko, w milczeniu, w kierunku rzeki, pod las, przez złote pola, porosłe żytem, którego kłosa wiatr słał po ziemi. Słońce wesoło siało po ziemi, po zbożu, po nas, swe jasne promienie.

Wreszcie on spytał miękko:

— Dlaczego pani taka blada?

Uśmiechnęłam się, ale jakieś dziwne uczucie ścisnęło mi gardło i nie mogłam nic odpowiedzieć.

— Nie chciałaś mnie pani widzieć wczoraj, dlaczego?

— Głowa mię bolała.

— Dlaczego głowa panią bolała? Czy żalujesz?

Wyciągnął rękę ku mnie, ale cofnęłam się przerażona.

— Czego się pani boi?

Wziął delikatnie dłoń moją w swe ręce, i leciutko dotknął jej ustami.

— Czy moja?

Milczałam.

Opuścił powoli rękę moją wzdłuż sukni.

— Co pani? Panno Heleno, pani przecież zrozumiałaś, że wtedy na balu, to był tylko szal zazdrości. Ja nie potrzebuję pani mówić, że nie wierzył w żaden frazes, który usta moje wymawiały. Przebaczyłaś mi?

Czułam, że krew zalewa mi twarz, czoło, szyję.

On patrzył na mnie, a potem nagle ukląkł na ziemi, w piasku, i objął ramionami nogi moje:

— Niegodzien jestem dotknąć czołem twego bucika.

Pochyliłam się i dotknęłam jego ramienia:

— Proszę, niech pan wstanie.

— Nie wstanę, póki nie powiesz: przebaczyłam!

Uśmiechnęłam się.

— Przebaczyłaś?

Kiwnęłam głową.

— Powiedzieć!

— Przebaczyłam.

Wtedy on wstał, strzepnął piasek z kolan, zrobił ruch, jakby się chciał do mnie zbliżyć, odstąpił, całą piersią zaczerpnął powietrza i rzekł z komiczną rozpaczą:

— Jaką ja będę miał biedę z moją malutką panią, strach pomysleć!

Tak byłam nieprzygotowaną na ten zwrot, iż patrzyłam na niego wytrzeszczonymi oczyma.

— Jak cię dziwi! Będę cię musiał uczyć kochać. Bo nie umiesz, pomimo całej swej mądrości. Śmieję się, śmieję! a zobaczysz.

No, powiedział ot, i po tragedyi.

Poszliśmy nad rzekę.

Rzeka leżała złota u stóp naszych. Siedziałam na trawie, w płaszcz zawinięta, iż końca pantofli nie widać było z pod niego. Głowę miałam opartą na obu dłoniach, „jak korona kwiatu na swym kielichu“, on powiedział, i słuchałam, co on mi mówił.

On mówił, że ja jestem królowa, ale że nie umiem się obchodzić z poddanymi, bo wzrok mój zbyt wysoko błądzi i szuka równych sobie, a że takich niema, więc, niezadowolony i zawiedziony, zamyka się w sobie, i niech się co chce, dzieje! Nic mnie to nie obchodzi.

Mówił mi, iż nic się właściwie nie zmieniło, tylko, iż on ma prawo mówić mi teraz o swej miłości, więc jest szczęśliwy, ale zresztą,

to tak samo, jak przedtem, musi mię jeszcze zdobywać, bo jak sfinks jestem milcząca i kamienna, i dość czasu upłynie, zanim we mnie lód stopnieje. Ale on wie, że ja jestem jego, że będę jego, że jego nie rzucę, bo on wziął mię przemocą i nie puści. Ze mną nie można inaczej, bo zanim się na coś zdecyduje, jemu-by włosy od oczekiwania posiwiwały, więc choć go nie kocham jeszcze naprawdę, ale on wie, że już jestem jego i jest pewien, iż mi się to nawet już wydaje, jako obowiązek. On wie, że ja jestem i dobra jak anioł, i obowiązkowa jak ideał, i uczuciowa jak sama miłość, a tylko wmawiam w siebie, że nie, i często maskę taką nakładam, że wydaję się kobietą lekkomyślną i bez serca. Brr! Jak on tego nie lubi. Ale nie jego brać na te kawały. Tylko że pomimo mego poważnego wieku,—ojej! jaka stara, aż wstyd! — jestem dzieciak i dlatego—jestem jego Malutką — i on mię uwielbia.

Czy ja mogę spamiętać, co on mi mówił?

Mówił, mówił, mówił — a mnie od tego mówienia tak ciepło się na duszy robiło, i lekko, i rzeźko, i chciałam wyciągnąć do niego ramiona i wołać:

— Dziękuję! dziękuję...

Ale nie mogłam, i on mi znów mówił, że siedzę taka skulona i taka osłonięta, niby jaka bogini tajemnicza, i oczy mam takie dalekie... dalekie... ale on się tego nie boi, i niech ja sobie porozmyślam trochę, połapię się z sobą, oswoję się z tem, zem już nie własna własność, ale jego, i że choć na razie może mię to nawet gniewać trochę, ale niech ja się choćby i pozłoszczę trochę, to mi dobrze zrobi; jestem tak ładna, że mi złość nie zaszkodzi, a za to potem będę mu wdzięczną, bo mnie z nim musi być dobrze, musi, musi, bo inaczej on się powiesi, i mnie się robi jego żal i będę płakać, a to mnie zepsuje oczy, cudne, szare, tajemnicze oczy, więc szkoda ocząt, prawda? I litując się nad nim, właściwie jeszcze nad sobą będę się litować. Jaka egoistka!

Zdawało mi się, że nigdy nie skończy, że zaleje mię potokiem słów pieszczotliwych jak muzyka, słodkich jak miód, pachnących jak świeże, polne kwiaty.

Tak! Nie umiem kochać.

On pławi się w swem uczuciu. Zdaje się, że siły wszystkie stamtąd czerpie, całą moc, całą pewność, całą ufność. Trzeba kochać — to życie, zdrowie, urok, szczęście! Trzeba całemu oddawać się miłości, do najdrobniejszego drgnienia duszy. Można kochać — jest miłość. Trzeba tylko oczy mieć otwarte, duszę nieuprzedzoną, trzeba umieć się poddać, i wtedy miłość wchodzi w serce, w myśl, w krew, w życie — już jej się nie pozbyć.

Czy ja tak potrafię?

Czem mu zapłacę za to szczęście?

Jestem jakby w hallucynacyi. W uszach mi dźwięczą słowa jego i ten ton jego głosu gorący, pewny, mocny, słodki...

Cisza, śpią wszyscy, a mnie się zdaje, że on jeszcze przy mnie, i całą mnie owiewa atmosfera paląca, a taka jednak świeża, od której tracę zmysły.

Co za rozkosz!

Dniu jutrzejszy, nie zbudź mię z upojenia!..

H.

AL. SUSZCZYŃSKA.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Szujski jako poeta.¹⁾

Jeżeli własnych mało, to tłumaczonych dramatów przybywa znacznie; aż dziwno, że czasu mogło na nie starczyć tak zajętemu pracą człowiekowi. Było to poniekąd wypoczynkiem, w każdym razie rozrywką, oderwaniem myśli od współczesnych ciągłych trosk i fra-sunków. Przekłady te ciągnęły się przez całe życie; w pierwszych latach uniwersytetu już Szujski tłumaczył razem Agamemnona Eschylosa i Sen Nocy Letniej Szekspira (ten nieszczęściem zaginął). Później, kiedy mógł, ile mógł, bawił się temi przekładami i do nich powracał. Tak powstały z biegiem czasu tłumaczenia z Eschyła „Oresteji“ całej, „Prometeusza“ i „Persów“; z Arystofanesa „Rycerzy“ i „Ptaków“, z Calderona „Życie snem“. „Ryszard III“ Szekspira tłumaczony był dla potrzeby krakowskiego teatru, nie w całości, z opuszczeniem scen, które nie miały być grane, i bardzo pośpiesznie, tak, że tłumacz nigdy go za dobre i dla siebie obowiązujące uważać nie chciał, zbyt względem siebie surowy, bo przekład, choć nie bez za-

¹⁾ Patrz zeszyt lipcowy.

rzutu, jest z polskich najlepszy. Były to dobre czasy krakowskiego teatru, kiedy dyrekcya artystów i publiczność z szlachetną skwapliwością chcieli widzieć na scenie dzieła różnych wieków, cywilizacyi i rodzajów. Wtedy zdarzyła się rzecz, nigdy przedtem niasłuchana, prawdziwa grecka komedya na scenie polskiej. Z jakim humorem ciętym, z jaką świetną satyryczną werwą przełożył Szujski nieśmiertelne licytacje Masarza i Kleona, chcących zyskać łaski starego Demosa! Nie obeszło się bez gniewów na Szujskiego za to, że Arystofanes napisał wiecznie prawdziwą komedję. Znać dobrze stary Grek uderzył w stół, kiedy na to uderzenie do dziś dnia odzywają się nożyce.

O wartości i wierności filologicznej tych przekładów nie mnie sądzić. O ich kształcie i stylu polskim dadzą wyobrazenie wyjątki. Tu jedna tylko uwaga: to, że im późniejsze, tem są świetniejsze; młodociany „Agamemnon“, słabszy daleko od „Eumenid“ i od ostatnich „Persów“. Są zaś pewne sytuacje, które on oddaje ze szczególną siłą i natchnieniem, znać poruszają go najgłębiej. Taką jest naprzykład Prometeusza duma i niezłomność, takie skargi i lamenty Persów i ducha Daryusza groźne, smutne do nich wyrzuty.

Z „PROMETEUSZA“.

GWAŁT*ę* PRZEMOC *wiodą* PROMETEUSZA, *za nimi idzie* HEFAJST
z kajdanami i narzędziami kowalskimi.

PRZEMOC.

W dalekie ziemi przybyliśmy krańce
Scytyjską drogą, pustą i bezludną.
Z rozkazu Zejsa bierz się do roboty,
Hefajście! Pomnij, że ci Zejs polecił
Tego zuchwalca do nadmorskiej skały
Niepożytemi przykuć kajdanami.
On-to niebiosom ukradł ogień święty,
On cudotwórczy dał ogień śmiertelnym,
On wziął ci klejnot, któregoś był panem!
Niechże więc splaca świętokradztwa zbrodnię,

Niech się nauczy czić rządu Kroniona,
Miłość ludzkości niech wygasi w łonie.

HEFAJST.

Gwałcie! Przemocy! Co wam Zejs polecił,
Dokonałście. Mnie reszty dokonać,
Ale mi ciężko — ciężko mi krewnego
Bogów przykuwać do odludnej skały!
Nie mam odwagi, a trzeba odwagi,
Bo ciężko ojca nie słuchać rozkazów.

Mądrej Temidy wolnodumeze dziecię,
Wbrew sercu muszęc temi kajdanami
Do tych samotnych przykować granitów.
Twarzy tu ludzkiej nie spotkasz, ni głosu,
Młodzieńcze ciało zwiędnie ci od skwaru
Jasnego słońca, a choć upragniona,
Gwiazd tysiącami przetkana, noc tobie
Zwilży powieki, to wnet jarkie słońce
Utrapiionemu ulgi pozazdrości,
I chłodną rosę wypije z oblicza.
Straszną ci będzie każda terażniejszość,
A nie urodził się, kto-by ci pomógł!
Takie owoce niesie miłość ludzi!
Czemużeś, rodu bożego potomku,
Tak mało gniewu obawiał się bogów,
A ponad słusność ccił śmiertelne stwory?
Przyszło ci stróżem tej skały być smutnym,
Z rozpiętem ciałem, z niezgiętem kolanem
Przyszło ci wieczność przepędzać bezsennie,
W płaczu i skardze przepędzać daremnej.
Zejs bo, jak każdy, co się dorwał władzy,
Nieprześlągany jest i niezmiękczony.

PRZEMOC.

Przestań zawodzić i zwlekać daremnie!
Cóż to? Wrogiego bogom szcędzisz boga,
Co dar twój własny śmiertelnikom zdradził?

HEFAJST.

Wielkąż-bo krwi jest i związków potęga.

PRZEMOC.

Nieposłuszeństwa strach większą być musi.

HEFAJST.

Pełną dzikości, a bez miłosierdzia.

PRZEMOC.

Łzy tu daremne, więc nie trudź się łzami.

HEFAJST.

Stokroć przekłete rąk moich rzemiosł

.

PROMETEUSZ.

O święta powietrzna przestrzeni,
 O wiatru powiewy skrzydlate,
 O źródła przezczyste szumiących strumieni,
 O morskie wy fale, które blask rumieni,
 Śmiejące, wesołe, bez końca.
 O ziemio, ty matko, w ubiory bogate
 Strojna od słońca,
 Ty, słońce, wszechwładną patrzące źrenicą,
 Patrzajcie, co boga od bogów dotknęło!
 Jaka hańba i jaka męczarnia!..
 Patrzajcie: to Zejsa dzieło!
 Napróżno ma boleść gdzieś przyszłość ogarnia:

Lat krocie otchłanną mnie chłoną ciemnicą,
Nie widzę wybawey i końca!

Ależ! co mówię? Wszak znam przyszłość moją,
Żadna mi boleść nowością nie będzie,
Los mój znieść muszę, przeznaczeń potęga
Jest nieugięta. Lecz milczeć mi trudno,
Choć trudno mówić o losu wyrokach.
Żem zniósł śmiertelnym wielki niebian udział,
Żem światła skryte otworzył im źródło,
Sztuk niezliczonych skarbnicę bogatą:
Za to mi gniecie kark to jarzmo kary,
Za to przykuty jęczę na tym szczycie.

Lecz oto!

Co za szmer, co za woń ku mnie nadlata
Z świata śmiertelnych, czyli z bogów świata?
Miałabym wabić ciekawość skrzydlata
Lub co innego gości w to pustkowie?
Ktobądź się zbliża, ludzie, czy bogowie,
Patrzcie! Okuty Prometej tu stoi,
Wróg Zejsa, bóg sam, od bogów wygnany,
Ile do Zejsa wchodzi ich podwoi,
Bóg odepchnięty, że kochał ziemiany!
Ha! Znowu szelest niby ptasząt słyszę,
Cichy szmer skrzydeł mąci niebios ciszę,
Coś zbliża się i lęk mnie napada!

*(Od strony morza przybywa niesiony przez plaki
Chór Okeanid).*

CHÓR.

S t r o f a.

Bądź bez obawy!
Przyjaźne tobie skrzydlami wiotkimi
Szybko na kraniec biegniemy ziemi,
Zmiękczywszy serce rodzica.
W nadmorskich nas grotach pobudził młot krwawy,
A przestрах nieśmiałość nam z lica
Spędził rumianą:

Bledziuchne na twarzy i z kosą rozwianą,
 Z bosemi nóżkami my ptaszym rydwanom
 Wieźć się kazały ku tobie.

PROMETEUSZ.

O córki Tetydy! o dzieci
 Okeanosa, co morza strumieniem,
 Bezsenny, ziemię obejmuje świętą,
 O dzieci, popatrzcie! Jam w wielkiej żałobie,
 Ja kajdan żelaznym przykuty pierścieniem,
 Na stróża mnie skałom rozpięto!

CHÓR.

A n t i s t r o f a .

Ach! Widzim ciebie!
 Źrenice nasze mgłą zaszyły nam białą
 Od łez, któremi nam oko wzbierało,
 Gdyśmy wionęły ku szczytom:
 O drogi! Ty w wielkiej usychasz potrzebie,
 Okrutnie do skał cię przybito!
 Biada! ród nowy
 Panuje w Olimpie, ponury, surowy,
 Nowemi prawami ugniata Zejs głowy
 Pierwej władające berłami.

PROMETEUSZ.

O, gdyby mnie zepchnął do Hladu,
 W noc Tartarosa, co umarłe gości,
 Góry granitów na pierś mi położył!
 Niech-bym się tylko nie spotkał z bogami,
 Ani szyderstwa zwycięzców nie dożył!
 On rzucił mnie na cel ich złości!..

CHÓR.

S t r o f a.

Któryż z bogów ma serce z kamienia,
 By takim widokiem się cieszył?
 Któż jest, aby z litością nie śpieszył
 Ulgą cierpienia?
 Zejs jeden, co boże Uranosa plemię
 Niezmordowaną dłonią ugniata,
 On nie spocznie, aż ujrzy rzucone o ziemię...
 Albo dopóki mu podstęp władzy nie wydrze bułata.

PROMETEUSZ.

A przecież czas przyjdzie, gdy wszechwładcy nieba
 Pokurczonego kajdan brzemieniem
 Będzie potrzeba;
 Ja jeden znam matnię, co zgubna nań czyha:
 Lecz próżno z ust sączyć będzie miód wymowy,
 Napróżno gromkimi przerażać mnie słowy.
 Nie złamię milczenia pierś cicha,
 Dopóki mi własnem nie zdejmie ramieniem
 Więzów z bolesnej postaci,
 Dopóki mi zadość czyniąc
 Hańby i krzywdy nie splaci.

CHÓR.

A n t i s t r o f a.

Twardym jesteś na twoje męczarnie!
 Puszczasz wodze śmiałemu duchowi!
 Mnie zaś w zimne strach ramiona garnie,
 Bo któż mi powie,
 Gdzie kres, gdzie koniec strasznej twojej męki?
 Gdzie przystań spoczynku i ciszy?
 Niezbadana-bo przyszłość z Kronionowej ręki.
 Twardy, lecz on nie widzi i jęków nie słyszy.

PROMETEUSZ.

A przecież czas przyjdzie, gdy sędzia ów srogi,
 Co władzą swoją, władzy swojej k'woli
 Potępia bogi,
 Zwolnieje łagodny, gdy los go mój spotka...

.

Z „PERSOW“.

SCENA 1.

CHÓR.

Perskiego ludu czestną my starszyną,
 Wybraną przez syny Daryusza
 Ku stróży pałacom, ku stróży kraïnom,
 Gdy naród na wojnę wyrusza.
 Wyruszył! Helladę potłumić zuchwałą,
 Wyruszył bezbrzeżną gdzieś falą:
 Nam starym drży serce przed przeczuć nawałą,
 Łzą trwogi się oczy kryształą.
 Od złota błyszczeli, rdzeń siły, kość z kości,
 Kwiat dzielnej, rycerskiej młodzieży:
 A z wieścią zwycięstwa, a z słowem radości,
 Ni jezdny, ni pieszy nie bieży.

Ze starej Suzy, z złotej Ekbatany,
 Z murów Kissyńskiego grodu
 Poszli — tłum nieprzejrzany,
 Nieprzeliczony narodu...
 Jeźdźców błyszczące szeregi,
 Piechoty wężowe skręty:

Tam, gdzie oceanu brzegi
Pochłonęły ich okręty.

.
.

Krola Persow, krola królów sługi,
Pany wojska, wodze nad wodzami,
Ziemia dudni pod ich rumakami,
Od ich luków biją światła strugi,
Strach od hufców ich podlata blady,
Poszli ugnieść zuchwalstwo Hellady.

Poszedł Masistr i Artembar,
Koni dzikich poskromiciel;
Poszedł Imaż łukobrojni,
Farandakes mocarz wojny,
Sostan poszedł, lwów niszczyciel.
Z Nilowej bujnej doliny,
Za rzeką, co miota falami,
Egiptu poszły syny;
Susigan, Pegastagon, Arsames,
Memfis świętego pan możny,
I ten, co władnie Tebami,
Ariomardes pobożny;
Z wybrzeża, na morza straży
Poszedł tłum niezliczony żeglarzy.

Toż z Lydów miękkiego narodu
Poszedł tłum bez miary,
Poszli z Lydii starej
Arktej i Matragat księżęcy:
Z złotego Pardes, z wysokiego grodu
Mnogo zagrzmiało tysięcy
Wojennych wozów, rumaki wartkieni
Parą, lub trójką goniących z wysoka:
Cudo dla oka,
Dziw groźny drgającej ziemi.

Od Tmolu gór i łąków nieprzejrzanych
 Poszli. Tharybes i Mardon w pochodzie,
 Co procarzy jest w Myzów narodzie.
 Poszło wszystko. Z złotem wykładanych
 Babilonu bram, jak wąż tęczowy
 Popłynęły mnogie ludu głowy,
 Plemię majtków i strzelców gromady.

.
 Kwiat ludów Persyi, Azyi plon bogaty
 Poszedł w dalekie strony,
 I Azya wzdycha, liczą czas skrzydlaty
 Matki i żony:
 Tęsknota je zmaga, łza z oczu im ciecze,
 A chwila za chwilą się wlecze.

S t r o f a I.

Już-bo przecie króla królów niewstrzymana armia cała
 W kraj sąsiedni, w kraj zuchwalców ostrym prądem wbiedz musiała.
 Już przez falę Hellespontu, mostem, co mu kark ugniata,
 Spłynąć musiał prąd narodów, zdolen zdobyć końce świata.

A n t i s t r o f a I.

Już od łądu i od morza najdzielniejszych śląc bojarzy,
 Jako burza zagnać musiał panów pan, mocarz mocarzy,
 Chmury ludów, chmury czarne i na strasznej ich rozłodze
 Błysnąć słońcem, on, syn słońca, pogrążonym w niemej trwodze.

S t r o f a 2.

Już tam świeci, ognie zionąc, jak na łupy smok napięty
 Oszczepami Babilonu, Assyrskiemu toż okręty,
 Chmurą strzał rzuconych odzian, dzid najeżon strasznym rojem
 Poszedł mocą nad mocami, niezwalezonym poszedł bojem.

A n t i s t r o f a 2.

Kto się waży stawić czoła strasznej wojsk szumiącej fali,
 Kto żelazną stając tamą, pochód naprzód mórz oddali,
 Kto powstrzyma prąd szalony pękających wraz czeluści?
 Kto odeprze moce Persów, mocy Azji nie dopuści?

M e z o d o s.

Bóstwo tylko! tylko bóstwo... to gdy myśl powęźnie zdradną,
 Próżny odwrót stóp najszybszych: brzegu życia nie dopadną...
 Nie wyplączą się z więcierza, gdzie zwabione weszły snadnie...
 Kto śmiertelny się urodził, w nieśmiertelnych moc popadnie.

S t r o f a 3.

Bóg od wieków Persom znaczył dzielne i zwycięskie boje,
 Zdobył grodów, miast zniszczenie i rycerskich łupów stroje:
 W szczerem polu, wśród rumaków, co wściekłością rzą bojową,
 Dał najwyżej podnieść sztandar, szablą świecić dał stalową.

A n t i s t r o f a 3.

Lecz ten lud znać zaufany w dzikim oceanu szumie,
 Świętość jego poznał groźną, głębin jego myśl rozumie,
 W ciasnej nawy swej skorupie, w poruszonym falą domu
 Żaglom swoim się powierza, nie chcąc prymu dać nikomu.

S t r o f a 4.

Stąd i trwoga mojej duszy, stąd w unyśle ciemność nocy!
 Cyt! bo dojdzie jęk mej piersi do bram Suzy, do sieroczej,
 Bo wysoki gród Kissyjski echem trwogi mej się stanie
 I niewiasty wyjdą z grodu, rwąc zasłony i ubranie.
 Gdy z pszczelnego ula ludu tłum wyroił się za panem,
 Pozostały ze łzą w oku, z włosem zostały rozwianym.
 Zwilżył płacz małżeńskie łoża, gdzie zamieszkał smutek wdowi:
 Cyt! o troskach naszej duszy niech stęsknioua się nie dowie.

Raczej siedząc na stopniach książęcego grodu,
 Radźmy cicho nad dolą narodu,
 Radźmy, co z Xerxesem się dzieje,
 Potężnego synem Dareja,
 Czy powrotu i zwycięstw Nerkowych
 Daleka, czy bliska nadzieja.

CHÓR.

Ani zbytńia pewność szczęścia, ani zbytńia o zło troska
 Niech twej duszy nie przyciska, o Atosso, pani boska.
 Módl się raczej ty do bogów, niech odwrócą cios mierzony
 Na sędziwą twóję głowę i syna, co ulubiony
 Naszą, twoją jest pociechą. Cieniom zmarłych też ofiary
 Nie poskapisz, skoro we śnie Daryusz zjawił ci się stary.
 Niech z ciemności grobu światło ześle ci na padół ziemi,
 Niech światłością zło pochłonie, drżące nad głowy naszemi.
 Wszystko jeszcze szczęśny skutek znaleźć może, jako tuszę.

SCENA 3.

POŚLANIEC (*wchodzi*).

O biada! miastom Azyi biada,
 Biada Persyi bogatej!
 Jeden cios — a rdzeń jej siły pada,
 Jeden cios a sztandar poszedł w szmaty,
 Co nad kwiatem rycerstwa powiewał...
 O, czemu chciał los,
 Aby m klęski nasze obwoływał,
 Aby m głosił, że ten cios
 Zniszczył nas!

Powiem krótko, powiem wraz:
Wojska naszego już nicma...

CHÓR.

Okropność! Okropność! Persowie,
Któż usta wypowie,
Kto wypłacze oczyma.

POŚLANIEC.

Przepadło wszystko! wszystko! sam się dziwię,
Że światło niebios oglądam szczęśliwie.

CHÓR.

Czego przyszło się doczekać,
Na co starców patrzyć będą oczy:
Persom-że uciekać!
Persów-że — wróg troczy!

POŚLANIEC.

Okropna prawda! nie z innych ją brałem,
Ale patrzałem! patrzałem! patrzałem!

CHÓR.

Azya poszła, Azya cała,
Poszła, zbroic bez końca.
Nie! nie podolała
Helladzie córka słońca!

POŚLANIEC.

Nie! nie! trupami leżą wasze syny,
Gdzie Salaminy toń, brzeg Salaminy!

CHÓR.

O, widziałeś na twe oczy,
 Widziałeś, jak je przewala,
 Jak się krwią ich broczy
 Zdrażliwa fala?

POŚLANIEC.

Nie pomogły oszczepy i strzaly,
 Uderzyły okręty... strzaskały!

CHÓR.

O, w krzyk nam! w lamenty!
 W biadanie! w rozpaczę!
 Zgubiony! podcięty
 Lud Persów niech płacze!

POŚLANIEC.

O, póki życia, dopóki godziny,
 Aten nam pomnieć, pomnieć Salaminy!

.

POŚLANIEC.

Po liczbie, iście, nam się tryumf znaczył:
 Xerxes nad żagli przewodził tysiącem,
 Dwieście siedm sławnych biegiem swoim rwącym
 Wiódł naprzód... Garstkę przed sobą zobaczył,
 Było naw razem trzy razy trzydzieści,
 Dziesięć pośpiesznych w tej liczbie się mieści.
 Lecz nie myśl pani, by nas pokonano!..
 Nas demon jakiś zgniótl w to straszne rano,

Bogowie sami gnietli nas swą dłonią,
Oni, co sami gród Pallady bronią!

ATOSSA.

Więc stoi Aten gród — i nieburzony?

POŚLANIEC.

Z męskich ma piersi mur — mur doświadczony.

ATOSSA.

Mów, kto bój zaczął? Helleńskie ziemiany,
Czy syn mój, w siłę swoją zadufany?

POŚLANIEC.

Duch jakiś zaczął zły, o zdradzie w oku!
U syna twego mąż jakiś ateński
Zjawił się, twierdząc, że o pierwszym mroku
W ucieczce szukać będzie lud helleński
Przed straszną Persów przewagą zbawienia.
Syn twój, wszelkiego próżen podejrzania,
Zazdrości bogów zdradzieckiej niepomny,
Powolał wodze floty swej ogromnej.
Więc skoro w morzu oko słońca zgaśnie,
A noc świetlane powietrze pokona,
Kazał się flocie w trzy dzielić ramiona,
By, pochwytawszy uchodzących właśnie,
Żadnego z Greków nie puściła żywo.
Nie wiedział, w dumy pogrążony szale,
W jaką to wyrzekł chwilę nieszczęśliwą.
Potężny rozkaz obiegł morza fale —
Wieczereżę perscy gotują żeglarze,
I wiążą wiosła, jak pan ludów każe.
Toż gdy ostatni przygasł promień dniowy,
Gdy noc nadeszła, każdy mąż gotowy

Z bronią się pełną znajdzie na pokładzie.
Hasła wojenne od nawy do nawy
Płyną, do wielkiej szykując się sprawy,
Noc całą pluszcze fal wiosły sieczona,
Aż każda nawa tam, gdzie przeznaczona,
Stanie wśród śpiącej i ciemnej zatoki.
Ale noc przeszła, a w ciszy głębokiej
Nigdzieś nie spotkał drżącej Greków trwogi.
Toż gdy porankiem w jarkiej światła fali
Brzeg się dokoła zatoki zapali,
Od naw helleńskich powiał śpiew radosny,
A skał nadbrzeżnych echa uroczyste
Krzyk ich wojenny odbiły rozgłośny,
Pełny, nadzieją zwycięstwa natchniony,
Że barbarzyniec zdrzał przerażony!
Nie strachem brzmiały te głosy faliste,
Wojennym ku nam huczały zapalem,
Miedziane trąby gromko im wtórzyły:
Szybko, w takt pieśni, z wysuniętem ciałem
Równemi wiosły nawy morze biły,
Że w roziskrzonym rąbku morskiej piany
Nagle zjawili się, jak bóg zgniewany.
Prawem się skrzydłem ruszyli do biegu,
Za niem w ściśnionym całym tłum szeregu
Kwał się wśród krzyku: W bój dzieci Hellady,
W bój za ojczyznę, za bogów, za dziady,
Leżące w grobach, za dzieci i żony.
Chodzi o wszystko! Więc i z naszej strony
Wołań nie brakło! Walki czas nadchodził.
W tyryjski okręt helleński ugodził,
Od dzioba padły stroje jego złote,
Z trzaskiem się nawy waliły w ciasnotę,
Gniotąc się, dzioby dziurawiąc ostrymi,
Morze się krwawej zdało płatem ziemi.
Zrazu trzymamy się liczby przemocą,
Ale zagnanych w zatoki cieśniny
Gubi nas natłok, gniciem się w ruiny,
Pękają wiosel wśród trzasku krawędzie,
Mniejsze pod większych toną statki wagą,
Gdy greckie prą nas, ściskają, gruchocą,
Żelazną w koło trzymając obręczą.
Wtedy od ruder zniszczonych okrętów,

Od ciał, co toną, od rannych, co jęczą,
 Jużś zielonych nie ujrzał odmetów,
 Tylko co żywo, co wiosłu podola,
 W dal gdzieś gonilo, co ujść mogło zdrowo
 Pod gradem gruzów, co żeglarzy czola
 Ranią, wśród krzyku, gdzie rozpaczy słowo
 Z tryumfujących wiązało się śmiechem,
 Zielonej fali powtarzane echem.
 Tak aż do nocy, czarnej nocy trwało.
 Dnie-by minęły, zanim-by zdołało
 Ucho człowieka objąć grozę kłęski...
 Bo nigdy, nigdy, odkąd hymn zwycięski
 Naród nad drugim narodem zaśpiewał,
 Nie była taka rzeź i strach nie bywał.

CHÓR.

O slysz mnie, błogosławiony
 Boski władzco, użyz ucha!
 Z głębi złamanego ducha
 Wołam do cię, zwycięski, wielbiony,
 Wołam w boleści ku tobie!
 O, czyli mnie ty słyszysz w tym grobie!

O Gajo, o zmarłych stróże,
 Puście wladzcę nad wladzcami,
 Niech stanie między nami
 Technienie królewskie, boże.
 Ten, co nie miał równego sobie
 W żadnym grobie Persyj, w żadnym grobie!

Droga głowo, w cieniach śmierci drogi klejnocie zamknięony,
 Zaświeć nam, o zaświeć nam blaskiem pomocy, obrony,
 Hadesie, wróć go nam, jak był, potężny, niezwyciężony!

Nigdyś, nigdy ludu swego na marne nie wodził boje,
 Kochanek bogów imię twe, szczęśliwe imię twoje,
 Gdyś wiódł, toś do zwycięstw wiódł, w królewskie odzian stroje.

O wstań, o pójdź,
 Pieluchy grobu rzuć.
 Królewska na skroni tyara,
 Na nogach sandałów para
 Żółtych barwą szafranu...
 Niech się skłonię i ojcu i panu!

O wstań, o slysz,
 W wspanialej myśli pisz
 Moją skargę, moje boleści!
 Słyszę już! to Styx szeleści,
 Wstajesz z kurhanu,
 Niech poskarżę się ojcu i panu!

Niezapomniany,
 Nieopłakany
 Nigdy zadosyć!
 Czybyż nam było przyszło przed tobą
 Krzyk ten podnosić,
 Gdybyś żalobą
 Nie powlókł nas sierocą?
 Śmiercią twą, panie, królu nasz święty,
 Giną okręty,
 Floty się nasze gruchocą!

SCENA 6.

DUCH DARYUSZA

(wstając z grobowca).

Starszyno perska! wierne druchy moje,
 Wierni nad wiernych, cóż za niepokoje,

Jaki krzyk ziemię ojezystą porusza?..
 Jaka przyczyna, że wdowa Daryusza
 Obiaty niesie na grób swego męża,
 A dzielnych moich tak boleść zwycięża?
 Sen mi wieczysty przerwaliście trwogą,
 Nie pomnąc iście, jaką trudną drogą
 Ku światłu iść nam dziennemu przychodzi,
 Że bogi Hadu przyjmują nas skoro,
 Lecz nie puszczają tych, których zabiorą.
 Dobrzeć, że nawet i tam mi nie schodzi
 Na władcem słowie, żem mógł się wy dostać...
 Więc mówcie, mówcie, skąd ta rzeczy postać?...

CHÓR.

Święty strach nas chwytą
 Na twój widok, władczy panie!
 Jak za dni, gdyś dzierzał panowanie...
 Drzę, gdy pan nasz i król nasz mnie pyta

DARYUSZ.

Na głos wasz z Hadu przybyłem otchłani,
 Mówcie mi wszystko, mówcie niez mieszani.

.

DARYUSZ.

Więc dokonało się, w pełni stanęło
 Straszne, na zawsze wiekopomne dzieło,
 Dzieło zniszczenia! Więc opustoszała
 Suza, nad którą z Jowisza przejrzenia,
 Trzody i mnogie chroniąc pokolenia
 Dłoń jedna zawsze, króla dłoń władała!
 Gdzie władał Medos, pierwszy wódz narodu,
 Gdzie syn Medosa dokończył budowy,

Mądrości steru dzierżąc się surowej!
 Gdzie Kyros, szczęścia kochanek od młodu,
 Pokoju darem świat weselił cały,
 A łagodnemu nie zazdrościł chwały
 Bóg, chociaż Lidyę i Frygię pozyskał,
 Zwycięskim mieczem Jaonię uciskał!
 Gdzie syn Kyrosa władał, gdzie Mardosa
 Złość nie szkodziła, bo dały niebiosa
 Artafernowi zmieść Persyi zakatę;
 Gdzie ja z kolei przywdziałem koronę,
 Niejedno z ludem zwycięstwo wspaniałe
 Odnosząc, wszelkiej unikając klęski.
 Na mego syna, na dziecię rodzone
 Przyszło ten pochód zakończyć zwycięski
 Szaleń młodości, spuścizny zdeptaniem.
 O mężu moi, wy głośnem biadaniem
 Świadczenie, że żaden, ilu ziemią władało,
 Nie bywał, jakim jemu być wypadło!

CHÓR.

O królu wielki, zwróć słowo inaczej,
 Nie żądaj świadectw, ty powiedz nam raczej:
 Jak wyratować lud Persów z obięży?

Wszak dobrze oddany majestat wielkości i bólu? A teraz zobaczmy, że i z innego tonu grać umie:

DUDEK.

Obudź się małzonko moja, obudź się Prokno smętna,
 Itysa, dziecięcia naszego, zmarłego dziecięcia pamiętna,
 Rozplyń się w pieśni żalu z głębokiej piersi matczynej:
 Przez zwoje liści szemrzące, przez ciemne jasionu krzewiny,
 Do tronu Zejsa niech leci, gdzie bóg z kędziory złotemi
 Uderzy w lutnię zbudzony, spółczując z matką na ziemi,
 Aż pieśni Olimpu dźwięki, aż żalów twych zawodzenia
 Połączą się w nutę jedną: tęsknoty, boleści, natchnienia.

PROJEKTOWICZ.

Jaki ptaszęcy głosik—miodem płynie
W piersi człowiecze.

ZŁOTOGÓRSKI.

Milcz, zaczyna ninie.

SŁOWIK.

Epopoi, popopo, popoi
Jol ito, ito!
O chodźcie skrzydlata
Bracio, co swobodnie lata
Gdzie rolnika łan,
Chodźcie zjadacze jęczmienia,
Co w skoczny tan
Oblatujecie,
Obskakujecie,
Zagony pełne nasienia,
I głową kręcicie,
I wdzięcznie nucicie:
Tio to! tio tio! tio to!
I wy także,
Wy z ogrodu,
Wy od wschodu
I zachodu,
W bluszczu gałązkach,
W krzakach gór
Igrający chór,
Z jagód żyjący,
I śpiewający:
Trioto, troto, tritobrix.
I wy i wy,
Co w tym czasie,
Po bagnach, po łące

Za muchami brodziecie,
 W Maratonu okolice,
 O chodźcie kuliku, bekasie!
 I wy co lecicie,
 Nad morze szumiące,
 Chodźcie! Stała się nowina:
 Przyszedł mąż, co ród cały ściągający szyją¹⁾,
 Do czynu napomina.
 Mądry umysł, bystra głowa,
 Wielki pomysł dla nas chowa.
 Niech leci, co żyje,
 Niech leci, co śpiewa,
 Czy głosu używa;
 Tororo tororinx!

CHÓR.

O piękna, o ty słodka, o białowłosa ptaszyno,
 Śpiewów naszych towarzyszko skrzydlata;
 Niesiesz pieśń? Zaczynij pieśń z twojego świata...
 Niechaj tony, wiosny tony z piersi twej płyną,
 O piękna, o ty słodka, o białowłosa ptaszyno.

PROKNE.

O wy mieszkańcy cieniów, wy nędzue lepianki z gliny,
 Wiotkie widziadła senne, przewiewne liście jesienne,
 Śmiertelne ziemi syny,
 Postyszcie pieśni naszej, nas wiecznych pieśni wiecznej
 Dzieci eteru śmiałych, o prawach niebios wspaniałych,
 Posłuchajcie powieści statecznej,
 Co tajemnic nas ptaków i bogów początek zamyka,

¹⁾ Co za wyborna charakterystyka ptaków! Jakie chwycenie gestu, który wszystkim bez wyjątku, a każdemu inaczej jest właściwym!

Co początek nocy i chaosu;
 Posłuchajcie głosu,
 Abyście wzgardzić umieli próżnem mędrkowstwem Prodyka ¹⁾.

Noc była, Chaos tylko i wielkie Erebu pustkowie,
 Ziemi, nieba nie było, powietrza nie było przestrzeni,
 Kiedy noc ciemno-skrzydła, wsparta o wichrów wezgłowie,
 Prajajo urodziła, z którego w czasów bezdeni
 Namiętny wyszedł Eros złotemi skrzydły skrzydlaty:
 Szybki jak wiatr pustyni pogonił chaosu światy.
 On-to z cieni Tartaru, niby swoich pragnień wątek,
 Wypuścił w świat ród ptaszy, z Erosa biorą początek.

Nie było jeszcze śmiertelnych, ziemi, i bogów, i ludzi,
 Eros-to mieszając wszystko z nami do życia ich budzi.
 I patrzcie jaka pamięć starszeństwa ptakom została:
 Drużką nam para każda, co się poznała, kochała,
 Podarunkami ptasząt wabi się dotąd dziewczyna,
 Gołąbkim i przepiórką, miłość od ptasząt się wszechyna.

Lecz i wszelakie dobro od nas początek swój mieni:
 Myśny wrózbity wiosny, zimy i późnej jesieni.
 My śpiewami żórawia w pole wołamy rolnika,
 Za naszym głosem żeglarz z sterem do domu umyka,
 Czaplą wieścimy wiosnę, jaskółką dajemy znaki:
 Sprzedajcie futro zimowe, letnie wdziejajcie kubraki.

Zejssem-Ammonem, Febem, Dodoną jesteśmy, Delfami.
 Nim zaczniecie rzecz jaką, za nami patrzycie, za nami,
 W chudobie i miłości przyszłość wam ptakiem się zdaje,
 Kłamliwa kaczką z wieścią oblata grody i kraje,
 Dudkiem wam głupi człowiek, niezdarny sługa gawronem:
 A co, czyśmy nie Febem, czyśmy wam nie Apollonem?

¹⁾ Solista, trudniący się kosmo- i teogonią.

O uznajcie nas bogami,
 Dobrze, dobrze będzie z nami,
 Nie ucieknij pod obłoki,
 Jak ten Zejs piorunooki;
 Blizko was uplecijem gniazdo.
 Nad kolyską waszych dzieci,
 Opiekuńcze ptaszę wzleci,
 Zdrowia, szczęścia wzleci gwiazdą!
 Radość będzie i biesiada,
 Wieczna młodość, wieczne tany,
 W ptasim mleku ukąpany,
 Każdy syty i szczęśliwy!
 Dziwy będą, będą dziwy,
 Jak ród ptaszy światem włada!

PÓECHÓR.

O muzu leśnej zaciszy,
 Tio tio tio tiotorinx!
 Bądź pozdrowiona!
 Z tobą ja często pośród dolin łona,
 Na wzgórzach, gdzie echo mnie sły-zy,
 Zawodzę chór
 Kolysany gałązką jesiona.
 Tio tio tio tio tiotorinx!
 Panowie w cześć,
 W cześć matce gór,
 Ztamtąd ja wieść
 Słodkie Frynicha umiem wieść piosenki,
 Wabiąc je na dźwięki:
 Tio tio tiotio tiotiorinx!

CHÓR.

Jeśli który z was słuchacze życia ptaków upragniony,
 Niech przybywa, inne prawa u ptasiego kwitną rodu:
 Nieraz synek na tatunia nagłym gniewem rozperzony,
 Ostrem zerwie się pazurkiem. Lecz uchodzi to za młodu.
 Nieraz sługa da drapaka i to mu uchodzi czasem,

Ledwie, że srokatym za to nazwać zwykli go bekasem.
 I przemycać się cichaczem za zle nie bierzem nikomu.
 Spintaros wasz i Exesyd znajdą u nas się jak w domu.
 Pizyasz¹⁾ nawet, który wrogom otwarł wrota i uciekał
 Pod nazwiskiem kuropatwy, u nas nie będzie narzekał.

PÓECHÓR.

Wszakżeż łabędzie
 Tiotio, tiotio, tiotorinx
 Z skrzydły szumnemi,
 Z sitowia ziemi
 Zerwą się w pędzie
 Na Hebru fal:
 Tiotio, tiotio, tiotorinx.
 Eteru chmury pieśń ich przebiła,
 W lesie się zwierząt zbudziła siła.
 Wzruszone wady pomknęły w dal:
 Tiotio, tiotio, tiotinx.
 Odrzmięło niebo pieśnią łabędzi,
 Koło taneczne Charytów pędzi,
 Muz wdzięczny chór
 Biegnie na wtór:
 Tio tio, tiotio tiotorinx!

Drobnych wierszy w tych późniejszych latach bardzo mało; prawie niema ich wcale, a jak się zdarzą, nigdy o sobie, o własnych uczuciach, czy wrażeniach: stan społeczeństwa, jego usposobienia i potrzeby, a przedewszystkiem potrzeba jasnych, świadomych siebie, przekonań, zgodności postępowania z przekonaniem, potrzeba odwagi, hartu, charakteru, oto,—co go do pisania pobudza, co z niego wybucha słowem nieraz szorstkiem, zawsze poważnem i ciężkiem od myśli. Wystarczy na to lada okoliczność, nawet zwykła i drobna, jak składkowy obiad naprzykład, a na tym obiedzie toast „Kochajmy się.

¹⁾ Alluzya do nieznaneych Ateńczyków.

O naszej niezgodzie prawiono już wiele,
 O łatwej ja zgodzie dziś raczej wystrzelę:
 Zapytam, czy raczej niezdrowo, przedwcześnie
 Nie brzmiały tam u nas: Kochajmy się! pieśnię,
 Czy nie brzmią po dziś dzień wołania do zgody
 Rozumu i głupstwa — płomienia i wody?

Gdzie twardych walk braknie o życia zadanie,
 Tam, czy to przy Węgrze, czyli przy Szampanie,
 Całować się, kochać i upić się łatwo
 Dojrzałym z warchoły, starszyźnie wraz z dziatwą.
 Gdzie silnie przy dobrem nie stanie mąż woli,
 Tam złemu i głupstwu się kochać pozwoli.

Zauadto też było tego się kochania
 W przeszłości, na braci swawolnej wierzganina,
 Zauadto! Zbyt łatwo przy czarze Węgrzynna,
 Regalista ściszał dłoń Rokoszanina,
 Zbyt łatwo też w imię ciepłych słów powodzi,
 I u nas starszyznę zwykli wodzić młodzi.

Nie! Zgodą maślaną marniejną narody:
 Marniejną, gdy górą nad krewki duch młody,
 Nad zapal, co w chwili namiętnej porywa,
 Nie schwycą je ciężkie przekonau ognia,
 Gdy ponad wzgląd każdy, nad uczuć wołanie
 Nie stanie im prawda—odwaga nie stanie.

Nie! Zdrowy i silny gniew święty ma w oku,
 Gdy krnąbrni zuchwalce zrywają się z troku,
 Gdy pycha i głupstwo publiczną rzecz kazi,
 Gdy z słówek złoconych prywata wylazi,
 Gdy z mózgów zwichrzonych trucizna pociecze—
 Kochajmy się? tak zdrowy, tak silny nie rzecze.

Nie rzeceł bo bardziej nad siebie i brata,
 On kocha myśl wyższą, co nad nim ulata,
 On prawdy zdobytej trudem życia strzeże,
 On pragnie mieć w życiu, co w myśli i wierze,
 Ku celom wysokim zwrócony skwapliwie,
Nie kocha się łatwo, bo kocha prawdziwie.

Kochając, *chcieć* musi, *chcąc*, łatwo nie może
 Się kochać, dopóki jedne myśli Boże
 Nie błysną w źrenicy, co k'niemu zwrócona,
 Dopóki nie złączą się bratnie ramiona,
 By dźwigać jednako, by dźwigać statecznie,
 I *jedno kochając*, pokochać się wiecznie.

Jest jeszcze kilka satyr, tej samej zawsze treści i dążności Szujski mniemał i mawiał, że na ludzi, głuchych na głos sumienia, i na głos rozumu. bywa czasem jedyną radą i środkiem strach: strach śmieszności, a potem gorszy strach prawdy, strach, żeby świat nie zobaczył, jaka czasem pod piękną maską kryje się twarz nieszlachetna i brzydka, jaka pod szumnemi słowy myśl płytka. Broni tej używał on nieraz i nie bez skutku. W ostatnich latach życia uważał, że ona staje się potrzebniejszą, i napisał satyr kilka. Są o bieżących opiniach, sądach i dyskusjach,—te pomińmy. Ale są i takie, które się odnoszą do naszych stałych usposobień. Oto jedna naprzykład o naszej zbytnej pobłażliwości, miękkości, którą bierzemy mylnie za dobroć i jako taką cenimy ją w sobie:

DOBROĆ SERCA.

Szlachetność, przebaczenie, litość, wzgląd zasługi,
 Tak miękkości się polskich mieni szereg długi.
 Znaj, wrogu, polski rezon, wzniosłość przyrodzoną,
 Znaj łaskę, winowajco! wolno cię puszczone!
 Szkodliwyś? jest doktrynka, która cię rozgrzesza,

Przewrotnyś? przebaczenie zmieni cię, pomiesza,
 Nawróci, wszem cię wobec zawstydzi przed tłumem;
 Bezkarność jest mądrością, mazgajstwo rozumem.

Pięknie! Dobrym niech bywa, kto się dobrym mieni,
 Tylko z własnych funduszów, nie z cudzej kieszeni;
 Tam, gdzie dobro publiczne, bracie miły wara!
 Inna tam łagodności i dobroci miara.
 S-śiad głupstwem, nierządem, stracił wioskę tłustą,
 Ty na zebraniu braci mową złotoustą
 Radzisz go na pensyjce umieścić krajowej,
 W instytucyi, gdzie trzeba wiedzy, hartu, głowy.
 Kandydat, z ortografią w ustawnej rozterce,
 Niezego się nie uczył... „Lecz dobre ma serce ,
 Miły sąsiad, dla dzieci potrzebuje miasta:
 Kto mnie kocha, niech za nim co żywo się szasta,
 Niechaj pozbiera glosy, czule serca wzruszy,
 Hodie mihi cras tibi, przemówi do duszy,
 Nie święci lepia garnki“. Chociaż z lichą głową,
 Instytucyę ozdobił bankrut finansową.

Przy nim, pod nim, gdzie samo wymaga decorum,
 Aby mieć zdolnych ludzi do kraju posługi,
 Nieuk lub próżniak veniam otrzymał studiorum,
 Veniam aetatis dostał przez protekcyę drugi,
 Gdzie trzeba wykształcenia, biegłości, bystrości,
 Tworzy się dom przytulku, dom dobroczynności.

Skłonny za krzykaczami do szafarki zdradą,
 Gdy ci przed oczy jawnie wszystkich kart nie kładą.
 Łotrom znanym, o których szept biega złowrogi,
 Dobrze jeśli ostrożnie chciałbyś schodzić z drogi.
 Ale nie: dłoń uczciwą podajesz bez sromu:
 Ten hultaj, lecz patryota; tamten blaskiem domu
 Brud zasłania; beczelnie inny się wyśpina.
 Gdy mówisz: „Jam nie bocian, niech żyje gadzina,
 Czyścić świata nie będę, zwykła rzecz hultaje,
 Inni dłoń mu podają i ja mu podaję“.

Tak w soki zdrowe, miękkość, dobroć przyrodzona,
 Do społecznego jady zwykła puszczać łona,
 Aż złych większość uczciwych z widowni wystraszy,
 Aż w kącie protestujem przeciw nędzy naszej.
 Dłoń uczciwego czleka brudnej nie dotyka,
 Gdy nie chce sprośnym czynom dostarczyć spółnika,
 W mysiej jamie sumienia nie chowa człek prawy.
 Lotr rządzi? To uczciwy puścił go do sprawy.

Pań Piotr, słabe czleczyisko, za warcholów dęciem,
 Jak kwoka się z szkodliwem nosi przedsięwzięciem,
 Zbiera ludzi, namawia. Niewinny baranek,
 Alboż on wie, co robi? Wie, gdzie pełny dzbanek,
 Kuchnia dobra — a lubi spotkać się w gazecie:
 Ty wiesz Janie, wiesz dobrze, że on duby plecie,
 Że liberał żydowski z odezwy przeziiera.
 Wiesz dobrze, lecz cię z Piotrem wiąże przyjaźń szczerą:
 „Włazł biedak, wleźny za nim, złe jest, lecz nieznaczne,
 Zmieni się, kiedy gadać, fulminować zaczę.
 Samej nie trzeba puszczać złości i głupoty,
 Uczciwi rzecz poprawią“. Głowy do pozłoty!
 Ileżkroć ta licha rachuba zawiodła,
 Bohater-reformator ile wypadł z siodła?
 Ilekroć się w przewrotnym znalazłszy hałasie,
 Szepotaliście po cichu: „Teraz nie na czasie:
 Drażnić szkodzi“ ilekroć, pozostawszy sami,
 Krzyczeliście dla milej zgody z warchołami?

.

Cóż dopiero, gdy służba publiczna nas wola?
 Iść z złem w szranki, lotrostwu śmiało stawić czoła,
 Tępić jady społeczne, wicherzycieli krócić,
 Srodze winnych — ukarać, zarazę wyrzucić:
 Kogo podówczas dobroć niewczesna napada

Z podpalaczem zaiste podpala sąsiada.
 Niestety, w błędów polskich zabójczym łańcuchu
 Krwawem byłeś ogniwem dobroci tej ducha.
 Rokoszaniu powalony? strzegą jego głowy
 Bracia, co z nim niedawno w tan poszli marsowy.
 Zbrodniarz schwyty na króla i Ojczyzny zdradzie?
 Kochał wolność! przebaczyć, niech głowy nie kładzie.
 Toć i dziś, w własnej grozy nie czujem obronie:
 W uczuciowych tam jeden wątpliwościach tonie,
 Drugiemu posłyszana przeszkadza doktryna,
 Wsiada na głupi frazes, jak na kij chłopeżyna.

.

Miła dobroć! Gdy szyku na nieprzyjacioly
 Potrzeba, ona strzela—do własnej stodoly;
 Gdy społeczeństwo sędzią dźwiga się i panem,
 Z męża pragnie go dzieckiem, ze lwa mieć baranem,
 Piętrząc nań lekkomyślnie oskarżenie winy.
 Miła dobroć! lecz głębsze jej bytu przyczyny:
 Płytkość uczuć jej matką i zamęt sumienia,
 Siły brak, którą zdrowe stoją pokolenia,
 Hamletyzm, szparki w myśli, niedoleżny w czynie,
 Samowola, co stawia przyszłości świątynię,
 Wedle bzika, co luźnie w każdej głowie świta.
 Tak, zmysłu rządu biedna ruina rozbita,
 Anarchią rwiem się w górę z zguby topieliska,
 A stare wraca głupstwo i w przepaść nas ciska:
 Świecimy w rycerskim blasku, w cudne zdobna drzewce
 Strzelba... Lecz, gdy chcesz trafić—spali na panewce.

NARÓD - PACYENT.

Narodziel toś ty pacyent? wiekuiste nieba!
 Krzyczą, że w tobie ducha podtrzymywać trzeba,
 Że gasić go nie trzeba—więc zgasić snąć można?
 Cóż to za Eskulapów tłuszcza nieostrożna,
 Wszem wobec na ramieniu wskazująca duszę?
 Ja nie Augur, a lepiej snąć o tobie tuszę.
 Widzę ran, guzów, sińców bez liku w twem ciele,
 Widzę wad charakteru, błędów ciężkich wiele,
 Walczyć nawet gotowym z narodowym duchem,
 Kiedy pod złych lub głupich ugnie się obuchem;
 Lecz mniemać, że ci próżno dziewięć wieków grało,
 Chrobry cię próżno stawiał, próżno szablą śmiała,
 Tysiące bohaterów w świat rąbało drogę;
 Że krzyż próżno wiódł szablę—dalipan nie moge!
 Żebyć z głowy wywietrzał skrzydeł szum hussarski,
 Gdyby go nie wspominał frazes dziennikarski;
 Że Adama i mistrzów harfy - by nie grały,
 Gdyby w homeopatycznym rozczywie babrały
 Codziennie mizernemi nie psowały słowy,
 Co huczy w harfie mistrzów, jako psalm gromowy?
 Że wodzianką tą ducha trzyma się napięcie?
 Tak obrażać cię nie chcę, narodzie pacyencie.

Ducha w narodzie trzymać, nie ludzka rzecz: Boża!
 Zdrowia nam tylko dana, nie żywota stróża,
 Nie żywot w naszych ręku, ale żywych zdrowie,
 Nie duch, lecz objaw ducha, w myśli, czynie, słowie.
 Kto w drażliwym chce tylko podniecać drażliwość,
 W miękkim miękkość, kto w tkliwym potęguje tkliwość,
 Kto z obawy o ogień słomę ciągle pali,

.

Wierz mi, mój pacyencie, lichy taki radca:
 Szarlatan, co na złudnych przestaje objawach,
 Albo lotr co cię w twoich pokrzywdzić chce prawach!
 Prawo twoje: potężnie dźwigać się od wnętrza,
 Gdzie cię porywa przeszłość, gdzie boleść wypiętrza,
 Dźwigać się wolą, wiedzą, mądrością, sumieniem,
 Wbrew przeznaczeń do walki urość z przeznaczeniem,
 Nabyć czego ci braknie, co chore uzdrowić:
 Sanabiles nationes! raczył Bóg przemówić!
 W zwierzu tylko się instynkt jednej kształci miary,
 Człowiek i naród zdolny poprawy, ofiary!

.

Więc, by z głębin myśli, z sumienia głębin,
 Ku pracy odrodzenia polskie wodzić syny,
 Tępić wady, co brózdzą, krzawić jędrne cnoty,
 Których brak pod tułacze przywiódł nas namioty.
 Nie mówić: „gdy uczucie z prawdą stanie w sporze,
 „Cofnąć prawdę, uczucie urazić się może“.
 W prawdzie wolność od więzów najsroższych, bo ducha.

.

Z głębin bólu i prawdy o sobie i świecie,
 Wydobywajcie przyszłość a—życie znajdziecie.

Ostatnia, niedokończona, ma tytuł „My i Oni“. Oni, to Francuzi, Anglicy, Niemcy, Włosi; przychodziła kolej na innych, wizerunek zaczął się kreślić, ale się przerwał; choroba postępowała, siły opadały. „Nas“, niema wcale.

Jeszcze jeden dramat okolicznościowy, mały. Akademia Umiejętności urządziła zjazd historyków w czterechsetną rocznicę śmier-

ci Długosza. Sekretarzowi jej, organizatorowi tego zjazdu, historykowi, przystało, należało z obowiązku zabrać głos przy tej okazji, złożyć po wiekach hołd wielkiemu ojcu historyografii polskiej. Zrobił to, kiedy napisał i na owym zjeździe odczytał rzecz swoją, tłumaczącą „Stanowisko Długosza w historii Polskiej“. Ale, jak dawniej przy obchodzie Kopernika, tak teraz trzeba było wymyśleć coś i na wieczór także, i dla całej publiczności. Szujski napisał na przedstawienie w teatrze sztukę, którą odegrali amatorowie, uczniowie uniwersytetu: jak wtedy o Koperniku, tak teraz o Długoszu napisać dramat nie było zapewne łatwo. Ale treść znalazła się w dziejach samych, a znaczeniem i przystosowaniem była tamtej blizką. Tam w Koperniku, to dawna jedność chrześcijańskiego świata, już rozbita na katolickie i protestanckie połowy, a zdaleka, w przyszłości ukazane skutki tego rozbicia. Tu dopiero początki, zarody tego rozbicia, to niebezpieczeństwa, jakie przynieść mogą światu starożytne pojęcia i zasady, chwywane skwapliwie, łatwowiernie, bez braku, stosowane bez rozwagi—a po drugiej stronie, prosty i silny duch katolicki, który się obawia nie światła nowego, ale jego złego zrozumienia i złego użytku. Jeden z tych kierunków wyobraża Kallimach, który przewiduje, nie pochwała, ale przyzwala, że świat dojdzie aż do pojęć Lukrecjusza i niemi się przejmie: drugi wyobraża Długosz; każdy akt kończy się taką między tymi dwoma dysputą, której konkluzya brzmi tak:

DLUGOSZ.

Straszne bywa świat widział koleje,
 Straszniejsze widzieć może. Czemże płyną dzieje
 Człeka, świata, ludzkości, jak nie walką ona,
 Którą z prawy Bożemi wiedzie ludzkie łono?
 Praw tych dzierży się wszystko, granitów tych szczyty,
 Szumy wód, lasów ciemnia, gwiazdy i błękity,
 Bo im woli Bóg nie dał, więc jak obłok biały
 Potulne, pod królewskie kładną się sandały.
 Nam dał wolę i prawa, dał przedwieczne słowo,
 Dał tyle, że najstarsza moc wolnych na świecie
 Tych, co spadli, by przeczyć, archanielską mową
 Rzec mogła rzeszy ludzkiej: Jako Bóg będziecie!
 Rzekł! mówił w twych ustach dzisiaj się odzywa,
 Ażeby grozić prawu, lud Boży wyzywa.
 Lecz nie dla wielkich tylko i mądrych tej ziemi;

Dla maluczkich Ten przyszedł, między maluczkiemi
 Ten stanął, co niebieskie dziejom prawo pisze.
 Błada tym, co prostaczych przerwą zbożną ciszę,
 Co w morzu ludu zażędz chęć swej piersi burzę
 Bez słowa, co wszechmocnie panuje naturzel
 Spiętrzy się, olbrzymiego lwa pustyni grzywą,
 Lud, co nietylko myśli, ale czuje żywo,
 Lud, którego On chował na mieszkańca nieba,
 Zażąda nieba od was. Wy dacie mu chleba,
 Ducha, ciała, wy trwożni w jego straszne tonie
 Rzucicie wszystko, wszystko on głodny pochłonie;
 Nieba w duszy i drogi w niebo mu nie dacie...
 Sam je znajdzie... Lecz wtedy w bólu majestacie,
 W uczuciu drogi błędnej, którą szedł za wami...

KALLIMACH.

Księgi nasze i pisma ułoży stosami,
 W stosach tych apostołów krzywej drogi spali.
 Czy nie tak?

DŁUGOSZ.

Jest stos inny, który bardziej smali;
 Jest stos, w którym się topi zły kruszec i złoto,
 Gdzie złoto pozostaje a kruszec czernieje.
 Na sławy buntownicze stosem tym — są dziejeł
 Świat to kolejną imą może się znów rzucić...
 My, co wyszliśmy z stosów, możemy na nie wrócić,
 W katakumbowych cieniach kiedyś zmarle chować,
 Nad czem panujem jeszcze, może zapanować.
 Lecz odkąd On na ziemi, On nie ludzkiej miały
 Stanął, niema już innej, jak ta na tym świecie.
 A im stanicie dalej — tem więcej stanicie...
 Lat tysiące jak jeden dzień przed Boga okiem!
 Kurczy się księga dziejów wstecz wiekami pchnięta:
 Nie zginie, kto był mędrcem, zbawcą lub prorokiem,
 Nie zginie, co myśl ludzka skrzydłami rozpięta
 Zdobyła, praca żadna i cuota nie zginie,
 Ale w każdej tej myśli, natchnieniu i czynie

Prawd jego wiecznych święta droga się wypali,
Chwalić go będzie ludzkość, jak natura chwali.

Treść zaś faktyczna, historyczna, obraca się około zatargu Kazimierza Jagiellończyka ze Stolicą Apostolską, o przyznaną Maciejowi Korwinowi koronę czeską, i około bezkutekcyjnej jego wyprawy na Węgry, celem osadzenia na tronie drugiego syna Kazimierza. Zły koniec tej wyprawy służy za protest do wydania historycznego sądu o polityce Kazimierza. Była ona mylną, gdy z wielkiego pożądanja wpływu na zachodnie strony i sprawy, zaniedbała, spuściła z oka, wschodnie granice. To wypowiada Długosz w zakończeniu sztuki. Sztuka sama ładna, a pomimo długich politycznych i filozoficznych rozpraw (które stanowią jej treść główną), zajmująca. Figury narysowane wyraziście i trafnie—król mianowicie, jego synowie (młodzieniaszki lub dzieci), każdy z tym w zarodzie charakterem, jaki później w życiu okazał; Kallimach jako typ sceptycznego humanisty. Długosz ma powagę i jędrność, jaka przystoi temu duchowi, który się objawił polityką polską w wieku XV i jej powodzeniem. W zakończeniu sztuki był znowu obraz z żywych osób, i znowu wiersz na chwałę Długosza, na chwałę wszystkich wielkich i dobrych w dziejach, na upomnienie dzisiejszym. Pomiędzy wierszami Szujskiego jeden to z bardzo charakterystycznych, z bardzo pięknych.

Pamięcią wielkich w ojczyźnie ludzi
Dźwiga się naród, moeni się duch,
Orle się skrzydła do lotu budzi,
W orli przyszłości porasta puch.
Wszystkie ma strzały w swoim kolezanie,
Na codzienności walkę i trud,
Komu wczorajsza dzisiejszą stanie
 Się dui osnowa.
W kim grają ojców czyny i słowa,
W kim krew stuleci potężnie krąży,
 Szczęśliwy lud!
Bo wie, skąd wyszedł, więc wie, gdzie dąży.

Naród, jak rzeźbiarz, by z ziemskiej gliny,
 Na chwałę Panu postacie snuł:
 Ducha i woli potężne czynił
 A więc kto myślał, czynił i czuł,
 W krew ten pokoleń winien przechodzić,
 Ściągnień ich siłą winien się stać:
 Kto się z przeszłości umiał odrodzić,
 Ten będzie wieńce przyszłości brać!

.

Niechaj od dziejów nicość odcina
 Tego, co krzywdę w dziejów ma wątku:
 Większa jest krzywda wasza, jak wina!
 Więc od zbożnego dziejów początku,
 Od dni Chrobrego, przez Piastów dzieje,
 Przez Jagiellońskie pogodne dni,
 Niech płynie ogień, co siłę leje,
 Płynie krew dziadów w potomków krwi.

Twardo, surowo, Długosza wzrokiem
 Niech winy wnuków strofuje dziad;
 W wyżyny patrzy namiętnem okiem,
 Kto winą własną z wyżyny spał:
 W sobie sił szuka, by zdobyć szczyty,
 Ciężkich nie miękkich szuka on dróg,
 Męża ma ducha a nie kobiety,
 Pięść zaciśnioną, a nie wzrok łzawy:
 Na zbożnych, czystych, twardych łaskawy
 Ojców był Bóg!

Cóż jeszcze? Tylko jedno. „Głos z Polski na cześć św. Cyryla i Metodyusza.“ W roku 1881 podczas pielgrzymki słowiańskiej do Rzymu na uroczystość tych świętych, odbywała się w Watykanie

w obecności Ojca św. tak zwana akademja. W każdym z zebranych tam języków czytany był wiersz, na tę okoliczność napisany. Piękny to, i sprawiedliwy, zasłużony, koniec poetycznego zawodu Szujskiego, że jego słowo ostatnie odezwało się tam, że wobec tych słuchaczy zaświadczyło duchowi, z którego zawsze płynęło:

O Ty błogosław—Ty Namie-stniku Pański,
 O Ty im wyproś duch wytrwania męski,
 Ty mu Anioła dobrej wyproś rady,
 Ty ducha zgody, błędów pokonania
 Łaskę...

Trzydzieści lat czasu, od ławek szkolnych do śmierci, obejmuje poetyczny zawód Szujskiego. Wiele obejmuje cierpień i goryczy, walk myśli i serca ucisków? Któż odgadnie i zliczy? Z dzieł poznajemy, jakiego były rodzaju, co je zrodziło, poznajemy, że były i mnogie i wielkie: ducha nie złamały, lecz serce rozdzierały i krwawiły bez wytchnienia i litości. Ale znamy je ogólnie tylko: a jak one każdego dnia i każdej godziny bolały, ile ich było, tego nie wiemy: tajemnica została między Bogiem, który widział i liczył, a człowiekiem, który cierpiał.

Cóż po przejrzeniu dzieł pomyślimy i powiemy o tej poezji i o tym poecie? Musiał być chyba jakiś bardzo słaby i nieznaczący, kiedy za życia czytano go tak mało, a po śmierci, przez te długie lata, jeden się dotąd znalazł, który mu czas i pracę poświęcał — pan German. Prawda, że ten jeden z zamiłowaniem wielkiem i głębokiem zrozumieniem, wniknięciem w naturę talentu, w myśl i duszę człowieka. Czy słaby i nieznaczący? Jaki był talent poetyczny Szujskiego, to pytanie, które (ufamy) będzie roztrząsanem nieraz, a rozwiązaniem nie prędko. Dziś na prawomocny wyrok zawczasie: sprawa za świeża, sędziowie sami nie dość z jej aktami obeznani, przysięgli do sądzienia nieprzysposobieni. Przyszłość wyda werdykt, a na jedno w każdym razie liczyć można, to, że ona nie powie: „nieznaczący, obojętny, mały, zdolny przez jeden dzień podobać się i zająć, a prze-

znaczony na to, by po jednym dniu zwiędął, usechł i zniknął w niepamięci piasku“.

Czy Szujski był organizacją i zdolnością poetyczną zupełną, skończoną, doskonale i harmonijnie złożoną, jak Mickiewicz, jak Goethe, jak Byron lub Schiller? Nie, oczywiście, nie. Dowodzi tego w sposób niewątpliwy choćby sam ten fakt, że Szujski historyk i Szujski polityk, jakkolwiek neganiony tylko, ale szarpany i prześladowany, przyjął się jako taki, i ma stanowisko wielkie, które najzawziętszy przeciwnik może próbować osłabić, ale którego nawet taki nie próbuje przeczyć. Szujski poeta tak się nie przyjął, takiego stanowiska nie ma. Dla czego? Jakie są po temu w jego talencie powody, jakie niedostatki?

Przedewszystkiem ta rzecz zewnętrzna niby, i jako taka, niby mniej ważna, ale w sztuce nierozłącznie z istotą rzeczy związana, forma. Ta jest u niego nierówna, a nieraz trudna. Natelnienie będzie prawdziwe i potężne, uczucie porywające, myśl głęboka—ale wyrażenie będzie często zawile, albo jak żeby wymęczone, sztuczne. Niedoskonałość w tem jest oczywiście, a choć pomimo niej jest i wielka siła, i wielka świetność wyrażeń i stylu, to przecież dziwić się nie można, że czytelnik nie lgnie, nie rwie się do poezyi, która go tą zewnętrzną ponętą nie wabi, tylko owszem nieraz zraża trudnością. Tu nie forma sama wiedzie czytelnika łatwo i rozkosznie do zagłębiania się w treść; tu treść poznana, myśl zgłębiona, prowadzi dopiero do stopniowego uznania i ocenienia formy. Kto wydobył myśl i do niej się przywiązał, ten potem, ale potem, dochodzi do przekonania, że i ta forma jest niezwykła, oryginalna, dzielna, często (częściej niż zrazu widzimy i wiemy) wspaniała.

Ale to jest już skutkiem czasu, pewnej pracy i pewnego przyzwyczajenia: z góry, odrazu, ta forma nie chwyta, nie czaruje, nie podbija.

W tem wielka oczywiście niekorzyść dla poezyi i poety.

Jaki zaś powód? Naprzód myślenie niezmiernie szybkie i obfite. Taki nawał myśli, argumentów w rozumowaniu, w prozie, lub pierwiastków sytuacji w poezyi, że umysł i pamięć, i wyobraźnia, zachowują i utwierdzają na papierze te tylko, które są najistotniejsze, główne.

Te rzeczy poboczne, mniejsze, ale potrzebne, bo łączą i uwiadcniają związek, Szujski pomija, opuszcza w swoim stylu i sposobie pisania, w swoim planie i sposobie tworzenia.

W jego umyśle one są i tkwią, on o nich wie i pamięta, a myśli, że tak samo wiadome, tak samo przytomne czytelnikowi także. I w tem się często myli. Czytelnik nieraz widzi przeskok myśli tam, gdzie dla autora związek jest jasny: czytelnik często nie zna tego historycznego szczegółu, który, autorowi doskonale wiadomy, stanowi powód lub utrzymuje związek dramatycznych sytuacji. Jasność i krótkość okresów, zdań, wyrażań, dokładniejsze wytłómaczenie i rozwinięcie myśli, oto, co było-by potrzebem na to, by Szujskiego zrobić pisarzem powabnym, powszechnie wziętym, popularnym.

Oprócz tego miał on w młodości skłonność do wyrażań przesadnych, naprężonych; zdawało mu się, że to siła i jędrność. Skłonność z wiekiem przeszła, ale zostało pewne przyzwyczajenie, pewne oswojenie się z wadami stylu i prześlepianie ich; zmysł estetyczny, który czuwa pilnie nad wyrażeniami i stylem, strzeże się tego, co brzmi źle, i wygląda brzydko, ten albo z natury nie był dość drażliwym, albo nie wykształcił się dostatecznie. Ten sam zaś błąd daje się widzieć nie tylko w jego wyrażeniach i stylu, ale także w jego pomysłach, w jego wyobraźni. Jak nie czuje, że pewna sytuacja potrzebuje rozwinięcia, dokładniejszego wytłómaczenia, tak również nie czuje, że jakaś inna, zamiast być bardzo wyrazistą i energiczną, stała się przesadną, nienaturalną, a przez to zmarnowaną, straconą (np. w Halszce przysięga, w Marynie zdrętwiałe ramie Dymitra i rozdarcie korony, w Władysławie IV śmierć Koniecpolskiego).

To są jego główne błędy, defekta jego poetycznej organizacji. Ale jest coś więcej, co nie da się uważać za błąd, tylko za nieunikniony pierwiastek pewnego rodzaju poezji i pewnego rodzaju talentów. On jest poetą tendencyjnym, a w takich organizacja poetyczna może być bardzo potężną; doskonałą, zupełną nie jest nigdy. Dante, z takich największy, był zapewne mędrszym od Homera, ale nie był takim jak on poetą; a żeby bliżej porównania szukać, jaka jest różnica ogromna między poetycznymi usposobieniami Mickiewicza a Krasińskiego!

Poeta, który jest przedewszystkiem tendencyjnym, który tłumaczy, dowodzi, chce coś sprawić, musi być dydaktycznym: a skutku tego kierunku swojej poezji (który znowu jest skutkiem jego natury i umysłu), musi być więcej myślicielem, niż artystą. Szujski już w pierwszej młodości, choć się wtedy mniemał do poezji wyłącznie powołanym, oburzał się na sztukę dla sztuki, gardził nią, chciał żeby poezya miała jakiś cel nad sobą, żeby wyższym od siebie względem

i sprawom służyła. W latach dojrzałych to jego przekonanie stało się mniej absolutnem: ale przez jego duszę przeszły takie wrażenia i wstrząśnienia, ta praktyczna potrzeba służenia, budzenia i szerzenia pewnych pojęć i uczuć, sądzenia faktów i ludzi, rozstrząsania sumień, tak się wzmogła i narzuciła, że wzięła w posiadanie całą duszę, całą siłę, całe życie człowieka, a poezya przejęła się i przesiąkła tym obowiązkiem nawskroś, on stał się jej duszą i treścią. W formie ta poezya niby nie ma nic wspólnego z filozoficznymi lub politycznymi kwestyami współczesnego świata; nie stawia sobie tez, nie wciela idei czy dążeń w allegoryczne postaci i pomysły. To są proste, zwykłe sceniczne dramata, lub proste wiersze uczuciowe, ale każda figura, każda scena dramatu, każda strofa takiego wiersza, uczy, upomina, służy, do czegoś dąży, jest środkiem do poruszania, do przekonania, do działania.

Ta tendencyjność, ten ukryty dydaktyzm, wskazuje i dowodzi, że jego organizacja artystyczna nie była doskonałą, że myśliciel i człowiek publiczny był w nim potężniejszym od poety. Podobny tem jest i zbliżony dotego, którego poezya raczej mu się nie podobała, a którego myśli i teorye w swojej nieraz zbijał i prostował, do Kraśńskiego. To jest, przy całym niepodobieństwie, przy całej różnicy form, pomysłów, usposobienia, i sposobu pisania, to jest jego bezpośredni poprzednik w naszej poezyi, a związek pomiędzy nimi taki, że jeden jest koniecznym następstwem, uzupełnieniem i sprostowaniem drugiego.

Ze sfer historyzofii ideal ten sam zstępuje tu na grunt rzeczywistości. w niej się rozpoznaje i orientuje, z nią się porównywa, a widząc, jak jej do niego daleko, ściąga swoje wielkie rozmiary do jej małości, i nie zmieniając swojej natury, zmienia swój kształt. Nie patrzy w przyszłość daleką i nieoznaczoną, ale na współczesną, dzisiejszą terażniejszość; nie kres wskazuje, ale początek drogi i wszystkie na nim kamienie i ciernie: jeden widzi szczyt budowy, drugi uważa na fundamenta, jakie są, czy dość pewne i mocne, by budowa na nich wznosić się mogła, a jeżeli nie, to jak je wzmocnić i utrwalić. Ale plan budowy jest ten sam, droga jest ta sama: a przy zupełnej odmienności form, rodzajów niektórych pojęć, przy całej różnicy talentów, duch i cel jest ten sam.

Z tego tendencyjnego, dydaktycznego charakteru poezyi Szujskiego wynika znowu to, że ona przemawia i szturmuje gwałtownie do myśli swego czytelnika, do jego przekonania, do jego sumienia i woli, nierównie mniej do jego wyobraźni, a wcale już do jego nerwów.

I to znowu jest może jednym z powodów tej obojętności, jaka ją spotyka. Ona wstrząsa gwałtownie, a nieraz silnie porywa uczucie, ale ona nigdy siebie ani drugich nie roztkliwia, nie rozmarza; a my oddawna do tego przyzwyczajeni, to przedewszystkiem lubimy, tego w poezyi szukamy. To nam dawali niektórzy z romantyków—nawet wielcy—jak Słowacki, i ich epigonowie; to w innej formie dzisiejsi realiści. Czy wolno jest uważać za wielką zaletę i zasługę Szujskiego, w poezyi, jak prozie, to, co jest jego niezaprzeczoną cechą, tę męskosc i jędrność, która do męskich władz duszy udaje się i trafia, która nie westchnienia i lży wyciska, ale wykrzesać, wyrąbać chce ze swego czytelnika zastanowienie i postanowienie, która, sama z woli i charakteru zrodzona, wolę i charakter chce budzić, wyrabiać, hartować?

Można mówić co się podoba o okresach zawiłych lub błędnej budowie dramatów; jednego przecieź zaprzeczyć ani zmienić nie można, że w tej poezyi całej niema nic marnego i pustego. Żadnego słowa, w którym nie było-by myśli, żadnego żdźbła bez ziarna.

I to sprawia, że pomalu, nieznacznie, dotąd nielicznie, czytelnicy (a co dziwna i dobra, młodzi), zaczynają zwracać się ku tej poezyi i do niej lgnąć. Przewycięzają trudności formy, rezygnują się na jej niedoskonałości, bo pod tą formą znajdują myśl, która ich wzmacnia i krzepi, uczucie, które ich podnosi, pokarm duchowy, który się bierze na zapas na całe życie, żeby w drodze z sil nie opaść i nie ustać. Potrzeba, prawda, pewnego przysposobienia, pewnego wychowania, żeby w tej poezyi przywyknąć: przyzwyczajenia do surowego nad sobą sądu i do wysokich a twardszych od siebie wymagań. Dlatego poezya Szujskiego jeszcze między nami nie rozeszła się i nie przyjęła, dlatego igdy bodaj na wielką wziętość liczyć nie może. Ale jeżeli te przymioty, które ona w sobie ma i których od nas żąda, z postępem czasu i postępem społeczeństwa samego, zdołają w nas rozwijać się i wzrastać, to przyjdzie kiedyś czas, że będziemy w niej widzieć wyraz naszych uczuć i pragnień. Wiele kwiatów zwiędnie i uschnie, i upadnie, a ten pień, pełen jędrnej, twardej, silnej rdzeni, żyć będzie.

W tem, co było częścią najbardziej umiłowaną jego poezyi, w dramacie, jakie jego właściwe stanowisko i zasługa? Czy zrobił się przez niego jaki krok naprzód w tym kierunku? Sam uważał swój dramat za próbę, za usiłowanie tylko: nie śmiał spodziewać się (choć marzyć musiał), żeby próba się udała, a usiłowania doprowadziły do celu. Tak się nie stało: żaden z jego dramatów nie jest tym, którego chcemy, na

który czekamy. Takiego dotąd niema. W przytoczonej powyżej pracy o Szujskim mówi pan German, że i czas nie po temu, i Szujski sam zbyt był synem swego czasu, zbyt napojony jego goryczami i jego bólami szarpany, żeby mógł zapanować nad temi wrażeniami i tworzyć spokojnie, pogodnie. Czy czas był powodem, czy natura jego talentu, to pewna, że po nim, jak przed nim, tragedia polska jest zawsze jeszcze naszym pragnieniem i oczekiwaniem. Polskiego Wallensteina, polskiego Macbetha nie dał nam on, jak nie dał nikt inny. Ale czy tej sprawy znacznie naprzód nie posunął, czy się dramatowi przyszłemu nie przydał, i czy nie miał sam niepospolitych w tym rodzaju przymiotów, to inne pytanie. W każdym razie jest on inny, jak wszyscy dotąd tragicy, i nietylko polscy. Na Szekspirze kształcony, to oczywista: ale w tem zupełnie oryginalny i jedyny, że jest bardziej niż każdy inny tragikiem historycznych sił i dążności: nie wypadków, ale tych zbiorowych sił, dążności i praw, które sprowadzają wypadki i w nich się objawiają. U Szekspira jest to najwyraźniej w tragediach rzymskich, w Cezarze, a zwłaszcza w Koryolanie. W dramatach z historii angielskiej są fakta i są indywidualia ludzkie, psychologicznie zawsze prawdziwe, a często typowe, ale walki politycznych pojęć i zasad tam niema. W Wallensteinie jest ogromny i jak morze głęboki obszar tych konieczności, tych fatalności, które polityka rodzi lub znosić musi, ale walka jest znowu między żądzami i prawami, nie między przekonaniami, zasadami, dążnościami. Tragedye Szujskiego są ze wszystkich historycznych najbardziej polityczne: walka w nich toczy się zawsze między myślami i zamiarami politycznemi, a przedmiotem jej nie jest jeden człowiek ze swojemi namiętnościami i pragnieniami, ale rzecz publiczna, jej ratunek i jej upadek.

Z tą charakterystyczną cechą tych dramatów godzi się logicznie a ciekawie to stałe w nich zjawisko, że figury i sytuacje, w których jest ten pierwiastek politycznej myśli i dążności, złej czy dobrej, będą miały zawsze więcej życia, więcej prawdy, więcej fizygnomii, więcej poezyi od tych, w których jest jakieś osobiste tylko uczucie. Miłość i kochankowie to zwykła strona słabsza tych dramatów, ludzie działający w historii, czy Rzeczypospolitej bronią, czy ją gubią, oddani są prawie zawsze z wielką siłą i prawdą, mają swoje znamię indywidualne, swoją wartość jako typy, i swój głęboki, bolesny, tragiczny charakter.

Dar kreślenia tych postaci miał Szujski w stopniu wysokim i rzadkim. A w każdym razie położył około dramatu polskiego jedną

zasługę wielką. Jego tragedye mogą być bardzo niedoskonale i nie podobać się: ale po jego tragediach żadne płytkie i czcze podobać się na prawdę i żyć nie zdołają. Mogą się ukazywać, mieć chwilę powodzenia, próby czasu nie wytrzymają. Może tragedia polska nie przyjdzie nigdy, ale jeżeli przyjdzie, to nie będzie mogła stać niżej będzie musiała być po takich początkach bardzo rozumną, bardzo głębką, mądrą.

Po wielkiej poezji przyszedł czas na prozę, po epoce młodzieńczej lotności uczucia—czas na ten dojrzały wiek męski, który z uczuć nie traci nic, ale rozum i wolę ćwiczy i podnosi do równego z uczuciem poziomu: z rajskiej dziedziny ułudy wygnany Adam przekonał się, że nie na żart, ale na prawdę powiedziano mu, „masz w pocie czoła ziemię uprawiać, bo inaczej ona ci nic nie wyda.“

Po wielkich poetach przyszedł człowiek, który wielkim poetą może nie był, ale był historykiem, był politykiem, był nauczycielem, i ten rozkaz wzięwszy do serca, krwawym potem tę ziemię skrapiał, na każdej jej piędzi, jak tylko najdalej mógł dosięgnąć, rzucał ziarna myśli, sądu, postanowienia. Wierzył i mówił, że jak człowiek musi zacząć od znajomości siebie samego, od rachunku sumienia, żeby się stał lepszym, jak lekarz musi poznać powód i stopień choroby, żeby mógł zdrowie przywrócić; tak społeczeństwo, jeżeli ma być tęgim, musi zdać sobie sprawę ze swoich słabości i musi chcieć ich się pozbyć.

„W trosce wielkiej patrzył dokoła, złe z dobrem wążąc na sumienia szali“, a to, co zważył i zauważył, to zapisywał na każdej karcie swojej prozy, czy poezji, „byście o tych duchów znali sprawie“, by zbudzony Piotrowin powiedział „w czym pomocy chce od syna“.

O historyku i polityku, o jego związku ze współczesnym światem i w tym świecie stanowisku, nie czas i miejsce mówić. Poeta tylko nas dziś zajmuje. Ale ten poeta był tamtych pomocnikiem, jak historyk i polityk chciał, dążył, walczył i cierpiał, jak historyk i polityk musiał znosić prześladowania. To nie dziw. Zasługa i cnota nie były-by sobą, gdyby były łatwe, a ziemia była-by rajem, gdyby dobro szerzyło się i zwyciężało bez walki.

W męce Zbawiciela było nietylko biczowanie, koronowanie cierniami i ukrzyżowanie: były zniewagi i fałszywe świadectwa. Nie patrząc tak wysoko, w ziemskich tylko żywotach i cnotach widzi się w mniejszych rozmiarach odbicie tego samego losu. Żółkiew-

ski był okrzyczany, że się Turków uląkł, Sobieski, że się z nimi na Rzeczpospolitą zwał. A jakież oskarżenia nie padały w bliższych nam czasach, żeby jednego tylko Mickiewicza wymienić. Jeżeli tacy nie byli od potwarzy zasłonięci i wolni, cóż się dziwić dopiero, że mniejsi, chwałą geniuszu i wielkich czynów nie otoczeni i nie osłonięci, że ci byli brani na cel tak śmiało, tak bezpiecznie, jak ten rycerz, co sam jeden stał na łące pod dębem, kiedy w niego tysiące strzał tatarskich mierzyło.

W Szujskim utkwilo tych strzał wiele, ale jak tamten z drogi wracać nie myślał, bo wyszedł po posiłki, i jak tamten do ostatniego tchu wzywał arki przymierza, stolicy mądrości, uzdrowienia chorych, pocieszenia strapionych, wspomżenia wiernych. „Ducha miał gasić“, mówiono, szacunek siebie samych nam odbierać, znieważać to, co czczonem jest i być winno?

Czy gasi ten, co oświeca, czy odejmuje cześć własną ten, co każe tak się szanować, żeby jednego pyłu złego na sobie nie znościć, a tak wiele od siebie żądać, żeby się do czegoś wielkiego usposobić? czy znieważa ten co mówi, „jakeś upadł to się dźwigaj“? Tak samo znieważa spowiednik, kiedy rozgrzeszenie daje, ale postanowienia poprawy wymaga. Tak odejmuje szacunek własny i ufność do siebie starszy młólszemu, kiedy go uczy, że powinien się trzymać zdala od wszystkiego, co niskie i złe, a stać się szlachetnym i mądrym.

Tak gasi ten, kto w ogniu miłości chce stopić wszystkie zuzle i skorupy, jakie do złota przywrzały, a myśli, że kto kocha naprawdę, ten w miłości swojej znaleźć powinien siłę i odwagę, żeby poświęcić i odrzucić od siebie i w sobie lichsze pierwiastki ze złotem zmieszane, a czystym złotem pozostać i zaświecić.

Jaki to był duch, i czy on w drugich ducha gasił lub podnosił i rozplomieniał, to daje się widzieć choć poczęści z tych poezji, które tu streszczałem lub przytaczałem. Może one zaświadczą i przekonają, że nie niesłusznie na pomniku Szujskiego w Tarnowie (przed szkołą, w której pierwsze nauki pobierał), położono taki z jego słów ułożony napis:

We mnie ogień zarzył się miłości,
Do tej wielkiej i świętej przeszłości,

Więc w trosce wielkiej patrzałem dokoła,
Na braci serca i na braci czoła,

Zle z dobrem wążąc na sumienia szali,
Aby naród był z was kiedyś duży,
Wierny Bogu i dobry na bliźnie.

ST. TARNOWSKI.

Echa z wielkiego bazaru.¹⁾

(*Wrażenia i notatki*).

II.

S z t u k a.

Cudny, słoneczny ranek. Słońce rozwiane w złote mgły nad Polami Elizejskimi, nad placem Zgody, nad zielenią ogrodów Tuileries, „gdzie tłum posągów stoi“. Słońce na uroczystrych, jasnych kolumnach, które w tym blasku jarzą się, jak najszlachetniejsze marmury. Słońce w milionie metalowych błysków Sekwany, nasycających powietrze jakąś skrzącą się migotliwością.

Słońce, w szalonej orgii zatapiające plac Zgody falami, z pośród których, jak skamieniała fontanna, bije pod niebo olśniewający obelisk. Słońce, niby zaczarowana rzeka z bajki, płynie perspektywą Pól

¹⁾ Patrz czerwcowy zeszyt „Biblioteki“.

Elizejskich aż tu, pod sklepione krużganki Luwru, skąd wzrok mój obejmuje cały ten miraż słoneczny w jednym wrażeniu.

Nad Polami wysoko i w ogromnem oddaleniu, a jednak nad podziw wyraźnie, jak końcowy akord tej kamiennej symfonii blasków, olbrzymieje łuk tryumfalny.

Z linii łuku tworzy się na tle nieba przezczystych kształtów rama, przez którą przeziiera głęboki błękit niebieski.

Ten paryski krajobraz w słońcu ma nieopisaną moc. Można tu godzinami patrzeć, jak pienią się fontanny na Placu Zgody, jak uroczyście brzmią kolumnady, jak nieruchomo a porywająco kreślą się perspektywy. I można się błąkać nad Sekwaną, lub w tłumie posągów, które, podobne białym zjawieniom, wynurzają się z zieleni Tuileries, i znowu powracać oczyma w ów przezczysty owal niebieski łuku tryumfalnego.

Prawie tu nie trzeba marzyć. Prawie można tu, jak w lesie, jak w górach, lub nad morzem, oddać się wrażeniu, które samo spotyka, prowadzi, nastroja i tworzy.

Ten kamienny i słoneczny świat, to takie jakieś zjawisko przyrody, „jak potopu ścięte fale“, jakby cała jakaś faza, cały jeden wielki przypływ dziejów, zakłęty w ten kształt pełny przed oczyma pokoleń.

Istnieją gdzieś po świecie takie, zakłęte w kształt widomy i mniej lub więcej kamienny, epoki dziejów. Coś takiego widzi się w Rzymie na Kapitolu, ze spalonych wzgórz Jerozolimy, w Atenach. Miejsca te tchną mocą żywiołową, gdyż są ucieleśnieniem piątego żywiołu, potężnego żywiołu dziejów, z życia ludzkiego. Paryż jest takim ucieleśnieniem dziejów, do dziś dnia i w naszych oczach rzeczywistniającym się. Stąd jego moc szczególna.

Zresztą, gdy to słońce świeci nad obeliskiem, nie przychodzi na myśl wcale „słońce Austerlitzu“. Ani, patrząc na łuk tryumfalny, nie myśli się o „wielkiej armii“, ani w ogrodach Tuileries nie szuka się ech drugiego cesarstwa, ani na Placu Zgody krwawych śladów „straszliwego roku“. Zgoła się nie dowcipkuje rozumem w taki słoneczny ranek pod kolumnadą Luwru, tylko się idzie w ten świat jak się idzie morskim brzegiem, „w słonecznym zamyśleniu“.

Mnie zresztą prowadzi dziś tędy myśl stosunkowo brzydka. Oto mam pójść do „Małego“ i „Wielkiego“ pałacu sztuki na wystawie, i po raz ostatni przed sprawozdaniem rzucić okiem na ich rzekomą całość. Towarzyszy mi przy tem, jakby natrętna zwrotka, pewien frazes dostojny z jakiegoś otwarcia, że w pałacach tych (wielkim i małym) podziwiamy naraz „symbol wielkiego wieku“, który się kończy

(d'un grand siècle qui finit), oraz wschodzącą zorzę wieku nowego". Jakże to dużo, ach, jak to dużo naraz!

Idę więc patrzeć na te dwa symbole, lecz mimowoli krok zwalniam, mijając Tuileries, „gdzie tłum posągów stoi“, fontanny i obelisk Placu. i kolumnady świętej Magdaleny w perspektywie, i zarzucony wieńcami pomnik Strasburga.

Na Polach Elizejskich wzrastają tłumy powozów. Ruch ludzki kipi tu prawie tak rozrzutnie, jak fala słońca. Zda się, że same Pola płyną z pod nieruchomej w błękitie bramy tryumfalnej.

Na placu Zgody, między śnieżnymi pióropuszcami wodotrysków, krzyżują się te wyroje ludzkie, nieprzerwaną czerniawą płynące ku przedmieściu świętego Antoniego, na bulwary, z wystawy, na wystawę, na Górę świętej Genowefy. I nieustanny przypływ bije z zięjących zewsząd paszcz ulicy, i nieustanny odpływ znaczą krzyżujące się fale ruchliwe, a plac, i pola, i ogrody, jak kipiały, tak i kipią słońcem i tłumami. Tak piąty żywioł bije tu o brzegi swoje kamienne w słoneczny ranek paryski i prawie się napewno wie, że tu jest ten „symbol“, który mamy odnaleźć w wielkim i małym pałacu sztuki.

I znowu wzrok powraca w perspektywę łuku, gdzie jaśniej przezysty owal błękitu.

I czy dla tego, że stał dziś w Luwrze przed posągiem bezgłowego „Zwycięstwa z Samostrakos“, czy że słoneczny ranek tak rozzuchwala, czuję nagle, że posąg ten powinien stać tam właśnie przed bramą tryumfalną, na tle błękitnego wylotu, nad Polami Elizejskimi.

Tam niech-by stał ten cudny, skrzydlaty kształt, wymarzony w kamieniu przed wiekami. Tam, z pod tej bramy niech-by się zrywał bezgłowy anioł zwycięstw nad tem morzem głów w huraganie słońca. Niech-by tak płynął, jak ongi płynął na kamiennym przodzie statku, ażby mu te tłumy, w jakimś wielkim dniu przypływu dziejowego, wymarzyły aureolę nad bezgłowym torsem, i na jeden raz zlały się w porwie dusz z porywem jego skrzydeł!

Gdybyż można było czuć wtedy z krużganków Luwru, że „znów czasu Bóg postąpił krokiem“.

Sądząc z miejsca, które na Wielkim Bazarze zajęła sztuka, cywilizacya schyłku XIX wieku jest stanowczo najartystyczniejszą z pośród cywilizacyi wszystkich epok. Czy będziemy rachowali na hektary płócien zamalowanych, czy na centnary gipsu, bronzu i marmuru, użytego na pomniki i posągi, czy wreszcie na sześciany szlachetnego staffu, zawsze Wielki Bazar poświadczy widocznie, że jesteśmy wykwittem artyzmu, niebывałym nawet za marmurowych czasów Hellady.

Zwłaszcza szlachetny staff, staff piękny a pożyteczny, przekonywa nas o tem, w którąkolwiek-bądź stronę rzucimy okiem.

Staff, jest to prawdziwa mieszanina, że tak powiem, przemysłowo - artystyczna, użyta jako materiał ogromnej większości budynków i ornamentyki Wielkiego Bazaru. Jeżeli zaś klasycznie słusznem jest twierdzenie, że dzieła sztuki są w ścisłej zależności od swego materiału, że marmur, bronz, drzewo, farba olejna lub kredka pastelu narzucają wprost swój charakter, swoją logikę dziełom sztuki, to nigdy twierdzenie to nie święciło zupełniejszego tryumfu, jak tu na tym obszarze, gdzie wszechpotężnie włada staff.

Proszę rzucić okiem dokoła. Te oto grzebienie o żółtawym tonie, zdobiące przyczola Pałacu Wodnego i tak ładząco naśladowujące piernik — to staff! Te kunsztowne płaskorzeźby i wypukłorzeźby na wielkich pałacach Pola Marsowego, tak pokrewne lukrom i masie migdałowej, posłusznej palcom cukierników — to staff!

Te wreszcie białe figielki, zalegające dachy i frontony kiosków na Placu Inwalidów, a tak prawie filuterne, jak wystawy masarskie z najczystszej łoju — to także staff!

Staff jest tryumfem Wielkiego Bazaru. Gdy bowiem w roku 1889 rzeźbiarze i architekci urabiali żelazo i ceramikę w dziwaczny, ale potężny kształt tak zwanego „stylu żelaznego“, obecnie użyto na materiał niemal wyłącznie staffu. Staff jest to mieszanina gałganów i wapna. Ledwie zdołają inżynierowie ustawić żelazny skielec pawilonu, a już dobroczynny staff oblepia go, zasmarowywa, maskuje od fundamentu do szczytu. Staff jest niesłychanie plastyczny, prędko zastryga, tani jest i wreszcie przybiera wszelki pozór: łoju, piernika, lukru. Te względy wystarczyły, ażeby twórcy Wielkiego Bazaru uznali staff za materiał, godny jego ornamentyki.

I w ten sposób, z tej makulatury budowlanej powstały te tysiące rzeźb, dekoracyi, fryzów, gzemsów, kolumn i frontonów na wszystkich placach Wystawy.

Staff ma jeszcze jedną wielką zaletę: oto woda rychło go rozpuszcza na mleczko wapienne, ogień zaś wyżera tkankę gałganów, a tak, czy owak, przez stan płynny, czy sypki, budowania te łatwo mogą być zamienione w kałużę, lub w kupę popielisk.

Jeżeli pozwoliłem sobie nieco dłużej zaprzętać temi szczegółami o staffie uwagę czytelnika, to jedynie dla dwóch względów.

Po pierwsze: ponieważ szczegóły te są autentycznie fachowe, to jest wzięte z traktatu inżynierskiego o tryumfach staffu na Wystawie. Powtóre zaś, ponieważ charakter staffu rzeczywiście odbił się na ogólnym artystycznym wyglądzie Wystawy.

Jakiś nieszczery, kłamany ton mają wszystkie te budynki, jakaś nielogiczna porowatość, czy sparciałość cechuje te niby olbrzymy, mające się rozlać w błoto, lub rozsypać w kurz za lada przyczyną. Artystycznym kłamstwem, nielogicznością materiału i pozoru budynków wita Wielki Bazar widza. Tandeta, pokrewna oszołamiającym berlińskim wystawom w „Dreimarkenmagasin'ach“, tandeta przesadzona i sadząca się bezczelnie na pozory bogactwa i użyteczności, to nie jest właściwy podkład, ale jest to dobre tło dla dalszych wrażeń.

Wrażenie to uderza każdego, zwłaszcza zaś nuży i nudzi to piernikarskie budowanie w zestawieniu z architekturą szczerą, której nie brak przecież na placach Wystawy. Nawet brzydkie żebra wieży Eiffel nabierają prawie wdzięku wobec tych łójówek, wdzięku prostoty, szczerości i logiki budowania.

A już niema co mówić o precudnych drewnianych kioskach Japończyków, lub chińskim pawilonie, o niesłychanej rzeźbie drewnianej w Indyach angielskich i t. p. Tu połączenie lekkich, przezroczystych koronek drzewnych, barwistych laków, wyraźnych a wykończonych wiązań po prostu jest arcydziełem budownictwa drewnianego. Tą samą szczerością i logiką architektury podbija pawilon norweski: prześliczny, wygodny szalet północny z szerokich tarcic, o osłonionych dobrze gankach i werandzie.

W ten sposób budynki ze staffu są dobre chyba jako „repoussoir“ dla uwyrażnienia olbrzymiej roli, którą we wrażeniu artystycznym odgrywa szczerość i logika wewnętrzna dzieła sztuki. Tak naprzykład zyskują ogromnie na tem ogólnem tle dwa pałace sztuk pięknych, budowane seryo, na stałe. Wybaczają im się chętnie pewne błędy za uczciwość wykonania, za to, że nikogo nie okłamują.

Dziecinne pozory przepychu tanim kosztem, trwałości, niewytrzymującej porządnego deszczu, — zgoła cała ta architektura wystawowa, siłająca się na pozór artyzmu nieusprawiedliwionego, jest czemś bardzo lichem i przebrzmiałem, jako koncepcya ogólna. Po wysiłkach „stylu żelaznego“ zeszej wystawy, należało myśleć o architekturze

mniej pompatycznej, ale lepiej odpowiadającej wewnętrznej potrzebie szczerości w sztuce. której przecież nie można zostawić w domu, idąc na wystawę. I prawie tęskno wśród tych łójówek i pierników za brutalną siłą olbrzymich hall żelaznych, ozdobionych trwałym połyskiem kafi i ceramik.

Stanąwszy na moście Aleksandra III-go, obejmujemy okiem całość budynków i placów, w których obrębie mieści się wystawa sztuk plastycznych w ściślejszem rozumieniu. Na lewo, pod kopułą Inwalidów, wyciągają się dwa skrzydła pałacu sztuk stosowanych. Na prawo od Pól Elizejskich do Sekwany otwiera się perspektywa Alei Mikołaja II, przy której stoją wielki i mały pałac, to jest wystawa rzeźby i malarstwa. Jesteśmy zatem w dziedzinie sztuki „czystej“, sztuki, nienagającej się do celów postronnych... Sam most Aleksandra III, budowla bezwątpienia monumentalna, jest jakby łącznikiem tych dwóch dzielnic: Alei Mikołaja II i Placu Inwalidów.

Mistrzowie w sztuce tworzenia pejzażów miejskich, Francuzi, zapragnęli stworzyć w roku 1900 „pendant“ do owej niezrównanej perspektywy od Łuku Tryumfalnego do Tuileries, i stworzyli właśnie tę linię, na którą się składają: Aleja Mikołaja II-go, most Aleksandra III-go i Plac Inwalidów.

Ze środka Alei ma się widok wprost na złotą kopułę grobu Napoleona. Szeroki, jak największa sala przyjęć oficjalnych, most bynajmniej nie rozrywa całości tej perspektywy, owszem, przedłuża akcyę i stanowi przejście do placu. Prawdziwie, gdyby Francuzi pod Berezyną mieli tak monumentalnie szeroki most, kto wie, czy w roku 1900 Paryż zdobył-by się na to „pendant“, tak harmonijnie wiążące w całość przy pomocy mostu Aleksandra III-go pałac Inwalidów i pałac Elizejski?

Wracajmy jednak w Aleję Mikołaja II, w dziedzinę sztuki czystej.

Nie leży w mocy ludzkiej skreślenie wyczerpującego sprawozdania z wystawy tegorocznej. Kilkadziesiąt tysięcy rzeźb, płócien i innych przedmiotów sztuki obejmuje Pałac Wielki. Dwa piętra sal zajmuje wystawa z dziesięciolecia 1890 — 1900.

Zaledwie jakiś kąt pałacu, jakieś 20 — 30 sal pozostawiono na użytek francuskiej wystawie stuletniej, obejmującej poglądowy zarys rozwoju sztuki od schyłku wieku XVIII do roku 1890.

Cały wreszcie środek pałacu, to jest wewnętrzny, nakryty hallą dziedziniec, zajęła rzeźba. Dziedziniec ten będzie w zwykłym czasie służył za arenę konkursu końskiego. Mógł-by zaś w wiekach średnich zamknąć szranki najświetniejszego turnieju.

Otóż, gdy w tych ramach stanęły do appelu sztuki plastyczne, jeśli nie wszystkich narodów, to wszystkich państw, nie wyłączając Japonii, gdy obok tego, w trzydziestu blisko salach zgromadzono rzadkie okazy produkcyi artystycznej Francyi XIX wieku, sprawozdanie może być tylko rekapitulacją najsilniejszych „momentów“ wystawy—niezem więcej. Czemuś w rodzaju symbolicznego fresku „dziejów sztuki“, zdobiącego fronton Pałacu Wielkiego.

Przedewszystkiem ogromny zawód czeka widza w salach francuskiej wystawy stuletniej. Mówię tu, oczywiście, o widzu przeciętnym, który rad-by przy tej okazji, za pomocą przechadzki po kilkunastu salach, poznać sztukę francuską. Niestety, nie pozna jej, pomimo wiele obiecującego tytułu wystawy. Sale w istocie idą epokami: najpierw czasy wielkiej rewolucyi, potem pierwsze cesarstwo, restauracya, drugie cesarstwo i t. d.

W każdej epoce brzmią wielkie nazwiska, ale dzieł wielkich, tych, które znaczyły chwile przełomów w sztuce francuskiej, próżno tu szukać. Są to po największej części, niemal wyłącznie, obrazy, nadesłane na wystawę przez miasta całej Francyi: drugo i trzeciorzędne Davidy, Corot'y, obrazy Delacroix, Courbet'a, Regnault'a, Grossa, Ingressa, Millet'a, Manet'a i t. d., i t. d. Wszystko znakomitości i imiona historyczne, ale w próbkach raczej bledych i niewystarczających. Jest to więc wystawa bogactw prowincjonalnych muzeów francuskich, nie zaś „wystawa stuletnia“. Luwr i Muzeum Luksemburskie, freski Panteonu i posągi z Tuileries zawierają, jak zawierały, właściwą wystawę stuletnią. W Grand Palais znajdujemy tylko jej ciekawe dla amatorów i znawców „pendant“. W gruncie rzeczy inaczej być nie mogło. Znawcy odnajdą tu zresztą ciekawe kollekcye, jak naprzykład zbiór kilkunastu obrazów Daumiera, karykaturzysty, pouczające uzupełnienia do bogactw muzeów paryskich.

W salonach tych warto uważniej zatrzymać się przed tak zwanemi „objets d'art“, są to konsole, zegary, szafki, fotele, komody z czasów cesarstwa, dyrektoryatu i t. p., godne podziwu zabytki najsubtelniejszego smaku lub najwyszukańszej manieri francuskiej.

I oto jest kwintessencya, właściwe znaczenie nie tylko tej stuletniej, lecz całej wogóle wystawy retrospektywnej francuskiej.

Trzeba zwiedzić najpierw Pałac mały, zawierający wystawę mebli, relikwiarzy, zegarów, ołtarzy, kosztowności od czasów niemal

galskich do wieku XVIII, a następnie przenieść się do sal cesarstwa i restauracyi w Pałacu Wielkim. Można pominąć wystawę malarską, gdziekolwiek tylko rzuciwszy okiem na portrety „Chwalcę cesarstwa“, na pyszną Józefinę, na łagodnie zmanierowane obrazy Dawida, na parę Courbetów, na symetryczną furę Delacroix, na rozwiane dziwa Corota.

Obrazy te wraz z dyskretnym tonem gobelinów i patyną bronzów stuletnich tworzą doskonałą harmonię. Czasami wzrok pociągnie jakiś doskonały dyptyk z kości słoniowej, lub figlarna pudrowana miniatura, wzierająca z misternej oprawy. Czasami jedna jakaś noga świecznika z prastarej katedry zachwyca przez kwadrans kunsztem i niesłychaną obfitością ornamentyki.

Ale po małym czasie, bez wysiłku spostrzegawczości ze strony obserwatora, ogarnia go, ogarnąć musi zewsząd atmosfera niesłuchanego wykwintu, starego, wyrobionego, mocnego, jak wino, smaku. Smak ten uderzy we frontonie pałacu małego, rozwijającego w dalszym ciągu tradycję pałacików à la Trianon. Uderzy w niesłuchanie bogatej, a tak dyskretniej dekoracyi wielkiego salonu rzeźby retrospektywnej, gdzie malachitowe tło tak cudnie żeńi się z obfitością złotych kwiatów i owoców, po to tylko, żeby jasnym tonem rozweselić majestatyczne budynki i zmiękczyć surowość ścian. Nigdzie krzykliwości nie masz, nigdzie tu, jakby przyprószona złotem, ornamentyka nie razi parweniuszostwem, niesmakiem przeładowania.

Od pozłocistej bieli i delfinowatych linii Ludwików do zielonych, złoto pręgowanych tonów cesarstwa, od kosztów i rogów obfitości do wdzięczących się po ciemnych konsolach bronzów, marmurów; wszędzie ten sam umiar, ten sam pewny, nie wysadzający się spokój królewskiej ornamentyki.

To jest prawdziwie ornamentyka królewska, to jest wiążąca się w doskonałą całość z pojęciami majestatu, godności, wykwintu i szlachetności, jakie słowo „królewskość“, choćby przez bajkę o Kopciuszku i legendę o pięknym królewiczu, w nas budzić zwykło.

I to jest bardzo stara, bardzo nawykła do swej wspaniałości królewskość. Najkosztowniejsze porcelany mają tu najciekawszy kształt i barwę najskromniejszą.

Najbogatszy ornament jest zawsze tylko ornamentem, t. j. wiąże się logicznie z budową lub przeznaczeniem sprzętu. Złoto i drogi kamień grają tu tylko rolę surrogatów światła, promienia, rozweselającego zbyt ciemne, zbyt wielkie, lub zbyt surowe płaszczyzny. Obraz jest tu zawsze obrazem, rzeźba rzeźbą, podstawa podstawą,

i ściana ścianą, nie się tu nie potęga, nie unicestwia, nie przesadza w całości, a ta całość zawsze sama siebie tłómaczy oczom widza.

Mały pałac i sale wystawy stuletniej wielkiego pałacu są w gruncie rzeczy doskonale udaną reprodukcją tego, co nazywamy smakiem czy stylem francuskim. Jest to prawie całość tych uszlachetnień, któremi sztuka ozdobiła życie od budynku do biżuteryi.

Dobrze jest odświeżyć, oczyścić tu zbanalizowaną tyłu lustrami, krzesłami i strojami koncepcję Ludwików i Dyrektoryatu, Watteau i Pompadour, Cesarstwa i... „article de Paris“.

Jest to popis sztuki stosowanej francuskiej, w całej krystalicznej jej czystości i w historyczno wiernych okazach, po przez jej wszystkie fazy.

Potem można iść stąd na górę, do osławionych salonów, z monachijska secessyonistycznych, do „modernistycznych“ a kupieckich wielce pawilonów wszechgermańskiej secessyi na placu Inwalidów. Można z zimną krwią patrzeć na wysiloną pseudo - japońszczyznę, na dziecinną fantazyę „dekadentów“, tworzących krzesła podobne do kwiatów, kwiaty podobne do patelni.

Można zrywać do woli niedojrzałe i potworkowate owoce „stylów“, które padają na chwiejny smak demokracji europejskich, jak epidemiczne kalectwo logiki i szczerości.

Można także, wzięwszy za punkt wyjścia ten aż nazbyt skryzalizowany styl francuski, oryentować się w pożyczkach i przeróbkach jego, często mimowolnych, któremi własne ubóstwo maskują Niemcy.

I tem mocniej się odczuje niepodrabianą rodzimą świeżość pewnych indywidualnych wysiłków wyłamania się z rutyny, lub niemającą jej zgoła naiwność motywów etnograficznych, które były i pozostaną źródłem życia dla sztuki, głębią cudowną, z której kultura wieków umie wydobywać skarby swych „stylów“.

Zaprawdę, nie dość jest znaleźć kupca na cudaczne sprzęty lub założyć ich sztuczną wylęgarnię na wzór tej lub owej „secessyi“, ażeby stworzyć „styl“.

Sklepy i secessye przemijają, sztuka zostaje. Tego uczy niezrównana wystawa sztuki stosowanej francuskiej.

Malarz jest tyranem sztuki współczesnej. Doszło do tego, że wyraz „sztuka“ wśród szerokiej publiczności znaczy prawie tyle, co „malarstwo“. Na wystawach powszechnych najczęściej miejsca, najlepsze światło zabierają jakby *ex officio* płótna. Wytłómaczyć to można zapewne tem samem, co tłómaczy rozwój ilustracyi w latach ostatnich.

Ilustracye, tak mało po największej części mające wspólnego ze sztuką i literaturą, są ich łatwo strawnym surrogatem dla olbrzymiej masy biernie trawiącej życie publiczne.

Publiczność lubi obrazki w pismach i oleodruki na ścianach, gdyż one łagodnie i tanim kosztem zapełniają pustkę jej egzystencyi. Cierpliwości zaś papieru w świecie życia umysłowego równa się właśnie w świecie sztuk pięknymu cierpliwość płótna.

Dział malarstwa w pałacu wielkim, obejmujący wystawę dziesięciolecia 1890—1900, jest świetnym przyczynkiem do dziejów tyranii płótna w sztuce współczesnej.

Nigdy nie widziano większej ilości olbrzymich, na kilometry dających się mierzyć machin malarskich, zgromadzonych w jednym miejscu. Specjaliści od tematów inauguracyjno-państwowo-municipalnych, przysięgli twórcy panoram cieszących się powodzeniem, Stykowie wszech narodów, jeśli wolno tak powiedzieć, uczynili na ścianach Pałacu Wielkiego istną orgię bombastyczności, sabat „kilometrotubów“. Proszę mi wybaczyć ten neologizm, uformowany na wzór kilogramometrów i temu podob. Czem że mierzyć wartość takiej produkcji „artystycznej“ jeśli nie ilością tub farby, zużytej na kilometr płótna?

Gdy zaś znużony wędrowiec dobije do brzegu tych „przeглядów floty“, „inauguracyi z roku ***“, „Rewii na Polach??“ i t. p., czekają go wielkie „fantazy“ w stylu Rochegrosse'ów, Beraudów, płótna historyczne, przeznaczone dla sławetnych municipalności Tulonu lub Cherbourga i t. d.

I znowu po licznych kilometrach drogi, po płótnach, które przyniosły-by zaszczyt nie jednej wystawie tkackiej—ma się wystawy kobiecych robótek ręcznych. W tym dziale przodują Stany Zjednoczone. Niezliczoną jest liczba Alicyi, Cecylii i Karolin, których „kwiaty“ i „martwa natura“ (ser i winogrona), mogą w końcu przyprawić o kolorową melancholię.

Wystawa dziesięciolecia mogła-by nastrożyć niemal filozoficznych refleksyi na temat obniżenia się poziomu artystycznego w malarstwie, spowodowanego być może wpływami rynku na produkcję „czystej“ sztuki, być może zaś napływem żywiolów o niewysokiej świeżej daty kulturze. Rynek, w postaci bogaczącej się burżuazji, municypalności i reprezentacji państwowych, szuka w obrazie taniach efektów lub tematów aktualnych. Żywioly zaś zbyt świeże, czy to mowa o demokracji, czy o kobietach, czy wreszcie o społecznościach, jak północno-amerykańska, rumuńska, serbska i t. p., przechodzą z konieczności okres produkcji wyśrubowanej, sadzącej się na „reprezentowanie“ tego, co w gruncie rzeczy wykluwa się dopiero i jest na-pół dziecinne.

Nie będziemy jednak zapuszczali się na niebezpieczny grunt tych uogólnień.

Koniec końcem, nawet po najsurowszem osądzeniu połowy wystawionych obrazów pozostaje jeszcze bardzo dużo utworów godnych uwagi, wysilków zbiorowych rzetelnej wartości.

Francya naturalnie zajmuje niemal połowę sal malarstwa, podczas, gdy w drugiej połowie lokują się wystawy oficjalne kilkunastu państw. Ponieważ jednak każde ma do rozporządzenia 5—6 salonów, więc można zdać sobie sprawę, jeśli nie z narodowej, to, co najmniej, z państwowej sztuki danej jednostki politycznej.

Po tych kilku uwagach wstępnych, przejdźmy do przeglądu sztuki „czystej“.

Dość wyraźnie wystawa rozpada się na dwa wielkie odłamy sztuki: sztukę łacińską i sztukę germańską.

Przewaga wielkich płócien, jaskrawych tematów, wogóle wszystkiego, co-by można nazwać frazeologią malarstwa, jest oczywiście po stronie ras łacińskich. Francya trzyma tu prym niezaprzeczenie.

Dziesięciolecie ostatnie tak płodne było we frazeologię w całym wogóle życiu Francyi, że musiało się to odbić i na malarstwie.

Nie bez pewnego smutku widzi się tu machiny Detaille'ów, Gervex'ów, Rochegrosse'ów, Lefebvre'ów, Laurens'ów, Tattegrin'ów, Rolle'ów i t. p. na usługach chwili bieżącej, na równi z aparatem błyskawicznym reportera-fotografa. Były pomiędzy nimi talenty śmiałe i silne, które zwichnęła ta zbyt łatwa karyera, czerpiąca natchnienie w „faits divers“ dziesięciolecia. Tematy pseudo-historyczne lub książkowe, rozwleczone na takichże kilometrach płótna, krzykliwe i deklamatorskie, maskujące prawdziwe ubóstwo prawdziwie malarzkiej wyobraźni, stanowią dalszy ciąg tych elukubracyi oficjalnych. Tu do szeregu z Francuzami stają Włosi, Hiszpanie, Rumuni i Yan-

kesi. Olbrzymie, długie i brzydkie płótna Michettego lub Don Quichot Moreno Carbonero śmiało walczyć mogą z ubóstwem artyzmu i pompą frazeologiczną Dagnan-Beuveret'a, Berand'a, lub machin nie pamiętam czyich, na temat „Salambo.“

Mała salka rumuńska wprost śmieszny tą samą tandetą „wielkich“ tematów i lichego wykonania. I ani wiedzieć, dla czego praktyczny naród Yankesów wysłał również całe korowody płóciń krzykliwie-fantastycznych, twardych i jaskrawych.

Pejzaż i portret, dwie gałęzie malarstwa, najświetniej rozwijające się we Francyi, zajmują i na wystawie stanowisko poczesne, o ile je dojrzeć można z pozamachin poprzednio wzmiankowanych. Od „wody przeświecającej przez okna“ Corota na wystawie retrospektywnej, od Harpinies aż do najnowszych pejzażów dachów paryskich wybór jest obfity.

Szkoda jednak, że niema Klaudyusza Monet'a, którego katedry, stogi i pola tulipanów tak zajmowały publiczność w ostatnich latach i przyniosły powiew świeższy, nawet we Francyi, gdzie na brak coraz nowych porywów w pejzażu uskarżać się nie można. Niema również nic Signaca, znakomitego pejzażysty-dekoratora.

Natomiast w oddziale włoskim króluje pokrewny mu krajobraz barwny, słoneczny Segantiniego.

Portretów jest bardzo dużo. Portret, jak wiadomo, wiąże z ziemią podobłocznych synów sztuki, tj. poprostu jest najszlachetniejszą metodą malarstwa, gdzie nie malarz modela płaci, ale model malarza płaci i płaci nieźle, jak sądzić można z fortun znakomitych portrecistów.

Carolus Duran, Bonnat, Benjamin Constant z wieku i urzędu najliczniej i najwygodniej rozlokowali się na ścianach Pałacu Wielkiego. Zapóźno-by było dziś zabierać się do ustalenia reputacyi tych malarzy. Bonnat jest po dawnemu suchy i ścisły, Duran po dawnemu z dekadenska ryzykowny, Benjamin Constant poważnym nabytkiem pomnożył swą klientelę. To nie mała zdobycz dla interesu, portret „starej damy“, tj. królowej Wiktoryi, który nakształt głównego ołtarza pyszni się wśród wystawy Constant'a. W oddziale włoskim po dawnemu miejsce honorowe zajmuje Boldini, malarz o wybitnych zdolnościach, nie tylko malarskich, ale i... krawieckich.

Kto zwiedzał wystawy majowe w Paryżu, a bodaj był na jednej lub dwóch w okresie 1890—1900, nie pomijając oczywiście wystawy na Polu Marsowem i drugiej secessyi paryskiej, ten śmiało może pominąć te kilkadziesiąt sal łacińskich. Ci sami wystawcy, te same po większej części płótna. Brak tylko najstarszych, jak Puvis de Cha-

vanne, którego fresk, co rok niemal, podnosił całą wystawę Pola Marsowego.

Brak również najkrańcowszych, jak Monet lub Signac i, jak sądzę, nie najmniej interesujących pionierów malarskich.

Wystawa obecna najniekorzystniejszą jest może dla świeżych wielkości, dla tych, którzy byli wczoraj lub będą jutro wprowadzeni do Luksemburga. Warto poszukać wystaw Carrière'a, Collina, Aman-Jean'a, z których każdy ma tu sporo i ciekawych obrazów. Prawda, że np. „pocałunek macierzyński“ Carrière'a w Luksemburgu daje poznać tak samo całą duszę tego artysty, jak wszystkie inne razem wzięte płótna. Ale tu ma się w dodatku jakby historię jego pracy. To samo można powiedzieć o pełnych chorowitego wdzięku marzeniach Aman-Jeana i o eterycznych, nieco może zbyt prawidłowo-powiewnych, wizjach Collina.

Ale ktokolwiek i w jakimkolwiek celu będzie zwiedzał ten labirynt sal, niech pamięta, że w pocie czoła musi zdobywać uwagi i wrzenia swoje!

Dla Paryża i Francuzów w ogólności, którzy, bądź co bądź, dostarczą głównego kontyngensu gości wystawowych, Pałac Wielki ciekawym będzie głównie jako popis sztuki germańskiej.

Niemcy, Szwecya, Norwegia i Dania—oto prawdziwe „clou“ malarskiej wystawy dla Francuza.

Przedewszystkiem Niemcy. Malarstwo niemieckie nie bierze prawie wcale udziału w wystawach majowych.

Monachium Francuzi mniej znają, niż Berlin, ku któremu przeważnie kierują się turyści francuscy od czasu wojny, ażeby oglądać straszego smoka we własnym jego gnieździe.

Nic więc dziwnego, że gdy teraz, po raz pierwszy od lat wielu, sztuka niemiecka wystąpiła starannie w Paryżu, ogół tutejszy z wielką ciekawością podążył do jej salonów.

Wystawa niemiecka zjednała sobie powszechnie uznanie i Francuzi, wylączywszy naturalnie siebie, gotowi są uznać Niemców za zwycięzców na turnieju międzynarodowym. A jak to się często zdarza, salony niemieckie zaimponowały publiczności tutejszej prze-

dewszystkiem tem, czem Paryż sam imponował dotąd światu—dekoracją.

Sam Lenbach kierował nią podobno i trzeba przyznać, że obrazy niemieckie mają najlepiej ustosunkowane oświetlenie i prawdziwie artystyczne tło i otoczenie. Szereg poważnych sal, dekorowanych ciemną i ciężką materią, naśladowującą stare makaty i adamaszki, w jednym miejscu rodzaj przejścia z kolumnadą, dyskretny półcień wszędzie, a nigdzie jarmarczego tłoku obrazów, co, niestety, całej wystawie można zarzucić. Ta sztuka „mise en scène“ poprostu zaimponowała Francuzom. Mniej może zaimponuje wszystkim, którzy znają urządzenie Pałacu Szklanego, Secessyi i Muzeum Schacka w Monachium, a w sekcyi niemieckiej zobaczą tylko poprawny „ciąg dalszy“.

W gruncie rzeczy trochę Grecyi, trochę gotyku, trochę smaku, wyrobionego na tychże Francuzach do powiązania całości, oto ów styl niemiecki. Nie trzeba także zapominać o pyszniącym się wszędzie napisie „Deutschland“.

Podobnie, jak na wystawie francuskiej uderza wprost brak Puviss de Chawanne'a, tak znów u Niemców dziwnie pusto bez Böcklina.

Gdyby choć jeden, mały obrazek, coś w rodzaju „Pasterki nad urwiskiem“; lub wariantu „miasta umarłych“, lub szkic jakiśdo „Trytonów“, nic, literalnie nic, nie dał Böcklin na wystawę.

I zdaje się, że wszystko to, co jest, jest tylko porządnie zachowującą się klasą w oczekiwaniu mającego nadejść nauczyciela. Bez wątpienia, sale są urządzone mądrze, obrazy dobrane starannie, staranniej znacznie niż u Francuzów; kultura i praca sumienna bije z tej wystawy, ale brak jej czegoś, by mogła zaimponować ostatecznie, brak geniuszu sztuki, którego nie zastąpi dziwaczny talent Stucka, ani patetyczny Uhde, ani nawet sam Lenbach, marzycielski, słodki wizjoner, pelen reminiscencyi ze starych mistrzów włoskich, których tak bardzo umiał pojąć i którymi tak bardzo się przejął w swoich portretach.

Wystawy Skandynawskie uderzają tą samą obfitością malarstwa rodzajowego, co i salon niemiecki. I tu i tam pełno scen z życia codziennego ludu, pełno tych klasycznie wyrazistych „typów“, starców brodatych, staruszek dziwnie pomarszczonych itp.

W malarstwie jednak skandynawskim rodzaj przechyła się raczej w kierunku pejzażu: śniegi i skały, lasy i dziwne morskie odbłyśki, efekty nocy podbiegunowych i fiordy stanowią o charakterze tego malarstwa.

Spotyka się tu takie niespodzianki koloru i światła, takie przejścia od ciemnych do jaskrawych tonów, że trudno nieznającemu przyrody północnej zrozumieć to i ocenić należyście.

Bardzo charakterystycznie też występuje różnica w pojęciu fantastyczności między Niemcami a Skandynawią.

Niemcy, pomimo wysiłku w tym kierunku, nie mają już tej naiwności, tej dziecinady w koncepcjach fantastycznych. Są to już przeważnie malowidła przefilozofowane, literackie.

U Skandynawczyków zaś elementy, sagi i legendy wcielają się na płótnie w kształt prawie ludowych malunków. Od płócien po prostu bije folklor, bajka z wieczornicy zimowej opowiadana o północy.

Jakaś ogromna, wszechstronna i głęboka praca ducha nurtuje te kraje północne od Danii do Norwegii i wydobywa na powierzchnię życia dziwne skojarzenia rzeczywistości z urojeniem. Ta sama niezwykła mieszanina realizmu i naiwnej, jakby zasłuchanej w jakieś dziwy, fantazyi, którą znajdujemy w literaturze skandynawskiej, uderza i tu. Cierpliwe, sumienne i pracowite, powszednie dni nad fiordami, drobiazgowo zanotowane w obrazach rodzajowych, — połowy ryb, sceny z opatulonych przed śnieżycą wewnątrz w kręgu lampy, fragmenty dróg pod śnieżnym całunem i ciemne lasy igliczne stanowią tło, na którym, jakby dziw nad dziwami, jak korona zorzy północnej, tajemniczo mkną korowody widm, brodatych królów w koronach, jakichś rycerzy, jakichś czarownic.

I tu prawdziwą niespodzianką dla publiczności europejskiej jest najmłodsza latorośl tej północnej kultury—Finlandya. Obok Weren-skjolda i Thaulowa, obok Harboga i Zorna, Krogera i Christianse-na wyrasta nowe pokolenie poetów-plastyków. Z krainy jezior, z ojczyzny Runeberga po raz pierwszy wysłano w większej ilości owoc dojrzewającej, samodzielnej, a rasowo pokrewnej Skandynawom, kultury.

Te same cierpliwe dni i wewnątrz sadyb północnych, ta sama ciemna zieleń choiny i dziwne światło śniegu, ta sama na tem tle powszedniem twórczość nawykłej do baśni i legendy wyobraźni. Finlandczycy zajęli bardzo publiczność obecnej wystawy! Sztuka ich nikomu nie może zaimponować rozmachem lub bogactwem, ale przykuwa charakterem, rodzimością, jak fragment północnej przyrody, przeniesionej nagle pod obce niebo. Świadomość plemienna, praca cierpliwa, kultura odrębna, samoistna i kochająca się we własnej tradycyi, oto co uderza i budzi szacunek w sekcyi finlandzkiej.

Edelfelt, Halonen, Gallen—to nowe imiona, wpisujące się dziś dobrze w księgę pamięci ludzkiej. Warto o wysiłkach tego dzielnego

społeczeństwa pomówić obszerniej, co też uczynię przy pierwszej sposobności.

Niepodobna tu zachwycać się pojedynczemi utworami i wchodzić w opisy wystaw, które, mimo wspólnego dla wszystkich obrazów tytułu państwowego, są zbieraniną najróżnorodniejszych i nie z sobą wspólnego nie mających kierunków sztuki i kultury. Tak np. sprzęgnięto na wystawie Węgry z Kroacją, tak przedewszystkiem przedstawia się obfity inwentarz Austrii.

Sztuka „austriacka“ rozpada się na dwa działy.

Pierwszy, cieszący się oficjalną nazwą, to właściwie sztuka wiedeńska; słynna nad miarę „secessya,“ tj. malarstwo, świadomie pozująca na jakąś ckliwą, literacką karykaturalność wrażeń, panowanie kawy, alkoholu i kinkietów w sztuce. O tem pisać nie będę, bo opinia „secessyi“ u nas zbyt ustalona, efekt zaś jej na mnie zbyt mały, żebym mógł tu znaleźć coś do powiedzenia.

Poza sztuką „wiedeńską“ Austrija nie ma i mieć nie może żadnego jednolitego kierunku. To też reszta jej wystawy należy właściwie do Czechów, Polaków, Rumunów, Słowaków, Włochów, Ormian itd., itd. Jakaż wspólność istnieć może między obrazami, których autorami są pp. Deutsch, Nemejc i Svabinsky lub Marinicz, Kasparidos i Estevle?

To też o ciekawych objawach tej sztuki „austriackiej“ pomówimy na innem miejscu, przy opisie ulicy narodów.

Z wrażeń malarskich Pałacu Wielkiego najsilniej może wrażają się w pamięć Anglia i Japonia.

Japonia po raz pierwszy zjawia się na wystawie wszechświatowej. I mimo, że jesteśmy już przygotowani do ocenienia jej arcyzmu przez wystawy muzealne i przez monografię o Hokusaim i Outamazo, nie odrazu można zrozumieć, że i to jest sztuka malarska, jak każda inna. Dziwnie odbijają te skrótane i stylizowane płócienna, właściwie jedwabie i atłasy, na których błyszczą barwy, mające coś z charakteru kwiatów, tonów perłowej muszli i rybich skrzeli. I otóż mimo propagandy muzeum Guimet i wystawy Binga, Europejczyk nie bardzo umie ocenić te płótna: czy to są w czambuł arcydzieła, czy one wszystkie jednakiej wartości, czy też może to tylko dalszy ciąg wachlarzy i dwususowej „japońszczyzny“ z pod Odeonu? Bez żartów, trudno zorientować się w tej sztuce, której wysoką kulturę się czuje, ale nie zawsze rozumie, i której odcienie są może nie dla europejskiego oka, jak owe osemki i szesnastki tonów wschodnich nie dla naszego ucha. Natomiast zetknięcie się z malarstwem japońskiem ogromnie obniza wartość „oryginalnych“ pomysłów secessyonistów i deka-

dentów malarskich, którzy podobno więcej zawdzięczają Japończykom, niż sami o tem wiedzą.

Tylko że tu każdy taki Suzaki lub Yamamoto wie dobrze, co chciał wyrazić tą perlistą kaligrafią barw na jedwabiu. Wątpię, żeby tyleż samowiedzy i szczerości zawierały przewracające świat do góry nogami płótna pseudo-Japończyków z nad Sprei i z nad Dunaju.

Na zakończenie tej wędrowki zostawiłem Anglię. Na kontynencie malarstwo wielkobrytańskie należy do najmniej znanych. Raz na kilkanaście lat zdarza się gdzieś w Paryżu lub Berlinie jakaś specjalna wystawa, dająca pewne pojęcie o tej potężnej, kipiącej życiem i szlachetnej sztuce.

Tak przed kilku laty cały Paryż podziwiał wspaniałą wystawę portrecistów, na której „Ble Boy“ Gainsborougha, obrazy Reynoldsa i Hoppnera, gromadziły tłumy artystów. Podziwiano zupełny „modernizm“ tych malarzy z przed stu lat, delectowano się niesłychaną brawurą portretów, niezrównaną wytworosięcią barw i układu.

Co rok zaś na wystawie majowej jakiś jeden Herkomer, Orckardson lub Crane tryumfował nad całą salą malarzy z kontynentu.

Otóż w tym roku Anglia wystąpiła starannie, niż zwykle, i wprost bije w oczy w tych salach odrębność dróg, któremi w tym kraju chodzi kultura artystyczna. Uderza przedewszystkiem zupełna samoistność tej sztuki. Widzi się prawie dotykalnie, że ta ziemia nie rodzi szkolarstwa artystycznego. Każdy jest sobą, odpowiada za siebie. Nie jest to bynajmniej brak tradycyi w sztuce, lecz brak instynktu owczego, posłuszeństwa modzie, brak taniego efekciarstwa i klik wzajemnej adoracyi.

Malarstwo angielskie, czy to w Millaisie, czy Burn Jonesie, czy w Almie Tademie i Herkomerze, czy w Orckardsonie i Leytonie, czy wreszcie w tych wszystkich Swanach, Dicksee, Harrisach, których po raz pierwszy widzimy, uderza żywotną, pełną godności indywidualnością artysty.

„Każdy z tych wyspiarzy jest sam wyspą“ — powiada Taine, malując charakter Anglików. Każdy z nich jest szczerze i odważnie samym sobą. Jeżeli odsuniemy tu na bok pewną ilość naiwnej oceanomanii, wspólnej wszystkim Brytańczykom, i rozmiłowanie się w lalkowatym nieco typie dziecka i kobiety, to pozostanie nadzwyczajnie mocna, męska, szczerza sztuka, jako wyraz najsilniejszych wrażeń życiowych, najgłębszych upodobań danego artysty. Dla tego-to obrazy Anglików uderzają wyrazem, wprost narzucającym się widzowi, ude-

rzają prostotą i szczerością efektów. Jest to jakaś jasna i otwarta sztuka, wymowna bez patosu, pełna życia, choć nie siląca się na realizm w lachmanach, i poetyczna, choć najmniej może od wszystkich literacka.

Tu koniec tej, w gruncie rzeczy nieznośnej, wędrówki w labiryncie płócien. Nieznośnej, bo wystawy malarskie, w ten sposób urządzone, nagromadzające dziesiątki tysięcy utworów, są barbarzyństwem. Płótna pod oczyma widza toczą zjadłą walkę o byt, przyczem w grę wchodzi bynajmniej nie sama wartość artystyczna, lecz dużo więcej kwestya ram, oświetlenia, wysokości. na której wiszą, sąsiedztwa innych i t. d., i t. d. Nieznośne wskazówki katalogów i przewodników, których wszakże wyrzec się niepodobna, narzucają się i pomimowoli paczą sąd czystego wrażenia.

Pamięć zawodzi, wyobraźnia się nuży, zdolność do wrażeń tępieje i, prawdziwie, trudno się zgodzić, że to ma być „uczta estetyczna“. To jest raczej wielka, barbarzyńska bachanalia, którą zapewne lepsza przyszłość wymaze z obyczajów świata cywilizowanego.

Gdy, szanowny czytelniku, będziesz przypadkiem w Pałacu Wielkim i, gnany widmem terminowego biletu „aller et retour“, zapragniesz poznać „sztukę nowożytną“ przez męczeństwo w tych salach, gdy potem, zmożony torturą estetyczną, zapragniesz wytchnienia, przyjmij ode mnie jedną wskazówkę, tylko tę jedną. Oto wróć, nie patrząc na resztę, przed ten obraz, który Cię najwięcej uderzył, stań przed nim, lub siądź, i oddaj się wrażeniu, nie dbając o wszechstronność jego. Potem, jak rycerz z bajki, uciekaj, nie obracając się za siebie, choćby cię gonili największe płótna Roghegrosa, choćby Ci się wdzięczyły najekliwsze kobiety Bouguereau, choćby cię straszły wszystkie truposze Secessyi.

Uciekaj, i to jedno jedyne najsilniejsze wrażenie unosź z sobą zazdrośnie, bo to jest cały twój skarb prawdziwy, z tysiąca wybrany.

Tak, opuszczając salon, za każdym razem siadam przed obrazem Millais'a pod tytułem: „Stary ogród“; nieruchomo, jakby w wiecznym śnie, stoją tam ciemno-zielone szpalery, nieruchomo leżą zwiędłe liście na pustych drózkach i w ustroniu milczy basen fontanny. Za ogrodem kresłą się jakieś dalekie perspektywy zachodniego nieba, na którym gasną blaski dnia.

Tak gaśnie zachodzące słońce nad „miastem umarłych“ Boecklina, gdzie kwitną wśród cyprysów owe cudne róże — dla nikogo.

I tyle mi w duszy zostaje z tej orgii Wielkiego Pałacu: „Stary ogród“ Millais'a i myśl o różach Boecklina.

Z cieplarnianej atmosfery malarstwa, gdzie oczy w końcu powleka jakąś kolorowa katarakta, jakby wyziew wysiłonej dokoła gry barw, gry zawsze sztucznie skombinowanych efektów światła, wychodzę na świat wolniejszy, przestronniejszy, bardziej słoneczny. Oto w zieleni krzewów, skąpanej w jasnym dniu, jak okiem sięgnąć, bielegają rzeźby.

Jest to zapewne reakcja wrażeń w oku, ale ten świat marmurów po prostu pieści wzrok jakąś niesłychanie wzniosłą, szlachetną pełnością wrażeń, pogodną harmonią tonów.

Oto jest sztuka w największym swym blasku, w największej chwale, sztuka, rozkwitająca w słońcu, sztuka, nie znosząca żadnej sztuczności, żadnego fałszu—naga, wielka, harmonijna i potężna, jak dzieło stworzenia.

Kto śmie twierdzić, że najbielszy z tych posągów nie jest jednocześnie nasycony jakąś niesłychanie subtelną barwą? Marmur, gips, alabaster, — każdy z tych materyałów na swój sposób nasiąka światłem, powleka się cieniami, i w ten sposób sam sobie stwarza jakby poświaty tonów, będących przejściem od światła do barwy. Każda rzeźba, jeżeli tylko nie skłamały modelujące ją ręce, gra w oku sobie właściwym tonem barwnym, zimnym lub gorącym, prześwietlonym lub ćmiącym się. To samoistne barwienie się rzeźby jest czemś nieskończenie subtelniejszym, szlachetniejszym we wrażeniu niż owo u wypuklanie się malowidła, o którym tak lubimy rozprawiać.

W olbrzymiej nawie Pałacu Wielkiego, tak wielkiej, że się prawie nie czuje ścian, ten rzeźbiony świat jest bez wątpienia najczystsza oaza sztuki na wystawie. Biel posągów, kształt ich, pieszczący wzrok, i utajony w nim, jakby zatrzymany na chwilę, ruch — wypełniają olbrzymią nawę po brzegi. Tak wypełniają przestrzeń tylko akordy muzyki. I mimowoli te jasne grupy bierze się za akordy, za skamieniałą muzykę. Mimowoli powraca się pamięcią do słynnych porównań

architektury i rzeźby z muzyką, porównań, w których poeci i estetycy za pomocą rytmu i dźwięku starali się wyrazić tę niesłychaną pełność wrażenia, jaką daje rzeźba.

Dość okiem rzucić na jedną i na drugą stronę wielkiej nawy, ażeby odróżnić rzeźbę francuską od całej wszech europejskiej reszty. Przedtem, nim się będzie miało możność wejść w szczegóły różnic, uderza po jednej stronie krzykliwość, przesada, szafunek materiałem, pozerstwo: to rzeźba węgierska, amerykańska, po części włoska; po drugiej zaś stronie wzrok wprost urzeczony upaja się harmonią, umiarem, siłą i wdziękiem: to Francya.

Po jednej stronie materiały nieustannie wylazi na jaw, przysyłania sobą niejako treści dzieła, widzi się oto gipsowe kolosy i piramidy kamienia, nie zdając sobie sprawy z tego, co one wyrażają.

Po drugiej stronie z zieleni krzewów wychylają się prawie żywym ruchem postacie i grupy. Każdy symbol sam siebie tłumaczy, każdy kształt realny przemawia własnymi cechami, biorąc tylko od bronzu i marmuru to, co jest konieczne dla wrażenia.

Wielka, nałogowa logika narodu, jego silna i prosta dyalektyka tu dopiero, w tej jasnej i nagiej sztuce kryształizują się i tworzą arcydzieła. Powoli, przechodząc koło grup i posągów, które zresztą same zdają się rytmicznie mijać widza, poznajemy tajemnicę tej pełni artystycznej. Jaka tu pewność w postawieniu każdej figury, w nakreśleniu każdego ruchu. Czuć, że to naród umiarkowanej, ale wyraźnej giestykulacyi, naród, znający dokładnie wartość mimiki, ruchu, pozy. Uderza wreszcie obfitość doskonałych modeli, bez których nie mogły-by powstać te kształty klasycznie czyste, zharmonizowane, w miarę rozwinięte i wyraziste bez przesady.

W ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, we Francyi żywej powstaje i rozmnaża się Francya rzeźbiona, jakby ten naród śpieszył się właśnie wystawić sam sobie pomnik na obszarze całego kraju. Powstają fontanny w zieleni ogrodów miejskich, pełne grup i figur allegorycznych. Najabstrakcyjniejsze gałęzie nauki w świątyniach swoich wznoszą kamienne symbole. Zaludniają się place, parki i ulice posągami, i Francya ma dziś tyleż znakomitych ludzi w marmurze, co ongi miewała w życiu. I jak światu bohaterskiemu przystoi, ten marmurowy lud otacza się chętnie tłumem emblematycznych figur zwierzęcych: orłów, lwów, byków i niedźwiedzi. Jest nawet specjalna roślinność w tym świecie, przedziwna vegetacya kolumn i obelisków, korny kamienych palm i ciężkie grona marmurowego winogrodu.

Gdy cały kraj odczuwa potrzebę tej rzeźbiarskiej nadbudowy życia, gdy potrzeba ta nie jest sztucznym wytworem chwili, lecz coraz potężniej wkorzeniającą się tradycją, cóż dziwnego, że zdolano dziełami, niemal na chybił trafił wybranymi, zapełnić nawę Pałacu Wielkiego? To, co widzimy, to tylko ułamek, to resztki wspaniałej biesiady artystycznej, w której ten cały kraj bierze udział. Nawet zatłoczona po brzegi sala Luksemburga, nawet muzeum rzeźby nowoczesnej w Luwrze nie są dziś treścią, lecz tylko wspaniałym przykładem rozkwitu rzeźby francuskiej.

Od czasów Courtau, Pajou i Pugeta, od czasów Carpeaux, Cogneta, Jouffroy, od czasów Rude'a i Barrye'go, iluż nowych rzeźbiarzy uświetniło tradycję rzeźby francuskiej! Dalou, Falguière, Chapu, Barrias, wydali nowe pokolenia, istną litanię znakomitości, takich Mercié, takich Fremiet'ów, Bartholdich, takich, jak Puech, Guillaume Bartholomé, Peter, Mengue, Lefebvre i t. d., i t. d.

Paryż, zwłaszcza w chwili obecnej, to jest z tem, co zawierają place i ogrody, muzea, Pałac Wielki i wystawy specjalne rzeźbiarskie, jest prawdopodobnie jedynym Panteonem rzeźby nowoczesnej, która znowuż w XIX wieku stała się niemal wyłącznie rzeźbą francuską.

Setki nowych nazwisk, a z niemi nowych dzieł, przybywają tu nieustannie. Najbardziej ograne koncepcje, jak Joanna d'Arc, znajdują jeszcze wyraz nowy i oryginalny. Najbardziej salonowe kawałki w rodzaju „Menuetów“ i „Gawotów“ tchną artystem. Obok niezrównanych lwów Barrye'go, wyrastają młode lwiątko, jak ta świetna grupa „Lwów pod okiem pogromcy“ w Wielkim Pałacu, przed którą nie bez dreszczu defilują tłumy publiczności.

Obok ogromnej ilości rzeźb z wolnej ręki, jakby od niechcenia z marzeń powstałych, uderza na wystawie mnóstwo projektów dekoracyjnych: fontanny, wypukłorzeźby i płaskorzeźby frontonów, pomniki cmentarne, grupy do westybulów. Czuć, że ta sztuka ma grunt pod nogami, nie jest dodatkiem do życia, lecz jego wykwittem.

Obok rzeźby klasycznej, zasadzającej się na konwencyonalnej, ale doskonałej harmonii kształtu i spokoju, potężnie rozwija się rzeźba w ruchu, rzeźba, wkraczająca w dziedzinę malarstwa. Wyraz zastępuje harmonię, łagodnej symetrii przeciwstawia się głęboki dyssonans. Obok wykończonych i wygładzonych studyów atletycznych, kipi, jakby wyszarpana z głazów, rzeźba „puszczona“, w której szki-cowość roboty służy niejako do obnażenia gry nerwów, gdzie dawniej obnażano grę muskulatury. Rodzą się przed oczyma zdumionego wi-

dza owe prawdziwe rzeźby kolorowe bez użycia kolorów, gdzie artysta przez jakieś czarodziejstwo cięć i planowań nadaje oto temu naprzykład „Człowiekowi z epoki kamiennej“ jakieś ciemno-miedziane, brunatne tony, choć kamień nieposzlakowanie biały służy mu za materyał. Powstają specjalności, rodzaj tryumfuje w takich naprzykład cyklopowych kreacyach ludzi pracy Meuniera, w zwierzęcych grupach Valtona.

Stojąc na wystawie wśród rzeczy skończonych i wystawionych na pokaz, ma się wrażenie warsztatu olbrzymiego, pełnego ruchu krzyżowania się kierunków pracy, nowych zaczynów i wysiłków twórczych.

Nie jest-że to najwyższy tryumf sztuki, najwymowniejszy znak, że ona tu żyje potężnem, samoistnem życiem?

Nie przytaczam nazwisk artystów, nie wymieniam dzieł, specjalnie „zasługujących na uwagę“, bo właśnie ta całość jest jej najgodniejszą. Tam, gdzie sztuka żyje całą pełnią, nawet poronienia są „godne uwagi“, bo i one są jednym z momentów wielkiego dzieła narodzin.

Niepodobna mi tylko zamilczeć o „Larochejaqueleinie“ Falguiere'a. Stoi ten posąg u stóp olbrzymiego, jak wieża Babel, pomnika Wiktora Hugo, pod kopytami kolosalnych i ciężkich koni jakiegoś Amerykanina.

Jest to skromny bronz naturalnej wielkości: człowiek w spokojnej pozie i w zwyczajnym stroju z epoki 1789 roku. Ale nie znam w rzeźbie bardziej młodzieńczo wezbranej piersi i szlachetniejszych rysów. Próżno się nad nim piętrzy gipsowa góra; młody bohater wandejski przerasta ją niesłychanem skupieniem siły i dumy w postawie, szlachetności w czole, natchnienia w oczach. Dziwna rzeźba: pod ubraniem czuje się w niej młodą pierś „nie na miarę krawca, lecz Fidiasza“; jej bronz lyszce płomienną siłą, jej spokój przejmuje dreszczem.

Naprzeciwko najzgiełkliwszej, najnikczemniejszej części Bazaru, ulicy Paryskiej, wznosi się wśród drzew cichy i osamotniony pawilon, w którym artysta zawarł treść całego życia gorących walk,

natchnień, upadków i pracy. Publiczność zagląda tu niechętnie, gdyż pawilon nie należy już do wystawy, i trzeba płacić za wejście oddzielnie.

Można tu przyjść i oddać się kontemplacji dzieł. Nieliczni zwiedzający snują się tu i owdzie wśród rzeźb, na które leje się z poza drzew łagodne zielonawe światło.

Jest to pawilon Rodin'a. Od czasów słynnego zatargu o pomnik Balzac'a, Rodin stał się znanym szerokiej publiczności. Przedtem znali go tylko angielscy turyści i amatorowie sztuki, nadewszystko zaś literaci, malarze, muzycy, rzeźbiarze, dla których Rodin stał się od razu zwiastunem nowych dróg. Oktawiusz Mirbeau, Klandyusz Monet, Bernard, Carrière i wielu innych do niedawna jeszcze przedstawicieli młodej Francji artystycznej i literackiej, stworzyli jakby orszak honorowy dokoła rzeźbiarza.

Publiczność podziwiała i wzruszała ramionami, krytycy klócili się, zarządy muzeów na wszelki wypadek nabywały „okazy“ pracy Rodin'a, on zaś tymczasem pracował bez wytchnienia, ulegając potężnej potrzebie zrealizowania tłumy wizyi, wśród których żył więcej, niż wśród rzeczywistości.

W pawilonie Rodin'a bardzo mało dzieł zupełnie skończonych, a i te, które są, z wyjątkiem może jednego z „Pocałunków“, pełnego niesłychanej słodyczy, są jakby poszarpane, nawpół tylko wychylające się z rodzimego głazu. Na chropowatych blokach, z potwornych muszli kamiennych, porąbanych nerwową ręką, wynurzają się te dziwnie delikatne profile, głowy myślące, oczy zadumane, twarze w ekstazie.

Surowy materiał służy ciągle jako „repoussoir“ dla wykończonych części roboty, lub, jak powiadają tłumacze rzeźbiarza przed publicznością, artysta w ten sposób zaznacza związek wielkiej formy życia z jego pierwotną materią.

Dokoła szkice i szkice. Oto z bloku wystaje kurczowo zaciśnięta ręka, której „wyraz“ uderzył artystę. Oto dziesięć, dwadzieścia razy powtórzone pewne wygięcie czy wylamanie nóg. Ale nadewszystko, gdzie okiem rzucić, powtarza się jeden najbardziej dla Rodin'a charakterystyczny motyw: dwa ciała splecione w uścisku. Grupy te, niezliczone odmiany „Pocałunku“, raczej w znaczeniu francuskiem tego wyrazu, są jakby punktem wyjścia tej twórczości. Trzeba zacząć

od takiej grupy dwojga, ażeby potem zrozumieć wyrazy pojedynczych ciał i twarzy.

Ekstazy, przechodzące w konwulsye, drgawki i spazmy, niedo-
łężne zwiśnięcia, odpychanie się pełne niemocy i bezprzytomne uści-
ski, oto treść tej rzeźby.

Jeżeli chodzi o wysiłek nerwów, to myślę, że nikt go więcej
w kamień niewłożył od Rodin'a.

Nie napróżno dziełem całego życia tego rzeźbiarza ma być mo-
numentalna „Brama piekielna”, której szkic zdumiewa iście potępień-
czym wyrazem.

Jakie są tu pokurczone twarze, jakie wyschłe piersi, starcze ra-
miona, jakie nadewszystko męczące, piekielne uściski.

Rzecz prosta, że sztuka, dochodząca do takiego wprost bolesne-
go napięcia nerwów, graniczy co chwila z upadkiem. Któż określi,
co w takim np. posągu Balzaca jest wyrazem siły, a co wyrazem nie-
mocy artysty? Dość, że całość tej tytanicznej roboty „szukania”
wzrusza i przejmuje szacunkiem.

Jak daleko tu jesteśmy od pulchnych kształtów amorkowatej na-
gości, jaki pojedynek woli z głazem!

Rodin mało dziś wypuszcza z pracowni. Woli żyć wśród swo-
ich utworów, wracając po sto razy do zaczętej i porzuconej roboty,
czekając cierpliwie lata na jedno dotknięcie dłota, przez które mar-
twa bryła nagle się ożywia. Właściwie zaś on nie czeka na natchnie-
nie, lecz w wiecznym niepokoju ducha szuka go zapamiętałe, cały od-
dany swym wizjom i wyrazom.

Było-by rzeczą śmieszłą mówić tu o technice tej pracy. Cóż
nas to zresztą może obchodzić, skoro w tych dziwnie szarpanych blo-
kach i zlepieńcach czujemy wyraźnie ogrom utrudzenia, znój i ból,
i niepokój duszy, przejmująco pokrewny własnym naszym wysileniom,
choć tyle od nich potężniejszą.

W tym olbrzymim warsztacie sztuki nowoczesnej, który w rzeź-
bie francuskiej ma swój wyraz może najsilniejszy, Rodin przychodzi
jakby jakiś zawrotnie wysoki ton; jak ów ton na cymbałach Jankła,
ton struny dźwięczącej pod dotknięciem skrzydła muchy.

To rwie się tak i jęczy dusza człowiecza w pajęczych siłach
współczesności.

I choćbyśmy przed tem przeszli kolo tysiąca rzeczy martwych
i skończonych, choćbyśmy obejrżeli wieżę Babel pomysłów i usiło-

wań, choćby nas zatrzymały po drodze najślodsze uludy sztuki, choćby nam wskazano najbujniejsze jej kwiaty już rozkwitłe; to jednak ów ton zwierzchni, boleśnie wysoki, ów jęk duszy, rozdzierającej się do głębi dla porodu własnego świata, będzie zawsze najwymowniejszym świadectwem, że sztuka taka żyje i żyć będzie dla całej ludzkości.

ANTONI POTOCKI.

Garczyński i Krasieński.

Szkic literacki.

Pojęcie historii literatury uległo w ostatnich dziesiątkach lat naszego stulecia zupełnej zmianie. Z szeregu luźnych życiorysów, szczegółów bibliograficznych, pochwał lub nagan, będących wyrazem sympatii lub antypatii autora, przekształciła się ona w naukę historyczną, sprawdzającą starannie każdy fakt i łączącą wszystkie w jeden nieprzerwany łańcuch przyczyn i skutków.

Z ładnej zabawki warstw wykształconych powstała w ten sposób umiejętność, która, obok historii politycznej, jest najważniejszym źródłem dokładnego poznania ducha narodu, a o miedzę tylko graniczy z niedoścignionym dotychczas ideałem — historią cywilizacji.

Co jednak ma być owym kitem, łączącym poszczególne fakta literackie w jedną całość? oto pytanie niezmiernie ważne, wprost zasadnicze, które wywołało gorące, a do dziś trwające spory. Same poglądy estetyczne nie mogą wystarczyć do zrozumienia stanowiska ja-

kiegoś autora w historii piśmiennictwa, bo nie łączą go z poprzednikami, a tem samem nie wprowadzają pierwiastku historycznego, o którym głównie chodzi; tak samo nie wystarcza psychologia, tłómacząca rozwój umysłowy tylko jednego autora; zaczęto więc szukać sposobu innego, skuteczniejszego, i wskazano ich wiele. Taine wskazał związek, zachodzący między autorem a rasą, z której on pochodzi, i otoczeniem, w którym urabiają się jego pojęcia; Lombroso, wychodząc z zasady, że zarówno geniusz, jak i obłąkanie mogą być dziedziczne, i że są tylko przeciwnymi biegunami anormalnego rozwoju umysłowego, radził szukać objawów podobnych „zbożeń“ w jednym lub drugim kierunku u przodków każdej genialnej jednostki; Hettner i Brandes wreszcie prowadzili porównawcze badania wzajemnych wpływów najrozmaitszych literatur na siebie, wychodząc z założenia, że dla myśli ludzkiej nie istnieją żadne granice polityczne, i że zarówno poszczególne pomysły literackie, jak i całe grupy pojęć odbywają formalne wędrówki od kraju do kraju, od narodu do narodu, tworząc prądy, które wywierają stanowczy wpływ na dany kierunek, w jakim się dana literatura rozwija.

Poglądy te znalazły zwolenników i w naszym społeczeństwie. Obok szkoły dawnej, która stare pojęcia przybrała tylko w nowe ramki i z zupełną swobodą wyjaśnia dalej fantazyę poetów za pomocą własnych fantazyj, powstała nowa, która za pomocą metody porównawczej dąży do oparcia badań historyczno-literackich na podstawie ściśle naukowej. Ponieważ pracę swą zaczęto „ab ovo“, od wykazywania wpływów obcych na naszych poetów, więc zyskano ironiczny przydomek „szpiegów literackich“, którzy wyłącznie dla zaspokojenia własnej ciekawości kontrolują na każdym kroku oryginalność największych nawet geniuszów, a nie potrafią zdobyć się na wniknięcie w ich ducha i przejęcie się ich ideałami. „Wy zamieniacie rolę krytyka na rolę prokuratora,—wołano z oburzeniem na zwolenników studyów porównawczych—każdego pisarza oskarżacie o kradzież literacką i sądzicie, że po wygłoszeniu takiego aktu oskarżenia zadanie wasze jest już skończone. Taka metoda to poniżenie tego, co naród otacza największą czcią, to poniewieranie ideałów narodowych.“

Zarzuty takie są zupełnie bezpodstawne. Przedewszystkiem bowiem prawdziwie wielcy poeci nie tylko nie tracą nic na podobnych studyach, lecz owszem zyskują, bo one pokazują, jak drobne nieraz i nie znaczące pomysły obce rozrastają się pod tchnieniem ich geniuszu w olbrzymie i znakomite pod względem artystycznym dzieła, wtedy zaś niezaprzeczone ich wielkość staje nam jaśniej i wyraźniej przed oczyma.

Nie da się wprawdzie zaprzeczyć, że wartość pisarzy drugorzędnych może się pod wpływem takich badań znacznie obniżyć, że może wyjść na jaw taki brak oryginalności, iż postawi ich zaledwie w rzędzie naśladowców; ale i w takim wypadku niema powodu ani do lez żalu, ani do okrzyków oburzenia, bo naprzód „amicus Plato sed magis amica veritas“, powtóre zaś poeci tacy, tracąc to, na co nie zasłużyli, zyskują wielkie znaczenie jako reprezentanci pewnych kierunków i prądów literackich, które rozpowszechnili pomiędzy swoim społeczeństwem: rola, na której opiera się wybitne znaczenie takiego np. Naruszewicza wobec pseudoklasycyzmu francuskiego, lub Brodzińskiego wobec romantyzmu.

Zyskują zatem na owem wykazywaniu wzajemnych wpływów wszyscy, a nie traci nikt; zyskują poeci, którzy wówczas nie są już odosobnionemi zjawiskami, ale ogniwami wielkiego łańcucha rozwoju duchowego ludzkości; zyskuje społeczeństwo, poznając głębiej i dokładniej tych, których wielbi, jako swych koryfuszów; zyskuje wreszcie najwięcej historia literatury, zrywając z czezemi frazesami, otrzymując za podstawę niezbite pewniki i nabierając cech nauki rzeczywiście „historycznej“, której badania wyłącznie estetyczne nadać jej mogą.

Jeżeli jednak szukanie związków pomiędzy poetami naszymi i obcymi ma doniosłe znaczenie, to nie mniejsze musimy przyznać wykazywaniu łączności pomiędzy poszczególnymi pisarzami, należącymi wyłącznie do naszego narodu. Może ono bowiem dostarczyć przykładów i dowodów nieśmiertelności myśli ludzkiej, która, nie zatracając ze spuścizny wieków nic godnego pamięci, dąży ustawicznie naprzód, obejmując coraz szersze widnokreśli i przybierając coraz doskonalsze kształty artystyczne.

W każdej literaturze i każdej jej epoce można znaleźć taką nitkę, łączącą sprzeczne na pozór zjawiska w jedną całość, nadającą im wszystkim jakąś wspólną cechę, dotyczącą albo treści, albo formy, albo jednego i drugiego. Ale łączność ta nie zawsze jest jednakową; często staje się tak nikłą, tak nieuchwytną, iż zdaje się, że jej niema zupełnie, i dopiero mozolnie trzeba jej szukać, niekiedy zaś występuje z taką wyrazistością, że niepodobna jej nie spostrzedz.

Ten właśnie ostatni wypadek zachodzi przy rozważaniu działalności dwóch poetów, których w tym pobieżnym szkicu chciałbym zestawić: Garczyńskiego i Krasińskiego. Już sam fakt, że są to jedyni nasi poeci doby romantycznej, opracowujący pomysły filozoficzne, łączy ich z sobą bardzo silnie, bliższe zaś wglądnięcie w ich działalność,

ich życie i ich właściwości wykazuje tyle cech wspólnych, że trudno-
by było znaleźć u nas drugą taką parę poetów. Te podobieństwa ich
i różnice będą się starał poniżej wykazać.

I.

Obaj osierocieli wczesnie. Garczyński skarży się w jednym ze
swych pierwszych wierszyków, że „niemowlęcami jeszcze dłońmi“ że-
gnać musiał umierającego ojca, aby wkrótce potem „ronić łzy nad mo-
głą matki“; generałowa Krasieńska zaś odumarła Zygmunta, kiedy
liczył zaledwie lat dziesięć. Ale sieroctwo to, jak nie było zupełnie
równem, tak też nie mogło jednakowo wpłynąć na ich usposobienie
i losy. Krasieńskiemu pozostał ojciec, kochający go aż do przesady,
widzący w nim całą nadzieję i przyszłą chlubę rodu; więc pieszczony
i otoczony dowodami troskliwości ojca, Zygmunt mógł zapomnieć, iż
nie widzi już,

Jak się matki oko świeci
I nad dzieckiem swem anieli.

Dla Garczyńskiego było to niemożliwem. Wzięty na wychowa-
nie przez ciotkę, zajmującą się nim szczerze i serdecznie,
ale niemogącą przeciw zastąpić mu rodziców, bo tych nikt zastąpić
nie potrafi, pozbawiony towarzystwa siostry, z którą spędził pierwsze
lata swego życia i do której był bardzo przywiązany, otoczony ludźmi
życzliwymi i prawdziwymi, ale, bądź co bądź, prawie obcymi, musiał od-
czuwać swoje sieroctwo tem dotkliwiej, że wrodzona duma kazała mu
wszystko, co dla niego czyniono, uważać za niezasłużoną niczem ła-
skę. Kiedy się czyta jego dziecięce listy do ciotki, hr. Skórzewskiej,
pełne szczerych, ale upokarzających zapewnień o „niewygastej
wdzięczności“ z powodu lada drobnostki, kiedy się widzi, jak, będąc
na pensyi w Warszawie, troskliwie starał się zmniejszyć swoje wy-
datki, byleby nie być ciężarem opiekunom, jak w tym celu za ofiaro-
wane sobie na lakocie pieniądze kupował przybory szkolne; to odczu-
wa się wtedy choć w części, jakie cierpienia moralne przechodził ten

chłopiec z powodu swego sieroctwa. Wycisnęło ono na nim nie jedno piętno. Owa nieśmiałość, z powodu której Odyniec porównywa go do „panienki“, owa niechęć do bogactw a pragnienie jedynie skromnego, ale własnego domeczku i własnej rodziny, wyrażające się w jego poezjach często, a najwyraźniej w „Królu i giernku“ — wszystko to ma tu właśnie swoje źródło. Dodajmy jeszcze, że Garczyński nie miał właściwego powodu do pojmovania swego położenia w ten sposób, że w tem wszystkim widoczna jest taka sama przesada, jaką później odznaczał się niejednokrotnie w innego rodzaju sprawach Krasiński. Bo wszakże i Stefan pochodził z rodziny nie magnackiej wprawdzie, ale zapisanej dobrze na kartach historii, chlubiącej się niejednym dygnitarstwem i majątną, a chociaż majątek ten po rozbiorach zeszczipłał znacznie, wystarczał w każdym razie na przyzwoite wychowanie nieletniego spadkobiercy; jeżeli zaś hr. Skórczewscy czynili dla niego więcej, niż wymagały obowiązki opiekunów, to nie dawali mu nigdy powodu do uważania tego za upokarzającą łaskę. Ale wrażliwy wychowaniec zapatrywał się na tę sprawę inaczej, podniecając jeszcze w sobie tę tkwiącą już w jego organizmie chorobliwą skłonność do egzaltacji, która go nie opuszczała przez całe życie.

Rzecz naturalna, że wychowywany prawdziwie po magnacku Krasiński nie marzył nawet o podobnem położeniu i podobnych uczuciach, bo pieszczony jedynie już z góry uważał się za przyszłego pana tych wszystkich dostatków, które go otaczały i z których korzystał. I dla tego zapewne nie rozumiał przez całe życie położenia ludzi ubogich, którym Garczyński pod niejednym względem zazdrościł losu, dla tego odczuwał zawsze przedewszystkiem nieszczęścia moralne, których sam doświadczał, choć wyjątkowo umiał znaleźć słowa współczucia i dla tych, którym chleba zabrakło.

Z tej różnicy położenia, jaka zachodziła w ich życiu od najmłodszych już lat, wpływała także różnica w typach i charakterach, pozostawionych w dziełach przez obu poetów. Spróbujmy sobie wyobrazić sposób życia przyszłego autora „Irydiona“ w czasie wakacji w Opinogórze. Naturalnie, pilnowano go na każdym kroku, strzeżono starannie zarówno od nieszczęśliwego wypadku, jak od „gminnego“ towarzystwa, a kazano przebywać wśród gości i przyjaciół, albo służby pałacowej. To też we wszystkich dziełach Krasińskiego nie znajdziemy ani jednego typu ludowego, on je czerpie albo ze sfer wyższych, utytułowanych, albo też z pomiędzy służby pałacowej. Mamy więc w „Nieboskiej Komedyi“ świetne typy hr. Henryka i jego otoczenia, starego służącego, Jakóba. będącego zapewne fotografią z rzeczywistości, w wyrażeniach dziewczek dworskich i klubu lokai czujemy bezpośrednio obserwację autora; ale gromada chłopów, występujących

w tym utworze, nie odznacza się ani jednym rysem charakterystycznym, a pochodzący z ludu Pankracy jest zupełnie pozbawiony wszelkich cech realnych, w ogólnych zaś swych zarysach ma raczej coś arystokratycznego, niż ludowego.

Z Garczyńskim było inaczej.

Jemu nikt zapewne nie przeszkadzał wejść pomiędzy lud, przypatrzeć się jego życiu, jego zwyczajom, podpatrywać—jak Waclaw—jego zabawy, stojąc przed oknem wiejskiej karczmy, słuchać śpiewek, baśni i dowcipów. Dla tego też mamy w „Waclawa dziejach“ sceny ludowe tak wiernie i z takim realizmem przedstawione, jakich, z wyjątkiem jednego chyba Szymonowicza, nikt przedtem z naszych poetów nie nakreślił. Jest w nich i pochwycenie pewnych rysów charakterystycznych, czy to w sposobie postępowania, czy wyrażania się, i przywary tego ludu, i jego wielkie zalety, głęboka wiara i przywiązanie do ojczystej ziemi—wogóle tyle prawdy, że Garczyński mógł ją zdobyć tylko długą i dokładną obserwacją. Nadto zaś znajdujemy zarówno w „Waclawie“, jak i w innych jego utworach, mnóstwo porównań, lub zwrotów, zaczerpniętych z podań ludowych, niezawodnie także z pierwszej ręki.

Wobec tak wybitnej różnicy, jaka zachodziła w stanowisku społecznym i położeniu majątkowym obu przyszłych poetów, wychowanie ich nie mogło być zupełnie jednakowem: generał Krasiński zbyt wysilał się na zadziwienie wszystkich wiedzą i zdolnościami swego jedynaka, żeby o wiele nie przewyższyć średniej, zwykłej drogi zdobywania sobie wiedzy, jaką szedł Garczyński. Ciekawem jest to, że jednakże obaj przechodzą na uniwersytet z tegoż samego zakładu naukowego: ze znakomitego licenm warszawskiego. Garczyński wstępuje do niego w roku 1819 po czteroletniej nauce w Trzemesznie i Bydgoszczy, że zaś w Warszawie nie miał bliższych krewnych, którzy-by objęli nad nim opiekę, więc oddano go na pensję Francuza, niejakiego p. Cochet, mającego sławę zacnego człowieka i dobrego pedagoga. Pensya ta mieściła się w pałacu Krasińskich — tak więc przypadek zrządził, że ci dwaj młodzieńcy, którzy po kilkunastu latach mieli stworzyć zupełnie odrębny odłam naszej poezyi, spędzali znaczną część swej młodości pod jednym dachem, nie wiedząc zapewne nawet o swoim istnieniu. Tylko kiedy w roku 1822 zmarła generałowa Krasińska, Garczyński zanotowuje w swoim dzienniczku obok objawów powszechnego żalu, jaki wypadek ten wywołał w Warszawie, także własne swe współczucie dla osieroconego przez nią synka... ¹⁾

¹⁾ Z rękopisu, będącego własnością hr. Leona Skórczewskiego.

Chociaż jednak przebywali w jednym domu, atmosfera, która ich otaczała, była zupełnie inna. Krasiński od najmłodszych już lat pozostawał w najściślejszym związku z wszystkimi prądami literackimi nie tylko Warszawy, ale całej Polski, bo dom generała był dla tych prądów tem, czem są soczewki dla promieni słonecznych: zbierał je naprzód, jakby w ognisku, a potem rozpraszał znowu po całym kraju. Zygmunt nie był wprawdzie osobiście obecnym przy owych starciach klasyków z romantykami, ale miał o nich natychmiastowe wiadomości od Gaszyńskiego i Odyńca, a zatem od gorących zwolenników nowego kierunku, którzy nie bardzo zapewne potrzebowali się wysilać, aby w nim wzbudzić entuzjastyczny zapal dla swej sprawy, i zyskać nowego stronnika. To też teoretyczne uwagi o cechach ścierających się z sobą prądów literackich dochodzą do uszu Krasińskiego prędzej, niż nierozwinięty jeszcze należycie umysł mógł je zrozumieć, a młodociana jego fantazyja kształci się na Walter - Skocie, Byronie, Mickiewiczu — słowem, na najznakomitszych mistrzach romantyzmu.

Z Garczyńskim było zupełnie inaczej, a nawet wprost przeciwnie. Wychowany przez wielbiciela klasycyzmu francuskiego, kształcił swój „gust“ na Racinie i Corneille'u, i w tym samym będąc wieku, w którym Krasiński był już autorem „Grobu rodziny Reichsthalów“, czynił staranne wyciągi ze „Sztuki rymotwórczej“ Boileau i uczył się na pamięć ustępów z „Fedry“. Rygor, panujący w pensyonacie Cocheta, był tak wielki, że uniemożliwiał wychowancom wszelkie zetknięcia się ze światem poza obrębem szkoły i wszelką lekturę, oprócz wyznaczonej przez kierownika; dosyć powiedzieć, że pensję wolno było opuszczać tylko w towarzystwie guwernera. Wtedy więc, kiedy cała Warszawa zajęta była walką klasyków i romantyków, kiedy poezye Mickiewicza zajmowały umysły wszystkich, zarówno przeciwników, uważających je za „paskudztwo“, jak i wielbicieli, których szereg z dniem każdym wzrastały, kiedy znający wybornie ten cały ruch Krasiński myślał o łacińskim przekładzie „Świtezianki“, wtedy, starszy od niego prawie o sześć lat, Garczyński, żył, jakby na jakiejś wyspie, oddzielonej od otaczającego go społeczeństwa całym morzem zasad i przesądów.

Rzecz jasna, że tak różne wychowanie musiało też odrębne zupełnie piętno wycisnąć na ich umysłach. Wychowany na romantykach, Krasiński, rozwija przedewszystkiem swą fantazyję, która już w pierwszych jego utworach dochodzi do ogromnej wybujałości; Garczyński zaś, karmiony przez swego wychowawcę aż do przesytu poezyą francuską, która największy nacisk kładła na „zdrowy rozsądek“, wyrabia też w sobie prawie wyłącznie ten rozsądek, a zaniedbana w mło-

dości fantazyja chroma potem już przez całe jego, niestety, zbyt krótkie życie. Charakterystycznym przykładem tego może być pierwsze zetknięcie się obu naszych poetów z dziełami Byrona. Podczas, kiedy autor „Wacława“ szuka w nim przedewszystkiem myśli rozsądnych, i wypisując z jego utworów ¹⁾ najbardziej pociągające go ustępy, sięga najczęściej do... przypisków, bo wykształcony na poetyce Boileau umysł jego nie mógł odczuć piękna tej poezyi, tak bardzo różniącej się od całej pseudoklasycznej literatury; Krasiński, będąc w tym samym roku życia, nietylko rozumie poełę angielskiego wybornie, ale nadto osnuwa na zaczerpniętych z niego motywach własne fantastyczne obrazy ²⁾. Tak zatem oba te pierwiastki, z których przedewszystkiem składa się talent poetycki, wyobraźnia i refleksya, wytworzyły się u Garczyńskiego i u Krasińskiego w zupełnie odwrotnym porządku: u Garczyńskiego naprzód refleksya, występująca w młodocianych jego utworach prawie bez współdziałania fantazyi, z którą łączy się dopiero w okresie dojrzałości, górując jednakże nad nią zawsze; u Krasińskiego wyobraźnia, nieujęta początkowo nawet w karby rozsądku, refleksya zaś. wywołana osobistemi przejściami moralnemi poety, zjawia się dopiero później, w okresie genewskim, i nie odrazu zajmuje stanowisko naczelne. Gdyby się chciało przyjąć z góry, że ta władza umysłowa, której rozwój był wcześniejszy i bardziej pielęgnowany, będzie następnie miała wyższość nad innemi, to zasada taka w zastosowaniu do naszych poetów nie wiele odbiegala-by od prawdy.

W młodocianych poezjach Garczyńskiego nie znajdziemy, prawie bez wyjątku, żadnych podpadających pod zmysły obrazów, lecz albo pojęcia abstrakcyjne, albo odbicie i analizę własnych przejść duchowych; kiedy zaś później zjawiają się obrazy fantastyczne, to są one wytworzone nie dla wywołania w czytelniku wrażenia estetycznego, ale dla zadokumentowania pewnej prawdy filozoficznej, dla której mają być rodzajem ilustracyi. Tak jest zarówno w „Wacława dziejach“, jak w „Wizyi“ i „Nabożeństwie tegoczesnem“. Tam usunięcie jakiegokolwiek obrazu bylo-by równocześnie uszczupleniem, lub przestoczeniem myśli, którą poeta chciał wyrazić, tak dalece jest w nich fantazyja podporządkowana rozmysłowi autora. O Krasińskim nie można-by tego powiedzieć; z wyjątkiem jednego „Snu“, w którym każdy prawie ustęp jest wyrozumowanym i stanowi konieczną, organiczną część całości, można-by w każdym utworze jego, nie wyłącza-

1) Dzienniczek z roku 1822 i 1823 w rękopisie.

2) M. Reiter: „Przyczynki do genezy kilku utworów Z. Krasińskiego“. „Ateneum“, 1899, wrzesień, str. 497.

jąc ani „Irydiona“, ani nawet „Nieboskiej“, opuścić pewną ilość ustępów, a myśl ogólna nie ucierpiała-by na tem wcale. Co więcej jeszcze, odrzucimy epilog „Irydiona“, a pozostanie nam najzwyczajniejszy dramat historyczny, bez cienia myśli filozoficznej, czy społecznej tendencji; tak samo mogli-byśmy z dwóch pierwszych części „Nieboskiej“, po opuszczeniu jednego tylko ustępu, otrzymać zupełną, zamkniętą w sobie całość, która stanowiła-by znowu dramacik familijny, a nikt nie domyślał-by się nawet, że hr. Henryk nie skończył jeszcze swojej roli, że ją zaledwie rozpoczął. W „Wacławie“ zaś było-by podobne wykrawywanie odrębnych całości niepodobieństwem, po prostu dla tego, że ich tam niema, każdy bowiem szczegół jest w tym utworze dla poety tylko przesłanką, z której ma wyniknąć końcowy wniosek. Ten ścisły związek poszczególnych ustępów jest tu tak dalece zachowany, że, chociaż istniejące części „Wacława“ sam Garczyński uważał za całość tego rodzaju, jaką stanowi pierwsza część „Fausta“, to jednak niektóre szczegóły są dla nas niezrozumiałe, czujemy bowiem, że są to tylko premisy, a nie widzimy wniosku, który miał się znajdować dopiero w dalszych częściach utworu.

Przytoczone tu fakta dadzą się, jak już wyżej nadmienilem, wytłumaczyć tem, że Krasiński, mimo całej głębokości swych utworów, wkładał w nie więcej fantazyi, niż refleksyi, że dbał więcej o artystyczne wykończenie, niż o ścisłość rozumowania, że, jednym słowem, artysta przewyższał w nim filozofa, podczas gdy Garczyński tworzył tylko takie obrazy, które mu były niezbędne dla przeprowadzenia dowodu, kładł zaś główny nacisk nie na piękno utworu, ale na logiczność rozumowania. Nie potrzebuję już zapewne dowodzić, że ta przewaga fantazyi nad refleksją u jednego poety i odwrotny ich stosunek u drugiego są przede wszystkim wynikiem odmiennych zupełnie warunków, wśród których się wychowali.

Do tych faktów, które już w latach młodych przyczyniły się do wyrobienia pojęć naszych poetów, dodać należy jeszcze jeden, natury czysto filozoficznej: oto każdy z nich odziedziczył po matce chorobę, która go przez całe życie trawi. Jaki wpływ wywarło to na usposobienie i pojęcia Krasińskiego, nad tem nie potrzeba się długo rozwodzić, bo jest to rzecz powszechnie znana; wszakże niema prawie listu autora „Nieboskiej“, w którym-by nie znajdowały się narzekania na zły stan zdrowia i mnóstwo całych czarnych myśli, jakie mu się z tego powodu nasuwały. Prawda, że ta choroba była często materialem, z którego Krasiński lubił „układać dramat“, ale to świadczy właśnie tem dosadniej o wielkim wpływie słabego organizmu na usposobienie poety, bo kto wie, czy właśnie w tej słabości nie leży przyczyna owej skłonności do „układania dramatów“ z łada przykrości, jaka go spo-

tką. Garczyński mniej wspomina o stanie swego zdrowia w listach do rodziny, lub przyjaciół, ale prawdopodobnie myślał o niem równie często. Ta straszna choroba piersiowa, która go miała przedwcześnie wtrącić do grobu, wybija na nim już w dzieciństwie swe piętno, czyni go niezdolnym do figłów, zamysłonym i każe przy lada sposobności drzeć o życie ¹⁾. Później w tej ciągłej walce o zdrowie wyradza się rezygnacya: pierwszy swój wiersz poświęca Garczyński... śmierci, i zapowiada w nim, że się jej nie boi, że raczej szczęśliwym będzie, jeśli „wywrze na nim swe kary“. Nakoniec wytwarza się w nim gorączkowe pragnienie dokonania czegoś wielkiego, coby pozostało pamiętką jego krótkiego życia; więc odmawia sobie wszelkich przyjemności, wszelkich rozrywek, a cały czas poświęca pisaniu dzieła, w którym chciał przekazać narodowi wyniki swych długoletnich rozmyślań, a którego napisanie uważał za swój obowiązek ²⁾.

Prawdopodobnie można-by bardzo wiele dziwactw, jakie widzimy w charakterach obu naszych poetów-filozofów, wytłómaczyć wpływem ustawicznej prawie walki z chorobą, tylko że u Garczyńskiego były one bardziej chyba uzasadnione, bo i stan zdrowia musiał być gorszym, kiedy go tak wcześnie zmusił do szukania odpoczynku i spokoju na cichym cmentarzu Aweniońskim.

II.

Studia filozoficzne odbywał Garczyński w Berlinie, gdzie słuchał wykładów słynnego wówczas na cały świat, Hegla. Pracował z zapalem, a praca ta nie musiała być bezowocną, kiedy Mickiewicz twierdzi, że „w całym Berlinie nie było nikogo, prócz niego, coby obejmował całość idei Hegłowskiej“, i że ją nawet wielu profesorom niemieckim tłómaczył ³⁾, i kiedy W. Cybulski nazywa go „jedną z najgenialniejszych głów, jakie się wówczas na uniwersytecie znajdowały“ ⁴⁾. Garczyński jednak nie tylko znał i rozumiał system genialnego

¹⁾ Stwierdzają to listy p. Cocheta do hr. Skórczewskiej, rękopis w Bibliotece Lubostrońskiej.

²⁾ Por. Odyniec: „Wspomnienia z przeszłości“, str. 386 i następn.

³⁾ Literatura słowiańska, II, 338.

⁴⁾ Odczyty o poezji polskiej, II, 55.

panteisty niemieckiego, ale, jak wszyscy prawie współcześni jego wielbiciel, przejął się nim do tego stopnia, i starał się zastosować w życiu, że, według słów Odyńca, jeszcze w roku 1830 w Rzymie „kręcił się jak derwisz w meczecie w formułkach“ jego filozofii ¹⁾.

Ale ślepy i bezwzględny wielbiciele Hegla nie był Garczyński nawet w czasie studyów w Berlinie, już wtedy bowiem dostrzegł w jego systemie pewne braki i wady, i starał się uzupełnić je, a usunąć drugie samodzielnie, własnym rozumowaniem. Nie było w tem nic dziwnego: filozofia Hegla była w znacznej części apoteozą brutalnej siły, jej tylko przyznawała władzę nad światem, usprawiedliwiając to zdaniem. „że wszystko, co istnieje, jest rozumne“. Wierząc w taki system, musiał-by Garczyński stracić równocześnie wiarę w to, co od dzieciństwa nie ulegało dla niego żadnej wątpliwości, co czcił, jak najwyższy ideał. Powstaje więc wówczas w umyśle jego między rozumem a uczuciem walka, z której wreszcie to ostatnie wychodzi zwycięsko; nie brakło w niej rozpaczliwych zwątpień, a do ostatecznego jej wyniku przyczynił się znacznie Mickiewicz, z którym w czasie pobytu w Rzymie poeta nasz toczył na ten temat dysputy, przechodzące niekiedy w zacięte spory naukowe.

Ta walka serca z rozumem doprowadza Garczyńskiego w roku 1826 i 1827 do wytworzenia pojęć, które w sześć lat później miały stanowić podstawę messyanizmu.

Myśli te, zawarte w słabym pod względem formy „Śpiewie“, świadczą chlubnie a niezbiecie o tem, że Garczyński nawet wtedy, kiedy wchłaniał w siebie zasady filozofii Hegla, nie pozbył się swobody i samodzielności myśli. że potrafił zdobyć się na pogląd zupełnie oryginalny, który, w kilka lat później wypowiedziany przez kogo innego, a przyjęty z zapalem przez wszystkich, miał na długo zapanować wszechwładnie w naszej poezyi. Później, w czasie pisania „Wacława dziejów“, widnokąg rozszerza się i pogłębia; wtedy już nie chwilowe wyswobodzenie się z pod jarzma panteistycznej filozofii, ale zupełne jej odrzucenie i potępienie widnieje na kartach jego poematu. Wacław, bohater jego głównego dzieła, to sam poeta, więc przypatrzmy się, jak on zapatruje się na filozofię niemiecką:

Nauki ci świat, Boga, na części rozłożą,
I poznasz błąd swój dawny; kiedy niebo gromy

¹⁾ Listy z podróży, III, 282.

Ręką rzuca olbrzymią, błysk świeci po błysku,
 To chmury trą się z sobą, a co chmury, niebo,
 Fizycy wytłómaczą, wiedzą astronomy.
 Kochasz się, patrz, czy miłość przyniesie co w zysku,
 Gdy nic—miłość jest głupstwem, bo pieniąż potrzebą.
 Masz przyjaciół, ojczyznę? jeśli kraj cię wzywa,
 Rozpatrz się, jakie cele, korzyści i skutki;
 Czy co zaczną, dokończą, czy pora szczęśliwa,
 Czy po nagłej rozkoszy nie nadejdą smutki;
 Inaczej, niechaj inni krew swą marnie leją,
 Tobie lepszej przyszłości cieszyć się nadzieją!

Takie-to nauki „splamiły niewinność“ Wacława i „serce mu wykradły“; takich słuchał też Garczyński w Berlinie. Ale chociaż:

Dawniej myśli, powagą ksiąg trzymane w ryzie,
 Nie wznosiły rokoshu, chociaż jarzmo czuły,

później przejrzał poeta, jak jego bohater, i

...nauk zdał formę i w myśli osadzie
 Nie sentencyi, nie zabaw, prawdę znaleźć żąda,
 Żąda, lecz nie dostrzeże, chyba cię za ciało,
 Kreski planów za gmachu węgielne kamienie;
 Osobno mur do niego—dach, ściany, sklepienie,
 A gmach?—na powiązanie gmachu rąk nie stało...

Ten pesymizm w zapatrywaniach na naukę spowodowały pytania, na które książki najbardziej uczone nie mogły mu dać odpowiedzi. Próżno pytał się nieraz:

„Gdzież jest bóstwo, które ja w piersiach moich żywię?
 „Przyjaźni zapal—miłość—wolności zapalę,

„I myśl, co czleka tworzy i różni od zwierza?

„Gdzie jest Bóg, twórca świata?“

Na to nie mogły mu bezduszne książki odpowiedzieć, bo bra-
kło w nich tego właśnie, w czym jedynie można znaleźć wyjaś-
nienie wiary.

One, jak taktyk stary, gdy wojnę zaczyna,
Zwycięstwo liczbę kreśli—ustawi żołnierza,
Ale mu wiara wyższa nie staje jedyna.

Wskutek tego filozofowie

Wiedzą, ile jest zwierząt, skąd która roślina,
Tylko czem zwierzę, kwiatek, czem człowiek—nie doszli.

Więc Waław błąka się w labiryncie tych rozumowań, a
wywodzi go z niego okoliczność na pozór zwykła i nie zna-
cząca: słyszy pieśni, spiewane przez gromadkę wieśniaków, a wi-
dok ich rozrzewnienia, ich wiara gorąca, zastępująca im wszelkie ro-
zumowania, wskazują mu drogę i odkrywają przed nim świat inny,
zupełnie nowy. Teraz zaczyna pojmować, że kluczem do rozwiązania
zagadki bytu jest wiara, że Bóg, którego napróżno szukał w rozpra-
wach filozoficznych, objawił mu się i wskazał drogę do siebie:

...On w żywocie braci

Mieszka, jak w swym kościele, jak w arce przymierza.

Niebo rodzinne—oto świątyni jego wieża;

Ziemia rodzinna—oto budowa kościoła;

A w piersiach jest tron jego—w piersiach głos anioła!

Więc jak przedtem naukom, tak-teraz tej „budowie kościoła“
Bożego, ziemi rodzinnej, pragnie poświęcić się cały, „żywot swój po-
łożyć w ofierze, przyszedłszy i terazniejszy“, chce

..jak lud na puszczy

Łaknąć, byle ojezyźnie tem dopomódz można.

W zapale, jaki pieśń ta w nim wznieciła, widzi Wacław rozwiązanie zagadki; później wszakże przekonywa się, że chociaż „zapał tworzy cud”, sam jednak cudu odrodzenia nie potrafi dokonać, że musi go wspierać ów wzgardzony przez niego poprzednio rozum, i odtąd całe swe siły zużywa na to, aby te dwa sprzeczne uczucia pogodzić z sobą i stworzyć z nich potęgę, której nic już nie potrafi się oprzeć.

Jak dokonał tego dzieła i czy mu się wogóle udało doprowadzić je do skutku—nie wiemy, „Wacław” bowiem pozostał tylko urywkiem, być może, że z powodu przedwczesnej śmierci swego twórcy, a nie z powodu wątpliwości co do sposobu rozwiązania poruszanej w temacie kwestyi.

Hegel wpłynął jednak także i na pojęcia drugiego naszego poety. Po napisaniu „Irydiona” zaczął Krasiński rozczytywać się w dziełach filozoficznych, przedewszystkiem niemieckich, i wtedy właśnie wycisnął na nim panteizm Hegla swe piętno. A wpływ to musiał być silny, kiedy zachwiał wiarę poety, która w Rzymie odrodziła się była i wzmogła, i kiedy wtrącił go w taki chaos zwątpień, niepewności, walk najrozmaitszych zasad i poglądów, że zdawało się, iż z tego chaosu wydostać się niepodobna. Jakoż rzeczywiście długo nie mógł Krasiński znaleźć drogi wyjścia z niego, długo tkwiły w jego umyśle najrozmaitsze znaki zapytania przy najważniejszych kwestiach życiowych, odbierając mu spokój wewnętrzny i pogrążając go w moralnej niemocy. Wyborną ilustracją tego stanu i dowodem jego istnienia jest list poety do Gaszyńskiego, pisany w roku 1836 ¹⁾.

¹⁾ Listy, t. I, str. 72 i n.

„Przekleństwo tym Niemcom, Panteistom i filozofom—skarży się Krasiński—przyjacielowi. Oni chcą, by materya i duch jedno były; by zewnątrz świata, by za naturą nie już nie było; by organizm świata był Bogiem żyjącym na ciągłej przemianie, na ustawicznym umieraniu cząstek swoich. Przekłęci, przekłęci, oni mnie pozbawili na czas długi uczucia piękności! A jeżeli to prawdą, żeśmy błaznami dni kilku, a potem prochem, gazem, infuzoryami, idącemi się zrosnąć w jakieś błazeństwo organiczne? a jeśli prawdą, że świat tylko nieśmiertelny, a wszystka cząstka jego jest śmiertelna, odmienna, bez wiecznej indywidualności? jeżeli Bóg to otchłań tylko przemian bez końca, to wieczność śmierci i urodzin, to łańcuch nieskończony o pryskających ogniach, to ocean, w którym każda fala wspina się, by kształt dostać i opada natychmiast, bez kształtu? ah! powiedz mi, gdzie piękność, gdzie poezya? Bo poezyi niema bez nieśmiertelności duszy; bo poezya, to losy naszych w przeszłości i przyszłości, w porównaniu z naszym stanem dzisiejszym, bo poezya moja i każdego to to, że był kiedyś gdzieś, ale ten sam, on, on zawsze, czy na ziemi, czy na jakimś komicie, czy w raju, czy w piekle, czy w czyśćcu, czy w polach Elizejskich, czy na Wallhalli, byle-by to on był, on! Bez tego już mi i promienie słońca niemiłe. Ah! przekłęte Niemcy filozofy!“

Ze słów tych przebija się wyraźnie rozpaczliwy stan duszy Krasińskiego. On, który niedawno najzawilsze kwestye społeczne rozwiązywał za pomocą wiary, który kazał Pankracemu ginąć na widok krzyża Chrystusowego, a Irydiona tym samym krzyżem leczył ze zwątpień rozpaczy, który niedawno zapewniał przyjaciela, że „berła i korony przeminają, ale sprawiedliwość Boża nie przemienie“,—teraz nie wierzy już, czy nie śmie wierzyć, w nieśmiertelność duszy i pyta się w niepewności, czy Bóg nie jest tylko „otchłanią przemian“ lub „wiecznością śmierci i urodzin“. Bo to jedno: „a jeżeli to prawdą...“ wskazuje, że Krasiński omotał swe myśli w panteizm tak dokładnie, że ich teraz, pomimo chęci, nie umiał rozwikłać.

W zapatrywaniach tych widać mieszaninę pojęć Hegla i Spinozy; i ten ostatni bowiem, a może on przedewszystkiem, przyczynił się do wywołania rozstroju umysłowego poety. W kilka miesięcy po przytoczonym powyżej w urywku liście tak wyraża się o nim Krasiński:

„Panteizm Spinozy i ateizm to jedno. Świat w myśli żyda, który się w końcu powiesił z rozpaczy, jest ogromną otchłanią życia i śmierci, czyli przerobów życia, ale bez poczucia się własnego;“ a przedstawwszy to wszystko, co mu się w tym poglądzie wydaje najważniejszem, kończy w ten sposób: „Tak, panteizm jest to roz-

pacz wyrozumowana, panteizm zatruł mi wiele wiar, i dlatego proszę cię, nie ufaj jemu; czekaj lepiej w niepewności zgonu, niż żebyś miał uwierzyć w tak okropną i suchą pewność.¹⁾

Jeżeli Krasiński, który tak bardzo lubił zawsze dawać rozmaite rady i przestrogi swemu przyjacielowi, nie mógł znaleźć dla niego lepszej, niż „oczekiwanie w niepewności zgonu“, to stąd wniosek jasny, że i dla siebie samego nie znalazł innego lekarstwa na trapiący go rozstrój duchowy.

Ten stan, w który go wtrąciły „przeklęte Niemce. filozofy“, trwał długo, bo całe lata i pozostawił po sobie ślady w „Trzech Myślach Liżenzy“. Już w „Synu Cieniów“ są widoczne jakieś niejasne pojęcia panteistyczne, jakby echo rozmyślań nad Spinozą, natomiast w „Legendzie“ występuje bardzo wyraźnie wpływ filozofii Hegla. Naturalnie nie można go odnosić do pomysłu poetycznego, bo ten wzięty jest skądinąd, ale w samym zakończeniu, które, oprócz myśli o odrodzeniu się Kościoła katolickiego, zawiera drugą jeszcze, wyrażającą jakby konieczność upadku całego narodu, na to, aby na jego gruzach powstała inna, lepsza epoka dla całej ludzkości. Otóż ci ludzie, przynięceni zapadającym się sklepieniem Kościoła św. Piotra, do ostatniej chwili dzielni, podziwiani przez inne narody, ale popychani do zguby jakąś koniecznością, jakimś nienbłaganym fatalizmem dziejowym—to obraz, który, według wszelkiego prawdopodobieństwa, powstał w umyśle Krasińskiego pod wpływem Hegla. On bowiem był twórcą poglądu, że każdy naród spełnia powierzona sobie misję dziejową tylko przez jakiś czas, że po spełnieniu jej musi zginąć a rolę swą powierzyć drugiemu narodowi, przy którym jest siła, a zatem i prawo; tak wyobrażał sobie filozof niemiecki znaczenie poszczególnych państw i rozwój cywilizacyjny całej ludzkości, trudno zaś zaprzeczyć, że pojęcia te dadzą się odszukać w „Legendzie“.

Tak więc jeszcze w r. 1840 stał Krasiński prawie na tym samym punkcie zapatrywań filozoficznych, od którego Garczyński rozpoczął. Prawda, że był to tylko okres przejściowy, poprzedzony „Nieboską“ i „Irydionem“, a nie pozostawiający już ani śladu w „Przedświcie“; trzeba jednak pamiętać, że ani „Nieboska“ ani „Irydion“ nie były w ścisłym tego słowa znaczeniu utworami filozoficznymi, lecz raczej społecznościami, że w tamtych podawał tylko lekarstwa na pewne choroby społeczne lub raczej na zjawiska, które za takie uważał, w „Myślach“ zaś dopiero zaczyna się zastanawiać nad zagadkami bytu już to jednego narodu, już to całej ludzkości. Drugą fazę tej ewolucji

¹⁾ Listy, t. I, str. 82 i n.

umysłowej stanowi „Przedświt“, i odtąd Krasiński nie zmienia swych zapatrywań i pozostaje im wiernym, czy w t. zw. „Niedokończonym poemacie“ czy w „Dniu dzisiejszym“, czy w jakichkolwiek innych utworach. I tak np. w „Dniu dzisiejszym“ wypiera się jedna z nakreślonych tam postaci swych dawniejszych zapatrywań, jako fałszywych, bo natchnionych tylko rozumem, bez współudziału serca, zapatrywania zaś te są tylko wiernem streszczeniem systemu Hegla. Ustęp to bardzo długi, więc przytoczę z niego tylko kilka urywków.

...Nicość czeka mnie—po zgonie!
 Każdy człowiek się z kolei
 Znów roztopia w wszechidei,
 Jak kropelka w morza łonie...
 Takie, bracia, wam odkrycia,
 Ja od pruskich niosę włości;
 Wiecznej myśli brak jest życia,
 Nam żyjącym brak wieczności.
 Poprzysięgam, choć się zżyma
 Serce wasze—niema, niema
 Boga ni nieśmiertelności...
 Oto prawda rzeczywista,
 Tak jakem Heglista! ¹⁾

Przełom w swych zapatrywaniach, uwolnienie się od dręczącej go zmory panteizmu, zawdzięcza Krasiński Cieszkowskiemu, głównie zaś jego rozprawie „Prolegomena zur Historiosophie,“ która stała się alfabą i omegą filozoficznych poglądów twórcy „Przedświtu“. Pod tym względem musimy Garczyńskiemu przyznać o wiele więcej samodzielności. I on pozostaje początkowo pod wpływem Hegla, i on w młodzieńczych swych pieśniach wyraża swą rozpaczliwą niemoc wobec tych poglądów, za które Krasiński przeklinał filozofię niemiecką; ale dźwiga się z tej niemocy o wiele rychlej i, co ważniejsza, o własnych tylko siłach.

¹⁾ Pisma, Kraków, 1890, tom II, str. 363—65.

Roztrząsanie całokształtu pojęć filozoficznych obu poetów zawiodło-by nas za daleko; kwestya tó tak obszerna, że wychodzi daleko bardzo poza ramy, zakreślone temu szkicowi. Niektóre szczegóły z niej rozważymy później, tu zaś trzeba jeszcze wspomnieć o jednym wybitnym rysie, wspólnym obu poetom naszym, filozofom: wielkiej powadze, wysokim nastroju ich utworów. Oni obaj zdają się nie wiedzieć o tem, że poeta może być czasem wesołym, że, jak powiada Asnyk, „swawolą same Muzy i Apollo“; każdy z nich, jak Wallenrod Mickiewiczowski,

Wszystkie uderza struny po kolei,
Prócz jednej struny, prócz struny wesela.

Zarówno Garczyński, jak i Krasiński, nie znają prawie innych tematów, jak stan terażniejszy i przyszły społeczeństwa swego lub całej ludzkości, a własne ich losy obchodzą ich tylko o tyle, o ile mogą być nauką dla drugich. Fakt ten podnoszono niejednokrotnie jako charakterystyczną cechę, właściwą jedynie Krasińskiemu w przeciwieństwie do Mickiewicza, Słowackiego, a nawet do wszystkich poetów świata. Wobec tego trzeba z tem większym naciskiem zaznaczyć, że właściwość tę w wyższym jeszcze stopniu mają utwory Garczyńskiego, że spraw osobistych jest w nich w trójnasób jeszcze mniej, niż u Krasińskiego, a zawsze występuje w nich na plan pierwszy sprawa społeczeństwa. „Wacław“, „Wizya“, „Nabożeństwo tegoczesne“, „Sonety“ łączą się z naszym życiem narodowym o wiele ściślej, niż „Nieboska“ lub „Irydion“, pomiędzy drobnymi zaś wierszami znajdujemy zaledwie kilka, które-by pod tym względem mogły stanowić wyjątek.

Przy tem niezwykłym podobieństwie motywów jest jednak wybitna różnica w sposobie ich opracowania. Krasiński, pomimo pewnych nierówności i niedoskonałości formy, był jednak artystą w całym słowa tego znaczeniu; Garczyński nie był nim w tym stopniu prawie nigdy, a kiedy był, to prawie mimowolnie, bo nie dbał o formę, tak, jakby należało. Sam o tem powiada w jednym z ostatnich swych wierszyków:

Nie miękkie rymy skandowanych wierszy,
Z których spóspółstwo laur z czasem upłata...
Wabią mi ducha.

Ale chociaż z tego zaniedbania wynika niejednokrotnie pewna chropowatość utworów i styl często ciężki, nie brak jednak także dodatnich jej skutków i większej niż u Krasińskiego jasności i pewnego realizmu w kreśleniu postaci i obrazów. Autorowi „Irydiona“ względy artystyczne nie pozwoliły na jasne wyrażenie myśli, więc wyrażał ją zwykle w formie alegorycznej, często bardzo ciemnej; jego zdaniem, celem poezji jest: „podnieść ramię i wskazać ludziom, a niech oni rozbierają, ile promieni w tej gwiazdzie i jak szybko światło jej bieży do ziemi“, więc też nic dziwnego, że ta poezja jego staje się niekiedy lamigłówką. Garczyński nie hołdował takiej zasadzie, więc też i lamigłówek niema u niego prawie wcale. To „prawie“ jest wynikiem innej właściwości Garczyńskiego: niezmiennej jędrności i zwięzłości wyrażania się.

Krasiński osnuwał całe obszernie poematy na jednej tezie, w celu wyrażenia jednej myśli zasadniczej; Garczyński w niewielkim wierszyku pomieścił ich nieraz tyle, że wystarczyło-by tego materiału na dziesięć utworów alegorycznych, a w samym „Wacławie“ są setki zdań, o których można-by pisać rozprawy.

Ponieważ poezye Garczyńskiego wyprzedziły ukazanie się pierwszego poważniejszego utworu Krasińskiego o dwa lata, więc można-by słusznie postawić pytanie: czy oprócz ogólnego podobieństwa istnieje jeszcze jaka nić, która-by tych dwóch poetów łączyła z sobą, czy też stoją oni w literaturze naszej odrębnie, jak dwa głazy narzutowe odrębnej formacji? Na to pytanie postaram się odpowiedzieć nieco dokładniej.

III.

W wydanych dotychczas listach Krasińskiego znajduje się tylko jedna wzmianka o Garczyńskim. Donosząc Gaszyńskiemu o zawarciu znajomości ze Słowackim, i określając pobieżnie jego talent poetycki, dodaje autor „Nieboskiej Komedy“ w końcu: „Garczyński nie miał i trzeciej części jego ducha, choć tak w obłoki podchwalony przez Mickiewicza“¹⁾.

¹⁾ Listy, I, str. 80.

Ta drobna wzmianka jest dla nas bardzo cenną. Przedewszystkiem dowodzi ona niezbitcie, że Krasiński znalazł poezye Garczyńskiego, i że nawet zajmował się tem, co o nich mówili inni; powtórze zaś można z niej, mimo jej lakoniczności, wysnuć pewne wnioski o tem, co sam Krasiński sądził o autorze „Wacława“. Na pozór wydaje się sąd ten bardzo niekorzystnym, w istocie jednak tak nie jest. Trzeba bowiem pamiętać, jak wysoko cenił Krasiński Słowackiego, że stawiał go obok Mickiewicza, a nawet w wielu względach (fantazya, język) przyznawał mu wyższość nad nim, a wtedy ta „trzecia część ducha“ autora „Kordyana“, jaką przyznaje Garczyńskiemu, nie może uchodzić za lekceważenie. I my przyznajemy dzisiaj, że Mickiewicz, stawiając Garczyńskiego na czele naszych poetów, przesadził bardzo, więc i owo wyrażenie o „podchwaleniu pod obłoki“ jest zupełnie słuszne, i także niema w niem ani złośliwości, ani zbytej nagany. Owszem, samo zestawienie Garczyńskiego ze Słowackim, którego równocześnie sam wynosi pod niebiosa, jest dowodem, że Krasiński utwory Garczyńskiego cenil bardzo wysoko, bo wszakże nigdy po nadto nie zestawiał autora „Balladyny“ z nikim innym, jak tylko z Mickiewiczem. Jedna rzecz jest jednak w tem zdaniu ciekawą i zagadkową; oto Mickiewicz „podchwalił Garczyńskiego w obłoki“ dopiero w drugim kursie wykładów o literaturach słowiańskich, przedtem zaś wydrukował o nim w roku 1833 tylko suchy życiorys, bez żadnych uwag krytycznych. Co zatem miał na myśli Krasiński, pisząc przytoczone powyżej słowa, bo pisał je jeszcze w maju roku 1830? Jedno tylko przypuszczenie może tę zagadkę wyjaśnić, a mianowicie, że Krasiński znalazł z opowiadań opinię Mickiewicza o Garczyńskim, wypowiedzianą przy jakiejś sposobności w gronie znajomych.

Bądź co bądź, faktem jest, że autor „Nieboskiej“ znalazł poezye Garczyńskiego, i że ich nie lekcewał, a to pozwala nam zastanowić się nad pytaniem, czy one nietylko w pamięci, ale i w dziełach jego nie pozostawiły jakich śladów.

Jednym z najciekawszych utworów Garczyńskiego jest niewielka „scena fantastyczna“ pod tytułem: „Wizya“. Młody poeta siedzi późną nocą w swoim pokoju i rozmyśla nad tem, jak ma w swem dziele nakreślić postać szatana. Kiedy wysiła się na wyszukanie jak najwstrętniejszych cech zewnętrznych, zjawia się przed nim czarownica, ofiarowując mu swą pomoc. Oto ona przywabi mu szatana za pomocą swych zaklęć, pokaze mu go w prawdziwej postaci, bo to wszystko, co dotychczas o nim sądził, jest tylko złudzeniem.

Wyższym od tworem Boga, niż i inni ludzie. Więc za sprawą czarownicy zjawiają się przed zdziwionym poetą najrozmaitsze obrazy. Pierwszy to

. mędrak zwyczajny,
Może jaki profesor, albo radca tajny;

siedzi on nad Biblią i tak rozumuje:

Trzech jest w jednym? Czyste duby,
Słowo ciałem? Co za myśli!
Kto mi w kolo kwadrat wkryśli,
Kiedy łatwo mieć z rachuby,
Że co prosto, to nie krzywo?
Ha? Z tą Biblią nieszczęśliwą!...
Stara wszystkim męczy głowy,
Gubi ich Testament nowy.

Po zniknięciu tego niedowiarka zjawia się ojciec, który dla majątku zmusza swą córkę do zaślubienia człowieka, którego ona nienawidzi, a wyrzeczenia się ukochanego biedaka; następnie zaś sztab wojskowy, odbywający naradę. Ludziom tym, podobnie jak owemu mędrkowi, brak wiary w Opatrzność, więc chociaż wojna nie jest jeszcze wcale przegrana, przestraszeni przewagą liczebną, postanawiają się poddać. O nich mówi czarownica, że:

Wzgardzili myślą ofiary,
I dla tego zrinąć muszą.

bo czegoż spodziewać się po ludziach, którzy zaprzysięgli sobie:

Kubkiem morze w dołek zlewać,
Myślą nędzną mierzyć bóstwo...

Pokazawszy jeszcze pocie demagogów, którzy dla własnej korzyści oszukują nieszczęśliwych współbraci, zatruwając w nich wiarę,

wywołuje czarownica szatana w takiej postaci, w jakiej zawsze dotychczas zjawiał się na świecie i w jakiej zawsze pozostanie. Ujrzawszy go, woła poeta: „To człowiek“, a czarownica dodaje: „Bez serca“!

Aby to zrozumieć, przypomnijmy sobie, że Garczyński rozróżnia w człowieku dwie władze: umysłowe: rozum i serce, człowiekiem więc bez serca jest ten, kto powoduje się wyłącznie rozumem, i takiego nazywa poeta szatanem. To samo pojęcie znajdujemy także w „Wacławu dziejach“.

Tak wyrozumowanego króla piekieł przejął od Garczyńskiego Krasiński i życiem umieścił w „Dniu dzisiejszym“. Umierający, który ciągle oczekuje anioła, zwiastuna dobrej wieści, widzi nagle przy swem łożu postać jakąś:

. Patrzcie! — do człowieka
Całkiem podobny! Czyż to twarz anioła?
Nie — to mój szatan, który na mnie woła.

A wtedy ten „siwy kusiciel dusz wielu“ tak sam się określa:

Ja jestem rozum — ja jestem konieczność,
Nie czas mi bratem, ale siostrą wieczność;
A choć mnie ludzie przewali szatanem,
Mój duch świat stworzył — i ja ziemi panem.

Nie trudno poznać, że ten szatan, będący tylko uosobieniem rozumu, jest wprost przejęty z poezji Garczyńskiego, że to ów „człowiek bez serca“, przedstawiony przez czarownicę w „Wizyi“, jako typowy mocarz państwa piekielnego.

Poza pewnemi wspólnemi poglądami, jest jeszcze wielkie podobieństwo motywów i dążeń, łączące Krasińskiego z Garczyńskim bardzo ściśle. I tak znajdziemy w „Zdrajcy“ tę samą myśl przewodnią, a raczej tę samą tendencję, która występuje w „Pokusie“; w pierwszym obrazie, który Nieznajomy wywołuje w fantazyi Wacława, w tej młodej dziewczynie, co to przymuszona przez ojca do małżeństwa z magnatem a zerwania z ukochanym:

Umarła, gdy ślub brała,
 Nazbyt, nazbyt kochała.

ale która poddaje się przecież woli rodzicielskiej z pokorą i jeszcze na łożu śmierci mówi:

ojeze, wszak ja żona?
 Chcę być, będę, tyś kazał...

jest pewne podobieństwo do „Nocy letniej“.

Tak samo można-by znaleźć wiele wspólnych rysów w drobniejszych utworach obu poetów, nadewszystko jednak ciekawym i ważnym jest fakt, że w „Wizyi“ znajdujemy jakby krótki program trzeciej i czwartej części „Nieboskiej Komedyi“. Obraz to drobny, myśl jego nierozwinięta należycie, naszkicowana tylko, ale to myśl ta sama, którą Krasiński rozwinie później w „Nieboskiej“ i w „Śnie“. Rzecz naturalna, iż z tego faktu nie można wysnuwać wniosków, zbyt daleko idących, i że nie można podejrzewać oryginalności Krasińskiego. Związek, jaki pomiędzy tymi poetami zachodzi, polega raczej na pewnem podobieństwie organizacji umysłowej, która kazała im zwracać uwagę na te same objawy życia społecznego, i na wspólności poglądu etycznego, według którego je oceniali. W każdym razie zacieśnia to bardziej jeszcze węzeł, łączący tych jedynych naszych poetów - filozofów.

TADEUSZ PINI.

NOWE POSZUKIWANIA

nad intelligencyą pszczół i mrówek.

Czytelnicy nasi przypominają sobie, być może, artykuł, wydrukowany w r. z. p. t. „Teorya machin odruchowych.“

W pracy tej starałem się między innymi przedstawić treść nowej teoryi z zakresu zoopsychologii, wygłoszonej przez bardzo zasłużonego, młodego filozofa, prof. Bethego, według której najciekawsze i najdziwniejsze czynności mrówek i pszczół, jak budowa gniazd, pieczołowitość względem potomstwa, wspólne gromadzenie pokarmu, wyprawy wojenne, wędrówki wspólne, hodowla, wychowanie różnych obcych owadów itd., słowem czynności, uważane za objawy wysokiej bardzo intelligencyi, mają być tylko fizyologicznymi odruchami (refleksami) nie będącymi wynikiem żadnych zgoła czynności psychicznych.

Mrówki i pszczoły mają być, według tej teoryi, machinami, odbywającymi całkiem bezwzględnie pewne czynności, pozornie z rozumą i z zastanowieniem wykonywane; różne bodźce świata zewnętrznego

nego, działając na ustrój tych owadów, mają w nich wywoływać na drodze czysto odruchowej rozmaite reakcje, które nam się wydają, jako rezultat czynności psychicznych. Ten kierunek pozostaje w związku z teorią t. zw. tropizmów, we współczesnej filozofii porównawczej. Loeb, Bethe i liczni inni badacze przyjmują, że większa część ruchów zwierzęcych, zwłaszcza ruchów w pewnym kierunku określonym, a więc mających uchodzić za celowe, ze świadomością wykonywane, odbywa się bezwiednie, mechanicznie, pod wpływem pewnych bodźców.

Tak na przykład znane były oddawna fakta, że pewne owady, skorupiaki lub robaki dążą stale do miejsc oświetlonych, inne natomiast do zacienionych; zarówno też co do zwierząt kręgowych, np. jaszczurek, żab, traszek, pewnych ryb, wiadome były fakta podobne. Dotychczas tłumaczyli to przyrodnicy w ten sposób, iż zwierzęta odbierają przyjemne wrażenia, gdy pada na nie światło, lub, że doznają czuć przykrych, gdy są oświetlone, a stąd chętniej wybierają miejsca oświetlone lub zacienione i posuwają się w tym lub owym kierunku. Dziś tłumaczy to większość fizjologów t. zw. „heliotropizmem“, dodatnim lub ujemnym, mechanicznie zmuszającym zwierzęta do zwracania się ku światłu lub ku miejscom ciemnym. Zwierzę dodatnio heliotropne dąży ku światłu bezwiednie, podobnie, jak roślina, odznaczająca się dodatnim heliotropizmem, wygina się ku światłu. Tak samo znów „haerotropizm“ ma zmuszać zwierzęta mechanicznie do ruchu w kierunku pewnych bodźców chemicznych, „hydrotropizm“, w kierunku źródła wilgoci, „stereotropizm“ do szukania kryjówek pod lub obok jakiegoś ciała stałego. Ta fizjologia „tropizmów“ jest bardzo interesująca, ale niewątpliwie grzeszy jednostronnością. O ile dotyczy ona ustrojów bardzo prostych, może nas w pewnym stopniu zadowolnić, jakkolwiek i to nie objaśnia wcale danych zjawisk, lecz je raczej tylko konstatuje; ale gdy przechodzimy do organizmów, obdarzonych wysoko ukształtowanym systemem nerwowym, coraz mniej nas ona zadawalnia, bo wreszcie i niektóre dążenia ustroju ludzkiego ku pewnym warunkom otoczenia należało-by podciągnąć pod strzechulec owych zagadkowych, a nie tłumaczących „tropizmów.“

W roku zeszłym ogłosił prof. J. Loeb z Chicago interesujące dzieło p. t. „Eimleitung in die vergleichende Gehirnphysiologie und vergleichende Psychologie, mit besonderer Berücksichtigung der wirberlosen Tiere“, gdzie szeroko rozwija między innymi mechaniczną teorię instynktu, według której większość instynktów zwierzęcych ma być wynikiem „tropizmów.“ Tak np. wiadomo, że gąsienice prządki *Porthesia chrysorrhoea* zimują w gnieździe na drzewach lub krzakach, wykluszy się z jaj w jesieni. Na wiosnę czolgają się one po

gałęziach w kierunku ku górze i zaczynają tu zjadać liście, które przede wszystkim występują z pąków na wierzchołkach gałęzi. Instykt gąsienic wędrowania ku górze po obudzeniu się ze snu zimowego ma naturalnie wielkie znaczenie dla zachowania ich życia, w przeciwnym bowiem razie ginęły-by z głodu. Otóż Loeb twierdzi, że to wędrowanie gąsienic odbywa się jako mechaniczna reakcja heliotropijna. Każdy promień światła, padający na te zwierzęta, może być rozłożony na element poziomy i pionowy; elementy poziome znoszą się wzajemnie, a zachowują się tylko pionowe. „Zwierzęta muszą zatem wskutek dodatniego heliotropizmu pospawać się ku górze, dopóki nie dosięgną wierzchołka gałęzi. Tutaj światło je zatrzymuje.“ Ażeby jednak wytłómaczyć, dla czego gąsienice nie siedzą wiecznie na wierzchołkach gałęzi, lecz, skoro im tam pokarmu zabraknie, zlążą znowu na dół i poszukują nowego miejsca żywienia się, Loeb przyjmuje, że gąsienice „tylko dopóty są dodatnio heliotropne, dopóki są głodne. Gdy się nasycały, tracą swój heliotropizm dodatni.“

Krytykując ten w wysokim stopniu naciągany pogląd Loeba, Wasmann¹⁾ robi słuszną uwagę, że wobec tej pięknej teorii heliotropnej na pierwszym lepszym drzewie liczne gąsienice poginęły-by z głodu, bo cóż-by naprzykład uczyniły, gdyby były głodne, a gdyby po nad nimi znajdująca się część gałęzi była już zupełnie objedzona z liści przez inne gąsienice? Na nic-by im się nie przydało iść ku górze, a nie mogły-by, jako głodne i dodatnio heliotropne, zawrócić ku dołowi i tam jadła poszukać!

Zdaniem naszym, teorya Bethego powstała również pod wpływem owego kierunku fizyologicznego. Jak roślina musi zwrócić się ku światłu dzięki heliotropizmowi, tak i mrówka musi walczyć z innym gatunkiem pod wpływem pewnych bodźców, naprzykład węchowych, które odruchowo wywołują u niej czynności wojownicze.

Rośliny i zwierzęta działają jak maszyny, na których, jak na klawiszach, grają różne bodźce zewnętrzne, wywołując rozmaite poruszenia, związane zawsze z korzyścią fizyologiczną tych istot, ale odbywające się bezwiednie, bez wszelkiego udziału pierwiastku psychicznego z ich strony. Takie odmawianie wielu zwierzętom, np. mrówkom, osom i pszczołom, wszelkich zgoła czynności psychicznych, jak zdolności odczuwania przyjemności lub przykrości, kierowania się

¹⁾ E. Wasmann „Einige Bemerk. zur vergl. Psychologie u. Sinnesphysiologie“ („Biol. Centr.“, 1900.

pamięcią i t. p., a uważanie je wprost za maszyny odruchowe, jest stanowczo wielką krańcowością.

Pogląd Bethego wywołał też burzę pośród wielu zoologów i lubowników przyrody, oddających się badaniu owadów gromadnie żyjących. Pogląd ten obebrał, zdaniem niektórych pisarzy, wiele uroku tym badaniom, rozczarował wielu naturalistów, którzy z podziwem śledzili zmysłność tych drobnych organizmów i znajdowali nieprzebrane źródło wewnętrznego zadowolenia w spostrzeganiu owych przedziwnych działań, walk i dążeń wśród małego światka owadziego, w którego życiu znajdujemy tak wiele analogii do naszego, ludzkiego życia.

To też przeciwko pogładowi Bethego, jakoby mrówki i pszczoły nie posiadały zdolności zbierania doświadczeń i modyfikowania stosownie do tego swych czynności, jakoby wszystkie odbierane przez nie podniety „znajdowały się poniżej progno zmysłowego odczuwania i spostrzegania“ i jakoby „zwierzęta te czysto mechanicznie wykonywały działania, częstokroć wydające się rozumne“, przeciwko temu zapatrywaniu fizyologa niemieckiego wystąpiono z licznymi zarzutami. Najciekawsze i najznakomitsze z nich wygłoszone zostały przez znakomitego znawcę życia pszczół, H. von Butten-Reepena ¹⁾, z Jeny, oraz również znakomitego znawcę życia i obyczajów mrówek, i wielce zasłużonego na tem polu o. jezuitę, Eryka Wasmanna ²⁾.

Nader interesujące są spostrzeżenia v. Butten-Reepena, odnoszące się do zdolności porozumiewania się wzajemnego pszczół.

Według Bethego, nie ulega jakoby wątpliwości, że pszczoły poznają się wzajemnie lub rozpoznają osobniki z obcych gniazd tylko przez węch (chemiczną substancją, na ich organ powonienia odruchowo działającą) i że nie może być mowy o żadnych szczególnych znakach porozumiewania się, np. pewnych tonach lub określonych po-

¹⁾ H. v. Butten-Reepen „Sind die Bienen Reflex-Maschinen? Experimentelle Beiträge zur Biologie der Honigbiene. *Biolog. Centralblatt*, № 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 10. 1900.

²⁾ Erich Wasmann: „Vergleichende Studien über das Seeleben der Ameisen und der höheren Thiere“ Freiburg i B. 1900.

Tenze. „Die psychischen Fähigkeiten der Ameisen“. Stuttgart, r. 1899.

Tenze. „Instinct und Intelligenz im Thierreich“. Freiburg i. B. 1899 r.

ruszeniach rożków. Wszelako następujące spostrzeżenia Butten-Reepena zdają się sprzeciwiać temu pogładowi.

Tak na przykład jeżeli osierocimy (tj. usuniemy królowę) wielki rój pszczół, złożony z 50—60,000 lub więcej osobników, wówczas brak królowej bywa spostrzegany już po upływie godziny lub po kilku godzinach, gdy pszczoły zajęte są zbieraniem nektaru. Daje się wówczas zauważyć w ulu dziwna zmiana, a wkrótce następuje t. zw. „niepokój sierocy“. Spokojny, zwykły, brzęczący dźwięk roju przechodzi w głębszy, jakby zawodzący. Osobniki otaczające otwór wylotowy, oraz skuteczniające wentylację, stają się niespokojne i jednocześnie wylatują z ula zaniepokojone pszczoły, szukają jakby czegoś w obawie na przedniej ścianie mieszkania; niektóre bardzo szybko wylatują i powracają; słowem cały charakter roju zmienia się i nie tylko pod względem zewnętrznego zachowania się osobników, ale i pod względem wewnętrznego usposobienia, albowiem pszczoły stają się wówczas nader drażliwe, złe i skłonne do kłucia.

Otóż niewątpliwie pszczoły spostrzegają nieobecność królowej. Ale zachodzi pytanie, w jaki sposób mogą to zauważyć i jaką drogą udzielają jedne drugim wiadomości, iż ul został osierocony? Czy nagły brak woni, wydzielanej przez królową, zawiadamia je o tem? Trudno to przypuścić, albowiem przekonano się, iż woń królowej jest bardzo przenikliwa i udziela się w wysokim stopniu komórkom, jakoteż osobnikom roboczym, królowę otaczającym. Intensywność woni tej zmniejsza się wprawdzie stopniowo. Ale i w zwykłych warunkach jest ona bardzo zmienną, tak, że nie podobna przypuścić, aby już po upływie jednej godziny została przez cały rój zauważona różnica.

Otóż każdy, kto bliżej obserwował zachowanie się roju w takich okolicznościach, dojdzie do następującego wniosku, powiada Reepen: „Młode pszczoły, które zajmują się karmieniem potomstwa oraz królowej, spostrzegają nieobecność królowej po dłuższym lub krótszym przeciągu czasu i zaczynają usilnie szukać, wkrótce niepokój ich udziela się całemu towarzystwu, pszczoły dochodzą do świadomości, iż królowa znikła, a spokojny brzęk przeobraża się w donośny ton zawodzący.“

Ze woń może tuodgrywać bardzo ważną rolę, tego dowodzą pewne fakta, jak np. ten, że pszczoły nie dostrzegają przez bardzo długi czas braku królowej, skoro ta będzie rozgnieciona i zabita, ale ciało jej pozostanie w ulu. Natomiast są inne fakta, dowodzące, że tą drogą nie da się wytłómaczyć spokój lub zaniepokojenie pszczół, że same bodźce węchowe nie są zdolne wywołać szeregu odruchów, jak twier-

dzi Bethle, które można-by wziąć za wyraz niepokoju z powodu utraty królowej.

A mianowicie, jeżeli królową będziemy trzymali na uwięzi w małej klateczce wewnątrz ula, to pomimo, iż woń jej ciała może wówczas zupełnie bez przeszkody działać jako bodziec na inne pszczoły, występuje jednak pośród nich po pewnym czasie silne zaniepokojenie, ze wszystkimi charakterystycznymi objawami. Należy więc stąd wnosić, że niewątpliwie tylko najbliżej królowej znajdujące się pszczoły poznają brak jej, a reszta zawiadomiona zostaje o stracie za pośrednictwem poszczególnych dźwięków, które zaczynają wydawać naprzód bezpośrednio zaniepokojone osobniki, a z kolei cały rój.

„Nie ulega tedy dla mnie wątpliwości—powiada wzmiankowany autor—że pszczoły porozumiewają się wzajemnie za pomocą dźwięków. Dźwięk „radości“ zwabia towarzyszy lub uspakaja ich, natomiast żałośny dźwięk zawodzący niepokoje całe towarzystwo“.

Butten - Reepen odróżnia jeszcze rozmaite inne rodzaje dźwięków u pszczół, służące, jego zdaniem, do porozumiewania się, np. wabiący ton rojących się pszczół, kwakanie królowej, dźwięki bojaźni u królowej i t. p. Ciekawe są spostrzeżenia, co do dźwięków, które autor ten opisuje, jako „Tüten und Quaken der Königinnen“. A mianowicie, gdy pierwszy rój ze starą królową opuścił ul, mija w zwykłych warunkach 9 do 11 dni, zanim następny rój wyleci. Otóż na dzień lub dwa dni przed wylotem tego roju daje się słyszeć w ulu szczególnie koncert, który w czasie cichych wieczorów jest słyszalny często w odległości dwóch kroków.

Jest to właśnie owo „Tüten und Quaken“ młodych królowych, które rywalizują z sobą. Gdy mianowicie jedna z tych ostatnich, najwcześniej wykluta, krążąc po nad komórkami, zawierającymi jej przyszłe rywalki, wydaje donośny dźwięk „thüt“, „thüt“, wówczas najdojrzałe z zasklepionych odpowiadają jej krótkim, głębokim „quak“, „quak“. Koncert ten odbywa się bez przerwy godzinami i całymi dniami.

Co do dźwięków, mających wyrażać obawę, to autor nasz przytacza następujące, bardzo ciekawe spostrzeżenie.

Jeżeli wprowadzamy obcą królowę do osieroconego (czyli pozbawionego własnej) ula, wówczas najbliżej się znajdujące pszczoły napadają ją, kęsają i kłują. Królowa szybko ucieka, wydając szczególne, charakterystyczne dźwięki, które całe towarzystwo wprawiają w stan najwyższego pobudzenia. Można-by wprawdzie przypuszczać, że jest to działanie bodźca węchowego, albowiem królowa każdego ula wydaje pewną specyficzną woń, ale oto doświadczenie

wyказuje, że obca królowa, ukryta w klatce i przeto nie narażona na prześladowanie, nie wzbudza wcale niepokoju w ulu, albowiem nie wy-daje owych dźwięków „obawy“.

Nader interesujące są też spostrzeżenia, które dowodzą, że pszczołom jest właściwa władza pamięci, a mianowicie posiadają one pamięć miejsca.

Wiadomo, że pszczoły, rozlatując się z ula, powracają do niego ze znacznych nawet odległości. Otóż Bethe objaśnia to na swój sposób, mówiąc: „pszczoły doprowadzone zostają do ula przez jakąś zupełnie nieznaną siłę.“

Siła ta nie tkwi w samym ulu, nie wie dzie ona pszczoł właściwie do ula, lecz do miejsca w przestrzeni, w którym ul zwykle się znajduje. Owa siła, doprowadzająca pszczoły do danego punktu na ziemi, gdzie znajduje się ul, nie działa na nieograniczoną odległość. Bartnicy wiedzą oddawna, że ul można przenieść na inne miejsce, bez obawy aby pszczoły powróciły na dawne miejsce, skoro nowe położenie ula odległe jest od dawnego tylko o 6 km. Wynika stąd, że siła ta działa najwyżej na 6 km., albowiem popęd do powracania ku ulowi jest najsilniejszy ze wszystkich innych popędów pszczoł. Sądzę jednak, że nie należy przyjąć kręgu o 6 km. średnicy, lecz tylko o 3 lub 4 km., jako pole działania siły“.

Co to jest owa „nieznana siła“ Bethego? Czy wprowadzenie tej nowej niewiadomej wyjaśni nam cokolwiek bądź? czy należy odrzucić hipotezę dotychczasową, a mianowicie, że pszczoły kierują się pamięcią przy powracaniu do swego ula, a w jej miejsce prowadzić hipotezę nową o „nieznanej sile“. Takie „tłómaczenie“ zjawisk biologicznych jest ludzeniem samego siebie. Pod tym względem głęboką prawdę wypowiedział prof. August Weismann: „Nie należy wogóle uciekać się do nowej, nieznanej siły przy objaśnianiu zjawisk przyrody, zanim nie zostanie dowiedzione, że siły dotychczas znane nie wystarczają do ich objaśnienia“.

A ponieważ pszczoła odbiera wrażenia węchowe, wzrokowe i inne, dlaczegoż więc nie mamy przypuszczać, że do pewnego stopnia zachowuje ona w pamięci owe wrażenie i kieruje się nią przy odszukiwaniu miejsca, w którym się ul jej znajduje. Dlaczego mamy przypuszczać, że pszczoła powraca do swej siedziby dzięki jakiejś innej sile, niż np. gołąb pocztowy? A właśnie co do tego ostatniego wykazano w nowszych czasach, że niewątpliwie odgrywa tu najważniejszą rolę pamięć, że dzięki jej gołąb orientuje się w locie. Prof. H. E. Zie-

gler ¹⁾, mówiąc o oryentowaniu się gołębi pocztowych, powiada: „na podstawie wszystkiego, co czytałem i słyszałem o gołębiach pocztowych jestem zdania, że oryentowanie się ich zasadza się jedynie na władzy pamięci i że zbytecznym jest przypisywać im jeszcze jakiś zagadkowy zmysł kierowniczy“.

„Jeżeli gołębie wypuszczone zostają daleko od swej siedziby, w miejscowości, w której nie mają żadnych punktów oparcia dla oryentacyi, wówczas obierają sobie rozmaite kierunki, a część błąka się. Stowarzyszenia nie lubią wypuszczać gołębi w takich nieprzygotowanych miejscach i w znacznej odległości, albowiem wówczas ginie nie zawsze mniejsza lub większa ilość dobrych gołębi“. „Hodowcy tresują gołębie w określonych dystansach, przenosząc stopniowo w jednym i tym samym kierunku na coraz większe odległości.“ Skoro więc gołębie można tresować i nauczyć czegoś, muszą one posiadać władzę pamięci, która może się u nich potęgować i ćwiczyć w pewnym kierunku.

Otóż dla czegoż nie mamy przyjąć, że i pszczoły kierują się pamięcią, powracając do siedzib swoich. Tak gołębie, jak i pszczoły, wypuszczone na wolność, gdzieś zdala od zwykłej siedziby, zataczają w pewnej wysokości koła, szukając jakby kierunku, który mają sobie obrać.

Że i pszczoły obdarzone są zapewne władzą pamięci, dowodzi tego fakt następujący. Jeżeli mianowicie oszołomimy je przez chloroform, eter, pary saletry lub t. p., wówczas zniknie u nich pamięć miejsca zupełnie i na zawsze. Po otrzeźwieniu mogą one być przeniesione do każdego ula i nie latają do tego miejsca w przestrzeni, w którym znajduje się ich zwykła siedziba. Nie znają już więcej rodzinnego gniazda, ani też miejsca, w którym się ul ich znajduje.

Zapomniały one oczywiście wszystkiego, co wiedziały. „Zwierzę zaś—mówi Buttell-Reepen—które może czegoś zapomnieć, musiało coś pamiętać. Wspomnienia zatarły się. Widzimy więc, że „siła nieznaną“ jest identyczna z pamięcią miejsca, która składa się z całego szeregu wspomnień (Erinnerungsbilder). Należy wszelako zauważyć, że niegdyś ogłuszone pszczoły przyzwyczajają się z czasem do nowej siedziby, do której zostały przeniesione, a dzięki całemu szeregowi nowych wspomnień, powracają już stale do tej ostatniej ze swych wypraw po nektar, pyłek itp.

¹⁾ H. E. Ziegler „Die Geschwindigkeit der Brieftauben“ „Zool. Jahrbücher.“ 1879.

Przytoczone wyżej fakta przemawiają według B. Reepena za tem, że pszczoły nie są rzeczywiście automatami, „machinami odruchowemi“, lecz że obdarzone są pewnemi władzami psychicznemi. Butten-Reepen, doszedłszy do wniosku, że pszczoły tak przy oryentowaniu się, jako też przy innych czynnościach, wykazują doskonałą pamięć i że są zdolne do „zbierania doświadczenia, nabywania pewnych wiadomości, kojarzenia wyobrażeń i nawet porozumiewania się“, zadaje sobie naiwne pytanie, czy posiadają one świadomość (Bewusstsein), i dochodzi do przekonania, że albo nie mają wcale świadomości, albo też obdarzone są nią w niskim bardzo stopniu. Popelnia on tu tę samą niekonsekwencyę, co i inni liczni pisarze, niezdający sobie sprawy z tego, co to jest świadomość. Można bowiem wybrać jedno z dwojga, to jest, albo przyjąć, że zwierzę nie odbiera żadnych wrażeń, że jest machiną odruchową w znaczeniu teoryi Bethego, albo że odbiera wrażenia i kojarzy je, ergo odznacza się świadomością, gdzie niema bowiem świadomości, tam brak wszelkiego życia psychicznego. Mówić o nieświadomej czynności psychicznej, to jakby przyjmować martwe życie. Reepen, Haekel i inni, przyjmujący „nieświadome czynności psychiczne“, pojmują zapewne przez wyraz świadomość i zdolność osobnika zastanawiania się nad swemi czynnościami psychicznemi, i zdolność dokładnego zdawania sobie z nich sprawy, oraz analizowania ich. A wszak jej nie posiada także niemowlę, lub dziecko, które jednak odbiera również wrażenia, i u którego odbywa się kojarzenie wyobrażeń.

Inny ze wspomnianych wyżej badaczy, Eryk Wasmann S. J., krytykuje „teoryę machin odruchowych“ na podstawie spostrzeżeń nad obyczajami mrówek.

Ponieważ Bethe twierdzi, że dopiero u wyższych zwierząt, na przykład u małp, można zauważyć w życiu zbiorowem czynności rozumne, działania, będące wynikiem rozwagi, doświadczenia i t. p. u zbiorowo zaś żyjących owadów wszelkie czynności społeczne są odruchowe, bez żadnej świadomości wykonywane, Wasmann stara się naprzód wykazać wielkie podobieństwo pomiędzy różnemi objawami życia społecznego u mrówek i u zwierząt wyższych. Podobieństwo to przemawia za tem, że nie można w inny sposób tłómaczyć istoty tych objawów u mrówek, aniżeli u zwierząt wyższych.

Tak naprzykład wiadomo, że u małp napotykamy stowarzyszenia osobników, których zadaniem jest wspólne ostrzeganie przed niebezpieczeństwem, wspólna obrona, wspólna ochrona stowarzyszonych, wspólne zdobywanie pokarmu, a niekiedy wspólne napadanie zdobyczy. Ten sam cel mają stowarzyszenia mrówcze. „Jakkolwiek u nich — mówi Wasmann — celem głównym jest wspólne wychowywanie

potomstwa, to jednak i owe inne cele poboczne nietylko nie są wyłączone, lecz nawet w jeszcze doskonalszym stopniu bywają spełniane i osiągane przez mrówki, aniżeli przez zwierzęta wyższe. Na to jednak, że mały ze świadomością celu, czyli z inteligencją spełniają owe zadania, mrówki zaś bez świadomości celu, czyli czysto instynktowo czynią to, na to ani Darwin, ani Espinus, ani Ziegler, ani żaden inny nowoczesny uczony, zajmujący się psychologią zwierząt, żadnego nie ma dowodu“.

Albo naprzykład wyższe zwierzęta, żyjące w stowarzyszeniach, wyświadczają sobie wzajem różne drobne przysługi. Krowy naprzykład oblizują jedna drugiej miejsca na skórze, gdzie dokuczają świerzbień, mały wyszukują sobie nawzajem pasorzytów zewnętrznych i t. p. Podobne przysługi wyświadczają sobie mrówki te samej kolonii. Jeżeli się obserwuje mrówki w wygodnie urządzonej gniazdach sztucznych, to jest takich, w których owady czują się najzupełniej swobodnymi, a obserwator może dobrze przypatrywać się ich działaniom, wówczas można dostrzedz tysiączne objawy takich drobnych przysług, wzajemnie sobie przez mrówki wyświadczanych. W słynnych swych obserwacjach nad życiem mieszanych kolonii mrówczych, Wasmann podaje liczne bardzo przykłady odnośne. Oto naprzykład widzi leżącą spokojnie robotnicę z gatunku *Formica sanguinea*, którą „obmywają“ towarzyski, a mianowicie należące do trzech gatunków mrówek (*Formica sanguinea*, *Formica rufibarbis* i *Formica fusca*); towarzyski oblizują starannie nieruchomą mrówkę, obracając ją bardzo ostrożnie z jednej strony na drugą. Obmyta i oczyszczona, podnosi się następnie i udaje się w drogę z przyjaciółkami. Bez różnicy wyświadczają sobie podobne przysługi robotnice wszystkich pięciu gatunków mrówek, hodowanych przez Wasmanna we wspólnym gnieździe sztucznym; oblizywane mrówki należą to do gatunku panów, to niewolników, a zarówno też bez żadnej różnicy gatunki pańskie i niewolnicze spełniają rolę czyścicieli względem towarzyszy. Można przytem zauważyć, że sama czynność oblizywania sprawia pewne zadowolenie mrówkom, podobnie jak krowy znajdują przyjemność w oblizywaniu towarzyszek, a mały zsatysfakcją poszukują pasorzytów u swych sąsiadek, i znajduwane owady z wielkim spożywają apetytem (Wasmann).

Wszystkie te czynności są wynikiem instynktowego popędu do zachowywania czystości ciała, właściwego większości zwierząt.

Wzajemne dopomaganie sobie i wzajemne usuwanie różnych dolegliwości daje się zauważyć u wielu zwierząt towarzysko żyjących, wyższych i niższych. Mały naprzykład wyciągają jedna drugiej igły i kolce ze skóry, po przebyciu ciernistych gąszczy, w których łatwo

się pokluc. U mrówek wzajemne wspomaganie się w wyższym jeszcze stopniu jest rozwinięte, często bowiem sięga tak daleko, że osobniki okazują pieczołowitość względem zranionych, lub chorych towarzyszy, jak to twierdzi Wasmann na podstawie własnych spostrzeżeń. A podobne fakta zauważył również prof. A. Forel.

„Opiekowanie się choremi u mrówek wydaje mi się czemś tak zadziwiającem,—mówi Wasmann, — że nie chciałem prawie w to uwierzyć, zanim się sam o tem nie przekonałem. Po raz pierwszy miało to miejsce 16 marca 1895 roku. Mrówkę gatunku *sanguinea*, która przez wytrysk kwasu mrówkowego w wąskiej rurce szklanej była sparaliżowana i zaledwie poruszać się mogła, przenieśliśmy za pomocą szczypczyków z gniazda obserwacyjnego do głównego. Z początku zdawało się, że przechodzące obok towarzyszki żadnej na nią nie zwrócą uwagi i zostawią ją w spokoju. Wkrótce jednak zaczęły ją badać różkami i przeniosły do innego oddziału gniazda, gdzie zebrana była większa część mrówek. Tutaj chora przeleżała cały dzień, otoczona znaczną ilością panów i niewolników (gatunku *fuscus*), którzy się nią zajmowali po większej części jednocześnie; starannie ją oblizywano, obracano na drugą stronę i znów oblizywano, później badano różkami i ponownie oblizywano. Wynik kuracji był zupełny. Chory osobnik był następnego dnia całkowicie wyleczony, gdy tymczasem bez owej opieki był-by zapewne zginął, jak to zwykle obserwowałem na mrówkach, oszołomionych przez jad“.

Zwierzęta wyższe, towarzystwo żyjące, wyświadczają sobie ważniejsze jeszcze przysługi. Tak na przykład wilki i niektóre inne drapieżniki polują gromadnie i pomagają sobie wzajemnie przy napastowaniu zdobyczy. Pawiany z rodzaju *Hamabryas* odwalają wspólnie ciężkie kamienie, by z pod nich owady wylawiać i t. p. Zwierzęta towarzyskie bronią się też wzajemnie. Otóż to, co powiedziano wyżej o ssakach, stosuje się w jeszcze wyższym stopniu do mrówek, a nie można przeto twierdzić, jak to przyjmuje Ziegler, aby życie towarzyskie wilków, pawianów lub innych małych bardziej się zbliżało do gromadzkiego życia ludzi, aniżeli życie zbiorowe mrówek.

Liczne bowiem gatunki mrówek uganiają się również gromadnie za zdobyczą, zwłaszcza *Formica sanguinea* i *Formica rubicunda*, czerwone mrówki amazońskie (*Polyergus rufescens* i inne), jako też wszystkie gatunki rodzaju *Eciton* i *Anomma*. Wyprawy wojenne mrówki krwistej (*Formica sanguinea*) bywają przedsiębrane zwykle w małych oddziałach, złożonych z dwudziestu do pięćdziesięciu robotnic, i mają na celu rabowanie gniazd innych gatunków, których larwy, poczwaraki i osobniki dorosłe bywają porywane i zanoszone do siedzib rabusiów, gdzie służą za pokarm, lub też wychowywane bywają na nie-

wolników (poczwaraki robocze gatunków niewolniczych: *Formica fusca* i *rufibarbis*). Podczas tych wypraw można zauważyć u mrówek „inicyatywę indywidualną“ (Wasmann) pojedynczych osobników, podobnie jak u zwierząt wyższych. Jakże często możemy widzieć w naszych lasach mrówki, ciągnące wspólnymi siłami do gniazda jakiegoś wielkiego owada, lub robaka.

Zwłaszcza interesujące jest współdziałanie i podział pracy pośród mrówek, tworzących mieszane kolonie. Tak na przykład Wasmann podaje, że w jednym gnieździe obserwacyjnym, w którym oprócz mrówki krwistej (*Formica sanguinea*), żyły jeszcze cztery inne gatunki mrówek, osobniki wszystkich pięciu gatunków w ten sposób podzieliły pośród siebie zajęcia, że każdy gatunek wykonywał przeważnie pewne czynności, oczywiście, związane z usposobieniem danego gatunku; wszelako mrówki wszystkich gatunków zajmowały się też w miarę potrzeby i innymi pracami, mającymi na celu dobro całego ogółu, wspólne zamieszkującego gniazdo.

Zestawiając wyniki porównawczego badania życia towarzyskiego mrówek i zwierząt wyższych, dochodzimy z Wasmannem do następujących wniosków. Towarzystwo małp i innych wyższych kręgowców polega na instynktach społecznych, przez które istoty te współdziałają ku wzajemnej ochronie, wspólnej obronie i w części ku wspólnemu zdobywaniu sobie pokarmu. Współdziałanie to polega w mniejszym, lub większym stopniu na doświadczeniu zmysłowym, oraz „afektach zmysłowych“ pojedynczych osobników. Zupełnie takie samo współdziałanie, ale jeszcze zupełniejsze, bardziej celowe i różnorodniejsze, znajdujemy w społeczeństwach mrówczych. I tu polega ono na instynktach społecznych, które, stosownie do wielkośćności ustrojowej, rozmaicie są rozłożone na różne klasy (kasty) społeczne, czyli grupy osobników. W obrębie tych klas panuje jednak nadzwyczajna samodzielność i różnorodność działalności indywidualnej „ze względu na udział zmysłowego doświadczenia i afektów zmysłowych u pojedynczych osobników“.

Do doskonałość społecznego współdziałania u wyższych ssaków nie może się nawet mierzyć z tem, co widzimy u mrówek. U tych ostatnich dotyczy ona bowiem nie tylko wspólnej ochrony, obrony i wspólnego zdobywania pokarmu, lecz nadto jeszcze wspólnej budowy mieszkania, wspólnego wychowywania młodych, oraz zajmowania się wszystkimi wogóle istotami, należącymi do społeczeństwa. Samo zdobywanie pokarmu przedstawia u mrówek nadzwyczajnie różnorodne objawy, obejmuje bowiem hodowlę istot, odgrywających niejako rolę bydła domowego (mszyce), polowanie (na przykład na owady), rabunek (rabowanie poczwarek mrówczych z innych gniazd), uprawę roli (mrów-

ki, zbierające ziarna z roślin, specjalnie przez nie uprawianych), ogrodnictwo (mrówki, uprawiające pewne pleśnie) i t. d. Wyprawy wojenne niektórych gatunków mrówek służą nie tylko do zdobywania środków pożywienia, lecz i do chwytania niewolników, przyczem zdobyci niewolnicy, należący do określonych, obcych gatunków mrówek, zostają następnie zaliczeni do członków państwa i wspólnie wychowywani. W ten sposób powstają niezmiernie interesujące tak zwane mieszane kolonie mrówcze, złożone z przedstawicieli kilku gatunków, wspólnie w jednym gnieździe żyjących i wyświadczających sobie wzajemne przysługi. To złożone życie społeczne komplikuje się jeszcze w wysokim stopniu przez to, iż w gniazdach przebywają zazwyczaj tak zwani goście, to jest chrząszczyki różnych gatunków, lub inne owady obce, traktowane przez mrówki jak członkowie rodziny, tak, że nawet ich potomstwo wychowywane bywa przez mrówki zarówno z ich własnym. Wszystko to dowodzi, że mrówki tworzą najdoskonalsze ze wszystkich społeczeństw zwierzęcych.

Bethe i niektórzy inni biologowie, nie mogąc przypuścić, ażeby owady, zajmujące o tyle niższe stanowisko na drabinie ustrojów od zwierząt kręgowych, a zwłaszcza ssaków, przewyższały je pod względem intelektualnym, doszli do wniosku, że ich czynności społeczne są zupełnie innej natury, aniżeli towarzyskie działania wyższych zwierząt, że pierwsze są tylko odruchami, ostatnie zaś należą już do sfery czynności psychicznych, intelektualnych. Wasmann natomiast stara się wykazać, że istnieje najzupełniejsza analogia pomiędzy jednemi i drugimi, że instynkta społeczne mrówek przewyższają nawet instynkta towarzyskie najwyższych zwierząt ssących, że nie podobna zatem uważać obu rodzajów objawów za różne zasadniczo, za nienależące do tej samej kategorii zjawisk psychicznych. Ale tu zjawia się dla Wasmanna poważna bardzo trudność. Przez niego samego, jak i przez wielu innych badaczy zdobyte fakta przemawiają za tem, że mrówki, skoro mamy je uważać nie za maszyny odruchowe, odznaczają się wysoko rozwiniętymi władzami intelektualnymi. Lecz na to Wasmann zgodzić się nie może. Zapatrywania jego, jakoby istniała przepaść pomiędzy władzami intelektualnymi zwierząt i człowiekiem, zapatrywania, przeciwko którym przemawiają tysiączne fakta z dziedziny psychologii porównawczej, były mocno skrytykowane przez profesora Forela, profesora C. Emergo, profesora E. Krausego i innych najwybitniejszych współczesnych biologów.

Fakta jednak, nagromadzone przez Wasmanna, stanowią z drugiej strony ważne argumenta przeciwko teorii Bethego, który wpadł w inną ostateczność, tłumacząc wszystkie objawy intelektualne

u zwierząt bezkręgowych za pomocą teorii machin odruchowych. Spór ten toczyć się będzie zapewne jeszcze dopóty, dopóki istnieć będzie pytanie, gdzie kończą się działania wyłącznie odruchowe, w których nie biorą udziału wyższe ośrodki nerwowe, a gdzie zaczynają się właściwe czynności psychiczne. A że i tu chyba żadnej bezwzględnej granicy niema, bo sam odruch jest już najpierwszym elementem czynności ośrodkowo-nerwowych, krańcowa tedy teorya „machin odruchowych“, jak to już zaznaczyliśmy w poprzednim naszym artykule, musi w znacznej mierze kapitulować na korzyść teoryi, upatrującej już w życiu społecznem owadów czynności kategorii psychicznej, intelektualnej.

PROFESOR DR J. NUSBAUM.

W dalekość.

Wychodzi ze mną rozręskniona dusza,
I idzie kędyś na pszeniczne łany,
Gdzie duma smutnie przygarbiona grusza,
Gdzie na jeziorach wstają srebrne piany,
A wiatr wikliną nadbrzeżną porusza,
I szmer w niej jakiś podnosi harfiany,
I na swe drogi znów leci tułacze,
Przypada piersią do ziemi i płacze...

I idzie smutna na te łany żytnie,
Po których wichler chadza falą złotą,

Gdzie haber kwitnie i rumianek kwitnie,
 Gdzie ponad łąką srebrne mgły się plotą,
 Gdzie niezabudki kwitną tak błękitnie,
 I śnią o niebie swą modrą tęsknotą,
 A mgła co wije się blada i cicha,
 Wysysa wonie z barwnych ziół kielicha...

Gdzieś ponad jezior błękitne topiele,
 Kędy jaskółki śmigły lot swój wiodą,
 Gdzie czasem plusną srebrnej rybki skrzele,
 A mewy pierśią śnieżą się nad wodą,
 Gdzie w trzcinach tańczą błękitne libele,
 Jako gołębi rój ponad zagrodą,
 Co krąży cichy nad strzechą słomianą,
 W jakieś ogromne jutrzenkowe rano...

Idzie na dwory one modrzewiowe,
 Co w wieńcu topól zadumane stoją,
 Na owe łąki i na bory owe,
 Gdzie się motyle nad kwiatami roją,
 Gdzie wiatr z dębami prowadzi rozmowę,
 Idzie w tułaczą biedną drogę swoją,
 I patrzy tęskno, i wyciąga ręce,
 Jak ptak, co pręży skrzydła ku jutrzence.

I idzie oną cichą drogą polną,
 I idzie oną cichą leśną drogą,
 Idzie żałosna, rytmicznie i wolno,
 Jak ptaszę drżące zmęczeniem i trwogą,

Ale jej nigdzie tu stanąć nie wolno,
I nigdzie oczy jej spocząć nie mogą,
I tęskniąc do tych pól, co za nią stoja,
Idzie wciąż naprzód biedną drogą swoją.

.

Otwórz, Janku!

Po szerokiem, jasnym niebie
Wiatr poranny mgły przegania,
I sny moje, sny kochania,
Lecą z wiatrem w dal — do ciebie!

W blasku zorzy, co bór złoci,
Wśród kaliny wieją krzaków,
Lecą, płyną z pieśnią ptaków
Wśród kosaćców i paproci.

Jak motyli rój skrzydlaty,
Przeleciały bór daleki,
Przeleciały góry, rzeki,
Zapukały do twej chaty.

Otwórz, Janku, drzwi dębowe,
Otwórz, Janku, chatę twoją,
Sny kochania, sny tęczowe,
Ponad chatą twą się roją.

Lśnią w złocistym słońca pyle,
Niby łzami, niby rosą,
I kochania tyle, tyle,
Do twej cichej chaty niosą!

Otwórz, Janku, wpuść tych gości,
Otwórz chatę twą odludną,
One niosą ci baśń cudną,
Rusańczaną baśń miłości.

Z temi gośćmi idzie słońce,
Idzie wiosna w czeremch wianku,
Idzie życie bujne, wrzące,
Idzie miłość, — otwórz, Janku!

Czy nie słyszysz ich tam, w górze,
Nad twą strzechą w słońcu złotem,
Jak w słonecznych pyłów chmurze
Biją w skrzydła sennym lotem.

Oj, zdaleka tu leciały
Te kochania mego posły,
One, Janku, szczęście niosły,
Do twej cichej chaty białej.

Aż sznurami skrzydlatemi
Na twą strzechę spadły... stają
Jak jaskółki, gdy wracają
Gdzieś z za morza — z cudzej ziemi.

Na twej strzesze w blasku świecą
I piosenkę cichą nucą.
Otwórz, Janku, bo odlecą,
Bo odlecą i nie wrócą.

W tym poranku jutrzeńkowym,
W czarodziejskim tym poranku,
Otwórz chatę snom tęczowym,
Snom kochania — otwórz, Janku!!

EDMA MIERZ.

PIŚMIENNICTWO.

„Prace filologiczne“, wydawane przez Baudouina de Courtonay, J. Karłowicza i A. A. Krzyńskiego. Tom V, zeszyt 3. Warszawa, 1899. (Str. 681 — 1,033).

Antoni Krasnowolski: „Słowniczek frazeologiczny“. Poradnik dla piszących. Wydanie z zapomogi kasy im. Mianowskiego. Warszawa 1900.

Ukończono tedy tom V tego pożytecznego i jedyne go w swoim rodzaju polskiego wydawnictwa. Z tytułu tego tomu zniknęło jedno nazwisko, które nietylko na tem miejscu błyszczało, ale we wszystkich działach „Prac“ od artykułów dłuższych, aż do „Drobiazgów językowych“. Ś. p. profesor Malinowski, który był magna pars całego wydawnictwa, nie należy już do żyjących, a luki, po nim pozostałej, nie miał kto zapłacić...

Zeszyt ten ostatni wypełniają prawie w zupełności „Przyczynki do nowego słownika języka polskiego“, zebrane przez p. Hieronima Łopacińskiego, jako część II ogłoszonych już w tomie IV. Materiał

ten składa się: 1) z wyrazów gwarowych, osobiście przez autora słyszanych i zapisanych, i ze zbieranych przez inne osoby dla autora, zwłaszcza w okolicy Bychawy i Wąwolnicy (gubernii Lubelskiej); 2) z wyrazów powszechnie używanych, a w słownikach Lindego i Wileńskim niezamieszczonych; 3) z wyrazów technicznych, myśliwskich i rzemieślniczych i 4) z wyrazów gwarowych uczniowskich.

Całość imponująca (296 stron) przewyższa znacznie część I (100 stron) i to nie tylko objętością. Każdy pozyskany nowy wyraz porównał autor ze znaczeniem, w słownikach podanem (naturalnie, jeżeli wyraz już był znany), a co więcej, w publikacjach ludoznawczo-gwarowych, i w ten sposób przysparzając wiele ziarn do skarbcza narodowego, ułatwił zarazem pracę porównawczą przyszłym słownikarzom. Nie wątpimy też, że d-r Karłowicz zarówno do ogólnego, jak i do gwarowego słownika, przez siebie opracowanego, znalazł w tych przyczynkach znakomitą pomoc. Jednego tylko byli-byśmy sobie w tej pracy życzyli: objaśnienia niektórych zjawisk z pomocą czynników fizyologicznych i psychologicznych, coby pewnie autora wiele pracy i czasu nie kosztowało.

Pod tytułem: „Z dziejów średniowiecznego piśmiennictwa polskiego“, pomieścił d-r Stanisław Dobrzycki dwa przyczynki do wyjaśnienia pochodzenia: 1) pieśni postnej, przypisywanej błogosławionemu Władysławowi z Gielniowa; 2) fragmenta z „Życia Najświętszej Maryi Panny“. Pieśń postną, powszechnie za oryginalną poczytywaną, uważa autor za przekład z pieśni czeskiej, którą znalazł w „Przyczynkach“ Ferdynanda Menčika, wydanych w Iieczynie w roku 1880. Była ona bardzo rozpowszechniona; błogosławiony Władysław z Gielniowa jedną z kopii rozszerzył i uzupełnił, i tym sposobem powstała długa pieśń postna.

Fragment z „Życia Najświętszej Maryi Panny“ podał Maciejowski w „Dodatkach“. Treścią jego jest opowiadanie o Niepokalanem Poczęciu Najświętszej Maryi Panny. D-r Dobrzycki przypuszcza, że jest przekładem z czeskiego języka, w którym się znajduje wierszowana legenda (wyd. przez Szafarzyka Czas. Muz. czes. 1855, a potem przez Tejfalika w „Studien“), oparta na apokryfach średniowiecznych. Zestawia tedy autor tekst grecki, łaciński i polski, i uważając apokryf łaciński za źródło opowieści polskiej, odmiany tłumaczy tłumaczeniem z czeskiego.

Niestety, ani co do pochodzenia pierwszego, ani co do drugiego zabytku, przedstawione argumenta d-ra Dobrzyckiego nie są dość przekonujące, mimo zręcznej dyalektyki w rzeczy o „Pieśni“. Znać, że autor obraca się na polu, sobie obcym; do pracy na niem potrzeba nierównie więcej erudycyi, niż jej młody autor posiadać może.

W dziale „Sprawozdań“ czytamy recenzję dzieła profesora Florińskiego: „Lekcyi po sławianskomu jazykoznaniju“, tom II. pióra tego samego d-ra Dobrzyckiego; niedokładności i błędy, zwłaszcza co do charakterystyki gwar polskich, wytknięte starannie przez recenzenta, można-by jeszcze znacznie pomnożyć i stwierdzić zawiedzione co do tego dzieła nadzieje.

„Wiadomości bibliograficzne“ wypełnił sam redaktor, profesor A. A. Kryński. Uznajemy pożyteczność tego rodzaju informujących uwag, dodanych do każdego tytułu, ale dla „Prac filologicznych“ nie powinno to wystarczać. Jeżeli jaki dział, to bibliograficzno-krytyczny powinien być traktowany możliwie szeroko i dokładnie: dzieła większej wartości radzi-byśmy mieć fachowo i szczegółowo omówione, o mniejszych, lub nieudatnych, wystarczyła-by bibliograficzna notatka. Większości dzieł, zwłaszcza polskich, tu podanych, chcieli-byśmy mieć dokładny rozbiór, a spotykamy tylko notatkę, lub tytuł. Jesteśmy zupełnie świadomi trudności, jakie napotyka często dobra wola redaktora w pozyskaniu stosownych recenzentów, zwłaszcza, że staranne i prawdziwie naukowe recenzje wymagają więcej pracy i czasu, niż zestawienie surowego materiału, lub nawet napisanie artykułu, ale przy znanej zapobiegliwości i wytrwałości Redakcyi, może-by się dały i te trudności usunąć z pożytkiem wielkim dla rozwoju nauki polskiej. Pozwolimy sobie również zwrócić uwagę Szanownej Redakcyi na sposób sprawozdań, wprowadzonych z powodzeniem przez „Przegląd filozoficzny“. Mówimy o tak zwanych „autoreferatach“. Zastosowanie ich do dzieł i rozpraw filologicznych ułatwiałoby w wielu razach należyte zrozumienie celu autora i wyjaśniało jego metodę, bez mozolnego, a często nie wiodącego do celu „wylławiania“ tych sekretów z samego dzieła.

I jeszcze jedno, skorośmy się już o ulepszeniu „Prac“ rozpisali. Uważamy to oddawna, że uwzględnienie ruchu na polu językoznawstwa słowiańskiego (nie mówiąc już aryo-europejskiego) jest w „Pracach“ coraz mniejsze. Czujemy zwłaszcza brak uwzględnienia prac filologicznych czeskich. Jeden zapewne tego nie potrafi zrobić, ale jak dawna redakcyja „Wisły“ umiała wciągnąć współpracowników czeskich, nie wątpię, że potrafiła-by to i Szanowna Redakcyja „Prac“ i pewnie nie bez skutku.

Tyle życzeń, płynących z głębokiej życzliwości dla publikacyi i uznania starań jej redaktora, ale zmierzających zarazem do rozwoju i udoskonalenia.

Dodajemy nakoniec, że jak każdy tom, tak i ten, zamyka dokładny wykaz wyrazów i nazwisk autorów, ułatwiający poszukiwania.

Frazeologia należy do tej części nauki o języku, która najlepiej cechuje jego indywidualność, odróżniając go nawet od najbliższych w rodzinie. Jest ona, możnaby powiedzieć, duszą języka; na niej to opiera się to poczucie poprawności językowej, które także „duchem języka“ nazywano. Są w niej szczegóły, których się nie można nauczyć, bo ich niema w żadnej gramatyce; trzeba je mieć we krwi, lub nabyć z lektury wyborowych pisarzy ojczystych. Słusznie też autor powyżej cytowanej książki podnosi znaczenie frazeologii, bo „na niej głównie oprze się w przyszłości znaczenia, czyli semazyologia“.

W miarę wpływów obcych, rozwoju latynizmów, gallicyzmów, germanizmów itp., język coraz więcej traci swój charakter; może pozostać cały skarb słownikarski — ciało, jeśli się zatraci poczucie—duch—język przestaje być sobą. Stąd to płynie z jednej strony usiłowanie szlachetnych mężów zachowania w języku owego ducha, stąd u ludzi dbałych o dobro pospolite odczuwanie potrzeby takiego „poradnika“, który-by przestrzegał przed błędnym, nie polskim zwrotem.

Wziąwszy książkę p. Krasnowolskiego do ręki, ucieszyliśmy się bardzo. A więc nareszcie! Będzie co wskazać pragnącym, będzie co podać w rękę uczącym się, najgorsza z najgorszych i najuporczywszych chorób znalazła środek zapobiegawczy. Im dalej jednak postępowaliśmy w studium książki, tem większy ogarniał nas żal do szan. autora, że nam taki zrobił zawód. Nie, to nie jest to, czegośmy wszyscy oczekiwali.

Już z samej przedmowy „Od autora“ widać, że szan. autor inaczej, a naszym zdaniem, nie właściwie pojmuje frazeologię. Nikt od frazeologii nie żąda „objaśnienia niezrozumiałego wyrazu lub wzrotu“, bo to rzecz słownika, ale też nie może poprzestać na „nasuwaniu piszącemu odpowiedniego wyrazu, którego nie zna, albo na razie sobie przypomnieć i zastosować nie umie“. To drugie to tylko jedna i mała część zadania, jakie ma spełnić frazeologia.

To jednostronne i ciasne pojęcie frazeologii poszło prawdopodobnie stąd, że autor obral sobie fałszywy punkt wyjścia: „podaję—pisze—frazeologię głównie przy rzeczowniku, przy czasownikach natomiast (!) wyliczam tylko słowa blizkoznaczące...“ Tymczasem—jak nie wątpię, i autorowi wiadomo—nierównie ważniejsze w zdaniu jest orzeczenie niż podmiot, a więc charakter zdania zależy w przeważnej mierze od słowa (verbum) a nie od rzeczownika; stąd poszło, że wszelkie

błędy przeciwko „duchowi“ języka mieszczą się prawie wyłącznie w t. zw. składni rzędu, tj. w tej części składni, która wyjaśnia naturę czasownika (przymiotnika) i przyimka włączeniu się z innymi częściami mowy.

Tu dopiero objawia się charakter języka, kiedy zestawimy te same myśli w dwu językach, widzi się zupełnie inne frazesy syntaktyczne! Tego jednak w omawianej książce napotykać mało, mniej więcej ledwo w czwartej części, i to mimochodem przy niektórych czasownikach.

I tak np. otwórzmy na chybił trafił książkę. Wzrok nasz pada na wyraz „łza“, gdzie czytamy:

„Ł z a. Łzy, gorzkie, gorące, krwawe, rzewne, rześiste. Łzy wzbierają, tryskają, puszczają się z oczu; kręcą się (zakręciły się) zabłysły, świecą komu w oczach; rzucają się, cisną się (do oczu); płyną, cieką, leją się; stanęły w oczach; padają (jak grad); émią wzrok; dławią kogo; stoczyły się po twarzy. Zbiera się komu na łzy. Łzy wylewać, ronić; połykać, tłumić; komu wyciskać, ocierać. Łzami się zalać; płakać rzewnemi, gorzkimi łzami; zrosić, skropić co łzami. Oczy zachodzą łzami (mgłą); głos nabrzmał łzami. We łzach tonąć. Śmiać się przez łzy. Czysty, jak łza“.

Jest tu rzeczy dużo, a niema frazeologii, a raczej jest jej część jedna. Przymiotników dodał autor do „łzy“, pięć. a czy nie można-by ich dodać jeszcze piętnaście? Doczegoż więc ma służyć ta „frazeologia“ przymiotników? Dalsze czasownikowe określenie „leż“ są przenośne lub proste, ale tego niema nigdzie zaznaczonego, tak jak przy ostatnim zwrocie, że to jest porównanie.

A wogólności czego się szukający, czy „początkujący“, czy starszy, czy „piszący“ z tego ustępu dowie, jakiego błędu uniknie, idąc za tym „poradnikiem?“ — Żadnego.

Otwórzmy gdzieindziej: „usterka“.

„U s t e r k a. s y n. ob. błąd. Drobną usterką“.

I koniec. Czego się czytelnik dowiedział? że „usterka“ jest synonimem błędu. i że się mówi „drobna usterka“ A „mała usterka“ nie? Owszem; a „wielka usterka?“ także, a więc i inne przymiotniki można dodać do tego rzeczownika? Można. Więc po cóż to „drobna“.

Natomiast nadarzyła się autorowi sposobność zaznaczenia choćby w nawiasie, że skoro „ta usterka“ to dopełnienie l. mn. „usterek“ nie „usterek ów“, jak się często czyta, i byłby tym małym dodatkiem ustrzegł piszącego od usterki.

Tymczasem autor główny nacisk położwszy na rzeczowniki traktuje obszernie synonimikę. I w tem stojąc niżej od ś. p. biskupa

Kraśińskiego. że nie podaje przykładów z autorów. Zapewne, że synonimy grają wybitną rolę we frazeologii; ale nie są wszystkim. Dla nich nie wolno zapominać o rzeczach ważniejszych i nie tylko w nawiasach należało podawać tu i owdzie: „germ., gall., rusyc.“, ale błędy te traktować szeroko i oprzeć twierdzenia na przykładach.

Niestety, brak przykładów jest najsłabszą stroną pracy autora. Rozumiemy, do jakich rozmiarów doszła-by książka, gdyby tylko mieściła przykłady wzorowe; ale tu nie chodzi o zestawienie wszystkich (te może zachować sobie autor), ale o wybranie z nich najwłaściwszych. Gdzie niema przykładów, tam się musi wierzyć na słowo autorowi, a to nie dobrze.

Oprócz synonimów szeroko traktuje autor wyrazy cudzoziemskie, wyjaśniając je swojskimi. Czy to należy do frazeologii? Już ciż w pewnej części tak, ale w takim razie należy do niej wszystko. A jeżeli się objaśnia wyraz obcy, trzeba dobrze się zastanowić, czy nie jest to wyrazem pojęcia innego, niż to które budzi wyraz polski. I tak np. „ranga=stopień“ to nie jest równoznaczne; podobnie „rebelia=bunt“. A co to jest „strefa“?—„gorąca, umiarkowana, zimna syn. pas“. I to wszystko.

Wiele znajdujemy wyrazów polskich podanych z prostym objaśnieniem, jakkolwiek podług przemowy autor tego czynić nie chciał.

Oto parę przykładów, przelotnie wybranych:

C h l u b a syn. zaszczyt (?).

G n ę b i ę syn. ciemnieć, nękać, uciskać.

M y l i ę s i ę, omylić się; syn. ob. oszukać się.

N i e u r o d z a j n y syn. jałowy, niepłodny.

Ależ to synonimy!—Dobrze. Wszak objaśniać wyraz można tylko synonimem, czy ja pomiędzy te wyrazy dam s y n. czy =.

Autor „Składni języka polskiego“, posiadającej tyle zalet, miał do dyspozycji materiał frazeologiczny w przykładach, ale go nie wyżył. Dał nam zamiast słownika „frazologicznego“ słowniczek synonimów i wyrazów obcych. Szanujemy każdą pracę, więc i tej do pewnego stopnia nie odmawiamy pożytku, niech nam jednak autor wybaczy, że nie znaleźliśmy w niej tego, czegośmy szukali, a do czego poważniał nas tytuł.

ROMAN ZAWILIŃSKI.

Dr Zofia Daszyńska-Golińska „Własność rolna w Galicyi“. Studium statystyczno-społeczne. Warszawa 1900 w 8-ce str. 65 i dwie mapki. Nakładem autorki.

W kraju, o tak wybitnie rolniczej fizyognomii, jak Galicya, jest rzeczą oczywistą, że kwestya rolna pierwszorzędne ma znaczenie. Te lub owe hasła polityki agrarnej stanowią zasadniczą podstawę tworzenia się stronnictw politycznych, te lub owe postulaty agrarne stanowią oś, około której obraca się cała walka o władzę społeczną i o wpływ społeczny.

Sprawa ta wywołała też bardzo liczną, jak na stosunki galicyjskie, literaturę. Wybitniejsze w niej stanowisko zajmie niewątpliwie rozprawa p. Daszyńskiej. Nie dlatego, jako-by fakta przez szan. autorkę przytoczone były nowe, bo faktów nowych obecnie żaden statystyk prywatny nie przytacza.

W części statystycznej autorka wskazuje też tylko na znany już z prac prof. T. Pilata zupełnie nieodpowiedny układ własności ziemskiej w Galicyi, gdzie połowa własności tabularnej należy do 161 właścicieli zaledwie, prowadzących przeważnie gospodarstwo leśne, właściwa zaś własność większa po za latyfundiami stanowi zaledwie trzecią część (33%), w tej własności tabularnej. Obie zaś te kategorie razem zajęły tak olbrzymią przestrzeń, że na własność tabularną średnią i małą zostaje zaledwie 17 morgów na 106. Własność włościańska zajmuje zaledwie 59.35% całego obszaru rolnego. W ostatnich latach trzydziestu przestrzeń ta wzrasta o 410,764 morgi, czyli o 3%. Pomimo to przecież, średni rozmiar zagrody włościańskiej spadł w roku 1892 do 44 morgów. Tembardziej godne to uwagi i tem mniej korzystne dla kraju, że wartość produkcyi rolniczej w Galicyi jest znacznie niższa, niż wartość produkcyi rolniczej w innych krajach austriackich.

Co do rozwoju kultury rolniczej, to rozwój ten postępował w kierunku zależnym bezpośrednio od wzrastającej ilości posiadaczy ziemi i zmniejszania się obszaru zagrody włościańskiej. Nie był on wszakże bynajmniej korzystnym. A jednak—mówi autorka—mamy w Europie przykłady, że wielkie rozdrobnienie własności prowadziło do tak intensywnej kultury, iż całe okolice we Francyi, w Badeńskiem, w Wirtembergii (a także w Belgii, o czem autorka wszakże

nie wspomina). przemieniła się w ogrody i pola roślin handlowych, a zamożność wzrastała szybko. Aby osiągnąć podobne rezultaty, musiała-by wszakże Galicya zmienić system swojej gospodarki. Uprawa czysto rolnicza staje się prawie niemożliwą przy rozdrobnieniu własności włościańskiej, tembardziej, że każda posiadłość rozpada się na wielką ilość parcel, które nie dochodzą często do 40 sążni, tak, że nawet na mapach katastralnych trudno je oznaczyć. Obok utworzenia taniego a dostępnego kredytu, w kierunku dalszego wydoskonalenia kas gminnych, zwłaszcza obok kommassacyi, której szerokie w praktyce stosowanie bardzo było-by pożądanem, potrzeba przede wszystkim rozpowszechnienia uprawy ogrodniczej i sadowniczej. Chłop francuski pod względem rozwoju umysłowego nie stoi wyżej od chłop galicyjskiego, choć przewyższa go zasobem wiadomości technicznych, które przy staraniach i pracy i u nas dadzą się rozpowszechnić. Otóż wieśniak francuski jest właściwym wytwórcą nasion, które w wielkiej liczbie rozsyła po Europie. Należało-by dalej zwrócić uwagę na przetwory owocowe i warzywne. Do rozpowszechnienia tych i innych gałęzi ogrodnictwa konieczną jest pomoc kraju i towarzystw ogrodniczych. Zorganizowane i wytrwałe usiłowania w postaci szkół ogrodniczych, nauki ogrodnictwa w szkole ludowej, sadów i ogrodów wzorowych, jakie-by mogły powstać u nauczycieli lub na gruntach gminnych, rozrzucanie broszur i pisemek itp., skierować-by mogły włościan na tę nową, a tak odpowiedną dla nich drogę. Natomiast bardzo gorąco, choć tylko na razie, oświadcza się autorka przeciw wszelkim projektom, dążącym do ograniczenia dowolności dzielenia gruntów włościańskich.

Projekt p. Daszyńskiej, podniesiony ubocznie lub nawiasowo już przez prof. T. Pilata w pracy o emigracji podolskiej, zasługuje niewątpliwie na baczną uwagę, choć nie ma może tak doniosłego i uniwersalnego prawie znaczenia, jak zdaje się sądzić autorka. Jak w wielu innych sprawach, tak i w sprawie reformy agrarnej strzedz się bowiem należy wszelkiej jednostronności, która, wobec niezmiernej komplikacyi wszelkich stosunków społecznych, zupełnie jest niewłaściwą.

DR ZYGMUNT GARGAS.

Kronika miesięczna.

Trzy lata istnieje w Warszawie Pogotowie ratunkowe, a już zdążyło dobrze zasłużyć się społeczeństwu.

Z ogłoszonego świeżo sprawozdania za czas od dnia 22 lipca 1897 roku dowiadujemy się, że w chwili obecnej Towarzystwo liczy 764 członków. Jest to bardzo mało i świadczy, że społeczeństwo nie rozumie jeszcze dobrze potrzeby popierania instytucji, dla siebie przeznaczonych, aczkolwiek ocenia ich pożytek i łatwo przyzwyczajają się do korzystania z ich usług.

Oto kilka cyfr, dotyczących w tym względzie Pogotowia:

W okresie sprawozdawczym wezwań ogółem było 16,315, z których przypada na godziny dzienne 12,007, na godziny zaś nocne 4,308.

Wypadków zachorowań nagłych było 4,437, między temi najwięcej epilepsji i histeryi.

Wypadków chirurgicznych było 9,912, między nimi ran od noża kłutych i ciętych 1,910, postrzałowych 58, ran tłuczonych, stłuczeń i zmiążdżeń 6,112, oparzeń 376, złamań kości 1,137, zwichnięć 294.

Porodów na ulicy było 104, przypadków obłąkania 59, zmarłych 310.

We wszystkich wypadkach powyższych pomoc udzielona była szybko i sprawnie. Do jakiej sprawności doszła organizacja Pogotowia, mieliśmy tego dowód w dniu smutnej katastrofy na kolei Wiedeńskiej, kiedy-to lekarze Pogotowia pierwsi znaleźli się na miejscu wypadku, i nie jedno może ocalili życie, przybywając w porę ze środkami opatrunkowemi.

Dalo to assumpt prasie codziennej do potępienia organizacji ratunkowej drogi żelaznej Wiedeńskiej, i rzucenia projektu wejścia Zarządów dróg żelaznych w stosunek stały z Pogotowiem. Projekt ten jest atoli niefortunny, bo Pogotowie przeznaczone jest dla Warszawy przedewszystkiem, i jeżeli może poza obrębem miasta działać, to tylko na przestrzeni nieznacznej. Jak obecnie, katastrofa wydarzyła się pod Włochami, w odległości czterech zaledwie wiorst od stacji głównej, a niemal że w obrębie stacji towarowej kolei Wiedeńskiej, łatwo więc było z jednej strony sygnalizować wypadek, a z drugiej przybyć Pogotowiu na miejsce w ciągu niespełna pół godziny. Gdyby jednak ta sama katastrofa przypadła na wiorst 50, 100 i t. d., najsprężystsza organizacja Pogotowia warszawskiego nie mogła-by iść w zawody z przestrzenią, którą, bądź co bądź, przebyć trzeba.

Zarząd drogi, korzystającej z usług Pogotowia, telefonem zawiadomił-by je o wypadku. Lekarze w ciągu kilkunastu minut znaleźć-by się mogli na dworcu, i stąd dopiero wyprawieni-by zostali po ciągiem sanitarnym na miejsce wypadku. Przejazd, niesienie pomocy i powrót zajęły-by kilkanaście godzin czasu, a może i dobę, przez którą Warszawa pozbawiona była-by pomocy doraźnej, ponieważ zaś już w obecnych stosunkach pomyśleć się to nie da, bo każda doba dostarcza kilkudziesięciu poważniejszych wypadków, więc podobna organizacja ratunkowa wymagałaby podwojenia, lub potrojenia, służby lekarskiej w Pogotowiu. Przypuściwszy nawet, że wynikły stąd wydatki kilkudziesięciu tysięcy rubli pokryją opłaty dróg żelaznych, co im się w żadnym razie opłacić nie może, bo będą musiały obok tego utrzymywać dzisiejsze oddziały sanitarne, Pogotowie nie będzie mogło współzawodniczyć z niesieniem pomocy na wszystkich liniach zbiegających się w Warszawie kolei, aż do ich stacji krańcowych z lekarską służbą oddziałową, która w znacznej większości wypadków wcześniej przybędzie na miejsce.

Słuszną na to uwagę zwraca jeden z lekarzy kolei Wiedeńskiej w „Kuryerze Warszawskim“, popierając wywody swoje przykładem, że jeżeli, dajmy na to, wypadek z pociągiem zdarzy się pomiędzy Skierniewicami, które są siedzibą III oddziału lekarskiego, a Piotrkowem, gdzie przebywa stałe oddział IV, to, zgodnie z obowiązującymi przepisami, oba te oddziały jednocześnie wyruszą na miejsce katastrofy, i mowy być nie może, aby wcześniej od nich przybyło Pogotowie warszawskie, choćby najlepiej zorganizowane i na każde wezwanie kolei gotowe.

Sprawa stałego stosunku kolei z Pogotowiem przedstawia się zatem w ten sposób, że, przyczyniając się w pewnym stopniu do utrzymania i rozwoju tej instytucji, będą one z usług jej korzystały o tyle, o ile nie stanie na przeszkodzie zbyt znaczna odległość od Warszawy. Podobnie jak wspiera dziś Pogotowie kolej Wiedeńska, wspierać powinny i drogi inne: Petersburska, Nadwiślańska i Terespolska. Poza tem zaś zorganizowanie służby ratunkowej pozostawić należy Zarządowi dróg żelaznych, które, niewątpliwie, acz smutnem dopiero nauzone doświadczeniem, nie będą szczędziły wydatków, ażeby organizację tę postawić na wysokości potrzeb.

Główną rzeczą będzie tu łatwość uruchomienia personelu lekarskiego, pociągi bowiem sanitarne zawsze stoją w pogotowiu, i na pierwsze wezwanie ruszyć mogą.

Lekarze kolejowi, jak wiadomo, nie poświęcają całego swojego czasu obowiązkom kolejowym, zajmują bowiem poza tem posady lekarzy fabrycznych, szkolnych i t. d., oraz trudnią się wolną praktyką. Wyszukanie ich przeto i wezwanie niemało zajmie czasu. Jeżeli katastrofa zajdzie w godzinach, w których funkcjonują tak zwane ambulatory, wówczas pół biedy; jeżeli zaś w godzinach popołudniowych, lub nocnych, to wprost niepodobieństwem będzie znaleźć i zawiadomić o wypadku choćby kilku lekarzy, zwłaszcza, że służba ruchu nie posiada nawet pod ręką adresów mieszkań lekarskich.

W rozwiązaniu kwestyi organizacyi „Pogotowia kolejowego“, nasuwają się przeto przy takim stanie rzeczy dwa postulaty:

1-o. Ambulatorya nie powinny się znajdować na mieście, jak to jest dotychczas, ale w obrębie stacyi głównej, lub w bezpośredniem jej sąsiedztwie. Poza godzinami urzędowemi powinien w nich zostawać na dyżurze przynajmniej jeden lekarz i jeden felczer, za osobną, prócz zwykłej, stałej pensyi, dopłatą od godziny dyżuru.

2-o. Mieszkania wszystkich lekarzy kolejowych powinny mieć obowiązkowe połączenie telefoniczne ze stacyą główną.

Pociągnie to za sobą zwiększenie wydatków na służbę zdrowia, ale ułatwi kolei w znacznym stopniu jej uruchomienie.

Obowiązek społeczny i zrozumienie własnego interesu w organizacji takiej powinny być myślą przewodnią. Nie sędzimy też, aby którykolwiek z Zarządów dróg żelaznych nie dołożył wszelkich starań do pomyślnego załatwienia kwestyi Pogotowia ratunkowego, przynajmniej na stacyach głównych, przedewszystkiem zaś oczekujemy tego od kolei Wiedeńskiej, która umiała sobie pozyskać największe zaufanie publiczności, i zapewne nadal utrzymać je w równym stopniu pragnie. Katastrofa w dniu 13 lipca niech będzie dla niej bodźcem do pracy szybkiej i wydatnej w tym kierunku.

Nauka nasza, która tworzyła się i tworzy pod wpływem Zachodu, nie zdołała dotychczas wytworzyć dla żadnej ze swoich gałęzi dobrej polskiej terminologii.

Jedna może matematyka posiada terminy rdzennie i szczerze polskie, dobrze oddające pojęcia i miłe dla ucha, jak luk, cięciwa, promień, różniczka, całka, potęga, pierwiastek i t. d.

Nauki przyrodnicze, medycyna, chemia, fizyka, zoologia, botanika, posługują się już znaczną ilością wyrazów obcych, nad których usunięciem próżno lamia sobie głowy ludzie fachowi.

Obecnie sprawa tak stoi, że, jak słusznie powiedział ktoś o chemii, nie ma ona jeszcze w kraju swojej historyi, jako nauka, ale ma już historję polskie słownictwo chemiczne, splątane dziś do tego stopnia, że chemik warszawski nie rozumie dobrze chemika z Galicyi, lub z Poznańskiego.

Podobnie rzecz stoi i z nazwami technicznymi, z tą różnicą, że nad ich spolszczeniem i ujednoczeniem pracowano dotychczas mało.

Życie przemysłowe, które tak gorączkowo rozwija się w wieku naszym, wysunęło na plan pierwszy nauki techniczne. Każdy niemal rok przynosi nowe wynalazki w dziedzinie techniki, daje nowe maszyny, nowe zastosowania sił nowych, wymaga całego szeregu słów nowych dla oddania pojęć, dotychczas człowiekowi obcych. Kują się wyrazy w wielkiej międzynarodowej kuźni nauki z najszlachetniejszych metalów łaciny i greczyzny i w takiej postaci w świat idą, przedstawiając nieraz dziwaczne połączenie i trudne do oddania dźwięki. Znane są powszechnie dwudziestokilkosylabowe terminy uczonych niemieckich, trudne do przyswojenia, lecz, niestety, zuane

są także obok tego krótkie i zwięzłe wyrazy obce, nazwy rozmaitych narzędzi, przyrządów, maszyn i ich części składowych, które, wzięte z języka obcego, przyjęły się i w powszechne weszły użycie. Walka z wyrazami tej kategorii jest daleko pilniejsza, aniżeli z temi, które wchodzą do słownictwa *par excellence* naukowego i służą nielicznej tylko stosunkowo garści ludzi. Wyraz obcy staje się niebezpiecznym dla języka dopiero wtedy, kiedy przechodzi do masy. Termin techniczny obcy nie przynosi językowi szkody, dopóki nim się posługuje intelligentny inżynier, ale skoro termin ten przejdzie do ust robotnika i w dodatku zostanie przystosowany do jego zdolności wymawiania, odpowiednio sfonetyzowany i, rzecz naturalna, przekrecony — wówczas zaśmiewa już język i powinien być z niego usunięty.

Sprawę usuwania takich terminów załatwić trudno, i jedyną odpowiednią do tego drogą jest wytworzenie dobrego słownictwa technicznego polskiego, którem-by posługiwać się mogła zarówno nauka teoretyczna, jako też i jej praktyczni pracownicy. Jeżeli polskim terminem posługiwać się będzie inżynier, to ten sam termin przejdzie od niego do robotnika i łatwo się przyjmie w masie.

Ale wytworzyć takiego słownictwa nie może jeden człowiek. Potrzeba do tego sił zbiorowych, współdziałania wszystkich, pracy wytrwałej kilku nieraz pokoleń.

Tę pracę rozpoczęła u nas właśnie redakcja „Przeglądu technicznego“. W 5-tym numerze pisma tego z roku bieżącego, czytaliśmy ogłoszenie o konkursie z zakresu słownictwa technicznego. Obecnie mamy już plon i rozstrzygnięcie tego konkursu.

Ze obudził on zainteresowanie znaczne w odpowiednich sferach, świadczy, że nadesłano prac 84, obejmujących różne działy techniki.

Z pośród tych prac nagrodę główną, rubli 200, przyznano pp. St. Nakielskiemu i S-ce w Łodzi. Autorowie nagrodzeni otrzymali również i nagrodę dodatkową (rubli 10) za jeden wyraz.

Nagrody takie, za wyrazy oddzielne, przyznane także pp. Teodorowi Blockowi z Brudowa w Kaliskiem. Karolowi Bończa Szukiewiczowi ze Lwowa, profesorowi Tadeuszowi Fidlerowi ze Lwowa, Hipolitowi Chwalibogowi z Mysłowa w Siedleckiem, Aleksandrowi Kossutnowi z Warszawy, d-rowsi Fr. Krćekowi ze Lwowa, Władysławowi Skwarczyńskiemu ze Lwowa, W. Szretterowi z Moskwy i Adamowi Trojanowskiemu z Myszkowa w Piotrkowskiem.

Konkurs taki to początek — i jeżeli ma przynieść rezultaty dodatnie, mowę naszą oczyścić i wzbogacić — powinien mieć ciągłość.

Technicy nasi nie należą do ludzi ubogich i łatwo im będzie zgromadzić fundusz, którego odsetki były-by obracane na nagrody. Fun-

dużym tym zawiadywać powinna redakcyja „Przeglądu Technicznego i stale ogłaszać konkursy w odstępach rocznych.

Z przytoczonego powyżej wykazu nagród widzimy, że sprawą słownictwa technicznego obok techników interesują się i językoznawcy zawodowi, jak dr Krček. Licniejszycy zastęp wciągnąć do tej pracy i wspólnymi siłami rozpalać coraz szerzej zamiłowanie do zastępowania wyrazów obcych swojskimi, — oto zadanie dla tych, co już dzisiaj stanęli do apelu.

Wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego ogłasza konkurs naukowy z ofiary p. Hipolita Wawelberga na prace w zakresie dziejów ludności żydowskiej.

Nagród ustanawia się d w i e: pierwszą w wysokości 600 koron, drugą 400 koron w. a.

Prace nagrodzone, wydrukowane kosztem funduszu konkursowego, zostają własnością autorów, a tylko 50 egzemplarzy ma być oddanych p. H. Wawelbergowi.

Jako nieprzekraczalny termin składania prac w dziekanacie Wydziału filozoficznego Uniwersytetu lwowskiego ustanawia się dzień 30 września 1901 roku.

W bliższem określeniu warunków, którym odpowiadać powinny nadesłane na konkurs prace, znajdujemy objaśnienie, że chodzi tu z jednej strony o zbadanie historyczno - porównawcze stosunku Rzeczypospolitej polskiej względem ludności żydowskiej, a mianowicie o uwydatnienie tych wyjątkowo sprzyjających, w porównaniu z innymi państwami, warunków wyższej tolerancji religijnej i politycznej w Polsce, które spowodowały wyjątkowe skupienie się ludności żydowskiej w obrębie Polski, a zarazem o wyświetlenie zarówno dodatnich, jako też ujemnych wyników takiego skupienia się, tak dla kraju, jako też dla rzeczonyj ludności. Z drugiej zaś strony chodzi o historyczne zbadanie wewnętrznego rozwoju ludności żydowskiej w Polsce, pod względem jej organizacyi wyznaniowej, administracyjnej, sądowniczej, podatkowej i t. p., jej rozsiadlenia się i ogniskowania po rozmaitych częściach kraju, jej zajęć i zawodów, szkolnictwa, pojęć religijnych i społecznych, przedewszystkiem zaś o wyświetlenie jej stosunku do całości i oddzielnych warstw i stanów narodu polskiego,

do krajowych spraw gospodarczych i politycznych, oraz oddziaływania na nią polskiej kultury krajowej w obyczajach, tradycjach, języku, stroju i t. p.

W szczególności chodzi o historyczne zbadanie wzajemnego stosunku pomiędzy krajem, a ludnością żydowską w okresie dziejów nowoczesnych, to jest, jaki był względem niej stosunek rządu, prawodawstwa i opinii publicznej polskiej w dobie Wielkiego Sejmku, Księstwa Warszawskiego, Królestwa kongresowego, aż do reformy Wielopolskiego włącznie; oraz, jaki był stosunek tejże ludności względem odpowiednich przesileni krajowych i jaka jej rola w czasach pomiędzy onemi przesileniami.

Chodzi również o zbadanie polityki trzech rządów: rosyjskiego, pruskiego i austriackiego wobec ludności żydowskiej ze szczególnem uwzględnieniem doby Mikołaja I i Aleksandra II, Fryderyka II i Fryderyków-Wilhelmów II i III. Józefa II i ks. Metternicha. *Tutaj zaś przede wszystkim zależy na wyjaśnieniu wpływu owych działań każdego z trzech rządów na wyodrębnienie się typu żyda galicyjskiego, poznańskiego, litewskiego i kongresowego z pierwotnego typu żyda polskiego, pod względem kulturalnym, gospodarczym i politycznym, mając na uwadze wyniki tego procesu dla spraw krajowych w każdej odpowiedniej dziedzinie.*

Podkreślamy to, jako rzecz nową, w dotychczasowych pracach z zakresu historii żydów w Polsce nieporuszaną i otwartą dla licznych jeszcze badaczy.

Dodać należy, że prace konkursowe nie są w niczem krępowane, ani pod względem swojego punktu wyjścia i wniosków, ani też pod względem rozmiarów. Mogą zajmować się wykładem stron bądź dodatkach, bądź też zgoła ujemnych w stanowisku dziejowo-politycznym ludności żydowskiej w Polsce. Mogą to być większe dzieła i krótsze rozprawy, muszą tylko nosić charakter ściśle źródłowy i naukowy. Mogą zresztą obejmować bądź całość przedmiotu, bądź też którąkolwiek jego część, a nawet w szczególności są pożądane opracowania monograficzne, dotyczące bądź pewnego okresu, bądź pewnego oddzielnego zjawiska, to jest pewnego zagadnienia historyczno-politycznego, historyczno-prawnego, historyczno-ekonomicznego, historyczno-statystycznego, lub historyczno-kulturalnego pewnej prowincyi, pewnej wydatniejszej gminy, pewnego aktu prawodawczego i t. p. w zakresie dziejów ludności żydowskiej w Polsce. Obok opracowań w równej mierze są dopuszczane w tym samym zakresie wydawnictwa dokumentów, aktów, wiadomości historyczno-statystycznych i t. p. przyczynków źródłowych, wydanych sposobem naukowym, to jest opatrzonych w stosowną przedmowę i objaśnienia krytyczne.

W końcu nadmieniamy, że konkurs ten ma na celu zachęcenie do studyów historycznych sił młodych, obok bowiem studentów uniwersytetów lwowskiego i krakowskiego, tudzież młodzieży akademickiej polskiej, przebywającej na innych uniwersytetach, konkurować mogą tylko ci badacze przeszłości narodowej, którzy w przeciągu ostatnich lat pięciu, to jest nie później, jak w roku 1895 studia uniwersyteckie ukończyli.

Prace konkursowe winny być pisane w języku polskim. Mogą być rękopiśmienne, bądź takie, które ukazały się w druku w ciągu upłynionego roku konkursowego.

Nie wątpimy, że konkurs ten znajdzie oddźwięk i u nas. Praca, nad tego rodzaju tematami, jak wyluszczone powyżej, zachęcająca jest zwłaszcza dla prawników. Młodzież nasza prawnicza tak mało pracuje naukowo, tak odlogiem zostawia niwę badań historycznych, że ją pod tym względem znacznie wyprzedzili prawnicy lwowscy i krakowscy. Tym razem powinna jednak i ona stanąć do apellu. Gruntowna wiedza prawnicza będzie tu doskonałym przewodnikiem w badaniach. Dobry historyk musi dziś posiadać przynajmniej elementarną znajomość prawa, bo się inaczej powikła zupełnie przy napotkaniu pierwszej kwestyi historyczno-prawnej, a nie uniknie jej. pracując nad „dziejami ludności żydowskiej w Polsce“. Prawnik natomiast bardzo łatwo zostać może historykiem, bo posiada metodę badań i krytycyzm, które przy pracy i umiłowaniu jej przedmiotu muszą go do pewnych, niechwiejnych wniosków doprowadzić.

Zadzwoniono u nas na alarm. Prasa podniosła sprawę grożącego nam braku księży. Ilość kandydatów do stanu kapłańskiego zmniejsza się z każdym rokiem. Oto cyfry, dotyczące seminarjum warszawskiego: w r. 1893 liczyło ono 127 uczniów, w r. b. tylko 97. Obecnie zapisało się tam 16 nowych kandydatów, z których jednakże tylko 8-iu okazało dostateczne przygotowanie. Nie lepiej rzecz się przedstawia i w seminarjach: kieleckim, płockim i sandomierskiem.

Gdzie są przyczyny tego zjawiska?

W „Słowie“ czytaliśmy niedawno gorący w tej sprawie artykuł, którego autor uderzył przedewszystkiem na zmateryalizowanie społeczeństwa dzisiejszego, które szuka w życiu nie już „chleba“, ale

„pasztetu“. Pogoń za pieniądzem, za zyskownem zajęciem oszołomiła wszystkich. Do stanu kapłańskiego młodzież garnie się niechętnie, bo nie zapewnia on jej takiego dobrobytu, jak handel np., lub przemysł. Dezercya odbywa się na korzyść szkół fachowych, które prędzej doprowadzają do pełnego złobu.

Takie mniej więcej jest rozumowanie autora powyższego artykułu.

Wątpić należy, czy w tem tkwi istotna przyczyna złego, złem bowiem jest niezaprzeczonem brak księży, którzy wobec ogromnej masy ludzi w naszym kraju mają do spełnienia obowiązek poważny i święty.

Ale ogólny brak kandydatów do seminarjów zależny jest od innych czynników, a najważniejszym z nich jest moralne wychowanie młodych pokoleń.

Młodzież uczy się dziś u nas wiele, lecz nie wychowuje się wcale. Kształcimy ją wyłącznie umysłowo, ale nie wychowujemy fizycznie, ani moralnie, nie dajemy jej żadnego ideału etycznego na drogę życia.

W takich warunkach reszty dokonywa już bardzo łatwo t. zw. „duch czasu“.

Obowiązek wychowania etycznego ciąży tymczasem, zarówno jak obowiązek nauczania, na rodzinie, na społeczeństwie i na szkole, jako instytucji społecznej.

Dzisiejsza rodzina „mieszczańska,“ bez tradycyi, bez oparcia o życie duchowe, zajęta, albo walką o byt i gromadzeniem grosza, albo używaniem nagromadzonego majątku, etycznie wychowywać nie może. Całe jej zadanie i działalność polega na czasowem chronieniu małoletnich przed zgorzeniem.

W szkole ster wychowania moralnego spoczywa w ręce katechety. Program atoli szkolny wskazuje tylko suchy, dogmatyczny wykład religii. Dwie godziny tygodniowo poświęcone na ten przedmiot w żadnym razie wystarczyć nie mogą. Jeżeli odrzucimy święta i wakacje, przyjmniemy średnio 40 tygodni szkolnych w roku, to otrzymamy 80 godzin religii dla każdej klasy. Klas takich w gimnazjum jest 8, mamy więc ogółem 640 godzin religii w okresie nauki szkolnej. Przez te 640 godzin żaden ksiądz nie jest w stanie 30 lub 40 chłopców etycznie wychować, może ich najwyżej przesłuchać z zadanej lekcji.

W szkole więc wychowania etycznego młodzież nie odbiera.

A społeczeństwo?

Społeczeństwo nasze dotychczas także nie jeszcze w tym kierunku nie czyni.

Są u nas zaledwie jednostki, które marzą o jakimś ruchu etycznym na wzór tego, co się tworzy i dzieje za granicą, ale marzenia te nie przedarły się jeszcze przez mgły przedświtowe.

Jeżeli przeto nie mamy dzisiaj ludzi z powołaniem kapłańskim, to jest to przedewszystkiem skutkiem braku odpowiedniego wychowania religijnego i etycznego. Tylko wychowanie takie może obudzić w młodzieży zapał i chęć do szczepienia wkoło siebie zasad i idei, które im dały równowagę w życiu, które się stały ich przewodnikami i karmią duchową. Wtedy znajdą się ludzie, którzy zrozumieją znaczenie stanu kapłańskiego i oddadzą mu się chętnie, bez widoków na chleb, dostatek i beztroskę.

Idźmy za przykładem krajów innych. wytwórzmy wśród siebie silny, zdrowy prąd etyczny, wprowadźmy go do wszystkich dziedzin naszego życia, otoczmy się atmosferą podniosłych ideałów moralnych i w atmosferze tej wychowajmy młodzież, a zło grożące pierzchnie przed nami lub zmaleje do takich rozmiarów, że się z niem liczyć nie będzie trzeba.

Przypomnijmy sobie, jak się zaczął z niczego prawie ruch etyczny w Ameryce, jak się rozrósł i do jakich wpływów poważnych doszedł dzisiaj.

Przypomnijmy sobie, jak garść ludzi dobrej woli z prof. Adlerem na czele, stawiała pierwsze kroki na tej chwastami porosłej ścieżynie, a jaką równą i szeroką drogą stąpa dzisiaj i ilu prowadzi za sobą.

Policzmy Towarzystwa etyczne w Anglii i zapoznajmy się z ich działalnością, zajrzyjmy do Francji, przeczytajmy doskonałą książkę p. Desjardins p. t. „Le devoir présent“, który tak silnie zaakcentował to, że można używać telefonu, a jednocześnie być barbarzyńcą, i do walki z barbarzyństwem wespół z innymi utworzył stowarzyszenie „Union pour l'action morale“. Spójrzmy na Włochy, które mają także swoje „Circolo etico sociale“, na Niemcy, Szwajcaryę, Skandynawię itd.

Uczyńmy to wszystko i rozważmy, czy zamiast biadać nad rozmaitemi brakami, nie lepiej wstąpić w ślady innych, budować i odbudowywać.

Gdyby księża nasi założyli w Warszawie Towarzystwo etyczne, szerzej oddziaływali na społeczeństwo, na rodzinę i na szkołę, w duchu wzniosłych i czystych prawd nauki Chrystusowej, gdyby urządzali dla młodzieży konferencye etyczne, zbliżali się do niej, nie jak nauczyciele, ale jak opiekunowie i przewodnicy z wyrozumieniem

wszelkich niepokojów i wątpień, które dziś tak wcześnie zaczynają umysły młode szarpać, zyskali-by sobie z pewnością niejednego adepta i wiernego towarzysza na później.

Dopóki jednak tego nie będzie, musimy utyskiwać na brak księży wogóle, a może przedewszystkiem i na brak dobrych księży.

Jesteśmy w pełni t. zw. Saison morte. Około 100,000 ludzi wyjechało z Warszawy, nad miastem rozpięta skrzydła swoje Nuda. Życie towarzyskie ustało. Ulica tylko tętni po dawnemu ruchem; czerni się tłumem przechodniów, turkoce powozami, rozlega nawoływaniem kolporterów „o krwawych zatargach chińskich“.

Kolporterzy ci, to drobiazg jeszcze, dzieci, które ledwie od ziemi odrosły, chłopcy od lat 7 do 10—12 najwyżej. Na ulicy się wychowują i z ulicy żyją. Lat temu kilka nie było ich jeszcze tyłu, ilu przewija się obecnie. Sprzedaż uliczna gazet rozwinęła się u nas bardzo, społeczeństwo dla zadośćuczynienia potrzebom swoim powołało do pracy cały zastęp roznosicieli. Rozmnożyli się--i już zaczęto na nich sarkać. Wystąpiono przeciw nim w imię moralności, bo chłopcy za bardzo dokazywali na ulicach: zabawiali publiczność chodzeniem na rękach, wywijaniem kozłów itd., demoralizowali się otrzymywaniem datków i naddatków, za śmiało i zbyt natarczywie napałowali pasażerów tramwajowych etc. Wywołało to specjalne rozporządzenia policyjne, które ogranicza wolność małych kolporterów i przedewszystkiem ustanawia minimum ich wieku. Nieletni, to jest nie mający lat 14 chłopiec nie może być już odtąd roznosicielem gazet.

Być może, iż uporządkuje to naszą kolporterję, da jej możność lepszego wyćwiczenia się, umiejętniejszego pełnienia obowiązków. Wyrostek 14—15-letni niewątpliwie z większą powagą spełni dane mu zlecenie, niż mały chłopczyna, a przedewszystkiem nie będzie dokazywał.

Dobrej kolporterji potrzeba nam bardzo, potrzeba nam jej zorganizowania, po prostu stworzenia. Czekajmy więc, a może będziemy ją mieli.

Nie zdaje nam się jednak wcale, ażeby usunięcie małych chłopców od zajęć kolporterskich uchroniło ich od demoralizacji. Ulica

wielkiego miasta jest ściekiem, do którego dostają się wszystkie trucizny moralne—to prawda, ale czy od wpływów tej ulicy pozbawienie zajęcia roznosiiciela zdoła go uwolnić? Przeciwnie, pozostanie on na ulicy i pozostanie na niej bez zatrudnienia i bez żadnej przed nikim odpowiedzialności za swoje postęпки. Wiadomą jest rzeczą, że pewna część dzieci warszawskich na ulicy żyje w ciągu lat i inaczej być nie może, bo ich bieda z domu wypędza. Jeżeli przeto pozbawiamy obecnie dzieci te możności zarobkowania nawet w tak prymitywny sposób, jak przez roznoszenie gazet, to pomyślmy o tem na seryo, co z niemi zrobić i gdzie je umieścić, żeby je nie tylko przed demoralizacją uchronić, ale i opieką moralną otoczyć. Inaczej ulica zrobi z nich daleko prędszej gorsze jednostki, niż zrobiła-by, gdyby pozostali roznosicielami.

Czy jednak pomyślmy? „Saison morte“ nie usposabia do tego wcale.

Odbija się on na wszystkim, a w tym roku jest może bardziej martwym, niżeli w latach poprzednich.

Martwota owa ogarnęła i nasze pisma codzienne.

Dzienniki czytamy, bo czytanie ich stało się nałogiem, potrzebą; ale znajdujemy w nich tak mało rzeczy, wartych czytania, że po przerzuceniu telegramów i wiadomości bieżących, odkładamy pismo z zupełnem przświadczeniem, że nam ono nic nie przyniosło.

Tak rzadko spotykamy się w piśmie codziennem z artykułem treści ekonomicznej, społecznej, literackiej, że zdaje się, iż redakcyje pism dojść musiały do przekonania, że prenumeratorowie nie pragną takich artykułów, że potrzebom ich wystarcza ta właśnie treść, jaką im podają, treść bardzo mdła, zaprawiona od czasu do czasu sensacyjnem doniesieniem o zajściu pomiędzy p. X lub Y w ogrodzie, restauracyi, lub teatrze, o wynikłym stąd pojedynku, o zawaleniu się domu, katastrofie kolejowej i t. d. I wtedy wiadomość taka, zamiast notatki na zwykłym miejscu lub poważnego przedstawienia, jeśli ma charakter nieszczęścia społecznego, podaje się tu w formie szpaltowego artykułu, pisanego z zacięciem nowellistycznym. Najbliższą nieraz rzecz podnosi się w ten sposób do wyżyny wypadku dnia, o którym wiedzieć powinni wszyscy i wszyscy sąd swój o nim wydać. Tymczasem tyle jest kwestyi innych, o których głucho, tyle spraw, cisnących się pod pióro i wymagających światła.

Pominąwszy już całą dziedzinę życia społecznego, prasa ma obowiązek informowania nas także o tem, co się dzieje w świecie umysłowym—o sztuce, literaturze i nauce. Z tych zakresów spotykamy artykułów bardzo mało. Rozważań z zakresu sztuki poprostu unikają nasze pisma, o ruchu naukowym nie informują nas wcale, o nowych

książkach, które wychodzą—dowiadujemy się z notatek bibliograficznych lub kilkonastowierszowych wzmianek. Wytrawnych artykułów krytycznych coraz mniej, pojawiają się one coraz później i nie starają wcale sięgnąć w głąb życia duchowego. Jak „rari nantes in gurgite vasto”—zabłysną czasem felietony z pod piór lepszych, pisane z werwą i dowcipem, ale i tych coraz rzadziej, i na nich znać coraz bardziej trud i wymuszoność, robotę znużoną, dziennikarską.

Świadczyło-by to o ogromnym upadku u nas sił dziennikarsko-literackich, oraz o zupełnej nieudolności redakcyi zgrupowania dokoła pisma ludzi z talentem i wykształceniem.

Zdaje się, że jedno i drugie blizkie jest prawdy. Dziennikarz nasz jest do wszystkiego, pismo zapełnia się materiałem lekkim i tańszym, reporter w nim króluje, współpracownictwa piór cięższych i specjalnych nie szuka się wcale.

A przecież większość czytelników nie ubiega się w pismach li tylko za odpowiedzią na stereotypowe pytanie, co nowego? za sensacją i silnemi wzruszeniami, ale pragnie mieć wyświetlone w nich także te kwestye, których sama wyświetlić nie może.

Przy naszym ubóstwie, które tylko mniejszości pozwala na prenumerowanie obok dziennika pism innych, jednego przynajmniej tygodnika i miesięcznika, na kupowanie książek i informowanie się bezpośrednio o ruchu umysłowym. przy tem ubóstwie, które sprawia, że wydawnictwa książek poważnych leżą u nas latami na półkach księgarskich i potem sprzedają się antykwaryuszom za bezcen lub idą na makulaturę, prasa codzienna ma poważny obowiązek nauczania i nie może ona iść za przykładem tego, co dzieje się na zachodzie, gdzie ludzie prenumerują pisma specjalne i kupują książki, ale nieść powinna światło i wiedzę pod postacią odpowiednio dobranych, gruntownych artykułów społecznych, naukowych i literackich. Powinna ona mieć także na względzie prowincję, dla której Warszawa jest ogniskiem życia i która z niej czerpie wszystko dla zaspokojenia swych potrzeb.

Pisma nasze redagują się tymczasem specjalnie dla Warszawy i to dla pewnej kategorii jej mieszkańców, która żyje bardzo powierzchownie, zajęta jest pogonią za dobrobytem. a ze świata myśli skwitowała zupełnie. Wobec nich dziennik pojmuje się jako przedsiębiorstwo mniej lub więcej korzystne, a nie jako placówka i zagon pracy obywatelskiej.

Saison morte niedługo się skończy. Miasto ocknie się i ożywi, wrzesień zgromadzi młodzież szkolną, ruch się wzmoże, będziemy mieli wyścigi jesienne i totalizatora, zapulsuje życie towarzyskie,

odświeży się repertuar teatrów, zaczną się w ślad za tem zabawy, rauty, five o'clock'i i t. d., ale oby się skończył także kiedyś i sezon martwy dla naszej prasy codziennej.

Towarzystwo żeglugi parowej na Wiśle pod firmą, M. Fajans, urządziło w r. b. kilka już wycieczek, które, nawet pomimo niezupełnie odpowiedniej pogody, cieszyły się powodzeniem u szerszej publiczności. Dość liczne grono turystów zwiedzało Płock, Czersk i Górę Kalwaryę, a zapowiedziane wycieczki w górę rzeki—do Sandomierza będą zapewne uwieńczeniem dotychczasowych w tym kierunku zabiegów nielicznej jeszcze garstki propagatorów wycieczek po kraju.

Z czasem zapewne zawiąże się u nas towarzystwo turystów i w całym społeczeństwie rozwinie się zamiłowanie do zwiedzania stron ojezystych. Ci, co po nas przyjdą, będą niewątpliwie lepiej znali kraj własny, niżeli my go znamy, a korzystając z licznych ułatwień, w młodym wieku będą mogli rozpoczynać po nim podróże.

Zanim to jednak nastąpi, może-by za przykładem p. Fajansa, poszły zarządy naszych dróg żelaznych i wyprawiały w ciągu lata po 2—3 pociągi specjalne dla turystów, chociaż-by tylko do główniejszych miast, przy ich linii położonych, podobnie jak kolej wiedeńska wyprawia pociągi odpustowe do Częstochowy.

Wśród mieszkańców Warszawy tylu jeszcze naliczyć można takich, którzy poza obręb miasta nie wyruszyli nigdy, którzy nie znają nawet żadnego miasta gubernialnego. Tymczasem miasta te, z wyjątkiem jednego Kalisza, mają dziś połączenie kolejowe z Warszawą, a i Kalisz otrzyma je niebawem. Nietrudno więc dostać się do nich.

Gdyby tak kolej wiedeńska zgodziła się na wyprawianie pociągu po cenach niżonych do Piotrkowa, który jako dawny gród trybunalski zasługuje na poznanie, i w porozumieniu z koleją fabryczno-łódzką, do Łodzi; kolej Nadwiślańska do Lublina, Petersburska do Suwałk i ku Łomży, Terespolska do Siedlec, Iwangrodzka zaś do Radomia i Kielc, to mielibyśmy ułatwione zwiedzenie 7 miast gubernialnych—i ze wszech miar ciekawej do zobaczenia Łodzi. Zostawał-

by tylko Płock, do którego można dojechać Wisłą, i Kalisz, który za trzy lata będziemy mogli oglądać swobodnie z łaski nowej kolei.

A ilu znalazło-by się chętnych do zwiedzania tych miast wśród młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej, tego dowodzić nie trzeba. Dla niejednego wydatek kilku rubli na kolej jest dziś przeszkodą, ale gdyby ta kolej zniżyła opłatę do 25[!], tak jak niegdyś płacili za bilety studenci—pociągi dla turystów na brak frekwencji z pewnością-by nie narzekały. Zresztą, powtarzamy, że idzie tu o 2—3 pociągi do roku, a najlepiej oczywiście w miesiącach letnich.

Może projekt ten znajdzie odgłos w sferach właściwych.

Wiadomości bibliograficzne.

— Dnia 28 czerwca b. r. odbyło się w Krakowskiej Akademii Umiejętności posiedzenie Kommissyi historii sztuki pod przewodnictwem profesora d-ra Maryana Sokołowskiego.

Przewodniczący na wstępie poświęcił gorące wspomnienie bolesnej stracie, którą Kommissya poniosła przez śmierć swego wice-prezesa, ś. p. Władysława Łuszekkiewicza, tak czynnego i gorliwego współpracownika Kommissyi od początku jej istnienia, a zarazem jej założyciela.

W dalszym ciągu prof. Maryan Sokołowski zwrócił uwagę na bibliotekę katedry plockiej, o której cennyh zbiorach daje wyobrażenie praca p. Matiasa Bersohna, a przedewszystkiem na zapiski w kodeksie z XII wieku, odnoszące się do cudów, które w katedrze plockiej zdarzyły się w roku 1148. Cuda te rzucają światło na ówczesne stosunki, a głównie na postać biskupa plockiego, Aleksandra, tak wybitną i zasłużoną w dziejach naszej kultury, poczem przewodniczący przedstawił Kommissyi nową publikację tegoż samego autora;

„O iluminowanych rękopisach polskich“, poświęconą Uniwersytetowi Jagiellońskiemu z okazji pięćsetnego jubileuszu. Tenże przedstawił fotografie, nadesłane przez pana Janowskiego z Warszawy, zdjęte z kościoła i kollegiaty w Łasku, a zarazem ze znajdujących się w jej zbiorach zabytków. Są tam bardzo piękne kancyonały i antyfonarze, a niektóre ich karty zdobią herby Łaskich, oprócz tego złotnicze wyroby, z których na uwagę przedewszystkiem zasługują starannie i pięknie wykonane monstrancje. Ciekawą jest także misa bronzowa z Brzeźnicy, z której fotografię również nadesłał p. Janowski.

Największy jednak budzi interes tablica erekcyjna kościoła w Lubrańcu, wystawionego przez Grzegorza z Lubrańca, kanclerza koronnego w ostatnich latach panowania Kazimierza Jagiellończyka, a ozdobionego przez jego wnuka, Jana, biskupa poznańskiego (1498—1520) herbu Godziemba, o której bliższą wiadomość i fotografię nadesłał Kommissyi dr Franciszek Chłapowski. Na tablicy tej widzimy, jak to podnosi profesor Piekosiński, rzadkie przedstawienie kanclerza z tłokiem pieczętnym, wiszącym na łańcuszku.

Profesor Maryan Sokołowski podał wiadomość o studiach zagranicznych uczonych nad księgami liturgicznymi XI i XII wieku, mieszczącymi się w czeskich i polskich zbiorach, a przedewszystkiem o zamierzonej przez czeską Akademię publikaeyi miniatur, które te kodeksy obficie zdobią. D-r Swarzeneki nadesłał fotografie jednego z kodeksów ratysbońskich, które mają ten sam charakter, co sławny kodeks wyszehradzki w Pradze. M-r Lebner zaś przygotowuje wydanie tak kodeksu wyszehradzkiego, jak polskich kodeksów, jemu pokrewnych.

W końcu zwrócił profesor M. Sokołowski uwagę na miniaturę jednego z gradułów biblioteki kapitulnej krakowskiej, i wykazał, że mieści ona nie portret króla Kazimierza Jagiellończyka, przyjmującego posłów miast pruskich, jak twierdził Polkowski i jak dotychczas sądzono, ale jest kopią ryciny niemieckiej, przedstawiającej sąd Salomona, a wykonanej przez Franciszka von Rocholdt, czy też Israela von Mekenen.

— „Dziejów ilustrowanych“, wydawanych w Wiedniu nakładem Franciszka Bondego pod redakcyą d-ra Ludwika Kubali, wyszły zeszyty od 341 do 364 włącznie, i zawierają: dalszy ciąg i dokończenie czasów średniowiecznych (tom II), oraz czasy starożytne (tom IV).

— „Prawo spadkowe Hebrajczyków i Indów“. Taki ma tytuł studjum, opracowane przez d-ra Stanisława Szachowskiego, nadzwyczajnego profesora Uniwersytetu lwowskiego i wydane we Lwowie.

— Interesujący przyczynek do naszego średniowiecza napisał dr Antoni Karbowski, pod tytułem: „Szkoła katedralna krakowska w wiekach średnich“. Pracę tę wydała Spółka wydawnicza polska w Krakowie.

— Trzeci zeszyt „Przeglądu Filozoficznego“ wypełnia w większej części „Energietyka“, studyum, podpisane trzema nazwiskami: profesora d-ra H. Struvego, d-ra W. M. Kozłowskiego i d-ra J. Kodisową.

— „Biblioteki neo - scholastycznej“ D. Merciera wyszedł zeszyt 3-ci, mieszczący dalszy ciąg historii psychologii nowożytnej.

— Ksiądz M. Godlewski, profesor seminarium warszawskiego, wydał 9-ty zeszyt tomu I-go „Archeologii biblijnej“, opartej na ostatnich archeologicznych odkryciach na Wschodzie.

— Trzeci zeszyt miesięcznika „Wisła“ wyszedł z druku i zawiera: W. Makowskiego: „Dożycie“; S. Udział: „Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego“; B. Bruchnalskiej: „Pieśni ludowe z pod Krzeszowic“; G. Smólskiego: „Z wycieczki na Mazowsze Pruskie“; M. Kucza: „Łupicha Kupicha“; W. Nalkowskiego: „Kronika geograficzna“; H. Łopacińskiego: „Rycerze przy grobie Chrystusa“; K. Radosławskiego: „Pieśni ludowe z Orońska“; A. Janowskiego: „Rysunki z piasku przed chatą“; R. Libentalowej: „Przesady żydowskie“; Włoka Stefanowicza Karadzieza: „Pieśni serbskie“; poszukiwania, sprawozdania, krytyki i przegląd czasopism.

— Jako oddzielna z pomienionego zeszytu „Wisły“ nadbitka wyszła rzecz o „metodyce aforystycznej“ przez M. Massoniusa i E. Majewskiego.

— P. Kazimierz Rakowiecki wydał broszurkę (odbitka ze „Zdrowia“) pod tytułem: „Mieszkania ludności wiejskiej“.

— „Rodzina Kruków“ (*Corvinae*) w mowie, pojęciach i praktykach ludu polskiego“ opracował Erazm Majewski przy współudziale Szczyńskiego i d-ra Józefa Saneckiego. Jest to również odbitka z XIV tomu „Wisły“.

— W formie dodatku do „Przeglądu technicznego“ wyszło „Słownictwo polskie“ Antoniego Grabowskiego. Rzecz ta była przedstawiona w imieniu chemików warszawskich pod obrady IX Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie przez Bronisława Znatowicza, przewodniczącego Sekcji chemicznej.

— Tom II „Pogadanki rolniczych“ na które składają się wykłady popularne, wygłoszone w sekcji rolnej Warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, rozpoczął się od rozpraw „o uprawie łąk“. Broszura stanowi dodatek do „Gazety rolniczej“.

— Dr St. Ciecchanowski napisał broszurkę pod tytułem: „Dżuma“, i przeznaczył dochód ze sprzedaży na cel dobroczynny.

— „Biblioteka dzieł wyborowych“ wydała pierwszy tom powieści historycznej Mikołaja Josika, z węgierskiego przez Antoniego Langego tłumaczonej, pod tytułem: „Ostatni Batory“ i Edmunda Planchut'a pracę, pod tytułem „Chiny i Chińczycy“ w przekładzie H. Michałowskiego.

— „Gazeta Polska“ pilnując się aktualności, drukuje również L. Barda rzecz o Chinach, pod tytułem: „Chińczycy u siebie“. Jest to tłumaczenie z francuskiego, wypuszczane tomami w seryi dodatków bezpłatnych.

— Po zmarłym niedawno artyście scen: warszawskiej, krakowskiej i lwowskiej i byłym dyrektorzem szkoły dramatycznej w Warszawie, Anastazym Trapszo, została książka, pod tytułem: „Podręcznik sztuki dramatycznej dla artystów i amatorów“, którą obecnie wydała Spółka wydawnicza polska w Krakowie. Jest to już drugie dzieło, poświęcone teorii i praktyce sztuki dramatycznej (mamy tu na myśli książkę p. Mikulskiego); obie będą przedmiotem porównawczej oceny.

— Zeszyt VIII „Albumu sztuki polskiej“ zawiera dalszy ciąg seryi I, obejmującej „Wystawę retrospektywną“ 1898 roku, w opracowaniu Henryka Piątkowskiego. Zeszyt, podający reprodukcje obrazów i rysunków Łuskiiny, Kondratowicza, Masłowskiego, Grottgera, Andriollego, Lipińskiego, Michałowskiego, Chlebowskiego, Kamińskiego i innych, nie ustępuje poprzednim pod względem tekstu i ilustracji. Jest to wydawnictwo, prowadzone z gustem.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

Michał książę Radziwiłł.

Agenor hr. Gołuchowski

w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859).

(Sprawy ekonomiczne).

W monografii obejmującej całą działalność hr. Gołuchowskiego, mianowicie: trzykrotne rządy w kraju, na rozdział, poświęcony sprawom ekonomicznym, złoży się materiał bardzo obfity, szeregiem stwarzanych instytucji i dokonanych urzędzeń w oczy bijący i dla każdego dostępny.

W pracy niniejszej, obejmującej pierwszy okres rządów hr. Gołuchowskiego, ze sprawami ekonomicznymi rzecz się ma podobnie, jak z politycznymi w ścisłym tego słowa znaczeniu. Ogólna sytuacja państwa i kraju była w tym okresie tak trudna, że i na tem polu nie można było myśleć o samodzielnej akcji w [szerszym zakresie, o inicjatywie, wychodzącej poza ramy wniosku, w biurokratycznym tego słowa znaczeniu, czyli, mówiąc językiem urzędniczym, poza ramy „szacownego materiału“, w znacznej części skazanego na to, aby stanowiął tylko dekorację archiwalną.

Nie chcemy jednak przez to powiedzieć, że dla ekonomicznej doli kraju pierwszy okres rządów hr. Gołuchowskiego nie miał znaczenia tak wybitnego, jak w innych zakresach.

Działalność hr. Gołuchowskiego na tem polu miała owszem znaczenie bardzo doniosłe, tak dla położenia kraju w danej chwili, jak i dla jego przyszłości pod względem ekonomicznym. Trzeba ją jednak ocenić ze stanowiska w owczesnych stosunkach jedynie słusznego i trafnego, ze stanowiska negatywnej akcji, polegającej na odwracaniu ciosów, które, czy to z winy centralnego rządu w Wiedniu, działającego pod wpływem błędnej informacyi lub nawet nie bez intencji nieżyczliwych, czy to za sprawą ogólnych stosunków, godziły w ciężko skolatany organizm kraju, podkopywały jego siłę odporną, już w poprzednim smutnym i burzliwym okresie tak ciężko nadwreżoną.

Po części tylko, jak np. w sprawach fundacyjnych, które niejednokrotnie wypadło wziąć w obronę nawet wobec skarbu państwa, zawsze zachłonnego już według aforyzmu starorzynskiego (*fiscus semper rapax*), działalność hr. Gołuchowskiego w tym kierunku była w swoim czasie powszechnie znaną i uznawaną. Inne sprawy jednak pokrywa taka sama ciemnica, jak polityczną stronę działalności Namiestnika.

Jakiem było położenie ekonomiczne Galicyi w chwili objęcia rządów przez hr. Gołuchowskiego? Od tego pytania zacząć należy, bo sama odpowiedź najlepiej wykaże, jakim dobrodziejstwem było to dla kraju, że w chwili dlań najkrytyczniejszej losy postawiły na najczelniejszym stanowisku obywatela znajdującego sytuację, a tem samym trafnie oceniającego doniosłość już samej akcji, w danej chwili niewdzięcznej, bo nieolśniewającej doraźnemi, dotykalnemi wynikami; ale za to stanowiącej wobec dzisiejszego pokolenia godny historycznego utrwalenia tytuł do wdzięczności.

Położenie ekonomiczne w Galicyi było w dobie tą pracą objętej tak smutnej, że nawet przy dobieraniu najciemniejszych barw w określeniu ogólnego obrazu nie trzeba się obawiać przesady.

Że Galicya była w rzędzie prowincyi austriackich kopciuszkiem, trzymanym przez biurokracyę starej daty na szarym końcu i wysuwany na pierwszy plan, albo raczej na pierwszy ogień tylko wtedy, gdy, jak to historia ustawodawstwa cywilnego i karnego austriackiego przykładami objaśnia, chodziło o pole doświadczałne, o zrobienie takiej próby, jaką się robi na obojętnych przedmiotach badań wiwisekcyjnych,—to rzecz wiadoma, to ogólnik historyczny, dziś już nie zaprzeczany nawet przez centralistycznych epigonów tej biurokracyi, lecz tylko w razie przypomnienia w uroczystej formie,

naprzykład w Radzie państwa, zaklinany przez nich, jak upiór, przez odwoływanie się do lojalności dzisiejszego pokolenia polskiego w Galicyi.

Ale sam fakt, że Galicya była w oczach biurokracyi staro-austryackiej kopciuszką pomiędzy innymi krajami państwa, jeszcze niedostatecznie określa rozpaczliwość położenia. Gdyby bowiem wszystkie inne prowincye doznały były na sobie dobrodziejstw racjonalnej i troskliwej administracyi, to kopciuszek-Galicya mogła-by tylko żalić się, że była wtedy upośledzona co do miary tych dobrodziejstw, że było gorzej albo mniej dobrze niż innym krajom.

Tymczasem rzecz się tak ma, że wszystkim prowincjom austryackim było źle, nawet bardzo źle, zwłaszcza w okresie bezpośrednio poprzedzającym rewolucyę z r. 1848, za owych pamiętnych czasów cesarza Franciszka I, kiedy-to niedbalstwo w administracyi państwowej, postępującej niejako według maksymy „sit quia fuit,“ nie tylko pozostawiało wszystko odlogiem, lecz nawet paraliżowało wszelką śmielszą akcyę lub inicjatywę, dobywającą się z łona samego społeczeństwa.

W takim przedstawieniu sytuacji przedrewolucyjnej dziś zgodni są wszyscy historycy austryaccy.

To też w każdym głębszem badaniu stosunków, które w naturalnym rozwoju doprowadzić musiały do kataklizmu i rzeczywiście doprowadziły do wybuchu rewolucyjnego, nieudolność staro-austryackiego systemu biurokratycznego, szczególnie w zakresie stosunków finansowych i ekonomicznych, wymieniana bywa między przyczynami katastrofy lub nawet wysuwana jest na pierwszy plan przed innymi, np. w klasycznym dziele A. Springera („Geschichte seit den Wiener Frieden 1809“).

System Metternichowski w innych prowincyach austryackich wiódł do bezwładności w życiu politycznym i umysłowym, ale zresztą zachowywał dążność ściśle konserwatywną nawet w stosunkach pańszczyźnianych, ograniczając pod tym względem reformy tylko do takiej miary ulg, jakiej wymagały niedające się już doszczętnie wypełnić tradycye rządu cesarza Józefa I i względy humanitarne.

W Galicyi natomiast, w tym dla stosunków ekonomicznych i społecznych kraju rolniczego najważniejszym dziale administracyi, dążność zachowawcza objawiała się tylko na pozór i o tyle, o ile nie chciało stworzyć precedensu niebezpiecznego dla innych prowincyi, lub fermentu, który-by mógł działać poza obrębem Galicyi. W gruncie rzeczy jednak rozwinął się na tem polu w Galicyi system z pozorów tylko konserwatywny, a w ostatecznych wynikach i celach radykalny, niemal anarchiczny.

Skoro raz uznano Galicyę za ognisko wiecznych spisków i kno-
wań rewolucyjnych, polskość za wcielenie ducha rewolucyjnego,
a szlachtę za rdzeń polskości, biurokracya, postępująca w duchu sy-
stemu Metternichowskiego, uważała za swój święty obowiązek utrzy-
manie stosunków między włościanami i dziedzicami w stanie ciągłego
poważnienia i podrażnienia.

Że to wiodło do podkopania bytu materialnego szlachty, to
rzecz naturalna, to przewidywano i tego sobie życzone w sferach biu-
rokracyi niemiecko - galicyjskiej, kierowanej przez osławionego
w r. 1846 prezydenta gubernialnego we Lwowie, hr. Kriega. Ale, że
wobec ścisłej łączności doli obu stron wyniknąć stąd musi w następ-
stwie także upadek materialny włościanstwa i że—co gorsza—takie
systematyczne podkopywanie bytu i powagi dziedziców w ówczesnym
ustroju administracyi patrymonialnej łączyć się musi nierozdzielnie
z podkopywaniem powagi najniższej w tym ustroju, więc dla porząd-
ku społecznego najważniejszej władzy, tego krótkowidząca, czy za-
slepiona w swojej nienawiści biurokracya gubernialna i okręgowa do-
strzedz nie mogła czy niechciała. Ocknęła się dopiero po katastrofie
r. 1846, gdy bezsilna wobec rozpasanych band rozbójniczych Szeli,
Korygi itp., nie mogła obronić ani własnej, ani prawa powagi, a nę-
dza, po wsiach, zwłaszcza w zachodniej Galicyi, panująca, doszła do
tego stopnia, iż nie tylko ludzie marli z głodu po drogach publicznych,
lecz nawet zdarzyły się w kraju — *horribile dictu* w połowie XIX
wieku—wypadki kanibalizmu.

Jeden taki wypadek został urzędownie stwierdzony, a był tak
grozą przejmujący w swoich szczegółach, że go nawet w aktach urzęd-
owych ani ukryć, ani upiększyć nie próbowano. Wydarzył się on
we wsi Meszna szlachecka koło Tuchowa w lutym 1847 r. W jednym
domu włościańskim tej miejscowości dziecko umarło z głodu, a rodzeń-
stwo jego było tak zgłodniałe, że rzuciło się na trupa i pożarło go
w sposób zwierzęcy.

Starosta Tarnowski doniósł o tem (23 lutego 1847) gubernium
lwowskiemu i przedstawił przytem stan całego obwodu w tak ponu-
rem świetle, że można się było obawiać najdzikszych wybryków ze
strony zgłodniałej ludności.

Doraźna pomoc, którą starosta z funduszków rządowych i z re-
kwizycyi z wyludnionych i po rzezi jeszcze nie zagospodarowanych
dworów wydobył, tonęła jak kropla wody w tem morzu nędzy. Jeszcze
w cztery miesiące po powyższej relacyi (22 czerwca 1847), pisał sta-
rosta tarnowski do gubernium, że wygłodzeni ludzie ze wsi wloką
się o resztkach sił do miasta i giną po drodze, zanim się pomocy do-
czekają.

Dalsze wypadki kanibalizmu głodowego, który się oparł o sądy, stwierdza baron Kalchberg, w tych czasach generalny dyrektor szląsko-galicyjskich dóbr arcyksiążęcych, potem prezydent rządu krajowego na Szląsku, a wreszcie wice-prezydent namiestnictwa lwowskiego.

„Gdy raz spehniając mój obowiązek urzędowy — pisze br. Kalchberg w swoich pamiętnikach („Mein politischer Glaubensbekenntniss in Gedenklättern aus einer achtzigjährigen Pilgerfahrt“) zwiędzałem prowincjonalny zakład karny we Lwowie, przedstawiono mi chłopaka około 18 letniego. Był to blondyn doskonale wyglądający, o łagodnym wyrazie twarzy, dobrze zbudowany i, jak się zdawało, także umysłowo nieupośledzony. W zachowaniu swoim nie był ani skryty ani krynabrny lub gwałtowny. W więzieniu zachowanie się jego było nienaganne. Zapytywałem chłopaka, jaką zbrodnię popełnił, i otrzymałem odpowiedź, że w roku głodowym (1847), gdy, jako pastuch, strzegł bydła gminy w polu, zarznął swojego cztereletniego brata, ciało jego pokrajał w kawalki, częściowo upiekł i zjadł potem.

W Sądowej Wiszni matka upiekła swoje dziecko i próbowała je zjeść, ale ciało wydało się jej zbyt słodkie. Ta kobieta umarła w więzieniu, a sądzę i spodziewam się, że nie była umysłowo zdrową“.

Pod względem grozy graniczą z kanibalizmem głodowym następujące dalsze zapiski br. Kalchberga: „Pewna matka zaniósła swoją siedmioletnią córeczkę do trupiarni i nie chciała jej stamtąd zabrać do domu, bo skoro i tam musiała-by umrzeć, to lepiej dla niej, jeżeli skończy w trupiarni na ziemi poświęconej. Spotkałem raz jadącego wozem chłopaka, który siedział na trumnie i gwizdząc wesoło popędzał konie. Zapytałem go, co też w trumnie wiezie? — Moją matkę, — odpowiedział — którą głód zabił. — Po tej odpowiedzi zaczął dalej gwizdać.“

Z pamiętników br. Kalchberga można-by jeszcze przytoczyć cały szereg szczegółów grozą przejmujących, np. opowiadanie o trupach nieopgrzebanych, które w podróży swojej spotykał na drogach w powiecie Żywieckim i Wadowickim, o ludziach z głodu po drodze ginących itd.

Ale wracamy do źródła archiwalnego, które już bez oglądania się na inne świadectwa informacyjne zawiera aż nadto wiele materiału do skreślenia obrazu ekonomicznej sytuacji Galicyi, przed przyjęciem hr. Gołuchowskiego do steru rządów krajowych.

O tym samym czasie (1847) otrzymało gubernium galicyjskie z powiatów zachodnich, mianowicie z Wadowickiego, cały szereg zatrważających relacji. Z Makowa doniesiono, że tłumy ludzi wygłodzonych zalegają drogi do miasta i ulice w mieście, że słabsi umiera-

ją z głodu tak licznie, iż trupy leżą na cmentarzu całymi dniami nie-pogrzebane.

Dopiero za wdaniem się władzy zaczęto wapnem zasypywać i grzebać trupy, a tymczasem wybuchły różne choroby i epidemie do-koła ludność dziesiątkujące.

Z Oswięcimia straż skarbowa doniosła w lipcu 1847, że ludność głodem dotknięta burzy się i chce samowładnie zamknąć wywóz zbo-ża. Pruscy żydzi wyzyskiwali to położenie ludności i sprzedawali korzec zboża po 25—40 zł., na co oczywiście tylko najmożniejsi mogli sobie pozwolić.

W Białej głód, wywołany brakiem zboża w szeregach robotni-czych, zwiększających się nieustannie napływem obcych indywiduów do pracy, wywoływał zastój w całym przemyśle i spowodził tak niepo-kojący stan bezpieczeństwa publicznego, że ludność miejscowa już nie do gubernium, lecz wprost do cesarza udala się z petycją bła-gałą.

Że głód, wogóle niedostatek, nie dawał się umiejscowić, że, w miarę wyczerpania się skromnych zapasów zboża, posuwał się dalej ku wschodniej stronie kraju, gdzie i bez tego obawiano się ciężkiego przednówka, to rzecz naturalna.

Wszystkich relacji głodowych przytaczać nie będziemy, bo są monotonne w powtarzaniu skarg na głód, epidemję i wynikające stąd symptomy anarchicznego nastroju umysłów wśród zrozpaczonej i do wszelkich nadużyć gotowej ludności. Cały gruby fascykul stanowią te urzędowe relacje i tworzą niejako pendant do relacji z poprzed-niego roku o rzezi. Było to bowiem naturalnem następstwem wy-padków r. 1846, że właśnie tam, gdzie dwory zrabowano i gdzie wskutek tego gospodarstwo dworskie popadło w zastój, zapanowała największa nędza pomiędzy ludnością wiejską, pozbawioną pomocy od dziedzica.

Ludność przytem była tak zdemoralizowana, że niedola nie wzbudziła w niej ani żalu, ani skruchy, lecz, przeciwnie, żądzę ponow-nego pofolgowania dzikim instynktom. Wpojone przez biurokracyę niemiecko-austryacką w umysły chłopskie mniemanie, że szlachta jest sprawczynią wszelkiego nieszczęścia chłopskiego, więc i głodu obec-nego, znalazło odgłos żywy w okolicach wstawionych wypadkami z r. 1846. Opowiadano tam sobie, że „panowie“ znowu się buntować za-czynają, że zmawiają się na chłopów i powtarzają sobie piosnkę: „Od Krakowa do Tarnowa nie zostanie chłopska głowa“. W obwodzie Tarnowskim wydarzyły się też rzeczywiście takie niepokojące wypadki rabunków i napadów, że kommandant tamtejszej załogi, br. Werlar,

czuł się zmuszonym zaalarmować raportem swoim głównego komendanta we Lwowie, br. Hammersteina, który, chociaż szlachcie nie żałował wszelkich udręczeń, zwrócił się ze swej strony do gubernium z poważną refleksją. Władza wojskowa we własnym interesie musiała się wdać w stan rzeczy, bo mogła przewidzieć, że w razie pogorszenia się stosunków, na nią spadnie cała odpowiedzialność za utrzymanie porządku.

W tym czasie bowiem cała powaga władz administracyjnych w zachodniej Galicyi była tak podkopana wypadkami z 1846, mianowicie dwuznacznym lub wprost niegodnym władzy stosunkiem jej organów do hersztów rzezi z 1846, że kommissarze okręgowi nie mogli już bynajmniej wywierać dawnego nacisku. To też oglądano się nie tyle na okręgi, ile na siłę zbrojną, a jeden z obywateli (Tytus Bobrowski z Łąk dolnych), czując się zagrożonym ze strony chłopstwa, niedostatkiem na przednówku dotkniętego, zaniechał umyślnie płacenia podatków i zwrócił się do władzy z prośbą, aby wysłano do niego wojskową asystencyę na egzekucyę zaległości!

Gubernium lwowskie już w marcu 1847 ustanowiło „kommissarzy głodowych“ z grona politycznych, miejskich i dominikałnych urzędników, dla zbadania i utrzymania ewidencyi gmin i osób niedostatkiem dotkniętych. W czerwcu 1847 wysłało gubernium radcę swojego, br. Sałę, do zachodniej Galicyi, dla naocznego przekonania się o stanie rzeczy. Relacya tego delegata z objazdu potwierdziła najposępniejsze obrazy nędzy, skreślone przedtem przez inne organa. Według tej relacyi, w Wadowieckim obwodzie ludzie z głodu i chorób padali po drogach i umierali.

W jednej wsi sześciu ludzi głodnych zgłosiło się do roboty, ale wszyscy pomarli, zanim mogli wziąć się do pracy. Inżynier Kutschera zapewnił Sałę, że w jego regionie robót publicznych nie minie dzień, żeby nie umarł przynajmniej jeden robotnik.

„W mojej podróży—dodaje Sala—znalazłem w Żywcu, w samym mieście, w rowie przydrożnym kobietę umierającą. W powrocie z Suchej do Wadowic widziałem zwłoki na gościńcu leżące, a po przyjeździe do Wadowic dowiedziałem się, że na ulicy znaleziono okryte lachmanami zwłoki trzech ludzi nieznanomych.“

Czy ci „kommissarze głodowi“ policzyli przynajmniej wszystkie ofiary głodu i chorób z drugiej połowy r. 1846 i z r. 1847? Niema w aktach gubernialnych śladu działalności tych organów, niema także takiego zestawienia rozmiarów niedostatku i jego ofiar w poszczególnych obwodach, żeby można sobie wytworzyć obraz całości. Nie było wtedy prasy i reporterów w dzisiejszem tego słowa zna-

czeniu, więc niema nawet nieoficyalnego materiału do takiego obrazu.

Jak dorywczeni były wszystkie okręgowe relacye głodowe, tak dorywczą, rozbitą, wszelkiego planu i systematycznego rozkładu pozbawioną była akcyja ratunkowa ówczesnego gubernium. Czerpano fundusze, skąd tylko ich zaczerpnąć można było; rozdawano je pomiędzy ludność zgłodniałą bez planu i rachuby, aby tylko zażegnać niebezpieczeństwo rozpaczliwego wybuchu dzikich instynktów chłopskich, które zwróciły-by się były już nie przeciw dworom opustoszałym i obrabowanym, lecz przeciw klasie posiadającej wogóle, a może i przeciw opiekuńczej władzy!

Za wszelką cenę trzeba było zażegnać to niebezpieczeństwo, skoro się niedawno wmówiło w Europę, że chłop rabujący dwory i mordujący szlachtę w roku poprzednim był nie zbrodniarzem, lecz przedstawicielem lojalności, filarem i stróżem porządku, że okrucieństwa przezeń popelnione, a mimo wszelkich kłamliwych relacyi zataić się nie dające, były w najgorszym razie tylko odwetem za ucisk szlachty.

Na taką bezradną i bezładną pomoc publiczną, którą biurokracya austryacka stworzyła zgubny dla przyszłości precedens, wzbudzając w ludności wiejskiej wniemanie, że bez własnej zapobiegliwości i przezorności w ciężkich czasach zawsze liczyć może na podobne wsparcie, poszły w jednym roku (1846—7) summy na owe czasy ogromne. Rząd wydał bowiem krocie z funduszu zapomogowego (krajowego) i z funduszy państwowych, wliczając w nie także fundusz składkowy, w całym państwie uzbierany. Gdy to wszystko nie wystarczyło, wziął rząd na bezprocentową pożyczkę dla włościan milion złr. z grecko-wschodniego funduszu religijnego Bukowiny, wkładając na Galicyę obowiązek spłacania odsetków.

Zboże sprowadzano z Morawy i Szląska, a rozdawano je między włościan bez obowiązku zwrotu lub spłaty, bo uczyniono to wrzekomo w zastępstwie dworów, więc na nie ten obowiązek przerzucono. W tym pomysle doprowadzony został przez biurokracyę system niszczenia szlachty do punktu kulminacyjnego. Nie osłaniała bowiem w swoim czasie dworów przed mordami i rabunkiem, nie chciała i nie była nawet w stanie zabezpieczyć dworom świadczeń pańszczyźnianych, potrzebnych do jakiej takiej uprawy pola, więc do jakiego takiego wypełniania szpichlerzy, z których włościanin czerpał pomoc w razie potrzeby; ale bez skrupułów i bez oglądania się na upadek gospodarstw szlacheckich obciążyla te same dwory obowiązkiem zapomogowym w takim stopniu, że tego nawet w czasach tak anormalnych uzasadnić niepodobna.

Mimochodem zaznaczyć tutaj wypada, że skutki tej bezradnej i bezładnej akcji zapomogowej z r. 1846—7 przypomniały się Galicyi jeszcze po upływie całej ćwierci wieku. Władze skarbowe bowiem wywlokły w r. 1872 bezładne i sprawdzić się już nie dające rachunki zwrotnych zapomóg z r. 1847 i przystąpiły do przymusowego ściągania od włościan zaległości, które osiągały krociowej wysokości.

Sprawę tę poruszono w sejmie kilkakrotnie, najpierw w formie interpellacyi, a potem petycyami gmin, zagrożonych egzekucją. wreszcie uchwałami sejmowemi. Hr. Goluchowski, za trzeciego namiestnictwa, zatarł ten ślad grzechów niemieckiej biurokracyi, gdyż powstrzymał egzekucye, a potem wyjednał (w 1874) cesarskie postanowienie, zarządzające odpisanie egzekwowanych zaległości.

Wracamy do r. 1847. W chwili objęcia rządów przez gubernatora, Franciszka hr. Stadioną, w jesieni, położenie obwodów, w których na przednówku głód się srożył, było o tyle lepsze, że zbiory nieźle wypadły i na razie zboża nie brakło. Było ono jednak zawsze jeszcze bardzo drogie, nie tylko w zachodniej Galicyi, lecz także na sąsiednim Szląsku. Zachodziła więc obawa, że polepszenie sytuacji będzie tylko chwilowe, a na przednówku powtórzą się niedawne, grozą przejmujące, sceny śmierci głodowej i epidemie.

Hr. Stadion, w poglądach swoich wyższy nad cały współczesny świat biurokratyczny Austrii, od razu zorientował się w sytuacji i spostrzegł błędy popełnione w poprzedniej akcji ratunkowej rządu. Za trafnem zorientowaniem się poszły trafne rozporządzenia co do dalszego programu działania.

Kiedy się dziś czyta wszystkie ówczesne rozporządzenia hr. Stadioną, zawarte w poufnych okólnikach do okręgów i w odezwach do biskupów, nasuwa się pytanie: dlaczego wtedy i później przy odgadywaniu tytułów hr. Goluchowskiego do szczególnych względów hr. Stadioną i przy zastanowieniu się nad tem, kiedy i czem hr. Goluchowski mógł wzbudzić w hr. Stadionie takie uznanie dla swojego talentu administracyjnego, że go zalecał na gubernatora zaraz po swoim ustąpieniu, więc przed Wacławem Załęskim,—wszyscy szukali wyjaśnienia wrzekomej zagadki błędnie, lub nawet złośliwie, w rozbudzeniu kwestyi ruskiej, a nie tam właśnie, gdzie, jak w sprawie niniejszej, jak wogóle we wszystkich dobrych intencjami kierowanych krokach hr. Stadioną z pierwszego okresu jego gubernatorstwa, domysł ten byłby najtrafniejszy? Hr. Stadion mógł bowiem z własnej bystrej obserwacyi spostrzedz i ocenić dotychczasowe błędne postępowanie władzy w sprawie głodowej; ale żeby niejako z własnej intencji w pierwszych zaraz miesiącach swoich rządów, wpadł na tak

sześcieliwe uwagi i pomysły, jakie zawarte są w wydanych przezeń rozporządzeniach, to już w każdym razie trudno przypuścić. Jeżeli zaś istotnie szukał wtedy trafnej informacji i dobrej rady, to pod tym względem nie mógł polegać zupełnie na swoim szefie prezydyalnym i nieodstępny towarzyszu, radcy generalnym Oettlu. Ten bowiem, wraz z nowym gubernatorem świeżo przeniesiony z Tryestu do Lwowa, znał Galicyę i jej stosunki jeszcze mniej nawet, niż inni przed nim do Galicyi sprowadzeni niemieccy biurokraci, mniej nawet niż sam hr. Stadion, który przedtem czas jakiś bawił w kraju, jako młody urzędnik gubernialny i okręgowy.

Czy nie narzuca się niejako domysł, że wpływ hr. Gołuchowskiego, wówczas dopiero radcy gubernialnego, przebijają w reskryptach hr. Stadiona, zawierających takie np. ustępy: „Użyć się mające środki (pomocy rządowej) nie powinny osłabiać dbałości jednostek o zaspokojenie potrzeb, co w Galicyi dotąd tak często zdarzało się przez przechodzące wszelką słuszną miarę zobowiązania dworów do wspierania poddanych. Nieurodzaj przyspieszył tylko wybuch głodu, ale nie jest właściwą przyczyną nieszczęścia. Leży ono w nieprawym dzieleniu gruntów i w osiedlaniu się wielu rodzin na gruntach nie wystarczających do ich wyżywienia, wskutek czego powstało zaludnienie, przerastające siły produkcyjne kraju. Powód niepomysłnego stanu tkwi dalej w tem, że nieoględnie dopuszczano do wzrostu tej dysproporcji pomiędzy zaludnieniem a siłami kraju, nie postarawszy się o środki uchylenia złego.

„Nie postarano się mianowicie wcale o to, aby przez krzewienie przemysłu lub przez inne wyzyskanie zbędnych sił, środki utrzymania zostały pomnożone; nie uczyniono nic w tym kierunku, aby wpłynąć na moralną stronę ludu, wydobyć go z apatii i lenistwa, a zarazem zwrócić uwagę na własne siły i środki pomocy, utrzymania i zabezpieczenia przed nieszczęściem. Jakkolwiek jest to rzecz smutna, należy przyznać i wypowiedzieć, że pokutujemy za grzechy zaniechania z czasów dawniejszych, a skutki obojętności i niedbałości na nas teraz spadają“.

Zarzutu, że niemiecka biurokracja traktowała Galicyę po macoszemu, że ją wyzyskiwała, nie dbając wcale o rozwój kraju, wyposażonego tyłu przyrodzonymi warunkami rozkwitu, nie odparto dotąd nigdy z przeciwnej strony datami i argumentami rzeczowemi. Natomiast twierdzenie, że Galicya jest „krajem biernym“, niejako pasorzytem w rządzie innych kwitnących prowincyi państwa, powtarza się dziś jeszcze w Wiedniu w formie pewnika, którego wrzekoma oczywistość zwalnia od przytoczenia dat i dowodów konkretnych. Godzi się zatem stwierdzić z aktu urzędowego — in aeternam rei memoriam —

że powyższe oskarżenie staro-austryackiej biurokracji podniesione zostało na schyłku jej panowania, z jej łona, przez najwyższego jej naczelnika w Galicyi; że dalej oskarżenie to podniesione zostało przy takiej sposobności i w takiej formie, iż gdyby nawet ona wrzekoma „bierność“ ekonomiczna w Galicyi miała być jeszcze dotąd rzeczywiste faktem niezawodnym, dzisiejsze przytoczenie tego faktu nazwać-by można tylko podkreśleniem i zaostreniem powyższego oskarżenia.

Już w styczniu r. 1848 hr. Stadion powziął z raportów otrzymanych od starostów przekonanie, że ludność wiejska, zwłaszcza w zachodniej części Galicyi. zagrożona będzie znowu niedostatkiem w porze przednówku. Gdyby nie były zaszły pamiętne wypadki z marca 1848, które kres położyły rządowi tego gubernatora i, co ważniejsza, troskę o sprawy ekonomiczne zepchnęły na szary koniec spraw publicznych, Galicya była-by się może doczekała pierwszej od czasu przyłączenia do Austrii uczciwej i racjonalnej rządowej akcji ratunkowej.

Program tej akcji był już ułożony i zakomunikowany okręgom 6 stycznia 1848 w obszernym reskrypcie, który-by raczej memoriałem nazwać należało, a w którym na czele postawiona została konieczność zerwania z dotychczasową metodą ratowania ludności wiejskiej kosztem szlachty, darowiznami z jej kieszeni, za czem w konsekwencji zawsze pójść musiało obudzenie w tej ludności przekonania, że sama o siebie myśleć nie potrzebuje. „Wszyscy panowie starostowie—pisze hr. Stadion w tym reskrypcie—zgadzają się na to, że dotychczasowy sposób ratowania ludności zapomogami, udzielanemi jej bezpośrednio przez dwory, lub w ich zastępstwie i za ich poręczeniem przez państwo, sprowadził więcej złego niż dobrego. Wprawdzie zaradzono w ten sposób chwilowo potrzebom, ale za to przyzwyczajono ludność do spuszczenia się na obcą pomoc bez własnego przyczynienia się. douważania własnego zarobkowania dla zdobycia środków utrzymania za rzecz niewygodną i zbędną. Mniemanie, że dziedzic lub administracya państwowa musi wspierać poddanych, skłania nawet zamożniejszych posiadaczy gruntów do tego, iż zbiory swoje jak najprędzej konsumują lub pozbywają, aby na równi z biednymi brać udział w tej zapomodze, łatwo uzyskać się dającej, a co do zwrotu w daleką przyszłość odroczonej. Zachodzi nieodzowna konieczność uchylenia tych nadużyć zapomogowych, które dwory i państwo obciążają ponad prawo i słuszność, poddanych demoralizują, a niedostatek niejako powoli uwieczniają. Zresztą zepchnięcie obowiązku wspierania poddanych zbożem na zasiew w całości na dwory było-by niesłusznem i w wielu wypadkach niewykonalnem. Dwory bowiem zo-

stały nadmiernem wspieraniem poddanych w latach niedostatku same wyczerpane, a obecnie także muszą niezdolnym do pracy dostarczać zarobku i utrzymania.

Starostowie we wnioskach swoich co do akcji ratunkowej postępowali starym szlakiem, przez niemiecką biurokracyę udeptanym, więc zaczynali ją od tego i kończyli na tem, co dotąd uchodziło za urzędowy dogmat w zakresie polityki ekonomicznej, tj. formułowali swoje propozycje w ten sposób, aby za jednym zamachem szlachta była dalej podkopywana w swoim bycie, a poddany jej kosztem, ale pod firmą rządową, otrzymywał darowizny. Tym duchem tchnęły też główne wnioski okręgowe, mianowicie projekt wzbromienia produkcyi wódki z ziemniaków i zboża, oraz projekt zawieszenia pańszczyzny na czas niedostatku, aby ludność wiejska za robotę w polu otrzymywała całkowitą zapłatę.

Pierwszy projekt nazwał hr. Stadion w swoim reskrypcie „środkiem zanadto wkraczającym w zakres wolnej dyspozycyi własnością i w przemysłowo-rolnicze stosunki“, a o drugim wydał decyzję, że „jest niedopuszczalny“, o ile chodzi o nałożenie takiej ofiary, jako obowiązek dworów, a nie o zalecenie tylko tej myśli dobrowolnej umowie między dworami a poddanymi. Pominąwszy bowiem inne wątpliwości—mówi hr. Stadion w swoim reskrypcie—zważyć należy, że tylko nieliczne dwory rozporządzają takim zapasem gotówki, aby mogły zrzec się bezpłatnej robocizny na kilka miesięcy i płacić gotówką za wszystkie roboty.“

Po uchyleniu tych wniosków hr. Stadion położył nacisk na szereg propozycyi dodatnich, które, jak naprzykład staranie o otwarcie nowych źródeł zarobku przez rozpoczęcie potrzebnych lub pożytecznych robót publicznych kosztem gmin, dworów, kraju i państwa (budowy dróg, melioracyi itp.), ożywienie istniejących gałęzi przemysłu domowego i otwarcie dla ich produktów nowych dróg zbytu (naprzykład dla płótna w zakładach karnych i w wojsku), bezpłatne dostarczanie soli, zorganizowanie ścisłej opieki gmin nad ubogimi itd., stały się stałemi postulatami także we wszystkich późniejszych akcjach ratunkowych w czasach niedostatku.

Niezależnie od tego programu na przyszłość zakrojonego, polecił hr. Stadion starostom i ordynaryatom biskupim odpowiednie pouczenie gmin o duchu swoich poglądów, a dominia upoważnił do zabierania u lekkomyślnych gospodarzy i przechowania części zboża, potrzebnej na wyżywienie i zasiew, więc niejako do wzięcia lekkomyślnych poddanych w kuratelę.

W tem tak niezwykle w austriackim świecie biurokratycznym ujęciu się za szlachtą, dotąd systematycznie przeciążaną, nawet podkopywaną w swoim bycie na rzecz ludności włościańskiej, przez rząd kokietowanej, przebija niewątpliwie wpływ hr. Gołuchowskiego, który, jako radca gubernialny, w otoczeniu hr. Stadionia miał głos poważny i poważany, a znany był dobrze z tego, że w ankiecie rządowej, zwołanej poprzednio dla uregulowania sprawy pańszczyźnianej, założył przeciw szkodliwym dla kraju projektom biurokratycznym *vo t um separat um* i wniósł do Wiednia samoistny wniosek całkowitego zniesienia pańszczyzny ze słusznem wynagrodzeniem szlachty w obligacjach indemnizacyjnych. Dziś jeszcze czyta się ten memoriał z uznaniem dla wielkiej odwagi obywatelskiej hr. Gołuchowskiego, jako ówczesnego radcy gubernialnego, więc podwładnego baronowi Kriegowi urzędnika, oraz dla zdrowych poglądów ekonomicznych i śmiałej krytyki postępowania rządu, w czem widać współpracownictwo stałego towarzysza hr. Gołuchowskiego w ówczesnych i późniejszych pracach programowo - administracyjnych, współpracownictwo znakomitego i wielce zasłużonego obywatela, Maurycego Krasińskiego.

Hr. Stadion w pierwszym, dobremi dla kraju intencjami ożywionym, okresie rządów swoich, zajmował się głównie sprawą uregulowania pańszczyzny i w tym celu bardzo troskliwie rozglądał się za źródłami trafnych informacji o stosunkach wiejskich. Gołuchowski uczestniczył we wszystkich konferencyach, przez hr. Stadionia dla tej sprawy zwoływanych, więc sposobność do wywarcia takiego wpływu, o jakim tutaj mówimy, nastęrczała się na każdym kroku. Po tym przelotnym przeblysku lepszej polityki ekonomicznej rządu wobec Galicyi, nastąpiła niebawem zawierucha polityczna, która postawiła kraj ten nad brzegiem przepaści. Marcowe wypadki w roku 1848 poróżniły polskie społeczeństwo z gubernatorem, hr. Stadionem, który zrażony bezskutecznością swoich prób uspakajających wobec żywiołów ruchu, zątrwożony szalonym pędem anarchii w całym państwie i pozostawiony bez wszelkiej instrukcyi przez rząd centralny w rozlukanym wówczas Wiedniu, stracił niejako kontenans polityczny i dał się zepchnąć napowrót na tory staro - austriackiej polityki biurokratycznej. Hydra tej polityki podniosła łeb najpierw na prowincyi, gdy propaganda szlachty za dobrowolnem zrzeczeniem się pańszczyzny zagrażała zaczęła najważniejszej zasadzie dawnego systemu rządzenia, to jest podtrzymywaniu rozterki między gminą a dworem. W chorobliwej już wówczas, jak się później pokazało, drażliwości swojej, hr. Stadion czuł się odepchniętym przez szlachtę i całe społeczeństwo polskie, podjął z niem walkę na tle pańszczyźnianem,

a w walce tej szedł za podszeptami narzucającej mu się ze swojemi usługami ruskiej Rady narodowej, która w całej jego karierze politycznej nie tylko w Galicyi, lecz i później, w wiedeńskim sejmie konstytucyjnym, odegrała rolę złego ducha. Kiedy nareszcie w czerwcu 1848 roku hr. Stadion cichaczem Lwów opuszczał, aby, na wezwanie dworu cesarskiego, który przed rewolucją wiedeńską do stolicy Tyrolu (Innsbrucku) się schronił, zjawić się tam dla objęcia daleko ważniejszej misyi politycznej, Galicya już niemal zlorzczyła gubernatorowi, którego pierwsze kroki w kraju zdawały się jej pod każdym względem zapowiadać lepszą dolę, który też rzeczywiście zdawał się być powołanym do zagojenia ran społecznych, w roku 1846 Galicyi przez biurokracyę austryacką zadanych. Na szczęście Galicyi, po hr. Stadionie rządu w kraju dostały się mężowi, który misyę tę energiczną ręką podjął i z niej się świetnie wywiązał, mimo niezmiernych trudności i przeszkód. Rozpoczęły się teraz właściwe rządy hr. Agenora Goluchowskiego. bo dotąd można było mówić tylko o jego wpływie zbawiennym w łonie rządu. Na obciążony, wobec Galicyi, grzechami politycznemi rachunek hr. Stadiona idzie także zniesienie pańszczyzny w kwietniu 1848 roku, dokonane dorywczo, niejako przez noc, bo z obawy przed wrzekomo grożącemi ruchami rewolucyjnemi. Taka wielka reforma, obwieszczona jakby zniecacka, bez przygotowania wykonawczego aparatu administracyjnego, a w dodatku w formie fatalnej, bo wątpliwościom, kwestyom i sporom różnego rodzaju wrota na oścież otwierającej, potęgowała nieskończenie ówczesny zamęt, już i tak z anarchią graniczący. Demon starej niemieckiej biurokracyi austryackiej sprawił tedy, że owa doniosła reforma społeczna, o którą stany galicyjskie od kilku lat się upominały u rządu z własnej, czystymi intencjami dyktowanej, inicjatywy, dla której, jak już wyżej wspomnieliśmy, hr. Goluchowski opracował z Maurycem Kraszińskim w roku 1846 racjonalny i tym intencjom zadość czyniący projekt, której przeprowadzenia wreszcie od pierwszej chwili ruchów w roku 1848 szlachta sama, również za sprawą czystych intencji i bezinteresownie, odrazu, drogą dobrowolnej ofiary, dokonać usiłowała, a tylko oporem, przez rząd stawianym, od tego powstrzymywana była, że ta właśnie reforma w chwili ziszczenia, przez więcej podstępna, niż nieudolna, a w każdym razie i podstępna i nieudolna rękę biurokracyi, przybrała charakter ciosu dotkliwego, wymierzonego nie tylko na podwaliny bytu materialnego szlachty, jako głównie interesowanej klasy, lecz także na interesa społeczne całego kraju. Wtrącono go bowiem w przesilenie ekonomiczne, z którego przebiegu i zakończenia w danej chwili ani w Wiedniu, ani we Lwowie sfery rządowe, bez planu, wprost anarchicznie postępujące, sprawy sobie nie zdawały.

Żeby to nie zakrawało na sąd uprzedzony, przytoczymy zdanie z najświeższej publikacji historycznej o roku 1848, sąd Niemca, który w dziele swoim zajął stanowisko, skłaniające się pod każdym względem ku skrajnym poglądom, więc w takiej sprawie, jak zniesienie pańszczyzny, pewnie obojętny był na interesa uprawnionej klasy, a już najmniej myśleć mógł o interesach szlachty galicyjskiej: „Podczas gdy rząd — mówi Bach („Geschichte der Wiener Revolution in Jahre 1848“)—występował przeciw agitatorom, zapowiadającym ludowi blizkie oswobodzenie, i dziedzicom, wrzekomo dla zabezpieczenia wierzyteli przed szkodą, zabronił darowywania pańszczyzny, ministerjum ogłosiło 25 kwietnia reskrypt, z datą 18 kwietnia, który w Galicyi, i tylko w Galicyi, znosił od 15 maja wszystkie, ze stosunku poddańczego wypływające, daniny i świadczenia, z zastrzeżeniem wynagrodzenia uprawnionego przez państwo. Akt ten był nie konstytucyjny. Takie zarządzenie bowiem mogło być tylko ustawą wydane, a tę najpierw reprezentacja państwowa powinna uchwalić. To samowolne rozporządzenie odpowiadało zupełnie duchowi starego, już za pokonany uważanego, absolutyzmu, i zostawało w zupełnej sprzeczności z wydaną w tym samym dniu (25 kwietnia) konstytucją, według której Austria stawała się państwem konstytucyjnym. Zarządzenie to było nadto podstępne i ujawniało aż nadto wyraźnie dążności rządu, według których chłopci mieli być zniechęceni do intelligentnych wolnomyslnie usposobionych Polaków, a tem samem pozyskani dla reakcyi.

Za jednym zamachem tedy gotowość szlachty do darowania pańszczyzny, więc ofiar na rzecz dobra publicznego, przedewszystkiem na rzecz tej harmonii społecznej, którą biurokracya austriacka w roku 1846 do głębi zamąciła, przedstawiona została ludowi wiejskiemu, jako nowy poryw do buntu, a zniesienie pańszczyzny ogłoszono jako nagrodę za krwawą przeszłość (1846).

W ten sposób wielka reforma ekonomiczna i społeczna, która w innych prowincjach Austrii stanowiła niewątpliwie bodziec do wielkiego postępu i rozkwitu całego gospodarstwa, w Galicyi stała się przedewszystkiem źródłem wielkiego przesilenia ekonomicznego. To też nawet urzędowy apologeta wszystkich prac reakcyi z lat 1848 — 1858, Karol baron Czoernig, sławiąc wrzekomo pomnikowe zdobycze Austrii w tym okresie na wszystkich polach rozwoju kulturalnego, a zniesienie pańszczyzny przedewszystkiem jako punkt wyjścia dla niebywałego rozwoju ekonomicznego, musi co do Galicyi uznać wyjątek. „Gospodarstwo rolne,—(pisze ten autor jeszcze w roku 1858 w swem „Oesterreichs Neugestattung 1848—1858),—nagle po-

zbawione swoich dotychczasowych sił pomocniczych, a wymagające obfitszych środków, wskutek spotęgowanej uprawy, po największej części dotkliwie uczuwa brak potrzebnych sił pieniężnych i roboczych... W Galicyi gnuśności włościanina, który woli czas bezczynnie spędzać, zamiast nająć się do roboty u dziedzica, przypisać to należy, że właściciel posiadłości ziemskiej nie może uprawiać rozległych przestrzeni ziemi, wskutek czego znaczna część gruntów, dobrych do uprawy, leży odlogiem. Oczekiwać należy, że postępująca naprzód oświata, jeżeli nie przynaglająca potrzeba, skłoni ludność wiejską do odpowiedniejszego wyzyskania swojej siły roboczej, że dalej powstające zakłady hipoteczne i kredytowe wesprą potrzebującego pomocy pieniężnej właściciela ziemskiego, przez co pobudzone zostaną do życia dotąd poniekąd jeszcze uspięne siły żyźnego gruntu na pożytek jednostek i całego państwa“.

Tak pisał w Galicyi urzędowy historyk w dziesięć lat po zniesieniu pańszczyzny, kiedy o tej porze z innych prowincyi zapisać mógł nie takie nieokreślone, na puste frazesy zakrawające, nadzieje i horoskopy, lecz cały długi szereg rzeczywistych a wielkich wyników ekonomicznych. Cóż dopiero dzieć się musiało w Galicyi w samej chwili zniesienia pańszczyzny wśród oplakanych stosunków społecznych, o których, jako o dziele biurokracyi ówczesnej, jako o pozycyi, fatalnie obciążającej rachunek zasług rządowych. Czoernig nie wspomina wcale dla tego, że ich nie zna, albo, co prawdopodobniejsza, jako niemal ekliwy w swoich uwielbieniach apologeta oficjalny, poznać nie chciał.

Kiedy szlachta z własnej inicjatywy i z gotowością do ofiar dla dobra publicznego przynaglala sprawę zniesienia pańszczyzny, a w roku 1848, już nie czekając wcale na decyzję rządu, wprost darowywała pańszczyznę, wiedziała dobrze o tem, że dzieło obywatelskiej ofiarności okupić wypadnie przesileniem już z tego powodu, że po katastrofach politycznych, świeżo przeżytych (1846), i po szeregu lat niewrodzaju i głodu, nie mogła rozporządzać gotówką, potrzebną do intensywnego gospodarstwa rolnego w chwili ubytku bezpłatnych sił roboczych. Mogła jednak szlachta liczyć na powolne przebycie tego przesilenia, a przedewszystkiem na to, że lud wiejski, rozbrojony tą ofiarnością, wyemancypuje się przynajmniej o tyle z pod zawistnych dla niej wpływów biurokracyi, iż dostarczy potrzebnego robotnika za zapłatą.

Tymczasem zawiodła zupełnie i ta skromna nadzieja, bo zniesienie pańszczyzny zostało przez organa rządowe jeszcze w ostatniej chwili rządów hr. Stadionia w ten sposób dokonane, i po wsiach przez kommisarzy okręgowych ogłoszone, jak gdyby reforma tylko dzięki

rządowi i wbrew woli szlachty przysła do skutku. Któż mógł wpłynąć na lud wiejski w sposób usmierający i pouczający, jeżeli właśnie pierwsza dłoń w tej mierze powaga, władza obwodowa, wywołała obalamucenie ogólne po wsiach, utwierdzając włościan całym postępowaniem swoim w mniemaniu, że zniesienie pańszczyzny stanowi właściwie tylko ich ostateczne zwycięstwo nad odwiecznym wrogiem i gnębicielem?

Każdy zwycięzca myśli o takim wyzyskaniu swojego tryumfu, aby pokonany przeciwnik już nigdy więcej zagrażać mu nie mógł. Cóż dopiero mówić o zwycięzcy ciemnym, z natury swojej skłonniejszym do próżniactwa wśród głodu, niż do pracy w normalnych stosunkach, o zwycięzcy zdemoralizowanym wobec dworu półwiekową przewrotną taktyką niemieckiej biurokracji, a w końcu w roku 1846 przez nią niebacznie zachęconym do anarchistycznego popofolgowania dzikim instynktom swoim? W takim składzie rzeczy o wpływie drugiej powagi, duchowieństwa, także mowy nie było. W zachodniej Galicyi duchowieństwo zostało w roku 1846 przez organa rządu, kommissarzy obwodowych, przedstawione ludowi, jako sprzymierzeniec i poplecznik szlachty w buntowniczych knowaniach, a tem samem pośrednio także i we wrzekomem gnębieniu chłopów. We wschodniej Galicyi zaś, duchowieństwo grecko-katolickie w roku 1848 wpadło w odętą rozkładową propagandę Rady ruskiej, która była najstarszą i najważniejszą alliantką biurokracji w jej wszystkich wystąpieniach przeciw polskości, więc oczywiście przedewszystkiem szlachcie. Wszakżeż nawet w tak ciężkiej dla kraju chwili, jak w czasie przemarszu posiłkowej armii rossyjskiej do zrewoltowanych Węgier, Rada ruska oskarżała hr. Gołuchowskiego, który już wtedy objął ster rządów krajowych, i zaraz żywiłom rozstroju społecznego dał uczuć niezwykłą energię swoją, przed ministeryum, że, łamiąc notoryczny, a do zguby kraju wiodący, opór włościan do używania dworom odpłatnej pomocy przy zbiorze siana, dopuszcza się bezprawia, dąży do wznowienia pańszczyzny. Ministeryum ówczesne tak było na tym punkcie drażliwe, albo raczej zazdrośne o zdobytą u ludu, kosztem szlachty, opinię oswobodziciela z jarzma pańszczyźnianego, więc dobroczyńcy włościan, że, chociaż w danej chwili zebranie potrzebnych dla wojsk zapasów siana w Galicyi stanowiło kwestyę pierwszorzędnego znaczenia, skargę tę wzięło sobie bardzo do serca i zażądało od hr. Gołuchowskiego usprawiedliwienia, sprostowania i t. p. Hr. Gołuchowski, wyczekawszy ukończenia zbiorów, a więc osiągnąwszy cel swoich energicznych zarządzeń, okólnikiem z 41 lipca 1849 roku pouczył starostów, że, mówiąc o przymusowem ściąganiu robotnika, nie mógł mieć na myśli wznowienia procedury pańszczyźniane, lecz inne

zarządzenia, że zatem władze winny uspokoić włościan pod tym względem. Zaraz po tem wyjaśnieniu następowało poufne polecenie, dające starostom w sposób przejrzysty do zrozumienia, że cel, wytknięty pierwotnemu zagrożeniu, pozostaje niewzruszony, że do osiągnięcia tego celu i nadal dążyć powinni, występując przede wszystkim z energicznymi środkami przeciw agitatorom, obalamującym ludność wiejską takimi wersjami, jak wznowienie pańszczyzny i t. p. Równocześnie odpowiedział hr. Gołuchowski ministeryum w tonie, pełnym śmiałego oburzenia, zarzucając, że w Wiedniu znajdują posłuch podobne brednie nawet wśród sytuacji tak wyjątkowej, jak obecna, kiedy z wczesnem ukończeniem zbiorów łączyły się interesy kraju i interesy państwa najwyższej wagi, mianowicie sprawa zaopatrzenia w żywność wojsk, na węgierski teatr wojny wysłanych.

Hr. Gołuchowski był w całym życiu swoim legalistą od stóp do głowy, chociaż przez to w wichrowatym roku 1848 niejednokrotnie wystawiał na szwank już nietylko popularność, za którą nie gonił wcale, na którą nawet zanadto był obojętny, lecz w oczach swoich antagonistów politycznych narażał także opinię obywatela, wrażliwego na interesa kraju. W tym wypadku jednak legalista mógł śmiało nie oglądać się na skrupuły ministeryalne i *via facti* utrzymać władze na stanowisku poprzednio wskazanem, a przez ministeryum formalnie zganionem, gdyż skrupuły te nie były wpływem poczucia prawnego, lecz raczej wyrazem politycznych względów na utrzymanie uroku biurokracyi u włościan, zniesieniem pańszczyzny zdobytego. Dorywcze zniesienie pańszczyzny bez wypłaty wynagrodzenia wkładało — jak to hr. Gołuchowski śmiało w swojej odezwie do ministra wypowiedział — na rząd przynajmniej obowiązek poskromienia samobójczego pod względem ekonomicznym oporu włościan co do dostarczania robotnika za zapłatą.

Że więc w tym wypadku hr. Gołuchowski nie chciał być legalistą, że kroczył dalej drogą raz obraną, to jest okólnikami i ustnemi upomnieniami zalecał władzom, aby paraliżowały podburzającą agitację grecko-katolickiego duchowieństwa i wpływały wszelkimi sposobami na dostarczenie robotników dla łańców dworskich, to jako działanie w swoim czasie zbawcze dla najważniejszych interesów ekonomicznych Galicyi musi mu być poczytane za zasługę, zarówno ze stanowiska krajowego i obywatelskiego, jak i ze względu na interes rządu, którego rachunek wobec Galicyi i tak już był nadmiernie przeciążony szeregiem biernych pozycyi.

Dzisiejsze pokolenie ziemian galicyjskich wie to dobrze z tradycyi, jak ciężkie przesilenie przebywało gospodarstwo rolne w pierwszych latach po zniesieniu pańszczyzny. Trzeba jednak

wczytać się w akta urzędowe owej doby, żeby przyjść do przekonania, że przesilenie to było-by stokroć cięższe, gdyby nie szczęśliwe zrządzenie, że u steru rządów krajowych stał hr. Gołuchowski, który swoją praktyką administracyjną umiał niejedno zle uchylić, lub zmniejszyć. Wyobraźmy sobie przebieg tego przesilenia pod rządami biurokraty *à la* baron Krieg, lub nawet *à la* Stadion z końcowego okresu jego rządów! Wszakże wtedy cały personel urzędniczy w kraju był jeszcze przejęty tradycjami roku 1846 i tą maksymą rządową, że dla sparaliżowania polskości należy godzić przede wszystkim, w jej rdzeń, w szlachtę, więc podkopać jej byt i dręczyć ją wszelkimi sposobami. Gdyby nie wodze, nałożone przez hr. Gołuchowskiego, cała sfera tych biurokratów starej daty była-by do spółki z krajowymi żywiołami rozstroju społecznego utwierdzała chłopą w samobójczym postanowieniu odjęcia dworom robotnika, chociażby one niebywałą zapłatę ofiarować miały.

Przy dorywczem zniesieniu pańszczyzny popełniono błąd, który, szczególnie w Galicyi, w skutkach swoich nietylko zagrażał w wysokim stopniu żywotnym interesom gospodarstwa, lecz nadto paraliżował zamierzone w tej reformie usmierzzenie rozstroju społecznego po wsiach, przenosząc go na następne pokolenie w słynnej jeszcze z pierwszych sessyi sejmii galicyjskiego kwestyi „*lisy i pasow y s k a*“. Znosząc pańszczyznę, rząd, a później także i konstytucyjny sejm wiedeński z roku 1848 pozostawił służebności nietknięte, zastrzegając ich wykupno, względnie regulację, w przyszłej osobnej ustawie, bez oznaczenia terminu i bez wskazania ogólnych zasad, na których w danej chwili oparta będzie ta dalsza część reformy agrarnej. W takim składzie rzeczy lud wiejski po swojemu zaczął komentować ustawę o zniesieniu pańszczyzny. Skoro ją uchylono bezwarunkowo, a służebność pozostawiono nietkniętą, więc pozostał domysł naturalny, że wolno „na pańskim“ rządzić się swobodnie, a przede wszystkim wolno „z lasów pańskich“ brać, co się komu podoba. Zaczęły się formalne wędrówki chłopów z siekierami do lasów dworskich, a gdzie właściciel ich próbował oprzeć się i wzbronąć wstępu do lasu, lub przynajmniej żądać jakiegokolwiek opłaty za to, tam powstawało wzburzenie, przypominające najgorsze czasy samowoli chłopskiej. Sypały się zaraz skargi do ministerium ze strony gmin wiejskich, w których agenci Rady ruskiej zawsze stali malkontentom do usług z piórem i słowem jadowitem. Do jednego tylko hr. Gołuchowskiego zwrócić się mogła wtedy szlachta, zagrożona wprost zniszczeniem lasów, z otuchą i wiarą, że potrafi on wziąć interes kraju w obronę przed rozagitowanem chłopstwem, a w danym razie i przed—ministrem, któremu też śmiało przypominał swój elaborat

z roku 1846, przedstawiający jednoczesność wykupna pańszczyzny i uregulowania służebności, jako główny postulat racjonalnego dokonania wielkiej reformy agrarnej i społecznej.

Skargi włościan na tych dziedziców, którzy wprost wzbraniali wstępu do lasów, uważając służebności za wygasłe, lub, co najmniej, zawieszane z chwilą zniesienia pańszczyzny, przesłano z Wiednia hr. Gołuchowskiemu z poleceniem, albo raczej, wobec panującej tam w pierwszej chwili porewolucyjnego okresu bezradności, z prośbą, aby rzeczą tą zajął się troskliwie i energicznie. Hr. Gołuchowski wystosował do władz podwładnych dwa okólniki, które miały zażegnać zaburzenia, po wsiach panujące, a zarazem zasłonić gospodarstwo leśne przed niechybnym upadkiem. W okólnikach tych zaznaczył najpierw, że w obecnym stanie rzeczy, dopóki sprawa służebności nie zostanie rozwiązana osobną ustawą, dwory nie mogą występować z bezwarunkową negacją wszelkich świadczeń, zwłaszcza co do służebności paszy i poboru drzewa opałowego. Zaraz jednak dodaje potem: „Co się tyczy poboru drzewa opałowego, kultura krajowa wymaga najtroskliwszej osłony lasów wobec nadużyć. O ile tedy pobór ten nie jest jeszcze unormowany prawomocnymi decyzjami, należy, stosownie do zachodzących okoliczności, w drodze kommissyjnej tymczasowo określić najniezbędniejszą potrzebę, z uwzględnieniem stanu lasów, i zarządzić wydawanie drzewa za assygnatami, przez dwory wystawiać się mającemi. Starostowie winni jednak korzystać z każdej nadarzającej się sposobności, aby także byłych poddanych dobrze pouczyć o tem, że służebności muszą ustać, skoro tylko wydana zostanie ogólna ustawa o ich uregulowaniu, i że dalej prawo do bezpłatnej zbiórki w regule polega wyłącznie na tem, iż poddani, w dniu oznaczonym przez dwór na każdy tydzień, mogą się udawać do lasu dworskiego bez siekier i zbierać stamtąd złomy i gałęzie wyłącznie dla swego użytku i w miarę potrzeby. Należy przytem gminom, które faktycznie nie pozostają w długoletniem posiadaniu prawa do poboru drzewa opałowego, a roszczą sobie pretensye w tej mierze, stanowiące dopiero przedmiot sporu, jak najdobitniej zalecić, aby przed zakończeniem sporu, pod rygorem surowych kar i odpowiedzialności, nie ważyły się napadać lasów dworskich“.

Już to rozporządzenie, nad którego przestrzeganiem hr. Gołuchowski czuwał ze szczególnym naciskiem, zasłoniło, można-by nawet powiedzieć, ocaliło kulturę leśną w Galicyi przed pustoszącym rozpędem włościan, świeżo zwolnionych z uciążliwych więzów pańszczyźnianych niejako w formie nagrody za lojalne zachowanie się, albo raczej za wrogie postępowanie wobec dworów, więc już z tego powodu rozzuchwalonych, a zresztą nawet w dobrej do pewnego

stopnia wierze uważających niszczenie lasów dworskich za czyn, obojętny dla rządu.

Co ważniejsza jednak, to fakt, że w rozporządzeniu tem niema wzmianki o wydawaniu budulcu, że więc drzewo budowlane było całkowicie zabezpieczone przed chciwością byłych poddanych.

Chcąc dziś ocenić doniosłość powyższych zarządzeń, trzeba myśłą przenieść się w owe smutne dla Galicyi czasy, i z jednej strony zmierzyć niebezpieczeństwo, jakie groziło ziemianom, a z drugiej strony oddać hold odwadze obywatelskiej hr. Gołuchowskiego, który, nie odnosząc się do ministra, jakby to był uczynił Namiestnik biurokratycznego kroju, chociażby nawet zresztą przychylnie dla kraju usposobiony, lecz z własnej inicjatywy i na własną odpowiedzialność w lot rozporządził tak, jak to za stosowne i dobre uznał. A trzeba dodać, że gdyby poprzednio odniósł się był do ministerjum, w najlepszym razie rok był-by upłynął na pisaninie, i do tego czasu ogromne szkody były-by już tylko faktem dokonanym, ani cofnąć, ani naprawić się nie dającym.

Musiał, oczywiście, hr. Gołuchowski podać swoje rozporządzenie do wiadomości ministerjum, ale nie obawiał się żadnego *désaveu*, gdyż w komunikacie swoim przedstawił motywa kierujące w tej mierze tak dobitnie, że rząd centralny nie mógł ich pominąć i wydać odmiennych zarządzeń, jeżeli nie chciał narazić się na zarzut, że rozmija się z zasadniczymi obowiązkami państwa, mianowicie z obowiązkiem ochrony własności i kultury, jedynie dla tego, żeby brnąć dalej i jawnie w przewrotnej polityce, zmierzającej ku materialnej ruinie szlachty i podtrzymywaniu waśni społecznej po wsiach.

Skorzystał przytem hr. Gołuchowski ze sposobności, aby z naciskiem podnosić potrzebę rychłego załatwienia sprawy serwitutowej. „Widzę się spowodowanym — pisze do ministra — zwrócić uwagę Waszej Ekscellencyi na nadzwyczaj nagłą potrzebę ostatecznego uregulowania stosunków serwitutowych, i zanieść prośbę o wydanie w tej mierze potrzebnych zarządzeń, gdyż długie zwlekanie wśród obecnych stosunków z jednej strony utrudniało-by właścicielom dóbr należyte odgraniczenie i zagospodarowanie lasów na szkodę kultury krajowej, a z drugiej strony narażało-by lojalne usposobienia włościan i po części także spokój kraju na niebezpieczne następstwa. Włościaninowi bowiem, obecnie wolnemu od ciężarów, bardzo się podoba dalsze używanie służebności, których zniesienie, zapóźno dokonane, uczuły-by bardzo przykro, a wywołane tem niezadowolenie mogło-by być wyzyskane do spowodowania zaburzeń. Zatrzymanie służebności wywołuje dalej niezadowolenie i głośne skargi właścicieli dóbr na rząd, z powodu

niesprawiedliwego postępowania. Rząd bowiem zniósł odrazu pańszczyznę i ciężary poddańcze, a wynagrodzenie za to nastąpi może dopiero po upływie lat, wskutek czego właściciele dóbr są upośledzeni wobec poddanych, utrzymanych w posiadaniu służebności. Polityka nakazuje usunąć przynajmniej ten powód do skargi, i traktować właścicielei dóbr sprawiedliwie, jeżeli-by już nie można było zmienić ich w przyjaciół rządu. Rychle uregulowanie służebności, mianowicie co do poboru drzewa, jest zresztą bardzo potrzebne ze względu na materyalne interesa ludności włościańskiej. Jest to bowiem fakt niewątpliwy, że w tych powiatach kraju, gdzie mało jest lasów, gdzie zatem włościanin od dworu kupować musiał potrzebny zapas drzewa opalowego, lud wiejski jest pracowitszy, aniżeli w okolicach leśistych, gdzie prawo poboru drzewa wykonywane było zazwyczaj w szerokim rozmiarze, a natomiast pańszczyzna była nieznaczna, gdzie zatem nie zachodziła potrzeba zarabiania na materyał opalowy. Uregulowanie służebności sprowadzi niewątpliwie lepsze stosunki także i w tych ostatnich i liczniejszych okolicach, gdyż włościanin w ten sposób pozna i należycie oceni wartość swojego największego kapitału, to jest siły roboczej, z której tem wydatniej może korzystać, ile że obecnie, uwolniony od pańszczyzny, używać jej będzie wyłącznie na swój pożytek“.

Nazwać to można istną ironią losu, że przeprowadzenie tak dorywczej, wprost partackiej reformy, jaką stanowiło zniesienie pańszczyzny przez rząd z odroczeniem regulacji służebności i wymiaru indemnizacji w nieokreśloną przyszłość, przypadło w udziale właśnie hr. Gołuchowskiemu, autorowi projektu z roku 1846, który umorzyć mógł odrazu całą sprawę pańszczyźnianą wraz ze służebnościami w sposób, zapewniający interesom społecznym kraju wszechstronne, a jego interesom gospodarczym równomierne zaspokojenie. Trzeba ubolewać nad losem hr. Gołuchowskiego, że się znalazł w takim położeniu, ale trzeba to zarazem zapisać w historyi Galicyi, jako szczęśliwe zrządzenie losu, że on właśnie, a nie kto inny, miał dzieło to przeprowadzić, i w przeprowadzeniu samem mógł nie jedno złe uchylić, lub zmniejszyć, a nie jedno dobre uwydatnić w praktycznym znaczeniu, lub zasłonić przed zawistną grą wypadków i stosunków. Kto-by się podjął napisania monografii o sprawie pańszczyźniano-serwitutowej w Galicyi, znalazł-by nietylko w samem brzmieniu ustaw i rozporządzeń, tyczących się tego przedmiotu, lecz także w szczegółach ich przeprowadzenia i wogóle postępowania organów wykonawczych, obfity materyał do ujemnej krytyki całego dzieła ze stanowiska prawnego, gospodarczego i społecznego wogóle, ale z pewnością nie znalazł-by się w tej krytyce ani jeden szczegół waż-

niejszy, który-by nie był przez hr. Gołuchowskiego, już w pierwszej chwili po wydaniu cesarskiego patentu, spostrzeżony, lub przewidziany i przedstawiony w relacjach do ministerjum, lub w bezpośrednich memoryałach do cesarza, z mniejszym, lub większym skutkiem, lecz zawsze nie bez korzyści tak dla bezpośrednio interesowanych, jak i dla kraju. Memoryały hr. Gołuchowskiego, wystosowane wprost do cesarza, Franciszka - Józefa, powstawały z okazji petycji, wnoszonych przez szlachtę do tronu tak wprost do Wiednia, jak i w czasie pierwszego pobytu monarchy w Galicyi (1851), bezpośrednio na Jego ręce.

Od znanego szlachcie galicyjskiej i cenionego przez nią projektu hr. Gołuchowskiego w sprawie pańszczyźnianej z roku 1846, najwięcej odbiegiał patent cesarski z roku 1848 o zniesieniu pańszczyzny co do sprawy serwitutowej, która też najwięcej teraz niepokoiła ziemian. Podczas, gdy projekt hr. Gołuchowskiego nie tylko jasno określił wysokość i sposób spłaty indemnizacji, lecz nadto, ze zniesieniem ciężarów poddańczych łączył tak ściśle sprawę służebności, że miała ona stanowić razem z indemnizacją jedną i jednolicie zakrojoną reformę, patent ów pozostawił interesowanych w zupełnej niepewności co do wysokości i terminu spłaty indemnizacji, a wykupno, względnie uregulowanie służebności, pozostawił w zawieszeniu, zastrzegając tylko wydanie osobnego rozporządzenia w tej mierze, na co Galicya później czekać musiała pięć lat, biorąc za kres wyczekiwania samą datę owego rozporządzenia. Skoro powrót do pierwotnego projektu był absolutnie wyłączony, hr. Gołuchowski dążył przynajmniej do tego, aby zapowiedziane osobne rozporządzenie o służebnościach jak najrychlej zostało wydane, i aby w niem nie odżyła tendencya staro-austriackiego systemu biurokratycznego do zatrzymania „kości niezgody domowej“, która, jak to w kilkanaście lat później (1868) sam powiedział w sejmie, dając obraz postępu wykupna i regulacji służebności, „przez wiek cały niepokoiła i rozdrażniała umysły najliczniejszej warstwy społeczeństwa“. A obawa pod tym względem nie była płonna, gdyż w wydanych do roku 1850 kilku normach prawnych, tyjących się indemnizacji i służebności, raz na pierwszym miejscu wymienione było „wykupno“, czyli zniesienie, a na drugim miejscu dopiero „regulacja“, za innym razem zaś regulację wysuwało na pierwszy plan, a wykupno wskazano jako dalszą ewentualność. W sferach ministerjalnych może miano na myśli tylko niemieckie kraje koronne, więc nie zdawano sobie sprawy ze stanu rzeczy, jaki-by musiał być powstać w Galicyi wraz z pozostawieniem organom wykonawczym i interesantom swobody w wyborze jednej z tych dróg, a jeszcze więcej w takim razie, gdyby za główną zasadę przy-

jęto regulację, a dopiero następnie wykupno służebności. Sprawa serwitutowa była-by w takim razie pozostała zawsze „kością niezgody domowej“, gdyż, pomijawszy nawet trudności nadzwyczajne, połączone z regulacją wobec nieufności i nienasyconej na tym punkcie chciwości włościanina ze szkoły dawnego systemu rządowego, stan rzeczy pod względem społecznym i ekonomicznym pozostał-by był po regulacji niemal takim, jakim był przedtem. Wszędzie bowiem dwór miał-by obok siebie gminę jako zawistnego sąsiada z niezaspokojenemi uroszczeniami, z pretensjami, przy regulacji wrzekomo niesprawiedliwie załatwionemi, z chęcią i gotowością do samowolnego poprawienia tej regulacji przez dalsze wdzieranie się w lasy i na pastwiska dworskie i t. d. Wszakżeż nawet mimo przyjęcia wykupna za zasadę, „lisy i pasowyska“ były potem tak długo palącą raną na organizmie społecznym Galicyi, a w pierwszych wyborach do ciał reprezentacyjnych pod tem hasłem działały z powodzeniem po wsiach wszystkie żywioły wywrotowe.

Czy głos hr. Gołuchowskiego, dobitnie podniesiony w tej sprawie w dwóch przedstawieniach, wprost do cesarza wystosowanych (25 grudnia 1851 i 10 stycznia 1852), w sposób rozstrzygający zawazył na szali, czy tylko łącznie z innemi głosami, może z innych krajów w tej sprawie podniesionemi, na to pytanie chyba w archiwach ministeryalnych znaleźć-by można pewną odpowiedź. Faktem jest jednak, że pod tym względem rozporządzenie ministeryalne z 5 lipca 1853 roku, normujące całą akcyę serwitutową, było już jasno sformułowane w duchu przedstawień hr. Gołuchowskiego.

Nie tak pomyślnie poszło z dalszemi przedstawieniami szlachty, które hr. Gołuchowski również gorąco poparł i szeroko zakrojonym wywodem historyczno-prawnym uzasadnił. Tyczyło się to mianowicie uwzględnienia odrębnej natury prawnej służebności w Galicyi. Znaczna część tych uprawnień, które w innych krajach koronnych miały charakter służebności, stanowiła w Galicyi co do prawnej genezy swojej tylko ustępstwo, przyznane przez dwory z łaski, lub dobrej woli na prośby poddanych. Z posiadania tego rodzaju (praecario modo) nie urosły prawa, które-by dawały tytuł do wykupna. Zdanie to, oparte, jak powiedzieliśmy, na szeroko zakrojonym, staropolskie urządzenie prawne w tej mierze szczegółowo objaśniającym, wywodzie, poparł Gołuchowski w końcu tym najdobitniejszym argumentem, że, jak stwierdzić się zdaje z aktów urzędowych, rząd austriacki, po zajęciu w Galicyi, sam w ten sposób traktował służebności, które zastał w dobrach królewskich. Sprowadzając wyniki, wysnuwające się z tego poglądu — w danych stosunkach z konieczności — do miary minimalnej, hr. Gołuchowski ograniczył się do żądania, aby normy pra-

wne o wykupnie i regulacji służebności wydane zostały przed rozpoczęciem akcji indemnizacyjnej. W ten sposób chciał hr. Gołuchowski zapobiedz, aby ta druga nie przesądzała o pierwszej, czego szlachta słusznie obawiać się mogła ze względu na wszczepioną w ciągu kilkunastu lat w biurokracyę galicyjską dążność do odgrywania opiekuńczej roli wobec poddanych, a tem samem do tłumaczenia wszelkich wątpliwości o prawnych stosunkach posiadania pomiędzy dworem a gminą na korzyść drugiej, chociażby nawet z oczywistą krzywdą dla pierwszej strony.

Nie utrzymał się hr. Gołuchowski z tem żądaniem w Wiedniu, bo tam wpływ jego, jakkolwiek od roku 1849 już znacznie zwiększony, nie dorównywał jeszcze potężnym wpływom ministra Bacha, który w tym zakresie spraw ściśle przestrzegał tradycyi czasów kriegero夫斯基ch.

Kiedy hr. Gołuchowski w ten sposób pragnął sprawę serwitutową, jeszcze niezalutowaną, sprowadzić na tory równoległe z ekonomicznymi i społecznymi interesami Galicyi, w sprawie indemnizacyjnej, co do sposobu przeprowadzenia, zapadła już była stosowna decyzja dla poszczególnych krajów koronnych w szeregu rozporządzeń ministeryalnych z roku 1849—1850. Rozporządzenie, wydane w roku 1850 dla Galicyi, wywołało szereg skarg słusznych ze strony szlachty. Także i te skargi szlachty omówił hr. Gołuchowski w powyższej przytoczonych pismach swoich do cesarza z tego samego stanowiska i w tym samym duchu, jak sprawę serwitutową, a nadto z wyrazem żalu, że nie został powołany do obrad komitetu ministeryalnego, w którym projekt rozporządzenia, dla Galicyi wydanego, był szczegółowo rozbierany. Ten wyraz żalu przybiera chwilowo ton skargi na Bacha, o ile tylko takie podniesienie tonu wobec pierwszego ministra było dopuszczalnym w „najuniżeńszem przedstawieniu najwerniejszego ek. Namiestnika do Jego ek. Apostolskiej Mości“.

Przytaczamy ten ustęp pisma hr. Gołuchowskiego w dosłownym przekładzie, bo stanowi on niejako preludjum walki, która odtąd już otwarcie rozgrywać się zaczyna przed cesarzem Franciszkiem-Józefem, pomiędzy obu mężami stanu, których nazwiska, dziś już historyczne, stanowią marki dwóch ważnych okresów: Austrii centralistyczno-absolutnej (Bach) i Austrii konstytucyjnej (Gołuchowski): „Byłem wprawdzie,—pisze hr. Gołuchowski,—podczas zeszłorocznej, dłuższej obecności mojej w Wiedniu, wezwany przez ministra spraw wewnętrznych do udziału w obradach komitetu, pod jego przewodnictwem odbytych. Jednakże odbywało się już wtedy tylko drugie czytanie projektu ministeryalnego, a nie chodziło o obrady nad zasada-

mi, które już zamknięto. Oznajmiono mi, że pod tym względem sprawa jest już załatwiona. Odjęto mi tedy sposobność do objawienia zdania o tych zasadach“.

Petycyja szlachty, wypowiadająca obawy, do jakich powód dają liczne luki i wątpliwości w postanowieniach rozporządzenia ministerjalnego, nastręczyła hr. Goluchowskiemu dobrą sposobność do wypowiedzenia tego zdania, albo raczej do stanowczej krytyki rozporządzenia. Krytyka ta ujęta została w taką formę, że zarazem zapowiadała niejako wypełnienie luk i rozjaśnienie wątpliwości *via facti*, to jest przy przeprowadzeniu sprawy indemnizacyjnej, o ile to tylko w danych ramach ustawowych możliwem się okaże. Głównym punktem krytyki tej jest brak bliższego określenia kwestyi, jaki termin normalny ma być wzięty za dyrektywę przy odróżnianiu gruntów dominikalnych od rustykalnych. Wprawdzie, ściśle rzecz biorąc, pierwszych gruntów dwór, bez zatwierdzenia władzy, nie mógł wciąć do drugiej kategorii, ale już przy regulacyi pańszczyzny, w roku 1847, organa obwodowe, działające w tradycyjnym duchu tłumaczenia wszelkich wątpliwości na niekorzyść dworów, uznawały dowolnie grunta dominikalne, oddane włościanom przez dwór do czasowego tylko użytkowania, za rustykalne, chociażby nie było na to aktu z zatwierdzeniem władzy. Rozporządzenia indemnizacyjne nie tylko nie określały terminu, od którego grunta, w posiadaniu poddanych zostające, uważane być mają za rustykalne, lecz nadto dopuszczały późniejsze sprostowania w tej mierze.

Szlachta słusznie obawiała się, że, przy dawnej dowolności organów wykonawczych, może wskutek tego być wyzuta z prawa własności co do mnóstwa gruntów, które z dominikalnego obszaru pozostawiła poddanym do uprawy z łaski tylko, tak samo, jak niegdyś w ten sam sposób przyznała ustępstwa, zakwalifikowane teraz jako *slużebność*. Taka pod tym względem zapanowała obawa, że dwory wahały się wchodzić w tym zakresie w jakikolwiek stosunek z poddanymi, iż wołały grunta dominikalne, nie wzięte jeszcze pod uprawę, pozostawić odlogiem, aby tylko nie stworzyć sytuacji, wśród której dowolność organów mogła negować prawo własności. Hr. Goluchowski starał się uśmierzyć te obawy, zarządzając, aby operaty indemnizacyjne przygotowano w ten sposób, iż rozdział gruntów na obie kategorie, dominikalne i rustykalne, ma być dokonany według klasyfikacyi, przyjętej za podstawę dla prowizoryum podatkowego z roku 1850. Wprawdzie i ta klasyfikacya nie była ścisłą, jak wogóle nieścisłemi były wszelkie ówczesne wykazy gruntowe, ale w ten spo-

sób dwory były przynajmniej zabezpieczone przed dowolnością organów wykonawczych w prostowaniu wykazów. Co przed rokiem 1820 z obszaru dominikalnego zostało odstąpione, to już miało-by przepaść na zawsze, a co później dostało się w posiadanie poddanych bez zatwierdzenia władzy, to było-by odzyskane. Żeby to postępowanie należycie uzasadnić i zapobiedz dalszym rozporządzeniom wiedeńskim w kierunku dawnej dowolności obwodowej przy protegowaniu poddanych, dodał hr. Gołuchowski w powyższem przedstawieniu swoim do cesarza następującą uwagę, która, ze względu na późniejsze koleje sprawy indemnizacyjnej i funduszy indemnizacyjnych, mianowicie na późniejszą pretensję skarbu państwa do Galicji, umorzoną dopiero niedawno dzięki forytowanej przez cesarza ugodzie między rządem centralnym a sejmem galicyjskim, świadczy o zdumiewającej przezorności autora: „Z temi uzasadnionemi, mojem zdaniem, obawami szlachty łączą się jeszcze względy finansowe i polityczne, które przemawiają za modyfikacją wydanych postanowień. Między indemnizacją w Galicji i w innych krajach koronnych monarchii zachodzi ta doniosła różnica, że podczas, gdy w tych krajach poddani częściowo z własnych środków uiścić mają wynagrodzenie za zniesione ciężary poddańcze, w Galicji wynagrodzenie to państwo w całości przyjęło na siebie ¹⁾. Rozumie się, że poddani, osiedleni na gruntach dominikalnych, dążyli-by do tego, aby, według rozporządzenia ministerjalnego, uznani zostali za poddanych z następstwami posiadania gruntu rustykalnego. Możliwość bowiem uzyskania zupełnej własności bez niszczenia za to wynagrodzenia jest dla poddanych nadto pożądaną, żeby, wobec niejasności przepisów o gruntach, nie mieli skorzyszczać z nadarzającej się do tego sposobności. Dla Galicji jest to rzeczą szczególnie wielkiej wagi, aby poddanym dano należycie poznać całą doniosłość, a tem samem i całą wartość własności, gdyż przez to przywiedzie się ich do uznania, że obca własność tyleż jest warta, że dalej własność może być tylko z trudem i mozołem zdobyta i musi być poszanowana. Należy także przedewszystkiem zawarować wobec poddanych nietykalność umowy, tej głównej podstawy

¹⁾ Stało się to w roku 1848 dlatego, ażeby wśród sytuacji ówczesnej zabezpieczyć sobie nadal bezwzględną pomoc chłopów na wypadek wybuchu rewolucyjnego. Późniejsze rządy centralistyczne usiłowały hojny podarunek rządu zwalić na barki Galicji, i stąd powstała powyższa olbrzymia pretensja do galicyjskiego funduszu krajowego. (Przyp. autora).

społecznego pożycia, gdyż każde wstrząśnienie pod tym względem spowodowało-by najzgubniejsze następstwa dla moralności“.

W piśmie, wprost do cesarza wystosowanem, nie można było w sposób dosadniejszy wypowiedzieć ostrej krytyki dawnego postępowania organów obwodowych w sprawach pańszczyźnianych pod formą lojalnej dyrektywy pro futuro.

DR BRONISŁAW ŁOZIŃSKI.

PRZEKONANA.

P o w i e ś ć.

Moja najdroższa!

Listy twoje leżą na mem biurku, jako wyrzut. Chciałam je schować do szufladki, żeby mi oczu nie darły, ale resztką sumienia oparła się chytremu zamiarowi. „Schować i zapomnieć, że ona czeka, ślicznie niema co mówić“! Po raz nie wiem który gotowa jestem przyznać, że takiej egoistki, jak ja, ze świecą szukać. Piszę do Ciebie najczęściej wtedy, gdy już nie mogę pomieścić w sobie wrażeń; ale kiedy mi się nie chce, kiedy mię lenistwo opadnie, lub gdy pływam w rozkoszy, jak grzyb, duszony w śmietanie, to wtedy żadnej nie zadaję sobie fadygi, i najspokojniej ani ruszę palcem. Ślicznie! Nie, „najspokojniej“ — to już niesprawiedliwie. Wyrzucam sobie, wymyślam sobie, ale quand même faktem jest, iż drugi tydzień czekasz na wiadomość o mnie, i to po tem, kiedy ci tyle sensacyjnych rzeczy popisałam.

1) Patrz zeszyt sierpniowy.

Car pour être sensationnelles—elles le sont... Une vraie bombe, n'est - ce pas?

I doprawdy, aż się dziwię, że ty to tak spokojnie przyjęłaś. Spodziewałaś się tego. powiadasz. Wieszuję ci przenikliwości; ale to znaczy, że ze mnie półgłówkę, albo całkiem już bez głowy istota, bo ja się wcale nie spodziewałam. Co prawda, to ja rzeczywiście mam takie kombinacje, o pół mili od dnia bieżącego.

Mniejsza o to.

Więc robi ci to przyjemność? Moja poczciwa. Ty chyba się więcej cieszysz ode mnie.

Kiedy ślub?

Mój Boże, czy wiesz, wcale o tem mowy nie było. Doprawdy, ja nie wiem, czy my się mamy pobrać. Na to jeszcze czas będzie.

Ślub — co za idyotyzm.

Ja wiem. wiem. Społeczeństwo, ludzie tego nie tolerują, trzeba nałożyć na siebie jarzmo, bo inaczej świat życie zatruje, prosta formalność, której trzeba się poddać etc., etc.

Tak, tak.

Ale tymczasem świat jeszcze nie nam nie truje, bośmy jeszcze niczem przeciwko jego moralności nie wykroczyli — więc niema gwałtu.

Chciała-byś mnie widzieć już ustaloną, zrównoważoną, mającą kąt swój — powiedz odrazu: *flanquée d'un mari...* Moja złota, nie guiewaj się. Że też najrozumniejsza z kobiet wyzwolić się z pod jarzma przesądów nie może! Ty naprzykład, która powiadasz, że na złość pospolitej, zdawkowej zasadzie, iż panna za męża iść powinna koniecznie, gotowa jesteś nie iść za męża, aby dowieść, że kobieta istnieć i cel w życiu mieć może i powinna — pomimo i bez męża nawet — ty, najlogiczniejsza z kobiet, mnie jednak gwałtem chcesz wydać za męża, i niech tylko kto powie mi: kocham! już go traktujesz, jako mego przyszłego męża.

A, bo ty nie stworzona jesteś, aby brawować opinię. Ciebie cień brudu pozbawia przytomności, a przecież żyć bez miłości nie potrafisz.

Miłość — czy to brud?

Oto właśnie czuję się zdolną do wielkiej śmiałości, do bezczelności względem świata, jeżeliby chodziło o miłość. Uczucie nie płami.

Zamęczyła-byś się...

Tak sądzisz? Zdaje mi się, że gdybym kochała, ludzie i ich ukłócia nie dotykały-by mnie tyle nawet, co pylek, który z powietrza osiada, niedostrzeżony, nieważki.

Ale nie bój się, złota. Jestem śmielsza w teorii, niż w czynie. I od namiętności powstrzymało-by mnie nie to, co ludzie-by powiedzieli, ale to, co człowiek, który-by mnie wziął, czuł-by i myślał o mnie.

Uczucie bez sankcyi, bez cząstki świętości, która obecna jest w każdym akcie—bez ideału słowem, myślę, że spala się prędko.

Bala-był się, żeby mną nie pogardzał.

Co ja mam ci mówić więcej? Nie będę ci zdawała relacyi z dnia codziennego, bo były-by to nie listy, ale księgi miłości. Śmiała-byś się, ty poważna, ty spokojna, z naszego dzieciństwa i z naszych drobnych, drobnychszczęść i rozkoszy. Takie rzeczy w opisie będą śmieszne, lilipucie, podczas kiedy w życiu są one pełne uroku.

Pozwalam się kochać i pozwalam zawojowywać sobie duszę. Powiedziałam sobie: spróbujmy zamknąć oczy i umysł, i dać się unosić tylko wrażeniom i sercu. Serce istnieje—zobaczmy, czy może i u mnie, wbrew mym przewidywaniom—żyje i funkcjonuje. Nie rozumować.

Et voilà!

Nie rozumuję, i jest mi rozkosznie.

Nie mam lat dwudziestu sześciu, ale szesnaście. Zawód w miłości? Qu'est-ce que c'est que ça? Ja tego nie rozumiem, nie zdarzało mi się to nigdy w życiu. Mężczyźni zmienni są? Kto to mówił? Ja o tem nic nie wiem. Miłość trwa ce que durent les roses., A toż skąd ta wiadomość? Nie nie wiem!

Et voilà!

Co ja ci mam mówić, ja, która dobrowolnie oszukuję się, aby mózgić śnić rozkosznie. Zresztą, jestem wierną swej maksymie: chwila przyjemna? dajcie jej trwać, sama się skończy, jeżeli ma się skończyć.

Nie chcę nic wiedzieć, nic myśleć, nic rozważać.

Dobrze mi jest.

Czy ja go kocham?

Peu m'importe: dobrze mi z nim.

Czy on mnie kocha?

Cóż mnie to obchodzi, byle-by nie odchodził.

I nie pytajcie mnie o nie. Nie psujecie mi szczęścia.

Bo choćby to było złudzenie, choćby to był fałsz — to szczęście.

Czy to potrwa?

Ach! potrwa... potrwa... ale tymczasem trwa, jest, i jest pewne jak to, że słońce świeci.

Dość mi tego.

Niezdolna jestem zająć się teraz nawet tobą. A w liście twoim jest jakaś dziwna miękkość, jakiś subtelny odcień, który czuję, i który, jestem pewną, sprawia to, że odczuwasz mnie więcej, niż kiedykolwiek, i jesteś wzruszoną mojem szczęściem więcej, niż byłaś kiedykolwiek.

Co?..

Poczekaj, niech-no ja tylko znowu stanę się zdolną wyjrzeć dalej trochę, niż koniec mego nosa.

Tak czuję, że jestem nie dobra dla ciebie, że rzucam ci się na szyję i ściskam mocno, mocno, na przeprosiny.

Czy ja mogę teraz powiedzieć:

Twoja?

Powinnam mówić teraz:

Wasza

Elka.

Ej! Ej! Już ty mi poważnym tonem moralów nie praw, Janin srebrzysta, o moich przypuszczeniach co do affektów pana Karskiego. Nie mam racyi dopatrywać się w listach twoich jakichś odcieni, to-

nów, miękkości i t. p., i t. p. Naturalnie! Śmiej się ze mnie. „Nie brak zaufania i nie skrytość moja są tego powodem, iż ci nic w tej materji do doniesienia nie mam, ale po prostu to, że nic niema“. Tak, naturalnie! Ale powiedz mi, najdroższa, dlaczego tak ci zaraz przyszło do głowy, że ja, dopatrując się „miękkości“ w twoich listach, jak raz właśnie pana Karskiego miałam na myśli?

Bo wiesz, ja, doprawdy, nawet zapomniałam, że pan Karski egzystuje. Słowo daję!

I taka jestem głupia: wiesz, o czem w tej chwili myślę?

O mądrości, ukrytej w przysłowjach.

Naprzykład wczoraj rozprawialiśmy wiele o tem, jak to: „uderz w stół, a nożyce brzękną“. Albo: „na złodzieju czapka gore“. Już to może i nie wykwintnie, ale, dalibóg, mądrze.

‘Ty nie gniewaj się, że tak ni stąd, ni zowąd, zamiast tobą się zajmować, zajmuję się przysłowjami.

Zresztą, natychmiast się poprawię. Oto, wracając do pana Karskiego—répondez, chère dame, à cet interrogatoire:

1) Czy jakeście się poznali w Zermatt, on miał projekt spędzenia lata w Champex?

2) Czy rozmawiacie tylko o medycynie, szpitalach, doświadczeniach i o rozmaitych science'ach wyłącznie?

3) Czy on ci nigdy w oczy nie patrzy, nie mówił ci nigdy, jak masz ładną, zgrabną nóżkę? Czy nie widzi, kiedy masz nową suknię, i czy ci w niej do twarzy? Czy nie dowodzi, jak o całe niebo wyższą jesteś od wszystkich kobiet na świecie? Czy nie odkrywa w tobie samej rozmaitych zalet, talentów, nadzwyczajności, o których istnieniu nie miałaś pojęcia?

4) Enfin — o! wybacz, ale to niezbędne: czy nie całuje cię nigdy w rączkę?

Nie mam czasu pisać więcej, bo strach! jak jestem zajęta.

Elka.

Moja doświadczona, a wielce
sroga siostró!

Jestem przygnębiona twoją przenikliwością, i z pokorą biję się w piersi. Tak, słusznie zgadujesz, że te pytania miały zdradziecką intencję. Mea culpa! Tak, tobie oczy otwierać, ciebie uczyć, ciebie, taką doświadczoną niewiastę—masz rację: to dziki i śmieszny pomysł. Nie obrażam się nawet, żeś się śmiała z mego listu.

I wybaczam Ci nawet, że nie chcesz mi odpowiadać na moją dziecinną listę zapytań, bo jestem z listu twego strasznie zadowolona.

Nie gniewaj się!

Doprawdy, żart na stronę: wszystko, co się ciebie tyczy, tak mocno mię obchodzi, iż za cenę niedelikatności z mojej strony chciałam trochę wyciągnąć z ciebie wiadomości o panu Karskim, który mię intriguje swoją niezmienną obecnością przy tobie.

I wyznam ci, że dopiero wtedy właściwie była-bym zdziwioną i oburzoną, gdyby on, siedząc przy tobie tygodnie, w tobie się nie zakochał. Ty zaś nie była-byś sobą, gdybyś temu nie przeczyła. Więc przeczysz energicznie.

All right.

Wszystko w porządku.

Nie będę Cię tem już więcej nudzić, niech się wypełniają wyroki.

Piszesz mi, że wkrótce opuścisz Champex. Ależ chyba nie wracasz już do Paryża: w sierpniu tam najnieznośniejsze upały i najmniej możliwe powietrze.

Ale... ale... kiedyż pan Karski wraca do Lozanny, gdzie, jak mi pisałaś, ma posadę asystenta przy klinice oftalmologicznej profesora Dufoura? Zdaje mi się, że pisałaś mi również, iż pan Karski w jesieni wraca już do kraju i ma założyć w Warszawie własną lecznicę? Wiesz, co? Ty masz rację: on się w tobie nie kocha, ale po prostu stara się pozyskać dla swej lecznicy doktora do pomocy. Prawda?

Ach! ty się specjalizujesz w chorobach nerwowych, a on jest okuli-
stą... Właśnie, właśnie — to nic nie przeszkadza.

Dość na dziś, jestem strasznie zajęta.

H.

P. S. Ukłony ode mnie Jego Miłości panu Emilowi.
(Ładne ma imię).

„Moja najdroższa.

Czem jestem zajęta?

Robię portret.

Rien que ça.

Pierwszy portret w życiu.

Nic gorszego w życiu swoim nie popełniłam.

P. Stanisław zachwyca się.

On się na tem zna tyle, co...

Chciałam powiedzieć brzydkie słowo. To nie uchodzi.

Jemu mówię:

— Proszę pana, niech się pan z łaski swojej nie odzywa o mojej robocie. Naprzód nie zna się pan absolutnie na malarstwie, tak, jak ja np. nie znam się ani mrumru na minerałach. Po drugie, co bodaj ważniejsze, bo nie do wykształcenia—patrzy pan nie na płótno, ale na moją rękę... Żeby to jeszcze malowała jaka stara ciocia pana, to by pan może się i zdobył na jaki taki sąd—ale że to ja...

Przytem on się niemożliwie kręci przy pozowaniu. Co minuta wypada mi z pozy i zrozumieć nie może, że nie wolno mieć pałających oczu, wtedy kiedy się siedzi w spokojnej i zamyślonej pozie.

Mnszę mu tylko oddać sprawiedliwość, że cierpliwym jest, jak marzenie, to jest mogę poprawiać go, gniewać się, wymyślać, tu-
pać nogą, rzucać pendzle—wszystko znosi.

Ale zrozumieć, że portret mi nie idzie, i że to nie mój rodzaj, nie!

I czego się irytuję!

Bywają chwile, kiedy przez jedno mgnienie oka myślę: czyżby więcej było we mnie artystki, niż kobiety? Nie, po tysiąc razy nie!

Jestem szczęśliwa.

Wczoraj deszcz był, jak na sierpień, trochę oryginalny, bo chłodny, siekący, z akompaniamentem wiatorku i szaremi chmurami na niebie. Siedzieliśmy w salonie wszyscy razem, ale jakoś wkrótce stadko nasze się rozpełzło: wuj z chłopcami zasiedli do wina, ciocia poszła doglądać kwaszenia ogórków, Jadzia z p. Ludwikiem została w salonie—oboje odcyfrowywali jakąś partycę wagnerowską—więc skinęłam na pana Stanisława i wymknęliśmy się do mego pokoju.

Czy nie wspominałam ci nigdy, że pokój mój jest niezmiernie przytulny, i na tutejsze warunki i gusta oryginalny, bo niby pracownia malarska urządzone. Sama wszystko poustawiałam: jest niezłe, brakuje mi tylko moich paryskich rzeźb i bibelotów. Nawet kominek jest.

Powiedziałam Stachowi, aby zaczekał, i polecałam do kuchni; sprowadziłam Kaśkę z całym stosem drzewa w ramionach i wkrótce wspaniały ogień buchnął na kominku.

Stach zachwycony wołał:

— Świetny pomysł. Co za rozkosz. Żeby tylko kto nie wlaźł do nas...

Zgromiłam go surowo, więc zrobił pokorną minę i na przeprosiny uwięził obie moje ręce w swych dłoniach.

Je ne manque pas des expedients, tu sais...

— Suknia się zapaliła!

— Co, gdzie!

Ani myślała się zapalać naturalnie, ale ja, uwolniona z niebezpiecznych więzów, ani dbałam, że robi zawiedzioną minę.

Przysunęliśmy fotele do kominka i dawaj zapatrywać się w ogień.

Pałący się ogień to żywa istota.

Mieni się, formuje w kształty, zapada się, syczy, gawędzi...

P. Stach—jak jestem w dobrym humorze, to go tak nazywam— przysunął swój fotel jak można najbliżej do mojego, i w wielkiej tajemnicy mówił mi:

-- Jesień jest, chłodno, wiatr na dworze, aż dusza kostnieje, a my tak sobie, u siebie w domu swoim, siedzieć będziemy przy ogniu i kpić z zawieruchy. Kiedy to będzie?

Wzruszyłam ramionami z uśmiechem.

— Teraz, prędko, za trzy, za dwa miesiące... tej jesieni... prawda?

— Nie wiem.

— To trzeba wiedzieć. Tej jesieni... tej jesieni—dobrze? wtedy malutka pani moja nie będzie... o! tak odsuwać się ode mnie.

— Będę.

— Ot, nieprawda. Czy ja wtedy pozwolę.

— Oho! pozwolę! Mnie trzeba słuchać.

— Ja będę prosił, błagał i pani moja będzie grzeczna, posłuszna.

-- Nie.

— Nie kocha mnie?

Milczę, aby milczeć.

On odsuwa się trochę ode mnie.

— Dlaczego pani nigdy nie chcesz powiedzieć, czy mnie kochasz? Mnie tak chwilami dzikie myśli przychodzą do głowy; a może ty mnie nie kochasz!

— Nie kocham.

— To nieprawda!

— Więc po co mam mówić, jeżeli pan lepiej wie ode mnie.

— Pan! Brr... jak ja tego słowa nie lubię. Zdaje mi się wtedy, że ktoś mnie brutalnie chwyta za ramię i mówi: idź precz! to już nie twoje miejsce. Nie każesz mi nigdy iść precz?

— Nie wiem.

— Czy ja mam wszystko za ciebie wiedzieć.

— I owszem.

— To tak? A to świetnie. Więc ja sobie będę rządził.

— Dopóki ja nie zaprotestuję.

— O! ja wiem, że moja pani kapryśna, ale ja nie zasłużę na protest.

— Taki pan będzie słodki?

— Jak miód! Zobaczysz pani. Więc w jesieni?

— Mój Boże, że też panu tak pilno nałożyć na siebie jarzmo małżeńskie.

— Ty zawsze tak mówisz o małżeństwie, ale na seryo tego nie myślisz.

— Tak myślę na seryo.
 — Nie. Ja panią znam dobrze .. nie uśmiechaj się drwiąco... i wiem, co się kryje pod lekkomyślnymi i często gorzko sceptycznymi twymi słowami. Ale wyznam szczerze, że są rzeczy, które wołał-bym, abys traktowała z większym zaufaniem.

— Np. małżeństwo?

— Mnie się zdaje, że małżeństwo jest piękną i poważną instytucją społeczną, która nie jest ani jarzmem, ani niewolą, jeżeli jest dobrowolnym i uczciwym związkiem dwojga kochających się osób.

— W teorii.

— I w praktyce, jeżeli tych dwoje kocha się naprawdę.

— A jak przestaną się kochać?

— Dlaczego mieli-by przestać... Zresztą zostaje zawsze przywiązanie, i szacunek, i przyjaźń, jeżeli tych dwoje jest parą dobraną. A potem są i obowiązki, są wspólne cele, jest droga już w części przebyta razem, kawał życia, który łączy nierozzerwalnie dwie dusze, jeżeli to są dusze szlachetne i czujące...

— Jeżeli, właśnie! Jeżeli to są dusze czujące, szlachetne i dobrane, przedewszystkiem dobrane.

— Widzi pani moja: zgadzamy się z sobą.

— Na tym punkcie jak być powinno. A tak, jak być powinno, bywa tak rzadko w życiu.

— Trzeba być trochę optymistą, aby być silnym i pewnym.

— Aby być silnym i pewnym trzeba być szczęśliwym.

— Ten frazes tak ciebie tłómaczy... Malutka moja, czy ja potrafę wrócić ci spokój? czy zmęczona twoja dusza odpocznie trochę przy mnie? Czy to nie jest zarozumiałość z mojej strony, że chcę, abys się na mnie oparła? Takbym chciał mieć już prędzej prawo nazwać cię moją. O, widzisz: miłość nie daje mi praw społecznych do ciebie, zaś małżeństwo pozwoli mi chronić cię, strzedz i opiekować się tobą jawnie, przed światem całym... nie protestuj: ja wiem, że jesteś niezależną i pozostaniesz swobodną, ale też moja opieka ciężyć ci ani ubliżać nie będzie, i pomyśl: o ile lżej jest żyć, nie będąc samotną. Świat ma swoje wymagania, które należy uszanować.

— Bo inaczej mści się złośliwie.

— Kto wie, czy tak nie trzeba? Ja sam jestem rzecznikiem swobody, ale czasem jest dobrze, jeżeli ta swoboda ujęta jest w pewne formy.

— Cała kwestya, czy formy dobre...

— Póki niema lepszych... Zresztą teraz małżeństwo przedstawia mi się jako forma najlepsza z rajlepszycch, ponieważ ma dać mi ciebie.

— Daje mnie panu nie małżeństwo, lecz miłość.

— Nie będę się sprzeczał: jeszcze wolę, że to miłość. Byle-bys mnie zawsze kochała.

— Voilà. Bo jak przestanę...

— To będzie nieszczęście.

— A jeżeli pokocham innego?

— To będzie jeszcze większe nieszczęście.

— Czy pan sądzi, że pana wtedy zdradzę?

— Nie. Nie wyobrażam sobie, abyś mogła zdradzić.

— A co-bym mogła wtedy zrobić?

— Nie wiem.

— A co-by było, żeby pan mię przestał kochać?

— Ja? Nie wyobrażam sobie, żebym mógł cię przestać kochać.

— Ale jeżeli?

On zaśmiał się, jakbym pytała się go o coś nieprawdopodobnego, a potem wziął moje ręce w swoje dłonie i przytuliwszy do nich usta, powiedział:

— Nie będziemy o tem mówili, dobrze, malutka? Nie wiemy oboje, co być może, co się stanie, ale ja nawet zastanawiać się nad tem nie jestem zdolny.

Jak ty ciągle rozumujesz, zamiast czuć.

On ma rację.

— Biedna pani moja maleńka!

On ma rację.

On ciągle ma rację i czuję się w porównaniu z nim rzeczywiście taką maleńką i taką głupiotką ze swemi zdaniem, przekonaniami, doświadczeniami życiowemi, i taką śmieszna z swemi dziwactwami, ze swemi nerwami...

Robię na tobie pewno wrażenie waryatki. Czy nie zbrzydło ci wyczytywanie tych całych rozmów, które bez żadnej ceremonii żywcem przenoszę na papier. I to się nazywa list do ciebie.

Ale wszak to cała istota moja, wszystkie uczucia, myśli, — cała dusza.

Daję ci siebie w tych kartkach.

Daję ci więcej niż Stachowi, więc nie jesteś zazdrosną o niego, najdroższa?

Nie wiem, jak pogodzić te dwa uczucia w mem sercu. Musicie się teraz porozumieć z sobą i oboje pomieścić się tam, gdzie zdaje się było tylko locum dla ciebie, jedyna.

Czy nie dotyka to ciebie?

Jestem ciągle niby we śnie. A może mię kto zaczarował? A może mnie się to wszystko tylko zdaje?

H.“

„Moja jedyna!

Staję się teraz sentymentalną aż do ekliwości. Tak dłużej być nie może. Cała moja indywidualność buntuje się przeciwko temu. Co się stanie z moją brawurą, z mojami paradoksami, z moim paryzaniem i fin de sièclem?

Słyszę jak wołasz:

— Chwała Tobie Panie na wysokościach!

Nie ciesz się zawczasu, srebrzysta.

Uważasz, jeżeli mam, jak cię, stuliwszy uszy, milczeć i pozwalać się napychać słodyczami, aż do niestrawności, to w końcu zrobi się ze mnie taki moralny pantofel, że dusza moja z obrzydzenia udławi się. Bo w takim razie co ja mam myśleć o życiu, ludziach, faktach, uczuciach? Nie przypuszczałam, a raczej przekonałam się dawniej, że to nie sielanka.

A teraz? Co ja mam robić? Replacer tout ça. Bo jest prawdziwa idylla. Więc gdzie się wtedy podzieje moje „ja“ i jakież to będzie „ja“! une reproduction, mais pas un être.

W mądrej głowie swojej mam rozmaite myśli, z których ani ty, ani p. Stach, nie bylibyście zadowoleni. Powiadam ci: albo ja się myliłam, i wtedy czuję się tak upokorzoną, iż najśłodszy ton najśłodszego frazesu pana Stacha nie zdolen jest mię udobruchać, albo teraz się myślę i to wszystko jest fałsz.

Nie mogę z tych dwóch kombinacji wyciągnąć takiej, która-by dała mi nadzieję wyjścia z tego błędnego koła.

„Nie rezonować i basta! bo tak mi babcia mówiła, kiedy się sprzeczałam—powiada Stach.

Jak kto jest taki mądry, że zawsze może robić to, co sobie obmyśli za dobre—a! to wieszuję.

Ja, nie.

Wstyd mi swego szczęścia, bo to jest najstraszniejsza niekosekwencya mego życia.

Voyons un peu: un nouveau spectacle à grand tra la la dans une boîte vidée...

Ale mniejsza o to.

I najgorzej mię martwi moja przewrotność.

Czy sądzisz, że ja mówię jemu cokolwiek o tem, co przechodzę? Gdzież tam! Nous filons le parfait amour i on wygląda jako ten naiwny młodzieniec, który w damie swego serca widzi samą wiosnę.

Przecież nie zostawię go w tem przekonaniu. Muszę powiedzieć mu, że nie jest pierwszym w mojem życiu.

Widzisz, Janiu, ty rozumiesz, że to zatruwa mi rozkosz, gryzie mię, gryzie...

I wyrzucam sobie całą świeżość uczucia, do którego czuję się, niestety! zdolną, albowiem jest to policzek, wymierzony mojej przeszłości.

I on musi o tem wiedzieć.

Miłość się apoteozuje, stawia się ją w świątyni, sztuki i poezya składają jej hołdy; ale mężczyzna kobiecie nie przebacza nigdy, jeżeli miała nieszczęście żyć, myśleć i czuć przedtem, zanim go poznała.

I widzisz, Janiu, ja czuję, że jeżeli się on odwróci ode mnie, to mnie to zaboli, zaboli...

Czyż on nic nie wie?

On, który tyle słyszał o mojej kokieteryi, o moich flirtach, powinien się domyślać.

Powiem mu.

Każda chwila upojenia, którą przeżywam u jego boku, jest nieprawnie zdobyta.

Popelniam kradzież.

.

Pytasz, czy nikt o niczem nie wie?

Nikt.

Ja myślę, że krążą już nie tylko w domu u nas, ale i w okolicy domysły. Ale napewno nikt nie wie. Porozumiewaliśmy się w tej kwestyi: po co sobie mają nami ludziska głowy zaprzętać i losem naszym się zajmować. My sobie sami damy radę.

Choć Stach powiedział mi któregoś dnia:

— Oto! wielkie rzeczy. Ja gotów jestem na placu stanąć w wielkiem mieście i krzyżeć:

— A moja! moja jest! i żebyście wiedzieli, aha!

Bardzo mu wdzięczna jestem za to bohaterstwo, ale wołę nie skorzysać z tego świętego zapалу.

Ja jeszcze muszę się z nim rozmówić.

Bo choć zdaje mi się, że nie jestem ani przewrotna, ani nieśmiała i nieraz gorzkie alluzye do swej przeszłości głośno czyniłam, ale zakochani są czasem dziwnie niepojętni i głusi, tak jak są ślepi nieraz na oboje oczu.

Więc trzeba wyciągnąć na światło boże wszystkie moje przestępstwa.

Spowiedź, co?

Dobrze to ironizować, patrzeć z boku na czyjeś udręczenie, ale jak o własną skórę chodzi...

Robak gryzie.

Życie! życie!

Do każdej czary nektaru wlewa przeznaczenie kroplę piekielną. Stare to jak świat, ale to tak, jak miłość:

Es ist eine alte Geschite, doch bleibt sie immer neu!

Elka."

Słuchaj, czy chcesz wiedzieć, jak to się odbyło?

Siedzieliśmy nad brzegiem rzeki, która, czerwona i złocista, u stóp naszych leżała. Słońce bowiem zachodziło i kolorowemi, metalowemi blaskami stroiło wodę, a samo, wśród poszarpanych, ciemnych, stalowych obłoków, uciekało rozpłomienione.

Orgia kolorów przed zapadającym mrokiem, którą-by może mój pendzel odtworzył, ale nie pióro.

Sami, bo coraz częściej chodzimy na spacery we dwoje. Jak to się robi, sama już nie wiem, ale się robi i mamy coraz więcej swobody, i ciszy, i samotności dla siebie.

Siedzieliśmy na ławie dłoni w dłoni.

On mi mówił:

— Za chłodna jesteś dla mnie, ale taka świeża i czysta, że nie śmiem wyznać ci, że nieraz zapach twych sukien odbiera mi zmysły... Czy dotknąłem cię tem wyznaniem?

Spojrzałam mu ostro w oczy.

— Nie, — rzekłam sucho.

Ale on jest jak mimoza.

— Co tobie?

— Proszę cię, odsuń się ode mnie, puść moje ręce, nie obejmuj mnie ramieniem i nie patrz na mnie temi oczyma.

— Dlaczego?

— Bo chcę ci powiedzieć, że nie jesteś pierwszym w mojem życiu, i nie wiem, jakie to na tobie zrobi wrażenie.

— Dlaczego mi mówisz o tem?

— Jakto, dlaczego? Nie chcę pana oszukiwać.

— A ja nie chcę nic wiedzieć! — zawołał gwałtownie.

Odwrociłam głowę i zamyśliłam się mocno.

Czy jest tak słabego ducha, iż zajrzeć w oczy niebezpieczeństwu nie ma siły?

On wstał, odgarnął włosy z czoła, usiadł znowu. Głos jego był tępy trochę, kiedy mówił dalej:

— Ja wiem, że taka, jak ty, kobieta, nie mogła przejść przez życie nietknięta niczyjem uczuciem, lub pożądaniem. Domyślałam się, iż w życiu twojem była miłość... była może namiętność... choć, czy ja wiem! może nie?

Zatrzymał się chwilę, jakby czekając odpowiedzi ode mnie, ale trwało to sekundę, i ciągnął dalej:

— Nie mów mi nic! Ja jestem tylko mężczyzna, nie ideał. I choć rozum mi każe przejść po nad wszystkim i wszystko przebaczyć, ale gdybym wiedział dokładnie... ty wiesz, zazdrość wybucha we mnie czasem gwałtownie... Ja-bym się mógł zapomnieć i ubliżyć ci, a ty, ty przecież nie byłaś i nie będziesz nigdy zdolną popęlnić nic moralnie brudnego.

— Więc przeszłość moja...

— Nie mów mi nic! Ja nie mam prawa sądzić twej przeszłości, przecież nie byłaś wtedy moją. A rozumiem życie i jestem o tyle mocny, że przyjmuję to, czego zmienić nie mogę. Czy kochasz mnie?

Pochylił się do mnie łagodnie, miękko.

Siedziałam milcząca, niezdolna słowa przemówić i lzy, których powstrzymać nie miałam siły, spływały z wolna po mej twarzy.

On pochylił się więcej jeszcze.

— Nie płacz. Będziesz mi tem droższą, im więcej poświęcić ci będę musiał. Kochał-bym cię nawet... nawet... Ale nie! to ja jestem twoim dłużnikiem. Przeszłość twoja jest może bolesną, ale dusza twoja pozostała czysta i szlachetna. Nie mówmy już o tem, małutka.

.

I ja nie mam kochać tego człowieka? Nie mam mu oddać wszystkich myśli swoich, całej zdolności serca swego? Aa... cóż ja mam w życiu i kim jestem, abym skarbem takim pogardzić miała!

I robię w duszy postanowienie: ten człowiek przeze mnie nigdy cierpieć nie będzie, albo ja to życiem przyplacę.

H.

Nie, złościutka moja, szczęście jest najlepszem, najszlachetniejszym na nerwy lekarstwem. Nie obawiaj się egzaltacyi z mojej strony, nic mi nie będzie. Ale sama przecież przyznajesz, że to złoto, nie człowiek. Tak, masz rację: tout comprendre c'est tout pardonner, ale któryż na to się zdobędzie? Kocha mnie nie egoistycznie, prawdziwie, z nieporównaną delikatnością. Sama to mówisz. A widzisz? I ja mam się nie egzaltować?

Ale już nie! już nie!

Jestem spokojna i staram się być dobra, równa, łagodna.

Pytasz mię, czy wreszcie przestanę rezonować i rozmaite kwestye wytwarzać. Chcesz, żebym pozwoliła dniom płynąć spokojnie i zesła trochę z koturnów.

Owszem. On się sam do tego przyczynia. W życiu codziennem ma taki nieporównany humor, taką pogodę ducha, iż najchmurniejsze oblicze rozchmurzy i wypogodzi. Ja nie umiem ci tego opowiedzieć, bo to są drobiazgi, ale faktycznie, takie drobiazgi nieraz nadają ton wszystkim chwilom życia.

I ja z nim jestem prawie tak, jak dawniej, kiedy był tylko dla mnie kandydatem na wielbiciela! Pojmujesz ty tę monstrialność. Traktuję go, jakbym królową była, podczas kiedy dusza się we mnie rozplywa ze wzruszenia, i kiedy pełno jest we mnie wdzięczności dla niego. Oto jest zuchwałość kobieca! Pozwalam mu się uwielbiać i łaskawie przyjmuję jego hołdy! Pozwalam się zdobywać—ja, która niewolnicą jego jestem.

Tylko że on tego nie wie, i może w tem właśnie moc moja.

Ale co za bezczelność z mojej strony, co za bezczelność!

Pojmujesz, że jednak to wszystko nie przeszkadza mi trzeźwo patrzeć na rzeczy, i ostatecznie powiadam sobie: mój Boże, jeżeli to jemu robi przyjemność, że jestem królową—tant mieux, ja również to wolę...

I przyzwyczajam się do tej myśli, że wszystko jest w porządku, i że tout est pour le mieux dans le meilleur des mondes possible.

Ty mi doradzasz, abym nareszcie namyśliła się i postanowiła coś na przyszłość. „Nie rozumiem, dlaczego mieli-byście zwlekać. Bardzo mi się podoba jego zamiar: w jesieni. Świetnie-by było: ja przyjadę

na twój ślub, odwiedzę was wszystkich przy tej sposobności, będzie wielka uroczystość i wielkie szczęście“.

Myśl sobie co chcesz o mnie, ale ja sobie nic tych uroczystych rzeczy nie wyobrażam. Pewnie, że to się tak skończy, ale teraz ja jestem en pleine idylle. Wszystko, co ziemskie, formalne, matrymonialne, jest tak dalekie ode mnie... Nie jestem w stanie myśleć o tem. Oboje zapominamy, że nas czeka, musi czekać ślub et tous les ennuis qui s'en suivent. Dajcie tymczasem nam pokój. Czy jest na świecie co innego, niż lato, Stach i ja? Przyjdzie jesień — no, jak przyjdzie, to wtedy zobaczymy, co będzie. Więc pojmujesz, że nic nie wiem, co zrobić z mem mieszkaniem i pracownią w Paryżu. Niech będzie — to najprostsze. Nie dawaj congé, nie śpiesz się, czy ci tak chodzi o to, żebym nie zbankrutowała, opłacając zbyt wysokie komorne? Mniejsza o to. Jakoś mi się w głowie pomieścić nie może: jakto? Więc mam nie wrócić do Paryża? Więc skończyła się moja latanina do Akademii, więc finis moje kopie w Luksemburgu, moi koledzy, moje flâneries en quête d'impressions artistiques, moje środy takie ożywione... Nie będę kokietowała mego cher maitre. Jakże to? Jego, który mnie tak zachęcał do wystawienia w Salonie na przyszły sezon i obiecał mi protekcję? Czy ja sobie dam radę bez niego? Wyrzec się wszystkich moich wielbicieli, nie flirtować z Julkiem, mym przyjacielem pomimo to, że się niby we mnie kocha. Kiedy mi mówił impertynencye, wiedziałam, że nie powinnam go więcej drażnić, bo to już szczyt tego, co mi dać może. Miałam słabość do niego i przebaczałam mu wszystko.

To skończone. Co jeszcze? Kto jeszcze?

Gdzie ja żyć będę, w jakim otoczeniu, jak?

List twój naprowadza na mnie ździebełko spleenu. Ale małe, chne ździebełko. Nie jestem w stanie nie żałować. Stach ma posadę w Kijowie i mówi, że to niesłychanie malownicze miasto. Więc i ja mam być w Kijowie? Nic a nic sobie tego nie wyobrażam.

Jakto, więc ciągle razem?

Czy miłość nasza ostoi się wobec tego faktu?

Pamiętasz, jak zawsze mówiłam: nie wytrzymała-bym, żebym miała ciągle kogoś przy sobie, w chwili wesołej i smutnej, bezustanku, wiecznie. Teraz obawiam się tego również, ale nie dla siebie. Mnie się zdaje, że on mi nie obrzydni, ale ja jemu?

Ja — taka nierówna, kapryśna, fantastyczka.

Jak mu będę ciągle tkwić u boku, co to będzie?

Jak długo miłość jego ostoi się wobec tej próby?

Ukłuło mię coś w sercu.

Jeżeli-by miał mię zbudzić do szczęścia, a potem zapchnąć brutalnie, bo to zawsze bywa brutalne... Ożeni się i zobojętnieje.

Co za myśl okropna.

Dość! dość!

Elka.

Jakaś ty dobra, moja najdroższa, anielska, że tak się troszczysz o mnie, i jaka ja niegodziwa jestem, że tak się wciąż niepokoję. Ależ, naturalnie, wszystko będzie dobrze. Nie będę sobie wytwarzała urojonych niebezpieczeństw, dobrze, Janieczko. Nie będę wymyślała fantastycznych machin, służących do bezcelowego udreęczania samej siebie, dobrze, złota. Chcesz wiedzieć, co słychać u nas, co porabia Jadzia, chłopcy, p. Ludwik? Ach! ty... chcesz odwrócić uwagę ode mnie samej, masz rację. Jakaś ty mądra. To obrzydliwie tak się grzebać bez ustanku w samej sobie, jak ja.

To musi być rodzaj małego bzika, prawda? Czy można się leczyć od tego? Wylecz mnie.

Ale mnie nic nie poradzisz na to, że w tej chwili jedna rzecz tylko istnieje dla mnie na świecie: miłość.

Co się ze mną stanie, jak on przestanie mię kochać?

Nie, nie będę o tem myślała. To nonsens.

Co się u nas dzieje? Wujowstwo zawsze zajęci gospodarstwem. Podziwiam ich. Mózg oddać duszę całą, wszystkie myśli i wszystkie uczucia ziemi, dzieciom i dniowi codziennemu, i niech się świat cały zapada! To szczęście i filozofia może najlepsza.

Jadzia. Ona jest wyborna. Przekomarza się p. Ludwikiem i wystarcza jej to, że ten słodki idyota nokturny pisze, które jej poświęca. A dobry jest jak anioł—i inteligentny, z wyjątkiem tych chwil, kiedy z nią rozmawia.

Chłopcy—chaque jour la même histoire: wint, polowanie.

Co prawda, Edek mi się skarżył, że niema porządnej panny w okolicy, z którą-by warto poflirtować, i że brak mu jest laboratorium, i że z przyjemnością wróci do Petersburga.

Tadzio studjuje, zdaje się, z powodzeniem winta, i bardzo gorąco mówi o chłopach, od których się trzyma w oddaleniu. To... będzie dopiero, jak skończy uniwersytet. Teraz zacząć nie warto, bo nie jest swobodny.

Józiek siedzi albo w lesie, albo przy zielonym stoliku. Ostatniemi czasy namiętnie przesiaduje nad brzegiem rzeki z długą wędą.

Podejrzewam, że jest to ulubiony rodzaj drzemki.

Nic nowego.

Przynajmniej tak mi się zdaje, mało doprawdy zwracam uwagi na to, co się dokola dzieje.

Sąsiedztwo mniej więcej zostawia nas w spokoju, albowiem wszyscy przy rzadkich okazjach odbywania pańszczyzny po salonach sąsiedzkich, nieprzyzwyczajeni się nudzimy, czem naraziliśmy sobie, zdaje się, całą okolicę.

Zabij mię, ale [nie więcej w tej materii nie mam do powiedzenia.

Pan Stach chce ciebie poznać.

Powiada, że ponieważ ja kocham cię nad miarę, więc i on przywiązał się już do ciebie, jak do siostry.

Chce, żebym poznała jego brata i bratową, którą bardzo lubi. Mają troje wspaniałych podobno bębnów.

Ciekawa jestem, czy on lubi dzieci?

Dotąd znajomość ta się nie zrobiła. Wiesz, ile tu we wszystkim ceregieli: jestem u wujostwa, zaraz musieliby i oni rewizytować, wogóle to musiałoby przyjąć pewne formy, a nie to, że ot, poprostu chcę poznać jego brata i bratową. Rozumiesz? więc jakoś to się zwleka.

Tembardziej, że nie śpieszy się nam z podzieleniem się naszą tajemnicą, nawet z rodziną.

Czy nie masz mi za złe, najdroższa, że nie jestem w stanie pisać teraz do ciebie porządnie. Nowe życie budzi się we mnie i tyle, tyle energii; myśli i uczucia zużywam na swój wyłączny użytek.

Nim ja to wszystko przetrawię — jestem trochę jakby nieprzytomna.

Wracasz już do Paryża? Tak wczesnie, dlaczego? Przecież to dopiero koniec sierpnia.

Pisz mi często i szegółowo o sobie i daj mi dyspensę: muszę cię trochę zaniedbać dla mego niegodziwego Stacha, który despotyczny jest i zazdrosny i zabiera mnie całą dla siebie.

Jak długo to będzie trwało, mój Boże, jak długo?..

H.“

AL. SUSZCZYŃSKA.

(Dokończenie nastąpi).

Elekcya Augusta III.¹⁾

Wśród takich-to warunków krajowych, śmierć Augusta II otworzyła bezkrólewie. Wedle praw Rzpltej, prymas-między-król obejmował rządynaczelne. Natychmiast, podawszy sobie ręce z posłem francuskim, Montim, prymas z całą energią przystąpił do przeparcia kandydatury Leszczyńskiego. Zaczął od arcyważnego kroku: poszukał zgody z Familią. Sam pozornie porzucił, a raczej ukrył, odłożył zadawnioną niechęć, miarkował gwałtowne wybuchy krewkiego Wiśniowieckiego, porywającego się już z szablą na Czartoryskich, bezbożnych sprawców choroby i zgonu Króla Jegomości, wstrzymywał i tłumił, jak mógł, powszechną przeciw nim zawziętość magnaterii, a zwłaszcza panów litewskich. Zobowiązał się nadto zachować nienawistnego Poniatowskiego przy szacownem regimentarstwie, aż póki przyszły król nie rozda buław; obiecał także dopuścić Familię w odpowiednim stosunku do przyszłych wakansów. Wzamian przyrzekali Czartoryscy

¹⁾ Patrz zeszyt sierpniowy.

odstąpić elektora i łącznie z Potockimi popierać Stanisława; w istocie też niezwłocznie, z zapewnieniem o swojej wierności, wprost od siebie Jabłonowskiego, starostę ruskiego, wyprawili do Chambordu, do Leszczyńskiego. Jednocześnie Monti, i to bez straty czasu, tego samego dnia jeszcze, kiedy król zamknął oczy, pchnął kuryera do Paryża, z prośbą o *nervus rerum*, o jakie cztery do pięciu milionów liwrów. Zachnął się oszczędny Fleury, ofiarował trzykroć, lecz niebawem odebrał jeszcze dotkliwszą, a nagłą zapowiedź od posła z Warszawy: „trzeba rzucić do Polski dziesięć do dwunastu milionów“. Odbyła się tymczasem w Warszawie pod przewodnictwem prymasa tak zwana rada konwokacyjna senatu, i wyznaczyła termin na sejmiki przedkonwokacyjne na połowę marca. na sejm konwokacyjny — pod koniec kwietnia. Wydanym uniwersałem towarzyszyły dehortatorye prymasowskie na sejmiki, gdzie już otwarcie wyrażoną została potrzeba wyłączenia cudzoziemca, to jest Sasa, z liczby kandydatów do tronu. Szła tedy gorączkowo Stanisławowska robota. Ale zarazem już uwydatniały się jej strony słabe i nietrwale. Już przebijała wyraźnie kruchość pozornej między możnowładztwem zgody. Nienaturalny sojusz Potockich a Czartoryskich niezdrowe przynosił owoce. Rozmaici malkontenci wielkopańscy, zwłaszcza magnaci litewscy, z Wiśniewieckimi na czele, widząc Czartoryskich, wchodzących do obozu francuskiego, sami w te pędy jęli zawracać ku saskiemu. Zaczęli zaraz poufnie nklądać się z Brühlem. Ten, jedyny wtedy minister saski, obecny przy śmierci królewskiej, zatrzymał się rozmyślnie jeszcze dni parę w Warszawie, w celu nawiązania tych układów i przygotowania gruntu dla kandydatury elektorskiej. Co zaś najciekawsza, sami Czartoryscy, zaraz w tych pierwszych dniach po zgonie Augusta, podając rękę prymasowi i wyprawiając poselstwo do Chambordu, jednocześnie, snać niezbyt pewni ani szczerości Potockich, ani sukcesu Stanisława, zabezpieczali sobie odwrót, i z całą dyskrecją otworzyli rokowania z Brühlem względem poparcia elekcyi saskiej, oczywiście wzamian za stosowną dla Familii porękę i korzyści. Brühl skwapliwie, a zgrabnie i z osobna, te obustronne przyjmował i zachęcał wynurzenia, i takim sposobem pierwsze w Warszawie poczyniwszy kroki, prosto stąd pośpieszył do Drezna.

W Dreźnie wieść o śmierci Augusta zaskoczyła wszystkich. Wiedziano, że król był chory, lecz tak rychłego nie oczekiwano końca. Nie oczekiwano też tak rychle bezkrólewia i kłopotów elekcyjnych. Nowy elektor, August III, nie zdążył ojcu zamknąć oczu, ani też najgłówniejszych zarządzeń przygotowań dla objęcia po nim pol-

skiej successyi. Zaś z przygotowań ojcowskich naprawdę nic się nie ostało. Z tylu traktatów, tylu rokowań, tylu matactw nieboszczyka króla, w rzeczywistości nie pozostało dla jego następcy nigdzie żadnego realnego punktu oparcia. Dzięki przemądrej, pseudo-machiawellowej, obracającej się w kole błędnem znoszących się nawzajem intryg, polityce ojcowskiej, syn był zupełnie osamotnionym. Był na papierze złączony po ojcu węzłami przyjacielskimi, sprzymierzeńczymi, subsydyowemi, z całym światem: Rosyją, Austryją, Anglią i Hannoverem, Francją i Bawaryą, Prusami, Szwecyą, a w istocie na nikim nie mógł polegać. Miał przeciw sobie Rosyję, upominającą się pierwotnie o Piastą, i Prusy, które w tym względzie oddawna podniecają Rosyję; miał przeciw sobie Austryję, która ostatecznie stanęła za Portugalczykiem, i świeżo w tym względzie zyskała Rosyję i skaptowała Prusy; wreszcie miał przeciw sobie Francję, koniec końcem, naturalną Leszczyńskiego protektorkę. Nie mógł także w gruncie rzeczy na nikim polegać w Rzpltej, oprócz kupionych przez ojca ludzi, którzy go zdradzą natychmiast, pomimo obietnic i cyrografów, oprócz nowych przygodnych adherentów, których dopiero ściągnie prywata i pieniądze, i oprócz kilku biskupów, którzy nie mogą wyżyć z imperatywnym prymasem, i pójda za wskazówkami Rzymu, jeśli te wskazówki obrócają się na dobro kandydatury saskiej. To też w Rzymie, w rzeczy samej, jedyne było miejsce, gdzie dla ułatwienia tej kandydatury grunt poniekąd był przygotowany, i to nietyle przez nieboszczyka króla, ile właśnie osobiście przez jego następcę. August III miał tutaj znaczne wpływy osobiste jeszcze z czasów swoich boñońskich i wiedeńskich. Były to zresztą wpływy nieszczególnie sympatyczne, utrzymywane za pośrednictwem sposobów i ludzi w najlichszym gatunku. Trwały wtedy w Rzymie — przypomnieć należy, — oplakane, cienne i nepotyczne rządy Klemensa XII, doba *Vincam Domini* i *Unigenitus*, będąca ciągiem dalszym i rozwinięciem poprzedzającej ciężkiej doby Klemensa XI. Dopiero jasna i światła głowa następnego rządcy Stolicy Apostolskiej, reformatora Pijarów i Jezuitów, Benedykta XIV, miała nieco odświeżyć i rozwidnić owoczesną duszną i przyćmioną atmosferę rzymską. Tymczasem jednak ster naczelny, zwłaszcza w sprawach politycznych, spoczywał tutaj ciągle w ręku możnego domu Albanich, synowców - nepotów Klemensa XI, którzy aż dwóch naraz przedstawicielei naczelnych liczyli wtedy zasiadających w kollegium kardynałskiem. August III zdawna, jeszcze z czasów swojej konwersyi za nieboszczyka papieża Albaniego, utrzymywał najlepsze stosunki z rządzącymi kardynałami tego domu, a nadto wszędzie w Rzymie otwarte miał wstępy za pośrednictwem

kardynała jezuitę Giovanniego Salerno, który go był nawrócił na łono Kościoła. Teraz natychmiast skierował się tędy po poparcie. Znalazł je też istotnie, w pierwszej przynajmniej chwili. Kardynał Alessandro Albani pośpieszył wyświadczyć w tym wypadku tę samą usługę Sasowi przeciw Stanisławowi Leszczyńskiemu, jaką po trzydziestu latach jego synowiec, kardynał Gianfrancesco Albani, wyświadczy Stanisławowi Poniatowskiemu przeciw Sasowi, i z tych samych pobudek, niemających nic wspólnego ani z dobrem Kościoła, ani z dobrem Rzpltej. Niezwłocznie wyszło najlaskawsze *breve* do elektora do Dreżna, a zarazem inne do Warszawy, pod adresem prymasa i Stanów, z gorącym zaleceniem elekcyi saskiej. Niebawem jednak i z tej strony poważne wynikły wątpliwości. Starania dreżdeńskie w Rzymie z dwóch stron jednocześnie zaczęto krzyżować, z Paryża i Wiednia. Z Paryża, kardynał Fleury energicznie zaczął wstawiać się za post-ponowanym Leszczyńskim, teściem Francyi, najstarszej córki Kościoła. Z Wiednia wprawdzie również energicznie ostrzegano Watykan przed Leszczyńskim. „Jasną jest rzeczą, — pisał cesarz Karol osobiście do kardynała Cienfuegos — czego się świat chrzecijański spodziewać może po Stanisławie, który zbiegł do Turcyi i tam szukał schronienia, nadto zaś, jak Nam dobrze wiadomo, już kilkakrotnie podmawiał najusilniej Portę, aby, pojednawszy się z Persyą, na Nas i cesarżową rossyjską uderzyła. Łatwo tedy przewidzieć, jeśliby on królewskiej w Polsce dostąpił godności, jakie-by stąd nieszczęścia na całe spłynęły Chrześcijaństwo, i jakie w szczególności niebezpieczeństwo groziło-by Włochom“. Ale podkopując takim sposobem sprawę Leszczyńskiego, cesarz w tej chwili bynajmniej nie myślał jeszcze o przysłużeniu się Sasowi, lecz miał na myśli forytowanie ukartowanego Portugalczyka, i istotnie, przez kardynała Cienfuegos pracował pierwotnie w Rzymie za infantem Emanuelem przeciw elektorowi Augustowi. Kardynał Albani, który w swoim charakterze „komprotektora“ cesarstwa i krajów dziedzicznych domu austryackiego, był zmuszony liczyć się bardzo z wolą cesarską, znacznie ostygł w zapale dla kandydatary saskiej. Zaraz też w wydanej instrukcyi dla nuncyusza w Warszawie, Paulucego, ograniczył się już tylko do wskazówki ogólnikowej, ażeby przyszedł elekt „był dobrym katolikiem“, — co, oczywiście, również dobrze stosować się mogło do Augusta, jak do Emanuela, albo Stanisława.

Tutaj inną jeszcze należy podnieść okoliczność. W tym-to samym właśnie czasie, a już od lat dziesięciu, trwała Rzplta w arcyciekawym i nader ostrym zatargu kościelno-politycznym z Watykanem.

Chodziło o dwie rzeczy sporne: o nadużycie jurysdykcyi nuncyatorskiej w Warszawie, oraz o niepewne obsadzenie opactw wprost z wyboru braci zakonnej bez oglądania się na obowiązkową prezentę i nominacyę królewską. W obu tych sprawach na ostatnim sejmie grodzieńskim gwałtowne zapadły uchwały, żądające od Watykanu, aby odwołał nuncyusza z Warszawy, „aby nam wolnym narodom *injuribus cardinalibus Majestatis et Reipublicae* ubliżać nie pozwał“. Ta okoliczność i wywołany przez nią nastrój opinii publicznej nie obiecywały. w tej właśnie chwili, zbytniego w kraju posłuchu przychodzącym z Rzymu skazówkom. Naogół zresztą stwierdzić przychodzi, iż w ówczesnej Rzpltej, jakkolwiek wolnej od pojęć gallikańskich, przejętej tradycyjnym i głębokim dla Stolicy Apostolskiej respektem, panował przecież, w stosunku do Rzymu, równie głęboki i tradycyjny, a zupełnie wyraźny i świadomy duch niezawisłości w rzeczach politycznych. Takim duchem, w samej zasadzie, a zwłaszcza w danym wypadku, kiedy chodziło o sprawę kardynałną, o zazdrośnie strzeżoną prerogatywę elekcyjną, przeniknięty był zarówno ogół narodu szlacheckiego, jakoteż sam ówczesny prymas—Potocki. To też naprawdę jak już wskazaliśmy, elektor mógł liczyć z tej strony jedynie na poparcie pewnej części wyższego duchowieństwa krajowego, niektórych mianowicie infułatów, zdolnością osobistą, a dworską protekcją wyniesionych ze skromnych nieraz początków i małego stanu, przeznaczonych z natury rzeczy dla zrównoważenia zbyt przemożnej i autokratycznej, pańskiej razem i prymacyalnej Teodora Potockiego przewagi. Takim był Hozyusz, biskup poznański, łagodny, miłosierny, pobożny, ale głowa nietęga, charakter lękliwy, zanadto pamiętający o własnem pospolitem pochodzeniu, zanadto dworak z usposobienia i zanadto z kultury Niemiec. Takim był Lipski, biskup krakowski, dużo zdolniejszy, niemałego sprytu, bystrości, wymowy, ale bez żadnych podstaw moralnych, intrygant, karciarz i smakosz, który, bawiąc się, robiąc politykę, robiąc przede wszystkim własną karyerę, więcej przesiadujący za stołem Augusta II, albo w gabinecie ministeryalnym Brühla, aniżeli w swojej dyecezyi, dawał gorszący przykład nieposzanowania dla godności księcia Kościoła i podniosłych obowiązków dusz pasterza. Gorszącym też sposobem, wbrew prawom uświęconym, które prymasa biskupa krakowskiego i kilku innych wyłączały od piastowania pieczęci, Lipski, przy Brühla pomocy posunięty na podkanclerstwo, siedząc na stolicy krakowskiej, wbrew wszelkim protestom trzymał przez lat kilka pieczęć mniejszą koronną, a nawet już i o wielką się ubiegał. Omylił się jednak w rachubie, gdyż mimo wszystkie jego zasługi w niniejszem położone bezkrólewiu, August

III nie mógł zdobyć się na powierzenie takiemu człowiekowi kanclerstwa i wołał go nagrodzić kapeluszem kardynalskim, zaś odebraną mu pieczęć powierzyć w godniejsze ręce, Załuskiego. Załuski Jędrzej, wtedy biskup płocki, później kanclerz wielki k., później biskup krakowski, w końcu, z własnej woli wszelkie złożywszy dostojenstwa, cichy członek zakonu oo. Jezuitów, którym całe swoje mienie przed śmiercią zapisał, mniej głośny od młodszego brata, bibliomana i gaduły, a postać dużo poważniejsza, umysł światły i wszechstronny, dusza silna i dosyć zagadkowa, miał sobie zdawna na piśmie przyrzeczoną od Augusta II pieczęć wielką koronną, piastowaną ongi przez uczonego stryja, czuł się i był w istocie kandydatem do niej najgodniejszym, widział przecie ostatnimi czasy swego antagonistę Lipskiego jawnie wchodzącego mu w drogę, niecnymi sposobami wysadzającego go u monarchy, i ciężko rozżalony odwrócił się od dworu, za pośrednictwem Czartoryskich, blizkich swoich przyjaciół, wcześniej zeszedł się z Montim, związał się ze sprawą Stanisława, i obecnie w swojej dyecezyi zaraz rozpoczął starania względem wprowadzenia do laudów sejmikowych płockich wyraźnej ekskluzyi cudzoziemca, t. j. Sassa. Drugi, młodszemu Załuskiemu, Józef, późniejszy biskup kijowski, pamiętny czynem Repninowskim, poczciwy a niemądry, erudyta a zupełnie bez smaku, wtedy tylko referendarz k. i od niedawna proboszcz w kolegiacie warszawskiej, chętnie i często ukazywał się na kazalnicy, wygłaszając mowy bardzo uczone, bardzo długie i bardzo „nudne“ zdaniem pobożnych Warszawian, jak twierdzi Kitowicz i jak zresztą z kilku zachowanych druków snadnie przekonać się można, poza tem szedł we wszystkim za starszym bratem biskupem i w jego ślady połączył się obecnie z partją Leszczyńskiego, aby następnie z nim razem powrócić do dworu. Daleko wybitniej, choć również jeszcze młody, przedstawiał się już wówczas Adam Grabowski, sufragana poznański, późniejszy biskup kujawski i warmiński, prałat rzadkich zdolności, ukształcenia i charakteru, trafnie wyróżniony przez nieboszczyka króla, a w czasie niniejszego bezkrólewia skromny, lecz jeden z najzdolniejszych, pomocnik sprawy elektora.

Jakkolwiek bądź, na innych, realniejszych i potężniejszych czynnikach, niż pomoc Rzymu i biskupów polskich, zawisło powodzenie sprawy elektora-królewicza w Rzpltej i w Europie. W obu kierunkach podjęto z Drezna ruchliwą i rozległą działalność. Natychmiast po powrocie Brühla z Warszawy, w gabinecie elektorskim w Dreźnie odbyła się stanowcza narada nad całą przyszłą akcją polską i zagraniczną. Uchwalono przedewszystkiem w samej Rzeczypospolitej roz-

począć ostrożnie zachody na sejmikach przed-konwokacyjnych, aby nie dopuścić w instrukcyach poselskich wyłączenia cudzoziemca od korony. Do tej roboty będą użyci: na Mazowszu referendarz k., Antoni Dembowski, na Rusi Jan Cetner, kuchmistrz k., w Małopolsce obożny k., Ożarowski, na Podlasiu wojewoda podlaski, Michał Sapieha, na Podolu podolski, Stefan Humiecki, na Litwie Wiśniowiec. Do Prus Królewskich wyprawiony pułkownik Unruh z 10,000 dukatów, oraz tajemnemi obietnicami dla dyssydentów; ten punkt ostatni, rzeczywiście nader drażliwy ze względu na Rzym i opinię publiczną polską, trzymany był w największym sekrecie i wysłańcowi dano w tym względzie nie piśmienną, lecz tylko ustną instrukcyę. Na wydatki w Rzpltej wyznaczono tymczasem pół miliona dukatów; ułożono, iż nie należy śpieszyć się z opłacaniem stronników, lecz starać się, o ile można, przychodzić z gotówką po ambasadorze francuskim. Tymczasem jednak zaraz znacznieszą kwotę wysłano nuncyuszowi Pauluccemu do Warszawy na pierwsze potrzeby. Do Warszawy postanowiono wyprawić dwóch urzędowych posłów pełnomocnych saskich, lecz dopiero na samą konwokacyę. Na wypadek scyssyi, uchwalono trzymać wojsko w pogotowiu.

Jednakowoż, dobrze rozumiano w Dreźnie, iż wszystko ostatecznie zależało od mocarstw. Tutaj zaś znowu wszystko zależało od Wiednia. Napróżno posłowie sascy w Petersburgu, doświadczony Lefort i gładki Lynar pukali do Loewenwoldów: ci nie mieli-by w gruncie rzeczy przeciw elekcyi Augusta, radzi-by byli mu pomódz za stosownem wynagrodzeniem, byle tylko zniweczyć niebezpieczną, francusko-stanisławowską kombinacyę Münnicha, ale, sami najściślej związani z cesarzem Karolem, stawili swoje spółdziałanie w ściślej zawisłości od zgody wiedeńskiego dworu. Wnet też z Dreznia wyprawieni zostali do Wiednia dwaj zaufani dyplomaci sascy: minister gabinetu hr. Lützelburg i baron Zech, w charakterze posłów nadzwyczajnych. Mieli oni sobie poleczone działać głównie przez cesarzową wdowę, Amalię, matkę elektorowej, oraz przez kanclerza Sinzendorffa, któremu jednocześnie miano odnowić dawniejszą pensyę saską. Prócz tego August wystosował pismo własnoręczne do ks. Eugeniusza Sabaudzkiego, dopraszając się jego osobistego poparcia. Wysłańcy drezdeńscy w pierwszej chwili trudną mieli przeprawę w Hofburgu. Spotkali się tutaj z uprzedzeniem do wiarołomnej polityki nieboszczyka Augusta II, z gorzkimi wyrzutami za jego podstępny opór przeciw Sankcyi Pragmatycznej na sejmie Rzeszy, z podejrzliwym zwłaszcza niepokojem z powodu ostatnich knowań sas-

ko - francuskich, a wreszcie z ułożoną już kandydaturą Portugalczyka do korony polskiej. Na szczęście, w tej samej chwili, najniespodziewanym sposobem, owa kandydatura sama przez się upadła. Otrzymano mianowicie w Hofburgu niespodzianą wiadomość z Lizbony, iż infant Emanuel cofa swoją kandydaturę polską, na rzecz drugiego swego brata młodszego, dona Antonia. Wynikała stąd komplikacja nieprzewidziana, a tem przykrzejsza, iż dokonane porozumienie austro-rosyjskie, do którego po tylu zachodach wciągnięto i Prusy, było szczegółowo i imiennie ułożone na rzecz samego infanta. Z drugiej strony agenci austriacy w Warszawie, poseł Wileczek i rezydent Kinnern, donosili z niepokojem o ruchliwej akcji Montego i prymasa. o powszechnym zapale szlachty dla Stanisława, o wzrastającym powodzeniu kandydatury francuskiej. Nie było tedy czasu do stracenia. Ta okoliczność, przy czynnem nadto wstawiennictwie cesarzowej Amalii i Sinzendorffa, przechyliła szalę na rzecz elektora. W końcu marca odbyła się w Hofburgu, pod przewodnictwem cesarza, konferencya poufna względem elekcji polskiej. Sinzendorff, w zręcznem przemówieniu, przekonująco wyłożył, iż August III, tępy i ograniczony, pozbawiony talentów swego ojca, nie może być niebezpiecznym, iż korona polska, zamiast go wzmocnić, jeszcze raczej go osłabi, jako księcia niemieckiego, iż jako królowi polskiemu, trudniej mu jeszcze przyjdzie, aniżeli teraz, sięgnąć po ziemie austriackie, iż przeciwnie, obejmując dożywni tron polski, może tylko przez to narazić swoje dziedziczne posiadłości saskie, na podobieństwo Zygmunta III, który swoją elekcję w Rzpltej musiał opłacić utratą dziedzicznej Szwecyi. Cesarz Karol przychylił się do argumentacji kanclerskiej: uchwalono w zasadzie porozumieć się z Augustem względem poparcia jego kandydatury. Pozostawało jednak jeszcze bliżej wyszczególnić i sformułować to porozumienie. Pozostawało także przeprowadzić odpowiednie porozumienie pomiędzy Dreznem a Petersburgiem. Pozostawało w końcu, podobnież jak poprzednio, kiedy chodziło o Portugalczyka, tak samo teraz kiedy chodziło o Sasa, wyzyskać to porozumienie wyłącznie na rzecz obu uczestniczących dworów sąsiednich, Austrii i Rosyi, nie dopuścić natomiast wyzysku, zarobku, złej woli i szkodliwych wpływów trzeciego sąsiedzkiego dworu, berlińskiego, a więc Fryderyka-Wilhelma jak najdłużej utrzymać w błędzie i bezczynności, zatrzymać mu na oczach jak najdłużej przepaskę Loewenwoldowej „punktacyi“, i w taki sposób, bez przeszkód z jego strony, a nawet przy jego nieświadomym udziale i jego po części kosztem, przeprowadzić wedle nowej myśli całą sprawę elekcyjną.

W rzeczy samej, Fryderyk-Wilhelm, zaspokojony i oślepiiony Loewenwoldowym „traktatem“, w pierszej chwili ze wzruszającą naiwnością dal się prowadzić w pożądanym kierunku. Jego agenci w Warszawie, poseł pruski Brandt i rezydent Hoffmann, odebrali z Berlina rozkaz wspólnego działania z Wilczkiem i Loewenwoldem. Wszakże ten stan błogiej ufności nie miał trwać długo. „Traktat“ grudniowy berliński, darowujący Prusom Kurlandę, niezawodnie piękną był rzeczą: cóż z tego jednak, kiedy jakoś ciągle nic nie było słyhać z Petersburga o ratyfikacyi tego „traktatu“. Przeciwnie z Petersburga, od tamecznego posła pruskiego, Mardefelda, najpodejrzniejsze przychodziły relacye. Biren stanowczo odmawiał przyjęcia ofiarowanych sobie za Kurlandę 200,000 talarów pruskich, a to dla tej prostej przyczyny, że miał już w kieszeni tyleż austriackich florenów wraz z tym w dodatku widokiem, iż sam dla siebie zachowa Kurlandę. Loewenwoldowie wykręcali się sianem i opóźnienie ratyfikacyi zwalali na przeciwne machinacye francuskie Münnicha, a tymczasem pocichu już zaczynali chodzić koło interesów saskich. W sercu Fryderyka-Wilhelma zbudziło się podejrzenie. Przez cały luty liczył jeszcze bądź na infanta, bądź też „jeśli wszystkie sznury pękną“, na Piasta, Wiśniowieckiego, Mniszcha albo Sanguszkę. Jednakowoż, choć według umowy berlińskiej był obowiązany złożyć do wspólnej kasy elekcyjnej warszawskiej 36 tysięcy dukatów, wstrzymywał się z tem ciągle, swoim posłom w Warszawie zalecał nie szafować pieniędzmi do czasu, i wogóle, do czasu, tj. do nadejścia upragnionej ratyfikacyi, starał się, bez obrazy swoich „sprzymierzeńców“, nie oddawać się im zupełnie przy kierowaniu robotą warszawską. W marcu, coraz bardziej zaniepokojony ciągłemi z Petersburga wykrętami, wciąż nie słysząc nic ani o ratyfikacyi, ani o infancie, a już czując w powietrzu zgodę sasko-austriacką, zaczął domyślać się, że go oszukano i że może skończyć się na Sasie. Zaraz też zaczął podkopywać kandydaturę Augustowską jednocześnie w Petersburgu i Warszawie. Przypominał w Petersburgu przez Mardefelda świętą wolę Piotra Wielkiego i uroczyste traktaty prusko-rossyjskie przeciw utrwaleniu dynastyi saskiej w Rzpltej, a nawet zadenuuncyował tutaj własne knowania podziałowe z Augustem II, odkrył, t. j. na swój sposób opowiedział, sekretne spotkanie krośnieńskie, i całą winę oczywiście zwalając na nieboszczyka, że zgrozę odsłonił, jak ten Sas niecnota, pomimo najczulszych Grumbkowa perswazyi, nie dał odwieść się od swoich, tak niebezpiecznych dla sąsiedztwa, a zwłaszcza dla Rossyi, zamysłów rozbiorowych i despotycznych, które obecnie, najniezawodniej, będzie kontynuował jego syn, August III, skoro tyl-

ko, broń Boże, ze szkodą sąsiadów, a zwłaszcza carowej, zostanie obrany królem polskim. W Warszawie znowu przez Hoffmanna i Brandta rozkazał Fryderyk-Wilhelm „nie zabawiać się dłużej infantem, lecz, co tylko jest w ludzkiej mocy, użyć na rzecz Piasta“, a mianowicie, na rzecz Sanguszkii, zalecanego mu przez Ostermanna; denuncyować również przed opinią publiczną polską tajne plany podziałowe i absolutystyczne nieboszczyka króla i całego domu saskiego: czynić to atoli jak najdyskretniej, przy pomocy osób trzecich a najlepiej za pośrednictwem pism anonimowych, pochodzących rzekomo od patriotów polskich, „które należy rozpowszechniać ze wszelką możliwą ostrożnością, żeby na Was żadne nie mogło stąd spaść podejrzenie“. Do tego rodzaju robót Brandt i Hoffmann mieli na swym żołdzie Jerzego Kryszpina, kasztelana żmudzkiego, wcale sprytnego człowieka; nadto zaraz w początku marca zgłosił się do nich i ofiarował swoje usługi Wiktor Bagniewski, poseł i sędzia kapturowy z województwa Chełmińskiego, którego niezwłocznie kazano z Berlina wziąć także na pensję pruską i trzymać w pogotowiu dla zerwania, w razie potrzeby, sejmu konwokacyjnego, „albowiem — pisał król — interes nasz nieodzownie tego wymaga, ażeby skrycie, o ile tylko sił naszych starczy, zamieszać (*troubleren*) i powikłać sprawy Rzpltej.“ Tę swoją akcyę podziemną z tem większą zaciekleścią prowadził król pruski, odkąd, w połowie kwietnia, dostał języka o dokładnem już porozumieniu między Dreznem a Wiedniem. Wtedy zaczął zbliżać się do Francyi i objawiać coraz żywsze zainteresowanie dla sprawy Leszczyńskiego. Zarazem jednak, w miarę jak sprawa Augusta zyskiwała na poparciu, nawiązał również rokowania w Dreźnie. W każdym razie, tak czy owak, umyślił nie przepuścić tej sprawy bez tłustego dla siebie odczepnego, wszystkim szkodzić, nikomu nie pomódz, samemu zarobić.

Tymczasem w Dreźnie teraz dopiero, skoro już zasadnicze układy wiedeńskie na dobrą weszły drogę i tym sposobem zdobytą została pierwsza realna podstawa polityczna, zdecydowano się na pierwszy krok urzędowy w samej Rzpltej. Wysłano uroczyste poselstwo do Warszawy. Do tej trudnej misyi przeznaczono dwóch wysokich dostojników saskich, ludzi wytrawnych i poważnych: hr. Wackerbartha i generała Baudissina. Mieli w oni w Warszawie radzić się i stale porozumiewać „z czterema przyjaciółmi głównymi, dopuszczonymi do sekretu“, t. j. z Lipskim, Muiszchem, Dembowskim i Sapiehą Michałem, jakoteż z nuncyuszem Pauluccim. Posłowie otrzymali na drogę elektorskie pismo wierzytelne do prymasa, pierwszy dokument urzęd-

dowy, gdzie August III publicznie stawiał swoją kandydaturę do tronu polskiego. Otrzymali zarazem jak najszersze pełnomocnictwo do „zyskiwania magnatów przez przyrzeczenie urzędów, łask, pieniędzy i innych darów“, do „najtajniejszych rokowań względem godności i dostojęństw duchowych i świeckich, królewskich i ziemskich“. Otrzymali wreszcie na pierwsze wydatki znaczny zapas gotowizny. Pod koniec kwietnia, na kilka dni zaledwie przed otwarciem sejmu, konwokacyjnego, posłowie przybyli do Warszawy. Położenie rzeczy jakie tutaj zastali, zapowiadało się z wielu względów nader niepomysłnie dla sprawy saskiej. Prymas i poseł francuski nie stracili czasu nadaremnie, i przez dwa miesiące, upłynione od śmierci królewskiej, mając ręce zupełnie wolne, znacznie zdążyli posunąć sprawę Leszczyńskiego. Pokierowane przez nich sejmiki przedkonwokacyjne wypadły jak najfatalniej dla kandydatury Augusta. Trzydzieści województw, więc niemal wszystkie, w myśl dehortatoryów prymasowskich, oświadczyło się w instrukcyach sejmikowych za zupełnym wyłączeniem kandydatury cudzoziemskiej. Prymas z wielką wystawnością udzielił audyencyi posłom saskim. przyjął z ich rąk pismo elektorskie, chwalił nieboszczyka króla, grzecznie upewniał o swojej życzliwości, lecz widocznie, mocny świeżo odniesionym na sejmikach sukcesem, już był pewien wygranej Stanisława. Zaraz też na tem pierwszym posłuchaniu wyrwał się z uwagą, że „nieznajomość języka narodowego przez monarchę była-by ze szkodą dla sprawiedliwości i dobrego zarządu“. Istotnie zewsząd zaczęto natarczywie dopytywać się posłów saskich, czy elektor umie po polsku; ci zaś w odpowiedzi zaręczali solennie, że on umie doskonale. Co najgorsza, w tych ciężkich wstępnych przeprowadkach warszawskich, Sasi z nikąd nie otrzymywali poparcia. Wilczek, tutejszy poseł cesarski, zachowywał się względem nich bardzo wstrzemięźliwie, wyczekując widocznie bliższych wskazówek z Wiednia. W ambasadzie rossyjskiej rządził teraz Loewenwolde starszy, wielki koniuszy, który na czas bezkrólewia przybył z Petersburga do pomocy niezdatnemu bratu, a który, zapatrując się na Wilczka, również zachowywał się całkiem „neutralnie“, a nawet zdawał się oglądać raczej za jakim drugorzędnym Piastem jako kontr-kandydatem przeciw Leszczyńskiemu. Posłowie sascy, pozostawieni samym sobie, rozpoczęli działania na własną rękę. Lipski odrazu został głównym doradcą, a jednocześnie głównym pośrednikiem przy przekupstwach. Albowiem, po dokonanych już tymczasem milionowych ekspensach francuskich, wypadło teraz Sasom sięgnąć do trzosa. Nasamprzód, acz bezskutecznie, próbowali zyskać prymasa obietnicami purpury kardynalskiej, Józefa Potockiego -

obietnicami wielkiej buławy. Natomiast łatwo i tanio kupili Antoniego Potockiego, wojewodę bełskiego: ządał z początku 12,000 dukatów, lecz za perswazją Lipskiego zadowolnił się połową i wziął 6,000; jeszcze mniejszym kosztem dał się pozyskać drugi Potocki, Franciszek, starosta i poseł bełski na konwokację. Niemniej czynnym od Lipskiego pomocnikiem okazał się Dembowski, referendarz k., człowiek zdolności powszednich, ale niezwyklej rutyny, nabytej pod Szembekiem, byłym kanclerzem w. k., u którego przez szereg lat był regensem kancelaryi. Ten zaraz ryczałtem wziął na korrupcyę ogromną summę 21,000 dukatów, z której nigdy się nie wyliczył. Wogóle należy tutaj stwierdzić, że znaczna część pieniędzy, wydatkowanych z obu stron na przekupstwa, najniezawodniej nie doszła nigdy do właściwego swego przeznaczenia, lecz utonęła w kieszeni sprytnych pośredników. W istocie, w owej chwili, w przededniu konwokacji, udało się przeciągnąć na stronę saską, oprócz biskupów i senatorów, głównie samych tylko posłów wielkopolskich i pruskich, zyskanych nie tyle pieniędzmi, ile ruchliwą agitacją Unruha, który złote góry obiecywał tamecznym dyssydentom. To też, w rzeczy samej, na sejmiku generalnym, czyli t. zw. „generale“ pruskim, nie dopuszczono ekskluzyi cudzoziemca. Zyskani zostali także wojewodowie chełmiński, inowrocławski i malborski, kasztelanowie rawski i elbląski, oraz posłowie wieluńscy i łęczyccy. Gorzej było z wielkimi panami. Ci, pod świeżem wrażeniem wyników sejmikowych, jeszcze w pozornej zgodzie trzymali z prymasem, albo też jeszcze wszystkich nagród nie wybrali od Montego, a jeśli który z nich, jak Mniszcz, dał się nawet przez Lipskiego ściągnąć do ambasady saskiej, to tylko po to, aby odebrać tam piękne „bijou“ drezdeńskie dla małżonki, która w dalszym ciągu utrzymywała najspokojniej korzystne stosunki z ambasadą francuską. Najgorzej było z Czartoryskimi, na których znacznym wpływie i mądrej radzie wiele zależało elektorowi. Napróżno pełnomocnicy sascy, polegając na przywiezionych do Drezna zapewnieniach Brühla, próbowali odwołać się do Familii, do jej obowiązków wdzięczności względem dworu, do jej tylokrotnych obietnic, a nawet pisemnego cyrografu na rzecz kandydatury elektorskiej. Poniatowski i Czartoryscy wykręcali się ogólnikami, mówili z wylaniem o swoich najlepszych uczuciach, upewniali, że są jeszcze „sans engagement“, a tymczasem już pogodzeni z prymasem, w bezpośredniej komunikacji z Leszczyńskim, sami dopiero co na sejmikach byli agitowali najmocniej za ekskluzyą cudzoziemca i elekcją Piastowską. A czynili to nietylko z przyjaźni dla prymasa, albo z miłości dla Stanisława, lecz w innych jeszcze, własnych, najtajniejszych intencjach. „Czartoryscy — donosił do Drez-

na przenikliwy Wackerbarth—umieją tak politycznie się zachowywać aby służyć trzem panom naraz: Francyi, Saksonii i sobie“, Ta ostatnia okoliczność jest zewszecmiar zastanawiającą. Familia już w tym czasie przemyśliwa o słuzeniu sobie samej, w najobszerniejszem znaczeniu, w ten mianowicie sposób, ażeby samej sobie otworzyć przystęp do tronu. W tej-to właśnie myśli ubocznej, a już odtąd dla nich naczelnej, Czartoryscy tak gorliwie popierali na sejmikach zasadę Piastowską. Istotnie pewną jest rzeczą, iż już przemyśliwali w szczególności o kandydaturze ks. Augusta, wojewody ruskiego, jakkolwiek zresztą, jak się zdaje, i sam Poniatowski pieścił na własną rękę widoki na koronę. Jest to fakt niepośledniej doniosłości dziejowej. Tutaj-to, w tem bezkrólewiu, pomiędzy zgonem Augusta II a powtórnym obiorem Leszczyńskiego, mieści się fatalna data narodzin owej fatalnej królewskiej imprezy Czartoryskich, która będzie w trzech z kolei pokutowała pokoleniach, podniesie i przygasi światłość ich domu, i obróci się na niepowetowaną szkodę ich samych i Rzpltej.

Otwarty został tymczasem, pod laską Massalskiego, pisarza w. l., zdeklarowanego sługi Potockich i stronnika Leszczyńskiego, sejm konwokacyjny. Znieprawiony przez posła francuskiego wszelkimi środkami przekupstwa, sterowany był mocną ręką prymasa, przy pomocy wszelkich środków podniecenia patryotycznego i gorliwości religijnej. Stanęła oplakana uchwała przeciw dyssydentom: „jako w tem prawowiernem państwie *exoticos detestamur cultus*“, przeto wyrzuceni dyssydenci z izby poselskiej, trybunałów i kommissyi, urzędów koronnych i litewskich, wojewódzkich, ziemskich i grodzkich. Wreszcie na ostatniej sessyi sejmowej stanęła najdobitniejsza uchwała, wyłączająca cudzoziemca. „*Pro firmamento et perennaturo in posteritatem fundamento publicznego szczęścia, zakładamy sobie, i przy tej Generalnej Konfederacyi poprzysiężonej fide, honore et conscientia* obowiazujemy się, że przyszedłgo Króla Imci Pana Naszego, prawdziwego *natione* Polaka i Rzymskiego Katolika, *ex utrisque parentibus orthodoxae fidei* urodzonego, żadnych państw i prowincyi dziedzicznych i wojsk swoich za granicami krajów Naszych niemającego, z królową katoliczką, a nie innej, strzeż Boże, religii, obierzemy, innych zaś *etiam indigenatu* zaszczycających się, nominować, promulgować, do tronu promować nie będziemy“. To było wyraźne aż nadto. To mierzyło wyraźnie i bezpośrednio w Augusta III, który wprawdzie miał indygenat z urodzenia, jako królewicz polski, i z prawa, jako właściciel dóbr w Koronie, był prawowiernym katolikiem i żonaty był z ka-

tolicką, ale władał dziedzicznym elektorstwem saskim i był urodzony z matki, księżniczki Baireuth, wyznającej wiarę protestancką. Rzezona uchwała sejmowa równała się zatem bezwarunkowemu wyłączeniu go od tronu. W dodatku, ażeby przydać jej tem większą powagę i niewzruszoność, wymyślono dla niej, niezależnie od ogólnej przysięgi konfederackiej, wyjątkową nadto sankcyę i zażądano na nią wyjątkowej, osobnej przysięgi wszystkich sejmujących. Była to chwila niezwykła i przejmująca. Ogromna sala sejmowa natłoczona była po brzegi. Pośrodku zgromadziły się obiedwie połączone izby; dokoła na galeryach, gęstym rzędem stanęli arbitrowie. W powietrzu, ponad ciężkim oddechem tłumu i upałem dnia majowego w zamkniętej sali, unosiło się powszechne naprężenie i gorączka. Jasna była w ścisku zupełna Stanisławowców przewaga, jasnym oraz ułożone mocne ich postanowienie. Wszystko z góry najrzęczniejszemu inscenizowane przez prymasa. Ale w tej chwili doniosłej, brzemiennej w następstwa, on sam został porwany impetem własnego dzieła. Trzymając w lewicy krucyfiks, prawicę wznosząc ku niebu, zaprzysiągł pierwszy, głosem wzruszonym i donośnym, iż nikogo, wbrew przyjętej uchwale, ani obierać, ani nominować nie będzie. Widok przysięgającego starca prymasa powszechne wywołał uniesienie. Kilka nieśmiałyh protestów, podnoszących się z kątów sali, zakrzyczano gwałtownie. Nikt naprawdę przeciw się nie śmiał. Przysięgę prymasowską powtórzyli wszyscy biskupi, z tym jeszcze dodatkiem, iż „ani *primatiule jus*. broń Boże, gdyby do scyssy w Rzpltej przyjść miało, przez swoją osobną nominacyę *violabo*, i przeciwko takiemu, który-by ten święty obowiązek chciał psować, powstanę i onego za nieprzyjaciela ojczyzny mieć będę.“ Za duchowieństwem przysięgli w należnym porządku kolejnym, ichmoście panowie senatorowie, ministrowie i posłowie. Przysięgli wszyscy, bez żadnego wyjątku, i przysięgę potwierdzili podpisem na akcie konfederackim. Zarazem dla tem większej jeszcze mocy, w uchwale konfederackiej dołożono prawo, ażeby podług tej samej roty składano tę samą przysięgę po województwach, ziemiach i powiatach, na sejmikach relacyjnych, w ręce senatorów województwa albo marszałków sejmikowych, ażeby tym sposobem cały naród szlachecki tą jedną walną przysięgą nierozłącznie związać i zjednoczyć.

Uczyniony więc został krok stanowczy i nieodwołalny. Wzniesiona nieprzebyta przegroda pomiędzy tronem a Sasem. Spalone ostatnie mosty pomiędzy Augustem a Rzpltą. Owóż, od tego kroku nikt się w sejmie nie uchylił. Przysięgli wszyscy, jak jeden człowiek

Augustowcy porównano ze Stanisławcami. Stronnicy dworscy, którzy wczora dopiero w ambasadzie saskiej najpiękniejsze dawali obietnice, naraz w sali sejmowej zgoła zmiękli i ulegli co do jednego. Co prawda, niektórzy odważniejsi, a raczej podstępniejsi, dla uratowania pozorów i wytłómaczenia się w następstwie przed swoim dobrodziejem elektorem, w tej samej chwili, składając przeciw niemu narzuconą przysięgę, dodali do niej pewne zastrzeżenia, założyli tak zwane „salwy“. Tak Lipski, główny reżyser Augustowski, wprawdzie przysiągł pokornie najpierwszy po prymasie i najpierwszy podpisał się na akcie konfederackim, a nawet innych do przysięgi i podpisu namawiał, aby mieć więcej współników i tem łatwiej z winy wspólnego odstępstwa oczyścić się przed ambasadą saską; ale za to dodał sakramentalne wyrazy „*salvis omnibus constitutionibus de libera electione*“. Za przykładem sprytnego biskupa krakowskiego wielu innych senatorów i posłów, zyskanych dla Sasa, a nie wążących się stanąć w jego obronie, chwyciło się tej dwuznacznej taktyki, t. j. złożyło przysięgę przeciw obiorowi cudzoziemca, dodając ogólnikowe zastrzeżenie o „zachowaniu wolnej elekcji“. Tak poradzili sobie wojewodowie: witebski, podlaski, podolski; tak z posłów: Dembowski plocki, Siedlnicki podlaski, Mączyński sieradzki, Kalkstein i Płaskowski chełmiński, Grabski, Skrzyński i Skarbek łączycy, i inni. Jednakowoż, nie może być dwóch zdań o istotnej wartości tego przemądrego, a nawskroś lichego i nienczciwego wybiegu. Trzeba nasamprzód wiedzieć, czem właściwie były na ogół owe rzekome zastrzeżenia według praktyki owoczesnej. Trzeba wcztać się uważnie w te „salwy“, gdzie z reguły znajdowały się wszystkie rywalizacje dzielnicowe, wszystkie partykularne zatargi, wszystkie prywaty. Tak więc, między innymi, gdy konwokacja niniejsza, w przewidywaniu wyboru Stanisława, przywróciła, najsluszniej zresztą, przyszłemu królowi prawo swobodnego rozdawnictwa pieczęci, ten sam Lipski, przewidując, że w ten sposób nienawistnemu Załuskiemu może dostać się kanclerstwo z rąk Leszczyńskiego, założył w tym względzie szczególnym, w tym samym akcie konfederackim, bezwarunkową „protestacyę solenną“, — kiedy znowuż Załuski, godząc w rywala, dodał do swojej przysięgi ostrą salwę przeciw nieprawnemu połączeniu pieczęci z biskupstwem krakowskiem. Skoro zatem chodziło o własny interes osobisty, umiano zdobywać się na zastrzeżenia wyraźne i stanowcze; skoro natomiast chodziło o interes dobrodzieja Sasa, czyli właściwie o najwyższy interes Rzpltej. ograniczono się do ogólnikowej, dwuznacznej, a naprawdę nic nie mówiącej salwy o „wolnej elekcji.“ Cóż bowiem miał i mógł znaczyć w rzeczy samej taki dodatek, warujący „wolną

elekcję“, a przyczepiony do przysięgi, ścieśniającej wolność elekcijną w wyłącznych granicach kandydatury Piastowskiej? Jeśli ten szczególnie dodatek mógł wogóle posiadać jakiegokolwiek prawne znaczenie, to chyba tylko takie, że—w niczem zresztą nie osłabiając raz wyrzeczonej ekskluzyi cudzoziemca, Sasa,—warował obok Leszczyńskiego równe tytuły do korony dla każdego innego pretendenta Piasta. To też, w istocie, okazuje się, że ową tanią salwę Lipskiego przyswoili sobie natychmiast i do swoich dołączyli przysięg najrozmaitsi domorośli pretendenci, zupełnie bez względu na to, w jakim wtedy byli stosunku względem dworu saskiego, i że znachodzi się ona również w dosłownem brzmieniu przy podpisie Wiśniowieckich, Lubomirskich a nawet, co najciekawsza, przy podpisie Józefa Potockiego, wojewody kijowskiego, który przecie napewno nie był Augustowcem ani towarzyszem broni biskupa krakowskiego. Skąd oczywisty płynie wniosek, iż wszystkie te sławne salwy konwokacyjne popleczników saskich, wyzyskane później dla uprawomocnienia obioru Augusta III, nie mieściły w sobie żadnej istotnej mocy, ani nawet intencji prawnej, i nie były w rzeczywistości niczem innym, jeno zwyczajną *reservatio mentalis* krzywoprzysięstwa. Rozumieli to doskonale przenikliwsi i lepiej z prawem obyci Stanisławcy, Tarłowie i kilku innych, i odrazu, warując nietykalność zaprzysięganych ustaw konwokacyjnych, pośpieszyli ze swojej strony założyć jasne i dobitne salwy nieważności przeciw dwuznacznym, urojonym, albo zgoła niedorzecznym salwom stronników saskich. Zresztą, dodajmy, znaczna część tych stronników nie śmiała nawet uciekać się do wątpliwego wybiegu, jakim się okrył Lipski. Wszyscy inni biskupi, sprzyjający dworowi, a wśród nich Hozyusz, który miał mianować Augusta III, ministrowie, na pozór zyskani dla Drezna, jak Mniszech, najruchliwsi działacze sascy w izbie poselskiej, jak Małachowski, poseł sieradzki, dali poprostu, bez żadnego zgoła zastrzeżenia, bezwarunkową przysięgę na ekskluzyę Sasa. Koniec końcem, tak czy owak, przysięgli wszyscy. Prawda: później będą bronili się przymusem. Będą się powoływali na brzęk szabel, na okrzyki zgorączkowanego tłumu, na groźby rozsiekania albo wyrzucenia za okno. Ale na tę próżną, spóźnioną obronę trafnej udzieli odprawy wymowny manifest młodego Tarły. „A czy nie pomna,—trafnie odezwie się starosta jasielski, — że na sejmie 1726 roku jeden poseł usłyszał od izby, że go za okno wyrzucić trzeba? A byłże wyrzucony oknem? Nie pokazało się na nim, że daleko od słów do czynów? Czy za to od sejmu 1726 roku upadła kontraduktowania się wolność? Kto posłom zawiąże gębę, że czasem na zdrajcę oczywistego krzykną? Tysiącznemi razy trafia się

to na sejmach i sejmikach... A ponieważ przysięga ta, jako allegują teraz, wynalezioną jest na zgubę i ruinę ojczyzny, czemuż tedy między zelantami tymi, za jakich się głoszą, nie znalazł się żaden, czemu nie skupili się wszyscy, żeby choć i z jakim azardem, przeciw przysiędze powinny w należnem miejscu wobec Stanów uczynić protestacyę? Kogo poczciwość, staropolska cnota, serce i rozum rządzi, czy nie powinien był odważyć się i na to dla upadającej ojczyzny?" Na te proste słowa nie masz repliki. Niezawodnie, przysięga, zniecka narzucona przez prymasa, była aktem gwałtownym, wyjątkowym, niebezpiecznym. Niezawodnie, w tym akcie był ukartowany nacisk, był umyślny przymus moralny, był przygotowany zawczasu terroryzm opinii publicznej. Ale tembardziej trzeba było się oprzeć, jeśli się ten akt uznawało za przeciwny dobru publicznemu. Nikt się nie oparł, bo dla pieniędzy, ani nawet dla dygnitarstw nikt się nie ważył nadstawić karku. Nikt się nie oparł z Augustowców, bo nikt z nich czystem i wielkiem sumieniem nie stał na straży dobra i zbawienia Rzpltej.

Fatalny wynik konwokacyi niepomału stropił pełnomocników saskich w Warszawie. Ale nie stracili nadziei. Teraz wszystko zależało od niedopuszczenia przysięgi na ekskluzyę na sejmikach relacyjnych. Tembardziej zatem zależało na pozyskaniu ludzi wielkich i małych. Sasi znowuż spróbowali zmiękczyć prymasa, doręczyli mu cenny krzyż dyamentowy wraz z łaskawem pismem elektora, lecz żadnego nie osiągnęli skutku. Na wszystkie strony sypnęli pieniędzmi. Kanclerzyna Wiśniowiecka otrzymała 10,000 talarów, wojewoda podlaski 80,000, Bieliński, marszałek w. k., 8,300 dukatów, Dunin, kasztelan radomski, 2,000, tyleż wziął Małachowski, starosta opoczyński, szwagier Dembowskiego i przez niego protegowany, śmiały, zręczny człowiek, używany odtąd do najrzykowniejszych robót i do świetnej powołany karyery, posunięty, niestety, w końcu aż do wielkiej pieczęci koronnej, a który tymczasem, korzystając z zamętu bezkrólewia, z tytułu jakichciś rzekomych pretensyi do skarbu Rzpltej wybierał sól zajazdem z żup wielickich. Pomniejsze summy rozdawano między posłów: Józef Bukowski, chorąży sanocki, poseł ruski, dostał 600 dukatów, Jan Gurowski, starosta obornicki, poseł kaliski, 2,000 talarów, w jednych tylko Prusach Królewskich rozdano naraz 16,000 dukatów. Obdarowani brali pieniądze za formalnemi rewersami, a brali zazwyczaj bądź pod pozorem swoich dawniejszych „pretensyi“ do skarbu bądź też przyszłych „kosztów“ na agitacyę. Niektórzy istotnie wydawali sporo na dalsze korrupcyje, a przeważnie na traktamenty;

większość jednak, jak rzekliśmy, ile sądzić można, wprost chowała do kieszeni i „pretensye“, i „koszta“. Wszakże na tych środkach podziemnych niepodobna było poprzestać. Niepodobna było ludzi się co do stanu opinii publicznej, najwidoczniej sprzyjającej Leszczyńskiemu ze szczerego i powszechnego przekonania. Trzeba było koniecznie podziałać perswazyą, a więc przedewszystkiem wymową drukowanego słowa. Owóż, dotychczas pod tym względem ogromna przewaga była po stronie Stanisławców. Monti zawczasu był wykupił wszystkie drukarnie warszawskie. Nawet tłocznię pijarską, tj. urzędową drukarnię Rzpltej, kupił za tysiąc dukatów. To też dotychczas kraj był zalewany wyłącznie pamfletami na rzecz Stanisława a przeciw Augustowi. Co gorsza, Sasi nie tylko nie mieli pod ręką tłoczni drukarskich, lecz nawet nie mieli autorów. Grabowski, chorąży czerski, napisał dla nich „Rozmowę dwóch szlachty między sobą, braci rodzonych, obywatelów ziemi warszawskiej“, gdzie bratu „domatorowi, zawsze na roli gospodarstwa pilnującemu“, wymownie tłumaczy brat „dworzaniń, za towarzysza służący i lepiej wypolerowany“. jak znaczne położył zasługi dla kraju król nieboszczyk, i jak znaczne są racye, aby obrać po nim syna; lecz ten elaborat tak był lichy, że nie zdecydowano się puścić go w obieg publiczny. Niewiele lepiej przedstawiały się podobne próby pióra Dembowskiego. W tym kłopotcie niespodzianie przyszedł z pomocą posłom saskim człowiek nieznany a niepospolity, pijar, Konarski Stanisław. Był to jeszcze Konarski z doby Klemensa XII, początkujący, szukający drogi i szczęścia, już duża głowa, jeszcze mały charakter. W tej chwili wychodząc dopiero na szerszą widownię świata, był tylko kondotyrem pióra. Trzeba mu lat kilkunastu, trzeba doświadczenia i dojrzałości, aby wyszedł na wielkiego obywatela. Jego rola i położenie dotychczas dyło dwuznacznem. Blizko spokrewniony z Tarłami, ale sam ubogi, był guwernerem nieletnich dzieci Jerzego Lubomirskiego, wojewody sandomirskiego. Był metrem pańskim, i trochę z tego zawodu pozostało aż do końca w kierowniku pańskiego konwiktu. Wcześniej jednak obok guwernerki wdał się w politykę, wciągnięty do niej najpierw przez Poniatowskiego, który pierwszy poznał się na jego talentach. Dla Poniatowskiego też napisał najpierwszą swoją rzecz polityczną, nader ciekawą „Rozmowę pewnego ziemianina ze swoim sąsiadem“. To pismo ukazało się z druku w styczniu 1733 roku i było przeznaczone na sejm ówczesny, a mianowicie miało uzasadnić oddanie wielkiej buławy Poniatowskiemu. Były wprawdzie i inne sprawy poruszane dowcipnie i rozsądnie w tym świetnie napisanym pamflecie, ale jak szydło z worka dobywała się co krok apo-

logia przyszłego hetmana. Szeroko wyluszcza ciemnemu sąsiadowi oświecony ziemianin wspaniałe dzieła wojenne i publiczne Poniatowskiego; cytuje własne słowa króla Jana III, który jakoby młodego Poniatowskiego, powracającego z obcych krajów, stawiał za wzór wszystkim polskiej młodzieży i wielką przepowiadał mu przyszłość; czyniony mu zarzut wykradzenia w Sztokholmie aktu abdykacyi Augusta II nazywa „wierutną bajką“, „choćby to zresztą—dodaje—honorowi jego nie szkodziło bynajmniej“; daje wreszcie interlokutorowi „jako wiatyk na drogę, książkę ciekawą, która wiele razy Poniatowskiego pięknie wspomina“, tj. „Historję Karola XII“, przez pana Voltaira świeżo właśnie wydaną. Przedewszystkiem zaś, obok tych górnych pochwał, usłużny pamflecista z rzadkim sprytem sili się utożsamić sprawę buławy Poniatowskiego z powszechną sprawą całej szlachty. „Podśędkowstwa, wójtowstwa, stolnikowstwa, burgrabstwa, cześnikowstwa,—tak każe przemawiać z goryczą swojemu ziemianinowi,—nam miernej szlachcie; buławy, krzesła, ministerya, samym tylko Ichmościom jako Panom z Panów należą, im to jest własne, im to dziedziczne. Rozumieją, że zamiast naturalnej krwi mają w żyłach sam jakiś likwor z purpur wycudzony. Nas szlachtę odsadzają i zdaleka mieć chcą od łask królewskich i smacznych tych w Rzpltej ksąków... To też innej racyi nie mają, dla której-by ich szczęście Poniatowskiego bardziej korciło, jedno, że jest tylko rodowity szlachcic, że tylko ziemianin, że nie pan z panów. To nie jest samego Poniatowskiego interes, ale całego rycerskiego stanu, tak na pogardę idącego, że nas w konkurencyi ze sobą i cierpieć nie chcą“. Tak piorunował z ukrycia, tak na obstalunek a bezimiennie pisał przeciw panom giętki dyalektyk, który sam jeszcze wtedy im się wysługiwał, i który niezawodnie sam rozumiał najlepiej, iż jego argumentacya była sztuczna i tumaniąca, iż sprawiedliwe i ważne jej założenia ogólne nic nie miały do czynienia z jej właściwym apologetycznym wnioskiem, iż Poniatowski był czemś mniej i czemś więcej od prostego szlachcica, iż w stosunku do zwykłej szlachty był takim samym panem, jak jego szwagrowie Czartoryscy i jego przeciwnicy Potoccy, iż chodziło tutaj o zatarg nie pomiędzy oligarchią a szlachtą, lecz pomiędzy dwiema oligarchiami. To było na początku roku. Teraz, po paru miesiącach zaledwo, wnet po korwokacyi, Konarski potajemnie zgłosił się do ambasady saskiej w Warszawie, ofiarując swoje usługi pisarskie. Zwrócił wnet uwagę na sprawę w tej chwili najważniejszą, na sprawę przysięgi, którą jakimkolwiek sposobem należało unieważnić lub przynajmniej podważyć w opinii publicznej. Pomógł naprzód Dembowskiemu w ułożeniu pamfletu „List poufny“, potem sam napi-

sał bezimienne „Refleksye przyjaciela do przyjaciela,“ gdzie z niepopolitym dyalektycznym talentem, potrójną bronią: prawną, teologiczną i polityczną, uderzył na akt przysięgi konwokacyjnej i wprost zaprzeczył mu wszelkiej mocy obowiązującej. Te rzeczy natychmiast z polecenia posłów saskich drukowane były we Wrocławiu na tłoczniach austriackich, i w znacznej liczbie egzemplarzy sprowadzone do Warszawy. Ostre pióro Konarskiego wywarło silny efekt i dotkliwie dało się we znaki przeciwnikom. Dokoła jego anonimowej broszury, obficie rozrzucanej przez ambasadę saską, wielka wszczęła się wrzawa. Prymas osobiście czuł się głęboko dotkniętym i chwycił się środków gwałtownych. Pamflet przeciw przysiędze, wyrokiem sądu kapturowego warszawskiego, uznany za zbrodniczy „*pasquinatus libellus*“ i skazany na spalenie, z całą uroczystością, wobec licznie zgromadzonej gawiedzi, spalony został na stosie ręką kata na rynku staromiejskim. Nawet samym pełnomocnikiem elektorskim ta sprawa nie wyszła na sucho: nie oszczędził im przykrości rozgniewany prymas, koniecznie chciał do sądu pociągnąć Wackerbartha za rozdawnictwo występnego pisma, i za ledwo przez wstawiennictwo wszystkich innych posłów cudzoziemskich, nie wyłączając nawet Montego, dał się powstrzymać od kroków repressyjnych, przeciwnych uświęconej zasadzie nietykalności poselskiej.

Ruchliwa czynność przedstawicieli saskich w Warszawie ożywiła nadzieje dworu drezdeńskiego. Już w początkach czerwca August zawiadomił posłów, że gotów jest nawet przybyć do Polski, jeśli obecność okaże się niezbędną. Stawiał tylko warunek, ażeby uprzednio z zaproszeniem zgłosiła się do niego, do Drezna, deputacja polska, z ludzi dostatecznej powagi i wpływu. Skądinąd wnioskować można, że jeszcze w owym czasie nie tracił z oczu dawnych widoków ojcowskich w celu wzmocnienia władzy królewskiej w Polsce. Zawiedział poufnie Wackerbartha, że i nadal stoi niewzruszenie przy swoim wielkim planie, „*mon grand dessein*“, dla którego jedynie zdobywa się na wielkie poświęcenia, związane ze sprawą elekcyjną. Niebawem zdecydował się na krok bardzo ryzykowny: wydał w ręce Unruhowi, dla zużytkowania w województwach pruskich, pisemną sekretną „deklaracyę na rzecz dyssydentów“, obiecującą wziąć ich w obronę przeciw ostatnim uchwałom konwokacyjnym warszawskim. Co zaś może jeszcze bardziej godnem jest uwagi, to ta okoliczność, że równocześnie z Wiednia działano w tym samym kierunku w sprawie dyssydenckiej, i że cesarz Karol, przez swego rezydenta w Gdańsku, Rosenberga, w największej tajemnicy wspierał radą i pieniędzmi projekt konfederacyi dyssydenckiej w Prusach Królewskich, byle tylko

przyłożyć się do rozbicia sukcesów sprawy Stanisławowskiej na konwokacji warszawskiej. Wszystkie te różnostronne działania istotnie nie pozostały bez skutku. Sejmiki relacyjne, po konwokacji w ciągu lipca odprawione, wypadły w wielu miejscach bardzo burzliwie. Dunin i Małachowski wywołali scyssyę gwałtowną w duchu saskim w województwie Sandomierskiem. Wprawdzie Tarłowie, bardzo mocni w tej części kraju, wzięli ostatecznie górę, ale znaczna część szlachty, zwłaszcza z powiatu Opoczyńskiego, wyszła z sejmiku i zaniósła protest formalny przeciw przysiędze na ekskluzyę cudzoziemca, jako pogwałceniu swobód elekcyjnych. Podobnie doszło do scyssyi w województwach Sieradzkim i Łęczyckim, gdzie w każdym po dwa powiaty hurmem odmówiły przysięgi. To samo powtórzyło się w Mazowieckim: mimo wszelkie zabiegi wpływowego tutaj wojewody Poniatowskiego, połowa sejmikujących, ziemie: Ciechanowska, Zakroczymska, Nurska, Wyszogrodzka, oparły się przysiędze. Podobny był wynik nawet w województwie Ruskim, dzięki żywej agitacji saskiej zręcznego Cetnera, a z niemałym despektem wojewody ruskiego, ks. Augusta Czartoryskiego. Na sejmiku podlaskim, w Drohiczyźnie, wojewoda Michał Sapieha, razem z Siedlnickim i Branickim, chorążym w. k., na czele adherentów saskich gromadnie opuścili sejmik i w kościele franciszkańskim zawiązali konfederacyę wojewódzką w obronie wolnej elekcji przeciw ścieśniającym uchwałom i przysięgom konwokacyjnym, poczem znowuż w te pędy tutejsi Stanisławcy w kościele jezuickim zawiązali przeciwną konfederacyę przy konstytucyi konwokacyjnej i elekcji Piastowskiej. Tak samo poszły rzeczy w Wielkopolsce. W Chelmińskiem wojewoda, Jan Czapski, podniósł konfederacyę w interesie saskim, naprzeciw województwu Malborskiemu, które złożyło przysięgę na ekskluzyę. W Brzeskiem-litewskiem Jan Sapieha, kasztelan trocki, i Pociiej, strażnik l., doprowadzili do scyssyi na rzecz Augusta. W województwie Nowogrodzkim i Mińskiem dzięki zabiegom Radziwiłła i Zawiszy, nie złożono przysięgi wcale. Jednem słowem, na wszystkich krańcach Rzpltej tworzył się szybko rozgardyasz nierozwikłany i podnosiło się widmo wojny domowej.

Wszakże, jakiegokolwiek były postępy akcji saskiej wewnątrz kraju, jasnym było, iż nie ona rozstrzygnie o losach bezkrólewia, lecz przedewszystkiem akcyja zagraniczna. Ta w dalszym ciągu z całym natężeniem była popieraną przez dyplomacyę dworu drezdeńskiego. Zgoda elektora z Austryą, jak widzieliśmy, już była w zasadzie ubita z końcem marca i początkiem kwietnia. Chodziło teraz o zgodę z Ros-

szą. Rząd wiedeński, zaniepokojony nie na żarty wynikiem konwokacyi warszawskiej i namacalną już groźbą zwycięstwa Francyi i Stanisława, ożywił się teraz nadzwyczajnie i podjął się skwapliwie pośrednictwa pomiędzy Dreznem a Petersburgiem. Za pośrednictwem Wilczka zaczęły się w Warszawie rokowania traktatowe pomiędzy posłami saskimi a dwoma Loewenwoldami. Ułożono projekt potrójnego do spółki planu działania. Sam cesarz, z uwagi na własne niebezpieczeństwo ze strony Francyi, uchylał się wprawdzie od obszerniejszej pomocy zbrojnej w Rzpltej, lecz obiecywał pełne poparcie dyplomatyczne i pieniężne. Natomiast pomoc czynną wojsk rosyjskich uznano za niezbędną. Ponieważ sejm elekcyjny wyznaczony został na konwokacyi na koniec sierpnia, z czasem trwania nie dłuższym ponad ordynaryjny, tj. sześciotygodniowym, zatem ułożono, że wojska rosyjskie na jakie dwa do trzech tygodni przed tym terminem, czyli już w pierwszych dniach sierpnia, powinny wkroczyć do Rzpltej drogą na Smoleńsk i Rygę, i w każdym razie przed początkiem samej elekcji stanąć pod Warszawą. Równocześnie i wojska saskie, w liczbie czterech tysięcy jazdy i ośmiu tysięcy piechoty, mają być gotowe do wymarszu do Polski. Umówiono także, że do wspólnej kasy elekcyjnej Loewenwoldów i Wilczka, wynoszącej 72 tys. dukatów, elektor przystępuje w równej części, to jest dodatkowo z sumą 36 tys., niezależnie od jego postronnych wydatków na własną rękę. Rozdawnictwo wakansów pozostawiono uznaniu elektora, obowiązując go atoli w ogólności do uwzględnienia rekomendacyi obu aliantów. W końcu przychodziły właściwe nagrody saskie dla obu sprzymierzeńczych protektorów. Elektor raz jeszcze najuroczystszym sposobem potwierdził Sankeyę Pragmatyczną cesarzowi Karolowi i obiecywał całym swoim wpływem popierać ją w Rzeszy niemieckiej. Z drugiej strony carowej Annie przyznawał tytuł cesarski w imieniu Saksonii i obiecywał w imieniu Rzpltej opiekę dla dyzunitów polskich, oraz dogodnie uregulowanie spornych granic polsko-rosyjskich. Nareszcie w najważniejszym artykule dodatkowym projektowanego układu zawarowanem zostało wyraźnie, iż Kurlandya, po śmierci obecnego księcia, ostatniego bezdzietnego Kettlera, nie będzie wcieloną do Rzpltej, jak tego wymagało prawo, lecz będzie pozostawioną i nadal jako oddzielne lenno wieczyste i oddaną, tytułem dziedzicznym, nowemu księciu, którego obiorą stany kurońskie, a który okaże się „dogodnym cesarzowi, Rossyi, Prusom i Rzeczypospolitej“. Znaczyło to inemi słowy, iż Kurlandya oddana będzie Birenowi. To miała być główna, namacalna zapłata za elekcję Augusta III.

Projekt powyższy, ułożony przez posłów w Warszawie, niezwłocznie posłany został dla ostatecznego zatwierdzenia do Dreżna, Wiednia i Petersburga. Rzeczy jednak nie poszły tak gładko, jak się spodziewano. W samym Dreżnie wynikły pewne trudności i skrupuły. August wahał się brać na siebie uciążliwe zobowiązania w imieniu Rzpltej, których następnie, być może, nie potrafił-by wykonać. Niepokoiła go także sprawa własnej akcyi zbrojnej w Rzpltej: miał jeszcze w żywej pamięci krwawą klęskę tarnogrodzką, pragnął jak najmniej narażać wojska saskie i wprowadzić je do Polski w jak naj-szczuplejszej liczbie i nie wcześniej, jak na poparcie dokonanej już swojej elekcyi. Wreszcie, w projektowanych paktach z cesarzem i carową był punkt jeden, który wyraźnie szedł w poprzek ówczesnych jego intencji: była tutaj, między innemi, mowa o zachowaniu swobód i wolności Rzpltej, co poniekąd równało się gwarancyi polskiego nie-rządu i krzyżowało wszelkie próby powrotu do ojcowskiego *grund dessein* w duchu naprawy monarchicznej. Elektor spróbował potargować się nieco w Wiedniu i Petersburgu. Szczególnie ze strony Ros-syi, którą przecież hojnie nagradzał Kurlandją, upominał się o ustępstwa w innych rzeczach. Chciał nie wiązać sobie zanadto rąk projektowanym traktatem sprzymierzeńczym sasko-rossyjskim, chciał ograniczyć go do lat sześciu, pominąć w nim wzmiankę o „swobodach“ polskich, zaś przedewszystkiem chciał opóźnić termin wejścia wojsk saskich do Rzpltej i obniżyć ich kontyngens, a natomiast przyspieszyć i liczebnie wzmocnić obowiązkową interwencyę zbrojną rossyjską. Wszakże te targi saskie nie zdały się na nic. W Petersburgu, dokąd koniuszy, Loewenwolde, dla tem większego pośpiechu, osobiście był zaniósł projekty warszawskie, nietylko nie było mowy o jakichkolwiek ustępstwach, lecz cały projekt warszawski i cała negocjacya warszawska omal nie zostały utopione doszczętnie, a zarazem omal zgola nie utonąła cała kandydatura elektora. Przeciwnicy Augusta nad Newą nie zaspali sprawy. Münnich z Magnanem w dalszym ciągu mocno popierali u carowej interesa Francyi i Stanisława. Z drugiej strony, Ostermann z Mardefeldem, popychani z Berlina, gdzie z coraz większą goryczą oplakiwano brak ratyfikacyi „paktów“ Loewenwoldowych, podkopywali u carowej interesa Austrii i związanego z nią obecnie Augusta. Przebiegły Ostermann wyniósł na stół wyższą racyę stanu, odwołał się do wielkich tradycyi Piotra Wielkiego, do wyraźnego brzmienia i ducha traktatów i recesów prusko-rossyjskich z czterech ostatnich panowań, do tej oczywistej, kardynalnej zasady politycznej, iż nie należy dopuścić wzmocnienia rządu i rząduości w Rzpltej, zatem nie należy tam na tron dopuścić możnego księcia cu-

dzoziemca, w żadnym razie nie należy dopuścić faktycznej sukcesyi elektora saskiego, będącego królewiczem polskim, a natomiast należy koniecznie oddać koronę polską w ręce bezsilnego i zależnego Piasta, który za udzieloną mu protekcję wypłaci się najlepiej przez utrzymanie i większe jeszcze utrwalenie zbawiennej dla sąsiadów anarchii. Tym sposobem, unikając wszelkich pozorów związku z francuską sprawą Leszczyńskiego, chytry wicekanclerz, z najogólniejszego stanowiska samych tylko interesów czysto rossyjskich, tem śmieiej gardłował za elekcją Piastowską, przyczem na kandydatów zalecał bądź Sanguszkę, bądź Lubomirskiego, bądź którego z Wiśniowieckich. Głos Ostermanna, oparty na uświęconych już pojęciach polityki rossyjskiej, a złączony nadto z pokrewnem zdaniem Münnicha, nie przeminął bez wrażenia na carowej. Przez jedną chwilę sprawa saska mogła się wydawać zupełnie przegraną. Ale strwożeni Loewenwoldowie, których los już nazbyt z tą sprawą był związany, użyli wszelkich sposobów, aby ją uratować. Wysunęli faworyta Birena, zainteresowanego bezpośrednio ze względu na Kurlandyę, poróżnili go nieodwołalnie z Münnichem, doprowadzili do gwałtownej sceny z feldmarszałkiem, uczynili osobistym rzecznikiem sprawy Augusta przed carową. Na niebezpieczną, bo trafną, argumentację Ostermanna, której odparować nie było sposobu, skuteczne znaleźli lekarstwo: uderzyli w strunę najczulszą i troskliwie zwrócili uwagę carowej na tę podejrzaną okoliczność, iż tak zwani Piastowie, to jest wielcy panowie polscy: Wiśniowieccy, Sanguszkowie, Czartoryscy, wywodzący się z dawnych rodów książęcych litewskich, są spokrewnieni z Trubeckimi, Golicynanami, Kurakinami i innemi możnemi rodami tutejszych bojarów, iż zatem którykolwiek z nich, zostawszy królem polskim, mógł-by łącno nadażyć swojej władzy dla wsparcia niebezpiecznych uroszczeń swoich kumów rossyjskich. To był dobitny argument *ad hominem* dla Anny Iwanówny, która ledwo co zdążyła pozbyć się narzuconych jej więzów oligarchicznej kurateli staro-moskiewskiej i obalić bojarskie rządy Dołhorukich. W dodatku, w tej samej chwili, zręczne insynuacje Loewenwoldów, najpiękniej potwierdzone i ułatwione zostały z Warszawy ze strony samych Stanisławców. W tym-to bowiem czasie, prymas, nie mający żadnego pojęcia o stosunkach petersburskich, wybrał się z wyprawieniem do carowej solennego póselstwa, ani mniej, ani więcej, jak tylko w celu obalenia Loewenwoldów i wszystkich rządzących tam Niemców, oraz w celu pozyskania tym sposobem pomocy rossyjskiej dla Stanisława. Wysłany z tą missyą nadzwyczajną poseł Rudomina, podkomorzy braclawski, oprócz urzędowych listów wierzytelnych, otrzymał na drogę poufne pismo prymasa do

carowej, pełne skarg na koniuszego, Loewenwolda, oraz kapitalny list sekretny Wiśniowieckiego do starego Trubeckiego, gdzie nieoszacowany ksiązę powoływał się wymownie na wspólne pochodzenie ze wspaniałej krwi Gedymina, gorzko użalał się na Loewenwoldów, siarczyście powstawał na gospodarujące w Rossyi plemię niemieckie, i wreszcie na wszystko zaklinał Trubeckiego, jako przezacnego w Moskwie „senatora“, aby wziął do serca wspólną sprawę dwóch „bratnich narodów słowiańskich“, aby nie pozwolił wysyłać wojsk rosyjskich do Polski, aby najlepiej sam, w miejsce obcych Niemiaszków, podjął się przyjacielskiego w Warszawie poselstwa. Naturalnie, że dosłowną kopię tych „sekretnych“ listów natychmiast w drodze przekupstwa wydestała ambasada saska w Warszawie i niezwłocznie zakommunikowała do Petersburga. Można sobie wyobrazić efekt, wywołany tam podobnem odkryciem, powszechną złość wszystkich rządzących Niemców, mściwe w szczególności rozjuszenie Birena i Loewenwoldów, niezadowolenie samej carowej, która ostatecznie stała przedewszystkiem na swoim otoczeniu niemieckim, a miała tutaj dowód czarno na białem, iż kumowie polsko-rosyjscy już zawczasu poza jej plecami zaczynają porozumiewać się pomiędzy sobą w duchu zgola niepożądanym. Piastowskie kandydatury, zalecane przez Ostermanna, odrazu spadły zupełnie w cenie. Szala saska podniosła się raptownie. Skorzystał z tego niezwłocznie elektor. Powiadomiony już o niebezpiecznym nastroju nad Newą, wyrzekł się wszelkich targów, byle tylko dobić ostatecznej ugody, chociażby na mniej dogodnych warunkach. Wystosował zaraz dwa pisma własnoręczne do Anny Iwanówny, bez żadnych już zastrzeżeń dopraszając się alliansu. Zgodził się nawet dodatkowo na formalne wyrzeczenie się wszelkich pretensyi polskich do Infant. Zresztą przyjął wszystkie główne zasady pierwotnego projektu warszawskiego. Jednocześnie, względem pomniejszych kwestyi spornych, ułożył się pojednawczo z cesarzem. Już w połowie lipca podpisany został w Wiedniu formalny, w ostatecznej redakcyi, traktat sprzymierzeńczy sasko - austriacki. Na tych robotach zeszedł cały lipiec. Dopiero w początku sierpnia koniuszy Loewenwolde, zatrzymany w Petersburgu wszystkimi temi trudnościami przez całe dwa miesiące, zamiast dwóch tygodni, jak rachowano pierwotnie, powrócił do Warszawy. Jeszcze dni kilkanaście wypadło stracić na formalnościach. Nareszcie, w ostatniej niemal godzinie, w sam dzień otwarcia sejmu elekcyjnego, ostateczny formalny traktat sprzymierzeńczy sasko-rosyjski, wraz z konwencją dodatkową, podpisany został w Warszawie przez Loewenwoldów i posłów elektora. Lipcowy traktat wiedeński i sierpniowy warszawski, poręczając Augustowi czynną i bezpośrednią pomoc cesarza i carowej w jego

przedsięwzięciu polskiem, stawiały nareszcie to przedsięwzięcie na mocnych podstawach materyjalnej przewagi. Trójprzymierze sasko-austryacko-rossyjskie w sprawie elekcyjnej polskiej stało się czynem dokonanym.

W tej samej chwili, kiedy w pałacu ambasady elektorskiej na Placu Saskim kładziono podpisy na instrumencie traktatowym, w Szopie na Woli odbywał się akt otwarcia sejmu elekcyjnego. Z obu stron uczynione były wszelkie przygotowania do tej stanowczej rozprawy. Posłowie elektora w przededniu sejmu zdwoili swoje wysiłki. Usiłowali pozyskać biskupa Żałuskiego, i za jego pośrednictwem przyciągnąć Czartoryskich. Raz jeszcze próbowano skaptować prymasa: Loewenwolde i Wilczek zaofiarowali mu 200 tysięcy rubli, w połowie od każdego z dwóch, petersburskiego i wiedeńskiego; pośrednictwa podjął się Antoni Potocki. Oprócz pieniędzy, dawano sute obietnice w urzędach; Loewenwolde zaopatrzył się w tym celu w osiem blankietów z podpisem carowej. Wszystkie te próby chybiły. Natomiast z innymi przeciwnikami łatwiej przyszło trafić do ładu. Tutaj głównym argumentem stała się wiadomość, iż Rossya postanowiła nie dopuścić do tronu nikogo z „polskich bojarów“, i oświadczyła się przeciw elekcyi Piastowskiej. Odbierało to wszelką nadzieję kandydatom-Piastom, a zarazem odbierało im wstręt dla kandydatury elektora, którą wielu z nich zwalczało dotychczas nietyle z przywiązania dla sprawy Leszczyńskiego, ile we własnej tajnej myśli o koronie. W rzeczy samej, według skromnego rachunku, liczono dotychczas nie mniej, jak dwudziestu czterech domorosłych Piastów - kandydatów do tronu. Owóż tym rojeniom obecnie wypadło dać pokój. Wypadło także w szczególności panom litewskim liczyć się odtąd z przewidywaną inwazyą wojsk rossyjskich i z twardą repressyą sąsiedzka, zagrażającą przedewszystkiem ich majątkom na Litwie. Te względy przemawiały zbyt dobitnie, aby miały nie znaleźć posłuchu u wielu „królewiat“. Pierwszy dał się zmiękczyć Lubomirski, wojewoda krakowski, który zresztą od samego początku był siedział na dwóch stołkach, a obecnie dał posłom saskim zobowiązanie piśmienne, iż nietylko będzie czynnie popierał wybór elektora, lecz nawet sam urzędownie wezwie czterotysięczny oddział Austryaków ze Spiza i sprowadzi do Krakowa. Podobniez został całkiem zyskany Sanguszko. Najcenniejszym atoli nabytkiem byli Wiśniowieccy, w ostatniej chwili przeciągnięci na stronę saską przez sprytnego Kinnerna, rezydenta austryackiego, przy dzielnej pomocy księżny kanclerzyny. Równocześnie nie zaniebrywano też zabiegów koło zyskania skromniejszych adeptów wśród wyborców szlacheckich. Ale i z drugiej strony nie próżnowano. Ambasador francuski rozdawał summy ogromne na prawo i lewo. Prymas

dniem i nocą pracował nad zjednoczeniem i umocnieniem swoich adherentów. Umiał nawet ugłaskać i przekonać wielu z opornych dotychczas biskupów, w czem teraz właśnie niemałe znalazł ułatwienie, gdyż wtedy-to wpływom wersalskim udało się na krótko wziąć górę w Watykanie. Główna jednak potęga sprawy Stanisława spoczywała najoczywiściej w rozbudzonym dla niego zapale powszechności stanu rycerskiego, w żywiołowym poparciu wielotysięcznych tłumów szlacheckich, zgromadzonych na sejm elekcyjny w Warszawie.

Sejm elekcyjny na miejscu uświęconem, na polu pod Wolą, rozpoczął obrady. Według uchwały sejmu konwokacyjnego, był on wyraźnie ustanowiony jako konny, to jest nie z delegacyi, lecz pospolitem ruszeniem. Stawilo się też na Wolę do dwudziestu tysięcy szlachty. Ogromne Koło sejmowe wspaniała i barwny przedstawiało widok. Pośród kontuszów, pasów litych i szabel staroświeckich, zrzadka dojrzyć modne sukni i szpady francuskiej. Duch odrębności narodowej, duch oraz wstępu dla cudzoziemczyzny widomie wionął nad zgromadzeniem i onieśmielił zarówno świetnych wytwornisiów, jak partyzantów saskich. Ta szlachta, postawiona na nogi przez Francję, przyszła tutaj przecież nie dla Francyi, ale przyszła z najdalszych zakątków, z głębi Rzpltej, aby swojego brata na swoim osadzić tronie. Już jednak zgromadzone tłumy nurtowała gorączka i niepokój. Już dochodziły wieści o wkroczeniu wojsk rossyjskich od granicy litewskiej. Gwałtownie na regimentarza I. napadła szlachta, czemu on wstępu nie broni, czemu obowiązku swojego nie wypełnia; sam prymas w uniesieniu publiczne z tego powodu czynił mu wyrzuty. Wiśniowiecki, ciężko dotknięty, a nauczony od żony i Sasów, odpowiedział w ten sposób, iż zaraz na trzeci dzień sejmowy wycofał się z Koła i przeniósł na drugą stronę Wisły, na Pragę. Tutaj już był zatrzymał się Radziwiłł i tutaj teraz zbrali się: drugi Wiśniowiecki, kasztelan krakowski, Lubomirscy i parę tysięcy szlachty. Powoli, z dnia na dzień, chyłkiem zaczęli ściągać ku protestantom na Pragę inni poplecznicy sascy, paru biskupów, oraz głównie panowie i szlachta litewscy. Prymas czynił, co było w jego mocy, aby ich nawrócić i odwołać z powrotem. U Kapucynów na Krakowskiem miał tajne spotkanie z Michałem Wiśniowieckim, ofiarował mu od posła francuskiego dwa miliony złp., zaklinał na dobro ojczyzny, zalewał się łzami, zachwiał go nawet na chwilę, lecz ostatecznie nie przekonał. Tymczasem w Kole, po ustąpieniu przeciwników, tem oczywistsza Stanisławców przewaga. Obrany marszałkiem sejmowym Franciszek Radzewski, podkomorzy poznański, zagorzały stronnik Leszczyńskiego. W tem wieść, naprzód niepewna, wnet niewątpliwa, rozbiega się po sejmujących: Leszczyński stanął w Warszawie. W rzeczy samej, król Stanisław przybył do swojej sto-

licy. Wprawdzie przybył nie tak, jak marzył, jak był zapowiadał swoim stronnikom w Warszawie, jak od zięcia dopraszał się w Wersalu. Nie przybył eskortowany przez zwycięską armię, albo boda przez wspaniałą eskadrę francuską. Skoro Fleury odmówił nietylko wojsk, lecz nawet okrętu do Gdańska, powolny pretendent ukorzył się i bez wielkich trudności zgodził się na nieco odmienny powrót do „swego“ państwa. Nieco skromniej, samowtór, w przebraniu, w czarnej peruce, pod fałszywym paszportem, jako subjekt kupiecki „Brambak“, przekradł się przez Niemcy, gdzie wszędzie na niego czatowano. Czuł niewyraźnie, że to wszystko było trochę niestosownem dla byłego i przyszłego monarchy wielkiego narodu. Ale ostatecznie cała ta awanturnicza maskarada dość go bawiła i przypadła mu do gustu. Wszak w „Pamiętnikach kawalera d'Artagnana“, w „Intrygach markiza Montbruna“, i innych współczesnych arcydziełach Courtilza, albo Lesage'a, pełno było zupełnie takich samych romansowych przygód. Dla króla-emeryta z Chambordu ta powtórna wyprawa po koronę była jedną więcej przygodą w pełnym przygód żywocie. Zresztą, pocieszał się, że i Karol XII wrócił *incognito* z Benderu do Sztokholmu. Tylko, że on nie był Karolem. Do Warszawy przybył z początkiem września, w nocy, na dwa dni przed samą elekcją. Stał w ambasadzie francuskiej na Krakowskim Przedmieściu, w gmachu, przytykającym do kościoła Świętego Krzyża. Zawczasu były już stąd przebite drzwi do nawy kościelnej. Nazajutrz zrana, na pierwszej mszy, król w polskim stroju pojawił się w kościele. Czekali go tutaj tłumnie zebrani znaczniejsi adherenci, panowie i panie, już uwiadomieni o jego obecności, a i prosty lud miejski, ściągnięty niezwykłym zjazdem o tak wczesnej godzinie, zaczął tłoczyć się do świątyni. Owacyjnie witano króla-wygnańca, całowano go po rękach, przyglądano mu się, niby cudownemu zjawisku. Co prawda, nie był to już ów świetny młodzieniec, którego widziano tutaj przed trzydziestu laty, kiedy-to, na samym wstępie do życia, rzadki, najniespodzianwszy uśmiech fortuny był wyniósł go bez trudu, bez zachodu, do najwyższej godności i rzucił mu odrazu płaszcz królewski na młode ramiona. Jakże inaczej wyglądał on obecnie. „Otyły, średniego wzrostu, twarz okrągła, duże brwi siwe, nos mierny orli, zęby zniszczone, szerniałe od tytoniu, wiek od lat 50 do 60, lecz bliżej sześćdziesiątki“. Tak głosił urzędowy rysopis Leszczyńskiego, rozlepiony na wszystkich pocztach cesarskich, gdzie wszędzie wydany był surowy rozkaz pochycenia go podczas przejazdu przez Niemcy. Dokładnie był on wtedy w 56-tym roku życia. Dać rysopis moralny Leszczyńskiego było-by rzeczą dużo ciekawszą. Ale to zdaleko zawiodło-by nas na tem miejscu. Wypadnie może kiedyindziej podjąć się tego niewdzięcz-

nego, a jednak potrzebnego, bo ciągle niewypelnionego zadania. Tutaj tyle tylko powiemy: ten król, podwakroć obrany, w duszy swojej nigdy naprawdę nie był królem. I z tej właśnie strony zasadniczej i niczem nie odkupionej,—jak i z wielu zresztą rysów drugorzędnych, dodatnich, czy ujemnych, z dobrego w gruncie serca a miękkiej, jak wosk, woli, ze szlchetnych lecz migotliwych porywów, a zakorzenionej żyłki sybaryckiej, z dużej łatwości słowa i pióra, a zupełnej nieudolności do trwałego czynu,—był on uderzająco podobny, zanadto podobny, do ostatniego i najopłakańszego ze swoich następców, którego jeszcze po dalszych trzydziestu latach, sam już zgrzybiały i stojący nad grobem, będzie oglądał wstępującego w podobnej, jak on niegdyś, aureoli młodości i fortuny na złote stopnie fikcyjnego tronu. Dla oka głębszej psychologii dziejowej, Stanisław I Leszczyński i Stanisław II August Poniatowski, niezależnie od wszelkich oczywistych różnic czasu, położenia i losów, pozostaną zespoleni tajemnym węzłem fatalnego duchowego powinowactwa.

Tymczasem wybiła stanowcza godzina elekcyi. Złączyły się w Kole na Woli obadwa Stany, senat z duchowieństwem i rycerstwo, skupione razem przy chorągwiach każdego województwa. Sami już prawie teraz zebrali się Stanisławcy, a było ich jeszcze do kilkunastu tysięcy; drugie tyle widzów zbiegło się z miasta. Prymas drżącym głosem zaintonował *Veni Creator*. Poczem dosiadł konia, i poprzedzany przez trębaczy, w otoczeniu licznej świty paruset jezdnych, zaczął objeżdżać województwa, ziemie i powiaty, uświęconym porządkiem, odbierając wota. Wszędzie bez wyjątku oddawano głosy za Leszczyńskim. Zwolna, krok za krokiem, odbywał prymas ten uciążliwy objazd, przez osiem godzin z rzędu, pod koniec na ulewnym deszczu, a ciągle w niesfornym tłoku, przy groźnych hukach rozgorączkowanych tłumów. Nazajutrz od samego rana tym samym trybem odbywało się w dalszym ciągu objeżdżanie elektorów i po południu nareszcie doprowadzonym zostało szczęśliwie do końca. Około trzynastu tysięcy wyborców jednomyślnie oświadczyło się za Leszczyńskim. Nie było opozycji żadnej. Wbrew późniejszemu przeciwnym twierdzeniom Augustowców, niezawodną jest rzeczą, że w tej chwili stanowczej, wewnątrz Koła elekcyjnego pod Wołą, nikt nie ośmielił się jawnie podnieść wyraźnego protestu przeciw obiorowi Leszczyńskiego. Całe pole od krańca do krańca rozbrzmiewało jednym potężnym wołaniem na cześć Stanisława. Gwałtownie dopominano się od prymasa natychmiastowej nominacji elekta. Prymas jeszcze dla formy po kilkakroć przepytował zgromadzenie, czy jest pełna i powszechna zgoda. „Zgoda, zgoda na Stanisława“, odpowiadał za każdym razem grzmiący okrzyk tłumu. Wtedy-to, tegoż dnia 12 września, o godzinie czwartej

po południu, prymas uroczyście nominował królem polskim Najjaśniejszego Stanisława Leszczyńskiego. Poczem zaintonował *Te Deum laudamus*. Zawtórowało wielkim głosem wszystko zgromadzenie. Z równiny, zapelnionej wielotysięcznym ludem, uderzyła w jesienne niebo wielka pieśń dziękczynna, iż osierocona Rzplta narazie wedle myśli swojej obrała sobie pana.

Akt powtórnego obioru Stanisława Leszczyńskiego, dotychczas akt małej i pospolitej rachuby stronnicej, oraz obojętnej i odległej rachuby międzynarodowej, odsłania w tem miejscu inne, poważniejsze oblicze. Ukazywał się on dotychczas, jako wynik połączonych interesowanych wysiłków oligarchii polskiej i dyplomacyi francuskiej. Obecnie ukazuje się, jako wynik woli szlacheckiego narodu. Prawda, ten naród we wskazazanym z góry kierunku prowadzony był na pasku przez samolubną taktykę oligarchii domowej i łakome kuszenia zagranicznego złota. Ale istniały inne jeszcze, wyższe, samorodne czynniki, które w jednolitym oporze przeciw Sasowi, w jednozgodnym porywie zapalu dla Piasta Stanisława, skupiały niemal wszystką rozstrzeloną powszechność szlachecką, a nawet i tę wielogłową gawieź pospolitaków miejskich, okalającą Koło wyborcze na Woli. I znowu prawda, iż wśród tych z kolei czynników były takie, gdzie przebijala dążność negacyjna i niezdrowa. Był szowinizm narodowy i nienawiść dla cudzoziemszczyzny. Był fanatyzm religijny i nienawiść dla herezyi. Ale nawet i tutaj, i tam, były także pobudki zrozumiałe i naturalne. W kraju katolickim, nazajutrz po groźbach toruńskich, nie chciano króla z ziemi protestanckiej, doradzanego przez ministrów protestanckich, z tytułu i z prawa naczelnika ludów protestanckich. W kraju polskim, nazajutrz po doświadczeniach tarnogrodzkich, nie chciano Sasa. Nie zapalano się dla oligarchów domowych, bo choć służono im z musu, wiedziano dobrze, co za jedni, wiedziano, czego od nich można oczekiwać, i niejednokrotnie, jak ostatnio jeszcze w krwawym wybuchu olkiennickim, dotykalnie odkrywano im tę gorzką samowiedzę. Ale rwano się sercem do Stanisława. Było to proste i piękne uczucie zbiedzonego narodu dla króla rodaka, którego już raz się obrało, a nie pamiętano, nie chciano pamiętać wśród jakich warunków, za którego się krew przelewało, którego straciła obca przemoc, a którego nikłą i zwyczajną postać otaczała aureola wygnania, nikłe i zwyczajne rysy przesłaniała i zacierała odległość czasu i miejsca. A wreszcie, żeby wszystko powiedzieć, była to wprawdzie rzecz nieziszczalna, nie było do tego podstaw w faktycznym przebiegu losów narodu, który, z winy fatalności, po dwakroć utraciwszy własną dynastję, trzeciej z siebie wydać nie zdołał, — ale to był w głębi pęd żywiołowy i przyrodzony, owo pragnienie instynktowne wyborców pol-

skich 1733 roku mieć pana na prawdę swojego, z krwi i kości własnej, urodzonego z tej ziemi, z tego powietrza, mówiącego tym językiem, wcielającego to wszystko, czem stała i żyła Rzplta, jak wszystkie inne szczęśliwsze narody, którym, bez większych zasług, większa łaska fortuny zachowała swojską rodowitą dynastję. Omylono się na człowieku, omylono w sposobach i nadziejach, i ciężko odpokutowano tę pomyłkę: atoli ostatecznie spełniono tutaj nietylko akt nienawiści, lecz akt ducha publicznego.

W każdym razie zwycięstwo Leszczyńskiego do czasu było zupełnem i niewątpliwem. Usłużny wierszopis Wersalu mógł obwieścić światu cudowny tryumf teścia Francyi: „*Stanislas à l'instant vain, parut, et fut roi*“, głosiła oda pochwalna Voltaira na cześć elekcji warszawskiej. Pod względem formalnym Stanisławcy byli zupełnie górą i zupełnie w porządku. Elekcya wolska odbyła się wedle wszelkich wymagań prawa. Obeszło się, jak rzekliśmy, bez żadnego zgola prawnego protestu. Było wprawdzie w Kole kilka nieśmiałych, dwuznacznych prób przemilczenia, lub wykrętu. w rodzaju salw konwokacyjnych, ze strony kilku polityczniejszych Augustowców, postawionych tutaj jakby na czaty, ale tutaj, pod gołym niebem, wśród wzburzonych tłumów, inna była atmosfera, aniżeli na sali zamkowej, i niefortunni politycy, po pierwszych groźnych okrzykach otaczającej szlachty, wnet odwoływali roztropnie swoje dwuznaczniki i razem z innymi poprostu głosowali za Leszczyńskim. Wprawdzie po drugiej stronie Wisły rozłożyło się obozem na Pradze kilkunastu panów i parę tysięcy szlachty, którzy w dniu elekcji nie pokazali się w Kole, ale ich nieobecność przy czynności wyborczej nie osłabiała w niczem legalności wyboru. Nikt nie był obowiązany być na Woli. Elekcya prawnie nie wymagała żadnego przepisaneho kompletu wyborców. Tyle tylko było wymaganem, aby odbyła się według obyczajów, według ustaw konwokacyi, i bez scyssyi w samem miejscu i czasie, w samem Kole i akcie elekcyjnym. Obyczaje i ustawy były zachowane. Scyssyi w Kole nie było. Stanisław najniewątpliwiej i najprawniej był królem. Był nim nadto mocą oczywistej i ogromnej większości narodu, mocą wyjątkowo pełnego i licznego kompletu wyborców. Oddało za nim głosy kilkanaście tysięcy szlachty, stukilkudziesięciu senatorów i ministrów, a nawet całe niemal wyższe duchowieństwo, prymas i ośmiu biskupów, gdyż tylko dwóch w tej chwili znalazło się na Pradze. Świadomość prawnej wygranej Warszawian, poczucie własnej przegranej, wątpliwość i obawa zaczęły przenikać do nielicznego obozu praskiego. Zaczęto stąd niepostrzeżenie, po jednemu, przechodzić do Warszawy, przynosząc skruszone akcesy do wolskiej elekcji. Wtedy-to zdradzili sprawę saską wojewodowie: Czapski chełmiński,

Szoldrski inowrocławski, Potulicki czerniechowski, świeżo kupieni za drogie pieniądze elektorskie, a za nimi wielu najhałaśliwszych zelantów saskich, między innymi ów Małachowski, starosta opoczyński, który później przechwalać się będzie uczynionym jakoby na Woli protestem, i za ten rzekomy protest obliczy sobie sutą od dworu nagrodę, a który teraz dał pismo własnoręczne z uroczystem uznaniem Leszczyńskiego. Wtedy także do sprawy Stanisława przerzucił się Konarski, oddając na jej usługi to samo pióro, którem dotychczas służył sprawie saskiej. Zachwiali się nawet Wiśniowieccy: ks. Janusz powstrzymał się od podpisania gotowego już cyrografu na 40 tysięcy dukatów austriackich, a ks. Michał, w ciężkiej rozterce z wrodzonym poczuciem legalizmu, gryzł się, martwił, wrywał do akcesu do prawnie obranego króla, z nawięszym trudem powstrzymywany od tego kroku przez zaklęcia i płacze księżny kanclerzyny. W rzeczy samej, Prażanie w tej chwili byli po prostu rokoszani. Można było, a nawet należało, po prostu ich znieść. Taką też była śmiała rada Ponia-towskiego, której wszakże w otoczeniu Stanisława nie poważono się wykonać, gdyż spodziewano się niechybnie dojść do ładu z przeciwnikami w drodze pokojowej. Istotnie, obóz praski topniał raptownie. Położenie posłów elektorskich było rozpaczliwem. Z Pałacu Saskiego, gdzie mieściło się ich poselstwo, i gdzie, wbrew prawu i uchwale konwokacyjnej, byli pozostali podczas elekcji, starali się oni na wszystkie sposoby podtrzymać upadającego ducha swoich niepewnych przyjaciół praskich. Trzeba było zdobyć się na nowe, jeszcze hojniejsze podarki dla umocnienia chwiejnych przywódców; a trzeba było także łożyć na całe utrzymanie parotysięcznego obozu szlacheckiego na Pradze. Wydatki ambasady saskiej w tych dniach krytycznych doszły do niesłychanej summy piętnastu tysięcy dukatów na dobę. Tamte pół miliona, pierwotnie przeznaczone dla Augusta na elekcję, oddawna były wyczerpane; wypadło przysłać pośpiesznie z Drezna 200 tysięcy talarów i jeszcze dopożyczyć znaczną kwotę od Loewenwoldego. Ten zresztą na swój własny rachunek wydawał summy bajeczne, a przynajmniej podawał takie swojemu dworowi. Gdyż należy tutaj stwierdzić nawiasem, iż, jeśli skrupulatni Sasi z niemiecką ścisłością zapisywali każdego dukata, tak, że dziś jeszcze w archiwum drezdeńskim można sprawdzić najdokładniej wszystkie ich wydatki, natomiast przemyślniejszy Loewenwolde po prostu oświadczył w Petersburgu, iż „dla ostrożności“ musiał spalić swoje rachunki warszawskie, co dosyć wyraźnie zdaje się wskazywać, że praktyczny Kurlandczyk na polskiej elekcji musiał zrobić nienajgorszy interes. Jednakowoż, żadne ofiary pieniężne nie były-by w stanie uratować złej sprawy elektora. Uratować ją mogła jedynie tylko odsiecz zbroj-

na, a mianowicie zapowiedziana oddawna pomoc wojsk rosyjskich. Owóż tutaj właśnie najniespodziana i najdotkliwsza objawiła się przeszkoda. Wojsk rosyjskich ciągle nie było jakoś widać. Loewenwolde zaraz po swoim powrocie do Warszawy, jeszcze z początkiem sierpnia, był posłał rozkaz do wkroczenia na Litwę korpusu rosyjskiego, stojącego w pełnej gotowości pod Rygą. Ale tym korpusem dowodził generał Lacy, podwładny Münnicha, przyjaciel Ostermanna, należycie przez nich obrobiony, a mianowicie inspirowany w tym duchu, iż nie powinien, broń Boże, się śpieszyć, lecz tak wyliczyć się z marszami, aby zostawić jak najwięcej czasu do skręcenia karku kandydaturze saskiej w Warszawie, a tem samem do zupełnego skompromitowania i skręcenia karku Loewenwoldom w Petersburgu. Lacy sumiennie wywiązał się z tego zadania. Wzywany na gwałt przez Loewenwoldego, robił wszystko, co tylko mógł, aby, bez jawnej niesubordynacji, przybyć zapóźno. Przekroczył granicę, wtargnął na Litwę, i przez Grodno obrócił marsz na Warszawę. Ale badał gruntownie drogi, zarządzał rekonesanse, zabezpieczał sobie tyły, czynił zadość wszelkim wymaganiom ostrożnej strategii, i zółwim krokiem ledwo posuwał się naprzód. Tymczasem codzień odbierał z Warszawy naglące błagania o pośpiech od zrozpaczonych Loewenwoldów i bezradnych posłów saskich. Prosilili go choć o kilkaset dragonii, żeby bodaj mundur sprzymierzeńczy pokazać w Warszawie. Lacy tem się nie wzruszał; on ciągle maszerował. „Liczymy godziny, każdy dzień wydaje nam się wiekiem“, pisali do Drezna nieszczęśliwi posłowie elektora. Loewenwolde chodził jak bez głowy, gdyż domyślił się manewru swoich wrogów petersburskich i czuł się zgubionym razem ze sprawą saską. Istotnie, w ten to dopiero sposób stała się możliwą spokojna elekcya Leszczyńskiego. Jeszcze dni parę, a stanie się niemożliwą elekcya Augusta. W samej rzeczy, sześciotygodniowe trwanie sejmu elekcyjnego, zawarowane w konwokacyi, już miało się ku końcowi. Sejm, otwarty w dniu 25 sierpnia, gasnął dnia 5 października. Zwątpił ostatecznie sam August III. Oświadczył kategorycznie swoim posłom, iż jeśli do tej daty nie będzie obrany, zrzeka się bezwarunkowo swojej kandydatury. Rozkazał im w tym wypadku natychmiast opuścić Warszawę i powrócić do Drezna. Posłał im nawet odpowiedny, należycie wymotywowany akt zrzeczenia się, który mieli urzędownie doręczyć pełnomocnikom rosyjskim i austriackim. Szczegół to arcyciekawy: August III, na dwa dni przed swoim obiorem na króla polskiego, urzędownie rezygnował z korony polskiej.

Ale losy chciały inaczej. Sumienny Lacy, który niebardzo rozumiał się na finezyach sejmowych i widocznie mniemał, iż uczynił

dosyć, dopuściwszy do elekcji Leszczyńskiego, nareszcie wyczerpał całą swą strategię i zbliżał się do Warszawy. Jego forpoczty pokazały się pod Tykocinem. Natychmiast przewrót gwałtowny objawił się w Warszawie i na Pradze. Struchleli Stanisławcy. Dopiero co piorunowali na interwencję sąsiedzką i wygrażali się pospolitem ruszeniem. Teraz nikt nie porywał się do szabli. Może zresztą i stanęła-by szlachta, ale żadnych nie uczyniono przygotowań do obrony, a przytem nikt z tych wielkich panów, co umieli tak zażarcie wydierać sobie buławę w czasie pokoju, teraz nie kwapił się do laurów orężnych i nie chciał prowadzić na nieprzyjaciela. Każdy teraz przemyślał o własnem bezpieczeństwie. Król Stanisław, król od dni dziesięciu, w otoczeniu swoich najbliższych pośpiesznie opuścił stolicę i nie oparł się aż w warownym Gdańsku. Za nim pobiegli wierniejsi stronniacy. Rozważni Czartoryscy zdążyli jeszcze przed wyjazdem ułożyć się z Brandtem i Hoffmannem o bezpieczny azyl w Prusach i nawiązać rokowania o medyacyę z dworem berlińskim. Pewna, aczkolwiek jeszcze nieliczna, część Stanisławców wprost przeszła do przeciwnego obozu. Pędem wróciło na Pragę sporo „perekińczyków“, co przed kilku jeszcze dniami przekradali się stąd do Warszawy. Odmieniała się cała postać rzeczy. Z Rzymu, gdzie tymczasem nastąpił trzeci z kolei, zresztą również nietrwały, zwrot na rzecz Augusta, już nadchodziło zwolnienie od przysięgi konwokacyjnej. Wszystko naraz składało się jak najpomysłniej dla Sasów. Jeszcze wypadło im przeżyć kilka chwil ciężkich. W Warszawie, opuszczonej od króla, zagrożonej od wojsk rossyjskich, straszliwy zapanował zamęt. Wzburzone pospólstwo rzuciło się na pałace znieawidzonych posłów cudzoziemskich. Loewenwoldowie byli zmuszeni szukać ratunku u Wilczka, w gmachu ambasady austriackiej. Do Pałacu Saskiego formalny przypuszczono atak, do bramy głównej walono z armat, z obu stron byli ranni i zabici, sami posłowie ledwo uszli ze zdrową głową. Ale to był ostatni wybuch bezsilnego oporu. Nazajutrz forpoczty Lacy'ego stanęły na Pradze. Już było w kraju 24 tysiące wojsk regularnych rossyjskich, a jeszcze nadciągnęło sześć tysięcy kozaków i kałmuków. Jeszcze można było wszystko uratować. Ponieważ Lacy-kunktator odmawiał wejścia do Warszawy i spokojnie pozwolił przeciwnikom spalić most na Wiśle, wypadło zadowolić się Pragą. Lecz ostatecznie było to już wszystko jedno. Poprowadzono robotę na Pradze w tempie wyścigowem, gdyż istotnie ani chwili nie było do stracenia. W trzy dni niespełna załatwiono się ze wszystkim. Zwołano skonfederowane stany, otwarto sejm elekcyjny we wsi Kamieniu pod Pragą, gdzie ongi był wybrany Walezy. Marszałkiem sejmu został instygator k., Poniński, lichy wierszokleta łaciński, naprzód sługa dworski,

potem Augustowiec, a godny stryj osławionego Adama. Przystąpiono nareszcie do aktu elekcyjnego. Stało w kole dwóch obecnych biskupów, kilkunastu senatorów i ministrów, najwyżej około 4,000 szlachty, prawie wyłącznie Litwinów, i trochę nawróconych Wielkopolan. Wszyscy jednomyślnie oddali głosy za elektorem saskim. Był dzień 5 października, godzina piąta po poł., kiedy wśród zapadającego zmierzchu biskup Hozyusz nominował królem polskim Najjaśniejszego Augusta III. W pobliskim kościółku bernardyńskim biskup Lipski zaintonował *Te Deum*. Rozległ się grzmot salutujących armat rosyjskich. Rzplta miała dwóch królów. ¹⁾

SZYMON ASKENAZY.

1) Źródła archiwalne, na których rzecz niniejsza w całości osnuta, ogłoszone będą w oryginale na innym miejscu.

KRONIKA LONDYŃSKA.

Zagadnienie południowo-afrykańskie. — Wyprawa chińska. — Sezon wiosenny. — Podróżnicy angielscy i sąsiedzi. — Roboty publiczne i budowle Londynu. — Muzeum Ryszarda Wallace'a w Hertford House. — Miliony Andrzeja Carnegie i ich przeznaczenie. — Osiemdziesięciolecie Herberta Spencera i jego życiorys przez Hektora Macphersona. — Trzechsetletni jubileusz Cromwella i jego charakterystyka przez Sir R. Tangye, Lorda Rosebery i S. R. Gardinera. — **T e a t r a:** Opera i operetki—angielski Beyreuth. — „Quo vadis“ i „Cyrano de Bergerac“. — Zaza — Człowiek lat 40-tu — Próba Lady Huntworth.

Wojna zaborcza w Afryce Południowej, o której rozpoczęciu i pierwszym okresie pisałem na tem miejscu przed pół rokiem, nie skończona jeszcze, i stanowi najważniejszy wypadek w narodowym życiu Wielkiej Brytanii. Potężna, bo 200,000-na armia, przykuta jest na tych dalekich kresach, i wciąż jeszcze ujadać się musi z nieuchwytnym nieprzyjacielem, Niema już mowy o walnych bitwach, ale ciągle są potyczki, w których oddziały wolnych strzelców zadają regularnej armii angielskiej dotkliwie ciosy. Jakich 40,000 Anglików legło trupem, poniosło rany, albo padło ofiarą gorączek i tyfusów. Cel końcowy, chociaż na pozór blizki, oddala się ustawicznie. Wzięte są stolice obu Republik, rozwiązane ich rządy, a kraje urzędowo wcielone do Imperyum Brytańskiego: pomimo tego trwa

partyzantka, i pokonane, i zalane armiami nieprzyjacielskimi kraje, posiadają wciąż jeszcze swych dziarskich obrońców w górach i wąwozach, i organizm rządowy, co nie dał za wygraną. Taki stan rzeczy może trwać dalszych parę miesięcy, a ta wojna, na którą szli Anglicy jak na wesoly turniej, albo myśliwską zabawę, potrwa rok cały, rzucając zakrwawiony całun na ostatnie dni dogorywającego stulecia.

Najsmutniejszą przypadłością tej wojny jest, że, nawet zakończona, nie rozwiąże podniesionego zagadnienia. Anglia przedsięwzięła ją w nadziei, że zniweczy żywioł narodowy hollenderski i utworzy na południowym zrębie Afryki, pod swem zwierzchnictwem, potężny, federacyjny organizm, na wzór Dominium Kanady, albo właśnie co utworzonej Federacji Australskiej. Miała to być nietylko nowa zdobycz rasy anglo-saksońskiej, nowy szczebel na jej jakóbowej drabinie nieprzerwanego postępu, ale, oprócz tego, miał to być tryumf wyższych cywilizacyjnych pierwiastków. Zamiast owej chłopskiej oligarchii, opierającej się na ucisku autochtonów i nieuwzględniającej rozkwitu kultury, Anglicy pochlebiali sobie, że utworzą społeczeństwo, przesiąknięte czynnikami politycznej swobody, brytańskiego samorządu, ekonomicznego dobrobytu, hołdujące wiedzy, umysłowemu i estetycznemu rozwojowi. Tak głęboko byli przeświadczeni, iż na przygotowanej przez nich do posiewu glebie wzejść musi plon bujny i świetny, że pojąć nie mogli złej woli i ujemnego sądu, jakie ich wyprawa napotkała u sąsiadów bliższych i dalszych.

Ale tymczasem zanosi się na bankructwo tej rzekomo cywilizacyjnej missyi. Nie obywateli, garnących się do pierwiastków, reprezentowanych przez Anglię, ale tysiące zawziętych przeciwników jej wpływów i jej polityki pozyskała ona sobie. Nietylko, że dwa nowo podbite kraje będą przez długie lata, a może nawet przez kilka pokoleń, podkopywać jej władzę, przeciwdziałać jej publicznej akcji, ale, podając rękę swym ziomkom, osiadłym w dawnych angielskich koloniach Kapu i Natalu, mogą przeciągnąć nawet na swą stronę wszystkich obywateli hollenderskiego szczepu. Zamiast być rozsądnikiem postępu, owa południowa Afryka, zdobyta gwałtem i przemocą, będzie podminowana sprzysiężeniami, gotowa do buntów. Anglia będzie zmuszoną utrzymywać tam liczną i kosztowną armię, a zamiast dać instytucje swobodne, stanowiące jej chlubę wobec dziejowego trybunału, przewiduje stan obłączenia, prawodawstwo wyjątkowe i odracza samorząd i emancypację do nieokreślonego jakiegoś terminu.

Zanim dotrze do słodkiego jądra, długo Wielka Brytania żuć będzie musiała gorzką lupinę. Wyniosłe jej ambicje pozostaną mrzonkami, a urągać się jej będą mogli zawistni przeciwnicy. Nie natychmiastowe zyski, ale straty tylko zapisze do swego bilansu. Koszta

wojny wyniosą około dwóch miliardów rubli; reorganizacja armii pochłonie bająnskie summy, i trzeba będzie dotkliwie podatki nałożyć na naród. Gdy ze świetnego fajerwerku dym tylko pozostanie, i gdy pierwsze odurzenie zwycięzców przeminie, praktyczny zmysł Johna Bulla zaprotestuje przeciwko całemu temu awanturniczemu przedsięwzięciu, i reakcja będzie niezawodnie energiczna. Przewiduje ją rząd, i aby pozyskać sobie sankcję narodu, postanowił pośpiesznie rozwiązać obecny parlament, a zwołać nowy, dopóki trwa sztucznie rozbudzony entuzjazm. Będziemy tedy mieli wybory do Izby Gmin w jesieni, w chwili, gdy zwycięska armia powracać będzie do ojczyrstych wybrzeży. Maszyniści, co przygotowali tę sztuczną apoteozę, skąpią się w jej jaskrawych promieniach i będą tryumfować: to pewna. Ale zdaje się równie pewnem, że tryumf to będzie krótkotrwały, a przebudzenie bolesne. Gdy społeczność angielska zechce podjąć przerwany wątek swej emancypacyjnej i reformatorskiej akcji, powierzy go innym rękóm, aniżeli sprawcom i odpowiedzialnym autorom wojny afrykańskiej.

Wszystkie siły wojenne Anglii potrzebne jeszcze były w Afryce, gdy wybuchły rozruchy w Chinach. Chociaż w chwili, w której piszę, tragedia pekińska nie pokazała się tak okropną, jak obawiać się było można, chociaż sam Pekin znajduje się już w rękach zjednoczonych europejskich armii; to sprawa cała nic nie straciła ze swojego znaczenia, i niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze. Zmora ta dusi świat tutejszy. I słusznie. Niespodzianie ryk huraganu przebudził z wygodnej drzemki. Jeżeli w ciągu kilku lat ostatnich zaczęło świtać w umysłach Anglików, że nie oni sami pochłoną i przywłaszczą sobie Chiny, ale że i reszta Europy, nie mówiąc już nawet o Stanach Zjednoczonych i o Japonii, pragnie także wziąć udział w bankiecie, rozściartowawszy wprzódy 400-milionowego olbrzyma; to ani na moment nie wątpili, iż sam fakt zwierzchnictwa rasy białej nad żółtą i narzucanie przez pierwszą cywilizacyjnej swej modły—drugiej, jest historyczną koniecznością. Zapomnieli i lekceważyli rady Gordona, który znał świat chiński lepiej, niż ktokolwiek z postronnych, a wobec łatwych zwycięstw, jakie świeżo Japończycy odnieśli nad Chinami, drwili sobie z przepowiedni, uczynionych jednocześnie przez

profesora L. Pearsona w pamiętnem dziele: „National Life and Character“. Ukazał on przerażające widmo rasy żółtej, mszczącej się po barbarzyńsku nad białą za doznane zniewagi, i duszącej Europę tak, jak boa dusi w swych splotach jagniątko.

Cała prawdziwość tych wróżb ponurych i tych nieuwzględnionych przestróg narzucić się musiała w chwili obecnej umysłom angielskim. Nawet jeżeli się uda, jak się spodziewać należy, załatać chwilowo rozdartą szmatę, to leży jak na dłoni, że zbudził się już na dobre smok potworny, i że nie zostawi nas już na przyszłość w spokoju. Stłumiony dzisiaj na jednym miejscu ruch anty-europejski, wybuchnie jutro na innym. Obawa Anglików zwraca się przedewszystkiem ku częściom Chin, sąsiadującym z Birmanią i z Indyami, bo bunty pierwotnych plemion są zaraźliwe, i jakieś niedojrzane, podziemne prądy mogły-by przenieść ich bacylle do krajów, gdzie władza angielska utrzymuje się nie materyalną siłą, ale niezachwianą dotąd powagą europejskiego przewodnictwa.

Nawet gdyby się te groźby nie sprawdziły i odroczone zostały do mrocznej jeszcze przyszłości, to Anglia poniosła już straty bolesne i dotkliwe, i słabą może być pociecha, że nie poniosła sama, ale że dotknęły one i innych przedstawicieli europejskiej cywilizacji. Dzieło chrześcijańskich misyjonarzy doznało już klęski, z której przewidzieć niepodobna, kiedy podnieść się będzie mogło. Porównać je można do owego zniweczenia chrześcijańskiej propagandy w Japonii, z którego nie potrafiła się odrodzić od 200 lat. Lord Salisbury, przemawiając niedawno do deputacyi misyjonarzy, wyrzucał im z goryczą, że przyczyniają rządowi niezliczonych kłopotów i wywołują nieporozumienia międzynarodowe. Z punktu ściśle politycznego nie można mu odmówić słuszności: inaczej z religijnego. W przeświadczeniu o wyższości i o prawdzie chrześcijaństwa, jakże misyjonarze powstrzymać-by się mieli w swem apostołstwie? Cała duchowa natura wzdryga się na myśl pozbawienia ich opieki państw chrześcijańskich. A przeświadczenie, że krew wymordowanych kapłanów i ruiny zwalonych świątyń wymagają pomsty, wyrugowanem z serc naszych być nie może.

Ale oprócz powyższej moralnej, Anglia poniosła już także materyalną klęskę—handlową. Handel jej z Chinami stanowi dwie trzecie całego handlu, jaki Niebieskie Cesarstwo prowadzi z postronnym światem. Opierając się na tej hegemonii, Anglia rości sobie właśnie większe prawa do Chin, aniżeli jakiegokolwiek z mocarstw europejskich. Organizując komory celne chińskie pod dyktando swego znakomitego ziomka, Sir Roberta Harta, tworząc dwa wielkie emporya handlowe w Szangai i w Hong - Kong, Anglicy kładli kamienie wę-

gielne dla swego zwierzchnictwa w tej części świata i byli zabezpieczeni co do przyszłości. mając zawarowany sobie wpływ, koncesyje i sferę działania w porzeczcu Yang-tse-Kiangu, to jest samego jądra środkowych Chin. o gęstej ludności 200,000,000-ej, wielkich miastach, spławnych rzekach, bogatych kopalniach. Zdawało się, że żadne mocarstwo europejskie nie będzie mogło tam współzawodniczyć z Anglią, a przewaga jej kupieckiej, przewozowej marynarki, dawała nieledwie monopol handlowy. Przewidywania te jednak, jak się obecnie pokazuje. grzeszyły na kilku ważnych punktach optymizmem mamiącym. Pomijając nawet ewentualną rywalizację europejskich mocarstw w Yang-tse-Kiangu -- gdyż nie uznały one bynajmniej wyłącznych praw Anglii w tej części Chin—handel angielski podkopywany bywa z jednej strony przez wzrastającą z nieprawdopodobną szybkością marynarkę kupiecką niemiecką, a z drugiej Japonia zagarnia rynki zbytu, dostarczając na nie tanich wyrobów swego młodocianego. ale już samodzielnego przemysłu. Pozostała jeszcze Anglii wyłączna prawie dostawa płóciennych i wełnianych tkanin. Całe hrabstwo Lancashire, ta olbrzymia pracownia przemysłowa, rozsiadła naokół Manchesteru. pracowała przeważnie dla Chin. Cóż tam widzimy obecnie? Skutkiem drożyzny węgla, wiele fabryk albo jest tam zamkniętych, albo otwiera się tylko przez połowę dnia. Posiadając znaczne zapasy już wytworzonych towarów, a nie mając na nie zamówień, przemysłowcy zmuszeni są przepołowić zwykłą produkcję. Już obecnie oddziaływa to niekorzystnie na byt materialny warstwy robotniczej, a łatwo wyobrazić sobie można, jak straszny kryzys ekonomiczny pociągnęło-by za sobą zawieszenie całkowite robót podczas zimowych miesięcy. Nic dziwnego, że świat przemysłowo-handlowy angielski, obliczając już poniesione straty i przewidując swą materialną ruinę, wywiera nacisk na rząd, aby wyrzekł się stanowczo wszystkich dalekosiężnych odwetowych, lub reformatorskich planów, i domaga się, po szybkim i jakim takim zagładzeniu trudności, powrotu do s t a t u q u o a n t e. Pojęcie, jakie wiąże się w ich umyśle z tym stanem, jest możność tak znacznych, jak przedtem, zarobków. Gdy polityka rządu zmuszona jest słuchać podszeptów, albo raczej wymagań kół handlowo-przemysłowych, ludzi, tak zwanych praktycznych, to ma już podcięte skrzydła.

Strata, jaką poniosła sędziwa królowa Wiktorya przez śmierć swego syna, ks. Alfreda Edymburskiego, od kilku lat ostatnich zasiadającego w charakterze udzielnego księcia na tronie sasko - koburskim, wywołała wśród angielskiej społeczności żywe dla niej oznaki sympaty i lojalizmu. Sama przez się osobistość zmarłego księcia nie cieszyła się taką popularnością, jak inne dzieci królowej: wchodzić w powody tego niema już dzisiaj potrzeby. Od czasu zresztą, jak przestał być Anglikiem a został Niemcem, obojętność dla jego osobistości była usprawiedliwioną. Żaloba dworska, przychodząc w końcu sezonu wiosennego, położyła na nim czarną pieczęć, ale charakteru jego nie zmieniła.

Sezon był bowiem tego roku nadzwyczajnie cichy i jednostajny. Brakowało mu balów i redut, maskarad i żywych obrazów, pikników, regat, wyścigów, brakowało nawet skandalów towarzyskich i lwów salonowych. Gorączkowe zajęcie całej społeczności ześrodkowane było na wojnie afrykańskiej, a bawić się szumnie i hałaśliwie nie wypadało, gdy błękitna krew arystokracji lała się w dalekiej wyprawie. Baden - Powell i feldmarszałek Roberts, oto bohaterowie narodowi, przed którymi zwinąć musieli chorągiew bohaterowie salonów. Salony też były podczas całej ubiegłej wiosny, jeżeli nie całkiem zamknięte, to nawpół otwarte. Wiele dam z wielkiego świata udało się zresztą na teatr wojny w celu pielęgnowania rannych. Ale widocznie przesadziły w dobrych zamiarach, gdyż zarówno pacyenci, pielęgnowani w szpitalach i lazaretach wojskowych, jak i lekarze, rozwodzą się w gorzkich skargach na ich „wścibstwo“. Podług słów jednego z doktorów, ranni żołnierze cierpieli przedewszystkiem na dwie plagi: na komary i na dozór wielkich dam, druga dotkliwsza od pierwszej! Psychologowie towarzystwa londyńskiego utrzymują, że te piękne damy, które udawały się do południowej Afryki z kilku tuzinami wykwinnych sukien, szły tam po prostu szukać nowych sensacyi, których im już tutaj dla ich stępionych nerwów brakuje.

Po skończonym sezonie, angielskie klasy wyższe i średnie mają zwyczaj rozpraszać się na letnie wycieczki po całym lądzie stałym. Ale, jak chybił karnawał wiosenny w stolicy, tak chybił także w znacznej części exod zagraniczny. Przyjmowani zazwyczaj z otwartymi rękoma, jak przystoi „Mylordom“, co płacą hojnie rachunki, nie wchodząc w ich szczegóły, Anglicy zrozumieli, że w tym roku mniej będą popularni na obczyźnie. Ubodło ich dotkliwie owo bezwzględne

potępienie ich afrykańskiej awantury, owa klątwa, ciśnięta przez świat cywilizowany ich polityce egoizmu, grabieży i napaści. Każdy z Anglików czuje się osobiście znieważonym, i woli unikać krajów nieprzyjaźnie dla nich usposobionych. Przykład zresztą idzie z góry. Ohydny zamach, dokonany przez niedorostka na księcia Walii w Brukselli, będący wypływem niechęci do Anglików, oburzył, i sprawiedliwie, do głębi duszy wszystkie warstwy społeczeństwa tutejszego, ale jeżeli oburzenie to wzmódz się mogło, to spotęgowało się na widok bezkarności skrytobójcy i braku gorliwości ze strony sfer rządowych belgijskich w pochwyceniu go i osadzeniu choćby w domu poprawy. Widząc w tem złą wolę narodu belgijskiego, angielscy podróżnicy bojkotują go na dobre.

Dogodniejszą jeszcze sposobność zemszczenia się na Francuzach nastąpiła wystawa powszechna w Paryżu. Bierze w niej udział Anglia i spotkać na niej można Anglików. Ale o ileż ich mniej, niż się tego spodziewał Paryż! niema najmniejszego śladu inwazyi brytańskiej. Ci, którzy odwiedzają wystawę, usprawiedliwiają się nieledwie, iż to czynią. Żaden z członków rodziny królewskiej nie pokazał się na wystawie, i koła dworskie i arystokratyczne uważają za swój obowiązek okazywać tę samą obojętność. Francya płaci koszta niesmacznej karykatury Viletta na królową; zemsta sroższa, niż była obraza, z takiego ciśnięcia rynsztoka. Wogóle brakuje w publicystyce tutejszej wszelkiego zapału dla tych stron wystawy paryskiej, które mają wysokie społeczne i naukowe znaczenie, jak naprzykład kongresy i wiece, w których stulecie nasze spisuje swój testament i formułuje programat przyszłości, albo te wystawy retrospektywne, gdzie wszystkie ważne momenta rozwoju historycznego stają umysłowione w formach dotykalnych.

Zamykając oczy i uszy na niezaprzeczoną wielkość tego potężnego wysiłku, Anglicy w korzystnem nie ukazują się świetle. Nizka zawiść, albo intelektualne ubóstwo: oto dylemat, pomiędzy którym wybór się narzuca. Usprawiedliwienie w tem chyba, że od długich miesięcy dżungoska prasa tutejsza, chcąc rozgrzać patryotyzm w masach, przedstawia im cały ład stały, jako sprzysiężony na Anglię i czyhający na jej zgubę. Napróżno z wysokości swego stanowiska głowy rządu, Lord Salisbury, odpowiadając na niedorzeczne zapytanie jednego ze szlachetnych Lordów, czy jest prawdą, że Francya ma wypowiedzieć w jesieni wojnę Anglii, wydrwił takie banialuki bezliżnością: tłumy wierzą bezustannie rozsiewanym baśniom. Nie wybijesz z głowy skądinąd rozsądnego John Bulla, że w listopadzie, po zamknięciu wystawy, w braku innej zabawki, Francya wysadzi 300,000 armię na południowych wybrzeżach Wielkiej Brytanii. Gdy zdrowi

ludzie w ten sposób majaczą, to nie można się spodziewać, ażeby stosunki pomiędzy dwoma sąsiadującymi społeczeństwami, z których każde rości pretensje do przewodniczenia cywilizowanemu światu, mogły ukształtować się normalnie i ułożyć do harmonijnego poziomu. Według dowcipnej definicyi, nie tylko Anglia, ale i każdy z Anglików był wyspą odosobnioną od postronnego świata. W chwili, gdy się zdawało, że ów mur graniczny się walić zaczynał, a solidarność ludzka tryumfowała nad ciasnym i zwietrzałym partykularyzmem, nieszczęśliwa wojna afrykańska wykopała nową jamę pomiędzy światem angielskim a Europą, i pierś każdego z synów Wielkiej Brytanii, jeżeli nie stalową tarczą, to przynajmniej jeżowemi opancerzyła kolcami. Chcemy wierzyć, że sami spostrzegą, iż im w tym rynsztunku nie do twarzy, i że się go zrzucić pośpieszą.

Jeżeli nie bawiono się tego roku tak szumnie, jak zazwyczaj, w Londynie, to pracowano natomiast nadzwyczaj ruchliwie nad wznoszeniem wielkich budowli, burzeniem całych dzielnic miasta ubogich i brzydkich, zastępując je wykwiłtnemi, otwieraniem nowych komunikacji podziemnych, mostów na Tamizie i t. p. Niejedne z tych robót publicznych są zakreszone na tak rozległą skalę, że trzeba będzie czekać lat kilka na ich dokończenie. Ale już teraz przewidzieć można, jak wielce wygląd stolicy na nich zyska. Stopniowo urzeczywistnia się zmiana, którą niedawno jeszcze można było kłaść między bajki: Londyn staje się pięknym! Jeżeli nie może się ta pochwała rozciągać do całego jego ogromu, to w niektórych dzielnicach dokonane ulepszenia są po prostu zdumiewające.

Na pierwszym miejscu, naturalnie, wymienić należy dzielnicę miasta, znaną jako południowy Kensington. Położona w uprzywilejowanej części na zachód od Hyde-Parku, posiadała już oddawna sąsiadujące z sobą wspaniałe gmachy, jak olbrzymią rotundę Albert Hallu i okazały pałac, mieszczący muzeum Historii Naturalnej. Na rozdzielającej je przestrzeni wzniesiono w ciągu ostatnich lat kilku monumentalny gmach, w którym City londyńska ufundowała techniczne szkoły, Konserwatorium muzyczne, Instytut Kolonialny, zakupiony

w roku zeszłym na pomieszczenie w nim nowo dopełnionego Uniwersytetu londyńskiego. Obecnie uzupełnioną jest ta nieporównanej okazałości dzielnica gmachów publicznych przez dwa nowe. Jednym jest Szkoła artystyczna prac kobiecych, posiadających widocznie poczetne już miejsce pomiędzy instytucjami krajowemi, skoro tak wspaniale dają jej pomieszczenie. Ale najważniejszą budowlą, która dopełnia i charakteryzuje tę część stolicy, jest Muzeum południowego Kensingtonu. Niema żadnego wykształconego człowieka, który-by, nawet nie znając Londynu, nie znał z opisów tych niecenionych zbiorów, odnoszących się do sztuk plastycznych i wszystkich działów sztuki ozdobniczej. Zbiory te pomnażają się bez ustanku nowemi fundacyami i legatami. W chwili, w której piszę, bogaty Grek tutejszej kolonii, p. Konstanty Jonides, zapisał kensingtonskiemu muzeum swą artystyczną kolekcję pierwszorzędnej wartości. Czekać będzie musiała na pomieszczenie, aż nowe gmachy będą dokończone. Jedna tylko ich część wzniesioną była jeszcze za życia księcia małżonka i dlatego muzeum to otrzymało urzędową nazwę Wiktorji i Alberta. Reszta kolekcji mieściła się w przystawkach, budach i szopach, kleconych w miarę wzrastających potrzeb: jednemu tylko dziwić się można, że ich nie zniweczył pożar złowrogi. Obecnie wznoszą się już ponad ziemią gmachy; obejmą one dwie ulice i staną się najwspanialszą budowlą w Londynie: ramy będą godne tych skarbów, którym w nich będzie bezpiecznie i wygodnie.

W sąsiedniej dzielnicy Westminsteru, takich samych rozmiarów przekształcenia zadziwiają przybysza. Wykończa się już naprzód potężna katedra katolicka, o której pisałem na tem miejscu szczegółowo w ostatniej kronice. Szybko także wznoszą się trzy pałace, przeznaczone dla pomieszczenia ministerjów, które dotąd rezydowały po różnych częściach miasta. Oko objąć nie może ogromu wykonywających się na tem miejscu robót. Gdy pałace te wykończone zostaną w stylu tych, które nadają tak monumentalny wygląd ulicy Whitehall, wiodącej od placu trafalgarskiego do Opactwa westminsterskiego i do Parlamentu, to śmiało powiedzieć można, że żadna ze stolic europejskich nie będzie mogła poszczycić się czemś podobnem. Ale jak to zwykłem było w Londynie, najpiękniejsze dzielnice miały zawsze w swem bezpośredniem sąsiedztwie ciasne zaułki, brudne i cuchnące domostwa. Obok tych arcydzieł starego i nowego gotyku, jak Opactwo i Parlament, obok skwerów, co się ścielą przed niemi upstrzone kwiatami i posągami, obok królewskiej Tamizy, która zagląda w okna pałacu ś-go Stefana i sunie się nieopodal malowniczego „Dziędzińca Dziekanów“,

w samym środku i sercu Londynu istniała sieć gęsta ohydnych uliczek, niedających dostępu do rzeki. Obecnie przedsięwzięte są już prace do zburzenia tego szpetnego anachronizmu. Rzeka będzie tak samo ocenbrowana, jak poniżej ku City i powyżej w Chelsea, założone będą place i ogrody, przeprowadzone szerokie ulice i zabudowane pierwszorzędnymi domami. Biedactwo, co się tam dotąd gnieździło, będzie musiało gdzieindziej szukać sobie siedziby: tę bierze w posiadanie bogaty i wykwintny Londyn, rozmiłowany w plastycznym pięknie, czujący potrzebę artystycznej harmonii.

Ale niech czytelnik nie sądzi, ażeby te dwie grupy prac budowlanych wyczerpały działalność rządu, municypalności i przedsiębiorczych towarzystw: jest jeszcze, pomijając kilka drugorzędnych, trzecia, i to właśnie najważniejsza. Inicyatywę ich wzięła Rada londyńskiego hrabstwa, to ciało municypalne o duchu postępowym, zawsze gotowe do szerokich przedsięwzięć, zmierzających do zrobienia z Londynu miasta wzorowego pod względem zdrowotności i wygody. Pomimo zazdrości, jaką czują ku niej organizacje starego autamentu, spleśniałe w rutynie, i pomimo przeszkód, jakie stawia na jej drodze Parlament, pragnący powstrzymać zuchwałę te ambicje, Rada potrafiła przeprowadzić kolosalne przedsięwzięcie. Dążyło ono do kilku naraz celów: burzyło niezdrową, natłoczoną ludnością sieć gęstą nędznych uliczek, otwierało wielką drogę komunikacyjną pomiędzy wschodnim a zachodnim Londynem, i nakoniec rozszerzało zbyt wąską, a jedną z centralnych arteryi, ulicę Strand, znaną ze swych licznych teatrów, restauracji, sklepów i kończącą się przed Pałacem Trybunałów. W części dzieło to już jest dokonane. Zburzoną została cała jedna strona tej ulicy i „Law Courts“ ukazały się nie tylko dostępnymi, ale po raz pierwszy architektoniczne ich właściwości będą mogły być ocenione. Zburzono domy, ale niedotknięto kościołów. Stoi ich dwa, odosobnionych w pośrodku nowo-otwartej ulicy: jest to widok niezwykły. Jeden z tych kościołów, to świętego Klemensa, starodawny, dobrze znany czytelnikom Dickensa; drugi, to kościół św. Maryi, o pięknym frontonie włoskiego renesansu. Ukaze się on dopiero w pełnym znaczeniu, kiedy zburzoną będzie cała masa niekształtnych i szpetnych domów, i zakreślone zostanie szerokie półkole, z którego środka biedz ma wspaniała ulica ku dworcom dróg żelaznych i z trudnością dostępnym dzielnicom. Ażeby dać wyobrażenie o rozmiarach przedsięwziętych na tem miejscu prac i przekształceń, które z nich wynikną, dość będzie powiedzieć, że upadną pod młotem burzycieli trzy teatra, przestronny gmach, który

wzniosła dla swych biur gazeta „Morning Post“ i mnóstwo domów prywatnych. Most Waterloo będzie na przyszłość miał sobą drogę prostą jak strzała i zabudowaną wspinałemi gmachami, pomiędzy którymi pierwsze miejsce zajmie niewątpliwie pałac, jaki dla siebie wzniesie Rada londyńskiego Hrabstwa. Całe to przedsięwzięcie kosztować będzie cztery i pół miliona funtów szterlingów, z których znaczna część odzyskaną zostanie przez sprzedaż gruntów pod mogące się wznieść na nich budowle.

Ale gdyby koszta były o wiele znaczniejsze, jeszcze opłacili-by się sownie. Znikają części Londynu, które były nietylko sromotą cywilizacji, ale i niebezpieczeństwem ciągłym dla miasta. Trzeba było widzieć taką uliczkę, jak Drury Lane, sąsiadującą ze słynnym teatrem tego imienia i z Operą Covent Garden, aby wyrobić sobie wyobrażenie o tych czeluściach londyńskiego proletaryatu. Ulica była tak wązka, że nie przenikało do niej nigdy światło słoneczne; na bruku wieczne błoto po kostki, na górze rozwieszona w poprzek ulicy, z okien jednej kumoszki do drugiej, brudna bielizna, co dom, to szynk o podejrzanej klienteli, dzieci nawpół nagie, złoczyńcy, dobrze znani czujnie strzegącej ich policyi, wrzawa piekielna, zapach zgnilizny i postacie galerników, krążące wśród wiecznego półmroku. Równego pandemonium nie posiada już ulubiony przez popularnych romansopisarzy Whitechapel: nie trzeba było udawać się tak daleko, aby się przekonać, jak mieszka i jak żyje ostatnia warstwa ludności stolicy. Za lat parę będzie rzeczą niepojętą, że tolerowaną była taka dzielnica w samym środku Londynu. Ten rozsądnik chorób epidemicznych i to gniazdo zbrodni figurować będzie na przyszłość jedynie w historycznych opisach.

Do tego obrazu robót publicznych, przetwarzających fizyognomię olbrzymiego miasta, dodać jeszcze należy podziemne drogi żelazne. Komunikacya na ulicach stawała się niepodobną. Jedna linia omnibusów, dorożek, pojazdów i wozów, towarami ładownych, ciągnęła się od rana do nocy nieprzerwanie w obu kierunkach, w górę i na dół. Tamowana co moment, nie skracała, lecz przedłużała czas jazdy. Cierpiał na tem obrót handlowy, wygoda publiczna i bezpieczeństwo jednostek. Bez pomocy policyanta niepodobna było na wielu centralnych punktach przejść z jednego chodnika na drugi, i zdawało się, że piesi coraz bardziej się stawali *une quantité negligible*. Nie było dotąd wiele samochodów na ulicach Londynu, ale i na nie godzina wybija. Coby się z nami dalej stać musiało, pojąć trudno.

Jedynym sposobem wyjścia z trudności było przeniesienie wielkiej części ruchu z powierzchni ulic w podziemia. Mamy wprawdzie drogę żelazną metropolitalną, ale przy lokomotywach parowych i idącym z nich dymie, śwędzie, parze i zaduchu, przy tunelach czarnych, zakopcanych, a przedewszystkiem przy niedostatecznej obsłudze tą drogą całych rozległych dzielnic miasta, jeżdżą jej pociągami ci tylko, którzy inaczej zrobić nie mogą. W ostatnich czasach dopiero zaczęto tu i owdzie budować drogi żelazne podziemne, obsługiwane elektrycznością, i znalazły one natychmiast wielką popularność. Prawdziwa rewolucya w komunikacyach londyńskich dokonana jednak została tej wiosny przez oddanie na użytek publiczny centralnej drogi elektrycznej. Idzie ona na siedmiomilowej, prostej jak strzała, linii, od Banku angielskiego w City, wzdłuż jednej ulicy o różnych nazwach, na której, pomiędzy innymi, znajduje się centralna poczta, Muzeum brytańskie, pierwsze sklepy i magazyny i Hyde Park, a kończy się na wschodniem przedmieściu Shephards Buch. Połowa Londynu i cały bogaty, wykwinny Westend znalazł narreszcie arterję komunikacyjną wyborną. Mieszkańcy Londynu rozkochali się odrazu w tej elektrycznej linii. Prowadzi ona na 70 stóp pod ziemią, zdala od ruchu i zgiełku, w temperaturze równej, przez szeroki korytarz, białemi ocembrowany kafłami, oświetlony elektrycznemi lampami, w wytwornych salonowych wagonach, za drobną cenę dwóch pensów, z jednego końca miasta na drugi, bez przerwy od pierwszych godzin ranka aż do północy. Jest to idealna przejażdżka, i lekarze zaczynają ją zalecać pacjentom, chorym na nerwy.

Powodzenie tego przedsięwzięcia zapowiada całkowity przewrót w ustroju komunikacji londyńskich. Nowe bocznice budowane będą od tej linii centralnej w rozmaitych kierunkach. Stara kolej metropolitalna przygotowuje się do przekształcenia swej trakcyi parowej na elektryczną. Nawet omnibasy i tramwaje, zagrożone w swych dochodach stratą pasażerów, zapowiadają budowę pojazdów podług nowych, ulepszonych systemów. W pierwszym dziesiątku nowego stulecia wielki gród nad Tamizą będzie radykalnie zmieniony, i największe z imperyów poszczyci się godną siebie stolicą.

Najważniejszym artystycznym wypadkiem bieżącego lata było otwarcie Muzeum Wallace'a w Hertford House. Posiada już Londyn wiele zbiorów sztuk pięknych i rościł pretensye, iż żadnej ze stolic europejskich nie ustępuje. Gdyby się tylko skarby, przekazane przez starożytność, brało w rachunek, to Muzeum Brytańskie, ze swemi assyryjskimi i egipckimi kolekcjami, z elgińskimi marmurami, z odłamami Partenonu i t. p., śmiało pretendować może o pierwszeństwo. Jego „National Gallery“, jeżeli nie liczbą, to metodycznym zbiorem najznakomitszych szkół malarskich nie ustępuje paryskiemu Luwrowi. Posiada galerję portretów na wzór florenckich Ufficii, kilkanaście pomniejszych, że tak powiem, filialnych muzeów artystycznych, a od lat paru wspaniałomyślna ofiara p. Henryka Tate obdarzyła ją nową galerją obrazów, poświęconą współczesnemu malarstwu krajowemu. Niczego nie zdawało się tam brakować, szczególnie, gdy się przypomni, że muzeum Wiktoryi i Alberta dopełnia wszystkie powyższe i posiada w każdej gałęzi twórczości artystycznej unikat, nieprzebraną ilość dzieł oryginalnych i kopie wszystkiego, co rozwój ludzkich społeczeństw wydał najznakomitszego.

Ale produkcyja artystyczna świata jest tak nieskończenie bogatą, i tyle jest prowincyi odrębnych w tym zaczarowanym labiryncie piękna plastycznego, że, chociaż zdaje się posiadać wszystko, zawsze jeszcze ukazują się szczyby, godne zapełnienia, skarby, godne zdobycia. Zanim kolekcye Wallace'a stanęły w zdumiewającej swej pełni przed światem angielskim, nie podejrzewał on nawet, że brakowało mu przedtem prawie zupełnie okazów jednej z najbardziej ponętnych i jednocześnie najkompletniejszych manifestacyi sztuki, mianowicie szkoły francuskiej XVIII stulecia. Zrozumieć się też daje wykrzyk zachwyty przed tą kolekcją i wdzięczność dla magnata, co tak królewskim darem zapisał swe imię w rocznikach narodowych.

A nie należy zapominać, że ta fundacyja spadła całkiem niespodziewanie na Anglików. Niezasłużenie, ale szczęśliwie. Ryszard Wallace stronił od swej ojczyzny. Nieprawy syn margrabiego Hertforda wystawiony był w Anglii jedynie na towarzyskie upokorzenia. Od trzech pokoleń członkowie starożytnego rodu Seymourów, noszący od stu lat dopiero dodatkowy tytuł margrabiów Hertford, przemieszkiwali w Paryżu. Synowie wolterowskiej szkoły, sybaryci, namiętnie rozkochani w miękkiej a błyszczącej sztuce, lechtającej ich zmysły, zakupywali rozmaite dzieła sztuki, idąc za popędem kaprysu, a nie

powstrzymywani nigdy brakiem funduszu. Stworzyli w ten sposób kolekcję, którą Ryszard Wallace, gdy spadła na niego cała fortuna Hertfordów, jaką rozporządzać mogli poza majoratem, potrzebował tylko oczyścić i dopełnić. Wychowany w wysoce artystycznym otoczeniu, znawca i miłośnik fanatyczny dzieł sztuki, posiadał wszystkie warunki do wytworzenia kolekcji, w swoim rodzaju jedynej. Mieściła się ona w paryskiej rezydencji Wallace'a, który, ożeniwszy się z Francuzką, nieraz słyszeć się dawał z zamiarem pozostawienia w Paryżu swych zbiorów. Ale syn jednak zabity mu został w wojnie z Niemcami; różne filantropijne instytucje, zakładane przez niego w Paryżu dla Anglików, zwróciły uwagę rządu angielskiego, który zaczął mu okazywać fawory. Największym było mianowanie go baronetem, co dawało mu legalne stanowisko wśród arystokracji angielskiej, którego był przedtem pozbawiony. Powoli zaczął też przebywać w Londynie i przenosić tam do swej rezydencji, Hertford House, swe artystyczne zbiory. Gdy umarł, zapisał je swej żonie. Ta znowu sporządziła testament, w którym kolekcje mężowskie i jego przodków przekazuje Londynowi, z warunkiem, aby nosiły nazwisko Wallace'ów i aby były po wszystkie czasy pomieszczone w oddzielnym, wyłącznie dla nich przeznaczonym, gmachu. Rząd przyjął legat i dostarczył funduszy na zakupienie gmachu. Wykonawcy testamentu postąpili sobie rozumnie, zakupując dla muzeum Wallace'a ten pałacyk Hertford House, w którym już uprzednio było ono pomieszczone.

Trzeba było czterech lat dla dopełnienia formalności prawnych i przebudowania domu z prywatnej rezydencji na gmach publiczny. Dokonano tego w sposób nadzwyczaj szczęśliwy. W dwudziestu kilku salonach, galeryach i buduarach, na parterze jasnym i na pierwszym piętrze, oświetlonym z góry, rozpościerają się tam pomieszczone dzieła sztuki i artystyczne osobliwości obszernie i wygodnie. Ale charakterystyczną cechą tego muzeum jest to, że niezatarte zostało piętno zbioru prywatnego.}Zamiast znajdować się w jednostajnych urzędowych galeryach, gdzie publiczność zapoznawać się jest zmuszona z dziełami sztuki, tutaj widz ma wrażenie gościa, wędrującego pod przyjacielskim dachem z jednego salonu do drugiego, i jednemu się tylko dziwi, iż nie spotyka gospodarza domu z wyciągniętą uprzejmie dłonią. Meble stoją wzdłuż ścian, po środku stoły, wypełnione fraszkami i cackami, z sufitów zwieszają się pająki, na kominach zegary biją godziny i o zmierzchu zapalają się elektryczne lampy, obrazy jaśnieją na ścianach, a każdy drobiazg w urządzeniu pokoiów pokazuje, że przemieszkować tu musi magnat i tak wyrafinowany miłośnik piękna, że na każdym drobiazgu starał się znaleźć jego odblask.

Ramy, w których się zbiory Ryszarda Wallace'a znajdują, usposabiają już dla nich korzystnie. Cóż powiedzieć o nich samych? Są tu naprzód nieocenione i doskonale okazy każdej gałęzi sztuki: miniatury, akwarelle i rysunki, statuetki, wyroby z wosku, ze spiżu, z brązu, z kości słoniowej, emalie, kryształy, majoliki. Jest zbrojownia, gdzie nie wiedzieć co podziwiać naprzód, czy typy rozmaite broni, czy bogactwo materiałów, użytych do ich ozdoby. Rozumieć można, że Ryszard Wallace był dumny z tej zbrojowni, i można-by ją uważać za perłę kolekcji, gdyby nie obrazy. A co za obrazy! Nieledwie każda szkoła, nieledwie każdy genialny malarz, którego imię ze czcią jedne pokolenia przekazują drugim, błyszczą tutaj dziełami promiennego piękna. Krajobraz z tęczą Rubensa, Perseusz i Andromeda Tycjana, Dama z wachlarzem Velasqueza, Rembrandt, Van Dyck, Murillo, Andrea del Sarto, Hals, Pieter de Hoogh, de Cuyp, Hobbema, a wpośród angielskich mistrzów: Reynolds i Gainsborough: oto mistrze, których arcydziełami można tutaj sycić oczy i wyobraźnię.

Ale gdy się kornie schyliło czoło przed tym gwiazdzistym orszakiem, zapoznaliśmy się dopiero z jedną częścią kolekcji, z dodatkową, że tak powiem, z tą, którą wielki miłośnik sztuki zebrał, aby udowodnić, że żadna gałąź, żaden kierunek, żadna specjalność w dziedzinie piękna nie były mu obce, że ku wszystkim gotów był wyciągnąć ramiona. Lecz przy tej uniwersalności i wśród niej Ryszard Wallace wybrał sobie jedną szkołę, jedną epokę i ześrodkował na niej swą działalność mecenasa sztuki. Jest nią sztuka francuska XVIII wieku. Można jego zamiłowania nie dzielić, a wybór jego potępić, można wyrazić żal, że innemu, czystszaemu, wyższemu ideałowi nie hołdował. Tak właśnie postępowano sobie względem sztuki francuskiej tej epoki w niejednym kraju i niejednych publicznych zbiorach. Nie brano okazji tej sztuki na seryo, oskarżano ją o materializm, o lubieżność, o manierę, o brak szerokiego stylu, i lekceważono ją w imię jakiegoś purytanizmu, który może posiadać zalety moralne, ale grzeszy ślepotą względem wysoce oryginalnych manifestacji plastycznego piękna. Anglicy odawna, a szczególnie pod wpływem szkoły prerafaelitów i etycznej doktryny Ruskina, nie okazywali najmniejszego upodobania, żadnego szacunku dla typów i dla modły sztuki francuskiej zeszłego stulecia. Ich zbiory publiczne są ubogie w takie okazy, a magnaci, którzy je posiadali w swych zamkach i pałacach, usprawiedliwiali się nieledwie z błędu estetycznego swych dziadów i ojców, po których je odziedziczyli.

Dla publiczności tutejsze muzeum Wallace'a było objawieniem. Roztwarzy się przed nią podwoje nieznanego, niepodejrzewanego do-

tąd świata. A jakże oprzeć się można czarowi, wdziękowi tej sztuki uśmiechniętej i rozpromienionej? Widocznie jej przedstawiciele postawili sobie jako zadanie przeciwstawić prozie i pospolitości życia praktycznego świat fantazyi, błyszczący, rozkoszny, elizejski. Watteau, Boucher, Laneret, Fragonard, Greuze, Pater Largillière, gdy się przyglądamy licznym i pierwszorzędnym ich obrazom, uderzają nas nie tylko urokiem swej palety i mnogimi technicznymi zaletami, ale jednocześnie pozwalają nam zrozumieć cały nastrój narodowy, daną chwilę w postępowym pochodzie cywilizacji. Co jednak chwalić trzeba z naciskiem twórcy tego zbioru, to, że nie ograniczył się obrazami tej szkoły, że ich nie odosobnił od innych manifestacji twórczego zmysłu i smaku wykwintnego owoczesnej Francji.

Tu właśnie leży artystyczne i, więcej nawet, historyczne znaczenie wystawy sztuki francuskiej XVIII wieku. Obok obrazów są meble, szafy, biura, stoły, kredensy, etc., takich artystów, jak Boule, Caffieri, Gouthières, Rieusenar, są gobeliny i delikatne tkaniny, są kanapy, fotele, krzesła, są porcelany Sevru, emalie Limoge'u, zwierciadła, kandelabry, świeczniki; brzozy, wachlarze, bombonierki, tabakierki, i Bóg już nie wie jakie rozmaite cacka i drobiazgi. Cała epoka, cała ewolucja cywilizacyjna danej chwili, całe życie, nie powiem narodu, ale jego klas zamożnych i wykształconych, występują w niewidzianej przedtem pełni i z zasobem dokumentów, które pozwalają wydać o nich sąd stanowczy. A zasługa jest jeszcze większa dla tego, że wiek XVIII nie stoi odosobniony, ale że znajdują się tam okazy i epok poprzednich i następnych, między innymi świetna szkoła pejzażystów ze środka naszego stulecia. Ten tryumf artystyczny Francji był dobrze znany gruntownym badaczom sztuki, ale dla Anglików, jak powiedziałem wyżej, jest prawdziwą niespodzianką. Cieszyli się z legatu Wallace'a, gdy słyszeli, że pieniądze jego wartość szacowaną jest na 4 miliony f. szter.; cieszą się bardziej teraz, gdy się rozpatrywać zaczynają w swych skarbach i rozumieć ich artystyczną piękność.

Chociaż zapis Wallace'a jest okazały, to znika on prawie do małości, gdy się go stawi obok innego, który spadnie niebawem na społeczeństwo angielskie. Ofiarodawcą jest p. Andrzej Carnegie. Nazwisko to nie musi być obcem czytelnikom. Syn szkockiego tkacza, od dziecka wraz z rodzicami osiedlił się w Stanach Zjednoczonych i, przebiegłszy rozmaite stopnie drabiny przemysłowej, zajął na niej przyczółkowe miejsce, jako właściciel hut i fryszerok Homestead w Pittsburgu. Gdy się w początku bieżącego roku z czynnej dyrekcyi tych fabryk wycofał, pozostając w nich i nadal jako uczestnik, p. Carnegie stał się właścicielem kapitału 40 milionów funtów szterlingów czyli 400,000,000 rs. Niema w Anglii równie wielkiej fortuny, a te, co się do niej zbliżają, są obciążone różnemi prawnymi zastrzeżeniami. P. Carnegie może natomiast fortuną swoją rozporządzić, jak mu się to będzie wydawało najlepszem.

Lubo posiada kilkoletnią córeczkę, nie ma on zamiaru zwalić na tę ukochaną, niewinną istotę, brzemienia fantastycznego tego majątku. Oddawna już wypowiedział w swych książkach zdanie, że wielkie fortuny nie powinny stawać się własnością jednostek, ale przechodzić winny na użytek narodu. Człowiek umierający milionerem umiera zhańbionym: oto jest aksjomat tego Krezusa.

Niema też najmniejszej wątpliwości, że postąpi on w myśl wyznawanych przez siebie zasad. Jako rękojmia tego staje cała jego przeszłość. Wydał już miliony na różne filantropijne instytucye w Stanach Zjednoczonych i w Szkocyi, swych dwóch ojezryznach, jednakowo sercu jego drogich; oświadczył, że rozdzieli swoich 40 milionów pomiędzy dwie gałęzie anglo-saskiego szczepu: Amerykę i Wielką Brytanię. Liczy już 62 rok życia i, chociaż jest zdrów i czerstwy, wie, że go śmierć zaskoczyć może, a że nie chce umrzeć zhańbionym, od roku już zajmuje się w swej obecnej rezydencyi, szkockim zamku Skibo, sporządzeniem swego testamentu. Oprócz swych legalnych doradców ma wielu samozwańczych. Setkami otrzymuje on codziennie listy ze wskazówkami i radami, jak ma milionami swemi rozporządzić. Jako człowiek praktyczny o silnej woli i trzeźwym umyśle, nie będzie służył rad, o które nie prosi, ale postąpi odpowiednio do swych własnych przekonań.

Klucz do tych legatów, dotąd jeszcze w tajemnicy trzymany, znaleźć nie trudno w pismach Andrzeja Carnegie. Ten samouczek

i syn dzieł własnych znalazł czas, pomimo żelaznej pracy, do której się zaprzągnął, na ogłaszanie pism rozmaitych. Są pomiędzy nimi opisy podróży i wycieczek, które często przedsiębrał, są znakomite monografie w kwestyach ekonomicznych, finansowych i społecznych, i jest, jako opus magnus, „Triumphant democracy“. W tem dziele, on, naturalizowany obywatel wielkiej Rzeczypospolitej amerykańskiej, złożył jej z prawdziwym entuzjazmem hołd synowskiej miłości.

Można nam postronnym nie podzielać jego zapału i dostrzegać plamy na tem słońcu; ale p. Carnegie jest szczerym w swym panegyryku amerykańskich instytucji, publicznego i prywatnego ustroju. Radykalny demokrat, wyemancypowany z zależności od Kościołów, jest on w całym słowa tego znaczeniu homo novus, i jednemu tylko dziwić się można, że, pomimo wstrętu, jaki w nim budzą instytucje polityczne, hierarchiczne, arystokratyczne i kościelne Wielkiej Brytanii, nie wyrzekł się tej swojej kolebki. Poezya, co ją owiewa, i wpływ tradycyi oświadczyły tak silnie szlachetną jego naturą, że sprzeczne pierwiastki ułożyły się w niej do harmonijnego poziomu.

P. Carnegie wierzy bezwzględnie w reformatorską siłę oświaty i jest przeświadczony, iż pod jej wpływem społeczeństwo angielskie zrzuca z siebie średniowieczny kaptur, który dotąd zatrzymało, i przyswoi sobie społeczne ideały, na których się wychowali jego bracia po drugiej stronie Atlantyku. Zostawiając tedy na stronie i pomijając zupełnie fundacje kościołów, szpitali, instytucji dobroczynnych itd., poświęci on olbrzymią swą fortunę na biblioteki, czytelnie i zakłady naukowe rozmaitych typów i gatunków. Już dotąd założył w Szkocyi kilkanaście publicznych bibliotek, a ostatnim jego czynem było ufundowanie dwóch katedr nauk ścisłych w nowo organizującym się uniwersytecie w Birminghamie. Bez obawy fałszywego proctwa można z góry oświadczyć, że przed upływem kilku miesięcy Wielka Brytania otrzyma fundusz jakich 20 milionów, подарowany jej na krzewienie oświaty. Cała jej przeszłość nie jest w stanie pokazać równie wspaniałego indywidualnego daru. Trzeba serdecznie przyklasnąć szlachetnym zamiarom p. Carnegie. Społeczność angielska, mimo swego bogactwa, nie obraca funduszy narodowych na szkolnictwo, zostawiając spełnienie tego zadania inicjatywie indywidualnej działalności stowarzyszeń duchownych i świeckich. Akcja państwowa pedagogiczna znajduje się jeszcze w niemowlęctwie. Łatwo tedy dostrzedz w organizacyi szkolnej angielskiej najrozmaitsze szczyrby, i braki, często do pojęcia trudne. Brakowało kapitałów

do ich zapelnienia i wzniesienia organicznej budowy. Obecnie świata nadzieja, że miliony pana Carnegie będą dla niej węgielnym kamieniem.

Lata jubileuszowe, wielkie historyczne rocznice, jak trzechsetletnia Cromwella, albo urodziny w lata posuniętych narodowych wielkości, wywołują zazwyczaj, obok specjalnych ceremonii, datę tę upamiętniających, całą literaturę, która, na szczęście, nie zawsze jest tylko okolicznościowa. Tak się tu stało nie z Cromwelem jedynie, ale i z Herbertem Spencerem. Gdy ten ostatni obchodził niedawno 80 rocznicę urodzin, świat umysłowy skorzystał z tej okazji, aby mu oddać hołd czci i poważania. Zebrano fundusz, za który akademicki malarz, p. Herkomer, wymalował jego portret, przeznaczony do galerii portretów wielkich mężów krajowych.

Niema wątpliwości najmniejszej, że Herbert Spencer jest potężnym umysłem, który na całym stuleciu wycisnął swe piętno, a filozofia ewolucyjna, której jest przedstawicielem i twórcą, urobiła na swej modle umysły anglo-saksońskiego szczepu.

Jeżeli hołd był zasłużony, to nie można zaprzeczyć, że był spóźniony. Cały świat współczesny kruszył oddawna kopie za filozofię ewolucyjną albo przeciw niej, a publiczność angielska sama jedna nie zdawała się troszczyć o jej autora. Przez długie lata ceniony był przez wyższe jednostki i cieszył się przyjaźnią wielu umysłowych znakomitości, ale był, bądź co bądź, osamotnionym myślicielem, pracownikiem bez poparcia u żadnego naukowego ciała, u żadnej krajowej instytucji. Człowiek, który wzbogacił swą ojczyznę najdoskonalszą nauką syntezą, człowiek, z którego dzisiaj jest dumną, byłby zmarniał całkowicie, gdyby miał mniej wytrwałości i mniej zahartowanego ducha. Gdyby Herbert Spencer, zamiast być samoukiem, przeszedł był przez gimnastykę klasyczną jednego z dwóch uniwersytetów krajowych, Oksfordu lub Cambridge, ciało naukowe, którego byłby członkiem, było-by go popierało i ułatwiałoby mu umysłową produkcję. Skoro rozwinął się i wyolbrzymiał poza ich koteryą, te potężne organizmy uważały za właściwe nic o nim nie wiedzieć i o niego się nie troszczyć, chociaż stopniowo i widocznie wpływ jego nauki prze-

niakał do najgłębszych pokładów myśli narodowej i ukształtował całe pokolenia.

Można powiedzieć, że niema dzisiaj żadnego wykształconego Anglika i Amerykanina, który-by świadomie lub nieświadomie nie był wyznawcą doktryny ewolucyjnej. Filozofia ta zatryumfowała zupełnie, i jeżeli można przewidzieć, że i jej panowanie się skończy, jak się skończyła wszechwładza pozytywizmu Comte'a, to niema jeszcze oznak nowej syntezy. Świat umysłowy angielski długo jeszcze iść będzie po szlakach, przez tego mistrza wytkniętych.

Cała literatura życiorysów i komentarzy Herberta Spencera i jego dzieła zjawiała się przy tych 80-letnich urodzinach jego. Najbardziej interesującą jest monografia szkockiego profesora, Hektora Macphersona. Życiorys nie obfituje w szczegóły, bo też żadnych nadzwyczajnych wydarzeń w życiu filozofa nie było. Emerson miał słusność, mówiąc, że najkrótsze biografie są biografie geniuszów: żyją przedewszystkiem przez swe pisma. Wychowywany przez lat kilka przez wysoce wykształconego stryja, nie odpowiedział jego życzeniom, gdyż nie czuł popędu do greczyzny i łaciny i nie przygotowywał się do Uniwersytetu, lekceważąc jego omszałą rutynę. Za to z nieustającym zapalem badał nauki przyrodnicze w różnych ich gałęziach. Fakta a nie abstrakcyjne teorie gromadził przez długie lata w swym umyśle. Jako inżynier cywilny przy powstających wówczas drogach żelaznych, a następnie jako podwydawca tygodnika „*Ekonomisty*“, przez lat dziesiątek miał sposobność zbadać zagadnienia społeczne. Powoli, dojrzewał w umyśle jego pogląd syntetyczny na przyrodę, człowieka i społeczność ludzką. Kilka tu i owdzie ogłaszanych monografi nie wysunęły go o tyle na pierwszy plan, aby należało przewidywać w nim wielkiego mędrca. Gdy w 1860 r., a zatem w 40 roku życia, Spencer ogłosił swój plan ogólny nowej teorii kosmosu i zapowiedział, że całe swe następne lata poświęci opracowaniu tego światopoglądu, było to istotnie zuchwalstwo nie lada. Ale mniej jeszcze temu zuchwalstwu dziwić się należy, aniżeli temu, że dzieła tego dokonał, że się z zadania tego wywiązał.

Przeszkód do wykończenia swego przedsięwzięcia miał Herbert Spencer wiele: przedewszystkiem brak zdrowia i majątku. Przepracował się i zmuszony był przerywać swe dzieło nieraz na długie miesiące. Wydawał swe pisma własnym kosztem, bo nie znalazł na nie nakładcy. Drukowane w 750 egzemplarzach nie rozchodziły się i do 1870 r. stracił na tych wydawnictwach 1,200 f. szer., a na same tablice socyologiczne wydał 3,000 f. szt. Dopiero, gdy uczynił odezwę do czytelników, że, przywieziony do materyjalnej ruiny, zaprzestać bę-

dzie musiał dalszego wydawnictwa, utworzył się w Stanach Zjednoczonych komitet, który mu funduszków niezbędnych dostarczył. Przyjął je jako pożyczkę i spłacił, gdy po 24 letniej pracy pozwoliła na to nakoniec sprzedaż obfitsza jego dzieł. Inne ofiary, czynione przez przyjaciół i wielbicieli, między innymi J. St. Milla, po przyjacielsku odrzucał.

I szły w świat jedne po drugich „Pierwsze zasady“, „Zasady psychologii“, „Zasady Socyologii“, „Zasady Moralności“, ze wszystkimi swemi podziałami i pojedynczo szczegółowo opracowaniami częściami. A starzejący się mędrzec miał nie tylko to rzadkie zadowolenie, że całości dokonać mu się udało i że olbrzymi gmach stanął wykonany aż do ostatnich szczegółów, ale że mógł przedsięwziąć, po ukończeniu pierwszego, drugie poprawne wydanie swej filozofii.

To drugie wydanie pozwoliło mu w przypiskach i notach odpowiedzieć na rozmaite krytyki i zarzuty, wyjaśnić miejsca źle zrozumiane i i wątpliwe i wziąć w rachunek postępy dokonane w biologii i socyologii od chwili gdy przed czterdziestu laty program swój zakreślił. Nikt lepiej od samego autora nie mógł podjąć się windykacyi jego naukowej syntezy, chociaż nie brakuje mu dzisiaj pełnych zapala uczniów, adeptów i stronników. Doktryna ewolucyjna utworowała sobie już szerokie łóżysko naokół kuli ziemskiej, przenikła do najoddalniejszych jej zakątków, a dzieła Herberta Spencera, przetłómaczone na dwadzieścia języków, zyskały sobie powszechne prawo obywatelstwa.

Niema potrzeby już dzisiaj ani kruszyć za tę doktrynę kopii, ani wyluszczać jej podstaw, przemówiła za siebie sama. Nie ulega wątpliwości, że wniknęła głębiej w ostatnie przyczyny, aniżeli to czynił pozytywizm Comte'a, który od ich dociekania z góry się zastrzegł. Zasadnicza jego podstawa, że siła żadna w naturze nie ginie, że nie znika, ale się przetwarza i w coraz wyższych manifestuje formach, nie tylko w coraz wyższych, ale coraz bardziej uspecjalizowanych, nie znajduje już dzisiaj opponentów. Ciągłość fenomenów i ścisły związek oraz zależność organizmu od otaczającego go środowiska stały się oklepanką. Zapatrywanie się na społeczność już nie z politycznego stanowiska, ale z biologicznego, i uznanie konieczności i metody rozwijania się w niej postępu, oddało niezaprzeczone usługi i odda większe jeszcze, gdy na tej podstawie dalsze badania czynione będą. Podczas, gdy inne filozoficzne szkoły usiłowały sztucznie pogodzić różne pierwiastki przeciwdziałające jedne drugim, Herbert Spencer po nici ewolucyjnej przeprowadza je z jednego stadyum na drugie i nie jakościowe, ale ilościowe tylko znajduje pomiędzy nimi różnice. Gdy się przypomni dawniejsze systematy filozoficzne Anglii, rozpoczynające się

od Bakona, Hobbesa, Locke'a, a kończącego się na Berkeleyu J. St. Millu, to się widzi, że łączy je z Herbertem Spencerem zasada eksperymentalna i zależność od stanu nauk. Ale zadanie Spencera stało się o wiele rozleglejsze właśnie wskutek olbrzymiego rozrostu nauk. Jedynie radykalny ich przewrót, którego przewidywać jeszcze nie podobna, mógłby zniweczyć dzieło myśliciela, dla którego materya i duch nie są przeciwieństwami, ale tylko dwoma obliczami rzeczywistego bytu.

Jak się samo przez się rozumie, 300 rocznica urodzin Cromwella dała powód, nietylko do całego szeregu historycznych monografi i politycznych studyów, lecz i do pamiątkowych obchodów. Ale chociaż trzy wieki blisko zaciążyły już nad jego płytą grobową, chociaż stało się elementarną prawdą, że był on najznakomitszą postacią nowoczesnej Anglii; to widocznie są jeszcze ludzie, którzy mu wielkości odmawiają, traktują go jako przeciwnika, nie chcą mu przyznać prawa do apoteozy i nawet użyć prawa do spokoju. Widocznem jest, że poruszył on zagadnienia, które żywotności swej nie postradaly dotąd: inaczej-by stronnictwa nie wciągały go nieustannie do swych zbrojnych zapasów. Gdy p. Wertheimer ofiarował Izbie Gmin piękne popiersie Protektora, część Parlamentu chciała to dzieło sztuki, stare a szczęśliwym trafem odzyskane, odrzucić; nie chciał się także Parlament zgodzić na wzniesienie mu posągu w imieniu narodu, a gdy kosztem prywatnym wzniesiony został w obrębie westminsterskiego pałacu, to umieszczony być musiał w niewłaściwym podrzędem miejscu, aby protestacye „wrogów królobójcy“ rozbroić.

Może się to wydawać śmiesznem z oddalenia, ale tu dzieje rewolucyi XVII wieku nie przestały być żywotnem tętnem, roznamiętniają społeczność i czynią po dziś dzień zadanie historyków niełatwem, gdy tej spornej dotyczą epoki i analizują osobistość, w której się ona skryształizowała.

Niepodobna wyliczyć tutaj wszystkich prac, jakie ogłoszone zostały od roku o Cromwellu. Obok największego z żyjących historyków angielskich, Samuela Rowsona Gardinera, którego specjalnością stały się, jak wiadomo, dzieje XVII stulecia i którego każda nowa praca pozwala nam lepiej i głębiej wnikać w naturę skompliko-

waną wielkiego protektora, największą uwagę zwróciła książka Sir Richarda Tangye, pod tytułem „Dwaj Protektorowie“. Naturalnie, że nawet żywa sympatya dla autora nie pozwala postawić tej monografii na tym samym poziomie, co „Olivera Cromwella“, Gardinera. Jeżeli to drugie jest posagowem dziełem i ostatnim wyrazem historycznej krytyki dzisiejszej, to właśnie przez swój poważny nastrój nie może poruszyć kręgów szerokiej publiczności. A właśnie do tego celu dąży praca Sir R. Tangye. Ten gorliwy orędownik Cromwella znany był, jako posiadacz pięknej kolekcji portretów, dokumentów i relikwi tej epoki, i stały się one arcy-ciekawą ilustracją jego dzieła. Nadały mu w każdym razie piętno autentyczne, zbliżyły tego „największego z Anglików“, jak go nazywał Carlyle, a czemu nie zaprzeczał ani Fryderyk Harrison, ani dr Horton, ani Gardiner, do naszego pokolenia: w tych bohaterских postaciach postrzegamy rysy i szczegóły ludzkie, że tak powiem, codzienne. W tem-to właśnie główna zasługa pracy Sir R. Tangye. Jedynym zarzutem, jaki temu popularnemu utworowi uczynić trzeba, jest to, że autor posuwa swego ducha wojowniczego aż do rozmaitych wycieczek, a nawet napaści na współczesne zagadnienia Państwa i Kościoła. Obraz epoki Cromwella ma sam w sobie interes tak dramatyczny, że te napomknienia, skierowane do całkiem odmiennych momentów historycznych, zakłócają jednolite wrażenie, którego od autora oczekiwać miało się prawo.

Rozglądając się w różnych pracach, odnoszących się do powyższego przedmiotu, niepodobna pominąć mowy, wygłoszonej na obchodzie trzechsetletnim Cromwella przez Lorda Rosebery. Ogłoszona następnie drukiem, mowa ta znalazła liczne koło czytelników i była komentowana wielostronnie. Naturalnie, że osobistość wielkiego męża stanu przyczyniła się do zjednania tej mowie wyjątkowego rozgłosu. Jakiejkolwiek kwestyi dotyka się Lord Rosebery, zawsze umie uczynić ją żywotną, dzisiejszą. Umysł jego błyszczy tysiącami promieni oszlifowanego dyamentu, a w osobistym jego interesie życzyć-by należało, ażeby, zamiast się rozpraszać w tylu kierunkach, zechciał zogniskować się w jednym. Nikt za historyka specjalnego uważać go nie myśli; wszelako ileż głębokich, ile nowych, ile pobudzających rysów rzucił od niechcienia w tej charakterystyce Cromwella: wystarczyły-by one niemieckiemu historykowi do grubego tomu z nieskończoną ilością cytata i odsyłaczy. Lekko, prawie nie tykając się drażliwych punktów, Lord Rosebery wnika w naturę zajadłej walki, jaka toczyła się pomiędzy purytanizmem a królewskością, i wskazuje, że jest niesłusznem uznawać heroizm jedynie w pierwszym, a odmawiać go orędownikom drugiej.

Czysty, idealny nastrój purytanizmu był głównym czynnikiem w propagandzie za nową formą rządu, głównym, ale nie jedynym. Przypomina też mówca słusznie, jaki łańcuch wypadków, nieporozumień, straconej wiary w działalność Karola I, doprowadzić musiały do katastrofy. W zgodzie z najgruntowniejszymi badaczami owej epoki, Lord Rosebery nie podaje w wątpliwość dobrej wiary Cromwella i jego szczerości: protestuje przeciwko tym, co go podejrzewają o hypokryzję, a sam trafnie a dowcipnie określa go jako „praktycznego mistyka”. Znając zagorzały patryotyzm i imperyalizm Lorda Roseberga, czytelnik z góry wyobrazić sobie potrafi hold, jaki on złożyć pośpieszył Protektorowi, który położył podwaliny roli wszechświatowej Wielkiej Brytanii.

Co do p. Gardinera, to chociaż sam ostatnią swą pracę o Cromwelle mieni słowem ostatecznym, dodatkowym i końcowym, nie rezygnujemy bynajmniej, aby się tak stało. Nie można wierzyć kłáwtwom i przysięgom kochanków: poróżnieni powracają zawsze przed ołtarze miłości. Rozkochał się on do tego stopnia w opoce rewolucyjnej i jej bohaterach, że nie potrafi innym już holdować bogom. W swej ostatniej pracy przedstawił nam Cromwella jako żołnierza i jako męża stanu. Nikt lepiej od niego nie potrafi dopełnić jego postaci brakującymi jeszcze stronami.

Przedewszystkiem uderza w sposobie i metodzie historyka to, że uniknął owego „uwielbiania bohaterów”, którem Carlyle grzeszył i o które rozbila się jego sława, jako dziejopisa. A trudność w obecnym razie była tem większa, że Cromwell sam wierzył i sam się uważał za opatrnościowego działacza. Gardiner, pomimo, że wielkość jego uznaje, nigdy nie pada przed nim na kolana, nigdy nie czyni go nad-człowiekiem, dostrzega jego usterki, niekonsekwencye, i umie być sprawiedliwym względem Karola. Wzniosłe piękniemi są stronicie, w których pokazuje się niemożliwość dla króla, wierzącego w swą missyę i w swe prawo z Bożej łaski, przyjęcia warunków, jakie mu narzucała rewolucya. Wszystkie intrygi, wszystkie wykręty, któremi się pierwiej posługiwał, pierzchły od razu, gdy zażądano od niego ofiary, która-by w jego własnem sumieniu jego majestat królewski raz na zawsze zniweczyła. Jest prawdziwym historykiem, kto szalę sprawiedliwości tak wysoko wznieść potrafi. Ale jest jeszcze inna nieoceniona zaleta dzieła p. Gardinera, mianowicie sposób, w jaki uwidocznia wzrost i rozwój militarneho despotyzmu i niebezpieczeństwo, jakie on niósł z sobą i dla państwowego organizmu, i dla ducha społeczeństwa.

Bez żadnych deklamacyi, tem mniej potrzebnych, że w dzisiejszej Anglii kwestya militarneho despotyzmu jest anachronizmem, i że

walczyć z nim na ostre, jest donkichotowską awanturą, historyk ustala w nas przekonanie, że w epoce Cromwella, pomimo zbawczych rezultatów późniejszych, naród stał nad przepaścią, igrał bezwiednie z ostrzem miecza: losy jego ważyły się wtedy, i doprawdy, tyle szczęścia, co zasługi, że Anglia na schyłku XVII stulecia na spokojnych znalazła się wybrzeżach.

Sezon teatralny londyński nie odznaczył się w tym roku żadnym pierwszorzędnym epokowym utworem. Naprzód trzeba wyłączyć operę w Covent-Garden. Niema w niej nigdy, albo rzadko przynajmniej zjawiają się nowości; orkiestra i chóry zostawiają wiele do życzenia, a artyści o głośnej reputacji, zjeżdżający się tutaj ze wszystkich stron świata i śpiewający zazwyczaj każdy w swym narodowym języku, z wyjątkiem naszych Reszków, którzy, jako polygloci, śpiewać mogą we wszystkich—stanowią rodzaj bigosu hultajskiego gwiazd, ale nie mogą nigdy dać wrażenia jednolitego, spoiestego. Konwencyonalność tych reprezentacji uderza w tym roku bardziej jeszcze, niż zazwyczaj. Wyższe warstwy towarzyskie uczęszczają do opery dla tego, że wymaga tego od nich ich światowe stanowisko. Ani istotnego znawstwa, ani prawdziwego zamiłowania muzyki nie posiadają.

Szybki, niespodziewany odjazd Jana Reszkego posłużył za pretekst, że uczęszczać do Opery nie warto, i loże przerażały pustką.

Gdy się wie, że reprezentacje w Covent Garden trwają zaledwie jakie dwa miesiące, a że przez resztę roku Londynu nie posiada Opery, gdy się wspomni, że kilka przedsięwzięć stałej Opery narodowej zbankrutowało sromotnie; to chciało-by się odmówić publiczności tutejszej wszelkiego smaku i wszelkich zdolności muzycznych. A jednakże koncerty wirtuozów i koncerty symfoniczne cieszą się tutaj ogromnem powodzeniem, a są miasta, jak Birmingham, których filharmonijne koncerty, oratoria etc., wymagające olbrzymich wysiłków i starannych przygotowań, posiadają już oddawna europejską sławę. Trzeba się tedy wstrzymać od wydania bezwzględного wyroku. Jednakże wolno się zadziwić, słysząc o projekcie wybudowania w jednym

z miast prowincjonalnych idealnego teatru, który ma być Beyreuthem angielskim. Wspaniałe ongi, o monumentalnych budowlach miasto Bath, miejsce kąpielowe, zostało obrane jako siedlisko tej przyszłej angielskiej Opery. Mają się tam przez dwa miesiące, albo trzy, corocznie odbywać doskonale przedstawienia oryginalnych oper krajowych. Przedsięwzięcie, zdaje się, zuchwale, gdyż pomimo kilku konserwatoryów muzycznych i widocznej pracy nad kształceniem muzyków, nie widać dotąd takiej produkcji, aby trzeba było wybierać dla niej stolicę, budować teatr i urządzać turniej muzyczny.

Nie można wątpić, że się znajdują fundusze na to artystyczne przedsięwzięcie, gdyż w bogatej Anglii znajdują się one na wszystko, ale pytanie, czy znajdzie się powodzenie. Napróżno oglądamy się za mistrzem, coby wydobył harmonijne dźwięki z tej harfy. Miejmy nadzieję, że się opery zrodzą, gdy się wybuduje dla nich nieposzlakowana siedziba.

Jeżeli poważniejszej muzyki nie są hołdownikami, to natomiast przepadają Anglicy za operetkami. Jest sześć teatrów w Londynie grających je bez przerwy i nawet podczas skwarów letnich, gdy się inne teatry pozamykały jedne po drugich, one zawsze rachować mogły na pełne sale. Operetki liczyć mogą swe przedstawienia na setki, nie skąpią tedy kosztów na jaskrawą i błyskotliwą wystawę sceniczną.

Balety, piosnki bez sensu, ale z nieprzyzwoitą podszewką, usiane dwuznacznikami, obfite alluzye do publicznych i lokalnych wypadków improwizowane przez aktorów, bawią niewybredną publiczność i pozwalają jej spędzić wieczór bez żadnego umysłowego wysiłku. Nie potrzeba zapewne dodawać, że z wyższą sztuką nie takie operetki nie mają wspólnego. Można je wszystkie sprowadzić do jednego mianownika i trzeba szczególnej łaski, aby odróżnić i wynieść głębokie wrażenie z „San Toy“ albo „Florodon“ z „Belle of New-York“, albo „Casino Girl“, z „Messenger Boy“, albo innej jakiej tego rodzaju sztuki. Tego tylko zaprzeczyć nie można, że marnuje się i gubi w tych szumowinach nie jeden talent artystyczny, wart lepszej doli.

Wypadkami teatralnymi sezonu miały być dwie sztuki cudzoziemskie olbrzymiego rozgłosu: obie zawiodły oczekiwania.

Pierwszym było „Quo Vadis“, osnute na arcydziele powieściowym Sienkiewicza. Sprawa ta musi być znaną w najdrobniejszych szczegółach czytelnikom naszym: zbytecznym było-by je powtarzać.

A amerykańska przeróbka pióra Stanisława Stange uprzedziła przeróbkę Wilsona Baretta, upoważnioną przez autora. Była ona tak surowo i tak jednogłośnie potępiona przez krytykę tutejszą, że pomimo energicznych wysiłków dyrekcji i niejednej zalety wspaniałego u scenicznizowania, skończyła swój zawód po kilkotygodniowej, bezskutecznej walce. Zaledwie się podwoje Adelphi zamknęły za Amerykanami, przybył, stugębną poprzedzony reklamą, p. Wilson Barrett ze swoją wersją „Quo Vadis.“

Ponieważ zapoznaliście się z nią w Warszawie, nie ma potrzeby rozpisywać się w tym przedmiocie. P. Barrett, ażeby uniknąć losu swych współrodaków, wystawił swą sztukę w przedmieściowym teatrze Kensington tylko przez tydzień i pośpiesznie wywiózł ją następnie na objazd prowincjonalny. Czy powróci na zimę do stolicy, jeszcze nie wiadomo, ale dotąd nie zanoszą się na to.

Drugą sztuką, co zawiiodła oczekiwania teatralnego przedsiębiorcy, był „Cyrano de Bergerac,” Rostanda. Gdy z nim tu Coquelin przybył przed rokiem, teatr był przepelniony i powodzenie fantastyczne. Lecz widocznie widzowie należeli do tej wykształconej kosmopolitycznej publiczności, która potrafiła była wnikać w ducha tej heroicznej komedii, zrozumieć gaskoński pióropusz, pojąć literackie alluzje. Genialna gra francuskiego aktora rozjaśnił też musiała to, co dla Anglików mogło być mniej łatwym do pojęcia.

Ale, gdy p. Karol Wyndham tę samą sztukę w swym teatrze wystawił, nie było śladu najmniejszego entuzjazmu. On sam do powodzenia sztuki przyczynić się nie mógł. Delikatny, wycieniowany jego komizm nie mógł zastąpić olbrzymiej „facondy“ Coquelina, a i płuc jego mu brakowało! Widzowie, chociaż przekład był dokonany starannie, potykali się na każdym kroku o ilości nieznane, a nie będąc porwani południową werwą, rozbiegali, rozumowali swe wrażenia.

Najświetniejsze fajerwerki Gaskończyków swędziły dymem, a gorąca lawa wulkanu lodowaciała w atmosferze parteru. Klaskano, boć to grał popularny Wyndham, boć wiedziano, że sztuka jest arcydziełem, ale serdecznej nici pomiędzy sceną a salą nie było. Trudno było płynąć przeciw wodzie i, po krótkiej kampanii, Cyrano zniknął z widowni.

Lepsze powodzenie znalazła natomiast inna francuska sztuka, ale nie można tego powodzenia uznać, jako zaletę publiczności tu-

tejszej, gdyż wywołała [je grzeszna ciekawość zakazanego owocu, zamilowanie w skandalicznych sprośnościach, w krańcowym naturalizmie.

Sztuką, którą mam na myśli, jest „Zaza“, jeden z ostatnich tryumfów znakomitej paryskiej aktorki, Rejany. Jeżeli dziwić się nie można francuskim pisarzom, iż piszą dla niej popisowe role, to nie trzeba zapominać, że artystka może być w nich przedziwną, a sztuka nie posiadać najmniejszej wartości. Tak właśnie dzieje się z Zazą, która jest paniekąd wersją Kameljowej Damy, ale popoliutą i zniżoną do sfery Cafés chantants. Zazę grała tutaj amerykańska aktorka, pani Leslie Carter, bez dowcipnej, lekkiej, subtelnej gry Rejany. Brutalne strony zostały podkreślone i wzbudzić mogły niesmak.

Jeżeli takie było zdanie krytyki, to nie dzieliła jej publiczność, pieprznej strawy łakoma.

Oprócz wznowionych na scenie teatru Haymarket klasycznych komedyi Sheridanana, nie widzę z oryginalnych utworów nic do zaznaczenia, chyba nowoczesną sztukę, graną przez p. Jerzego Aleksander w jego teatrze St. James, p. t. „The Man of Forty“, i lekką komedię o olbrzymim sukcesie, graną wciąż jeszcze w Criterion p. t. „Lady Huntworth Experiment“.

Autorem pierwszej jest p. Walter Frith, znany z kilku dawniejszych salonowych komedyo-dramatów. Obecny świadczy także o wielu drugorzędnych i technicznych zaletach, ale nie pokazuje kapitalnych. Idea naczelna obraca się około kollizyi pomiędzy uczuciami młodego jeszcze, a szlachetnego ojca, który pragnie ożenić się z kobietą, złamaną pierwszym nieszczęśliwym małżeństwem, a 18 letnią jego córką, która się zakochuje w nikczemnym mężu tejże kobiety. Węzeł tragiczny rozplątuje się wprawdzie przez gwałtowną śmierć tego awanturnika, ale psychologiczne zagadnienie nierozstrzygniętem zostaje. Powodzenie było chłodne.

Za to komedya p. Carton znalazła nader gorące przyjęcie. Napisał on ją dla temperamentu swej żony, pani Compton, która jest osią tej wesołej sztuki. Nie brakuje oryginalności pomysłowi. Lady Huntworth, rozwiodłszy się z mężem, nałogowym pijakiem i łotrem, szuka zapomnienia i schronienia, oraz środków utrzymania, przyjmując obowiązki kucharki w oddalonej prowincjonalnej plebanii. Wielka dama nieznaną, a kucharka jednocześnie, oto pozycja, rodząca sceny niespodziane. Wzbudza uczucie miłości u sług i u panów, i natu-

ralnie odnaduje ją dawniejszy jej mąż, który ofiaruje jej ponownie swą rękę, dowiedziawszy się, że została bogatą. Szczególniej ubawiły widza sceny, gdzie życie służby domowej pochwycone zostało na uczynku: blizka to nas a tak nieznaną sferą! Doskonale odegrana, komedia dała panu Cartonowi nareszcie sukces, za którym napróżno dotąd gonił.

DR M. E. NEKANDA-TREPKA.

Eliza Orzeszkowa.

Pojęłam i ukochałam ideę czynu i zapra-
gnęłam w własne ją wcielić życie.

(„Ostatnia miłość“).

I.

Pierwszy drukowany utwór Elizy Orzeszkowej ukazał się w roku 1866 na szpaltach „Tygodnika Ilustrowanego“ pod tytułem: „Obrazek z lat głodowych“. Autorka pensyonarskiem jeszcze piórem przedstawiła upośledzenie ludu wiejskiego i obojętność wyżyn społecznych na jego dołę. Po „Obrazku“ nieprzerwanym i długim szeregiem idą po sobie takie nowelle, opowiadania i powieści, jak: „Syn stolarza“, „Początek powieści“, „Rozstajne drogi“, „Ostatnia miłość“ (1867), „W klatce“, „Wesoła teoria, a smutna praktyka“, „Na prowincyi“ (1868), „Z życia realisty“, „Cnotliwi“, „Pan Graba“ (1869), „Pamiętnik Wacławy“ (1870), „Na dnie sumienia“ (1871—2), „Marta“ (1873), „Stracony“. Szereg ten świadczy, iż w chwili wystąpienia Orzeszkowej na widownię, nie sprawa włościańska, lecz inne zagadnienia przeznaczeń ludzkich były najbliższe sercu i myśli autorki. Istotnie, według jej własnych zeznań, pomiędzy pierwszemi owocami jej pracy były powieści, zatytułowane: „Regina“ i „Ludzie i ro-

baki". „Regina“, jak się zdaje, odżyła później w „Ostatniej miłości“, a wyrażenie „ludzie i robaki“ odnajdujemy w „Początku powieści“. Ten „Początek“, jest to coś w rodzaju szkicu, czy programu, którego różne strony autorka wykonać pragnęła w późniejszych swych utworach. „Obrazek“ zaś i „Syn stolarza“, to dopiero próby pióra, to pierwsze ruchy ręki nieśmiałej i drżącej, i dlatego wskazującej nie ten punkt, który przykuł do siebie całkowitą uwagę osoby. Punktem owym był stosunek kobiety do mężczyzny w małżeństwie i dola kobieca wogóle. A jednak okoliczność ta, że „Obrazek“ poprzedził w druku wszystkie inne utwory, jest prawdziwie znamioną, gdyż wewnętrzna praca duchowa znakomitej naszej bojowniczkii o cele humanitarne rozpoczęła się właśnie od rozmyślań nad położeniem ludu wieśniaczego w chwili przełomowej na początku siódmego dziesięciolecia wieku naszego. Sprawa tej warstwy właśnie wprowadziła do jej duszy ów ferment, który ujawnił głęboką różnicę usposobień pomiędzy ludźmi, co powinni byli stać obok siebie najbliżej, — ów ferment, który, wytrącając kobietę z powszedniej kolei losów niewieścich i skazując ją na długie samotne walki z sobą, włożył wreszcie jej pióro do ręki. I oto stała się jedną z pierwszych słuźebnic narodu, a zarazem jego dumą, jego chwałą i rękojmnią żywotności jego. Nie myślę zgoda utrzymywać, by okoliczności, o których tu napomknęto, wyjaśniały w zupełności działalność twórczą autorki. Dużo mieli-byśmy w takim razie znakomitych powieściopisarek. Wyjaśnienie to znajduje się chyba w tym nieprzepartym pociągu do rojeń, który już siedmioletniej dziewczynce nakazywał wespół z siostrą Klimunią scenizować różne zdarzenia historyczne, silniej wstrząsające młodziutkie serduszka, w tych tajemniczych głębinach organizacji, w których ukrywało się usposobienie do wyobrażania sobie ludzkich przeznaczeń i stosunków w postaci dramatycznej. „Sama natura wlała we mnie zarody serdecznego i poważnego mego życia, lekceważenie wszystkiego, co bywa innym fałszywą monetą życia“, — powiada, jakby w imieniu autorki, jedna z jej bohatererek („Ostatnia miłość“). Przejścia osobiste tylko wyzwoliły ów pociąg ukryty, lecz go nie stworzyły. Ale rodzaj przejść wpłynął potężnie na skierowanie myśli i uczuć ku pewnym stronom życia ludzkiego, najbliżej związanym z jej własnem położeniem. I oto dlaczego cała jej energia twórcza skupia się na zagadnieniach tego rodzaju, pomimo że promienie, od świata nizin odbite, odegrały w jej duszy rolę bodźca.

Sprawa kobieca stanęła przed Orzeszkową przedewszystkiem od strony uczucia, łączącego dwoje osobników odmiennej płci: stara się ona rozejrzeć w przyczynach, których skutkiem bywa tak często nieszczęśliwe dobieranie się stadeł małżeńskich. Przeciwwstawiając swo-

je zadanie artystyczne celom swych poprzedników, u których powieść kończyła się wraz z pierwszym dźwiękiem „Veni creator“, Orzeszkowa, doprowadziwszy swe pary do ołtarza, pisze dopiero „początek powieści,“ gdyż przed bohaterami jej jest jeszcze długie pasmo dni, dni posępnych i smutnych. Dlaczego tak? Ponieważ próżność i samowola rodzicielska połączyła tu węzłem dozgonnym z jednej strony „mężczyznę-człowieka“ z „kobietą-lalką“, z drugiej — „kobietę-człowieka“ z „mężczyzną-robakiem“. W „Rozstajnych drogach“ mężczyzna namyśla się, którą wybrać: lalkę, czy człowieka? W pierwszej większej swej powieści: „Ostatnia miłość“, autorka z większą tylko dobitnością wypowiada swe przekonanie, już szkicowo w „Początku powieści“ zaznaczone, iż niezbędnym warunkiem trwałości związku małżeńskiego jest jednakie tło uczuciowe i umysłowe, pokrewieństwo wyobrażeń, dążeń i pracy. Rozumie się samo przez się, iż jeżeli ludzie podają sobie rękę na wspólną dolę lub niedolę, związek taki o tyle zadosyć uczynić może etycznym wymaganiom, o ile się opiera na uczuciu, nie na jakichś ubocznych względach. Biada wszakże, jeśli wyboru dokonuje niepodzielnie tylko bezwiedny, ślepy pociąg, jeśli w chwili stanowczej władza kierownicza wydarta zostaje rozwadze. Jedynie za pomocą tego ostatniego czynnika ocenić możemy, czy przyszłość kojarzącej się pary zawiera w sobie rękojmię szczęśliwego pożycia. Bo oto chwile młodzieńczych uniesień mijają, i ludzie, różniący się temperamentem, przyzwyczajeniami, widnokręgami swemi, oddalają się wreszcie od siebie. Małżeństwo, którego początkiem była miłość najpoetyczniejsza, najzupełniej obca wszelkiemu wyrachowaniu, — małżeństwo takie staje się łańcuchem obowiązku, pod którego ciężarem schną i marnieją istnienia ludzkie.

Myśli, z naciskiem wypowiedziane w „Ostatniej miłości“, stają się osią budowy we względnie najlepszej w tym okresie powieści: „Na prowincyi“. I w tym zresztą utworze, jak we wszystkich poprzedzających, jak w niejednym z późniejszych, wnioski Orzeszkowej ukazują się nam w postaci dydaktycznej raczej, niż dramatycznej; okoliczność ta w połączeniu ze szczupłym zasobem spostrzeżeń, z brakiem wprawy pisarskiej, pozbawia pierwsze dzieła zalet pięknościowych. A jednak z tych niezręcznie kreślonych kartek, z poza tych, naiwnie często wypowiedzianych, kazań, wзира niekiedy oblicze samotnej kobiety, stęsknionej do słońca, do życia, do uśmiechem rozjaśnionych twarzy, do rąk, wyciągających się z życzliwym uściśnieniem. Wpatrzmy się naprzykład uważnie w te pogodne, z lubością kreślone obrazki szczęścia rodzinnego; spójrzmy na te opuszczone postacie niewieście, z których ust zlatuje westchnienie: „Z pośród zimnego, samotnego istnienia i z głębi mego serca wołam: o życie rodzinne! o słońce!“

(„Ostatnia miłość“). Owóż to spodem toczące się gorzkie uczucie i bolesna zaduma nad losem wielu istot, skazanych na zimno i opuszczenie, sprawia, że pomiędzy mnogością moralizatorskich i sztywnych stronic błysnie tu i owdzie ustęp, pełny prawdy życiowej i pociągający szczególnym jakimś urokiem. Niejeden znajdzie się tu rys tak żywy, że gdy cała treść obrazka zniknie z pamięci, ten tylko pozostanie nietknięty. Przypomnijmy tu sobie naprzykład Lolę Bogacką, do tego stopnia zajęta gałgankami wyprawy, że przez mgłę zaledwie rozróżnia twarz narzeczonego („Rozstajne drogi“); przypomnijmy p. Lubomira (z późniejszego nieco „Pamiętnika Wacławy“), wprowadzającego w radosne wzruszenie serca panien swą deklamacją: „jak wędrowiec, zbłąkany w piaszczystej pustyni“ i t. d., aż do oazy. Zwłaszcza wysunięcie umie autorka odtworzyć stan młodej dziewczyny, „panny na wydaniu“ z jej rozmarzeniem, z jej nieokreślonymi trwogami i dążeniami.

Orzeszkowa, rozglądając się w pewnej kategorii zjawisk, nie zatrzymała się nieruchomo przy warunkach szczęśliwego połączenia Nury i Pompiliusza. W jej usposobieniu twórczem tkwi samorzutna dążność do uogólnień, do skupiania poszczególnych zjawisk i wypadków w szeregi i do odszukiwania powszechniejszej przyczyny takiego szeregu. Od pierwszej chwili, to jest od „Początku powieści“, zaczęła wskazywać liczne źródła niedomagań społecznych i jednostkowych w fałszywym kierunku, który otrzymuje młode pokolenie od starszego. Wychowanie Zofii Swatowskiej, lalki, marzącej tylko o strojach i zabawach, uwarunkowane było dumą, próżnością i brakiem treści wewnętrznej ze strony jej rodziców. Było to już uogólnienie, ale uogólnienie jeszcze dorywcze, więc nietrwałe i pozbawione głębszego znaczenia. Lecz mocą uwagi, skierowanej wciąż na pewien określony rodzaj objawów życiowych, uwagi tak skupionej, że aż bolesnej, i mocą wrodzonych uzdolnień syntetycznych, ze spletanego chaosu zjawisk, w którym istnieją zarodki wszystkich późniejszych tworów, i zarazem nic nie istnieje w skończonej postaci,—z tego chaosu wyodrębnić się zaczęły po kolei szeregi przyczyn i następstw, i łączyć się wedle zasad bliższego, lub dalszego pokrewieństwa. Stąd każdy niemal utwór Orzeszkowej w tej dobie jest niby szkicem następnego, gdyż to, co w jednym dziele tylko znajdowało się w polu widzenia, w późniejszym staje się już przedmiotem umyślnego badania i środkiem, dokoła którego gromadzą się podrzędne, niemniej ważne szczegóły. Dla Loli Żytkowskiej w „Początku powieści“, dla Reginy w „Ostatniej miłości“, przyczyną złego wyboru, ukrywającego w sobie zawязek dramatu w przyszłości, nie tyle jest może nacisk ze strony starszych, co wychowanie, które nie uzdolniło kobiety do

wykrycia wilka w skórze baraniej, lub też osła w jego naturalnej postaci. W okresie powstawania wymienionych utworów, na dnie poglądów Orzeszkowej spoczywa tradycyjny dogmat, że jedynym przeznaczeniem kobiety, jej „karyerą“, jest wyjście za mąż, a rozważa, owoc należycie pokierowanego wykształcenia, ma grać rolę odczynnika rozpoznawczego, o ile „karyera“ jest istotnie „karyerą“. Cokolwiek później na odczynnik ten włożono zadanie nieco subtelniejsze: za jego pomocą nie tylko można się obronić od pospolitego oszustwa i podstępny, lecz zarazem sprawdzić, czy istnieją rękojmię trwałości spójni małżeńskiej; za jego pomocą można zatamować ślepy pociąg przyrodzony („Na prowincyi“); ma on wreszcie służyć nie na jednorazowy użytek w chwili wyboru, lecz być stałym przewodnikiem w rządzeniu się sobą, w uniezależnieniu się od władzy popędów, łamiących istnienie kobiece i męskie (Klotylda Warska jako „Kameleon“ w „Klatce“). W tejże powieści poruszono inną stronę zagadnienia: w braku warunków, które-by dostarczały ujścia dla sił wewnętrznych, mężczyzna wkłada całą swą duszę w uczucia miłosne, łamie się podstawa życiowa, albowiem: „każdy człowiek w cośkolwiek wlać musi całą energię swoją i miłość“. Kobieta zaś, gdy nie wypełnia życia miłością żony i matki, wkładać musi siebie w błahę próżnostki. Wychowanie czyni dla niej pracę i naukę niedostępną. Nauka i praca, wskazane tu tedy jako ideal, z trudnością dający się osiągnąć na wypadek życiowych zawodów. Powoli jednak, odwracając się od poprzedniego punktu widzenia, z którego kierunek, nadany w dzieciństwie kobiecie, miał jej służyć do doraźnego użytku, autorka coraz wyłącziej zastanawiać się zaczyna nad trwałymi skutkami wychowania, nad zagadnieniem: skąd pochodzi niezmierna ilość kobiet-lalek? w pyłe pełzających mężczyzn-robaków? Nie w omyłce jakiejś chwilowej, lecz w przyczynie powszechniejszej należy dobadywać się źródła skrzyżowanych pojęć i skrzywionych charakterów, przez które kobiety bywają unioszczeni i same umieszczają („Pamiętnik Waclawy“, „Pan Graba“). Już w „Pamiętniku Waclawy“ sprawa kobieca przestaje być wyłącznie zagadnieniem miłości i związku małżeńskiego, jakkolwiek przeczy temu szablonowa budowa powieści, a całkowicie już staje się sprawą pracy i sprawą dostojności niewieściej w „Marcie“. Rozmaitość motywów przy pozornej ich jednostajności, rozszerzony zakres objętych zjawisk i typów, idzie równolegle z rozwojem i wyjaśnianiem się pojęć, które przebiegły długą drogę, od skargi Heleny („Rozstajne drogi“), że jest pozbawioną opieki ramienia męskiego, przez zdanie Waclawy: „bardzo szczęśliwie jest, jeśli kobieta wyjdzie za mąż, bo w rodzinnym życiu najprędzej znaleźć zdoła szczęście dla siebie i sposobność stania się miłą i pożyteczną

drugim, ale że przecie łatwo zdarzyć się może, że za mąż nie pójdzie...“ , aż do namiętnego wykrzyknika: „wedle praw i obyczajów ludzkich kobieta nie jest człowiekiem, kobieta to rzecz“, „kobieta—to kwiat“, kobieta — to zero; niema dla niej ani szczęścia, ani chleba bez mężczyzny, jeśli chce żyć“ („Marta“). Widzimy tedy, że utwory Orzeszkowej są jakby ogniwami jednego łańcucha, ogniwami, które różnostronnie zahaczają się o siebie i jakby wywijają się z poprzedzających. Przekształcają się one wraz z powolnym przesuwaniem się punktu widzenia, mnożą się i różniczkują, ale łączyć ich nie przestaje to samo uczucie i trwałość rozwoju ideowego. W ten sposób, zamiast prostego zagadnienia: szczęścia dwojga istot odosobnionych, ukazuje się wreszcie czytelnikowi mnogość zjawisk społecznych, których skutki się krzyżują, potęgując się wzajemnie w działaniu. Ewolucya tematów jest jednocześnie ewolucją przekonań i analizy, której wiele stopni w tym pobieżnym zarysie z konieczności opuścić musieliśmy.

Wskazana tu stopniowość rozwoju poglądów na pewną kategorię objawów życia społecznego każe nam widzieć w Orzeszkowej typ umysłowości naszej, uważanej nie w pojedynczych jej przedstawicielach, lecz w masie narodu. Pewne warstwy intelligencji, albo jednostki, mniej lub więcej wśród ogółu osamotnione, w mniej lub więcej zwarte koła skupione, mogą w tym lub innym względzie uosabiać obcą kulturę, być wyobrazicielami gdzieindziej wyrosłych ideałów i pojęć. Czyż tak nie było w dobie oświecenia, w okresie wpływów romantycznych, w porze „pracy organicznej“, o ile się praca owa zaznaczała krzewieniem zasad naukowych, ze źródeł ogólnoeuropejskiej oświaty czerpanych? Czy tak wreszcie nie było jeszcze w dniu wczorajszym, w dniu napływu poglądów kosmopolitycznych? Ale społeczeństwo, jako ogół, wchłaniając w siebie prądy zewnętrzne, co jest pocieszającym objawem żywotności jego, nie odchyła się nigdy krańcowo od tych podstaw tradycyjnych, na których wspiera się gmach jego wyobrażeń, dążeń, zwyczajów. Ten powolny wzrost i stopniowe przekształcanie się pojęć, wspierających się jednak wciąż na gruncie zwyczajowym, uważaliśmy w pierwszych dziełach Orzeszkowej. Nie wystąpiła ona jako reformatorka, okryta stalową zbroicą jakiejś, we wszystkich szczegółach wykończonej, doktryny; nie myślała nigdy o usunięciu starych budowli i stawianiu na tem miejscu nowych. Marzyła tylko o dokonaniu w wygodnem, dawno wzniesionem domostwie drobnych zmian i drobnych ulepszeń, które-by jednak odświeżyły powietrze i otworzyły dostęp światłu. Tylko z biegiem czasu okazywała się potrzeba zmian coraz donioślejszych i znaczniejszych.

Kiedy nadeszła ta „wielka burza, co ptaki z gniazd i płochości z serc wyganiała“, a która równie z serca autorki wyrzuciła płochość, a ją samą, pośrednio przynajmniej, z gniazda wyгнаła,—gdy nadeszła ta burza, za autorką, według jej własnego świadectwa, nie było uniwersytetu ani akademii żadnej. Własnej pracy duchowej zawdzięcza wszystkie swe zdobycze, własną lampką rozświecać musiała ciemności, które ją otoczyły. Nie uniknęła, oczywiście, wpływu ówczesnej atmosfery umysłowej. Na każdej niemal karcie z najwcześniejszych jej dzieł (choćby w „Synu stolarza“), oddziaływanie ideowych prądów tej doby pozostawiło ślady tak wyraźne, że przeoczyć ich niepodobna. Niemniej typem w kształceniu się analizy Orzeszkowej jest pewien rodzaj samouctwa i mozolne torowanie sobie drogi. Punktem wyjścia jest zawsze pewien zwyczajowy układ stosunków i wyobrażeń, w którym wyjmują się te, lub owe ściany, rozszerzają się okna i drzwi, lecz podwaliny zostają nietknięte... chyba-by wreszcie i na nie kolej przyszła. Oczywiście, postępując tą drogą, nie zawsze się uniknie sprzeczności w pojęciach, chwiejności w dążeniach. Z umiesieniem rzucony gorący protest: „kobieta—to kwiat, kobieta—to zero“, brzmi cokolwiek dziwnie wobec tradycyjnego wzoru: mężczyzna—to powaga, siła, rozum; kobieta—to wdzięk, światło, ciepło. Ale skądinąd, ponieważ każde niemal słowo, przez autorkę wypowiedziane, było owocem długiego namysłu i bolesnej nieraz zadumy, stała się ona niebawem przewodniczką ruchu emancypacyjnego, stała się mózgiem i sercem współczesnego sobie pokolenia niewiast; a nawet jej wahania, jej zatrzymywanie się w pół drogi w krytyce pewnych zjawisk, czyniły jej prace bliższymi pojęciom ogółu, więc potęgowały poniekąd wpływ jej na słuchaczki. Ona wskazywała im te warunki, w których się one istotnie obracały, nasuwała myśli, które się w nich same przez się w owych zamkniętych widnokręgach najłatwiej budzić mogły, wskazywała wreszcie wyjścia, w ich położeniu najdostępniejsze. Kształciły się one i rosły wraz z Orzeszkową, postępując jej śladami.

Wszystkie te okoliczności, o których wyżej mówiliśmy, wraz z indywidualnem usposobieniem autorki, na które się składa głębsza, lecz nie wybuchowa uczuciowość, utrzymywana w korbach przez jasną samowiedzę, — wszystkie te okoliczności, powiadam, wydały taki skutek, iż kierunek myśli Orzeszkowej, a zwłaszcza sposób ich wypowiedziania, posiada wybitne znamiona spokojnej równowagi. Autorka „Pamiętnika Waclawy“ i „Pana Graby“ nieraz wprawdzie była narażoną na ostre i bezwzględne zarzuty burzycielstwa; ale gdzie miarą wszelakiej doskonałości jest zastój zupełny, tam najmniejsze poruszenie wydać się może wstrząśnieniem, pociągającym groźne niebezpieczeństwo. Swoją drogą, ci, co kładą wielki nacisk na umiarkowanie

poglądów Orzeszkowej, może nie zawsze są zupełnie ścisłymi w swych zapewnieniach. Autorka „Maryi“ wie, że „niezadowolenie rodzi powątpiewanie i protest, a z powątpiewań tylko i protestów powstają wielkie myśli i nowe tory“. Nie ulękała się ona i w „Na prowincyi“, i w „Pann Grabie“ dotknąć pewnych wierzeń, uświęconych przez czas i uznanie powszechne; poważyła się przyznać do rozczytania się w Darwinach, Moleschottach i t. p., do toku myśli, pokrewnego kierunkowi filozofii pozytywnej. Co zaś do sprawy, która przez lat dziesięć jej uwagę niemal wyłącznie pochłaniała, co do sprawy niewieściej, prawdą jest, że w utworach jej nie spotykamy się nigdzie z kobietą uczoną, a pewna sawantka, którą poznajemy tylko z opowiadania, jest dziwołagiem. Ale okoliczność ta jest jeno skutkiem zmysłu praktycznego, który, nie zrzekając się zgoła szerszych widnokręgów, trzyma się jednak położeń realnych, by wyciągnąć z nich wnioski najbliższe i podać rady, łatwe do wykonania w chwili bieżącej. Już w czasach, kiedy się opatrywało „Kilka słów o kobietach“ („Tygodnik mód“, 1870) bezlikiem lęklivych omówień i zastrzeżeń: życie rodzinne, to kamień węgielny obyczajów, to przybytek cichy i poświęcony, w którym kobieta chroni się od burz świata; kobieta uwolnić się chce nie od przyzwoitości i prostoty, lecz od klątwy wiecznego niewolnictwa i anielstwa i t. d., — już wtedy autorka pozwala się domyślać, iż żadnego zawodu (aż do tek ministeryalnych) nie uważała-by dla kobiety za niewłaściwy, tylko... wedle stawu grobla. Później stała się śmielszą w formułowaniu swych wniosków, kiedy zaczęła przypuszczać, że w umyśle jej czytelników nie powstanie takie skojarzenie pojęciowe: emancypacja i dom nierządu.

Jeżeli przed chwilą wspomnieliśmy o formułowaniu wniosków, mieliśmy na myśli ich wyraz teoretyczny, nie artystyczny. Co do tego ostatniego, wykonanie przez czas długi jeszcze pozostaje daleko w tyle poza najskromniejszymi wymaganiami. Sztynne nachylenie osób, położeń, dyałogów, wypadków do założenia, nadaje pierwszym dziełom Orzeszkowej koloryt sztuczności i deklamacyjności, niekiedy bardzo naiwnej. Nietylko z tych utworów nie dał-by się przewidzieć późniejszy świetny rozwój talentu, ale wprost niepodobna rozpoznać na pierwszy rzut oka, coby w nich mogło wyrzec na czytelniku wrażenie poważniejsze. A jednak nie ulega wątpliwości, że niektóre dzieła jej z tego okresu wywarły wrażenie wprost wstrząsające, a fale wpływu rozeszły się szerzej o wiele, niż to sprawić mogły utwory późniejsze, acz głębsze i doskonalsze. Do takich należą: „Pamiętnik Wacławy“, „Pan Graba“, „Marta“, zwłaszcza „Marta“. O tej powieści wszyscy zgodnie twierdzą, iż uzyskała rozgłos całkiem wyjątkowy, a znaczenie jej porównywano nawet ze znaczeniem „Chaty wuja

Toma" p. Beecher Stove i „Emila“ Rousseau. Związki kobiece w Niemczech jeszcze w kilkanaście lat później szerzyły wśród ludności niewieściej znajomość tej książki za pomocą odczytów. Teraźniejsze pokolenie kobiet, wzrosłe i wychowane w warunkach całkiem innych, wśród innych już poglądów i w innej atmosferze, nie może mieć nawet pojęcia, czem były przed ćwierćwiekiem dla ich matek utwory Orzeszkowej. Plez-to młodych dziewcząt, które dotychczas w błogiej bezczynności pędziły życie w oczekiwaniu męża, jako jedynej deski ratunku przed straszniejszem nad wszystko staropanieństwem, przypatrując się malowanym przez Orzeszkową postaciom, poznawały w nich siebie i swe otoczenie. „Takie, takie jesteśmy, — powtarzały ze smutkiem i skruchą — i niedołęzne, i puste, i do życia niezdolne, do walki z niem nieprzygotowane. We wszystkich zakątkach naszego kraju, w z a k ą t k a c h mianowicie, oddalonych od ruchu umysłowego, nieświadomych nowych prądów i świeżych powiewów chwili, ukazanie się powieści Orzeszkowej wywołało niezmierne zajęcie, budziło tysiące myśli, wzniecało mnóstwo gorących rozpraw i sporów. Zasepiwały się troską czoła matek, zdjętych nagłym niepokojem, czy dotychczasowy system sztucznej hodowli dusz dziewczęcych, strzeżonych, jak od zarazy, przed wszelką stycznością z życiem rzeczywistym i poważnymi, a ciężkimi jego zadaniami, — system, zabijający wszelką indywidualność i wszelką inicjatywę, czy nie przeżył się już raz na zawsze? Czy nie należało-by go zastąpić innym? Jakim? Tęgo właśnie nauczała Orzeszkowa. Że tam ta, lub owa praktyczna wskazówka (zalecanie rzemiosł) okazała się zawodną, jest to rzecz naturalna, gdyż nie istnieje zagadnienie ekonomiczne sprawy kobiecej, odrębne od ogólnych praw rozwoju stosunków gospodarstwa społecznego. Lecz chybione, czy nie, wskazówki wstrząsały do dna istnienia niewieście, budziły w nich pożądanie zrzucenia z siebie klątwy „wiecznego niewolnictwa i wiecznego anielstwa“. Oto dla czego kobiety zwracają do Orzeszkowej okrzyk: „Błogosławiona bądź, przewodniczko nasza“!

Niezgodę między formą, a wywieraniem wrażeniem, więc najistotniejszym składnikiem w szeregu pierwiastków estetycznych, można uważać za symboliczny wyraz rozstroju pomiędzy różnymi czynnikami w tej dobie, która znalazła swe odbicie w dziełach Orzeszkowej, wprawdzie niedoskonałe, ale w przybliżeniu prawdziwe. Nie było prawdy w szczegółach, w indywidualnej postaci zjawisk, czy osób, ale była w ogólnym rysunku. W ten sposób, w dziełach Orzeszkowej był dopełniany jeden z najważniejszych warunków artyzmu. Zatrzymajmy się tymczasem na jednej stronie obrazu, na położeniu kobiety. Otóż, zarówno jak istniała niezgoda pomiędzy idealnymi dążeniami Orzeszkowej, a ich artystycz-

nem wcieleniem, tak też żywiołowo wywijające się ze zmienionych warunków bytu aspiracyi niewieściej rozbijały się co chwila o całokształt pojęć, przyzwyczajzeń i stosunków, będących wypływem już rozpadającego się układu sił społecznych. Przypomnijmy sobie Martę. Miała ona szczęśliwie usłane gniazdo rodzinne, lecz utraciła je przez wyrok losu. I oto jedynem pragnieniem jej stało się „żyć i jedynej istocie, którą kochała na ziemi, życie kawałkiem chleba podtrzymać“, i za to wygórowane żądanie znajduje marny koniec pod kołami omnibusu, prześladowana przez policję, jak złodziejka.

Dlaczego? Życie stworzyło dla Marty konieczność pracy, ale nie wytworzyło jeszcze jej możliwości. Więc społeczeństwo zamyka przed nią wszystkie drogi, na które-by wejść mogła. Marta nie może dzieciom wyklądać początków nauk, albowiem nauczanie takie jest przywilejem mężczyzny; jubiler nie przyjmuje taniej i zdolnej pracownicy, bo naraża się na śmieszność. Te i tym podobne tysiączne przytłaczające ideowe nie mają mocy powstrzymania pochodzącego rydwanu dziejowego, ale łamią istnienie jednostek. A całkowita niezdolność Marty do pracy — czyż to jej wina osobista? Czy jej kalekie przygotowanie do życia nie jest zapóźnionem odbiciem tego stanu rzeczy, kiedy „kobiety mogły spokojnie i użytecznie pędzić istnienie między prąsniącą a różańcem“? Znaczna ilość niedomagań społecznych ma swe źródło w nierównomiernym wzroście tkanek ustroju towarzyskiego, w niedostosowaniu się do nowoujawnionych potrzeb sposobów zadośćuczynienia im. Zresztą, inaczej być nie może. Funkcyja zawsze poprzedza ukształtowanie się narządu.

Owóz w pierwszych utworach Orzeszkowej znalazł swój wyraz przechodni stan złączenia się zniemuchomiałych już stosunków, stan niespokojnego miotania się istot, duszących się z braku powietrza, lecz nieumiejących znaleźć wyjścia z zamkniętej przestrzeni („Pamiętnik Wacławy“). Znajdujemy również u niej obraz tego błyszczącego świata wyżyn, który był dawniej światem samej autorki, znajdujemy obraz warstwy, której życie było niustającą uczcą, wśród której topniało zdrowie i mienie, marniały serca i umysły („Pan Graba“). Gdzie należało szukać przyczyn takiego stanu rzeczy? W owym czasie autorka całkowitą niemal winę składała na matki, to jest na wychowanie. Wychowanie w jej pojęciu było to niby coś niezależnego od podścieliska, na którym wyrasta, było to coś, co łatwo zmienić i naprawić, jeśli trafić do przekonania grzeszących, rozczulić, wystawić zgubne skutki ich postępowania. Co było niedostatecznego, lub błędnego w teoretycznym ujęciu zjawisk społecznych, w ich początku i wzajemnym oddziaływaniu, to wyprostowała w późniejszej dobie wciąż pewniej krocząca myśl. Przerzucamy, dajmy na to, kartki roz-

prawy: „O kobiecie polskiej“, napisanej do książki Stantona (1882). Czytajmy: „Prostym wynikiem braku wszelkiego cienia publicznych działań i pierwiastków gwałtu, pychy i próżniactwa, spoczywających na podstawowej instytucji społecznej (poddanie chłopów), musiało być zaciemnienie umysłów, miękczenie się charakterów, materyalizowanie obyczajów“. Oto na jakim gruncie wspierał się świat Wacławy i Pana Graby. Ale z zawieruchy dziejowej powstawał świat nowy. „Najognistsza wyobraźnia z wielką trudnością przedstawić-by sobie mogła tę nagłość i radykalność zmian, którym niespełna w dwa lata uległy ekonomiczne i towarzyskie stosunki“. Ów świat błyszczących wyżyn, z którym poznajemy się już w pierwszym obrazku Orzeszkowej, został w podstawach swych zachwiany przez reformę włościańską, sposób jej przeprowadzenia i inne towarzyszące jej okoliczności. „Stąd też pod względem ekonomicznym ukoniecznienie pracy wytwórczej dla tych, którzy dotąd wyłącznie prawie spożywcami byli, pod względem społecznym—zdemokratyzowanie społeczeństwa przez zrównanie ich wobec prawa, a zmieszanie ich na polach prac i zarobków; pod względem moralnym — wyższy szacunek dla pracy, zjawiającej się jako konieczność i jedyny środek ratunku“. Ze zmianami temi ściśle się łączyła sprawa torowania sobie nowych dróg przez niewieścią część ludności. A nieodzowna potrzeba zapewnienia sobie bytu stawała przed nią tem natarczywiej, że znaczna ilość kobiet skazana była na samotne istnienie. Trudniej obecnie kojarzyły się pary, uczuwać się zresztą dawał brak ludności męskiej. Stąd podatność na wpływy ideowe, na krytykę, burzącą zwyczajowy układ wyobrażeń. To nam również tłumaczy niezmierny wpływ, który wywierały myśli, rzucane przez Orzeszkową.

W taki oto sposób to, co wyobraźni i umysłowi autorki przedstawiało się, jako szereg wypadków, położeń, charakterów, odosobnionych do pewnego stopnia. będących owocem nieporozumienia raczej i złej, lub dobrej woli, niż przyczyn głębszych, to wszystko dojrzałej myśli ukazało się w postaci olbrzymiego morza, w którym jedna fala goni drugą, a którem do głębi wstrząsają potężne, żywiołowe siły. „Rodzinę Brochwiczów“ (1873) i poniekąd „Elego Makowera“ (1873 — 4) można uważać za znamienne objawy pogłębionego w ten sposób rozumienia rzeczywistości życiowej ze strony autorki. Losy niewieście w związku z zagadnieniami kształcenia, młodzieńcami sercami i głowami, po dawnemu przykuwają jej uwagę. W „Rodzinie Brochwiczów“ stopniowo na plan bliższy wydostaje się postać Zańczy, ofiary nienormalnego stosunku, panującego pomiędzy matką i córką; a obok niej widzimy inne ofiary wadliwego systemu wychowawczego. Ale sprawa ta jest już ściśle związana z całokształtem ogólnych wa-

runków bytu, jest częstką dziedzictwa, przekazanego przez przeszłość na równi z wielu innymi, ciężącymi nam skutkami już minionego układu sił społecznych. Orzeszkowa ma na myśli prawie wyłącznie warstwę ziemiańską, jedyną, którą obrazuje z doświadczeń osobistych. Otóż byt zabezpieczony, oparty na stosunkach pańszczyźnianych, nie stwarzał potrzeby czynnych wysiłków ducha i woli; życie duchowe płynęło wolno i sennie, lub istnienie swe objawiało w wybrykach i nadużyciach; nie było roli, na której-by zakiełkować i rozwinąć się mogły uzdolnienia do wytrwałego i samodzielnego torowania sobie ścieżek. Stąd, gdy zachwiał się grunt pod stopami, okazało się, że dzieci okryte są trądem niemocy życiowej, jak ich ojcowie. Lecz energia ludzka musi w czemśkolwiek znaleźć swe ujście i uzewnętrznić się. I oto początek tej atmosfery rozbawienia i pracowitego próżniactwa, w której się stale nurzają bohaterowie i bohaterki Orzeszkowej tej doby, a która tak rozkładająco działa na wolę i umysł. Młodsze pokolenie nabytym popędem ukształcone jest do dogodnego i przyjemnego spędzania czasu, do błyszczenia i bawienia się w szczupłym i ściśle zamkniętym kółku swego światka. Ale nagle wstrząśnienie zmieniło układ warstw ziemnych, a na orkanami poranej glebie wzrosną rośliny świeże, przystosowane do zmienionych warunków klimatu.

Jak tę rolę uprawiać? Jak rośliny hodować? Autorka nie szczerzy praktycznych wskazówek. Najogólniejszym lekarstwem, przez nią zalecanem, jest żelazna wytrwałość, praca, nauka i chronienie się wszelkich złudzeń. Orzeszkowa wchodzi w szczegóły: rzemiosła, handel, różne zawody fachowe—oto środki ratunku, których-by chwycić się należało. W utworach jej roi się od prawników, lekarzy, inżynierów, — a wszystko to są dodatnie postacie. Jej bohaterki uczą dzieci, szyją na maszynach, kleją pudełka i t. p. Obowiązkom względem młodszej braci czyni zadość elementarz i szpital, i jeszcze przemysł fabryczny, który ma niezwłocznie sprowadzić osobliwe dobrodziejstwa na całe okolice. Wszystko to jest skąpane w pewnego rodzaju demokracyzmie, dość powierzchownym zresztą, bo jest on właściwie tylko protestem przeciw kastowemu zasklepieniu się w ograniczonym kręgu widoków. Wogóle mamy tu do czynienia z tak zwanym programem organicznym. Na tej stronie działalności pisarskiej Orzeszkowej nie będziemy się dłużej zatrzymywać, a to z dwojakiego powodu. W analizie autorki ujawnia się jej sposób rozumienia i odczuwania przedstawionych przez się zjawisk, i dlatego analiza owa znajduje się w ściślejszym związku z artystycznymi pierwiastkami utworów, i w swoim czasie wywierała na czytelników wpływ doniosły. Praktyczne zaś przepisy postępowania całkowicie już należą do dziedziny

publicystyki. Nadto program nie jest wyrazem samoistnej pracy duchowej autorki. Należy przecież zaznaczyć niektóre punkty wewnętrzznego pokrewieństwa pomiędzy jej indywidualnem usposobieniem a owoczesnemi poglądami. W postaciach takich, jak Kwiliński i Kwiatkowski, w wielokrotnie wyrażanej niechęci względem romantycznego roztkliwienia w poezyi i życiu, laskocącego nerwy i rozhartowującego wolę, w nacisku na konieczność trzeźwości i kierowania się wskazówkami rozsądku i namysłu, widzimy oddźwięk kampanii, prowadzonej przeciw piewcom makolągwy, róży i gila, zarazem atoli rozpoznajemy tu objaw zrównoważonej natury, w której twórczości nigdy nie było nic nerwowego. Nigdy wszelako autorka nie występowała w imię rozsądku przeciw istotnym prawom serca, a nawet jeden z najdawniejszych jej utworów („Z życia realisty“, 1868), uważać można, w pewnej części przynajmniej, za protest przeciw nadmiernym uroszczeniom głowy. Głodzone uczucie może naraz wybuchnąć z siłą żywiołową, budząc w „realisście“, obok swych skutków bezpośrednich, nadto jeszcze zdumienie: skąd się to we mnie wzięło?.. Powieść, o której tu wspomnieliśmy, w budowie niejednolita, w myśli przewodniej mętna, — w prawidłowo rozwijającym się szeregu utworów Orzeszkowej jest niby jakimś odskokiem, czy zejściem z prostej ścieżki. Wytłómaczyć to sobie można przypuszczeniem, iż istotną pobudką pisania była w tym wypadku przyczyna zewnętrzna, która z literackiego źródła wypłynęła. Mamy na myśli „Ulanę“ Kraszewskiego. Ale to tylko przypuszczenie. Jeszcze więcej odosobnione wśród innych dzieł autorki stanowisko zajmuje dwutomowa powieść: „Na dnie sumienia“ (1871—2). Niewątpliwie grunt przekonań Orzeszkowej pozostaje nienaruszony, a postać „księżniczki“ Manilki jest zapowiedzią niedalekiej już „Marty“. A jednak myślą przewodnią nie jest tu, jak we wszystkich poprzednich utworach, stosunek kobiety do mężczyzny, do siebie samej i do społeczeństwa; podrzędną rolę gra tu sprawa wychowania i uzdolnienie do życia pożytecznego w ciasniejszym, lub szerszem znaczeniu. Autorkę zajmuje etyczne zagadnienie odmiennego rodzaju; jej uwagę pochłania fatalizm winy i kary. Nie mamy tu miejsca na bliższe dochodzenie przyczyn takiego odchylenia się twórczości Orzeszkowej od dotychczasowego kierunku; zdaje się nam jednak, że Anatola Dembielińskiego prototypem był Raskolnikow z rozgłośnego dzieła Dostojewskiego.

II.

W przeglądzie działalności powieściopisarskiej zatrzymaliśmy się na „Rodzinie Brochwiczów” i „Elim Makowerze”. Na tę dobę przypada, według Chmielowskiego, powolna zmiana w trybie artystycznego tworzenia. Dość sobie uprzytomnić chronologiczne następstwo dzieł, by uwadze znakomitego badacza przyznać słuszność bezwarunkową. Idą teraz po sobie: „Pani Luiza” (1874), „Dziwak,” „Pompalińscy” (1875), „Szara dola” (1876), „Marya”, „Meir Ezołowicz” (1877). Znikają dydaktyczne rozprawy i komentarze, dyalog staje się naturalnym, rysy postaci są już bliższe rzeczywistości, wynikliwość zdarzeń umiarkowana, nie zależy od dowolności autorskiej, całość wywołuje nierównie większe niż dawniej złudzenie prawdopodobieństwa: wchodzimy w okres twórczości dojrzałej. Chmielowski za przyczynę takiego przeobrażenia podaje, obok naturalnego doskonalenia się talentu, wpływ realistycznej powieści francuskiej. Pragnąłbym zwrócić uwagę czytelnika na inny jeszcze czynnik zachodzących zmian.

Uważaliśmy, iż zagadnienia, które pierwotnie były jedyną osią twórczości Orzeszkowej, rozszerzały się stopniowo, łączyły się z coraz to odmiennymi, aż wreszcie zlały się całkowicie z syntezą, obejmującą bardzo rozległy obszar zjawisk społecznych. W miarę tego, jak upływał czas, oddalający autorkę od jej punktu wyjścia i zacierał dawne wrażenia i doświadczenia wobec nowej ich warstwy, oddalała się w pewnym rozumieniu od tegoż punktu jej myśl, znajdując zadośćuczynienie w podporządkowaniu szczególnych wypadków, zdarzeń i zagadek ogólnym prądom życiowym. Skończył się dla autorki jej dziesięcioletni okres burzy i rozpędu. Równowaga moralna była osiągnięta. Wydobywszy z gmatwaniny krzyżujących się pojedynczych faktów szereg prawd podstawowych, autorka w ich świetle będzie przedstawiała i sądziła charaktery i czyny ludzkie; lecz nie czując już konieczności wyjaśniania sobie tych lub owych twierdzeń ogólnych, nie pragnie też pouczać swych czytelników. Nie tylko metoda pisarska się nie zmieniła, lecz główne założenia utworów przestały być moralizatorskimi, co właśnie wytłómaczyć można ewolucją wewnętrzną. A tymczasem w ciągu tych lat wcześniejszych głęboko

ugruntowała się potrzeba obracania się wśród tworów wyobraźni, doskonaliła się wprawa pisarska, gromadził się zasób spostrzeżeń; budziła się ciekawość artystki do dramatów, dziejących się pośród ludzi, do szczególnych usposobień, wśród nich zdarzających się, ciekawość w znacznym stopniu bezinteresowna.

Autorka pragnie i te dramaty, i te usposobienia poznać i odczuć same w sobie, nie dla tego, żeby miały służyć za dowód lub przykład jakiejś zasady powszechnej. Zmienił się cel, ku któremu zdąża autorka, zmieniły się też i środki artystyczne. Wychodzi ona niejako z siebie i idzie w świat przed nią otwarty, pożądamc nowych odkryć, a poszukiwanie to nie jest bezowocne. Działała tu zresztą jeszcze inna przyczyna zewnętrzna, o której niżej nieco. „Pani Luiza“ była pierwszym w tym kierunku krokiem, niestanowczym jednak, gdyż zaraz następnie mamy znów dwutomową powieść („Pompalińscy“), poprzedzoną tylko nieudatnym „Dziwakiem“, utwór, w którym chodzi nie o indywidualne usposobienie samo przez się, lecz o wyjaśnienie społecznej wartości pewnej warstwy w świetle mocno tendencyjnym. Mniemana pobożność i cnota to jedyna przywara, i mniemana arystokracja, to jedyna gromada w zbiorowem ciele społeczeństwa, dla których Orzeszkowa nie znajduje słowa pobłażania („Cnotliwi“ — „Pompalińscy“), lecz zdolność do satyry nie jest jednym z pierwiastków jej talentu. Jej satyra jest zawsze sztywna, przesadna i niezręczna. Dlatego też „Pompalińskich“ chętnie zaliczymy do dzieł poprzedniej doby.

Jeżeli „P. Luiza“ była zapowiedzią nowego okresu, „Szara dół“ należałoby uważać za jego otwarcie. Odtąd Orzeszkowa zawsze będzie wydobywała z „Szarej doli“ poezję radości, poezję bólu i poezję szlachetnych uniesień. Dość wspomnieć obrazki „z różnych sfer“. Prawda, po drodze ominąć musimy jeszcze jeden objaw wahańia się.

Mówię tu o „Maryi“. Z powieści tej wyjął-bym przedewszystkiem garść ślicznych aforyzmów; co do reszty zaś... trudno właściwie zdać sobie sprawę, dlaczego autorka opuściła zajęte stanowisko, dlaczego za przedmiot badania obrała nie to, co jest i dlaczego jest, lecz to, co być powinno. Chodzi tam o to, że nie wolno zrywać małżeństwa, jeśli rodzina, pomimo braku ścisłej duchowej łączności między małżonkami, jest dobrą i spełnia swe przeznaczenie. Można-by posunąć się do paradoksu, że „Marya“ jest w pewnem znaczeniu jedyną tendencyjną powieścią Orzeszkowej. Bądź co bądź, to pewna, iż etyczne zagadnienia, w „Maryi“ poraszone, nie bolały jej tak, jak zagadnienia „Marty“, „Pamiętnika Wacławy“, „Ostatniej miłości“. Dlatego spotykamy tu cnoty papierowe, namiętności teoretyczne tylko... Au-

torka jakby spostrzegła, że dawniej uderzając na te lub owe urządzenia społeczne, przedstawiając różne dramatyczne starcia, mogła dać powód do nieporozumień; więc oto chciała-by zasłonić się przed zarzutami burzycielstwa, chciała-by wyjaśnić i uzupełnić swe poglądy. Lecz wyjaśnienie takie jest raczej syllogizmem dydaktycznym, niż dziełem artyzmu, a w skutek tego odskok pomiędzy „Maryą“ a „Meirem Ezołowiczem“ jest olbrzymi, nie w rysach drobnostkowych, między którymi łączności dopatrzeć się łatwo, lecz wogólnem wrażeniu. Przeciwnieństwo pomiędzy „Martą“ i „Maryą“, i analogia z postaciami sióstr Łazarza w Ewangelii, nasuwa przypuszczenie, że „Marya“ była pomysłem dawnym, a równoległym z pomysłem „Marty“, i miała na celu przedstawić duchowy głód kobiety, jak pierwszy utwór obrazował jej niedolę ekonomiczną; lecz w wykonaniu, przez kilka lat odkładaniem, pierwotna idea utworu mogła zmienić się zasadniczo.

„Meir Ezołowicz“ poprzedzony był, według wszelkiego prawdopodobieństwa, dwoma mniejszemi obrazkami, z życia żydów małowiatkowskich „Silny Samson“ i „Daj kwiatek“. Jednocześnie (1877—81) w opowiadaniach i nowelkach autorki prawo obywatelstwa zyskują inne żywiły miejskie („Julianka“, „Milord“, „Czternasta część“, „Sielanka nieróżowa“). Zresztą już w dawniejszych utworach, zwłaszcza w „Elim Makowerze“, autorka odtwarzała sceny z bruku ulubionego jej „Ongrodu“ (Grodna), czy „Onwiln“ (Wilna). Mówiliśmy wyżej o zmianie, która się dokonała w wewnętrznym usposobieniu Orzeszkowej w okresie pisania „P. Luizy“ i „Szarej doli“. Zmiana ta, ujawniająca się w sposobie tworzenia, zaznaczyła się również, jak dostrzegamy obecnie, w przeniesieniu się uwagi badacza na nowe pole doświadczeń. Warstwa ziemiańska przestała być przedmiotem wyłącznego jej zajęcia się i troski. Miało to swój odpowiednik w kolejach życia samej Orzeszkowej, która około r. 1870 na stałe zamieszkała w Grodnie. Okoliczność ta wprawdzie, jako całkiem zewnętrzna, na razie nie wpłynęła na odwrócenie kierunku, w którym się twórczość powieściopisarki rozwijała, lecz dostarczyła możności rozszerzenia postrzeżeń na obce dotychczas autorce dziedziny zjawisk i stosunków. A jej przewodniczką pośród błotnistych zaułków było wielkie współczucie dla spraw i nędz ludzkich, jasnowidzenie bólu i dojrzała myśl... W tym też czasie, jak wiemy, dobiegła kresu w swym naturalnym rozwoju pierwsza doba działalności twórczej.

Dotychczas nie poddawaliśmy rozbirowi pojedynczych utworów Orzeszkowej, powołując się na nie tylko jako na wytyczne słupy drogi, którą wraz z autorką przebieść musieliśmy. Dla „Meira“ jednak odstąpimy od tej zasady, o ile to podobna w szkicu tak pobieżnym, jak niniejszy, a to z dwu powodów. Najpierw nić łączności, która wiązała każde niemal poprzednie dzieło z następującem, zerwana została od kiedy autorka przestała spoglądać na świat z jednego wyłącznego punktu widzenia, od kiedy przed oczyma jej przewija się cała różnorodność spraw i usposobień. Po drugie „Meir“ głębią zapału artystycznego, włożonego weń przez autorkę, siłą i trwałością wywieranego wzruszenia, plastyką tła i scen zbiorowych, urokiem i polotem poetyckim, góruje nad niejednym z dzieł późniejszych i artystycznie bardziej wykończonych; i we własnym dorobku Orzeszkowej, i wogólnym skarbcu powieści polskiej, utwór ten zajmuje jedno z najwydatniejszych miejsc.

Gdy spoglądamy na owoc arcyzmu prawdziwego z pewnej odległości, prawie zawsze budzi się w nas chęć poznania, jaką była dusza artysty, jak on czuł, o czym marzył, wydobywając z siebie dzieło natchnienia? Klucza do szczegółowej genezy „Meira“ nie posiadamy. To jedno pewna, iż niepospolite to serce, które nie tylko teoretycznie umiało wytlómaczyć położenie i wady ubogiej i ciemnej ludności żydowskiej, lecz przez umiłowanie wykryć w niej trwałe ziarno idealnych pożądań i tęsknot, i stworzyć świetlaną postać Meira. Ideowo ostatnie dzieło łączy się z „Elim Makowerem“. I tu, i tam widoczne jest przekonanie autorki o konieczności bliższego poznania się i porozumienia między obcymi sobie plemiennie, lecz sokami tej samej ziemi karmiącymi się warstwami narodu. Tendencya ta uczyniła ze wstępu w „Meirze“ rodzaj rozprawy publicystycznej, uwidoczniła się zresztą z pewną przesadą w słowach i czynach głównego bohatera. Cały dramat Meira wytrysnął z samorzutnego krytycyzmu, z wczytania się w podania ksiąg ojczystych, z głębokiego wrodzonego poczucia sprawiedliwości, z boleści na widok najbiedniejszych i najbardziej upośledzonych swych braci. Więc dążenie jego do „obcych“ światła nie zawsze jest w powieści uzasadnione i powoduje nawet niekiedy pewną sztuczność rysunku, zwłaszcza w rozmowach z Berem. Te jednak i tym podobne szczegóły, które przy dobrej woli oczywiście wyszukać można, na ogół wrażenia nie wpływają zgoła. Poważniejszy o wiele jest tu inny wzgląd. Każdemu czytelnikowi nasuwają się

z pewnością wątpliwości, czy możliwy jest taki Szybów, do którego, mimo licznych związków z otaczającym go światem, ze świata tego nie dochodzą żadne cokolwiek głośniejsze odruchy, i który wciąż pozostaje wyspą, odgradzoną od lądu niezmierną przestrzenią wodną? Czy w takim Szybowie możliwy jest rwący się do ideału Meir, każdą okruszynę światła czerpiący tylko z Mojżesza Majmonidesa, albowiem najmniejszy błysk nie dochodzi go z zewnątrz? Te linie konturu za wsze będą stawać w sprzeczności z naszym poczuciem prawdopodobieństwa, o ile potrafimy skupić na nich uwagę. Lecz oddajmy się fali, cofnijmy się myślą o lat dwadzieścia, wyobraźmy sobie zapadły kąt Litwy, oddalony od szlaków, którymi płynie potok ludzkości, wejźdźmy za autorką w świat przez nią stworzony... Gdy nas otoczy, gdy na jego rzeczywistość przystaniemy, a przystać musimy, tak spójnie wszystkie szczegóły powieściowe łączą się z sobą, nic już nas nie wytrąci z nabytej równowagi. Tak samo, gdy płyniemy na statku, poruszając się wraz z nim i mijając brzegi, chociaż od stałego lądu oderwani, spotykamy jednak wokół siebie te same twarze, te same sprzęty i ściany. Na chwilę nici, łączące nas z ziemią, zostały przecięte, świat skurczył się do drobnego skrawka przestrzeni. Każdy utwór o zakroju epickim jest, w mniejszym lub większym stopniu, takim chwilowym kosmosem, poza którym dla nas już nic nie istnieje, w którym panuje właściwe mu prawo. Powieść pod tym względem ograniczone ma przywileje, to prawda. Jednakże w „Meirze“, kiedy pozostajemy pod bezpośrednim wrażeniem, które jest tak potężne, iż nie rozprasza się po zamknięciu książki, lecz przez długie miesiące narzuca się nam pośród gwarów dnia powszedniego, ciskając swą smugę płomienną, kiedy pozostajemy pod tem wrażeniem, najlżejsze wstrząśnienie nie przestrzega nas, że stopy swe opieramy nie o ziemię, lecz o ruchomy pomost. Każdy szczegół, każdy rys obyczajowy przemawia do nas przekonywająco swoją prawdą życiową. Niezrównana poprostu plastyka, dosadność charakterystyki, różnorodność usposobień i postaci, naturalność położeń, rozmów, czynów i ich wynikliwości, wszystko to pozostaje z sobą w doskonałej zgodzie. Te realistyczne znamiona pozwoliły autorce stworzyć dramat Meira, nam brać udział serdeczny w bohaterskich jego zapędach reformatorskich. Ale ten tylko dramat, nie realizm przedstawienia, niewysłowionym i nieprzewyciężonym czarem owiewa cały utwór. Potęguje to wrażenie głębokie współczucie, którem autorka okrywa pewne rysy charakteru i działalności Todrosa; dramatyczność napięcia kilku scen, zwłaszcza ostatniej—wyklinanie Meira; wysoce umiejętne przeprowadzenie duszy bohatera poprzez bolesne kollizye; wreszcie cudowny blask krótkiej, młodzieńczej sielanki. Czy Meir jest możliwy? A choć-

by możliwy, czy nie jest białym krukiem, który na szali sądów naszych względem ogółu żydowskiego zaważyć nie może? Oczywiście jest rzeczą, że wraz z autorką mówimy o skupieniach ludności izraelskiej w mniejszych miastach i miasteczkach „kresowych“. Przedewszystkiem Meir jest możliwym w powieści, a jest to względem najgłówniejszy. Po drugie, jeżeli pytanie powyższe jest jednoznaczne z innym: czy wśród tej warstwy ludności, o której mowa, mogą się znaleźć jednostki o gorącym sercu, o duszy miłością przepelnionej, o umyśle śmiałym, odwracającym się od powszednich zabiegów o pieniądze? jeżeli o to zapytujemy, to czyż odpowiadać trzeba? Na mojej drodze, przynajmniej, spotykałem biednych niewykształconych Żydów, którzy wyrosli wśród atmosfery bardzo dusznej, których akademią był cheder, a którzy z nienawiścią wspominali o latach swego dzieciństwa. W ich piersiach tlała jakaś zamglona iskra dążenia ku światłu umysłowemu i moralnemu. Z takich osobników składało się otoczenie Meira. Znałem i Meirów, którzy z podań ojczystych, z hymnów boleści swego ludu zaczerpnąć zdołali tyle namiętnej miłości względem swoich współwyznawców, że wpływy cywilizacyjne w tej mierze żadnej już nad nimi władzy nie miały. Zapewne, już nie spotykaliśmy obecnie takich Ezofowiczów, którzy-by całą swą treść duchową aż do ostatniej kropli wysnuli z własnej tylko cywilizacji.

Powróćmy do dawnej przenośni, do podróży na statku. Jakkolwiek wyszukaliśmy sobie na nim miejsce dogodne, miękki fotel, przyjemne towarzystwo, terazniejszość wszakże nie zaspakaja nas, otwieramy okno, lub wchodzimy na pokład, by puścić wzrok po wodnym przestworzu, by spojrzeć na skraj widnokregu. „Meir Ezofowicz“ o tyle jest powieścią żydowską, o ile przedstawione tło pozwala nam wewnątrz domu płynącego osiągnąć złudzenie stałości otoczenia.

Lecz poza tem Meir, zarówno, jak Uriel Acosta, to mijający kształt odwiecznej walki między Ormuzdem i Arymanem, pomiędzy ciemnością a światłem, pomiędzy przeżyta i krępującą formą życia a jego nowymi idealnymi objawami i wymaganiami. Tu jest spójnia duchowa pomiędzy czytelnikiem a bohaterem; ten akord sprawia, iż przed nami odsłania się naraz olśniewająca i bolesna zarazem perspektywa; i stąd pochodzi nasza pewność iż „Meir Ezofowicz“ będzie zawsze policzony do arcydzieł przez Orzeszkową stworzonych, i do arcydzieł powieści polskiej.

Nie mamy tu miejsca na zastanawianie się nad drobniejszymi szkicami, czy to będzie „Silny Samson“, czy też „Julianka“, lub „Czternasta część“. Możemy tylko wskazać pobieżnie wspólne ich

rysy, w których się ujawniło dobitnie usposobienie autorki. Mówią niektórzy, iż Orzeszkowa, pomimo że stworzyła wiele postaci, drgających prawdą, życiem i wyrazem, nie stworzyła w utworach swoich typów, które-by przeszły na własność literatury. Odkładając tymczasem na stronę zagadnienie typów, musimy przyznać, że istotnie nieraz, pomimo bardzo silnego wrażenia, sprawianego przez całość, pojedyncze postaci, o ile zechcemy spojrzeć na nie uważniej, wydają się cokolwiek niewyraźnemi, brak im wydatnych rysów osobniczych. Widocznie w zakresie talentu Orzeszkowej przeważa zdolność przedstawiania raczej stosunków, niż charakterów. Zwróćmy tymczasem uwagę na inną właściwość realizmu autorki: jest to pewna idealizacya ludzi, ich czynów i namiętności, pewien koloryt pobłażliwy i łagodny, w którym kształty tracą swą ostrość brzegów, barwy swą krzykliwą jaskrawość. Czy autorka nie widzi rzeczywistości lub ją umyślnie przeinacza dla celów tendencyjnych, dla łatwego roztkliwiania czytelnika itp.? Czy obrazy nie są prawdziwe? Ach, nie tak! Ona doskonale zna i widzi, i nędzę fizyczną, i trąd moralny, którym się okrywają istnienia ludzkie. Tylko „może już serce moje tak utworzone, iż nienawidzieć ani pogardzać nie zdoła“,—zwierzała się autorka jeszcze w „Pamiętniku Waławy“. W obrazach swych ona nie pomija rzeczy złych i brzydkich, lecz upodobała sobie wynajdywanie stron pogodniejszych, jaśniejszych i podnioślejszych. I największym dowodem niepospolitego talentu jest okoliczność, że czytelnik, poddając się władzy autorki, wraz z nią przeważnie te strony widzi, czuje, rozumie. Orzeszkowa ukazuje nam skarłałą i znędzniałą roślinkę, osypaną złośliwemi naroślami, kurzem okrytą, lecz ukazuje w takiej chwili, kiedy promienie słońca, pod stosownym kątem padając, ozłacają biedną istotkę połyskami uroku poetyckiego. Te iskry dojrzeć i temi iskrami przed naszymi oczyma zamigotać, to jej troska serdeczna. A że mocą uwagi w jeden punkt skupionej widzimy tylko to, na co w oznaczonym mguieniu patrzymy, to już prawo duchowej natury autorki, to powszechne prawo przyrody ludzkiej. W tak wyjątkowem oświetleniu oglądane biedne, pogardzone, upośledzone istnienia, ukazują nam swe zewnętrzne, im samym może nieznanne oblicze, nie mniej jednak prawdziwe od zewnętrznych krost. Ale że owe iskry często tylko się tlą, nie goreją jasnym i trwałym płomieniem, więc codziennemu doświadczeniu nie są podległe; że skądinąd ledwo kątem oka dostrzegamy to, co jest naprawdę brzydkie, złe i szare, że, jednym słowem, rysy powszedniego wyglądu, najbardziej nam znane i najwykłej w oko wpadające, w odbiciu nie występują dość wyraziście; wobec tego wszystkiego obrazy Orzeszkowej nigdy nie mogą sprawiać wrażenia ściśle realistycznego, jak u Francuzów utwory Zoli, u nas—

np. powieści Reymonta. Jeżeli spotkamy Brygidę („Zefirek“). pierwowzór późniejszej „Jędzy“, nie pamiętamy jej kłótliwego usposobienia i szorstkich ruchów, lecz tylko lata trwałej pamięci o ojcu, istotną, acz ukrytą dobroć względem matki, zniszczone jej szczęście. Albo przypomnijmy sobie Cipę, żonę uczonego Szymszela („Silny Samson“). Wszak to od autorki, nie od kogo innego dowiadujemy się o podejrzanych operacjach Cipy, wskutek których trwa ona w ciągłej pogoni za klientelą, gdyż już pozyskaną tracić musi.

Lecz autorka nie ukazuje nam jej w chwilach szachrajskich, ani podczas kłótni lub bójek, nie opisuje, w jak nie estetyczny sposób uciera ona nos, jeśli jest niechlujną; ale za to pamiętamy o jej zwiędłej cerze w 28 latach, nieustającej trosce o drobne dzieci, o 30 rublach podstawowego kapitału, i odczuwamy boleśnie jej płacz, kiedy musi wyrzec się tryumfu swego życia: widoku męża w chwale jego. I to nie jest prawdą? I cały ten obraz, i cały szereg podobnych obrazów nie jest doskonałością artystyczną? Bo przecież ideałem sztuki nie jest zgoła dokładność fotograficzna, której zresztą osiągnąć nie podobna, lecz złudzenie prawdopodobieństwa. A to ostatnie utwory Orzeszkowej wywołują w stopniu wysokim.

O ile nie realistycznie (we wskazanem znaczeniu) wygląda całość obrazów Orzeszkowej, o tyleż nie są realistyczne, a jednak zupełnie prawdziwe, pojedyncze jej postaci. Pochodzi to stąd, że autorka przedstawia je zazwyczaj od strony jednego, wyłącznego uczucia, czy namiętności. Tak Dyrkowa, matka „Milorda“, wpatrzona jest stale w swego księcia. Tak Szymszel pozostaje nam w pamięci, jako „Silny Samson“ w tej jedynej chwili swego życia, kiedy nań spłynął blask prawdziwie wielkich czynów i wielkich zadań, i oświetlił przed nim całą nędzę jałowej jego uczoneści. Orzeszkowa skupia wszystkie promienie w snop i rzuca je w jeden punkt; dla tego inne pozostają w cieniu. Potęguje to wrażenie, lecz postaci oddziałują na nas swem położeniem i całokształtem swych rysów, a we wspomnieniach naszych tkwią jednym tylko, acz silnym korzeniem, nie szeregiem wielorakich, drobnych włókienek, które mocno do gruntu przylegają. Stąd postać, wyjęta ze swego tła, ze swych stosunków, w odmiennem położeniu umieszczona, nie przedstawia się wyraziście w znamionach osobniczych. Dodać należy, iż sięgając najczęściej krynicy uczuć ogólnie ludzkich, ogarniając swą sympatyą dusze proste i niezłożone, Orzeszkowa nie bawi się w tak popłatną dziś, a do błahych rzeczy najczęściej skierowaną „analizę“. Zresztą, niema dla niej miejsca tam, gdzie w błyskawicy jasnowidzenia nie rozwój jakiegoś splotu duchowego widzimy, lecz znieruchomiały poniekąd stan jakiejś namiętności, czy uczucie. Tu może należy poszukiwać częściowego roz-

wiązania sprzeczności pomiędzy wrażeniem, a dokładnością charakterystyki.

Bądź co bądź, wyjątek należy uczynić dla typu p. Luizy z jej licznymi odmianami, jak p. Emilia Żyrewiczowa („Zefrek“), jak p. Ewelina Krzycka („Dobra Pani“), a nawet jak późniejsza p. Emilia Korczyńska z „Nad Niemnem“. Są to niedoszące artystki-dyletantki, kobiety zwykle zalotne i czułościowe, z przesadnym mniemaniem o wyższości i niepowszedniości swej natury, o wykwintności swych upodobań i przyzwyczajzeń i subtelności swych uczuć, żywiące w piersi żal nieutulony do świata i do losu za wieczny głód rzeczy idealnych, za brak duszy siostrzanej czy bratniej; charaktery często śmieszne i karykaturalne, zawsze w gruncie samolubne i moralnym daltonizmem dotknięte. Są one zawsze w swem przekonaniu ofiarami ludzi lub przeznaczenia, nie domyślają się nawet, że są pasorzytami i zmorą najbliższych swoich. Chętnie odwraca Orzeszkowa od nich swe oczy, by zatrzymać je na jakiej postaci, z grubą ciosanej, o głosie chrapliwym i ruchach szorstkich, lecz w której za przewodnictwem autorki dojrzymy źródło prawdziwego uczucia i ofiarności, cichą troskę, niewidoczny dramat, ukryty ból... Przesuwają się tu przed nami i smutne oczy 9-o-letniego malca, od 5-u lat już wytrwale studyującego w chederze przepaściste tajemnice talmudu, i Julianka, i Brygida, córka „Zefirka“ inaczej „Sylfidy“, i stara panna, której na imię: czternasta część, i biedna dziewczyna z „Sielanki nieróżowej“. Autorka skwapliwie stara się wzbudzić w nas uczucie litości, i wskazuje istoty skazane nieraz na głód, chłód, poniewierkę... Najczęściej jest tu widoczna tendencja społeczna, teoretyczne ujęcie jakichś niedomagań ogólnych. W „Sielance nieróżowej“ widzimy drogę, po której staczają się ludzkie istnienia na dno społeczne. Julianka jest podrzutkiem, którym matka nie może i nie śmie się opiekować, a co do ojca, najlżejszą oznaką, żadnem zapomnieniem lub drzeniem serca nie zdradził się nigdy. Ale wszystkim tym drobiazgom niewiednącą wartość nadaje nie tendencja, i nie uczucie litości, wywołane obrazem nędzy i cierpień fizycznych. Pod śmieszną postacią starej panny, w serduszkach na ulicy wyrosłych i zepsutych dzieci autorka zawsze umie wyszukać i wskazać skarby uczucia, rozwijający się kwiat głęboboch i trwałych ukochań. Patrzcie na tę Juliankę, która „odpuszcza“ znęcającemu się nad nią Antkowi dla nauk dobrej, starej pani. Panna Janina przygarnęła do siebie biedne dziecko, rozpałała w płomień jej serce i... opuściła. Patrzcie na nią, jak w rozpacz rozszalała całuje podłogę po której chodziła jej opiekunka... Tej Julianki zapomnieć niepodobna. Przypomnijmy sobie zboląłą twarz Helki, gdy „dobra pani“ do garderoby ją odsyła; jej tęskotę, jej ból, gdy dobra pani, przesy-

łając pieniądze, ani słóweczka dla dawnej swej pieszczołki nie znalazła; przypomnijmy ową scenę, gdy dziecko, nie zważając na zimny deszcz i zmrok, tuli się do okien p. Eweliny Krzyckiej, rozmawia z pieskiem wyrzuconym, jak ona, w ciemność, na zimno i niepogodę. „A pamiętasz ty, Elfku, Włochy?... Jak tam pięknie, prawda? Ciepło, zawsze zielono... Słońce tak świeci... Gdzie teraz p. Czernicka? Z panią pojechała. A my, Elfku, nie pojedziemy już z panią nigdzie... nigdzie... nigdzie...” I to podeptanie jedynej własności tych istnień, które „nie mają główki położyć na czem,” to jest najboleśniejsze. „Dobra pani,” z całą jej charakterystyką jest tylko rzutem ujemnym od tej miłości, która tak potężnie w piersi biednego dziecka wezbrała. W tem spoczywa tajemnica głębokich i uszlachetniających wzruszeń, które spływają na nas z utworów Orzeszkowej, z głębokich nurtów jej ducha.

A. DROGOSZEWSKI.

MARZENIA.

I.

Chciała-bym upaść kropelką rosy,
Świecąca jak kryształy,
Na traw zielonych rozwiane włosy,
Lub w kielich lilji białej.

W blasku tęczowa lśnić i promienna,
Jak one lzy błyszczące,
I drzeć w płomieniu, i czekać senna,
Aż mnie wypije słońce.

II.

Powstały złote blaski zórz,
Świat budzi się radosny,
Zielony runią młodych zbóż,
Bijący tętnem wiosny.

Już z gór dalekich spłynął śnieg,
Rozkwitły już sasanki,
Już się przystroił stawu brzeg
W kaczeńców złotych wianki...

Już swój srebrzysty wonny pąk
Przylaszczka gdzieś rozchyła,
A nad zielenią widać łąk
Nieśmiały lot motyla.

Powietrze pełne wonnych technień
Z kwitnących drzew czereśni,
I staje w blasku złoty dzień,
Skowrończych pełen pieśni.

W powietrzu dzwoni ptactwa chór,
Co wraca gdzieś z za morza
I chat wieśniaczych biały sznur
Wyzłaca jasna zorza.

I cała ziemia wiosną tchnie,
I ciepłym snu oddycha,
I ja, przymknąwszy oczy, śnię,
I leżę w polu cicha.

Śni mi się złotych ściernisk krąg,
Skąd resztę snopów zwożą,
I widzę żółkłą zielen łąk
Pod zachodową zorzą.

I widzę białe sznury chat,
I żółkłych topól sznury
W uwiedłem złocie letnich szat,
Przetkanych w liść purpury.

W powietrzu krąży złoty kurz,
Nad drżących pól ścierniska,
A nie pającza blaskiem zórz
W jesienem słońcu błyska.

Żórawi słyhać ostry śpiew,
Mgła z lasu płynie sina,
A od owocu szereg drzew
Ku ziemi się przygina.

Od ziemi cichych głosów chór
Odplywa w niebo śpiewny,
Za szczęsny rok, za dobry zbiór,
Chór płynie modlitewny.

Dojrzałe plony w moim śnie
Lud zebrał już radosny,

.....

A świat dopiero majem tchnie,
Zbudzony dłonią wiosny.

EMA MIERZ...

Tegoroczny międzynarodowy Kongres Katolicki w Paryżu.

„Ut omnes sint unum“.

Już w grudniu zeszłego roku rozesłane zostały do przedstawicieli i rzeczników Katolicyzmu w różnych częściach świata odezwy Komitetu, który, pod prezydencją J. E. kardynała Richard'a, arcybiskupa paryskiego, a pod kierunkiem hr. Nicolaj, miał stanowić o obronnej międzynarodowej akcji synów Kościoła i rozwoju dzieł miłosiernych.

Towarzyszyły odezwom, oprócz blankietu wpisowego: list drukowany kardynała Rampolli do kardynała Richard'a z sankcją papieską, kwestyonaryusz o nazwie, celach i sposobach działania tych Towarzystw katolickich, które akcyę ujawnić pragnęły, wreszcie szczegółowy program dyskusyi.

Olbrzymi projekt kongresowych rozpraw, obejmujący wszystkie niemal dzieła miłosierdzia ludzkiego na kuli ziemskiej, bądź-to przez mężczyzn, bądź przez kobiety podjęte, rozdzielał się w rzeczywistości na trzy różne grupy: dzieł ascetycznych, dzieł miłosierdzia i sposo-

bów walki. Kobiety, jak i mężczyźni, uczestniczyć mieli w rozprawach, które, od 8-ej do 12-ej z rana, od 2-ej do 6-ej po południu, osobno dla mężczyzn, osobno dla kobiet, przy ulicy des Saints-Pères, a wspólnie, o 9-ej wieczorem, 84 rue de Grenelle, odbywać się miały.

Rozpoczęty dnia 3 czerwca, w dzień Zielonych Świątek, ceremonią inauguracyjną w Notre-Dame, kongres miał po całotygodniowych rozprawach zakończyć się 10 czerwca, w uroczystość Trójcy Świętej (oraz świętej Małgorzaty) ¹⁾, aktem solennej konsekracji Przenajświętszemu Sercu Jezusowemu w Montmartre i pielgrzymką do Paray - le - Monial.

O godzinie 5-ej po południu, w oznaczony dzień, zebrali się w prastarej Notre Dame paryskiej uczestnicy kongresu.

Środkowa nawa świątyni zarościła się od licznych wyznawców przekonań katolickich. Pokazywano sobie: hr. Alberta de Mun, inicjatora stowarzyszeń rzemieślniczych, Antonina Pagès, prezesa konferencji świętego Wincentego à Paulo; niedawno przejednanego hr. d'Haussonville i François Coppée; Leona Harmel, Denys Cohin, deputowanego Paryża, barona de Livvis, stojącego na czele przytułków noclegowych paryskich, — a obok nich, na honorowej trybunie wprost kazalnicy, przedstawiciele zagranicznych: hr. Blome z Węgier, hr. Aquaderni z Bolonii, hr. de Montenach z Fryburga, Mgr. Rudiniego-Fedeschi, kierowników St. Bonifacius, Rafaëls, Puis-Verein i wielu innych.

Panie nie ustępowały liczbą. Znalazły się tam pod prezydencją hrabiny d'Eu i księżnej de Vendôme, hr. de Biron, pani Auber, księżna de Clermont - Tonnèrre, de Bauffremont i d'Estissac, margrabiny Costa de Beauregard i de Ganay, pani Cochin, pani de Bully i prawie wszystkie przedstawicielki tych rodzin, które niedawno w straszliwej katastrofie Bazaru de la Charité, miłosierdziu publicznemu ofiarę z życia złożyły.

Rozpoczęła się ceremonia ingresem Episcopatu, odśpiewaniem „Veni Creator...“, poczem wszedł na ambonę o. Sertilange, Dominikanin.

W świetnej i gorącej przemowie przeciwstawił on miłosierdzie chrześcijańskie solidarności i altruizmowi, któremi wojuje obóz przeciwny. Zachęcał do miłości nawet wśród walki, nawet w użyciu środ-

¹⁾ Małgorzata Marya Alacoque (r. 1640 † 1690), inicjatorka szczególnego w Kościele nabożeństwa do Serca Jezusowego, nawiedzana kilkakrotnie przez Zbawiciela w Paray-le-Monial.

ków odpornych, — tej miłości, przed którą nic się nie ostoi, bo jest Boską, wszechpotężną! Kończył zaś temi słowy:

„Śmiem wierzyć, że to zjednoczenie wszystkich dzieł miłosiernych, nad których rozwojem naradzać się będziecie, sprawi, iż Chrystus Pan zasiądzie znowu na tym tronie królewskim, który był Mu wzniesion wśród naszego ludu. O to nam idzie jedynie! Gdybym nie miał nadziei, iż się to ziści, zapytał-bym się, jak może wy się pytacie: co się nareszcie stanie z tem społeczeństwem, które w naszych oczach rozpada się? Boga, Boga nam potrzeba! Aby zwalczyć ten egoizm i tę żądzę używania, z których powstają: rozstrój i śmierć! Chrystusowi Panu należy oddać ster okrętu podczas nawałnicy, jak to uczynili uczniowie na jeziorze Genezaret. Zanim jednak nastąpi ta błogosławiona chwila, może należy oczekiwać nie jednej klęski krajowej: potrzebne nam są może uderzenia gromu, aby nas z obojętności otrząsnąć. Lecz po nowych doświadczeniach przyjdzie niewątpliwie zbawienie. Przyjdzie życie inne i płodne, którego dziś już dają się dopatrzeć objawy.

„Wierzę w to, że Ewangielia święta, którą zbyt powierzchownie rozumieją narody, przeniknie je do głębi, że powstające dziś kwestye socyalne, które jeden tylko Chrystus rozwiązać jest w mocy, rozstrzygnięte zostaną w myśl Jego, i twierdzę, że przyjdzie nam błogosławić owe katastrofy, ową rewolucyę jutrzejszą, ową krwawą wojnę domową, jeżeli to one — wreszcie — rzucą nas w ramiona Boże.

„Ach, bo wtedy, pewien jestem, rozpocznie się era chwalebna i wielka! Era, w której rozkwitną w pełni wszystkie pierwiastki narodowej chluby, wyszłe z łona tego wieku,—era ożywcza, w której nad generacyą strupieszalą zapanuje zmartwychwstały Bóg! A Francya podniesie się, jako żołnierz Chrystusowy, aby większa i szlachetniejsza niż przedtem, niewzruszoną swą wiarą budować inne narody“.

Nazajutrz, po solennej Mszy świętej, odprawionej w kościele świętego Tomasza z Akwinu, i przystąpieniu obecnych do Stołu Pańskiego, zbierają się uczestnicy kongresu w lokalu ojców Jezuitów przy ulicy des Saints Pères.

Miejsce zebrania stanowi wysoka i przestronna aula, oświetlona z góry, a związana na trzech piętrach trzema obręczami krużganków.

Z owej galeryi wchodzi się do sal bocznych, przeznaczonych do rozpraw przygotowawczych poszczególniej natury.

Na pierwszym piętrze, za matową szklaną ścianą, oddzielającą aulę od kaplicy, przyświeca ołtarz z wystawionym Przenajświętszym Sakramentem, w którego uczczeniu zmieniają się co pół godziny członkowie kongresu.

W głębi sali, na podniesieniu, są trzy stoły: środkowy dla prezydium, boczne dwa dla sekretarza i mówców. Monseigneur Peschanard, rektor Instytutu katolickiego w Paryżu, otwiera posiedzenie modlitwą. Hr. Nicolaj, inicjator kongresu, typ człowieka dawnego kroju, zagaja rozprawy wytwornem przemówieniem, w którym wita przybyłych i dziękuje cudzoziemcom.

Nie wszyscy, którzy się obiecali, przybyć mogli. Wymówili się: książę de Loewenstein i dr Lüeger, burmistrz wiedeński. Lecz w sali zauważyć można panów: bar. de Montenach, hr. Disbach, o. ks. Le Doré, ks. de Boniau, p. de Bellomaire, p. Marka Sangnier Lachaud, reprezentanta Alzacyi w Reichsracie niemieckim, kanonika Müller-Simonis.

W auli i salach bocznych ożywiają się dyskusyje. Trzy ważne kwestye umieszczono na programie dziennym: dzieła religijne, nauczanie młodzieży i prasę. Rozdziela się publiczność na trzy różne grupy, z których każda porozumiewać się będzie osobno.

A naprzód: o Przenajświętszym Sakramencie, Kongresach międzynarodowych eucharystycznych, ich stronach dodatnich, o Bractwach, processyach, adoracyi nocnej i dziennej; potem o nabożeństwie do Serca Jezusowego, mającem na celu ratowanie Francyi i świata całego, — nabożeństwie, którego ogniskiem stało się Montmartre, a które rozszerzają wciąż po kraju coraz liczniejsze stowarzyszenia.

Przychodzi kolej na dzieła apostołstwa, a więc na missye po różnych krajach, katechizacye po miastach, rekolekcyje dla wszystkich warstw społecznych. Stwierdzono, iż do rozszerzenia religijności we Francyi znakomicie przyczyniają się Towarzystwa świętego Franciszka Salezego, zaś w Niemczech S. Bonifacius Verein i Pius Verein w Szwajcaryi. Że w dzikich krajach i w koloniach państw katolickich praca apostołstwa coraz obfitsze wydaje plony. Odczytano referaty de la Propagation de la Foi, de la s-te Enfance, de l'oeuvre d'Orient, wreszcie Towarzystwa świętego Rafała dla emigrantów niemieckich.

O pielgrzymkach do miejsc świętych, o składkach na Święto-Pietrze i należnem uczczeniu Ojca świętego w nowem stuleciu, o wy-poczynku obowiązkowym w niedziele i święta, — wspomniano także. Położono nacisk na potrzebę zachęcania do duchownego życia i wytwarzania powołań, podniesiono znaczenie bractw i kongregacyi, a w szczególności Trzeciego Serafickiego Zakonu, który ubóstwem, pokorą i przykładem pracy wznawia wśród mas roboczych najczystsze zasady chrześcijaństwa.

A tymczasem na wyższej galeryi rozprawiają o propagandzie kół katolickich wojskowych; zagranica pod tym względem nie wyrówna Francyi. Przyznają jej to delegowani szwajcarscy, niemieccy, austryaccy i włoscy,—nawet Belgia, mogąca się jednakże szczycić swoim zastępem klubów katolickich.

Jednocześnie na posiedzeniu o prasie wykazują nieodzowność utworzenia agencji katolickiej międzynarodowej, i z tego powodu p. Darrieu odczytuje szczegółowy raport o działaniu biura informacyjnego we Francyi. Kanonik Müller Simonis objaśnia, w jaki też sposób działają w Alzacyi tego rodzaju agencye.

W lokalu przy rue de Grenelle panie porozumiewają się tymczasem nad dziełami miłosierdzia.

I oto już wstępne rozprawy pierwszego dnia zamknięto. Wieczorem, w Societé d'Horticulture, wstępuje wobec zebranych obu kommissyi, żeńskiej i męskiej, na publiczną mównicę ks. kanonik Odelin, wikaryusz generalny i prezes Komitetu dyrekcyi kongresu, który odczyta adres, wysłany do Ojca świętego tej treści: „Kongres międzynarodowy dzieł katolickich, zebrany w Paryżu pod prezydencyą J. Eminencyi kardynała Richard'a, arcybiskupa Paryża, oświadcza, iż rozpoczyna pracę uroczystem zapewnieniem przywiązania swojego do stolicy Piotra. Uczestnicy kongresu zebrani na to, aby ugruntować, utrzymać i rozszerzać działalność swoją w myśl Kościoła każdy w swoim kraju, wiernopoddani i ślepo posłuszni wskazówkom i kierunkowi Stolicy Apostolskiej, w obronie praw wiary świętej, zanoszą prośbę do Ojca świętego, aby raczył im udzielić specjalnego ojcowskiego swego błogosławieństwa“.

Przewodniczący, kardynał Richard, podnosi się. On sam odczytuje powstałemu zebraniu odpowiedź kardynała Rampolli: „Ojcu świętemu przypadło głęboko do serca, iż kongres międzynarodowy dzieł katolickich rozpoczął swoje prace oświadczeniem swej wierności Kościołowi. W tem poddaniu chęci ludzkich woli Bożej tkwi rękojmią zbawiennych owoców. Ojciec święty z całego serca udziela też błogosławieństwa swojego wszystkim stowarzyszonym kongresu“.

Teraz pan Denys Cochin wchodzi na trybunę. Deputowany paryski przemawia z wielkim zapalem o wolności nauczania. Przypomina zasługi pp. Montalembertów, de Falloux, Cochin, Armand de Melun i tych wszystkich, którzy walczyli za tę swobodę nauczania, która-by mogła dziś święcić swoje pięćdziesięciolecie. Był czas,—zauważa dowcipnie mówca, — że i pan Waldeck - Rousseau, niegdyś bardzo liberalny, przemawiał za tą wolnością! Ale to już dawno temu!..

Pan Fonssegrives zastępuje na trybunie pana Denys Cochin i podnosi raz jeszcze zbawienną pożyteczność Trzeciego Zakonu,

a o święceniu niedzieli, w przeciwstawieniu „du repos hebdomadaire“ przemawia na zakończenie z niezwykłą swadą oratorską i siłą argumentacji pan Valleroux.

Dzień poniedziałkowy nie wyczerpał pierwszej części programu.

W czasie rannych wtorkowych konferencji zaciekało wszystkich przemówienie ks. Garnier, popularyzatora ewangelii. Pragnie on, aby każdy ojciec rodziny czytał ją i wykladał w ognisku domowym. Przeciw tej propozycji powstają dwa głosy. Ojcowie Jezuita widzą w dowolnem komentowaniu ewangelii niebezpieczeństwo nielada. Ks. Garnier, opierając się na danej mu zachęcie przez Leona XIII, broni swego zdania; wyznawcę socjalizmu chrześcijańskiego, za jakiego uchodzi w Paryżu projektodawca, uważają słuchacze za krańcowego nieraz w postępowaniu swoim człowieka. Ksiądz Garnier zmuszony jest wkrótce ogólniej zredagować swe votum. Cztery ewangelie, które pożytecznie każdy może czytać, powinny być opatrzone komentarzami, przez Kościół zatwierdzonemi. Nie wszyscy myślą, aby wyszły z inicjatywy mówcy: „Cztery ewangelie i akta, z notatkami treści społecznej i narodowej“ odpowiadały celowi. Ks. Garnier, którego łączą pewne stosunki z redakcją „Peuple Français“, organem Unii narodowej, wyciąga w tej chwili całą plikę druków. Kartki te noszą tytuł: „Il faut des hommes“, a wyczytać w nich można, jak kształcić owych ludzi, jak ich użytkować i jaką jest w tym względzie metoda „Unii narodowej“.

Ale zastąpił na trybunie mówcę Jezuita, ksiądz Lacouture. Inny to typ człowieka, ten dawny profesor z zakładu St. Clement w Metz, przyjaciel i kierownik szkolnej młodzieży. Wymowa jego płynna, jasna, treściwa; wie dobrze, czego chce i o czym rad-by słuchaczów przekonać. Jezuita kształcili dotychczas wyłącznie młodzież bogatszą. Nie zrzekli się tego obowiązku, ale widzą, że i w rzemieślniczych sferach usłużyć mogą,—rzemieślnik we Francji dźwży przyszłe losy narodu. Wykształcić rzemieślnika społecznie w myśl Bożą, technicznie o całe niebo dokładniej i lepiej, niż to się praktykuje dotąd, takie winno być nasze zadanie. Ten cel miał ksiądz Lacouture na względzie,

kiedy parę lat temu otworzył w Lille pierwszy we Francji rzemieślniczy internat.

Pojedźcie do Lille, a obaczycie, że obok ośmiu godzin rzetelnej pracy w warsztacie, znajdujemy tam czas i na klasyczne, i na wyższe religijne wykłady. Nasz terminator przechodzi wszystkie stopnie swego fachu, a jak wyjdzie na podmajstrzego, odbyte studia klasyczne pomogą mu do jaśniejszego wykładu, do płynniejszej wymowy, i gdy kiedyś zostanie majstrem, przyjdzie mu łatwo pokierować fabryką, a pozostanie majstrem chrześcijańskim. Kto zaś sądzi, iż znojna praca szkodzi naszym wychowankom, niech się przypatrzy rumianym ich twarzom, a zadziwi każdego ich wygląd czerstwy i wesóły. Niestety, aby rozszerzyć zakład, jak tego program wymaga, aby dopiąć w pełni wymarzonych rezultatów takiej religijno-techniczno-klasycznej nauki, brak dwóch milionów.

Obecność na kongresie założyciela pożytecznej szkoły ma więc na celu dać sprawozdanie z tego, co się już osiągnęło, i o dalsze zapomogi kołatać.

Z wielkiem uznaniem przyjęto sprawozdanie o. Lacouture, sam widok mówcy kazał podzielać jego przekonania. To biskup-suffragan paryski, Jourdan de la Passadière, prezydujący, wykazywał w gorących słowach zasługi oo. Jezuitów, którzy, śledząc ustawicznie nowe potrzeby stulecia, Bogu i ojczyźnie zarazem tak właściwie służyć umieją.

W dopełnieniu myśli ks. Lacouture, wyrażono inne votum: aby jedno ze zgromadzeń religijnych, poświęcających się wychowaniu młodzieży, a posiadających filie w rozmaitych krajach, zechciało uczniów w zawodzie technicznym kształcić przez lat parę w swoich filiach zagranicznych, coby im ułatwiała znajomość obcych języków i stosunki handlowe, a uczniowie, w ten praktyczny sposób wszechstronnie z fachem obeznani, wracali-by do rodzinnego kraju nie obniżeni moralnie, i z wiedzą porównawczą różnych technicznych sposobów.

O. Macabian, także Jezuita z seminaryum w Vals, obok Le Puy (Haute Loire), przemówił z kolei za szkołą wyższą duchowną:

„W wielu dyecezyach francuskich dał się czuć brak księży; Ojciec święty w Encyklice z 8 września 1899 roku, w naglących słowach przemawia z naciskiem za potrzebą kształcenia sług Ołtarza. Pragnie, by posiadali obok cuót rozlicznych i zasób umiejętności ludzkich, a zwłaszcza filozofii i teologii. W seminaryach, dla przyczyn całkiem niezależnych od ich dobrej woli, uczniowie nie mogą kształcić się wedle powyższego programu. W zakonie cel prędzej osiągną, a że skądinąd łatwiej o młodzież zdrową, bogobojną i zdolną pod wieśniaczą

strzechą, dlatego powzięto myśl ufundowania szkoły wyższej dla dzieci z ludu. Zaczynają tam one od niższego wykształcenia klasycznego, trzech lat filozofii i tych nauk, jakie są udzielane w scholastycznym zakładzie w Vals młodemu uczniom Jezuitom, a następnie uczęszczają przez lat cztery na wykłady teologii dogmatycznej i moralnej, Pisma świętego, języka hebrajskiego, prawa kanonicznego i historii kościelnej.

Wychodząc ze szkoły, mogą, wedle życzenia własnego, albo biskupów, zasilać prowincye kraju, mniej obfitujące w kapłanów. Taka instytucya, której założenie poparli kardynałowie: Rampolla i Parocchi, ufundowana została w Vals, w którego okolicach lud nader pobożny obfituje w powołania.

Uczeń zakładu kosztuje rocznie pięćset franków, a było-by możliwem i godnem życzenia, aby ta szkoła wykształciła co rok trzystu młodych księży, na co potrzeba stu pięćdziesięciu tysięcy franków. Przedstawiciel zakładu widzi w tem jedną z palących potrzeb tej chwili obecnej.

Czas nie wystarcza na rozważenie wszystkich propozycji; wybiła szósta. O dziewiątej zaś wieczorem, pod prezydencją dwóch biskupów: M-ra de Cabrieres (z Montpellier) i Montes de Oca (z Potosi w Ameryce), ma jeszcze przemawiać o konieczności wyższego wykształcenia religijnego, zaniedbanego w dzisiejszych czasach, pan Alix, dziekan fakultetu prawnego w Paryżu. O prasie katolickiej pan de Marolles, zaś kanonik Müller-Simonis o federacji katolickiej w Niemczech, o jej organizacyi, o religijnym związku terminatorów i majstrów (tych przystąpiło już do związku 11,000), o zbawiennych owocach kongresów katolickich, z których ostatni w Niemczech zgromadził 1,500 członków.

Wychodząc z sali, o wpół do 1-szej po północy, rozdają jeszcze różne drukowane projekty, odnoszące się do wychowania młodzieży, jak *l'Enseignement religieux par les yeux—grand album d'images en couleur pour l'explication du catéchisme* pr. l'abbé Mouterde, albo listy: *de l'union fraternelle du commerce et de l'Industrie*, egzemplarze próbne pism różnych i t. p., i jeszcze czas jakiś na wyludnionych ulicach quartier latin odzywają się w nocy nieuśpione echa kongresu.

Środa i czwartek są dniami, przeznaczonemi dla prac kongresowych młodzieży. Zaroilo się od niej po galeryach i salach; nowy, ożywczy prąd owiał słuchaczy; sam hr. Nicolai, którego dla podeszłego wieku zmęczyły długie narady dwóch dni ostatnich, w zetknięciu z elementem młodym, ożył na nowo.

Młodzieży prezydują pp.: Raul Ancel, Bazire, albo Lerolle, słychać co chwila grzmoty oklasków, tupanie nóg o podłogę. Czasem przez drzwi otwarte zalatuje falą głosów hałaśliwe echo ożywionej rozprawy.

Pp. Raul Ancel i Vermont z Rouen podnoszą dodatnie strony stowarzyszeń, na wzajemności opartych (la Mutualité), szerzących po krajach wstrzeźliwość, oszczędność i inne cnoty społeczne. Takie stowarzyszenia, to prawdziwy atut w ręku katolików.

P. Michel Jolly referuje o sekretaryacie ludowym w Paryżu.

P. Normand d'Authon opisuje stosunki młodzieży francuskiej z młodzieżą katolicką zagraniczną.

Pp. Pericoli i Vercezi dają obraz działalności „Gioventù Cattolica italiana“; proboszcz z Müllhuzy, ks. Cetty, mówi o katolickiej młodzieży niemieckiej.

O hiszpańskiej dr Flaquer, o włoskiej baron de Malteis, o austriacko-węgierskiej delegat wiedeński—objaśniają słuchaczy. O angielskiej zaś raport p. Fitz-Patrica, odczytany w jego imieniu.

P. Bazire przemówił także o tendencjach socjalistycznych młodzieży katolickiej we Francyi, a p. Vermeesche o działaniu młodzieży w Belgii.

Wieczorem prezyduje zebraniu aż czterech biskupów: mr de Cabrières (z Montpellier), Burnes z Southwark (przedmieście Londynu), Montes de Oca (z Potosi), Matteo Dwornik, przedstawiający biskupa z Palato.

Mr Mollien, biskup z Chartres, i mr Savoye, protonotaryusz apostolski, przysłali dwa ciekawe referaty: „O lidze wstrzeźliwości“ przeciw pijaństwu. Oparte są obie prace na wyczerpujących statystycznych danych. Kończą je czytać, gdy nagle zjawia się u wejścia hr. de Mun. Obecność jego nadprogramowa robi nie małe wrażenie. Wchodzi otoczony gwardyą młodzieży, a zdąża wprost do trybuny.

Nie mógł się oprzeć pokusie uczczenia biskupa de Cabrières, przybyłego dziś do Paryża, a prezydującego zebraniu.

Biskupa z Montpellier i dwóch przedstawicieli: amerykańskiego i angielskiego Kościoła, wita hr. de Mun w wytwornych słowach, potem tak dalej mówi:

„Zanim będzie dany głos p. Janowi Lerolle, niech mi wolno będzie podziękować panu prezesowi kongresu w imieniu Towarzystwa katolickich kół rzemieślniczych, którym prezyduje generalny komitet, iż raczył pomieścić go dzisiaj w liczbie mówców kongresowych. Upływa lat 30 (wybaczcie mi, iż się odwołuję do wspomnień, które już dzisiaj przechowują jedynie świadkowie najpierwszych naszych wysiłków), jak dzieło nasze zrodziło się w skromnym mieszkaniu rękodzielnika, w cichem ustroniu, w którym Paweł Vrignauld, pierwszy nasz prezes, ukrywał wobec młodych rzemieślników z Boulevard Mont Parnasse, świętobliwość swojego życia, tuż obok Mauricego Meignon, naszego mistrza i przewodnika, na drodze dzieł ludowych.

„Ci dwaj ludzie zeszli z tego świata, imię pierwszego nie wspomnianem jest już prawie przez tych, którzy go osobiście nie znali; imię drugiego, chociaż znane i czczone przez ludzi czynu, nie zdobyło sobie rozgłosu, ani ogólnej sławy.

„Obowiązkiem jest tych, których niegdyś kształcił ich przykład, oddać w historii naszych kółek należną im pochwałę, gdyż dla nas, którzyśmy im przynosili za ledwo dobre chęci, byli oni wobec Boga i rzemieślników chrześcijańskich całą rękojmnią. Oni-to nas od pierwszej chwili połączyli z tradycją dzieł wielkich, wyszłych z serca Ozanama, tego siewcy myśli szczytnych, inicjatora ruchu katolickiego socjalnego dzisiejszej ery, a w którym odnajdują się aż do właściwego swego wyrazu wszystkie najszczytniejsze porywy, które od ćwierć wieku stanowią życie nasze.

„Należeli: Vrignauld czynnem swoim miłosierdziem, a Meignon religijnym ślubem — do rodziny świętego Wincentego à Paulo, lecz marzyli dla niej o zwrocie nowym, bardziej wojowniczym w działaniu, śmielszym w zamysłach społecznych, mniej zestarzałym w swych formach. Jeden z nich wypełniał powszednie czynności naczelnika biurowego z gorącością i mistycyzmem mnicha z XII wieku, drugi, w surowości życia zakonnego przechowywał wyobraźnię artysty i serce poety.

„Obaj, ukochawszy tradycję przeszłości i pogrążeni w dawnych dziejach, mało do dziś dnia znanych nawet katolikom naszych cechów rzemieślniczych, pełni podziwu dla tej wspaniałej demokracji średniowiecznej, marzyli o tem, żeby w dzisiejszej odżyły tradycje tamtej (demokracji): jej wiara, jej znaczenie! Obaj nareszcie posnęli zaparcie się siebie aż do bohaterstwa!

„Tacy byli mistrze nas! Możemy o nich powiedzieć to, co Vrignauld mówił o Chrystusie w tej pieśni, napisanej dla rzemieślników, prostej, jak poezya średniowieczna, a którą do dziś dnia śpiewamy: „Wycisnęli pieczęć swoją na narzędziach swoich“.

„Na ich-to wezwanie w wieczór wigilijny 1871 roku, w ich ubożem mieszkaniu, kilku ludzi dobrej woli, pod wrażeniem religijnych i patryotycznych uczuć, które w tej dobie ogarniały ich dusze, przysięgło poświęcić wszystkie swoje siły dla tej myśli, z której miało powstać (pewni byli tego) odrodzenie moralne i społeczne kraju!

„Myśl tę nasz młody przyjaciel, Jan Lerolle, wypowie przed wami z tą gorącością porywającej wymowy, którą widocznie wziął w spadku razem z powagą imienia, drogiego katolikom francuskim,— imienia, które się stało symbolem dla nas wiary, męstwa i poświęcenia.

„I w tem leży chwała nasza, iż mamy dzisiaj dla niesienia wam słowa, zamiast jednego z tych, którego już obarczyło brzemień lat i walk, młodego szermierza, który pojawił się wczoraj na arenie naszej, a dziś chce dzierżyć i podnieść tutaj chorągiew kół katolickich. To braterstwo nasze pod bronią, które łączy przeszłe wspomnienia z nadzieją przyszłości, dowodzi najlepiej siły i żywotności owej myśli, która niegdyś zbratała i zapaliła nasze dusze.

„Głosić i bronić wszem wobec prawo Boże nad ludzkością, to prawo stosować do bliźnich wedle nauki Kościoła, aby wniknęło narzeczcie w obyczaje i prawodawstwo narodowe, — uczcić je. wyrazić przykładem poświęcenia się dla drugich, aby ten przykład pobudził możnych do świadczenia bliźnim uboższym, przez łączność i wspólność działania urzeczywistnić chęci nasze w jak największej mierze, taką jest myśl, którą nazwę nieśmiertelną, bo jest oparta na statucie Bożym, i wyższą jest od tych, którzy ją wypowiedzieli,—myśl, która od lat trzydziestu przewodniczy ciągle wszystkim naszym przedsięwzięciom.

Ta myśl podstawowa przejawiała się i wyrażała odtąd w formach rozmaitych, stosownie do okoliczności, natchnienia i temperamentów ludzkich. Lecz pod różnicą form myśl pozostała ta sama: wspaniała, jasna, niewyciężona w zasadzie, niewyczerpana w skutkach, jedyna, mająca dość siły,—skoro płynie z przedwiecznej Prawdy, aby utrzymać związek dusz naszych, pomimo zmienności czasów.

„Temi kilku słowy chciałem określić jeden raz więcej i wyrazić przekonania, które, pomimo przeszkód, prób i chwilowych niepomyślności, wzmacniają we mnie codziennie obserwacya faktów i badanie myśli ludzkiej, a które, popchnąwszy mnie do publicznego zawodu, pozostaną do końca podnietą mojego męstwa i mojej nadziei.

„Mówię o nadziei, gdyż ona jest ostatniem słowem naszych zebrań katolickich.

„Bo jakkolwiek ciemna jest teraźniejszość, a groźna przyszłość najbliższa, podziwiam, co do mnie, postęp codzienny tych zasad, którymi służyliśmy dotąd, a które co rok znajdują wśród młodzieży naszej obrońców i apostołów nowych.

„Podziwiam w jaki sposób na tej arenie walk stronnicych i pomimo wstrętów, które nam czyni przewrotność sekciarska, troska o bliźnich ogarnia coraz więcej umysły, narzuca się rządowi i przygotowuje wspólny grunt porozumienia dla wszystkich serc szlachetnych.

„Podziwiam, do jakiego stopnia, przeważnie u katolików wytwarza się jedność zapatrzywań co do zasad fundamentalnych. tak sprzecznie omawianych dotąd: prawa społecznego i porządku ekonomicznego; jak wszyscy rozumieją dzisiaj potrzebę akcji społecznej ułatwiającej egzystencję ludzką, śledzącej wyniki dzieł nowopowstałych, odzywającej się z ufnością do inicjatywy sfer rzemieślniczych, tej akcji, która dziś zajmuje umysły więcej od politycznych zagadnień, a która, otwierając wszystkim widnokreśli szersze, odkrywa przed nami tę ziemię obiecaną wspólnego porozumienia, na której progach już zniknie podejrzliwość i nienawiść ludzka.

„Podziwiam zwłaszcza, jak to, niby niemożliwe do osiągnięcia, porozumienie kapitału i pracy, którego pierwsi pośród katolików, wyznajemy to z chlubą, przewidzieliśmy urzeczywistnienie, stało się dzisiaj nieodzownem i powszechnem prawem, tarczą dla prerogatyw i interesów każdego, a w rękach wystraszonego przez socjalizm przewrotowy rękodzielnictwa jedyną bronią zachowawczą i pokojową przeciw postępom rewolucyi.

„Podziwiam nakoniec, że na początku naszego stulecia, wobec miotania się bezwyznaniowości, owa potrzeba wiary i prawo wyższe, Boże, w porządku umysłowym, moralnym i socyalnym, po tylu wycieczkach przeciwko naszej religii, uznane zostają przez głosy nowe tak wielu ludzi niespodziewanie przejednanych, których wyznania szczerze a mężne są dziś dla nas najpiękniejszą nagrodą i pomocą najskuteczniejszą.

„To wszystko jest to dojrzewanie w formie nieprzewidzianej owej myśli, która nas przed laty 30 złączyła.

„To też, nie poddając się wątpieniu, jesteśmy dzisiaj bardziej niż kiedy ufni i wierzący i czujemy się w prawie, jak to ja czynię dzisiejszego wieczoru, wyciągnąć dłoń do tych młodych, dla których nadzieja jest warunkiem życia samego!“

Każde zdanie mówcy przyjmuje młodzież grzmotami oklasków.

Widać, że hr. de Mun, jest bożyszczem swego obozu. Robią rzeczywiście niemale wrażenie jego sympatyczna, wyniosła i szlachetna postać, postawa rycerska, płynna wymowa, głos silny.

Po hr. de Mun, przedstawiony dopiero przez niego, młody P. Jean Lerolle, syn obranego niedawno do municypalności paryskiej nacjonalisty, w swej bodaj pierwszej przed tak licznem zebraniem przemowie, wykazującej w młodym trybunie pierwszorzędny talent mówcy, podnosi z zapalem znaczenie katolickich kół rzemieślniczych.

„Zbyt długo—powiada on—katolicki obóz stronił od postępu naukowego i materyalnego wśród społeczeństwa, które się zmienia i przeobraża. Jeżeli wziął udział nareszcie w dzisiejszej walce socyalnej, kołom to katolickim zawdzięcza... To te koła nasze pobudziły do tej akcji, którą pochwalił wielki Papież, Leon XIII. Jego precudną Encyklikę, de rerum novarum, zna świat cały, a jest ona prawdziwą i kardynałną ustawą dla nowożytnych pracowników w świecie całym, koroną ich dzieła“; a kończył temi słowy: „Zbliźcie się, zbliźcie się do ludu. Lud przecie ma także prawo do prawdy i do sprawiedliwości, a dzisiaj wy jedni dać mu je możecie.“

O patronatach katolickich, pan Carton de Viard, członek Izby belgijskiej, referuje z niemniejszym powodzeniem; młodzież oklaskuje wszystkich, i ten wieczór kongresowy zdaje się być świętem rodzinnem.

Jeszcze nazajutrz rozbrzmiewają zewsząd echa młodzieńczego zapalu.

Ugoszczono cudzoziemców wydanym na ich cześć champagne d'honneur, na wystawie w „Pałacu kongresu“, przygotowano nowe zebranie młodzieży w celach propagandy społecznej; a już pomiędzy rozmaitemi kółkami zawiązuje się międzynarodowa federacya, o tendencji silnie katolickiej, do której zapisują się uczniowie z Lovanium, Liège, Gandawy, Brukselli, Amsterdamu, Lejdy, Groeningi, Oksfordu, Dublina i Barcelony, nawet z Kanady.

Cały dzień czwartkowy, poświęcony tym braterskim sojuszom, kończy się wieczornemi przemówieniami biskupa Montes de Oca o Ameryce południowej i starej katolickiej Hiszpanii, p. Bazière, p. Darda i innych.

P. Henryk Dard, prezes katolickiej federacyi północnej, porównywa młodzież swego obozu do ulubionego ucznia Chrystusowego. Jak Jan, świadek śmierci Zbawiciela, był pierwszy, który Go zmartwych-

wstałego zobaczył, tak i młodzież patrząca dzisiaj na upadek wiary, ujrzy pierwsza jej zmartwychwstanie.

Baron de Montenach, vice-prezes i delegowany federacji katolickiej szwajcarskiej (a którego żona bierze czynny udział w rozprawach kongresu dam), zachęca obecnych do akcji i walki w imię zasady, dla której ludzie, nietylko żyć, ale i umierać powinni; a nareszcie, M-r Cartuywels, wice-rektor uniwersytetu w Lovanium, daje szeroki i potężny obraz historii organizacji i życia pierwszorzędnego uniwersytetu, który liczy 120 profesorów i 2,000 uczni, i stał się sercem katolickiej Belgii, a jednym z najpotężniejszych ognisk wszechwiedzy.

Ostatnie dni kongresu, piątek i sobota, poświęcono omówieniu walki religijno-narodowej. Wotum p. Pelleport-Burette głosi przede wszystkim potrzebę jedności wszystkich komitetów, następnie, p. Alfred Mehrinex, adwokat przy sądzie apelacyjnym w Brukselli, roztrząsając system obieralności, długo się rozwodzi nad różnicami głosowania w Belgii i we Francji. Świeże a przecie nie pierwsze zwycięstwo partyi katolickiej na wyborach belgijskich świadczy o wyższości za granicą organizacji stronnictwa katolickiego. Francji zatem przede wszystkim zorganizować się należy.

P. Louis Durand odczytuje raport o kasach oszczędnościowych gminnych, o ich wpływie umoralniającym, o doskonałym ich działaniu w Belgii i we Włoszech. P. Vermont podniósł raz jeszcze kwestyę stowarzyszeń wzajemności: w Anglii jeden mieszkaniec na sześciu do nich należy; jest to stanowczo jedna z przyczyn, dla których tam rewolucyi nie znają.

Przyklaskuje mówcy biskup de Cabrières i wzywa wszystkich katolików, aby popierali wzajemność, której przewodnią myślą są słowa Zbawiciela: „Kochajcie jedni drugich“.

P. Dubois mówi o działalności studentów katolickich w Belgii i dziełach, które już stworzyli: zorganizowali kursa wieczorne, ustanowili towarzystwo mówców, których niejednokrotnie wysyłają do różnych miast, dla przemawiania na arenie publicznej. Są pomiędzy nimi i katecheci, a stowarzyszenia wstrzeźliwości znajdują wśród nich przedstawicieli i kierowników. Kongres wypowiada także żądanie regularniejszej i częstszej wymiany wszelkich wydawnictw, stanowiących organ katolickiej młodzieży.

O missyach zagranicznych referuje monsignor Leroy, o obronie interesów katolickich w Niemczech, w Szwajcaryi i w Belgii przemawiają kolejno: ksiądz Cetty i monsignor Esseiva. Ale najbardziej interesującym i pobudzającym do obronnej walki był raport p. Ga-

bryela Soulacroix o wolnomularstwie. Oparty był na gruntownie opracowanych wywodach i zdobytych dokumentach.

Praca p. Pawła Nourrisson, o stosunku wolnomularstwa do rzemieślników, spotęgowała jeszcze ogólne wrażenie. Wolnomularstwo jest nieprzejednanym wrogiem Kościoła. Ukrywa się pod płaszczkiem filantropii i zasług obywatelskich, działa przez książki i prasę.

Pociąga niejednokrotnie ludzi zacnych, tak się umie oblec w szlachetne pozory, a ugania się przedewszystkiem za pozyskaniem sobie stanowisk i ludzi najbardziej wpływowych.

Przeróżne loże, rozrzucone po całym świecie, są jednego i tego samego ducha, bez względu na tytuł, który noszą. Do massonerii należą: Karbonaryzm, młoda Francya, młoda Italia, Männerbund, Tugendbund, Jünglingsbund, Stowarzyszenie Starców albo Doskonałości (Greisen oder Vollkommenheitsbund)—Deutsche Bund der Gerechten, Deutsche Turnschaft, Allgemeine deutsche Burschenschaft, Bund der gleichgesinnten, Bund der Unbedingten, Bund für Freiheit und Recht, Männer und Jünglingsverein, młode Niemcy, młoda Europa, Wielki Wschód we Francyi (le grand Orient), Stowarzyszenia liberalne różne i wolnomyślnie ligi nauczania itd.

W niedzielę rano liczna pielgrzymka udała się na pagórek Montmartre, aby w niedokończonej jeszcze, a już 37 milionów franków kosztującej, Bazylice Przenajświętszego Serca Chrystusowego wysłuchać Mszy świętej dziękczynnej i przystąpić do Stołu Pańskiego.

W przestronnej świątyni, w której progi tłoczą się co chwila nowe pielgrzymki, uprzedziła była przedstawicielei kongresu liczna korporacya Towarzystwa Św. Wincentego a Paulo. Dopiero o 9 zdobyto zamówione na tę chwilę miejsce. Przemówił do zgromadzonych Jezuita, O. Coubé, głośny kaznodzieja paryski, ten sam, który niedawno zarysował był z kazalnicy stosunek Kościoła do międzynarodowej tegorocznej wystawy. O ile przy inauguracyi kongresu O. Sertilange zachęcał wszystkich przedewszystkiem do miłości, o tyle O. Coubé zagrzewał do walki na otwartem polu.

Po odbytem nabożeństwie i udzieleniu raz jeszcze błogosławieństwa Ojca św., pospieszono z hr. Nicolaim na czele do zakrystyi, aby podziękować księdzu biskupowi z Potosi za odbytą uroczystość celebry, a obiecywano sobie wzajemnie raz jeszcze spotkać się o drugiej godzinie z południa, przy rue de Grenelle, dla odczytania ostatecznych wniosków całotygodniowej pracy.

Monsignor Cabrières, biskup z Montpellier, prezyduje obradom. Pomimo skwarne go upału sala przepełniona po brzegi. Pań wielka

liczba. Pracowały one dzielnie do ostatniej chwili. Naradzały się przedewszystkiem, w jaki sposób bronić wiek młody od upadku. Potwierdziły międzynarodowy związek opieki nad kobietami, zawiązany przed kilku laty we Fryburgu, przyłączeniem do niego sekcji francuskiej. Kobietom, przybywającym po zajęcie i pracę do miast wielkich, Towarzystwo dostarczać będzie mieszkania, wskazówek, pomocy moralnej i materyalnej.

Poprzednio w tymże samym komitecie pań omówiono sposoby, jakimi upadłą moralnie kobietę podnieść i rehabilitować.

Do pierwszej sekcji kongresu żeńskiego weszły dzieła apostołstwa, do drugiej kształcenie kobiety, do trzeciej obrona jej przeciw niemoralnym wpływom, do czwartej sprawy socyalne i rzemieślnicze. Dzieła miłosierdzia stanowiły piątą sekcję.

Prezydował na różnych posiedzeniach pań, które po raz pierwszy na kongresie stanowiły grupę oddzielną, wikaryusz generalny, ksiądz Odelin; assystuje on także dzisiaj temu ostatniemu połączonych sekcji zebraniu, i on-to zreasumuje wota kongresu. Nim jednak ksiądz kanonik Odelin zabierze głos, przemówi pierw o kongregacjach religijnych Jezuita O. Godau; on-to przyczyni się głównie do podniesienia ducha słuchaczy.

„Bo czy wiecie, ile Francya liczy sług Bożych? — zapytuje mowca.

„Trzydzieści pięć tysięcy zakonników i 125,000 zakonnice naucają obecnie we Francyi dwa miliony dzieci, to jest jedną trzecią naszej młodzieży szkolnej, pielęgnują 200,000 chorych, przytulają 100 tysięcy sierot; 9,000 księży misyjonarzy, 4,000 braci, 34,000 zakonnice francuskie roznoszą po wszystkie krańce świata sławę naszej ojezyny. Nie dość, są jeszcze zakony, modlitwie poświęcone wyłącznie; modlą się za ten kraj, za tych, którzy się modlić nie chcą i nie umieją!

„I nie jest to najmniejsza oddana nam usługa, bo ta modlitwa chroni naród od gromów zagniewania Pańskiego!“

P. Lerolle, deputowany Paryża, a ojciec przedstawionego nam przez hr. de Mun, młodego przewodnika kół katolickich rzemieślniczych, bronić będzie jeszcze z wielką znajomością rzeczy i siłą wolności stowarzyszeń religijnych, która tak bardzo obecnym rządóm stanęła solą w oku.

Doktor Boissary opowie o ostatnich cudach, które miały miejsce w Lourdes przed miłosierdziem i potęgą Matki Najświętszej.

Ksiądz kanonik Odelin (zanim wyjdzie książka o międzynarodowym kongresie w Paryżu), streszcza jego długie prace i wota, organi-

zatorom i uczestnikom jego dziękując. Zaś biskup de Cabrières obdarza rozchodzące się tłumy swem pasterskiem błogosławieństwem.

Kongres ukończony, a najgorliwsi dziś jeszcze wieczorem odjadą do Paray-Le-Monial, aby w miejscu, w którym wielebna zakonnica Nawiedzenia, Małgorzata Alanque, usłyszała obietnice Chrystusowe, pokrzepić się w tem ognisku łask dla odważniejszego nadal wyznawania i skuteczniejszego bronienia świętej wiary katolickiej.

I jakież pozostanie wrażenie z tych narad, przemówień i pracy wspólnej uczestników kongresu?

Jedno zwłaszcza najsilniejsze: Uczucie potrzeby wspólnego, międzynarodowego działania, czujności nad sprawą Bożą, walki zorganizowanej, wytrwałej, odważnej, chociażby z zaparciem się własnego życia.

Bo jakże nie sprzyśniedz się i nie uzbroić przeciwko złemu, które świat gnębi? W tym chociaż jednym tygodniu kongresowej pracy, ileż-to zewsząd niepokojących wypadków zasmuciło katolickie serca!

Wielki mistrz massonii włoskiej, Ernest Nathan, pobudził dopiero co na nowo wolnomularzy, z okazji wyborów we Włoszech, do akcji przeciwko katolicyzmowi.

We Francji przeciw kongregacyom zakonnym wydano wyrok, czyniący zależnym ich los od specjalnego dla każdej z nich prawa.

W Auche, na przekór ludności katolickiej, zabroniono publicznych processyi. W Reims kazano podstępnie zburzyć wielki krzyż kamienny, wzniesiony na przedmieściu ze składek, pomimo czynnej protestacyi oburzonej ludności i upomnień arcybiskupa kardynała Langenieux.

W Tonnay-Charente wypędzono siostry Świętego Wincentego à Paulo z ich własnego domu! A minister finansów wydelegował nową komisję dla ocenienia, opodatkowania lub zagarnięcia wszelkich posiadłości zakonnych; zewsząd rozpasane namiętności ludzkie, które podburza rząd sekciarski, grożą spokojnemu wyznawaniu wiary, a ta nawet wielka, międzynarodowa wystawa, skąd inąd pouczająca, święci na wielką skalę uzmysłowienie sztuki i brutalną pornografię.

A jednak nie wszędzie zwycięża duch złego.

W Wiedniu na wyborach zwalczono partyę semicką.

W Belgii porażka liberalnego stronnictwa zupełna, i nie jest to pierwsze zwycięstwo zwolenników społecznego pokoju.

W Paryżu utworzyła się liga nacjonalistów. Należą do katolickiego stronnictwa, zwyciężyli przy wyborach do municypalności paryskiej. Zaszkodziła stanowczo massonji sprawa Dreyfusa. Nim się w przyszłości udzieli dotykalszej zbawienny wpływ nowoobranych, oto już propozycja du repos hebdomadaire przegłosowaną została. Niedziela zostanie nadal dniem świątecznym obowiązkowego odpoczynku.

Ale pocieszającą rękojmą przyszłości jest przede wszystkim liga katolickiej młodzieży.

Podczas, gdy Francja obchodzi kanonizację świętego J. Bapt. de La Salle, założyciela bractwa de la doctrine chrétienne, beatyfikuje bł. Kłeta ze zgromadzenia OO. Misyonarzy, oraz nowych męczenników, zamordowanych w Chinach; gdy w sam dzień Zielonych Świątek odjeżdża do Indyi świeży poczet katechetów; gdy dla uczczenia sukni Zbawiciela ściągają do Argenteuil pielgrzymki Żnawów pontyfikalnych, a Paray le Monial jest ustawicznym celem wybieczek dla tysięcznych w tym roku pątników: oto ta sama liga młodzieży katolickiej francuskiej, licząca już dzisiaj 44,000 członków wojowniczych i czynnych, postanawia odwiedzić Rzym 19 września r. b. jubileuszowego, aby zapewnić Stolicę Apostolską o swem przywiązaniu i wierności.

Dowiodła jej i na kongresie, na którym 137 jej stowarzyszeń różnych, było reprezentowanych, a 49 grup nowych pozyskała. Udowodniła użyteczność swej katolickiej pracy, zwłaszcza na tej samej bezwyznaniowej wystawie. Pałac kongresów pomieścił sprawozdanie i sympatyczne tablice jej wszechstronnej działalności. Ale nie mógł pomieścić ich wszystkich. Specjalny pawilon, wystawiony w Vincennes, dał o nich dokładniejsze wyobrażenie: Les oeuvres ouvrières des Malmaisons, od dwóch lat istniejące z baronem de Guntz na czele i jego siostrą; patronage laïque des apprentis et des jeunes Ecoliers, w której młodzi adwokaci, docenci, chirurgowie, doktorowie, (w tej liczbie najslawniejszy dziś chirurg, pan Paul Michaux), uczą bezpłatnie młodzież rzemieślniczą, pozyskując tem serce ludu; l'oeuvre des Patronages, dzieło moralizacyjne pomocy natychmiastowej i stałej dla najuboższej ludności; patronaty dla umieszczania terminatorów, warsztaty bezpłatne, tanie kuchnie, sekretaryaty ludowe, kasy oszczędnościowe, biura rozdawnictwa odzieży i obuwia, towarzystwo męskie Św. Wincentego à Paulo, setki kółek dla młodzieży rzemieślniczej, stowarzyszenia dla oddzielnych fachów, koła robotnicze pod prezydencją hr. de Mun, w liczbie 418, 136 syndykatów rolnych itd. założone są, kierowane, doglądane, zasilane, przeważnie przez szkol-

ną katolicką młodzież. Z samych patronatów, pod jej zwierzchnictwem zostających, przedstawiono na wystawie 2,551 dla chłopców, i 1,817 dla dziewcząt, a grup edukacyjnych wychowania ludu 32,674.

* Bóg w ręce tej młodzieży złożył przyszłe a szczęśliwsze losy Francji katolickiej.

MICHAŁ RADZIWIŁ.

PIŚMIENNICTWO.

Stanisław Rzepiński: „Grecya, wspomnienia z podróży, odbytej na wiosnę w roku 1896“, Kraków, 1899.

Anna Neumanowa „Legendy i Baśnie wschodu“. Kraków 1899. S-ka wydawnicza polska.

Zofia Kowerska: „Powieści.“ Kraków, 1899 roku. Spółka wydawnicza polska.

Pod przewodnictwem znanego hellenisty niemieckiego, Dörpfel-da, sekretarza archeologicznego instytutu niemieckiego w Atenach, odbywają się co czas pewien podróże naukowe po Grecyi, przeznaczone głównie dla młodych sił nauczycielskich.

Na wiosnę roku 1896 wraz z gronem nauczycieli austriackich, podróż taką odbyło kilku Polaków z Galicyi, a między nimi p. Stanisław Rzepiński, autor książki, którą mamy przed sobą.

Książka ta obejmuje tylko część pierwszą wycieczki, która skierowała się następnie ku półwyspowi Apenińskiemu.

W Grecyi zwiedzono Korfu, Patras, Korynt, Nauplię i Tirynt. Pamiątki historyczne w zwiedzaniu tych miejscowości były celem głównym. Życiu dzisiejszemu przyglądano się mało, o tyle tylko, o ile nie można było uniknąć zetknięcia się z ludźmi, których przeznaczenie dziejowe uczyniło spadkobiercami wielkich ruin kultury starogreckiej. Mimo to jednak, spostrzegawczy autor uchwycił umiejętnie wiele ciekawych szczegółów, dotyczących Nowogreków, i te podał w formie barwnej, swobodnej, okraszanej gdzieniegdzie jasnym i zdrowym humorem.

Wrażenia swoje spisywał p. Rzepiński dorywczo, przygotowując jednak książkę do druku, starał się je powiązać i nadać im tok jednolitego opowiadania. Udało mu się to w zupełności, przyczem, dzięki pierwotnemu, notatkowemu charakterowi swej pracy, uniknął nieświeżości lirycznych, w które zazwyczaj tak obfitują nasze książki podróźnicze.

Połączenie wycieczki z prof. Dörpfeldem nastąpiło dopiero w Koryncie, skąd w ogólnej liczbie 65 osób rozpoczęto właściwą podróż naukową. Na pierwszym planie był, oczywiście, stary Korynt, znajdujący się w odległości 5 klm. od dzisiejszego. Na miejscu dawnej siedziby szczęścia, dostatku, rozpasania i zbytku — stoi dziś kilka zaledwie chat wieśniaczych i lichą gospoda. Ze starożytnego Koryntu nie pozostało nic po zniszczeniu, jakiego dokonał tu oręż rzymski w roku 146 przed Chrystusem, w wiekach średnich Turcy, Wenecyanie i znowu Turcy, wreszcie, straszniejsze od wojennej grozy, trzęsienie ziemi.

Obok drobiazgów, niemających dla nauki żadnego znaczenia, jak „kąpiele Wenery“, część murów okrężnych miasta i szczątki amfiteatru rzymskiego, jest w Koryncie jeden przecież pomnik, który przetrwał lat tysiące i burze dziejowe, i klęski elementarne—to siedem potężnych, monolitowych słupów doryckich z rówkowaniem, wysokości przeszło stóp 7. a o średnicy dolnej, wynoszącej 1³/₄ m. Kolasalne ich głowice i potężne belkowania świadczą o zamierchłej starożytności. Dla nich—to głównie przybyła tu wycieczka.

Trudy podróży opłacił także wędrowcom widok, roztaczający się z wyżyn Akrokoryntu (góry zamkowej), skąd jak na dłoni widać Istmos cały, od Wschodu zatokę Saronką i góry Megary, Eginę i Salamis, Ateny, jakby przykute do gór Hymetu, góry Laurionu i przylądek Sunion, na Zachód zaś ogromną przestrzeń zatoki Korynckiej, poszarpane wieściami i zatokami brzegi północne szafirowe-

go morza aż hen — ku śnieżnemu wierzchołkowi Parnasu i ukochanemu przez muzy Helikonowi.

Droga z Koryntu do Nauplii opisana została przez p. Rzepińskiego krótko, nie przedstawia bowiem nic osobliwego. Jedyne jej urozmaicenie stanowi niezbyt wielka dolina górską Nemei — teren starożytnych igrzysk nemejskich.

Nauplia, gdzie wycieczka zatrzymała się dłużej, leży u stóp góry Palamidi i ma wyborną przystań, o której murowane brzegi tłucze się morze. Miasto dzisiejsze jest dość schludne, zabudowane jednopiętrowymi kamiennymi domami. Na jednym z placów, wśród skromnej plantacji drzew, widnieje pomnik Ypsylantisa. Pamiątek odległej przeszłości nie posiada Nauplia żadnych, jest za to wygodnym punktem, z którego odbywać można wycieczki po całej równinie argolskiej.

Jedną z kilku przedsięwziętych stąd wycieczek było odwiedzenie Tiryntu.

Opisowi ruin starożytnego zamku Tiryneckiego, wzniesionego z olbrzymich głazów „cyklopskich“, których średnia waga wynosi 3 — 4 tys. kilogr., poświęcił autor końcowe karty swojej książki, i z Homerową *Odyseją* w ręce oprowadził nas po znakomitych szczątkach..

Na tem urywa się treść zajmujących wspomnień. Nie znajdujemy już w książce opisu wycieczki do Heraion, tak starannie odkopanego i utrzymywanego w ostatnich czasach przez amerykańskich uczonych. Z krótkiej notatki dowiadujemy się tylko, że podążono tam z Nauplii.

Nie wiemy, dlaczego szanowny autor zaniechał doprowadzenia nas z sobą do końca wycieczki, jak nie wiemy, czy oczekiwać mamy dalszego ciągu „Grecyi“. Jeżeli jednak druga część opisu podróży będzie poświęcona wyłącznie Italii, to prawdziwą szkodą dla czytelnika pozostanie brak opisu tych miejscowości, które, zwiedzone przez p. Rzepińskiego pod przewodnictwem tak doskonałego znawcy starożytności helleńskich, jak Dörpfeld, nie weszły do jego książki o „Grecyi“.

I za to jednak, co mamy przed sobą obecnie, należy się autorowi uznanie wszystkich miłośników starożytności greckich, książkę bowiem zamkną oni niewątpliwie z tem przeświadczeniem, że im ona kil-

ka chwil prawdziwie miłych przyniosła, a w razie potrzeby — służyć może za dobrego przewodnika.

Szkoda tylko, że ogólne wrażenia dodatnie psują wyrażenia, jak: „nadawanie“ posyłki na pocztę (wyrażenie galicyjskie), „wsporniki“, zamiast przy pory i kilka innych.

Książkę p. Neumanowej bierze się do ręki z zainteresowaniem, jakie w nas budzi tytuł.

Wschód—to kraina fantazyi.

Legendsy i baśnie Wschodu—to świat dziwów i orgii barw, uczta dla wyobraźni.

Oczekujemy więc od tych „w słońcu afrykańskiem malowanych obrazków“ uroku pustyń bezbrzeżnych, szumu wichrów palących, szeptu palm samotnych w oazach, nieba przestronnego, a na tem tle beduinów, owiniętych w białe burnusy, czarnookich, gazelom podobnych, kobiet, których przygody, wierzenia, zabobony, zajmą nas, porwą, odtworzą nam jakieś odrębne, egzotyczne życie, daleki, nieznaną świat, ku któremu jednak mocą upodobań, odziedziczonych po praojcach aryjskich, lgnjemy duszą.

Oczekujemy od legend tych i baśni, poprostu mówiąc, Wschodu.

Niestety, p. Neumanowa daje go nam bardzo mało i daje więcej w języku i stylu napuszonym—niżeli w obrazach.

Po przeczytaniu książki czujemy, że nie wzbogaciliśmy niczem naszej wyobraźni, że autorka nie zaspokoila ani naszych umysłowych, ani estetycznych wymagań, że daleko piękniejsze legendy i baśnie znamy skądinąd, i że lepiej jest przysporzyć naszej literaturze dobrą w tym przedmiocie książkę francuską lub angielską, niż pisać ją oryginalnie, nie posiadając odpowiedniego ku temu zasobu spostrzeżeń i zdolności barwnego malowania rzeczy barwnych.

A jednak sam Wschód powinien był w pisarzu wrażliwym tę zdolność rozwinąć. Kilkoletni pobyt w Kairze, sąsiedztwo pustyni i obserwacya bezpośrednia, wpatwienie się i wczucie w otaczające ży-

cie, uchwycenie jego rytmiki leniwej a namiętnej—powinny były odbić się na utworach, z istoty swojej dopominających się o artyzm, powinny były nadać im koloryt i ton właściwy. Niestety, stało się inaczej.

Gdzieniedzie wprawdzie udaje się p. Neumanowej „malować w słońcu“, ale trafia się to tak rzadko, że o większości opracowanych w książce tematów powiedzieć można, iż zostały one zepsute przez dziwną nieudolność wyzyskania efektów, które w umiejętnem i staranniejszem oświetleniu, po należytem wypukleniu szczegółów — mogły się stać prawdziwie piękne.

Mimowoli też na myśl przychodzi, jakby tematy te wyszły z pod pióra, któremu-by barwności swojej i subtelności użył Loti na przykład.

Początkowe obrazki, których ogółem w książce jest osiem, nie pozbawione są jeszcze pewnych zalet. Na wstępie mamy rzecz stanowczo w całym zbiorze najlepszą — „Na pustyni“. Potem na wyróżnienie zasługuje „Palma samotna“. Snać uważała to i sama autorka, umieszczając utwory te na czele, aby zachęcić czytelnika do zapoznania się z całą książką. W miarę jednak, jak posuwamy się dalej, wrażenie słabnie. Z każdą niema! kartką opada coś z tego uroku, którym legendy i baśnie Wschodu otacza wyobraźnia, rozpięzcha się blask słoneczny, wydłuża cień, przysłaniający najżywsze momenty w opowiadaniach.

Dochodzimy wreszcie do utworów końcowych. Przedostatni nosi tytuł „Dwa śluby“. Nie jest to już ani legenda, ani baśń. Efekt artystyczny miał tu być osiągnięty przez zestawienie dwóch uroczystości: ślubu młodej Lewantynki w Kairze i ślubu dziewczęcia polskiego „nad Wisłą“, oraz przez wykazanie w następstwie różnicy pomiędzy małżeństwem i szczęściem domowem u nas, a na Wschodzie.

Pomysł banalny, a wykonanie? Oto próba:

„A teraz odwiedźmy na chwilę wiejski domek nad Wisłą — mówi autorka.— Dzień ponury, jesienny, dżdżysty, niemile dreszcze budzi, ale w skromnych pokoikach jakże ciepło i wesoło! jaki tu ład i spokój! Znać wszędzie pracowitą rączkę opiekuńczego anioła domu—kobiety. Widzisz ją w tej chwili, jak pięści złotowłosą główkę dzieciny i każe jej powtarzać z książki literki i słowa. Jakaż radość matki i dziecka, gdy literka poznana! A oto głos znany doleciał z podwórza. To pan domu powraca z pola, zziębnięty, przemokły, zmęczony. Ale już powitany uściskiem, zaledwie stanął w progu, zapominał trudu i troski. Bodaj to żyć i umierać w takiej chacie!“

Ustęp powyższy może się dostać do wypisów dla młodych panienek, bo jest bardzo poczciwy i bardzo w intencji swojej szlachetny, ale po literacku go biorąc, musimy zawołać: jakież to stare już i niesmaczne!

I naprawdę, p. Neumanowa tak mało ma smaku dzisiejszego, tak jej talentowi gawędziarskiemu obce są pierwiastki sztuki czystej, a wyobraźnia jej tak skrzydła leniwie po ziemi wlecze, że jej legendy i baśnie Wschodu powinny być pozostać raczej miłym wspomnieniem osobistem chwil, spędzonych w Kairze, a nie wchodzić na targ księgarski z pretensjami do literatury.

P. Kowerska pisze od ręki, pisze swobodnie i śmiało, z dużą rutyną i wyrobieniem pisarza, który umiał już sobie zdobyć szerokie koło czytelników nietylko zaletami pióra, służącego nie od dzisiaj piśmiennictwu, ale rzadkim w dzisiejszych czasach optymizmem życiowym—pogodą i humorem.

Bohaterowie jej nie szarpiają się, nie walczą z mrokiem, nie padają pod brzmieniem cisnących się do ich mózgow zagadnień; ale idą drogami, na które pada słońce, idą spokojnie i cicho. Stąd niektóre obrazki p. Kowerskiej są jakby w słońcu kreślone.

Do takich należy pierwsza zaraz powiastka w zbiorze „Dla Anusi”. Tyle tu humoru, wesela, szczerego zadowolenia z życia, tyle szczęścia, że czytelnik, przyzwyczajony do zgorzkniałych, wyrafinowanych analiz cierpienia ludzkiego w powieściach współczesnych, z podziwem odkłada książkę i prawdziwą ma wdzięczność dla autorki za pokazanie mu życia z najpoważniejszych jego stron.

Bohaterką opowiadania jest młode dziewczę-podlotek, Anusia, która na drodze swojej spotyka zepsutego już trochę, znającego dobrze świat, życie i kobiety, kuzyna. On się nią bawi, ona—naiwnie przyjmuje wszystko i na tle wiosny, z żywiołową siłą jakąś, wykwita z tego cudowny kwiat pierwszej miłości. Spozstrzega to Jaś i usiłuje się cofnąć—on przecież miał inne zupełnie widoki i bez posagu żenić się nie może. Wyjeżdża nawet na czas pewien z domu, ale wraca —

i odaje się uczuciu, które mu przynosi szczęście, „jakiego-by za miliony nie oddał“.

Opowiadanie bardzo proste, historia, jakich wiele. A przecież jest w tem tyle prawdziwej radości dwóch serc, tyle naiwności, tyle prostoty gołębiej i czystości pojęć, i tyle „mądrości Bożej, wprost z nieba przyniesionej“, jak sama autorka w którymś miejscu powiada, że mimowoli budzi się w duszy tęskne pragnienie życia, które łączy w sobie te pierwiastki szczęścia, pogody i zachwyty. Ale ono jest od nas daleko, tak je tłumią od samego początku czynniki inne, wdzierające się przedwcześnie do dusz młodych świadomością bólu i nędzy istnienia.

Odczuwa to snąć i p. Kowerska, bo wślad za opowiadaniem „Dla Anusi“ i drugim jeszcze słonecznym obrazkiem „Z życia Jasia“ idą dwie opowieści smutne, z których jedna, na tle rugów poznańskich, ma w sobie rozdzierający smutek doby dzisiejszej.

„Wydalona“ — to dzieje małej ośmioletniej dziewczynki, sieroty.

Kombinacya była taka. Dziewczynka pochodziła od rodziców z Królestwa. Matka odumarła ją wcześniej, ojciec ożenił się po raz drugi i wkrótce także zeszedł z tego świata. Dorotka została na opiece macochy, która znów za mąż wyszła. Mimo to jednak mała znalazła u tych nowych, przybranych rodziców miłość i przywiązanie. Powikłania te nie istnieją atoli dla rządu pruskiego. Paragraf jest martwy i w sferę uczuć nie wchodzi, a wykonawcy jego są ślepi i nieczuli. Paragraf zażądał wydalenia Dorotki, jako „obcego przybysza,“ więc ją władza wydała. Zjawiają się żandarmi i domagają się wydania dziecka. Wystraszone dziewczątko, na widok ludzi zbrojnych w domu, o których wie, że po nie przyszli, dostało ataku konwulsyi. Rozwija się z tego choroba, wskutek której Dorotka umiera. Bezduszna ustawa tryumfuje, a cóż, że o jedno istnienie ludzkie mniej na świecie, że kilka serc, rozdartych bólem, protestuje głucho.

Dzieje to smutne a prawdziwe, z przeszłości niedalekiej, odczuwane przez autorkę żywo. Ale i tutaj smutek jej nie jest nerwowym, szamocącym się, bezsilnym smutkiem duszy współczesnej, jest tylko obywatelskim odczuciem tego, co boli, jest położeniem ręki na ranę krwawiącą. W opowiadaniu — mimo całego bólu i łez — niema ani jednej nuty, która-by brzmiała zwątpieniem i beznadzieją.

Zestawiając wszystkie, w książce p. Kowerskiej zawarte, obrazki, dojść musimy do wniosku, że w talencie jej tkwi na pierwszym

planie zdolność do odtwarzania stron jasnych życia. Tutaj najlepiej czuje się pióro jej swobodne i wesołe, najzamaszyściej maluje i najszybciej zjednywa sobie sympatyę czytelnika. Takie powiastki, jak „Dla Anusi“, zawsze i przez wszystkich czytane będą chętnie, i ten kierunek w drobnych utworach autorki najwydatniejszym będzie, dla niej i dla nas, którzy z takim upragnieniem szukamy więcej promieni słońca na kartach smutnych książek dzisiejszych.

Z. D.

Kronika miesięczna.

I.

Zmiany w Towarzystwie Kredytowym miasta Warszawy.

Nieraz już na tem miejscu mieliśmy sposobność ostatniemi czasy dotykać rozlicznych stron stosunków miejskich w Królestwie. Między innemi, przed dwoma przeszło laty ¹⁾, wypadło nam zwrócić uwagę na naglące potrzeby taniego kredytu nieruchomego miejskiego w naszych miastach prowincjonalnych, oraz na projekt zaradzenia tej potrzebie dla jednej przynajmniej stołecznej gubernii Warszawskiej, podniesiony przez Towarzystwo Kredytowe miasta Warszawy. Obecnie tamten projekt zbliża się do urzeczywistnienia. Lecz zarazem wyłoniła się z niego pewna, całkiem nieprzewidziana, komplikacya dodatkowa. Mianowicie, w obecnej chwili istnieje już możność prawna udzielania pomocy kredytowej Towarzystwa warszawskiego miastom prowincjonalnym gubernii Warszawskiej. Atoli dzisiaj stać się to może nie inaczej, jak pod warunkiem zniesienia Zgromadzeń Ogólnych, to jest dotychczasowego zasadniczego organu przedstawiciel-

¹⁾ „Kronika miesięczna“, lipiec, 1898.

stwa Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy. Sprawa pierwotnie nader prosta, przedstawia obecnie dwie strony, właściwie, same przez się całkiem odrębne, a jednak odtąd ściśle nierozłączne. Rzecz pod każdym względem zasługuje na uwagę. Nie będzie zbyt cennym w kilku bodaj słowach przyłożyć się do właściwego jej wyświetlenia.

Na początku 1897 roku Zarząd Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy bliżej zajął się myślą rozszerzenia działalności Towarzystwa na inne miasta gubernii Warszawskiej. Myśl w zasadzie była pod każdym względem pożyteczna i zdrowa; co więcej, jak to swego czasu przypomnieliśmy na tem miejscu, nie była najmniej nową, gdyż już oddawna, od lat kilkunastu, pokutowała w najrozmaitszych postaciach, nie mogąc doczekać się urzeczywistnienia. Tym razem, po całorocznych czynnościach przygotowawczych, rzecz dojrzała o tyle, że władze Towarzystwa mogły wystąpić z wypracowanym szczegółowo wnioskiem w tej materii, który też już w styczniu 1898 roku został akceptowany w zasadzie przez Zgromadzenie Ogólne, zaś następnie, w marcu tegoż roku uznany za dobry przez Naczelnika kraju, i skierowany do ministerjum finansów w Petersburgu, skąd, w drodze właściwej, miał przejść do rozpoznania Rady Państwa na najbliższej sessyi jesiennej. Rzeczy jednak nie poszły w tak szybkim tempie, jak pierwotnie przewidywano. Minęło przeszło dwa lata. Obecnie dopiero, w maju roku bieżącego, pierwotna sprawa lokalna znalazła szersze i powszechniejsze rozwiązanie. Zamiast zatwierdzenia pierwotnego konkretnego projektu Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy względem upoważnienia go do wydawania pożyczek w innych miastach gubernii Warszawskiej, ukazała się ogólna Ustawa normalna, regulująca odtąd, w zakresie rzeczzonego przedmiotu, czynności wszelkich, w całym państwie, towarzystw kredytowych miejskich.

Taką Ustawę normalną stanowi w rzeczy samej Najwyżej zatwierdzone Zdanie Rady Państwa z dnia 1/14 maja 1900 roku „O pozwoleniu towarzystwom kredytowym miejskim, ustanowionym w jednym mieście gubernii, wydawania pożyczek w innych miastach tejże gubernii“. Na mocy tego prawa, istniejące towarzystwa kredytowe miejskie, uchwałą $\frac{2}{3}$ swoich członków, obecnych na zgromadzeniu ogólnem, po zatwierdzeniu takiej uchwały przez ministra finansów, mogą rozciągnąć swoją działalność na miasta prowincjonalne tejże gubernii, albo nawet gubernii ościennych (ustęp I, §§ 1, 2). Rzeczzone rozciągnięcie dopuszcza się względem miast prowincjonalnych, gdzie szacunek ubezpieczeniowy budowli przenosi 150 tysięcy rubli, oraz skąd zainicywowane zostało przystąpienie do danego Towarzystwa kredy-

towego conajmniej przez 20 obywateli miejscowych (§ 4). O tyle też w prawie niniejszem uwzględnione zostały dezyderaty, wyrażone w projekcie pierwotnym Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy. Dalszy atoli przepis (§ 5) ma brzmienie następujące: „W towarzystwach kredytowych, otwierających czynności w innych miastach, zgromadzenia ogólne członków zamienione zostają na zgromadzenia pełnomocników, na zasadzie praw obowiązujących, przyczem w każdym mieście, przyłączonem do zakresu działań towarzystwa, ustanowione będą oddzielne zgromadzenia wyborcze dla obioru pełnomocników, według prawideł, wskazywanych przez ministra finansów“.

Tym więc sposobem, w chwili obecnej, w zastosowaniu bezpośredniem do Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy, rzecz przedstawia się tak, że ostateczna uchwała Zgromadzenia Ogólnego warszawskiego w sprawie zamierzanego rozciągnięcia jego operacji na gubernię Warszawską, będzie zarazem równała się *ipso jure* zakończeniu dalszego bytu tegoż Zgromadzenia, i stworzeniu, na jego miejsce, nowego organu pod postacią zgromadzenia pełnomocników.

Takie jest położenie. Przystępując do rozważenia go, należy przedewszystkiem stwierdzić jedną oczywistą okoliczność. Należy mianowicie stwierdzić, że pierwotna specjalna inicjatywa Towarzystwa warszawskiego, w przedmiocie rozszerzenia jego sfery kredytowej, nie stanowiła, bo nie mogła stanowić, właściwego motywu dla niniejszej ogólnej noweli prawodawczej w przedmiocie zacieśnienia jego sfery reprezentacyjnej. Taki motyw wtedy tylko mógł-by być prawdopodobnym w danym wypadku, gdyby projekt naszego Towarzystwa pociągał za sobą tak nagły i nadmierny przyrost liczby stowarzyszonych, iżby skutkiem tego nasuwała się trudność praktyczna dalszego trwania Zgromadzeń Ogólnych warszawskich w dotychczasowej postaci, a zarazem potrzeba zastąpienia ich przez mniej liczne zgromadzenia pełnomocne. Taki wypadek atoli tutaj nie zachodzi zgoła. W istocie, idzie tutaj o wydawanie pożyczek przez Towarzystwo Kredytowe miasta Warszawy conajwyżej w dwunastu miastach gubernii Warszawskiej, które mogą być brane w rachubę, gdyż te tylko czynią zadość warunkom pierwotnego projektu i nowego prawa o wykazywanem w nich *minimum* szacunkowem. Biorąc teraz za podstawę liczbę dwudziestu deklarantów, przewidzianą w temże prawie, okaże się, że chodzi o przystąpienie do Towarzystwa jakich paruset, conajwyżej kilkuset nowych stowarzyszonych prowincjonalnych. Tymczasem obecna cyfra stowarzyszonych w samej Warszawie wynosi już przeszło 3,000. Zaś z tej tak znacznej liczby dotychczasowej, zazwyczaj nie więcej nad $\frac{1}{10}$, to jest około 300 stowarzyszonych, stawia się osobiście dla uczestniczenia w Zgromadzeniu Ogólnem, choć mają je

pod ręką. Biorąc analogiczny stosunek pośród przypuszczalnych stowarzyszonych prowincjonalnych, którzy, oczywiście, nie więcej od Warszawian będą tłoczyli się na Włodzimierską ulicę, okaże się koniec końcem, że w danym wypadku, po urzeczywistnieniu pierwotnego projektu Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy, wypadło-by przewidywać faktyczne powiększenie liczby uczestników tutejszego Zgromadzenia Ogólnego o jakie kilkadziesiąt, a najpewniej zaledwo o kilkanaście osób. Rzecz prosta, iż tak nikły stosunkowo przyrost nie mógł żadną miarą, jak rzekliśmy, stanowić istotnego motywu nowego przepisu prawodawczego, pociągającego za sobą kasację Zgromadzenia Ogólnego w jego obecnej postaci.

Skoro zaś taki motyw nie wynika z rzeczywistych stosunków lokalnych, należy szukać go gdzieindziej. W rzeczy samej, odnajduje się on w stosunkach, panujących w towarzystwach kredytowych miejskich Cesarstwa, a zarazem w powszechniejszej dążności władz odpowiednich, zmierzającej ku zniesieniu w tych towarzystwach instytucji zgromadzeń ogólnych i zastąpieniu jej przez mniej liczne zgromadzenia pełnomocne. Taka dążność nie powinna była zresztą stanowić żadnej niespodzianki dla towarzystw kredytowych Królestwa, albowiem już od szeregu lat znajdowała sobie wyraz w licznych postanowieniach poszczególnych ministerjum finansów, a nawet w niektórych ogólniejszych aktach prawodawczych.

Pierwszy punkt wyjścia pod tym względem stanowiły burzliwe wypadki, wydarzone w 1884 i 1885 r. na zgromadzeniach ogólnych w Towarzystwie Kredytowym petersburskiem, które, skutkiem tego, na mocy postanowienia Rady Państwa z czerwca 1886 roku, zostały skasowane i zastąpione przez zgromadzenia 210 przedstawicieli pełnomocnych, wybieranych w trzech listach po 70, przez trzy grupy stowarzyszonych, podzielonych w stosunku posiadanych pożyczek, w ten sposób, iż każda grupa wyborców reprezentuje $\frac{1}{3}$ ogółu pożyczek. Podobnie, z innych powodów, w Towarzystwie Kredytowym odeskiem, na zgromadzeniu ogólnem w marcu 1892 r., przy rozprawach nad projektem udzielenia gratyfikacyi urzędnikom, doszło do zajęć wysoce nieparlamentarnych: mówcy wskakiwali na stoły, wygrażali sobie, zagłuszali gwałtem prezydującego, sala obrad, według słów świadka naocznego („Odesskaja Gazeta“, 1892 roku, № 63), „zamieniła się na targowisko“, aż w końcu wezwany na ratunek przez prezydium ówczesny naczelnik miasta, generał-lejtnant Zelenoj, musiał zamknąć posiedzenie, poczem następne zebranie odbyć się musiało przy udziale siły zbrojnej i władz policyjnych. Skutkiem tego znowuż niebawem, w 1893 roku, zgromadzenie ogólne odeskie zostało skasowane i zastąpione przez zgromadzenie pełnomocników, na wzór petersburskiego.

Taki sam system zaprowadzony został również w towarzystwach kredytowych w Kijowie, Rydze, Rewlu, Kronsztadzie i Tyflisie itd. Nareszcie cała ta sprawa raz na zawsze zdecydowaną została w zasadzie przez ogólny przepis prawodawczy pod postacią Najwyżej zatwierdzonego Zdania Rady Państwa z dnia 15/27 listopada 1893 roku w takich słowach: „W towarzystwach kredytowych miejskich, liczących przeszło 300 członków, zgromadzenia ogólne mogą być zamienione, według uznania ministra finansów, niezależnie od życzenia samych towarzystw, przez zgromadzenia pełnomocników, na zasadzie przepisów odpowiednich, ustanowionych dla Towarzystwa Kredytowego miejskiego petersburskiego. Liczba pełnomocników określa się przez ministra finansów, z uwzględnieniem, w każdym wypadku, warunków miejscowych, przyczem zgromadzenie pełnomocne będzie składało się conajmniej z 36 osób. Pełnomocnikami nie mogą być osoby, zajmujące w danem towarzystwie jakiegokolwiek stanowiska administracyjne, obsadzone z urzędu, a nie z wyboru“. W rozwinięciu tego przepisu, wydany został następnie, dnia 20 marca (1 kwietnia) 1895 roku, inny jeszcze przepis dodatkowy, iż do ustawy towarzystw kredytowych miejskich, posiadających zgromadzenia pełnomocników, zamiast ogólnych, minister finansów mocen jest, wedle swego uznania, niezależnie od życzenia takich towarzystw, wprowadzać przepisy porządkowe, na wzór obowiązujących w Towarzystwie petersburskiem.

Jasną jest doniosłość wskazanych szczegółów, a zwłaszcza tych ostatnich sankcyi prawodawczych 1893 i 1895 roku. Właściwie już od tego czasu dalsze trwanie zgromadzeń ogólnych w towarzystwach kredytowych miejskich Królestwa — (a więc, obok Warszawy, również i Łodzi, liczącej przeszło 1,000 stowarzyszonych, jako też, w dalszym rzędzie, i Piotrkowa, Lublina, Kalisza i Płocka, o ile przekroczoną zostaje norma 300 stowarzyszonych, wskazana w prawie 1893 roku) — należało uważać za zakwestyonowane w zasadzie. W każdej chwili te zgromadzenia mogły być skasowane z woli ministra finansów i zamienione na zgromadzenia pełnomocników. Odpowiadało to zapewne, obok innych pobudek, także ogólniejszym wymaganiom ścisłego ujednostajnienia stosunków i w tej specjalnej dziedzinie. Widocznie jednak ministerium nie uznawało dotychczas za właściwe zastosować tutaj przysługującej sobie bezpośredniej inicjatywy. Natomiast obecnie skorzystało z pierwszej nadarzonej sposobności dla pośredniego osiągnięcia tego samego skutku.

W świetle wyjaśnień powyższych, przebieg dotychczasowy i dalsze widoki sprawy niniejszej przedstawiają się z dostateczną jasnością. Jednak słyszeliśmy już w tej sprawie rozmaite głosy, wycho-

dzące z wprost przeciwnych punktów widzenia, a które w swojej skrajności wydają się nam jednakowo pośpieszne i niezasadne. Słyszeliśmy, z jednej strony, zarzuty, skierowane pod adresem władz Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy, iż nie powinny być wcale podnosić pierwotnego projektu o rozciągnięciu operacyi Towarzystwa na gubernię, ażeby nie dawać otworu dla obecnej komplikacyi, narażającej byt Zgromadzenia Ogólnego. Nie sądzimy, aby te zarzuty były słuszne. Projekt Towarzystwa sam przez się dotyczył wyłącznie sfery kredytowej, nie wkraczając do właściwej organizacyjnej. Jako taki, sam przez się był bezwarunkowo użyteczny. To też swego czasu nie omieszkaliśmy sami na tem miejscu oddać należnego uznania inicjatywie władz Towarzystwa w tym przedmiocie. Czyniliśmy to, i czynimy jeszcze, w tem przypuszczeniu, że te władze, świadome swojej odpowiedzialności moralnej, a dla których nie powinna była, jak rzekliśmy, być żadną niespodzianką wynika obecnie ewentualność, spoczywająca już oddawna w precedensach towarzystw kredytowych miejskich Cesarstwa oraz w prawie 1893 roku, — niezawodnie, przy forytowaniu swojego projektu, nie zaniedbały niczego, dla ominięcia, w miarę możności, owej ewentualności. Słyszeliśmy dalej wyrażone powątpiewania, ażali w położeniu obecnem, dla uratowania Zgromadzenia Ogólnego, nie było-by lepiej dać całkiem za wygraną, wyrzec się własnego projektu, nie tykać stosunków kredytowych gubernii, i pozostawić własnej przedsiębiorczości miast powiatowych stworzenie w nich lokalnych towarzystw kredytowych dla zaspokojenia własnych ich potrzeb. Podobno nawet w jednym mieście (Łowiczu) taka myśl istotnie jest podejmowana na własną rękę. Nie możemy przecie pisać się na takie rozwiązanie, które naprawdę nie rozwiązało-by niczego. Od wydania przepisu 1893 roku, byt Zgromadzenia Ogólnego warszawskiego nie od Towarzystwa zależy, lecz od uznania ministerjum, które, raz wyraziwszy swoje w tym względzie intencye, tak, czy owak, do ich urzeczywistnienia w każdej chwili może przystąpić. Skutek abstynencyi Towarzystwa od swego pierwotnego projektu był-by zatem conajmniej bardzo niepewny. A tymczasem tyle pewna, iż leży zarówno w interesie Towarzystwa, jako też miast powiatowych gubernii, aby dostały się one pod skrzydła kredytowe Warszawy. Rozstrzelenie kredytu miejskiego przez rozmnożenie mikroskopijnych towarzystw lokalnych było-by niedorzecznem pod względem ekonomicznym i przeciwnem skądinąd, z rozmaitych względów, interesowi publicznemu. Jednem słowem, projekt pierwotny jest dobry, a zatem należy go wykonać. Należy tem bardziej, iż zaniechanie go, to jest zaprzepaszczenie jednej sprawy — kredytowej, w niczem nie poprawiło-by dru-

giej—organizacyjnej, i zamiast zabezpieczyć przyszłość Zgromadzeń Ogólnych, najprawdopodobniej na krótką tylko chwilę odroczyło-by ich koniec.

Uważaliśmy za stosowne uczynić te wyraźne zastrzeżenia przeciw wzmiankowanemu, zbyt jednostronnemu i niedość roważnym opiniom, będącym odgłosem zrozumiałego, lecz poniekąd przesadnego niepokoju. W ogólności, jakkolwiek rzecz samą uważamy za przesądzoną, to jest zniesienie naszych Zgromadzeń Ogólnych uważamy jedynie tylko za kwestyę czasu, zastrzegamy się wyraźnie, iż dalecy jesteśmy od pesymistycznego przecenienia skutków takiej zmiany. Przeciwnie, ubolewając nad przewidywanym rychłym końcem tego użytecznego i dotychczas dobrze zasłużonego organu, żywimy przecież przekonanie, że, przy właściwych staraniach i właściwem uwzględnieniu potrzeb miejscowych w samym sposobie wprowadzenia przewidywanej zmiany, ten dawny, wypróbowany organ da się w pewnej mierze wystarczająco zastąpić przez nowy, pod postacią zgromadzeń pełnomocnych, i że w każdym razie taka zmiana nie odbije się dotkliwie na dalszym pomysłnym rozwoju samej instytucji, tak poważnej i sympatycznej, jak Towarzystwo Kredytowe miasta Warszawy. Wszelkie pod tym względem jednostronne czarnowidztwo i pesymistyczna przesada były-by, zdaniem naszym, nieuzasadnione i szkodliwe.

Wszelako, czyniąc powyższe zastrzeżenia w imię trzeźwości i umiarkowania, musimy zaraz w równej mierze zastrzedz się przeciw niektórym, równie pośpiesznym i niedość dojrzałym głosom, jakie z wprost przeciwnej strony dochodzą nas w materji niniejszej. W rzeczy samej, jeśli w danym wypadku niema dostatecznego powodu do przesadnego niepokoju, przecież, mniemali-byśmy, niema także żadnego powodu do przesadnej uciechy. Było-by, zapewne, źle umieszczoną gorliwością wieszować sobie już z góry zniesienia naszych Zgromadzeń Ogólnych. Jednakowoż jedno z pism warszawskich uznało za właściwe już z góry nazwać to przewidywane zniesienie „nader pożądaną zmianą“. Nie możemy solidaryzować się z takim znowu jednostronnym poglądem. Takim zresztą widocznie nie był pogląd samego ministerjum. Od lat siedmiu, t. j. od 1893 r., miało ono w ręku zupełną możność prawną zniesienia naszych Zgromadzeń Ogólnych. Jednak tego nie uczyniło. Widocznie zatem nie uważało tej zmiany za „nader pożądaną“. Obecnie uznaje ją skądinąd za konieczną, a przecież wolało uniknąć własnej bezpośredniej inicjatywy w tej mierze i skorzystać raczej z nasuwającej się drogi pośredniej. Nie widzimy potrzeby być bardziej ministeryalnymi od ministerjum. Godzimy się całkowicie na zmianę konieczną, której wszakże „nader pożądaną“ nie

mieliśmy dotychczas powodu. Nie mieliśmy albowiem żadnego powodu uskarżać się na dotychczasową działalność naszych Zgromadzeń Ogólnych. Była ona w całości, pomimo nieuniknionych, drobnych usterek, zupełnie zadawalającą. Wprawdzie, jak wspominaliśmy, na Zgromadzenia Ogólne warszawskie, z liczby przeszło 3,000 stowarzyszonych, uczęszczało zazwyczaj nie więcej, nad kilkaset. Ale było to zjawisko nie tylko nie ujemne, lecz, przeciwnie, całkiem normalne. W ogólności w tych rzeczach — czyliż potrzeba dopiero przypominać tę prawdę elementarną? — nie zawsze chodzi tyle o pełne wyczerpanie swego prawa, ile o prawo samo. Zachodzi tutaj podobny stosunek, jak w innych analogicznych dziedzinach jawności publicznej, na przykład w dziedzinie sądownictwa, gdzie bynajmniej nie potrzeba zatłoczenia sal sądowych. Jeśli podobnie nie tłoczono się na sali Zgromadzenia Ogólnego w Warszawie, dowodziło to tylko stanu normalnego, bo dowodziło zaufania dla instytucji. Zresztą, skład tych kilkuset osób, które uczestniczyły w tych Zgromadzeniach, nie był ten sam za każdym razem, i w ten sposób ostatecznie, z biegiem czasu, nader znaczna ilość stowarzyszonych, należących do najrozmaitszych warstw obywatelskich miasta, brała udział osobisty w naradach. Na samych tych naradach, cechowanych przedewszystkiem szczerą dbałością o dobro instytucji i publiczne, panowała na ogół przykładowa powaga i porządek i, pomimo nieuniknionych starć opinii, przeciw o gorszących zajęciach tego gatunku, jakie wydarzały się tak często w towarzystwach kredytowych miejskich Cesarstwa, nie było u nas nigdy słyhać. Nigdy też ministerium finansów, jako naczelna władza nadzorcza, nie miało w tej mierze niczego do zarzucenia Towarzystwu warszawskiemu, ani też nie miało okazji do zastosowania względem niego tych środków koercyjnych, które od szeregu lat miało w swych rękach, i które musiało zastosować względem towarzystw kredytowych miejskich Cesarstwa, wydając tym sposobem negatywnym najlepsze świadectwo naszym Zgromadzeniom Ogólnym. Tem bardziej z naszej strony wydaje się właściwem wydać takie świadectwo i oddać należną sprawiedliwość naszym Zgromadzeniom Ogólnym, zamiast z przedwczesną skwapliwością od nich się odzegnwać, w chwili, kiedy prawdopodobnie zbliżają się do kresu swojej egzystencji dotychczasowej.

Nareszcie, wobec takiego prawdopodobnego rozwiązania, jedna okoliczność przedewszystkiem powinna narzucić się uwadze ogółu i pieczołowitości odpowiedzialnych władz Towarzystwa. Chodzi mianowicie o przyszłe urządzenie organu, powołanego prawdopodobnie do zastąpienia Zgromadzeń Ogólnych, t. j. o urządzenie przewidywanych zgromadzeń pełnomocnych. Istniejące w tym względzie przepisy odznaczają

się pewną niejasnością, ale także pewną dostateczną rozciągłością, którą wypadło-by w miarę możności zużytkować dla dobra instytucyi. Zgromadzenie Ogólne warszawskie, skoro własną swoją uchwałą o kredycie gubernialnym miało-by wyrzec o własnym niebycie, i w ten sposób dostarczyć pośredniej drogi dla wykonania uznanej za konieczną zmiany, oszczędzając drogi bezpośredniej ministeryum, zapewne spodziewać się powinno uwzględnienia natomiast niektórych uzasadnionych swoich dezyderatów co do technicznego tej zmiany uskutecznienia. Takie przypuszczenie tem bardziej wydawało-by się słusznem, iż w powołanym przez nas przepisie 1893 roku, do którego z kolei odwołuje się tekst nowego prawa z roku bieżącego, wyraźnie zostało ustalonem, iż minister finansów, przy organizacyi nowopowstających zgromadzeń pełnomocnych, „będzie uwzględniał, w każdym oddzielnym wypadku, warunki miejscowe“. Oczywiście, wiele zależy na tem, ażeby co do ilości, składu, sposobu obioru i obieralności, i innych ważnych szczegółów, dotyczących zarówno pierwotnej operacyi wyborczej, jako też samej czynności porządkowej zgromadzeń pełnomocnych, na wypadek wprowadzenia tego organu do naszych towarzystw kredytowych miejskich, w jak najrozleglejszej mierze zostały uwzględnione potrzeby miejscowe Królestwa. Co się tyczy już samej najprostszej, a zasadniczej kwestyi ilościowej, to we wzmiankowanym piśmie warszawskim, z powodu niniejszej „nader pożądaney zmiany“, wyczytaliśmy między innemi także jeszcze, widocznie również niedość obmyślane, zdanie, iż liczba „120 — 150 pełnomocników“ była-by całkiem wystarczającą dla Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy. Woleli-byśmy nie przesądzać kwestyi w taki, zbyt summaryczny, sposób. Istotnie, akceptowana z lekkiej ręki w zdaniu powyższem cyfra 120 pełnomocników, była-by stosunkowo niższą od cyfry pełnomocników petersburskich. Towarzystwo Kredytowe petersburskie w chwili, kiedy, na mocy Zdania Rady Państwa z dnia 24 czerwca 1886 roku, przyznaną mu została liczba 210 pełnomocników, liczyło około 4,000 stowarzyszonych. Towarzystwo Kredytowe miasta Warszawy liczy obecnie około 3,400 stowarzyszonych. Już tylko biorąc w rachubę sam ten podstawowy stosunek liczebny, wypadło-by oczekiwać dla Warszawy conajmniej 170 pełnomocników; zaś niezawodnie tę cyfrę minimalną należało-by jeszcze znacznie podwyższyć, jeśli uwzględnimy znacznie szybszy ostatnimi laty wzrost budowlany i ludnościowy Warszawy w porównaniu z Petersburgiem. Zresztą, powiedzieli-byśmy w ogólności, że gospodarstwo Towarzystwa Kredytowego petersburskiego, z ustaloną tam w rozlicznym względzie praktyką, ze stosowaną tam naprzykład, jak wiadomo, wyjątkową liberalnością przy wymierzaniu wysokości po-

życzek i t. p., niekoniecznie mogła-by służyć za wzór dla Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy. Tak samo znowu, biorąc za punkt porównania Towarzystwo Kredytowe odeskie, przekonywamy się, że w chwili, kiedy na mocy Zdania Rady Państwa z dnia 27 listopada 1893 roku, przyznana mu została liczba 120 pełnomocników, szacunek ogólny należących do niego nieruchomości wynosił niewiele więcej nad 100 milionów rubli. W Towarzystwie Kredytowym miasta Warszawy ten szacunek wynosi przeszło 190 milionów rubli. Jeśli-by zatem wziąć za podstawę powyższy stosunek w porównaniu z Odessą, przypadają-by dla Warszawy przeszło 200 pełnomocników. Tutaj także umieścić należy uwagę, że według przepisów, obowiązujących dla Towarzystwa Kredytowego odeskiego, w tamtejszych zgromadzeniach pełnomocnych liczba pełnomocników żydów nie może przenosić $\frac{1}{3}$ ogólnego składu tych zgromadzeń. W każdym razie, tyle pewna, iż możliwie najwyższa liczba wszystkich pełnomocników, jaką można-by uzyskać dla Towarzystwa warszawskiego, jak najbardziej zbliżona do obecnej cyfry mniej więcej 300 faktycznych uczestników Zgromadzeń Ogólnych warszawskich, wydawała-by się z natury rzeczy wskazaną. Zaś pod względem prawnym niema żadnej przeszkody dla urzeczywistnienia podobnych dezyderatów, skoro, według powołanego ogólnego przepisu 1893 roku, minister finansów jest ograniczony jedynie pod względem *minimum* cyfry pełnomocników w liczbie 36 osób, lecz natomiast w niczem nie jest krępowany pod względem wyznaczenia *maximum* tej cyfry.

W tej samej sprawie przypuszczalnego składu przewidywanych zgromadzeń pełnomocnych, z innego jeszcze stanowiska jedno jeszcze ogólniejsze nastęrcza się spostrzeżenie. Zasada kuryalna obioru pełnomocników, w stosunku do wysokości pożyczek, według trzech rozmaitych grup stowarzyszonych, nie jedno mogła-by dawać do myślenia w zastosowaniu do Królestwa, a w szczególności do Warszawy. Niekoniecznie najlepsze i najrdzenniejsze żywioty mieszczańskie i obywatelskie są właścicielami największych w Warszawie nieruchomości, obciążonych najwyższemi pożyczkami. Wielkie kamienice warszawskie, obok niezbyt znacznej liczby nieruchomości wielkopańskich, obciążonych zresztą zazwyczaj najmniejszą pożyczką, a nieraz całkiem wolnych od długu Towarzystwa, znajdują się, jak powszechnie wiadomo, w niemalej części w ręku sfer, niedość zrosniętych z miejscowem środowiskiem interesu publicznego, a zatem niedość utrwalonych w zaufaniu publicznem. Wieluż naprzykład ostatniemi czasy naliczy się tutaj przedstawiciele spekulacyi budowlanej, posiadających największe, najnowsze i najcenniejsze domy, obciążone z reguły najwyższą pożyczką Towarzystwa, i z tego tytułu ewentualnie powołanych

do korzystania, w stosunku liczbowym, z najwyższych praw wyborczych. Tak samo znów, skądinąd, domy w niektórych dzielnicach, na przykład Nalewkowskiej, zaliczając się do najpierwszej kategorii pod względem szacunku, dochodowości, a zarazem wysokości pożyczek, i wyprzedzając pod tym względem nieruchomości innych dzielnic, ewentualnie były-by wobec nich również w położeniu uprzywilejowanym według przewidywanego nowego systematu wyborczego. Istotnie, według tego systematu, tak, jak bywa stosowany obecnie w Cesarstwie, trzy grupy stowarzyszonych—wyborców, reprezentujące każda $\frac{1}{3}$ ogółu pożyczek i uprawnione każda do wyboru $\frac{1}{3}$ ogółu pełnomocników, tworzone są sposobem kuryalnym, to znaczy, że do pierwszej wchodzi posiadacze pożyczek największych, do drugiej — średnich, do trzeciej — najmniejszych, skąd, oczywiście, wyradza się przywilej wyborczy w stosunku odwrotnym do ilości wyborców każdej grupy. Otóż w Warszawie właśnie rozkład pożyczek pod względem ich wysokości jest tego rodzaju, że przy dosłownem stosowaniu niniejszego systematu wynikła-by niechybnie nader wybitna nierównomierność operacyi wyborczej. W rzeczy samej, jak wykazuje ostatnie Sprawozdanie Dyrekcyi Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy za rok 1898/9, w obecnej chwili ugrupowanie pożyczek według ich wysokości przedstawia w mieście naszym obraz następujący: pożyczek od rubli 1,000 do 5 tys. włącznie udzielono na 545 domów; od 5 do 10 tysięcy—na 620; od 10 do 15 tysięcy—na 464; od 15 do 20 tysięcy—na 360; od 20 do 30 tysięcy -- na 493; od 30 do 50 tysięcy—na 537; od 50 do 90 tysięcy—na 235; od 90 do 100 tysięcy—na 15; od 100 tysięcy i wyżej—na 26 domów. Ponieważ zaś summa ogólna pożyczek wynosi około 72 milionów rubli, czyli na każdą grupę ewentualnych wyborców przypadało-by około 24 milionów, zatem okazuje się, że do pierwszej grupy, uprawnionej do obioru $\frac{1}{3}$ wszystkich pełnomocników weszło-by zaledwo do paruset stowarzyszonych, a reszta, przeszło 3,000 stowarzyszonych, została-by wtłoczoną do dwóch pozostałych grup wyborczych. Tak mocno zaakcentowany przywilej jednej kategorii stowarzyszonych nad innymi przy czynności wyborczej, oraz wynikająca z niego nierównowaga, jeżeli nawet, być może, odpowiadają lokalnym jednolitym stosunkom w miastach Cesarstwa, mogły-by przecież spowodować poważne niedogodności przy dosłownem ich zastosowaniu do odmiennych pod względem prawnym i ludnościowym stosunków miejskich Królestwa. Było-by nader do życzenia, ażeby ordynacya wyborcza, dotycząca zgromadzeń pełnomocnych, a dla której za wzór obowiązujący służy w ogólności ustawa Towarzystwa Kredytowego petersburskiego, na wypadek wprowadzenia jej do Towarzystwa warszawskiego, została i pod tym i pod

innemi jeszcze względami jak najbardziej i jak najrozważniej przystosowaną w szczegółach do odrębnych wymagań gospodarczych i społecznych miasta i kraju naszego. Żywimy przekonanie, że w tym kierunku nic nie będzie zaniedbanego ze strony władz Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy, których to jest najpierwszym obowiązkiem, a tuszyć należy, że spotkają się one tutaj z dobrze zrozumianą względnością właściwych władz ministerjalnych.

§§

II.

Pożar Jasnej Góry.—Dwa konkursy.—Początek roku szkolnego i nowa szkoła handlowa w Warszawie. — Jak mieszka nasza ludność wiejska? — Szczepienie idei oszczędności wśród młodzieży szkolnej,— Nowe pismo: „Świat artystyczny“, jego cel i zadanie.

Jest w nas dziwne, głęboko sięgające w rdzeń duszy zbiorowej narodu, przywiązanie do Jasnej Góry, jest jakaś miłość tkliwa, serdeczna, karmiona mlekiem tradycyi, wszczepiona w serca wszystkie, opromieniona blaskiem wspomnień dzieciństwa, w którym uczyliśmy się pacierza od matek naszych, patrząc z wiarą w obraz Panny Częstochowskiej. Jest w nas kult specjalny, dla tego miejsca, pełnego łask świętych i niosącego ukojenia w cierpieniu i nędzy żywota.

Nie dziw też, że echa wieści o pożarze, jaki dotknął kościół Janogórski, szeroko rozbiegły się po kraju, że łuna od wieży płonącej wszędzie obudziła trwogę i wywołała żywe objawy smutku i wielką gotowość niesienia pomocy. Nie dziw, że grosz ofiarny sypnął się obficie, i że każdy, wedle swej mocy, składa szeląg obok dakata na ołtarzu Orędowniczki naszej i Pocieszycielki naszej.

Od pożaru, który wynikł z nieustalonych jeszcze przyczyn, szczęśliwie spłonęła tylko wysoko strzelająca w błękit wieża, na widok której nadciągające zdaleka tłumy pielgrzymów falą się kładły i drżały ze wzruszenia.

Wieża ta powinna rychło znowu zapanować nad okolicą i niewątpliwie w ciągu lat 2—3-ech stanie, dźwignięta wolą dobrą i miłością wszystkich.

Tej woli dobrej i miłości potrzeba jednak i na przyszłość do uchronienia świątyni od wypadków podobnych. Ogień, który niszczącą siłą swoją wtargnął na wyżyny podniebne i w perzynę obrócił do wiekowego trwania przeznaczone wiązania, prócz kłęski, jaką przyniósł, jest zarazem wskazówką potrzeb klasztoru Jasnogórskiego i Częstochowy. Miastu potrzeba lepiej zorganizowanej i lepiej w przyrządy ratunkowe uposażonej straży ogniowej, klasztorowi zaś —przynajmniej jednej, wysoko wyrzucającej wodę sikawki, i surowszych przepisów dla wchodzących na wieżę pątników. Jeżeli przyczyną pożaru było istotnie, jak podano w pismach, palenie ogni bengalskich i puszczanie rakiet z wieży, to podobnego rodzaju zabawy, niemające zresztą nic wspólnego z czią dla miejsca świętego, powinny być raz na zawsze zabronione.

Z ogniem igrać nie można, a cóż dopiero w wypadkach, w których szkody zrządzone mogą przenieść wszelką możność wynagrodzenia. Tylko więc w dobrej woli, miłości i pieczołowitej opiece powołanych do tego, możemy zaassekurować Jasną Górę na przyszłość od pożaru, który szczęśliwym trafem nie dosięgnął tym razem groźniejszych rozmiarów.

Redakcyja „Kuryera Warszawskiego“ rozesłała świeżo do osób, pracujących na polu naukowem, literackiem i artystycznym kwestyonaryusz, na który odpowiedzi posłużyć mają za materiał do orzeczenia, które z dzieł w poszczególnych gałęziach naszej twórczości w ciągu XIX wieku zasługują na wyróżnienie i mogą być uważane za „słupy wytyczne“ dla nauki, literatury i sztuki polskiej. Dzieła, uznane większością głosów za najlepsze na tym konkursie stulecia (jak Redakcyja ankietę swoją nazywa) uprzytomnione być mają następnie ogółowi w miarę możliwości na wystawach, koncertach lub w inny sposób ku chwale swoich twórców.

Wątpić należy, czy konkurs ten rzuci jakie nowe światło na owe owoce naszej pracy duchowej w ciągu dobiegającego kresu stulecia, zwłaszcza, że kwestyonaryusz zamknięty został w ramach tak

szczupłych, iż nie każdy potrafi się w nim wypowiedzieć należycie. Oto w jednej np. rubryce nauk społecznych znajdujemy: ekonomię, statystykę, skarbowość, prawo i socyologię. Przypuśćmy, że rubrykę tę wypełnia prawnik. Pragnąc wyróżnić, dajmy na to, specjalnie prace, dotyczące historii prawa polskiego, w której-to dziedzinie mamy takich badaczy, jak Hube, przedstawiciel starego pokolenia prawników polskich, i Oswald Balzer, niepospolitej miary uczony współczesny, — wypełniający będzie w kłopotcie, gdzie wyróżnione dzieła pomieścić: czy w ogólnej rubryce nauk społecznych, czy w ogólnej rubryce historii, w której jednak historii prawa nie uwzględniono. Podobne przeszkody nastręczać się będą licznie i w innych działach, wskutek czego niejedna z prac naukowych, godna wyróżnienia, zostanie pominięta.

Na bliższą nieco uwagę zasługuje projekt dalszy, mający na celu uprzytomnienie ogółowi dzieł najlepszych. W dziedzinie naukowej jednak wiąże się z tem potrzeba ogłoszenia drukiem całego szeregu prac, co pociągnie za sobą niemałe koszta.

Chcąc uprzytomnić ogółowi najlepsze dzieła naukowe polskie wieku XIX, należało-by zająć się wydawnictwem specjalnej biblioteki stulecia, która-by musiała objąć minimalnie 25 tomów, i przez niską cenę stać się dostępną dla warstw szerszych.

Czy i o ile wydawnictwo takie leży w zamiarach Redakcyi „Kuryera Warszawskiego“, nie wiemy, wyrażenie bowiem „w miarę możliwości uprzytomnione“, podane w odezwie, granic tej możliwości nie określa, wskutek czego można się wiele spodziewać, a otrzymać nie wiele — i odwrotnie.

Obok konkursu stulecia, mamy do zanotowania drugie jeszcze konkurs — „Gazety Polskiej“, ogłoszony celem upamiętnienia puszczenia w świat setnego tomu dodatków bezpłatnych.

Jest to konkurs na opisanie pięknego, użytecznego i szlachetnego czynu z rzeczywistego życia Polaka lub Polki, z zakresu zwykłej działalności rodzinnej, lub społecznej. Opisywane przytem mogą być tylko czyny osób żyjących, spełnione w ostatnich latach.

Sędziami będą czytelnicy „Gazety“, i od nich zależeć będzie przyznanie nagrody, wynoszącej rubli 200.

Rezultat konkursu, o ile on zainteresuje szersze koła, będzie ciekawy ze względu na to, iż zamierza zapoznać nas z ideałami moralnymi współczesnego pokolenia i podać przykłady żywej cnoty, które dla niejednego będą może bodźcem i drogowskazem.

Początek roku szkolnego zawsze wytwarza u nas atmosferę niezadowolenia. W wielu rodzinach panuje poprostu przygnębienie, a gdzie tego niema, tam jest trwoga i niepewność. Do gimnazyum dostać się bardzo trudno, a dzieci uczyć trzeba. Jeżeli nie pójdą one od samego początku równą drogą—to o żadnej już karyerze na seryo marzyć dla nich nie można.

Taki jest vox populi.

Kończąc też do wrót gimnazyalnych wszyscy—niestety w znacznej ilości wypadków napróżno, bo miejsca niema. Diwne to, a takie prawdziwe i tak dobrze znane u nas.

W Warszawie jest tylko 7 gimnazyuów i 1 szkoła realna—bardzo mało jak na siedm kroćtosięczną ludność miasta, i gdyby powstały jeszcze trzy gimnazya obok istniejących—wątpliwa, czy kwestya braku miejsc w szkołach rządowych była-by zażegnana.

Jedyną drogą do usunięcia obecnego zła jest nadawanie przywilejów i praw szkół rządowych zakładom prywatnym, co jednak idzie oporem i, jak dotychczas, do uzyskania jest bardzo trudne.

Drugim środkiem, acz połowicznym tylko, bo ogół pragnie przede wszystkim szkoły, której ukończenie daje prawo wstąpienia do wszystkich zakładów naukowych wyższych, nie wyłączając uniwersytetu, jest zakładanie szkół specjalnych, jak rzemieślnicza w Łodzi i obecnie otwarta handlowa—w Warszawie.

Dzięki tej nowej szkole, bieżący rok szkolny uważać należy za, bądź co bądź, lepszy od poprzednich, mniej w nim bowiem będzie takich dzieci, które dla braku miejsca pozostały w domu.

Warszawa posiadała do niedawna szkołę handlową im. Kronenberga, którą w r. ubiegłym zamknięto, jako nie odpowiadającą nowej ustawie o handlowych zakładach naukowych.

Ustawa ta, zatwierdzona dn. 15 kwietnia 1896, powołuje do bytu szkoły handlowe, jako zakłady naukowe średnie, pozostające pod zarządem ministeryum skarbu, z przywilejami zbliżonemi do przywilejów szkół realnych.

Taką szkołę założyło kupiectwo warszawskie świeżo pod nazwą „Warszawskiej siedmioklasowej szkoły handlowej“, i oto z początkiem września zaczęła się już garnąć do niej młodzież, na razie do trzech klas tylko—wstępnej, pierwszej i drugiej, które

w razie wielkiej liczby kandydatów odrazu otrzymają oddziały równoległe.

Szkoła ma za zadanie kształcenie ogólne i specjalne, przysposabiające nie tylko do działalności handlowej i przemysłowej, ale otwierające zarazem wstęp do wszystkich wyższych zakładów technicznych.

Całkowity kurs nauk trwa lat siedem i jest rozłożony na siedem klas, w których liczbie pięć jest ogólnych i 2 specjalne. Niezależnie od tego istnieje klasa przygotowawcza, czyli wstępna.

Program szkoły obejmuje przedmioty następujące: a) ogólne — religia, języki: rosyjski, polski, niemiecki i francuski, historia, matematyka, geografia, historia naturalna, fizyka, rysunki ręczne i techniczne, kaligrafia i gimnastyka. Oprócz tego nadobowiązkowo za oddzielną opłatą uczniowie pobierać będą mogli naukę języka angielskiego i śpiewu; b) przedmioty specjalne: buchalteria — teoretyczna i praktyczna — arytmetyka handlowa, chemia, towaroznawstwo z technologią, historia handlu, prawoznawstwo, korespondencja w językach rosyjskim, polskim i obcych nowożytnych, nadto stenografia.

Do „Warszawskiej siedmioklasowej szkoły handlowej“ przyjmowane są przede wszystkim dzieci kupców warszawskich, inne zaś będą przyjmowane o tyle, o ile będą miejsca wolne (semper idem!). Dzieci wyznania mojżeszowego będą przyjmowane z tym ograniczeniem, że liczba ich w stosunku do ogólnej liczby uczniów nie powinna przynosić 40%, raczej więc bez ograniczenia.

Pod względem powinności wojskowej i w razie wstąpienia do służby wojskowej, ci, którzy ukończą całkowity kurs nauk, korzystać będą z praw, przysługujących wychowankom szkół realnych. Oprócz tego uczniowie, kończący całkowity kurs nauk, otrzymają tytuł „osobistego obywatela honorowego“, jeżeli z urodzenia nie należą do stanu wyższego. Uczniowie, którzy ukończą kurs z odznaczeniem, otrzymywać będą tytuł kandydata komercyi.

Roczna opłata szkolna wynosi: dla uczniów klasy przygotowawczej, pierwszej i drugiej po rubli 60, dla uczniów klasy trzeciej, czwartej i piątej — po rubli 80, dla uczniów zaś dwóch klas specjalnych po rubli 100 rocznie, uiszczanych w dwóch równych ratach półrocznych.

Lokal szkoły, urządzony według wymagań nowoczesnych, mieści się przy ul. Złotej pod № 51.

Jak widzimy z programu, szkoła stać będzie w zupełności na wysokości swego zadania i zadowolić powinna tych wszystkich, którzy się oświadczają przeciw językom starożytnym, a żądają od szkoły średniej wiadomości, mających łatwo na pieniądź zamienną wartość życiową.

Co jednak mają czynić ci, którzy, bez względu na to, czy są, czy nie są zwolennikami klasycyzmu, nie mogą powziąć decyzji co do tego, czy dziesięcioletnich synów swoich przeznaczyć a priori do zawodu handlowego lub przemysłowego, czy sposobić ich na prawników i lekarzy, czy też czekać, aż dorosną wieku, w którym sami o wyborze zdecydują?

Ta kwestya, niezależnie od braku miejsc w gimnazyach, przypomina się nam z początkiem każdego roku szkolnego i wysuwa na czoło potrzebę reformy szkół średnich, która tak żółwim krokiem posuwa się naprzód i tyle pytań nierozwiązalnych nastęcza.

Kiedy się tej reformy doczekamy, przewidzieć trudno, to pewna tylko, że wszystko, co zrobiono dotychczas, wszystkie ulgi w wykładach, ograniczenie ćwiczeń łacińskich i greckich, częściowe zniesienie egzaminów itd., przyczyniło się zaledwie w pewnym stopniu do wyświetlenia kwestyi przeciążenia szkolnego i z niem walczy, ale zupełnie nie ułatwiło sprawy obmyślenia nowego typu szkoły średniej, dostępnej dla wszystkich i otwierającej wychowañcom swoim wszystkie drogi na świat szeroki, coraz głośniej wołający o dobrych obywateli i dobrych pracowników.

A takiej szkoły potrzeba dziś nietylko u nas, ale w całej Europie, gdzie również dzisiejsze gimnazya, licea i szkoły realne, bądź się przeżyły, bądź nie odpowiadają wymaganiom społeczności.

Towarzystwo higieniczne, o którym mieliśmy sposobność kilkakrotnie już mówić na tem miejscu, zajęło się między innymi także sprawą mieszkań ludności wiejskiej.

Wieś ma dla nas zawsze i przedewszystkiem urok wsi—łak zielonych, zbóż falujących, drzew okrytych kwiatem, przestrzeni szerokich, zagajów szumiących i starych chat pochylonych, pokrytych sło-

mą, o typowych strzebach polskich, nad które wznosi się w odwiecznym błękitnawy, pachnący jałowcem i żywicą, ten dym, za którego zapachem tak bardzo nieraz tęsknimy, będąc daleko od kraju, na obczyźnie.

Wieś ma dla nas, mieszkańców wielkiego miasta, przedewszystkiem urok krajobrazu swojskiego i znany ją, przeważnie, jako krajobraz. Mało natomiast wglądamy w jej życie, mało interesujemy się jej mieszkańcami stałymi i nie znamy nawet dobrze wnętrza tych chat, które kochamy powierzchownie. Czasami ktoś odchyli przed nami rąbek tajemnej zasłony i wówczas przekonywamy się, że piękna, a raczej miła swojskością swoją dla oka, chata polska jest przybytkiem nędzy, ogromnej, beznadziejnej jakiejś nędzy, która jest zaprzeczeniem wszelkiej kultury i wszelkiego postępu i spycha nas na jedno z ostatnich miejsc wśród ludów Europy.

Odrobinę tej nędzy, trzymającej w uścisku swoim $\frac{3}{4}$ mieszkańców naszych wsi i miasteczek, ukazuje nam właśnie w broszurze swojej młody prawnik, p. Kazimierz Rakowiecki, który, jako członek Towarzystwa higienicznego, z zamiłowaniem i obywatelskim odczuciem potrzeb kraju zabrał się do badań na polu higieny mieszkań wiejskich. Powinien to był uczynić lekarz z zawodu, ale że każdy obywatel kraju jest lekarzem ran—z obowiązku, z powinności, z sumienia swego, więc tylko za zasługę poczytać można p. Rakowieckiemu, że niezajętą snadź przez fachowca placówkę zajął z własnej woli. Z zadania wywiązał się zresztą bardzo dobrze, bo pracy nie szczędził, aby rzecz przedstawić wszechstronnie i oświetlić ją, jak można było, najlepiej.

Za podstawę tych wywodów i uogólnień posłużyło autorowi szczegółowe zbadanie warunków mieszkalnych wioski Grala-Dombrowizna, położonej w pow. Siedleckim, w odległości 2 mil od Siedlec, 3 zaś mile od miasteczka Stoczka.

Mimo, że mieszkańcy danej wioski należą do małorolnych, posiadają bowiem, jak to zaznacza autor, tylko po 2 lub 3 morgi gruntu, to jednak warunki ich mieszkalne nie wiele różnią się od warunków mieszkalnych gospodarzy zamożniejszych, i dostrzeżone przez p. Rakowieckiego strony ujemne dadzą się bez wielkich zastrzeżeń rozszerzyć na całe Królestwo Polskie.

Nie wchodząc w szczegóły, podajemy tu krótkie resumé autora, które niewątpliwie bardzo dobrze charakteryzuje niehigieniczność każdej wioski polskiej.

Oto co w niej się uderza przedewszystkiem w oczy: niepomierne skupienie chat i budynków gospodarskich, przeludnienie w izbach mieszkalnych, brak wentylacji, obecność przy chatach przybudówek

na chlewy i oborękę, nieodpowiedny rozkład chaty, w której sieni zajmuje zbyt dużo miejsca, mieszkanie zaś rodziny włościańskiej składa się z jednej tylko izby, z dodaniem — i to nie zawsze — komory lub alkierza; zbyt mała wysokość izb mieszkalnych, obecność przy izbach ciemnych komór, brak światła, spowodowany brakiem dostatecznej powierzchni okien, po części zaś niewłaściwym tych okien umieszczeniem, wilgoć w izbach podczas miesięcy zimowych i brak schłodności i porządku, zarówno na ulicy wioskowej i na przestrzeni wolnej między budynkami (gnojówki), jako też i w izbach mieszkalnych.

Zastanawiając się nad tem wszystkim, w dalszym ciągu pracy swojej proponuje p. Rakowiecki szereg reform, które stopniowo przeobraziły-by wioskę naszą i poprawiły w niej warunki zdrowotne, przyczem nie wątpi, że reformy te będą stopniowo przeprowadzone przez samą ludność w mniej lub więcej odległym czasie. Dla inteligencji jednak następuje się tu wdzięczne pole przyśpieszenia tego procesu cywilizacyjnego. Winna ona dopomódz tu radą zdrową, zachętą i uświadomieniem niezbędnych warunków dobrego zachowania zdrowia, a więc przede wszystkim schłodności w mieszkaniach i ubiorze.

Co się tyczy specjalnie obywatelstwa wiejskiego, to prócz udzielania włościanom, budującym nowe chaty, życzliwych rad i praktycznych wskazówek, powinno ono dawać pod tym względem wieśniakom wzór, godny naśladowania, przez stawianie domostw mieszkalnych dla służby folwarcznej, o ile możności wzorowych pod względem higieny.

To ostatnie — mówi autor — jest wprost obowiązkiem obywatelstwa wiejskiego, obowiązkiem nietylko moralnym, ale i społecznym. Poza tem polepszenie warunków mieszkalnych służby folwarcznej leży nawet w bezpośrednim interesie właścicieli ziemskich, ponieważ jednocześnie z polepszeniem tych warunków zwiększy się zdrowotność służby folwarcznej, a, co za tem idzie, jej zdolności do intensywniejszej i produkcyjniejszej pracy.

Zasadnicza zmiana warunków mieszkalnych ludności wiejskiej niemożliwa jest jednak do osiągnięcia bez uprzedniego podniesienia dobrobytu materialnego szerokich warst tej ludności i bez podniesienia się wśród niej poziomu oświaty i potrzeb kulturalnych.

Z tych założeń wychodząc, wzywa p. Rakowiecki szerszy ogół do współdziałania, a przede wszystkim pragnie gruntownie zbadać stosunki dzisiejsze. W tym celu do pracy swojej dołączył wyczerpujący kwestyionaryusz, na który odpowiedzi odsyłać należy do Tow.

hygienicznego w Warszawie. Odpowiedzi te, o ile nadejdą w większej ilości, wyświetlą zapewne niejedno jeszcze i sprawa reform wejdzie na tory właściwe, jeśli znajdzie więcej tak gorliwych i oddanych jej pracowników, jak autor omawianej broszury.

Towarzystwo higieniczne, którego siłom i dobrej woli ufamy, powinno jednak baczyć, aby nadać całej sprawie taki kierunek, iżby rzecz nie ugrzęzła w samych początkach na drobiazgowych rozprawach teoretycznych. Obmyślenie typu wzorowej chaty i osady włościańskiej powinno być pierwszym etapem w jego pracy. Następnie zaś typ ten należy rozpowszechnić drogą słowa drukowanego i żywego przykładu. Wzniesienie kilkudziesięciu chat wzorowych przez ziemian i zamożniejszych włościan, w rozmaitych okolicach kraju, więcej tu zdziała, niż lata całe badań na podstawie materiału, dostarczonego przez kwestyonaruszę.

Exempla trahunt—a prawu naśladownictwa podlega każdy człowiek w takim stopniu, że się z tem liczyć opłaci.

Prasa codzienna poruszyła w ostatnich czasach sprawę przyuczania młodzieży szkolnej do oszczędności w myśl specjalnego okólnika ministryum oświaty, który zaleca nauczycielom i przełożonym szkół średnich szczerzenie i popieranie wśród dzieci idei „Ziarnko do ziarnka”.

Nie ulega wątpliwości, że to, co nazywamy „cnotą oszczędzania”, w społeczeństwie naszym nie rozwinięte tak, jak gdzieindziej. Niemniej jednak nie jesteśmy już w tym względzie zupełnymi profanami i oddawna uważamy grosz za „wykładnik pracy”. Stopniowo też będziemy się posuwali naprzód, bo taki jest duch czasu i powszechne dążenie do gromadzenia bogactw nie może się nie odbić nawet na biednych warstwach narodu, choćby miało pozostać zawsze tylko niezaspokojonem pragnieniem. Warstwy średnio zamożne oszczędzają u nas oddawna, o czem świadczy może chociaż-by tylko stały wzrost klienteli Towarzystwa ubezpieczeń na życie. Assekuracja jest przecież także formą oszczędności, z wielką nieraz abnegacją połączoną.

Nie zapominajmy, że żyjemy w dobie rozkwitu gospodarki kapitalistycznej, i że wszystkie, właściwe kapitalizmowi, procesy, tryum-

fy i przełomy, przebyć musimy. Czy jednak opłaci się nam je przyspieszać?

Pieniądz i tak odgrywa w życiu naszym rolę dużą, zastępuje nam ideały, staje się osią naszych zabiegów i usiłowań. Człowiek współczesny, z t. zw. typu ludzi normalnych, stara się go zdobyć za jakąkolwiek bądź cenę.

Nikt nie słucha filippik przeciw materyalizmowi, większość z najgłębszego przekonania oddaje cześć złotemu cielcowi, bo pieniądz daje wszystko. Taki jest prąd dzisiejszy i długo zapewne będzie on jeszcze niósł na fali swojej tłumi, żadne użycia.

Czy więc wobec tego ma jakie dodatnie znaczenie propaganda oszczędności wśród dzieci?

Pieniądz pozostanie zawsze pieniądzem, bez względu na to, czy jest zaoszczędzony, czy zdobyty ślepym trafem w grze, czy odziedziczony bez trudu i pracy, i dziecko nie powinno się do niego przywiązywać, nie powinno znać jego wartości.

Niestety, dowiaduje się ono przedwcześnie o niej, już od najbliższego otoczenia swego, w rodzinie, gdzie się na każdym kroku uczy rozumieć, że bez pieniędzy życie jest niemożliwe, a im kto ma więcej pieniędzy, tem jest szczęśliwszy.

Jeżeli do tego szkoła będzie systematycznie na młody jego umysł oddziaływała, w celu przekonania go, że trzeba oszczędzać, czyli zbierać pieniądze, to dziecko wzrastać już będzie w takiej atmosferze kultu dla pieniądza, że się przez nią żadne inne powiewy, świeższe i czystsze, nie przedostaną.

W rezultacie będziemy mieli pokolenie, które nam podniesie stopień zamożności narodu, ale pozostanie głuche na wszystko, co w bezpośrednim związku z pieniądzem nie stoi, a z ducha idzie; będziemy mieli kapitalistów w 18 roku życia, którzy będą na seryo zajęci myślą o korzystnej lokacie swoich oszczędności, a kto wie, czy ich nie rozpożyczą najbliższym kolegom swoim na 7—8, a potem 12 i 15%, bo w tym kierunku tylko początek jest trudny.

Następuje się przytem pytanie, z czego mają dzieci szkolne oszczędzać? Nauczyciele będą im tłumaczyli, że pieniądz jest „wykładnikiem pracy“, ależ dzieci nie pracują na pieniądz wcale, nie zarabiają nic jeszcze, a zajęcia ich nie są przez nikogo wynagradzane, przeciwnie, jeszcze płacić trzeba za nie wpis, kupić im książki, sprawić odzienie, nakarmić je itd.

Wyniknie stąd bardzo niebezpieczna sytuacja: dziecko nauczy się wyludzać od rodziców pieniądze, symulować przed nimi nieraz wydatki na materiały szkolne, byle tylko mieć więcej, byle do skarbonki wrzucić co czas pewien kilka groszy; nauczy się ze szkodą dla

własnego zdrowia pieniędzy przeznaczony przez rodziców na śniadanie podczas pauzy „zaoszczędzać“, będzie się znieprawiało moralnie od najwcześniejszych lat, w szkole rozwiną się gry, loterya, znajdują się chłopcy, sprytni do małych operacyi finansowych itd.

I to wszystko nie są paradoksy. Takie doświadczenie zebrano tam, gdzie idea szczepienia oszczędności w szkołach została już dawniej w czyn wprowadzona. Takie obserwacye podają nauczyciele szkół ludowych w Austrii, gdzie przy szkołach tych powstały w swoim czasie „szkolne kasy oszczędności“, przeciwko którym oświadczyli się przedewszystkiem sami rodzice.

Szczepmy oszczędność, owszem, ale popierajmy ją wśród dorosłych, zwłaszcza wśród wartsw niższych, zakładajmy kasy oszczędności, Towarzystwa wkładowo - oszczędnościowe, popularyzujmy kasy pożyczkowe, uświadamiajmy ogół mieszkańców naszych wsi i miasteczek, wskazujmy im wartość pieniądza, ale dzieciom — zostawmy ich świat dziecinny, swobodny i wolny od trosk, które późniejsze życie przyniesie, wychowajmy je za to moralnie, starajmy się dać im na drogę życia wiarę w dobro, przywiązujmy je do piękna, rozbudzajmy w nich zamiłowanie do prawdy.

Niech przedewszystkiem poznają wartość „człowieka“ i „pracy“, a potem dopiero wykładnik tej pracy — pieniądz.

Od dnia 1 października r. b. zacznie wychodzić w Warszawie nowe pismo, dwutygodnik, poświęcony sztukom plastycznym pod tyt. „Świat artystyczny“.

W prospekie tego pisma czytamy:

„Godło, jakie przybieramy, mówi samo za siebie, samo jest programem działania, samo już określa sferę, w jakiej pragnęlibyśmy znaleźć pokarm dla dusz, łaknących wznoszenia się w sfery wyższe. W tem godle streszcza się zarówno podstawa, na jakiej usiłowania nasze odnośnie do przeszłości oprzeć zamierzamy, jako też i dążenie, do przyszłości skierowane. Piękno tedy obrazowe w przejawach trzech sztuk, postaciowemi (plastycznemi) zwanymi, zawarte; piękno, będące ich promieniem świetlanym, ich życiem, ich ciepłem, zamierzamy we wszystkich jego postaciach, tak duchowej, jak i zewnętrznej natury, poddawać rozmysłowi, uwadze i rozbirowi czytelników naszych, zda-

wać sprawę z jego zakwitu, prowadzić drogą do ukochania prawdy w niem zawartej, do wskazania pożytków, jakie z sobą wnosi do życia społecznego.

„Jako pomoc nieodłączną do przedstawienia objawów piękna użyjemy obrazowania powabów jego w odwzorowaniach, które słowu w pomoc przyjść muszą, które nieodłączną całość ze słowami tworzyć mają, lub nieraz samo słowo zastępować będą“.

Pismo będzie więc illustrowane, a na treść jego złożyc się mają: rozprawy z teorii sztuk pięknych, z ich filozofii i estetyki, historyczne na sztukę poglądy, powieści i anekdoty, wiadomości, do rozumienia piękna postaciowego prowadzące, wiadomości o sposobach wykonywania dzieł sztuki, wiadomości pomocnicze do sztuk pięknych, jak historia zwyczajów, obyczajów i ubiorów, zdobnictwo, kronika sztuk pięknych, sprawozdania z wystaw krajowych i zagranicznych etc.

Redaktorem i wydawcą pisma jest prof. Wojciech Gerson. Komitet redakcyjny stanowią pp.: Henryk Piątkowski, artysta malarz, profesor Pius Weloński, artysta rzeźbiarz, i Stefan Szyller, budowniczy.

Prenumerata wynosić będzie rocznie w Warszawie rubli 10, na prowincyi rubli 11.

Powstanie „Świata artystycznego“ jest dla stosunków naszych faktem znamionym. Świadczy ono o istotnej i głębokiej potrzebie podania w formie poważnej pokarmu duchowego społeczeństwu, które śnać dorosło do karmienia się pięknem, oraz o zespoleniu się ludzi, którzy potrzebę tę żywo odczuli i do pracy dla innych z ochotą przystępują.

Jest to jakby ciąg dalszy tego, co rozpoczęło zawiązane w r. z. Towarzystwo artystyczne, o którego celach i dążeniach pisaliśmy na tem miejscu w swoim czasie.

I „Towarzystwo artystyczne“ i „Świat artystyczny“ łączą się w jednym usiłowaniu stworzenia ogniska, z którego promieniowało-by piękno czyste, niezależne od wymagań targu, i uszlachetniający wpływ swój wywierało na wszystkie dziedziny życia, zagrzewając do pracy tych, co mu służą, a dostarczając wrażeń podniosłych w chwilach wypoczynku tym, co stoją z dala od świątyni sztuki, ale żywią dla niej cześć i obejść się bez niej nie mogą.

Sztuka stała się dzisiaj niezbędnym czynnikiem w życiu człowieka cywilizowanego, ale większość ludzi, nawet bardzo kulturanych, wysoko wykształconych i pracujących z pożytkiem na rozmaitych polach, ma tylko ciemne poczucie tej potrzeby niezbędnej, zna tylko niewyraźne porywy ducha, który każe jej szukać wrażeń przyjemnych w barwach i kształtach, posiada tylko odruchowe pragnienie piękna,

ale je rzadko odczuwa, rozumie, pije wszystkimi zmysłami, rzadko poznaje się na niem, bo nie posiada wykształcenia estetycznego i w ślad za tem idącego smaku.

Wykształcenie to zaszczepić, pogłębić, uporządkować i wyrobić w społeczeństwie smak i zamiłowanie do szukania piękna we wszystkich jego przejawach, do odnajdywania we wszystkim, co nas otacza, i do wymagania od wszyskiego—oto zadanie i praca, i pole wdzięczne do zasługi.

Placówka ta, dotąd nie była zajęta. Nikt nie starał się społeczeństwa kształcić estetycznie, nikt nie mówił do niego o istocie piękna—jeden może Witkiewicz, i dla tego książka jego „Sztuka i krytyka u nas“ już w 3 wydaniu tak łakomie została rozchwytaną przez inteligentną publiczność. Prasa nie zadawała sobie trudu nauczania nigdy, o otwieraniu oczu tym, których natura nie obdarzyła wzrokiem przenikliwym, czułym, reagującym na każdy promień światła w sposób właściwy—nie myślał żaden krytyk. Publiczności podawało się taką lub inną doktrynę estetyczną, oplątywało się ją powrozami frazesów, przyćmiewało w niej sąd jej własny, zabijało jej indywidualność.

I publiczność ta przyjmowała na wiarę wszystko—owczym pędem biegła uwielbiać to, o czem napisano, że piękne, na widok obrazu zalecanego przez sprawozdawcę pisma X. wołała, że jest arcydziełem, że wyszedł z pod pędzla geniusza, potępiała np. rzeźbę, o której napisano, że jest za mało subtelna. I urobiono bierną masę, która wie, że nazwiska Rodin, Rops, Böcklin, Kaulbach i t. d., są wielkie, która jednak niedocenia Chełmońskiego, Tetmajera i innych, stworzono zastępy ludzi, rozprawiających o sztuce, a nieumiejących wnieść odrobiny sztuki do swojego życia, niemających odrobiny smaku w wyborze tego, na co nieraz wydają duże pieniądze.

Zobaczymy tylko umeblowania naszych mieszkań — jakież tam wszędzie szablony, jaki brak gustu, jaka nieumiejętność wydobywania efektu; zobaczymy tę tandetę, którą nabywamy od kupców zagranicznych.

Przecież nie gdzieindziej, ale u nas, w Warszawie, bywają co czas pewien sprzedawane bohomyzy, przywożone tu przez niemieckich „kunständlerów“ mizerniejszego gatunku, którzy wynajmują na kilka tygodni sklepy, obwieszają ich ściany podmalowanymi oleodrukami i robią świetne interesy na naszej publiczności. Obrazy te widzimy potem u naszych krewnych, znajomych i słyszymy nieraz oddawane im pochwały.

Przecież nie gdzieindziej, ale u nas, w tem wyjątkowem mieście, jakim jest Warszawa, niema ani jednego domu w nowszych dzielni-

cach miasta, który-by mógł rościć sobie pretensję do miana dzieła sztuki—koszary tylko, koszary trzy i czteropiętrowe widzimy dokoła, koszary, budowane dla zysku i wyzysku, a nie mające nic wspólnego z pięknem.

Nie—smaku nie mamy wcale.

Nadchodzi jednak czas, w którym zaczynamy to odczuwać, w którym społeczeństwo zaczyna się budzić i wołać: uczcie nas i kształćcie, pójdziemy drogami, które pokażecie, prowadźcie nas tylko w krainę piękna, bo dość mamy już tandety i szarzyzny!

Rola tego kształcenia, tej nauki trudnej, najeżonej większymi trudnościami, niż jakakolwiek inna, przypadła w udziale „Światu artystycznemu“.

Dobrowolnie przyjął on zadanie to na barki i ma przed sobą cały lat szereg pracy wytrwałej, zanim ona owoce jakiegokolwiek wyda.

W nowym piśmie pokładamy duże nadzieje. W jakim stopniu sprawdzi je ono — to dopiero przyszłość okaże, tymczasem my tylko życzyć powodzenia w pracy, podjętej nie dla interesu, ale z pobudek wyższych, w służbie jednego z najważniejszych czynników postępu moralnego — Piękna, w dążeniach najszlachetniejszych, —do Prawdy.

Wiadomości bibliograficzne.

— Jubileusz wszechnicy Jagiellońskiej wytwarza zwołna literaturę, związaną z dziejami Krakowskiej *Almae Matris*. Dr Stanisław Tomkowicz podał historię i opis „Gmachu Biblioteki Jagiellońskiej“ ze zdjęciami arch. P. J. Zubrzyckiego i według fotografii J. Kriegera; a p. Stefan Zaleski wydał: „Opowiadania z dziejów Uniwersytetu Jagiellońskiego“, na które składają się następujące szkice: *Alma Mater* na zewnątrz; Chleb uniwersytecki; Zakład mieszczańsko-słowiański; Światło w uniwersytecie; Duch zgromadzenia; „Starczy“ i „młodzi“; Obyczaje mistrzów i scholarów. J. K. Potocki zgromadził zbiór studyów społecznych i socyologicznych pod tytułem: „Współzawodnictwo i współdziałanie“, a Fr. Rawita skompletował drugą serję swoich „Studyów i szkiców historycznych“.

— Dr M. Jezienicki, profesor V gimnazjum i docent uniwersytetu we Lwowie, wydał tamże własnym nakładem część III „Cenniejszych utworów la-

cińskich Janickiego, Kochanowskiego i Sarbiewskiego ze wstępem i objaśnieniami". Część ta zawiera celniejsze ody Kochanowskiego i Sarbiewskiego.

— U Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie wyszło studyum historyczne pod tytułem: „Witold Książę Litewski“, J. K. Kochanowskiego. Praca ta będzie przedmiotem oddzielnej oceny.

— Zeszyt IV tomu XIV miesięcznika „Wisła“ (lipiec i sierpień) wyszedł z druku i zawiera: G. Smólskiego: „Z wycieczki na Mazowsze pruskie“; S. Udzieli: „Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego“; Z. Kowalskiej: „Obchód weselny w powiecie Wilejskim“; E. Tetznera: „Pobrzeże Liwca“; E. M.: „Drzeworyty z Płazowa“ (z rysunkiem); W. Nałkowskiego: „Kronikę geograficzną“; W. S. Kiradziča: „Pieśni serbskie“; M. Kucza: podanie ludowe „Jej lza“. Poszukiwania, Sprawozdania i Krytyki, Przegląd czasopism.

— Pan Wincenty Lutosławski wydał studia filozoficzne pod tytułem: „Z dziedziny myśli“. Książce tej poświęcimy obszerniejszą wzmiankę.

— „Ideał prawdy ze stanowiska higieny ciała i duszy“ — taki jest tytuł broszury d-ra H. Nusbauma, o której wkrótce pomówimy,

— „Biblioteki neo-scholastycznej“ d-ra Merciera wyszedł w przekładzie zeszyt 4-ty, zawierający dalszy ciąg historii psychologii nowoczesnej.

— Dr S. Mintz przedstawił „Higienę biblijną“ w świetle krytyki współczesnej.

— W dziedzinie poezyi ukazały się dwa zbiorki: El (Kazimierza Laskowskiego): „Z chłopskiej piersi“ i Mieczysława Emefa: „Szal“.

— Do literatury powieściowej przybyły: „Nowelki i obrazki“ Amarilia, „Powieści czarodziejskie“ Andersena (tom I) i „Komornicy“, powieść Władysława Orkana.

— Aktualności politycznej zawdzięczamy broszurkę: „Chiny i Bokserzy“, napisaną przez Sinologa. Aktualnością również stało się tłumaczenie szkicu zmarłego niedawno Fryderyka Nietzschego, pod tytułem: „Ryszard Wagner w Bayreuth“, dokonane przez panią Maryę Cumft-Pieńkowską.

— Ósme wydanie „Początków języka polskiego“ Władysława Nowickiego wyszło nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

— Drugiej edycji doczekało się studium o emancypacji kobiet ks. Karola Niedziałkowskiego, pod tytułem: „Nie tędy droga, szanowne panie!”.

— Ks. Stefan Koziarz napisał broszurkę, wydaną we Lwowie, pod tytułem: „Cech garncarski w Sokolowie (koło Rzeszowa)”.

— Ukazał się 148 tom „Biblioteki dzieł wyborowych“, zawierający wspomnienia Józefa Tokarzewicza (Hodiego) pod tytułem: „W dniach wojny i głodu“.

— „Dziejów illustrowanych“, wydawanych w Wiedniu nakładem Franciszka Bondego pod redakcją d-ra Ludwika Kubali wyszły zeszyty od 365 do 368 włącznie i zawierają ciąg czasów starożytnych (tom IV).

— Zeszyty XI i XII „Albumu biograficznego zasłużonych Polaków i Polek XIX wieku“ wyszedł z druku i zawiera życiorysy: d-rów medycyny Gagatkiewicza i Filipeckiego przez J. Peszkego; Józefa Bohgana Zaleskiego przez Kazimierza Glińskiego, Ludwika Osińskiego przez Romana Plenkiwicza, Karola Mecherzyńskiego przez Piotra Chmielowskiego, Aleksandra hr. Przedzieckiego przez Z. Glogera, Juliana Bartoszewicza przez tegoż, Feliksa Bentkowskiego przez Br. Chlebowskiego, Jana Zygmunta Skrzyneckiego przez M. Massoniusa, Pauliny Krakowowej przez Anielę Szyć, Józefa Kremera przez Henryka Struvego, ks. Zygmunta Goliana przez ks. Teofila Matuszewskiego i Ludwika Kondratowicza (Syrokomli) przez Fr. Rawitę.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

Michał Kołłążę Radziwiłł.

OGŁOSZENIA.

Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowym, imienia J. Mianowskiego, podaje do wiadomości, że z zapisu Jakóba Natansona przyznane zostaną w roku 1901 dwie nagrody pieniężne.

Jedna nagroda przyznana będzie za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznymi), ogłoszoną drukiem w języku polskim w latach: 1897, 1898, 1899, 1900; druga za taką pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych lub tym podobnych. Zgodnie z Ustawą Kasy Pomocy i stosownie do zastrzeżeń, uczynionych przez zapisodawcę, powyższe nagrody udzielone być mogą jedynie poddanym rosyjskim, mieszkańcom Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonym.

Komitet zarządzający Kasą własnem staraniem usiłował zebrać, dla poddania ocenie prace, ogłoszone drukiem w wymienionym okresie; dla uniknięcia jednak możliwych przeoczeń, prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze Komitetu, lub na ręce jednego z członków Komitetu.

Wiceprezes Komitetu:

Konrad Dobrski.

Członek Komitetu Sekretarz:

Feliks Kucharzewski.

Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia d-ra J. Mianowskiego podaje do wiadomości, że z fundacyi Stanisława Rotwanda i Hipolita Wawelberga, zatwierdzonej przez Władzę rządową, przyznał w dniu 19 września 1900 roku W-mu Aleksandrowi Jabłonowskiemu nagrodę imienia Adolfa Pawińskiego w kwocie rubli sześćset za dzieło pod tytułem: „Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym“, Warszawa, 1897, jako za najlepszą z prac, odnoszących się do historii polskiej, ogłoszonych drukiem w języku polskim w ciągu lat: 1897, 1898, 1899, przez tutejszych poddanych.

Wiceprezes Komitetu:

Konrad Dobrski.

Członek Komitetu Sekretarz:

Feliks Kucharzewski.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie trzecim

z roku 1900.

H i s t o r y a.

	Str.
Z LITERATURY ZAPOMNIANEJ. Szkic z dziejów dawnej umystowości, — przez A. Brücknera	1
ELEKCYA AUGUSTA III,—przez Szymona Askenazego	197 i 430
AGENOR HR. GOŁUCHOWSKI W PIERWSZYM OKRESIE RZĄDÓW SWOICH (1846 — 1859). (Sprawy ekonomiczne), — przez d-ra Bronisława Łozińskiego . .	381

L i t e r a t u r a.

PRZEKONANA. Powieść,—przez Al. Suszczyńską .	43, 216 i 409
W DALEKOŚĆ. — OTWÓRZ, JANKU! — MARZENIA (wiersze), — przez Edmę Mierz.	349 i 517

Studia i szkice literackie i artystyczne.

	Str.
SZUJSKI JAKO POETA, — przez St. Tarnowskiego . . .	68 i 242
STOSŁAW ŁAGUNA, — przez Szymona Askanażego . . .	117
ZWROT W MODERNIZMIE NIEMIECKIM, I. Liryka, — p.zez d-ra Józefa Flacha	125
JÓZEF ELSNER I PIERWSZE KONSERWATORYUM W WAR- SZAWIE. (Z papierów i pamiątek po Elsnerze), — przez Ferdynanda Hösicka	142
ECHA Z WIELKIEGO BAZARU. (Wrażenia i notatki). II. Sztuka, — przez Antoniego Potockiego	287
GARCZYŃSKI I KRASIŃSKI. Szkic literacki, — przez Tadeusza Pinięgo	312
ELIZA ORZESZKOWA, — przez A. Drogoszewskiego . . .	494
TEGOROCZNY MIĘDZYJARODOWY KONGRES KATOLICKI W PA- RYŻU, — przez Michała Radziwiłła . . .	521

Nauki przyrodnicze.

NOWE POSZUKIWANIA NAD INTELLIGENCYĄ PSZCZÓŁ I MRÓ- WEK, — przez profesora d-ra J. Nusbauma . . .	335
---	-----

K r y t y k a.

D-r Karol Bucher: „Die Wirtschaft der Naturvölker“ Dresden Zahn und Jaensch“, 1898;—Dr Zofia Daszyńska Golińska: „Własność rolna w Galicyi“. Studium statystyczno- społeczno. Warszawa, 1900, w 8-cc, str. 95 i dwie mapki,—przez d-ra Zygmunta Gargasa 175 i 360	175 i 360
„Prace filologiczne“, wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza i A. A. Krzyńskiego. Tom V, zeszyt 3. Warszawa, 1899 (str. 681 — 1,033);—Antoni Kra- snowolski: „Słowniczek frazeologiczny“. Poradnik dla piszących. Wydanie z zapomogi Kasy im. Miano- wskiego. Warszawa, 1900;—przez Romana Za- wilińskiego	354

- Stanisław Rzepiński: „Grecya, wspomnienia z podróży, odbytej na wiosnę w roku 1896“, Kraków, 1899; — Anna Neumannowa: „Legendy i baśnie Wschodu“, Kraków, 1899; — Zofia Kowerska: „Powieści“, Kraków, 1899, — przez Z. D. 541

Kronika zagraniczna.

KRONIKA RZYMSKA, — przez A. Darowskiego.

- Rok jubileuszowy i Dante. — „Ogień“ Gabryela d'Annunzio. — „Wieczna legenda“ W. Aganoor. — Kasy oszczędnościowe we Włoszech. — „Nero“ H. Boity i „Le Maschere“ P. Mascagniego. — Kongres archeologiczny chrześcijański w Rzymie. — Kongres przeciwgruźliczny w Neapolu 95

KRONIKA LONDYŃSKA, — przez d-ra N e k a n d ę - T r e p k ę.

- Zagadnienia południowo-afrykańskie. — Wyprawa chińska. — Sezon wiosenny. — Podróżnicy angielscy i sąsiedzi. — Roboty publiczne i budowle Londynu. — Muzeum Ryszarda Wallace'a w Hertford House. — Miliony Andrzeja Carnegie i ich przeznaczenie. — Osiemdziesiątolecie Herberta Spencera i jego życiorys przez Hektora Macphersona. — Trzechsetletni jubileusz Cromwella i jego charakterystyka przez Sir R Tangye, Lorda Rosebery i S. R. Gardinera. — Teatra: Opera i operetki—angielski Beyreuth.—„Quo vadis“ i „Cyrano de Bergerac“. — „Zaza“. — Człowiek lat 40.— Próbą Lady Huntworth 465

Kronika miesięczna.

LIPIEC.

- Siedemdziesięciopięcioletnie Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. — Projektowany obchód milienium Kalisza. — Statystyka kąpiel publicznych w Warszawie. — Czem mogła-by i powinna być Saska Kępa.—W sprawie bytu materyalnego młodych lekarzy 179

SIERPIEŃ.

Str.

- Pogotowie ratunkowe i ratownictwo na kolejach żelaznych.—Pol-
skie słownictwo techniczne.—Konkurs z ofiary p. Wa-
welberga.—Brak kapłanów i przyczyny tego zjawiska.
—Kolporterzy nieletni.—Sezon martwy w Warszawie
i w prasie warszawskiej. — Wycieczki po kraju . . 362

WRZESIEŃ.

- I. Zmiany w Towarzystwie Kredytowem miasta Warszawy. —
II. Pożar Jasnej Góry. — Dwa konkursy. — Począ-
tek roku szkolnego i nowa szkoła handlowa w Warsza-
wie.—Jak mieszka nasza ludność wiejska?—Szczenie-
nie idei oszczędności wśród młodzieży szkolnej.—No-
we pismo: „Świat artystyczny“, jego cel i zadanie . . 548

Wiadomości bibliograficzne.

LIPIEC	194
SIERPIEŃ	377
WRZESIEŃ	573



Krajowe Muzeum Historyczne w Warszawie